

CONN IGGULDEN



BRAMY ATEN

PRAGNIESZ WOLNOŚCI - PRZYGOTUJ SIĘ DO WOJNY



CONN
IGGULDEN

BRAMY
ATEN

Przełożył
Piotr Kuś



DOM WYDAWNICZY REBIS

*Dla Simona Broome'a,
wielkiego nauczyciela*

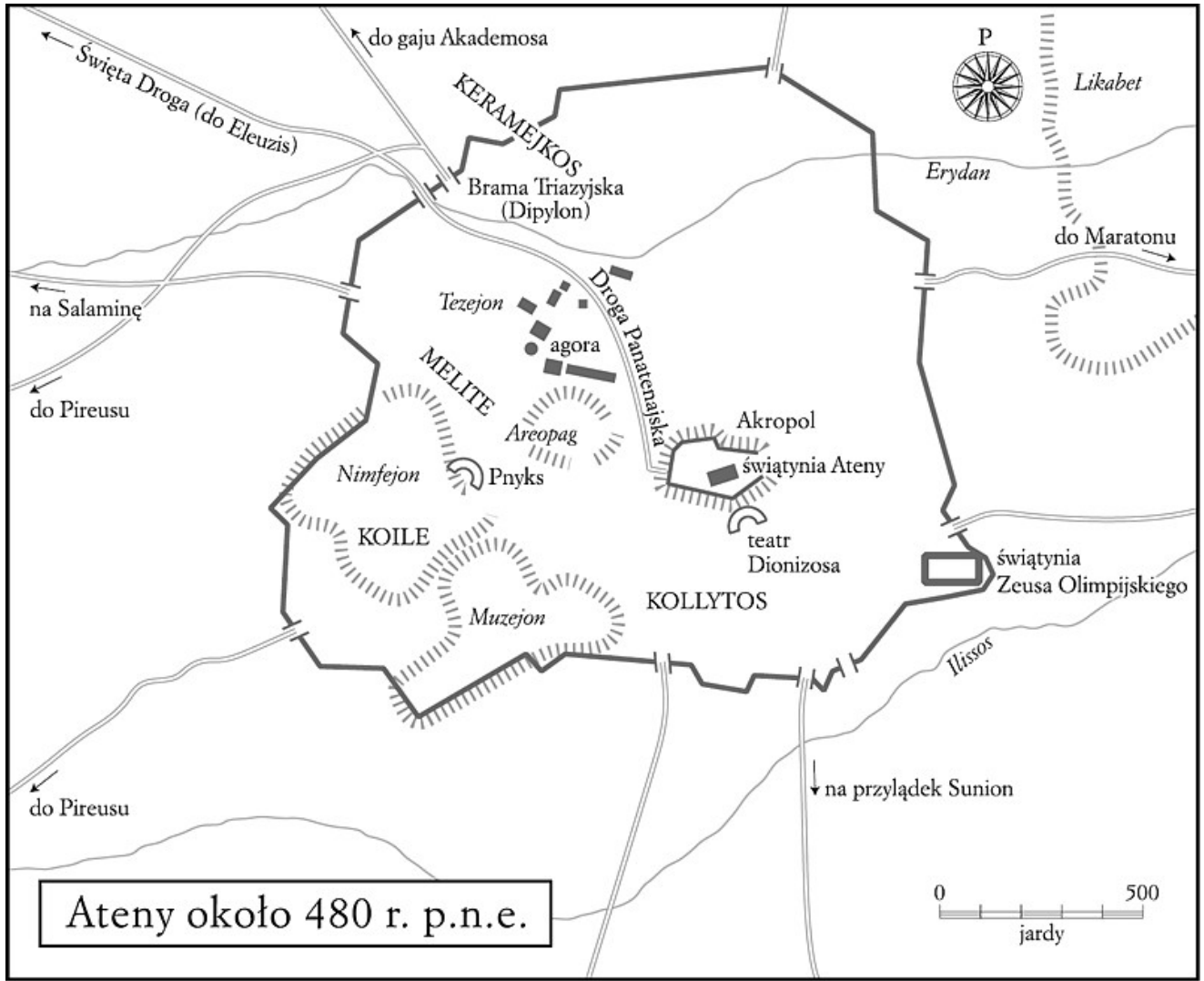
„Rzekł do mnie – a jego słowa miały skrzydła”.

Homer

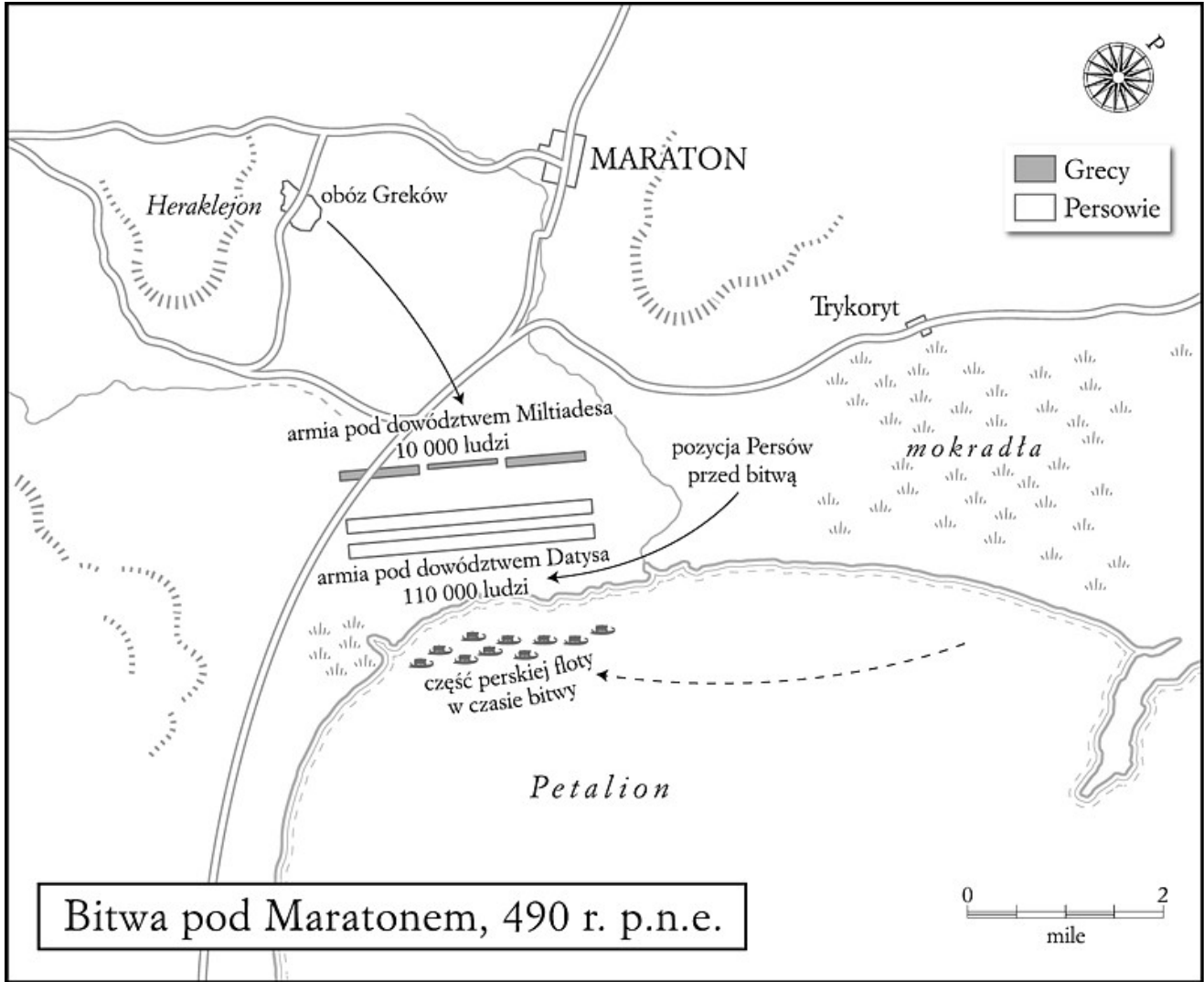
„Szybko, przynieście mi kubek wina,
abym mógł zwilżyć umysł i powiedzieć coś mądrego”.

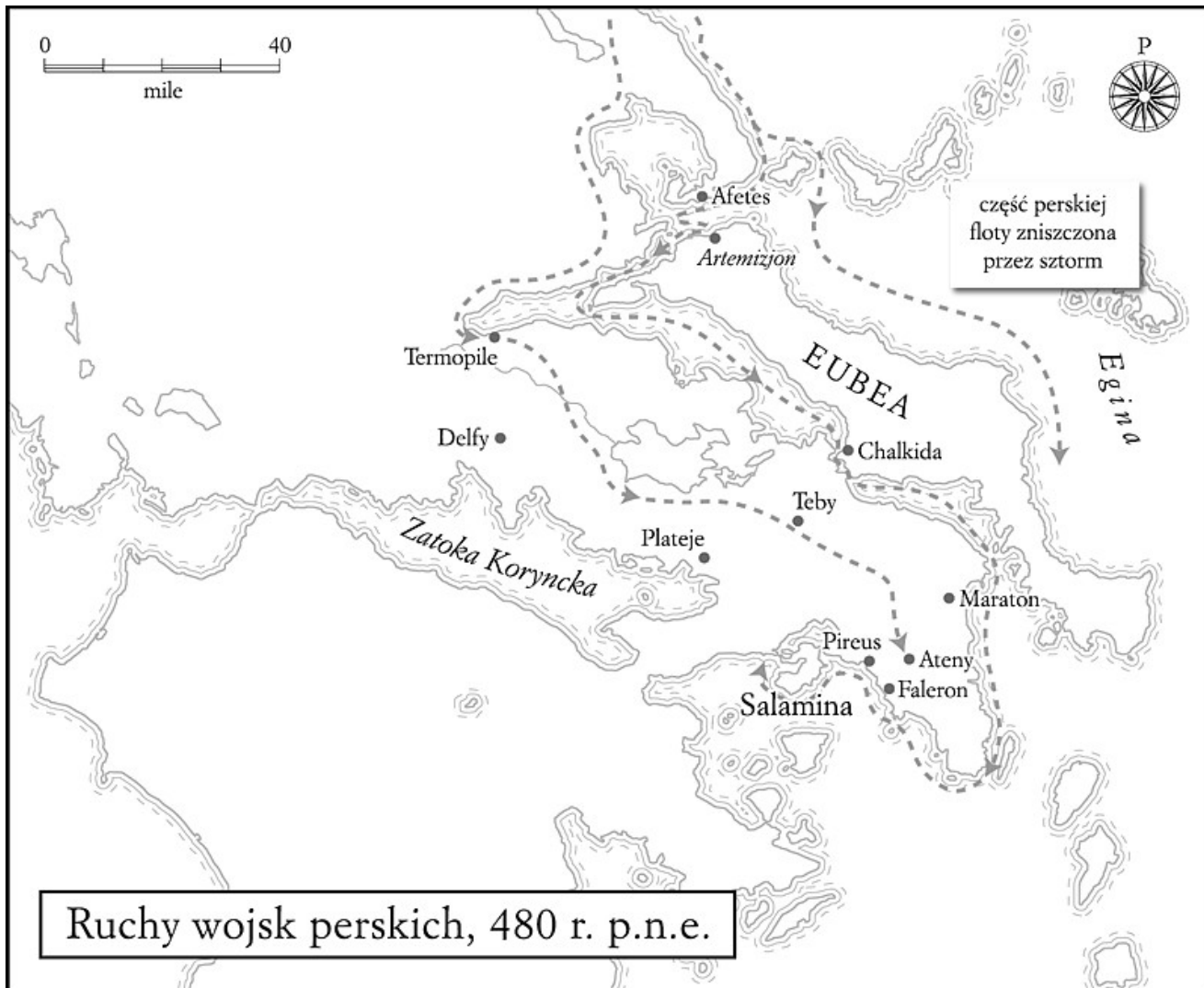
Arystofanes





Ateny około 480 r. p.n.e.





URZĘDY CYWILNE I WOJSKOWE

archont	ἄρχων	jeden z dziewięciu najwyższych urzędników ateńskich wybieranych na rok
<i>epistatai</i>	ἐπιστάται	w falandze drugi szereg, za <i>protostatai</i>
epistates	ἐπιστάτης	przewodniczący zgromadzenia ludowego (eklezji)
falanga	Φάλαγξ	szuk piechoty ciężkozbrojnej
keleustes	κελευστής	podający tempo wioślarzom
<i>protostatai</i>	πρωτοστάται	w falandze pierwszy szereg, przed <i>epistatai</i>
strateg	στρατηγός	dowódca
trierarcha	τριήραρχος	nawigator triery

MIEJSCA

agora	Ἀγορά	główny plac, rynek, koncentrowało się tam życie polityczne
Areopag	Ἄρειος πάγος	Skala Aresa, wzgórze w Atenach, na którym obradowały sądy
Eretria	Ἐρέτρια	miasto na Eubei
Keramejkos	Κεραμεικός	dzielnica garncarzy w Atenach
Maraton	Μαραθών	porośnięta koprem równina na wschodnim wybrzeżu Attyki
Plateje	Πλάταια	miasto w Beocji
Pnyks	Πνύξ	„mównica”, miejsce obrad ateńskiego zgromadzenia (eklezji)
Salamina	Σαλαμίς	wyspa w pobliżu Aten

POSTACI

Agarysta	Ἀγαρίστη	żona Ksantypposa
Aryfron	Ἀρίφρων	najstarszy syn Ksantypposa i Agarysty
Arystydes	Ἀριστείδης	strateg, archont eponim, którego imieniem nazwano rok 489 p.n.e.
Eleni	Ἑλένη	córka Ksantypposa i Agarysty (żadne źródła starożytne o niej nie wspominają)
Epikleos	Ἐπικλέος	przyjaciel Ksantypposa
Filippides	Φειδιππίδης	posłaniec, który przybiegł z Maratonu do Aten z wieścią o zwycięstwie
Herakles	Ἡρακλῆς	mityczny heros, słynny ze swojej siły i 12 prac
Kimon	Κίμων	syn Miltiadesa
Klejstenes	Κλεισθένης	Ateńczyk, twórca zasad demokracji
Ksantyppos	Ξάνθιππος	strateg, mąż Agarysty
Kserkses	Ξέρξης	król Persji
Miltiades	Μιλτιάδης	przywódca wojskowy, ojciec Kimona
Perykles	Περικλῆς	syn Ksantypposa i Agarysty
Temistokles	Θεμιστοκλῆς	archont, którego imieniem nazwano rok 493 p.n.e.

DODATKOWE POJĘCIA

Atena	Ἀθηνά	bogini mądrości, patronka Aten
eupatrydzi	ἠὺπατρίδαι	właściciele ziemscy

DZIESIĘĆ FYL ATEŃSKICH

Ajantis	Αἰαντίς
Ajgeis	Αἰγηΐς
Akamantis	Ἀκαμαντίς
Antiochis	Ἄντιοχίς
Erechteis	Ἐρεχθίς
Hippochoontis	Ἴπποθοωντίς
Kekropis	Κεκροπίς
Leontis	Λεοντίς
Ojneis	Οἰνηΐς
Pandionis	Πανδιονίς

Prolog

Odurzająca woń górskich kwiatów unosiła się w powietrzu jak zapach perfum albo wrzącego werniksu. Żywe istoty oddychały ciężko nawet w cieniu. W wielu miejscach kozie rogi unosiły się wysoko nad ziemię, ponieważ wypłowiwała trawa i nagie skały były zbyt gorące, aby jakiegokolwiek stworzenie mogło na nich spocząć. Świerszcze grały w gałęziach sosen, które kiedyś wyrosły spomiędzy skał i wciąż nie zamierzały umierać.

W spokoju tak odwiecznym jak góry i wzgórza dookoła muzyka uniosła się w powietrze niczym cienka nić, przechodząc w zgiełk brzmiący instrumentami i głosami podejmującymi pieśń. Jaszczurki uciekły w popłochu, gdy królewscy artyści i tancerze dotarli do grani, wypełniając przestrzeń dźwiękami cymbałów, piszczałek i bębnów. Kiedy rozległ się krótki rozkaz, znieruchomieli, dysząc, wilgotni od potu.

Sam król na swoim ogierze wystąpił przed szereg i zeskoczył na ziemię z gracją, jakiej nabył już jako młodzieniec. Dariusz rzucił wodze niewolnikowi i wspiął się na wielki płaski głaz, aby popatrzeć na równinę. Z tej wysokości wyraźnie widział rany, jakie zadano ziemi, pozostałości po wojnie i płomieniach. Zmarszczył czoło, poruszony zarówno oddaleniem, jak i bliskością przeszłości. W tym samym miejscu stał trzydzieści lat wcześniej. W tej chwili wydawało mu się, że może zrobić krok i znów się tam znaleźć, z ojcem u boku i z całym życiem przed sobą.

Tam, gdzie kiedyś stało miasto Sardes, teraz znajdowały się ruiny. Ogień wypalił się dawno temu, lecz Dariusz miał wrażenie, że w silniejszych

podmuchach wiatru wciąż unosi się swąd zwęglonego drewna i cegieł albo też perfum, albo zgnilizny. Z daleka widział wśród ruin ludzi. Powietrze było tak czyste, że dostrzegał nawet cienkie smugi dymu i jasne iskry nad paleniskami. Bez wątpienia część to mieszkańcy, którzy stamtąd uciekli, po czym wrócili, kiedy ustała pożoga, a część zjawiała się wyłącznie po to, żeby splądrować szczątki, znaleźć wśród nich bryłki złota ze stopionych monet.

Stos pogrzebowy uczyniony z całego miasta nie mógł być mały. Tego dnia, spoglądając w dal z wysokich gór, trudno było sobie wyobrazić, jak ogień trawi ulice, parki i zabudowania. Dariusz zauważył, że wieże strażnicze, które strzegły kiedyś murów miasta, zawaliły się i przeobraziły w żalosne sterty kamieni. Ale szerokie ulice wiodące od murów wciąż były wyraźnie zaznaczone. Stopy żyjących tu ludzi naniósł na nie popiół i sadzę, pozostawiając wyraźne ciemne ślady, podobne do grubych żył na wysuszonym ramieniu starego człowieka. Król wiedział, że powoli, lecz nieuchronnie wkroczy tam zaraza. Ci, którzy przetrwali, pozbawienia przywództwa w ogóle nie interesowali się ciałami zmarłych. Muchy chodziły po ludzkich zwłokach, które żywi mijali przyśpieszonym krokiem, nie chcąc na nie patrzeć choćby przez chwilę.

Wielki król na tę myśl ani się nie skrzywił, ani nie pokręcił głową. Często widywał śmierć. Wiedział, że jego robotnicy będą musieli najpierw zakopać zmarłych w płytkich grobach poza murami miasta i dopiero wtedy będzie można przystąpić do jego odbudowy.

Dariusz w końcu się odwrócił, chcąc uwzględnić w przemyśleniach swojego syna. Kserkses, w pewnym oddaleniu od czoła pochodu, siedział ze skrzyżowanymi nogami na grzbiecie młodego słonia. Był czymś zajęty, zapewne zabawą z jednym ze swoich zwierząt. Kserkses zawsze potrafił znaleźć jakieś stworzenie, które szkolił i z którym się bawił. Ostatnio był to świerszcz, a wcześniej mała niebieska jaszczurka, która najpierw chwytła jedzenie w pazurki i dopiero potem je pochłaniała. Wielki król nigdy nie odczuwał potrzeby, aby się oddawać takim rozrywkom. Martwił się, że chłopiec

niedostatecznie się interesuje życiem imperium, które ma odziedziczyć. Ciężko westchnął. Bezustanne troski to codzienność każdego ojca.

Królewski orszak zatrzymał się na jego znak. Na twarzach ludzi, którzy od wczesnego poranka wspinali się na wysoką górę, pojawiła się ulga. Za królem stało ramię w ramię sześćdziesiąt tysięcy mężczyzn, zajmując szlak tak długi, że ostatniego z nich Dariusz nie mógł dostrzec. Przybył tutaj gotowy na wojnę, ale napotkał jedynie zgliszcza.

Przed nim odpoczywały drżące ze zmęczenia tancerki. W czasie porannej wędrówki jedna upadła na ziemię. Najpierw trzęsa się jak w delirium, a potem piszczała i wrzeszczała wniebogłosy, kiedy przetaczały się nad nią wozy i deptali ją ludzie. Jedynie słonie omijały nieszczęsną; były wybredne i zawsze starannie wybierały, co zmiążdżyć ciężkimi łapami.

Dariusz wiedział, że nie będzie musiał kierować do swojego wezyra nawet jednego słowa. Ponure, lekko zaczerwienione oblicze Aszara wystarczająco dobitnie świadczyło o jego wstydzie. Tego wieczoru opiekunka tancerek na pewno zostanie wychłostana, a później prawdopodobnie przywiązana do drzewa i po prostu pozostawiona lwom albo wilkom na pożarcie. Wszystkie tancerki, które będą świadkami jej losu, aż za dobrze pojmą, że w podzięce za wyróżnienie, jakie spotkało je ze strony króla, nie mogą przecież przynosić mu ujmy.

Dariusz nie był już energicznym młodym wojownikiem. Zastanawiając się, jak zejść ze skały, z trudem powściągnął grymas wywołany kluciem w biodrach i w krzyżu. Dawno temu po prostu zeskoczyłby na ziemię, zadowolony ze swojej sprawności i siły. Teraz po prostu czekał. Na swoje szczęście słudzy znali słabości władcy. Pod głaz podstawiono schodki. Dariusz zszedł po nich sztywny jak kij, z wyrazem błęgiego spokoju na twarzy.

Kserkses patrzył czujnie, jak ojciec się do niego zbliża, i zastanawiał się, czy nie zostanie ukarany za coś, co jedynie król mógł zauważyć i źle odebrać. Siedzący na grubym jedwabnym kobiercu chłopiec miał na nogach sandały i przyodziany był tylko w skórzaną spódniczkę nabijaną złotymi ćwiekami.

Z nagą klatką piersiową stanowił żywe przypomnienie tego, jak wygląda królewska młodość, a takie przypomnienie mogło pogorszyć ponury nastrój jego ojca.

Słudzy rozsypali suszoną lawendę i mirt na piaszczystą ścieżkę, po której kroczył wielki król. Konieczność uniesienia wzroku była zniewagą dla władcy, Kserkses jednak sprawiał wrażenie, jakby zastygł wysoko na grzbiecie słonia. Ogromny słoń skrzył głową, aby spojrzeć na mężczyznę, który podchodził do niego z boku. Zarówno chłopiec, jak i zwierzę byli w wieku, w którym śmiałość przeważa nad posłuszeństwem. Dariusz krótkim gestem odprawił służących, którzy zasypywali ścieżkę wonnymi ziołami. Podreptali na skraj jego pola widzenia, gotowi w każdej chwili ponownie rzucać wonności pod nogi człowieka, który włada światem.

– Zejdz stamtąd, Kserksesie – powiedział spokojnie.

Jego syn skinął głową i uniósł rękę tak, żeby słoń mógł ją zobaczyć. Trąba wykonała wdzięczny ruch w jego kierunku i Kserkses rozsiadł się na niej, a po chwili zwierzę bardzo łagodnie postawiło go na ziemi. Chłopiec wydawał się dumny z tego pokazu. Dariusz nie zareagował jednak na sztuczkę, która na pewno wzbudziłaby entuzjazm na zatłoczonym miejskim rynku albo w innym zgromadzeniu prostych ludzi. Objął syna ramieniem i poprowadził go na miejsce, w którym powinien on stać i czekać na ojca. Położył rękę na głazie i poczuł jego ciepło.

– Widzisz to miasto? – zapytał. – Ciemne, zasypane popiołem?

Kserkses, chcąc dać ojcu do zrozumienia, że intensywnie wpatruje się w dal, dopiero po chwili pokiwał głową, wciąż obojętny wobec królewskiego majestatu. Dariusz był dumny z tego młodego człowieka, który wkrótce pójdzie w jego ślady, jeśli tylko Ahura Mazda, Pan Mądrości, na to pozwoli. Nie należało być zbyt pewnym przyszłości, wyrażać tej pewności głośno ani nawet w najbardziej skrytych myślach. Bóg Światła i tak wszystko słyszał.

– Oto Sardes, stolica tego regionu – powiedział. – Właściwie dawna stolica. Miasto zostało najechane przez wroga i spalone wraz z wielką świątynią, która

stała tu przez dwa tysiące lat. To dlatego przyprowadziłem tutaj tak wielu żołnierzy, Kserksesie. Poczynając od jutra, każdy dom i każdą świątynię rozbierzemy do fundamentów. A potem odbudujemy całe miasto.

– Któż się ośmielił zaatakować jedno z naszych miast? – zapytał Kserkses.

– Ateńczycy, obywatele Eretrii – odpowiedział mu ojciec. – Grecy. Myślałem... Dziesięć lat temu przysłali tutaj delegatów, prosząc o przyjaźń. Sądziłem, że zgodzili się zostać jednym z moich ukochanych poddanych ludów. Mojemu zarządcy podarowali ziemię i wodę i wrócili do domu przez morze. Przyznam, że później prawie o nich nie myślałem. – Król się uśmiechnął i spróbował zmierzić włosy synowi. Powściągnął urazę, kiedy ten się od niego odsunął. – To jest skraj świata, Kserksesie. Morze znajduje się w odległości niecałych dwóch dni drogi stąd, a za nim leży ziemia, która nigdy nie zaznała błogosławieństwa naszych praw ani obecności naszych żołnierzy. – Wyciągniętą ręką objął równinę. – Władam tutaj wszystkim, od targów, na których handluje się niewolnikami, po kopalnie złota. Należą do mnie każdy dzban i puchar, każda moneta, każde dziecko i każdy promień światła. Jesteśmy jednak daleko od cywilizacji, od centrum naszych ziem. Zapewne byłem wobec tych ludzi zbyt łagodny, zbyt łatwo im wybaczyłem. Bywam łatwowierny. Zawsze to było moją słabością. – Zauważył, że syn niepewnie przestępuje z nogi na nogę, i uśmiechnął się. – Nikt nie może powiedzieć, że nie mam honoru, Kserksesie. Rozumiesz? Jeśli dam komuś słowo, dotrzymuję go, nawet gdy świat wokół mnie wali się w gruzy. Jeżeli wybaczam wrogowi i przyjmuję go jak własne dziecko w swoim domu, może być pewien, że nie zazna już z mojej strony żadnej złości. Wiedzą o tym nawet Grecy. Och, mogą krzyczeć i walczyć, ale dla prawdziwych mężczyzn, którzy pragną odłożyć na bok dumę i w goście dobrej woli zaofiarować mi ziemię oraz wodę, zawsze będę miłościwym bogiem.

– Ale dlaczego? Dlaczego postanowiłeś wybaczyć ludziom, którzy uczynili tę straszną rzecz, spalili Sardes?

Dariusz pochylił się nad synem. Chociaż stu służących i niewolników czekało na jego najdrobniejsze skinienie, chociaż dwie nagie kobiety o oczach czarnych

jak węgle obserwowały ich z osłoniętej lektyki, którą niósł na grzbiecie jego słoń, on był w tej chwili sam ze swoim następcą.

– Mówię teraz jako król, Kserksesie. Wysłuchaj mnie. Nigdy nie złamałem danego słowa, ponieważ kiedy ktoś staje w polu przeciwko moim armiom, chcę, żeby ze strachem patrzył na swoich chwilowych sprzymierzeńców, zastanawiając się, czy go nie opuszczą w trakcie zaciętej bitwy. Pragnę, żeby wiedział z taką pewnością, z jaką zna swoje imię, że jeśli mi się podda, jeżeli poczuje w ustach piasek, lecz zaoferuje mi wodę w złożonych dłoniach, do końca świata będę go szanował jako sojusznika, porzuciwszy urazę i chęć zemsty. Ponieważ będzie on żywym przykładem mojej łaski. Rozumiesz?

Kserkses nieznacznie pokręcił głową. Zamknął oczy, gdyż wiatr wiał mu prosto w twarz, chłodząc powietrze, które przez cały dzień było nieznośnie gorące. W tym momencie ciszy i spokoju nagle to pojał. Jego oczy się otworzyły, a król Dariusz obdarzył syna szerokim uśmiechem, ujrawszy w nich błysk zrozumienia.

– Zaufanie, jakim cię obdarzają, ich osłabia – powiedział Kserkses głosem, w którym pobrzmiwała zaduma. – Oznacza to, że na nasz widok brat może stanąć przeciwko bratu, a przyjaciel przeciwko przyjacielowi. Ale jakie są tego koszty, ojcze? Koszty dla twojego honoru. Rezygnujesz z zemsty, czyż to nie jest zbyt wysoka cena?

– Nie. W moim imperium żyje czterdzieści ludów. Zamieszkują Medię, Asyrię, Lidę, Indie i niczym srebrzyste ryby w oceanie są pod jednym względem tacy sami: wszyscy są poddanymi mojego tronu, mojej korony. Gdybym był oszustem, kłamcą, walczyliby ze mną znacznie bardziej. A tymczasem ich przywódcy otrzymują ode mnie pałace i ziemie. Gdy nastają spokojne czasy, zapewne się zastanawiają, czy w ogóle zostali podbici.

– Pokonałeś ich bez wątpienia – rzekł Kserkses.

Jego ojciec pokiwał głową.

– Tak. I podobnie się stanie z tymi miastami, z tym „związkiem jońskim”. Oni spoglądają raczej ku swoim greckim przodkom niż w naszą stronę. Zapewne

wydaje im się, że przebywam zbyt daleko, aby dbać o to, co robią na skraju zachodnich mórz. Zdradzili, zwrócili się po pomoc do Aten, a te pachołki przysłały z Eretrii okręty oraz swoich hoplitów, aby splądrowali wybrzeże, mordowali i terroryzowali ludy, które należą do mnie. Mówią teraz o zrzucaniu jarzma, które na nich nałożyłem, o „zniewadze”, jaką jest dla nich nasze władanie. – Król się roześmiał, lecz w jego śmiechu nie było wesołości, a pochmurne oczy pozostawały ukryte za rzęsami. – Niszcząc nasz garnizon, Grecy podpalili trzcinowe dachy domów w Sardes. Ogień roznosił się szybko jak wiatr, aż pochłonął wszystko, nawet świątynię Kybele, Wielkiej Matki. Trudno to wybaczyć.

Król przez długi czas stał w milczeniu, wpatrując się w przestrzeń. Syn nie ośmielił się przerwać jego rozmyślań ani nie zaprotestował, kiedy ojciec ponownie położył dłoń na jego ramieniu.

– Szybko zaprowadzę porządek. Armie, które idą za mną, wkroczą do wszystkich miast związku jońskiego i wymierzą sprawiedliwość w takiej formie, jaką uznam za stosowną. Moi żołnierze odrąbią ręce mężczyznom, aby już nigdy więcej nie chwycili za włócznie czy miecze. Najpiękniejsze dzieci znajdą drogę na nasze targi niewolników. Starców wrzucimy w ogień. Czasami myślę, że to wręcz łaska dla tych, dla których życie byłoby brzemieniem. Widzisz? Nawet w rozpalonym piecu mojej złości można znaleźć mądrość. Nie jestem tyranem, Kserksesie. Ale kiedy ruszam w drogę, góry drżą w swych posadach, a ziemia trzęsie się bardziej niż pod stopami tysiąca innych królów. Zaznasz tego uczucia, synu, kiedy opuścę ten świat. Wszyscy ludzie są czyimiś niewolnikami, a wszyscy królowie są naszymi niewolnikami.

Na dźwięk tych słów twarz Kserksesa rozjaśniła się radością. Chłopak lewą ręką dotknął palców spoczywających na jego nagim ramieniu. Mądrość jego ojca pozwoliła zbudować imperium nadzwyczaj bogate i potężne. Król miał rację, że kłania mu się cały świat. Kserkses był przekonany, że nawet deszcz posłuchałby jego rozkazu, gdyby król zażyczył sobie, żeby natychmiast spadł na ziemię.

– I co z tymi Grekami, ojcze?

– Odpłynęli na swoich okrętach jak niewinne dzieciątka, lecz przedtem zmasakrowali moje garnizony. Są przekonani, że zrealizowali swoją misję. Ale się mylą! To dopiero początek! Jeszcze wyjdę im naprzeciw i spotkam się z nimi, kiedy tylko skończę to, co muszę zrobić tutaj.

Król zerknął przez ramię na szeregi żołnierzy swojej osobistej straży ubranych w białe płaszcze. Upał musiał im straszliwie doskwierać, stali jednak w bezruchu i w absolutnej ciszy, jakby wykuto ich w kamieniu. Ich dowódca wystąpił naprzód, padł przed królem na twarz i leżał na ziemi, osłaniając oczy dłońmi, jakby oślepiał go królewski majestat. Kiedy wstał, piasek oblepiał naoliwione elementy jego rynsztunku, przez co żołnierz wyglądał, jakby uczestniczył w bitwie. Dariusz uznał to za wspaniały omen.

– Podaj mi mój łuk, Datysie.

Broń została natychmiast wydobyta ze skrzyni i przygotowana do oddania strzału. Król przez chwilę czekał z wyciągniętymi rękami, następnie zważył ją w dłoniach. Łuk był niemal tak wysoki jak jego właściciel, błyszczał od oliwy, a promienie słońca odbijały się od złotych uchwytów.

– Strzała – rzucił Dariusz. Wziął do ręki jedną ze strzał i umieścił ją na cięciwie z wprawą kogoś, kto strzelanie z łuku ćwiczy codziennie od dzieciństwa. Mięśnie jego ramion, barków i klatki piersiowej się napięły i wypuścił strzałę. Spadła na ziemię po długim czasie, tam, gdzie zbocze góry przechodziło w równinę. – Posyłam tę strzałę jako obietnicę. – Kserkses usłyszał ciche słowa ojca. – Ahuro, pozwól mi ukarać Ateńczyków tak, jak na to zasługują.

Dariusz oddał łuk wodzowi i zgiętym palcem przywołał do siebie niewolnika, którego zadaniem było podawanie królowi kielicha z winem. Chociaż smukły mężczyzna służył mu przez dwadzieścia lat swojego życia i na złotym dworze zyskał pewien autorytet, bez wahania padł plackiem na ziemię, wyczuwając zły nastrój swojego pana.

– Mizarze, od dzisiaj stawiam przed tobą nowe zadanie. Wstań teraz i go wysłuchaj.

Eunuch podniósł się płynnym ruchem i stanął z opuszczonymi oczami przed uważnie wpatrującymi się w niego ojcem i synem. Jego jedwabna szata niezbyt dobrze zniosła spotkanie z piaszczystym gruntem. Kserkses się skrzywił, ujrawszy na niej plamy potu. Dla niechlujstwa nie było żadnego wytłumaczenia, zwłaszcza że całe zastępy niewolników czekały w pogotowiu, aby mężczyznę kąpać i zmieniać mu szaty tyle razy w ciągu dnia, ile tylko by zechciał. Jeśli Miszar był mężczyzną. Pewnego razu Kserkses kazał gwardzistom go przytrzymać, aby obejrzyć jego starą ranę i pomarszczony worek mosznowy, ciemny, jakby ktoś go obtłukł. Eunuch płakał wtedy jak kobieta. Byłoby jednak dziwne, gdyby niewolnik, który przecież rozumiał, że jego życie nie należy do niego, zachował chociaż odrobinę godności – w końcu godność była tak samo własnością jego panów jak praca jego rąk! Kserkses uważał, że ojciec daje niektórym swoim służącym zbyt wiele wolności, może dlatego, że towarzyszyli mu przez długi czas. On sam nie popełni tego błędu, kiedy nadejdzie jego pora. Uśmiechnął się do tej myśli.

– Miszarze – kontynuował król – będziesz podchodził do mnie każdego wieczoru, kiedy zasiądę do posiłku. Zakłócisz mój spokój bez obawy, że zostaniesz ukarany. I wypowiesz te słowa: „Panie, pamiętaj o Ateńczykach”. Zrozumiałeś?

Niewolnik próbował skinąć głową, chociaż drżał tak mocno, że Kserkses gotów był uznać go za chorego. Miszar również widział czarne ruiny Sardes. Nie wiedział jednak, jak król zareaguje na widok zgliszczy. Na jego jasnym czole pojawiły się krople potu i spłynęły ku kącikom umalowanych ust.

– Ja... tak... rozumiem, Wasza Wysokość. Stanie się, jak rozkazałeś.

– W rzecz samej. Jeśli o tym zapomnisz, wyrwę ci z tej ślicznej buzi język, który jest przecież moją własnością. A teraz odejź i znajdź dla siebie świeże jedwabie. Te, które masz na sobie, nadają się tylko do spalenia.

Eunuch skinął głową i odszedł, nisko pochylony. Kserkses popatrzył na ojca z wyczekiwaniem, widząc w nim groźnego wilka, pogromcę wszystkich nacji.

– A więc, synu – odezwał się król – nie zapomnę o długu, jaki mam wobec Greków. Nie spocznę, dopóki nie splączę go tysiąckrotnie. To mali ludzie, rozproszeni w wielu miejscach. Kupię od Fenicjan okręty i wysłę przeciwko Grekom część spośród moich leniwych zachodnich garnizonów. Gnieździ się w nich zbyt wielu pałacowych dowódców, Kserksesie, otyłych i ociężałych, wiodących łatwe życie. Mała kampania wyjdzie im na dobre. Być może zobaczę, jak moi Nieśmiertelni radzą sobie na otwartym morzu. Będę się dobrze bawił, chociażby oglądając Datysa zwracającego śniadanie przez burzę! – Roześmiał się ze swojego dowcipu, a jego ponury nastrój nagle prysnął. Popatrzył na syna, który zdołał wytrzymać jego wzrok. – Każ przygotować swojego konia. Kiedy znajdziemy się na równinie, chcę cię widzieć między zwiadowcami.

– Wolałbym...

– Ten widok sprawi mi radość, Kserksesie – dodał Dariusz łagodnie.

Chłopiec natychmiast skinął głową.

– Doskonale.

Ustaliwszy to, król się uśmiechnął.

– Dobrze. Ludzie powinni widzieć, jak dosiadasz konia. Kiedy zajdzie słońce, chcę zobaczyć, jak ucztujesz razem z dowódcami. Moi wodzowie i ja poczynimy plany ukarania jońskich miast, które już dygoczą ze strachu przed nami.

Chłopak jeszcze raz pokiwał głową. Miał nadzieję, że zachowa trochę czasu dla siebie, że nie będzie musiał wysłuchiwać poleceń ojca, dopóki wreszcie nie położy się spać. Wiedział jednak, że w końcu doczeka się nagrody za swoje posłuszeństwo. Chociaż nie potrafił sobie wyobrazić świata bez ukochanego ojca, zdawał sobie sprawę, że pewnego dnia to on zostanie władcą imperium. Zostanie królem, który zawróci chmury na niebie i przyćmi słońce, a swoimi czynami sprawi, że w imperium wspomnienie o jego ojcu zbladnie. Ta perspektywa poprawiała mu nastrój.

CZEŚĆ PIERWSZA

490 ROK PRZED NASZĄ ERĄ

1

Ksantyppos stał spokojnie, oddychając przez nos i półgłosem wydając rozkazy niewolnikom, którzy pracowali wokół niego. Trzej mężczyźni odpowiadali tylko lekkimi skinieniami głów, skoncentrowani na swoim zadaniu. Wszyscy od dzieciństwa służyli rodzinie jego żony. Nawiedziła go myśl, że Spartanin posiada aż siedmiu niewolników, których zadaniem jest przygotowanie go na wojnę. Pewnie Ateńczycy są bardziej wydajni i oszczędni. Ksantyppos ani się nie uśmiechnął, ani nie wypowiedział tej myśli na głos. Niecierpliwił się. Miał trzydzieści osiem lat i dobrze wiedział, że dzisiaj może umrzeć.

Nie słyszał już zgiełku panującego w mieście, wątpił jednak, by atmosfera się uspokoiła. Dom jego żony był wielki, to była prawdziwa posiadłość z gajami oliwnymi i figowymi. Dziedziniec, gdzie Ksantyppos kompletował uzbrojenie, znajdował się w samym jej środku, daleko od murów zewnętrznych, których nie powstydzilaby się żadna twierdza. Kolumny z białego kamienia wytyczały granice przestrzeni, nad którą górowało błękitne niebo. Panował tutaj spokój, wszelki tumult i strach przed wojną wydawały się bardzo odległe. Spokojne serce posiadłości otaczały pomieszczenia położone na dwóch piętrach. Brama w zewnętrznym murze otwierała się na drogę do Eleuzis, na północny zachód od Aten.

Ksantypposa zbudziły dzisiaj krzyki, które rozległy się w ciemnościach na długo przed wschodem słońca. Z domu pchnięto posłańców na agorę, gdzie stały brązowe posągi bohaterów reprezentujących dziesięć ateńskich fyl. Członkowie areopagu ułożyli pod postumentami zwoje cienkiego papiirusu. Niewolnicy stali

z pochodniami, służąc pełgającym światłem każdemu, kto go potrzebował. Wezwano każdą fyle, wiadomości dotarły do każdego demu w mieście i okolicach. Nadciągało to, co w Ateńczykach budziło przerażenie.

Ksantyppos odchrząknął, gdy niewolnicy nakładali mu nagolenice. Dopasowane do kształtu jego nóg, nie wymagały podtrzymujących pasków ani rzemieni; tkwiły na miejscu dzięki naturalnej sprężystości metalu. Lśniły, jakby wykonano je ze złota, nabłyszczone tą samą świętą oliwą, którą wtarto już mu w kończyny.

– Poczekajcie – powiedział.

Niewolnicy się cofnęli, a on wykonał wypad do przodu, imitując ruchy z pola walki. Nagolenice dobrze się trzymały i skinał głową. Gdy znów się wyprostował, jeden z niewolników stanął za nim, żeby odpowiednio ułożyć spódniczkę z białego płótna. Uda musiały pozostać odkryte. Jedną sprawą było bieganie i ćwiczenie nago w gorące letnie dni, a inną udział w walce. Ksantyppos nauczył się od ojca, jak bardzo użyteczny może być kawałek materiału, kiedy oczy zalewa pot lub krew.

Wciąż z nagim torsem zmierzył wzrokiem napierśnik, który mu pokazano. Jego wewnętrzna warstwa wykonana była z rozjaśnionego płótna, grubego i mocnego. Zewnętrzną stronę pokrywały duże, ciężkie łuski z brązu. Wiedział, że kiedy wymaszeruje z Aten, będzie je czuł przy każdym kroku. Lecz pomimo sporego ciężaru i niebotycznej ceny napierśnik był jego drugą, wojenną skórą. Część strategów wolała nosić po prostu twarde płyty z brązu lub ze skóry. On nie lubił jednak związanych z tym ograniczeń. Widział już mężczyzn, którzy nie byli w stanie zasznurować sandałów, nie zdjęwszy wcześniej takiego napierśnika, bezradnych wtedy jak ryby wyrzucone na brzeg. Łuski pozwalały na bardziej elastyczne ruchy. Podobnie jak nagolenice, napierśnik dopasował dla niego najlepszy mistrz kowalski. Poza tym brąz był ciepłym metalem, miłym w dotyku. Lubił go czuć.

Znowu pokiwał głową i mruknął coś pod nosem, kiedy wkładano mu zbroję. Przytrzymały ją dwa rzemienie przerzucone przez ramiona i popręg wokół

pasa. Mniejsze skrzydła zwisały nad kroczem, chroniąc grube żyły udowe. Kiedy Ksantyppos wznosił miecz, wróg mógł dojrzeć tylko nagolenice z brązu, okrągłą tarczę i hełm – człowiek wydawał się w pełni zakuty w metal o złotej barwie. To uspokajało Ksantypposa jako żołnierza. Jego ręce powinny mieć zupełną swobodę ruchów, więc na wszelki wypadek kilkakrotnie zacisnął i rozluźnił pięści, po czym zrobił szeroki wymach ramionami, aby się co do tego upewnić.

Jego nabijane ćwiekami sandały starannie zawiązano, a on sam założył przepaskę na czoło. Miękki materiał miał zbierać spływający pot i łagodził nacisk hełmu na czaszkę. Serce zabiło mu szybciej, kiedy inni niewolnicy przynieśli broń i resztę wyposażenia hoplity. Nie zakupiła ich dla niego bogata rodzina jego żony, Alkmeonidzi, których korzenie sięgały czasu przygód opisywanych przez Homera w *Iliadzie*. Nie, sprzęt nosił ślady wielu lat używania, widoczne były na nim rysy, wgniecenia, a na części nosowej hełmu nawet ślady napraw. Każda część jego zbrojnego wyposażenia kiedyś uratowała mu życie. Ksantyppos popatrzył na tę kolekcję z dumą i czułością jak człowiek, który ma ochotę pogłaskać ulubionego psa.

– Gdzie moja tarcza? – zapytał.

Okrągłego hoplonu jeszcze mu nie przyniesiono. Niewolnicy spojrzeli na najstarszego pośród nich, od niego oczekując odpowiedzi. Manias najpierw skłonił głowę, a potem odezwał się głosem znacznie poważniejszym niż przez cały dzisiejszy dzień:

– Pani zapragnęła ci ją zademonstrować.

– Rozumiem. Agarysta kazała ją odmalować.

Choć słowa Ksantypposa nie zabrzmiały jak pytanie, Manias skłonił głowę jeszcze niżej i zaczerwienił się pod zimnym spojrzeniem pana. Jako niewolnik służył w posiadłości Alkmeonidów na różnych stanowiskach od dnia, w którym pani pojawiła się na świecie. Bezgranicznie oddany Agaryście, był jedynym, który nosił ją na ramionach, kiedy była małą dziewczynką. W tej chwili jednak nie miało znaczenia, jak różnią się pozycje obu mężczyzn w tym domu. Istotna była wiadomość, jaką Manias przekazał swojemu panu, nie używając słów.

Ksantyppos milczał; ogarnęła go tak wielka złość, że świadomi jej niewolnicy stali z niepewnymi minami, kiedy oglądał włócznię, szukając na drzewcu zadrapań. Gdy nie znalazł żadnego, pod wpływem impulsu machnął na nich ręką, żeby się odsunęli, po czym błyskawicznie zakreślił bronią nad głową, aż powietrze ostro zaświszczało. O połowę wyższa od Ksantypposa włócznia była doskonale wyważona, zakończona brązowym grotem, który młodzi efebowie nazywali zabójczą jaszczurką. Długie drzewce z macedońskiego jesionu doskonale leżało w ręku. Broń była pieczołowicie wykonana, owoc wytrwałej pracy najlepszych rzemieślników. Ksantyppos już zabijał tą włócznią. Dobrze się czuł, znowu trzymając ją w rękach.

Przesunął dłonią po pióropuszu z końskiego włosia przy hełmie. Nie było w nim nawet pyłku, gęste włosie było nowe i starannie przycięte. Zadowolony położył hełm u stóp i wyciągnął z pochwy miecz. Sprawdził, czy na ostrzu nie ma jakichś niedoskonałości. W pewnych sprawach nie można ufać niewolnikom, nawet najbardziej doświadczonym. O miecz doskonale dbano, odkąd ostatnio posłużył się nim w imieniu miasta. On także lśnił od oliwy, nie nosił najmniejszego śladu rdzy. Po chwili pochwę z mieczem i pas zapięto i Ksantyppos w pełnej zbroi poczuł się znacznie cięższy.

Z ocienionego perystylu otaczającego dziedziniec omiatany promieniami słońca wyszła Agarysta. Choć szczupła i drobna, dobrze radziła sobie z tarczą – najcięższym i najważniejszym elementem wojennego wyposażenia męża. Brązowy hoplon przykryty był białym materiałem. Ksantyppos domyślał się, co się pod nim kryje.

– Zostawcie nas – szepnęła kobieta do niewolników.

Natychmiast zniknęli w mrocznych zakamarkach. Nigdy się jej nie sprzeciwiali. Ten dom należał do niej, a wcześniej do jej ojca. Jej wuj, Klejstenes, zwykł stawać w tym samym miejscu, w którym teraz znajdował się Ksantyppos. To on przywrócił demokrację w Atenach, wybrał nazwy dla ich dziesięciu fyl. Agarysta pochodziła ze sławnej rodziny, a jej mąż czasami czuł na barkach związany z tym ciężar, wiedział jednak, że pokochała go szczerze już jako

młodziutka dziewczyna. Związała się z nim w zielonej wiośnie swojego życia. Wzięli ślub, kiedy ona miała szesnaście lat, a on trzydzieści. Od tego dnia minęło osiem lat i w tym czasie awanse Ksantypposa w dużej mierze wynikały z poparcia jej rodziny. Lecz Agarysta, poślubiając dojrzałego mężczyznę, sama dopiero rozkwitała i wciąż bała się jego niezadowolenia. Wiedział, że jednym gniewnym słowem może ją doprowadzić do łez. Także teraz w jej ruchach dało się wyczuć obawę, wręcz przerażenie, że mężowi może się nie spodobać to, co uczyniła.

– Zatem pokaż mi ją – powiedział.

Trzymał włócznię w prawej ręce, a w stronę żony wyciągnął lewą dłoń z rozpostartymi palcami.

W milczeniu, zagryzając dolną wargę, Agarysta pozwoliła tkaninie opaść na posadzkę.

Gdy tylko Ksantyppos usłyszał, że żona przemalowała jego tarczę, spodziewał się ujrzeć na niej jakiś motyw z lwem. Koszmary, w których występował lew, dręczyły bowiem Agarystę od lat, zakłócając jej noce. Dziesiątki razy opowiadała mu ich szczegóły. W jego odczuciu na pewno nie miały znamion przepowiedni. Za każdym razem słuchał jej cierpliwie, a później ją uspokajał, lecz nie sądził, aby bogowie chcieli przekazać jego młodziutkiej i niedoświadczonej żonie prawdziwą wizję przyszłości. Uważał, że koszmary w jej głowie powstają z troski o niego albo o dzieci. Nie był jednak w stanie opanować dreszczu, który przebiegł mu po grzbiecie, kiedy zobaczył, że na tarczy nie ma już starego wzoru. Do tej pory wymalowane oko wpatrywało się w każdego wroga, z którym walczył, ale teraz go nie było, a tarcza sprawiała wrażenie ślepej.

– Jest przepiękna – powiedział.

– Podoba ci się? Naprawdę? – Agarysta popatrzyła mężowi prosto w oczy. – Nie. Wcale ci się nie podoba.

– Jest bardzo piękna – powtórzył całkiem szczerze.

W rzeczy samej artysta naprawdę się postarał. Lew jakby chciał wyskoczyć z tarczy, jego głowa, obnażone kły i widoczna wściekłość mogły budzić

przerażenie. Wizerunek był niemal doskonały, lecz Ksantyppos wolałby widzieć na swojej tarczy dawne szeroko otwarte oko, równie czujne w walce jak on sam.

– We śnie urodziłam lwa – odezwała się Agarysta, chcąc strumieniem słów przerwać ciszę. – Początkowo myślałam, że lwem będzie moje dziecko. Bo skoro byłam brzemienna, jakież inne znaczenie mógł mieć mój sen? Ale kiedy popatrzyłam na twoją tarczę, pomyślałam... że może to ty masz być tym lwem? Chyba mogę się przyczynić do tego, że mój Ksan zostanie lwem Aten?

– Dzisiaj nie mogę ci powiedzieć, która interpretacja jest prawdziwa – odparł.

Rozmowa wymagała od niego więcej skupienia, niżby chciał jej poświęcić. Wobec czekającej go bitwy, trzymając w rękach broń, potrzebował spokoju, koncentracji i ciszy. Tymczasem Agarysta zarzucała go słowami, rozbijając tę zimną nieustępliwość, którą pragnął w sobie utrzymać. Sytuacja go krępowała.

W zasięgu wzroku nie miał niewolników, chociaż wiedział, że się pojawiają, kiedy tylko ich zawoła.

– Agarysto... to, co nastąpi dzisiaj...

– Ach! Dzieci! Muszę je przyprowadzić, żeby cię pożegnały.

– Nie...

Ona jednak już zniknęła; zrobiła ledwie kilka kroków i został sam pod błękitnym niebem, w jaskrawych promieniach słońca, które unosiło się ponad horyzont. Nagle nabrał ochoty, aby jak najszybciej stąd odejść. Już miał opuścić dziedziniec, gdy usłyszał głosy dzieci. To one sprawiły, że zatrzymał się w pół kroku, jakby natrafił na zaporę z cierni.

Jego syn, Aryfron, miał siedem lat, a postępująca za nim siostra, Eleni, sześć. Szli w kierunku ojca jak dwie gąski, z podziwem patrząc, jak błyszczą oliwą i złotem niczym bóg. Agarysta trzymała za rękę najmłodszego, pięcioletniego synka, który wydawał się bliski łez.

Ksantyppos odłożył włócznię i przyklęknął.

– Podejdźcie do mnie, moje maleństwa. Ty także, Peryklesie, nie bój się. Chodźcie do mnie.

Cała trójka do niego podbiegła. Uderzali pięstkami w napierśnik ojca, gładzili dłońmi elementy zbroi z brązu. Patrzyli na niego z podziwem szeroko otwartymi oczami.

– Będziesz zabijał Persów? – zapytał Aryfron.

Ksantyppos obdarzył najstarszego syna uważnym spojrzeniem i pokiwał głową.

– Wielu. Setki.

– Przyjdą tutaj, żeby nas zabić?

– Nigdy. Każdy Ateńczyk przygotowuje się teraz, żeby wyjść im naprzeciw. Pozałują, że kiedykolwiek stanęli na naszej ziemi.

Ku jego irytacji Eleni niespodziewanie zaczęła łkać. Najpierw zmarszczyła twarzyczkę, a następnie z jej gardła wydobył się szloch i dziwny, nadzwyczaj głośny skowyt. Ksantyppos się skrzywił i pozałował, że dopuścił do takiej sytuacji.

– Zabierz siostrę i brata do kuchni, Aryfronie – powiedział. – Znajdź im trochę owoców albo daj cokolwiek, czym akurat dysponuje kucharz. Zrobisz to dla mnie?

Najstarszy syn poważnie skinął głową, pojmując, że otrzymał właśnie bardzo ważne zadanie. Ksantyppos nie zdołał powstrzymać dzieci, które znowu się ku niemu rzuciły i jeszcze raz go uściskały, po chwili jednak odeszły, prowadzone przez Aryfrona.

Agarysta pochyliła się, żeby podnieść włócznię. Dziwnie wyglądała w jej dłoniach, więc Ksantyppos szybko odebrał ją żonie. Zbyt wielu złych znaków już dzisiaj doświadczył, w tym płaczu swoich dzieci. Stracił oko z tarczy i nie chciał dopuścić, żeby Agarysta przypadkowo upuściła jego włócznię; bał się, co taki wypadek mógłby dla niego oznaczać. Zamknął dłoń na jej rękach i poczuł jej ciepło oraz zapach perfum, których używała, zmieszanej woni róż, lawendy i piżma. Dotarła silną falą do jego nozdrzy, a Ksantyppos zastanowił się przelotnie, czy nie poczuł właśnie zapachu słodkich olejków własnego stosu pogrzebowego.

- Agarysto, jeżeli przegramy...
- Nie mów tak, Ksanie, bo sprowadzisz katastrofę. Proszę cię.
- Muszę to powiedzieć. I upewnić się, że mnie rozumiesz.
- Proszę...

Przyszło mu do głowy, że Agarysta zaraz się odwróci i ucieknie. Poczł niespodziewany przyływ złości. W pewnym sensie jego żona wciąż była niewinną dziewczynką. Ścisnął jej nadgarstek na tyle mocno, że krzyknęła z bólu.

- Jeżeli przegramy i oni tutaj przyjdą, będziesz musiała zabić dzieci.
- Nie zdołam tego zrobić – wyszeptła.

Nie patrzyła na niego i niemal odruchowo zaczęła wykręcać rękę, aby wyswobodzić się z jego uścisku. On jednak mocniej zacisnął dłoń, nie zważając na to, że po policzkach żony pociekły łzy.

– Jesteś panią tego domu, Agarysto. I zrobisz to. Jeżeli sama nie zdołasz wznieść ostrza, przekazesz je Maniasowi. Czy muszę ci mówić, co Persowie robią z pojmanymi dziećmi? Mam ci ze szczegółami o tym opowiedzieć? Oni są zarazą tego świata, Agarysto. Widziałem na własne oczy rezultaty ich... postępowania. Widziałem zwłoki. Jeżeli przegramy, uczynią z Aten przykład dla innych. Miasto zginie i nie będzie tu bezpiecznego miejsca. Ta bitwa będzie inna od wojen z przeszłości, kiedy Spartanie stanęli pod Akroplem albo kiedy wystąpili przeciwko nam tesalscy jeźdźcy. Jesteśmy Grekami i znamy wojnę, jej ograniczenia, wiemy też, kiedy one znikają. Persowie... są zbyt okrutni, kochanie. I jest ich bardzo wielu, są niczym ziarnka piasku. Jeżeli zwyciężą, musisz ocalić dzieci i siebie przed nieuchronnym.

- Jeżeli taki jest twój rozkaz, mężu, postąpię zgodnie z twoją wolą.

Agarysta skłoniła głowę, ale kiedy spojrział jej w oczy, nie miał pewności, czy powiedziała mu prawdę. Jej rodzina od wieków była bogata i potężna. To dawało tej młodej kobiecie wielką pewność siebie, a także wiarę, że można przetrwać bez uszczerbku nawet najtrudniejsze chwile. Dostrzegł to teraz w oczach żony. Mógł się tylko modlić – do Aresa, do Zeusa, do Hery, bogini małżeństwa – aby

nadchodzące wydarzenia oszczędziły Agarystę, żeby nigdy nie musiała się przekonać, na jak kruchych podstawach spoczywa znany jej świat.

Po chwili ją pocałował, bez uczucia, po prostu na pożegnanie, lecz pocałunek ten stanowił też obietnicę.

– Jeżeli zdołam, wrócę do domu – powiedział.

Nie dodał, jak nikła jego zdaniem jest na to szansa. Ci Grecy, którzy uważali, że zwyciężą w tej bitwie, nigdy nie widzieli perskich armii. Były niczym czarna szarańcza w Jonii, choć porównanie to odzwierciedlało tylko niewielką część ich grozy. Ksantyppos walczył już przeciwko nim, wspierając rodaków, którzy pragnęli jedynie wolności. Był świadkiem okrucieństwa, jakiego Persowie dopuszczali się na niewinnych ludziach. Rzadko przesypiał noc, nie ujrawszy we śnie jakiegoś obrazu z tamtych czasów. Lekarz żony powiedział mu, że koszmary po kilku latach znikną, ale teraz się wydawało, że Ksantyppos nie będzie już miał tyle czasu. On, który widział płonące Sardes, musiał pójść na wojnę, która będzie się toczyć na greckiej ziemi.

Wziął hełm i mocno go nasunął. Włosy spiął w kok, który miał osłabić ewentualne uderzenie w głowę. Wyściółka hełmu była tak stara, że natychmiast wyczuł smród własnego potu i zjełczałej oliwy. Widok przesłaniała mu poprzeczna przegroda, szeroka jak rękojeść miecza. To przywoływało wspomnienia złych momentów, w których miał ten hełm na głowie, i zaczął go ogarniać ponury nastrój. Niemal z czcią chwycił włócznię i tarczę, mocno zaciskając dłonie na drzewcu i uchwycie. Ludzie, którzy zgromadzą się dzisiaj na placu przy gaju Akademos, złożą ofiarę z krwi. Jako jeden z najstarszych członków eklezji, zgromadzenia, zapewne zostanie wybrany, aby to właśnie on zarznął barana, którego poświęcą bogom, żeby sprzyjali w walce Ateńczykom. A jeśli nawet nie będzie mu dane zabić barana, to z pewnością będzie zabijał ludzi.

– Wrócisz do domu – powiedziała niespodziewanie Agarysta. – W chwale, z tarczą noszącą wizerunek lwa. Widzę to w głowie, Ksan. Widzę to w tej chwili.

W hełmie nie mógł jej znów pocałować, ale żona go objęła, tuląc się do jego zbroi. Za jej plecami zaczęli się gromadzić niewolnicy i służba. Około pięćdziesięciu osób porzuciło obowiązki, aby zobaczyć, jak ich pan wyrusza na wojnę. Kucharze i starsi ogrodnicy przyklękali, kiedy ich mijał. Stajenni jak urzeczeni wpatrywali się w mężczyznę lśniącego złotem i brązem, który wkrótce będzie walczył za nich i za ich miasto.

Za murami posiadłości, w pełnym słońcu, droga wydawała się zaskakująco spokojna. Ksantyppos spodziewał się tłumów usiłujących opuścić miasto. Mieszkańcy chyba jednak zrozumieli to, czego nie pojmowała jego żona. Nie ma dokąd uciekać. Persowie już wylądowali. Jeżeli nie zostaną zepchnięci z powrotem do morza, będzie to oznaczało koniec Aten.

Podziękował mrukliwie stajennemu za przyprowadzenie konia. Skinął głową dwóm młodzikom, którzy mieli biec przy nim aż na miejsce zbiórki. Ksenias i Teos byli wolnymi ludźmi, lecz kupili sobie tę wolność ciężką pracą i licznymi umiejętnościami. Oni także mieli poważne miny, ale nie wiadomo dlaczego, Ksantyppos dostrzegł w nich fałsz i zło. W bramie spokojnie stanęli jego żona i niewolnicy, odprowadzając go wzrokiem. Oczywiście patrzyły za nim także jego dzieci. Ich głowy widoczne ponad murem posesji przywodziły na myśl główki sówek. Ksantyppos skinął Aryfronowi. Można było odnieść wrażenie, że wszystko wciąż toczy się zwykłym rytmem.

Z drugiej strony drogi rozpościerała się ciemna zatoka. Ksantyppos czuł zbliżającą się ciszę, powinna ich otoczyć już za kilka chwil. On i dwaj młodzieńcy byli gotowi, aby zaraz na dobre opuścić posiadłość i udać się tam, gdzie gromadziła się armia, która miała rozbić wroga albo zostać przez niego rozbita.

Musiał już ruszać, zostawić rodzinę. Strach i powaga sytuacji ciążyły mu bardziej niż zbroja. Podał chłopakom tarczę i włócznię, po czym wskoczył na konia i ściągnął wodze. Ksenias i Teos ustawili się obok, lśniący oliwą i świeżym potem. Kiedy odwrócił się plecami do tych, których kochał, zaczęły za nim

nawoływać dzieci. Moc ich wysokich głosików słabła z każdym krokiem konia. Ksantyppos nie obejrzał się ani razu.

2

W gaju Akademosa powstał gimnazjon dla młodych wojowników z miasta. Kiedy go wybudowano wokół świętego gaju dwunastu drzew oliwnych, był niezwykle piękny, z posągami i malowniczą trasą do biegania wytyczoną wzdłuż brzegów rzeki. Przez kolejne sto lat nie dbano o niego należycie, dlatego spomiędzy lśniących kamieni jego murów wyrastały teraz gęste mchy i paluszki. Do pozbawionego opieki gaju i na chodniki powróciła glina, gdzieś rosnęła zielska. Obecnie stanowił symbol beznadziei i Ksantyppos, zmierzając na miejsce zbiórki, spode łba patrzył na te zabudowania. Jego dwaj towarzysze biegli obok konia długimi susami. Wyczuwali jego nastrój i sami mieli ponure miny.

Serce zabiło mu żywiej, kiedy za gajem Akademosa zobaczył zgromadzone wojsko. Jedynie bogowie i Spartanie potrafili szybciej wyprawiać się na wojnę niż jego rodacy. Chociaż dochodziło za ledwie południe, dostrzegł flagi wszystkich dziesięciu ateńskich fyl. Z łatwością wypatrył własną, Akamantis. Znał imiona wielu mężczyzn spośród tysiąca tych, którymi miał dowodzić, a rozpoznawał niemal wszystkich z Cholargos, demu, w którym mieszkał. Dem wystawiał stu żołnierzy i każdy z nich z kolei dobrze znał Ksantypposa.

Powitał swoich ludzi, klaszcząc w dłonie w trakcie przemarszu przed ich szeregami, i zatrzymał się na chwilę, aby zamienić kilka słów z tymi, których uważał za przyjaciół. Wszyscy mieli hełmy, napierśniki i nagolenice. Wraz z mieczami, włóczniami i tarczami koszt wyposażenia każdego żołnierza niemal

dorównywał jego rocznym dochodom. Większość jednak odziedziczyła swoją broń i zbroję po przodkach lub zdobyła je na polu walki.

– Oto i on! – rozległ się głos, który Ksantyppos dobrze znał.

Epikleos przebywał w Jonii od czasu kampanii przeciwko Sardes. Był bardzo bogaty, lecz jego rodzina wzbogaciła się na handlu oliwą i figami, a nie dzięki łupom wojennym. Jako jeden z czterech braci wyciągnął w losowaniu najkrótszą słomkę, jak sam opowiadał, i po prostu został zmuszony do zajęcia się wojowaniem zamiast czymś bardziej interesującym, na przykład polityką albo pisaniem poezji. W rzeczy samej Epikleos był w tym wojennym tańcu jednym z najlepszych wojowników, jakich Ksantyppos kiedykolwiek spotkał. Na pewno nie został stworzony, by wieść żywot handlarza albo liczyć sylaby metrum. Wspólne z nim ćwiczenia pozwoliły Ksantypposowi ocalić życie w ferworze bitew, i to nie raz.

– Podoba mi się twoja tarcza – powiedział Epikleos. – Lew jest lepszy od tego martwego oka, które zdobyło ją wcześniej. To dzieło Agarysty, prawda?

Ksantyppos się zaczerwienił.

– Tak, śniły się jej lwy. – Szybko zmienił temat rozmowy: – A tutaj co nowego?

Jego przyjaciel wciąż się nacierał oliwą i prężył mięśnie. Nosił napierśnik z brązu, akceptując niedogodność wiążącą się z jego ciężarem, w zamian za wspaniałe blaski i majestat, które sprawiały, że mężczyzna wyglądał jak Herakles w kwiecie wieku. Albo, jak podejrzewał Ksantyppos, w zamian za to, że z zazdrością spoglądali w jego stronę młodszy wojownicy. Epikleos potrafił być zaskakująco próżny. A przecież kiedyś nosił za Ksantypposem włócznię jako chłopiec podążający śladem swojego bohatera w zbroi z brązu. Teraz ze zdziwieniem dostrzegł zmarszczki wokół jego oczu.

– Na razie krążą bez celu jak dzikie pszczoły – odparł Epikleos i ruchem głowy wskazał na plac.

Ksantyppos popatrzył w tamtym kierunku. Ogromny kamienny ołtarz otaczało mnóstwo mężczyzn w zbrojach. Ich hełmy z pióropuszcami leżały na ziemi,

podobnie jak tarcze i miecze. Natychmiast wyłowił z tłumu rozeźmianego Temistoklesa, który wyróżniałby się w każdej grupie, być może ze względu na bujne jasne włosy zebrane na karku w długą kitę. Ksantyppos pomyślał, że w Temistoklesie z rozpuszczonymi włosami Agarysta bez wątpienia dostrzegłaby podobieństwo do swojego lwa.

Obok Temistoklesa stał mężczyzna, którego Ksantyppos szanował najbardziej, a którego, o dziwo, przeoczyć było znacznie łatwiej. Arystydes, podobnie jak Temistokles, był jednym z ateńskich przywódców, zachowywał się jednak znacznie spokojniej, a jego słowa zawsze były bardziej wyważone. Mężczyźni wyciągali szyje, kiedy Arystydes zabierał głos w trakcie zgromadzenia, i uważnie go słuchali. Mówiło się, że Temistokles poderwie armię do śmiałego ataku, lecz to Arystydes wytyczy jego kierunek. Ateńczycy cenili obu mężczyzn, plotka jednak głosiła, że oni sami niespecjalnie za sobą przepadają.

Niewolnicy i gońcy truchtali do ołtarza i z powrotem, Ksantyppos pokiwał głową, pojawiwszy, co miał na myśli Epikleos, mówiąc o dzikich pszczołach. Dostrzegł, że poszczególne fyle wciąż formują szeregi, przygotowując się do wymarszu. Przełknął ślinę, poczuwszy nagłą suchość w gardle.

– Wody! – zawołał.

Jeden z mijających go chłopców zatrzymał się i wcisnął mu do rąk skórzany bukłak. Gdy pił, ścianki naczynia zaczęły się zapadać; miał wrażenie, że woda, ciepła jak krew, przepływa po prostu przez całe jego ciało. Dziesięć tysięcy Ateńczyków w zbrojach z brązu składało się na imponującą armię. Wydawało się, że jest ich nadzwyczaj dużo – ludzi, których należy wyekwipować, żywić i poić – lecz zarazem stanowczo zbyt mało w stosunku do potrzeb.

– Co ze Spartanami? – zapytał, odrzuciwszy bukłak. – Przybędą?

Epikleos pokręcił głową z ponurą miną.

– Słyszałem, że obchodzą właśnie jedno ze swoich świąt, a podobno w święta nie mogą maszerować.

– Więc może powinniśmy zaczekać?

Epikleos parsknął śmiechem, w którym można było jednak usłyszeć nutę goryczy.

– Owszem, bardzo by im się spodobało, gdyby Ateńscy na nich zaczekali. Nie wolno nam pójść na wojnę bez ich zgody, nie wolno nam ruszyć, jeżeli Spartanie nie będą nas trzymali za rękę? Na Atenę, nie! – Zauważył sceptyczną minę Ksantypposa i pokręcił głową. – Przybyło tysiąc Platejczyków, popatrz na nich i na ich wodza Arymnestosa. Czy to dziwne? Ocaliliśmy ich, kiedy groziła im klęska. Dobrzy ludzie pamiętają o swoich długach i spłacają je, kiedy tylko mogą to zrobić. Dobrzy ludzie z Platejów! – Uśmiechnął się, ale zaraz na jego twarzy pojawił się gorzki grymas. – Mamy jeszcze wielu dłużników, którzy jednak dzisiaj nie pamiętają o długach. Nikt więcej nie stanie do walki razem z nami. Wiemy, z kim przyjdzie nam się zmierzyć. Ale nasi zwiadowcy już wrócili i wcale nie są przerażeni. – Ostatnie słowa wypowiedział ze śmiechem na użytek wszystkich słuchających go w tej chwili. Wesołości nie było widać jednak w jego oczach. – Persowie już wylądowali – ciągnął, pochyliwszy się do ucha Ksantypposa. – Jest ich dwadzieścia, może trzydzieści tysięcy i mniej więcej tyle samo wioślarzy. Powiadają, że na przeciwległym brzegu Eretria wciąż płonie, że już właściwie jej nie ma. Nie, Ksan, musimy ruszyć dzisiaj. Musimy na nich uderzyć, zanim posuną się dalej w głąb lądu. Zanim wzniosą fortyfikacje. Mamy dzisiaj jedyną szansę, żeby ich zepchnąć z powrotem do morza. Nie możemy więc czekać na Spartan. Niech przybędą, kiedy już zwyciężymy. Z przyjemnością ujrzę wówczas ich miny!

– To oznacza, że Persowie nie mają jazdy – zauważył Ksantyppos.

Epikleos pokręcił głową.

– Sprowadzają już konie z okrętów.

Mężczyźni wymienili spojrzenia pełne niepokoju. Każdy żołnierz idący w szyku bojowym do walki przy dźwiękach fletów i bębnow wybijających rytm wiedział, że przeciwników na koniach należy się obawiać. Byli po prostu zbyt szybcy.

– Gdzie wylądowali? Jak daleko stąd? – zapytał Ksantyppos. Czuł, że serce bije szybciej – nie z podniecenia czy ze strachu, lecz... zniecierpliwienia. Wkrótce pomaszeruje do boju ze swoimi żołnierzami, z dziesięcioma tysiącami hoplitów. Stanowili wojskową elitę Aten. Nie zawiodą.

Epikleos wbił w ziemię ostrze włóczni.

– Na równinie, gdzie rośnie koper. Myślę... – Umilkł, gdy archont, najwyższy rangą strateg, skrzyknął zebranych.

Miltiades miał gęstą brodę i nosił obszerny płaszcz z błyszczącymi żelaznymi guzami. Bardziej przypominał człowieka Wschodu niż Greka. Miał silne ramiona porośnięte gęstymi czarnymi włosami i pięści jak główki maczug. Trudno było go sobie wyobrazić w roli czułego kochanka. Jego ręce zostały stworzone, by miażdżyć i dusić.

Temistokles i Arystydes prowadzili dwie fyle w środku szyku i byli jego podwładnymi. Jako archont Miltiades dowodził w walce hoplitami z Platejów i wszystkimi dziesięcioma strategami ateńskimi. Zajmował miejsce na lewym skrzydle kolumny, którego główną siłę stanowiła jego własna fyle. Ksantyppos przełknął ślinę. Fyle Akamantis też miała walczyć właśnie tam. Wszyscy znali towarzyszy po obu bokach, czy to ze szkolenia wojskowego, czy to z zajęć zawodowych i ze zgromadzenia. Wszyscy dzierżyli tarcze z emblematami swoich domów i przodków. Nikt nie mógł uciec z pola walki, obserwowany przez te wszystkie znajome twarze i przez duchy poprzedników. Nikt nie mógł zbiec, obserwowany przez ludzi z Platejów! Nikt nie mógł dopuścić, żeby później rozpowiadano w całej Helladzie o tchórzostwie Ateńczyków. Dlatego właśnie – aby w decydującej chwili nie stchórzyć – wszyscy nieustannie wprawiali się w boju, w tysiące poranków budowali swoją sprawność w gimnazjonach. Aby w dniu takim jak ten być przygotowanym do walki.

Przy ołtarzu Miltiades przełożył nogę przez grzbiet wielkiego czarnego barana i złapał go od tyłu za łeb, mimo że zwierzę z całej siły się opierało. Ksantyppos obserwował, jak ludzie zwijają z kamiennej posadzki bezcenne mapy i w ich miejsce ustawiają misy z brązu, które wkrótce miały wypełnić krew i wątroba

barana. Dwaj wróżbici byli już gotowi, aby odczytać przyszłość. Na placu zapadła cisza, dało się słyszeć jedynie łopot chorągwi na wietrze.

Energicznym ruchem Miltiades poderznął baranowi gardło. Zwierzę, z którego natychmiast zaczęło uciekać życie, kopało w spazmach ołtarz i gwałtownie biło racicami w posadzkę, przez co drżały misy. Temistokles podszedł, aby wspomóc archonta podczas obrzędu. Zacisnął dłonie na ciele barana i skierował strumienie krwi prosto do mis. Po chwili dwaj wojownicy długim, sprawnym cięciem otworzyli zwierzęciu brzuch. Krew zabrudziła ich dłonie aż po łokcie i trysnęła im na twarze. Wróżbici dokończyli dzieła, wycinając lśniąca wątrobę i umieszczając ją w misie. Starszy z nich miał teraz uważnie ją obejrzeć.

– Będzie zachwycony – mruknął Epikleos. – Nigdy dotąd nie widział tak dobrego znaku od bogów.

Gdy tylko wypowiedział te słowa, główny kapłan Aten wskazał jakiś fragment wątroby i się rozpromienił. Grupa wodzów zareagowała wyraźnym zadowoleniem, a Ksantyppos pokiwał głową, chociaż był zły na przyjaciela za brak szacunku dla powagi chwili. Drwiny w takich momentach były wysoce niestosowne. Zaraz znowu sobie przypomniał, że stracił oko na tarczy. Niespodziewanie dla samego siebie zaczął się modlić do Apollina, aby miał go w opiece. Myśl o tym, że sam mógłby utracić wzrok, napełniała go większym strachem niż śmierć. Być może dlatego, że potrafił sobie wyobrazić własną ślepotę, natomiast śmierć była zjawiskiem, którego nie mógł objąć umysłem.

Miltiades zaintonował modlitwy. Wszelkie rozmowy na placu znów ucichły, gdy zaczął wygłaszać przysięgę ateńskich hoplitów. Ludzie z Platejów stali ze spuszczoneymi głowami i złożonymi dłońmi, w milczącym szacunku. Wraz z Miltiadesem słowa przysięgi recytowało dziesięć tysięcy głosów, a Ksantyppos czuł, jak serce mu rośnie.

– Nie pohańbię mojej włóczni ani tarczy, nie złamię w boju szyku. Będę bronił tego, co najświętsze, i uczynię tę ziemię silniejszą, niż ją zastałem. Będę wykonywał rozkazy dowódców i będę posłuszny prawom mojego miasta. Jeżeli ktoś zechce je złamać lub mi zagrozi, nie puszcę tego płazem. Nigdy się nie

poddam. Szanuję naszych bogów. Moimi świadkami są Ares i Atena, Zeus, Tallo, Aukso i Herakles. Moimi świadkami są granice kraju i jego pszenica, jęczmień, oliwki, figi oraz wino. Moimi świadkami są ci, którzy dzisiaj stoją ze mną w szeregu.

Wojownicy wydali okrzyk bojowy, do którego przyłączyli się Platejczycy. Kiedy ucichły jego echa, Miltiades stanął wraz z innymi strategami w pierwszym szeregu na lewym skrzydle. Zabrzmiały rogi. Archont skinął głową Ksantypposowi na powitanie, zamierzał maszerować razem z hoplitami ze swojego miasta. Zwiadowcy i gońcy dosiedli koni na czele głównej kolumny. Za nią zgromadzili się ludzie obsługujący armię – służący, zbrojmistrze, zaopatrzeniowcy z wózkami z wodą i żywnością oraz muzycy. Ich marsz miał być szybki, a tabory pozbawione większych obciążeń. Zapasy przygotowano tylko na dzisiejszy wieczorny posiłek dla tych, którzy wieczoru dożyją. Żołnierze mieli zmierzać na własnych nogach w stronę wybrzeża i równiny graniczącej z Maratonem.

3

Maszerowali na wschód, mając po lewej stronie góry w kolorze ochry i zielone krzewy u ich podnóża; wijącym się traktem zmierzali do drogi prowadzącej wzdłuż wybrzeża. Tymczasem nadeszło południe i słońce jakby zawisło nad ich głowami. Zwiadowcy wysforowali się naprzód: biegli albo dosiadali energicznych małych koni, równie chudych i żylastych jak oni sami. Wracali z meldunkami do archonta Miltiadesa, a później przekazywali je pozostałym strategom idącym w kolumnie. Ksantyppos obserwował chłopaków, jak zeskakują z koni przy wodzach, idą z nimi krok w krok i opowiadają o wszystkim, co widzieli. Nie było to skomplikowane zadanie, lecz niektórzy z tych chłopców byli naprawdę bardzo młodzi. Pomyślał, że są ogromnie dumni i wielce przejęci swoją rolą oraz znaczeniem. Czy on sam był kiedyś taki młody? Czasami jego wspomnienia odległych dni były tak żywe, jakby dotyczyły zaledwie dzisiejszego poranka. Ale w takich dniach jak ten prawie już nie pamiętał dawnej niewinności, pewności siebie i siły, które, jak wtedy uważał, miały mu towarzyszyć zawsze i wszędzie.

Miltiades prowadził kolumnę ze sztandarami i grupą bębniarzy. Ogorzały i surowy w obejściu, maszerował z łatwością mimo skończonych pięćdziesięciu lat, tyle że niewolnicy nieśli za nim tarczę i włócznię. Nie miał jednak używać tej broni i uczestniczyć w walce razem z podwładnymi, lecz z pewnej odległości nimi kierować. To inni stratedzy mieli walczyć w formacji, ale pole bitwy musiała obserwować przynajmniej jedna para oczu osadzonych w chłodnej głowie.

U boku Miltiadesa maszerował mężczyzna, którego Ksantyppos nie znał zbyt dobrze. Kallimach był polemarchem, przywódcą wojennym i doradcą mianowanym przez zgromadzenie, miał być także oczami i uszami archonta. Ksantyppos zauważył, że nie nosi on zbroi. Był w chitonie, chlamidzie i w sandałach, po prostu jakby się wybrał na dłuższą przechadzkę. Władza, którą został obdarzony, nie wydostała się poza gaj Akademos. Nie dysponując osobistym doświadczeniem wojennym, Kallimach bezzwłocznie podporządkował się Miltiadesowi, lecz zachowywał się, jakby miał wybór.

Obserwując, jak archont się pochyla, aby wysłuchać zwiadowców, Ksantyppos był ogromnie ciekaw wiadomości, które przynieśli. Nie mógł jednak do niego podejść, aby cokolwiek usłyszeć. Jego obowiązkiem było pozostanie wśród żołnierzy, których miał poprowadzić do walki. Oczywiście Epikleos zasugerował mu głośno, że powinien wyskoczyć do przodu i sprawdzić, co się dzieje; ze sto innych osób usłyszało te słowa. On jednak nie zareagował na tę sugestię. Stratedzy nie mogli się zachowywać jak plotkarze na rynku gromadzący się wokół tego, który ma najwięcej informacji. Nie, Ksantyppos musiał czekać, o czym Epikleos doskonale wiedział. Dostrzegł rozbawienie na twarzy przyjaciela i sklął go pod nosem. Czekał na sposobność, aby gwizdnąć na chłopaka, który będzie biegł z wiadomościami wzdłuż kolumny. Musiał się bardzo starać, żeby posłaniec go nie przeoczył. Tylko takich postaci jak Epikleos czy Temistokles nie dawało się nie zauważyć. Oni po prostu przyciągali wzrok.

Ksantyppos pochylił odrobinę czoło, wiedząc, że od dłuższego czasu patrzy na wszystkich spode łba. Był w podłym nastroju, ale wzięwszy pod uwagę, dokąd prowadzi ten marsz, czy mogło być inaczej? Kiedy któryś z wojowników powiedział coś na temat dystansu, który już pokonali, niemal strącił mu głowę z karku i zrugął go znacznie surowiej, niż zamierzał. Pożałował swego zachowania, kiedy zobaczył złość na twarzy tamtego, lecz nie mógł już tego cofnąć, a dobrze wiedział, że w takiej sytuacji dowódca nie może przeproszać. Teraz nie liczyło się, czy żołnierze boją się jego agresji, złego humoru, władzy czy nawet bogactwa i wpływów jego rodziny. Motywy ich posłuszeństwa były

nieistotne, jeśli tylko trzymali szyk, jaki im nakazał, i jeśli parli naprzód pod kamieniami z proc i strzałami z łuków, kiedy kazał im nacierać. Bo tylko posłuszeństwo mogło sprawić, że dożyją do zachodu słońca. Maraton znajdował się w odległości zaledwie pięciu godzin marszu od Aten, czyli najwyżej stu sześćdziesięciu stadionów – pokonanie kolejnego głośno obwieszczano w kolumnie po zrobieniu następnych dwustu kroków. Maszerowali pylistym szlakiem, suchym jak pieprz w metageitnionie, drugim letnim miesiącu. Najdłuższy dzień roku mieli już za sobą, lecz wciąż mogli dotrzeć do miejsca, w którym wylądowali Persowie, o takiej porze, by mieć dość światła potrzebnego do walki. Niemniej Miltiades i stratedzy dopiero tam mieli postanowić, czy zaatakować od razu, czy też rozbić na noc bezpieczny obóz.

Ksantyppos patrzył z niechęcią, jak Miltiades długo wypytuje o coś zwiadowcę idącego u jego boku, jakby wcale mu się nie śpieszyło. Czy on nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo pozostali chcą wiedzieć, co się dzieje? Oczywiście nie okazywali zniecierpliwienia, dyscyplinę Ateńczykom wpajano od dziecka. Dzisiejszego ranka wszyscy, tak jak Ksantyppos, zostawili swoje domy. Tak jak on przywdziali zbroje i nieśli włócznie oraz miecze. Z pewnością również mieli świadomość, o jak ogromną stawkę przyjdzie im wkrótce walczyć. Ta myśl przyniosła mu pewną ulgę i poprawiła samopoczucie.

Tacy mężowie jak Temistokles i Arystydes maszerowali w połowie kolumny, skąd mogli w krótkim czasie przegrupować siły i uformować czoło natarcia. Raporty nie docierały do nich szybciej niż do Miltiadesa. Kiedy Ksantyppos zerknął do tyłu, zauważył, że wpatruje się w niego Temistokles; jego potężna sylwetka i jasne włosy wyraźnie się odznaczały wśród pozostałych mężczyzn. Ksantyppos powściągnął uśmiech. W trakcie marszu nie było miejsca na drobne utarczki rodem ze zgromadzenia. Temistokles był fanfaronem, ale też urodzonym przywódcą. Ksantyppos nie pojmował natury jego charyzmy. Ludzie po prostu wpatrywali się w imponująco zbudowanego mężczyznę jak w obrazek, a on czarował ich śmiechem i poufałością, drobnymi gestami, jak choćby przyjacielskie ściskanie ramion. A przecież takie gesty powinny wzbudzać

pogardę; oficerowie starej szkoły czasami ostrzegali przed dowódcami, którzy zanadto się bratają z podwładnymi. Wszyscy byli doświadczonymi wojownikami z krwi i kości i mało co potrafiło ich zaskoczyć, a jednak uśmiechali się jak chłopcy, kiedy Temistokles dokonywał przeglądu szeregów – Ksantyppos widział to na własne oczy. Stanowiło to dla niego wielką zagadkę. Przecież żołnierze powinni widzieć w dowódcach jedynie siłę, a ci z kolei utrzymywać dystans i powagę. Nie powinni poklepywać ich po plecach stratedzy, którzy noszą u pasa bukłak z winem i publicznie weselą się tak, że cieknie im z nosa.

Ksantyppos pokręcił głową. Wrogowie Temistoklesa lubili opisywać go jako bufona, zbyt często okazującego brak powagi. On był jednak przekonany, że prawda jest bardziej złożona. Bez wątpienia Temistokles był mężczyzną z ambicjami. Cechowały go zarówno gruboskórność, jak i radość, przekonanie, że niczego na tym świecie nie należy brać całkiem serio. Nie wiadomo, co myśleć o takim człowieku. Ksantyppos odczuwał zadowolenie, że na polu bitwy nie staną obok siebie. Temistokles był jak kamień wrzucony do stojącej wody. Jednak archontowi Miltiadesowi dziesięciu strategów winnych było posłuszeństwo i walkę aż do zgładzenia przeciwnika.

Ksantypposowi znowu zaschło w gardle i zawołał o wodę. Chłopak, który się odwrócił i podbiegł do niego z bukłakiem, maszerował dotąd blisko Miltiadesa. Dlatego naturalne wydało się pytanie „co słyhać?”, tak witali się mężczyźni przybywający na agorę. Usłyszawszy je, chłopak aż się zaczerwienił, podając Ksantypposowi bukłak. Woda była cenna, trudno dostępna na trasie marszu. Należało się spodziewać, że pod koniec dnia ludzie będą cierpieć z jej braku. Ksantyppos znał takie sytuacje.

– Zwiadowcy widzieli przynajmniej dziesięć tysięcy koni i dwa razy tyle ludzi.

Machnął ręką, uciszając chłopaka, bo wojownicy wokół aż zmylili krok, chcąc się znaleźć jak najbliżej i cokolwiek usłyszeć. Wielkie skupiska ludzi trudno oszacować i ująć w liczbach – to umiejętność niełatwa do wyuczenia i stosowania. Ale Ksantyppos widywał pojedyncze garnizony na wybrzeżu jońskim równie liczne jak zastęp hoplitów, z którymi maszerował. Podobnie było

ze stanicami na granicach ziem Persów. Jeńcy, których schwytał, chwalili się takimi liczącymi nawet setki tysięcy ludzi pod bronią, oddziałami po dziesięć tysięcy żołnierzy. Były to liczby tak wielkie, że mógł się jedynie modlić, aby okazały się kłamstwem mającym zasiać strach w sercach wrogów.

– Coś jeszcze? – zapytał, spoglądając na szeregi przed sobą.

Podobnie jak Temistokles, Ksantyppos był wyższy od większości swoich rodaków. Bogowie obdarzali słusznym wzrostem synów rybaków oraz ludzi bogatych, żeby wyróżniali się na tle pozostałych. Zobaczył teraz nad głowami żołnierzy, dokąd kieruje się zwiadowca. Kolejny był już przy Miltiadesie, pogrążony z nim w ożywionej rozmowie: kreślił rękami w powietrzu jakieś kształty, opisując, co zobaczył.

– Mówią, że okręty przyplłynęły od strony Eretrii. Jeden zwiadowca powiedział, że jego kolega wspiął się na wzgórze i zobaczył dym nad tamtejszym portem.

Ksantyppos pokiwał spokojnie głową, chociaż czuł, jak zamiera mu serce. Kiedy rozpoczyna się wojna, zawsze szerzą się kłamstwa i rozmaite plotki. Ale chyba Epikleos miał rację. Eretria znajdowała się za łukiem wybrzeża od strony Maratonu, na szerokim pasie lądu wychodzącym w otwarte morze. Długie pasmo odwiecznych gór stanowiło naturalną osłonę chroniącą Ateny przed gniewem Posejdona. Eretria była bogatym portowym miastem z trzydziestoma tysiącami mieszkańców. Jeżeli Persowie uderzyli właśnie tam, rozegrały się zapewne przerażające wydarzenia, być może wciąż jeszcze trwają. Ksantyppos zacisnął szczęki. Nienawidził Persów, nie cierpiał ich butnej arogancji i straszliwego okrucieństwa. To przez nich niepostrzeżenie stał się ponurym człowiekiem; nigdy by do tego nie doszło, gdyby nie dręczące go wizje perskiego bestialstwa. Czasami dochodził do wniosku, że widział już w życiu zbyt wiele, żeby dobrze sypiać.

– Daj wody ludziom w tylnych szeregach, chłopcze – polecił.

Jego głos zabrzmiał znacznie ostrzej, niż powinien w tej sytuacji, dlatego chłopak popatrzył na niego z dezorientacją i urazą. Ksantyppos wyciągnął rękę,

żeby zmierzwić mu włosy, lecz młodzik się uchylił i odbiegł. Skórzany worek podskakiwał mu na ramieniu, a w środku bulgotała woda.

Tymczasem zwiadowca wskoczył na konia, aby przekazać informacje od archonta. Dumny ze swojej roli, nie dostrzegł Ksantypposa, dopóki ten nie uniósł prawej ręki i nie przywołał go do siebie. Chłopak się zawahał. Kiedy dowódca zerknął przez ramię, zobaczył, że podobny znak przekazał młodzieńcowi Temistokles. Dowódcy to ludzie niecierpliwi! Maszerowali zaledwie dwie godziny. Nie przebyli jeszcze połowy drogi dzielącej ich od wroga, nadal zmierzali w kierunku morza, chcąc przeciąć pasmo górskie rzucające cień na ich trasę. Ujrzawszy to, Ksantyppos zaklął. Kolejny zły omen? Po tym, jak w jego tarczy zabrakło oka, nie chciał tuż przed walką znaleźć się w chłodnym cieniu. To jakby prosić się bogów o śmierć.

Kiedy słońce znów zaczęło grzać mu kark, popatrzył w stronę morza, które zdawało się rozlewać szeroko przed jego oczami, i zgubił krok. Wpadł na żołnierza, który szedł przed nim. Mężczyzna zaklął i zachwiał się. Część ludzi z szeregu już wyciągała szyje, wypatrując okrętów unoszących się na falach. Ksantyppos z trudem przełknął ślinę. Pożałował, że odesłał chłopca z wodą.

Na ciemnej toni kołysała się potężna flota. Nie były to kształtne triery z Eretrii czy z Aten ani mniejsze jednostki ze Sparty. Wielu, którzy dorastali w pobliżu portu, okręty te wydały się dziwne, obce. Łopoczące na nich sztandary nosiły przedziwne symbole i znaki, których nikt nie znał. Płynęły powoli dzięki wioślarzom zajmującym ławy przy burtach. Okręty były duże i miały szerokie pokłady. Ksantyppos pomyślał, że prawdopodobnie źle radzą sobie z wysokimi falami i zapewne także nie wypływają w morze podczas czterech miesięcy zimowych, kiedy tylko szaleńcy i samobójcy wyruszają na głębokie wody. Zresztą większość kupców starała się nie tracić z oczu brzegu nawet latem. Na pewno miał przed sobą okręty transportujące ogromną armię. Było ich zbyt wiele, żeby mógł się pomylić co do ich przeznaczenia.

Szlak zawiódł kolumnę niemal na skraj klifów i stamtąd poprowadził z powrotem w głąb lądu. Ksantyppos spróbował liczyć okręty; było ich więcej,

niż widział dotąd w życiu. Miał dobry wzrok, lecz kołysały się i chwilami znikaly mu z pola widzenia, co uniemożliwiało dokładne liczenie. Z równym powodzeniem mógłbym poprosić jakiegoś chłopca, żeby policzył żołnierzy, pomyślał kwaśno. Jak wiele spośród odległych punkcików na morzu było trierami, które już odpływały, wysadziwszy na brzeg uzbrojonych mężczyzn? Ile z nich wciąż unosiło na pokładach ludzi? Czy wróg przywiózł także konie? Albo kamienne bloki do budowy fortyfikacji i dodatkową broń dla wojowników? Okręty bezustannie pływały, myśląc mu wszelkie rachuby – można było jednak dostrzec zastępy ludzi, którzy po opuszczeniu pokładów wychodzili na brzeg jakby z morza. Wyglądali jak kropeczki stopniowo znikające z pola widzenia, kiedy krok za krokiem wchodzili w głąb lądu.

Wszedłszy w cień klifu, Ksantyppos odczuł spadek temperatury, pozostali Grecy jednak prawie tego nie zauważyli. Rozmowy i nerwowe śmiechy w kolumnie ucichły, gdy każdy z mężczyzn zaczął rozważać w duchu, co musi oznaczać tak wielka flota. Mniej więcej dwie godziny dzieliły ich od zwania z armią, którą przywiozły okręty, pamiętającą niedawne zwycięstwo i klęskę zadaną Eretrii po drugiej stronie cieśniny.

Ksantyppos był świadomy, że ludzie wokół niego nerwowo popatrują na okręty. Należało ich uspokoić, w przeciwnym razie mogli się szybko załamać. Zastanowił się nad własnym strachem. I on potrzebował teraz otuchy. Wiedział, że w dodawaniu ducha żołnierzom niezrównany jest Temistokles. Kiedy o tym pomyślał, uśmiechnął się – po raz pierwszy tego dnia. Nie. W przeciwieństwie do Temistoklesa on nie będzie się śmiał ani poklepywał towarzyszy po plecach. Nie będzie też snuł bzdurnych i krwawych opowieści, aby w ten sposób sprawić, że ich ręce same sięgną po noże. To nie w jego stylu. Czuł jednak na sobie ich spojrzenia. Był pewien, że wkrótce przemówi Arystydes i zapanuje nad ich emocjami. Nie byli przecież złotymi automatonami służącymi w Olimpii, stworami z metalu mającymi spełniać wszelkie zachcianki bogów. Byli zwyczajnymi ludźmi, a w ich żołądkach kotłował się strach, jakby każdy z nich połknął żywą zmiję.

– Widziałem w Jonii, jak walczą Persowie – powiedział głośno. Mówił wyraźnie, starając się, aby usłyszało go jak najwięcej ludzi. Miał dźwięczny głos, przynajmniej tak twierdziła Agarysta. Mówiła, że jest bogaty, mroczny i silny – taki, jaki powinien być głos mężczyzny. Teraz więc go użył. – Stawiają na procarzy i łuczników, używają ich w walce dużymi grupami, podobnie jak piechurów. Ich władcy i wodzowie są schludni i dzielni, sam widziałem. Ale pozostali... są słabo wyszkoleni. Kiedy bitwa nie przebiega po ich myśli, uciekają. Pękają jak przegniłe drewno. Widziałem plecy tych, z którymi starliśmy się w Jonii. Dzisiaj znowu zobaczę ich plecy.

Umilkł i nagrodziły go owacje oraz śmiech tych, którzy byli najbliżej. Sytuacja nie była wymarzona – ktoś przemawia w marszu, w ruchu? Przez odgłosy stóp uderzających w ziemię i skrzypienie zbroi mogli go usłyszeć jedynie ludzie w nieodległych szeregach. A jednak kontynuował, kiedy pojął, że jego słowa przyniosły dobry efekt, nawet jeśli wśród nielicznych. Postarał się, aby jego głos poniósł się jeszcze dalej.

– Wszyscy, którzy służą królowi perskiemu, są niewolnikami. Poza rodziną i kilkoma wybrańcami inni ludzie nic dla niego nie znaczą. Traktuje ich jak rzeczy bez wartości. Pamiętajcie o tym. My jesteśmy wolnymi Ateńczykami. Jesteśmy brązem, złotem i srebrem. Jesteśmy największymi wojownikami Hellady, potomkami Tezeusza, ulubieńcami Ateny, która dała nam oliwę. Stanąwszy przeciwko nam, żaden niewyszkolony niewolnik nie może poznać smaku zwycięstwa. Jesteśmy sprawniejsi, szybsi i silniejsi od każdego, kto może stanąć przeciwko nam na polu bitwy. Pamiętajcie o tym, kiedy otrzymacie rozkaz utrzymania szeregu. Wasi przeciwnicy szybko się zmęczą, będą dyszeć jak psy. A wy będziecie gotowi do walki, w porządnym szyku, wypoczęci i pełni energii.

Taka była prawda o nim samym i innych dowódcach. Nie miał jednak pewności, czy każdy hoplita spędził na ćwiczeniach tyle godzin, do ilu był zobowiązany. Mimo wszystko żołnierze wydawali się zadowoleni z jego słów. Nie więcej niż dwóch na dziesięciu biło się wcześniej z Persami. Część z nich była dwadzieścia lat młodsza od niego i po ukończeniu osiemnastego roku życia

zaledwie rozpoczęła dwuletnie szkolenie wojskowe. Skoro doświadczony dowódca mówił im, że wróg zostanie pokonany, zyskiwali pełne przekonanie, że tak właśnie będzie.

– Piękne słowa – odezwał się ktoś z boku.

Ksantyppos się odwrócił i zamrugał zdziwiony, gdy zobaczył Temistoklesa maszerującego z boku kolumny. Oczywiście ani myślał pozostawać na swoim miejscu w szyku. Temistokles nie stosował się do żadnych zasad! Ksantyppos zdał sobie sprawę, że przypomina w tym Agarystę. Jej wuj stworzył fundamenty obecnych Aten, odrzucając całe wieki tradycji. Był człowiekiem o szerokich horyzontach, a struktury, które powołał, powszechnie powitano jako możliwości dla nowych ludzi gotowych pracować dla zgromadzenia, służyć w sądach, ustanawiać własne prawa. Na świecie nie istniało nic, co mogłoby się równać z demokracją ateńską. W skrytości ducha Ksantyppos był jednak pewien, że jego żona uważa, iż jej rodzina stoi ponad prawem, nie podlega woli Ateńczyków. Z wielkim trudem potrafił zrozumieć taki sposób myślenia.

Temistokles żywił tę samą dziwną pewność siebie, jeśli chodzi o władzę i zasady. Ksantyppos się zastanawiał, czy kiedykolwiek obawiał się ostracyzmu – dziesięcioletniego wygnania, do którego wystarczyłoby zaledwie sześć tysięcy głosów Ateńczyków. Regułę tę wprowadzono, aby zapobiegać pojawieniu się tyranów, mogła jednak ona łatwo osadzić również takich mężczyzn jak Temistokles.

– Dziękuję ci, strategu – odpowiedział, zdawszy sobie nagłe sprawę, że zbyt długo trwa w zamyśleniu.

– Jesteś pośród nas najbardziej doświadczonym żołnierzem, może prócz Miltiadesa. Powinieneś być u jego boku i mu doradzać. Kallimach mu nie pomoże.

– Służę w jego skrzydle. To wystarczy.

Czy Temistokles chciał polechtać jego dumę, czy też skłonić do powiedzenia czegoś, co później mogłoby zostać wykorzystane przeciwko niemu? Ksantyppos z zasady mu nie ufał; pod tym względem upodobił się do Arystydesa. Nie kusilo

go, żeby w tej chwili się roześmiać lub choćby uśmiechnąć albo naprędce wygłosić jakąś opinię. W podobnych rozmowach przyjmował postawę wyczekiwania, był też twardy jak skała, nie pozwalając, aby jego myśli przeniknął bystry umysł mężczyzny, który świdrował go lśniącymi oczami.

– Niemniej cieszę się, że widziałeś plecy Persów – powiedział Temistokles. Ksantyppos zauważył, że odwrócił głowę, ponieważ chciał, żeby wyraźnie usłyszeli go ludzie z najbliższych szeregów. Interesujący sposób rozmowy, pomyślał. – Znowu je zobaczymy, prawdopodobnie jeszcze dzisiaj przed zachodem słońca. Początkowo, kiedy się dowiedziałem, że Spartanie nie wymaszerują z nami, byłem wściekły. Usłyszałem, że zostaną na miejscu i będą pleść swoje dymiące mirty, podczas gdy my staniemy do obrony wybrzeża. To jak zniewaga! Czyż jakieś święto może być ważniejsze od matki wszystkich miast? Czy Persowie zadepczą Peloponez tylko dlatego, że Spartanie czekają na nowy miesiąc?

Część żołnierzy się roześmiała, lecz Ksantyppos zmarszczył czoło, ze zmieszaniem słuchając, jak inni dowódcy wypowiadają półgłosem słowa, które brzmiały niemal jak bluźnierstwa. Przecież bogów łatwo obrazić, o czym doskonale wiedział.

– Ale później – kontynuował Temistokles – przyszło mi do głowy, jak będzie nam miło, kiedy Spartanie spóźnią się na pole bitwy, na którym my będziemy już zwycięzcami!

Po tych słowach Ksantyppos popatrzył na Epikleosa. Młodszy mężczyzna uśmiechnął się szeroko, słysząc, że ktoś inny artykułuje głośno jego odczucia.

Temistokles zachichotał i pokręcił głową.

– Przez cały ranek się zastanawiałem, co im wtedy powiem! Wyobrażasz sobie ich miny? Wiesz, wolę raczej walczyć ramię w ramię z moimi braćmi Ateńczykami, hoplitami... – jego głos nieznacznie stwardniał i przybrał na sile, przyciągając uwagę jeszcze większej liczby żołnierzy. Ksantyppos poczuł, że serce bije mu szybciej, mimo że chciał zachować spokój – ...i razem z nimi zwyciężać. Nie prehandluję mojego miejsca w tych szeregach za piękny dom

w Sparcie ani gdziekolwiek indziej w Helladzie. Przysięgam na Aresa i na Apollina, nasze będzie zwycięstwo i nasza będzie chwała! Nie będziemy jej dzielić ze Spartą, z Tebami ani z Koryntem, przynajmniej dzisiaj. Ponieważ tutaj jesteśmy jednością. Jesteśmy Atenami. Jesteśmy jedną polis, posługujemy się jednym językiem, jedna i jedyna jest nasza kultura!

Ku zaskoczeniu Ksantypposa żołnierze zaczęli wiwatować. Temistokles spojrzał na niego, jakby chciał się przekonać, czy jego występ został dobrze przyjęty. Bez wątpienia wykonał dobrą robotę. Aż do tej pory żołnierze na widok niezliczonych okrętów, które pstrzyły wodę niczym owady, czuli zimny ucisk w brzuchach. Tymczasem Temistokles podniósł ich na duchu i sprawił, że ich krok znów stał się sprężysty. Ksantyppos zdał sobie sprawę, że strateg dokonał wcale niemałej rzeczy. Skłonił ku niemu głowę z uznaniem i zauważył z zaskoczeniem, ale też z wyraźnym zadowoleniem, że Temistokles szybko mruga. Po chwili potężny mężczyzna oddalił się, poklepując dłonią hełmy młodszych hoplitów, aż pochylali głowy i głośno się śmiali, kiedy ich mijał.

Patrzył w milczeniu, jak Temistokles dociera do oddziału kolejnego stratega i powtarza swój występ, wcale niespeszony tym, że część żołnierzy może go słyszeć po raz drugi. Mogłoby to wprawiać w zakłopotanie, jednak mężczyźni w pobliżu tylko się uśmiechali i wyciągali szyje, żeby znowu wsłuchiwać się w jego słowa. Ksantyppos pokręcił głową z cierpkim niedowierzaniem. Temistokles był ważnym ogniwem sił Ateńczyków, lecz on nie potrafił go polubić, zwłaszcza wtedy, kiedy ten zachowywał się zbyt swobodnie. Takim ludziom nie należało ufać. Ksantyppos zapragnął nagle, aby także Arystydes przeszedł wzdłuż szeregów i dał żołnierzom przykład godnej postawy. Oczywiście na coś takiego nie było szansy, zatem Ateńczycy mieli dzisiaj zapamiętać, że to Temistokles chodził między nimi i do nich przemawiał.

4

Wódz Datys był przekonany, że obszerna zatoka jest wręcz doskonała dla jego strategicznego celu. Mewy skrzeczały na niebie, a w powietrzu unosiła się woń soli i morskiej wody. Niektórzy perscy oficerowie nienawidzili głębokich wód. Datys potrafił zrozumieć ich strach, bo dla żołnierzy nie miało najmniejszego znaczenia, czy ktoś jako dziecko nauczył się pływać czy nie. Jeżeli człowiek w zbroi wypadł za burtę, już nikt go nie zobaczył, dopóki niewidzialne prądy nie wyrzuciły jego ciała w jakimś odległym miejscu wybrzeża. Datys osiągnął wiek męski, nie doświadczywszy widoku nieskończonej niebieskiej pustki, wody mieniającej się tysiącami odcieni i nieba nad głową rozległego jak samo imperium. Oczywiście nie pozwalał sobie mówić o tym głośno. Imperium było przecież nieskończone, przynajmniej tak twierdzili kapłani Ahury Mazdy. Jego granic nie dało się obejść w czasie jednego życia, jego ogrom przekraczał granice wyobraźni zwykłego śmiertelnika.

Wciągnął powietrze do płuc, napawając się zapachem soli i wodorostów. Mówiono, że król jest zadowolony z dotychczasowego przebiegu kampanii. Flotę zbierano i budowano ponad dwa lata. Przy swobodnym dostępie do królewskiego skarbcza żadne ograniczenia właściwie nie istniały. Imperium podbiło przecież Lidę, przekształcając to królestwo – już sama jego nazwa była synonimem nieskończonego bogactwa – w jedną ze swoich prowincji. Złoto, srebro i kamienie szlachetne wydobywano z ziemi wszędzie tam, gdzie czczono wielkiego króla. Wystawienie dziesiątków tysięcy żołnierzy nie stanowiło dla

niego problemu, podobnie jak ich wyposażenie – budowanie trier, rzemiosło i kucie ciężkich zbroi.

Grecy zebrali żałośnie małe siły, chcąc uwolnić z rąk imperium miasta Jonii. W płonąącym Sardes kęśali jak rozwścieczone osy, a potem wrócili do domów z przekonaniem, że zadali wrogowi śmiertelne rany. Tymczasem jedynie go rozjuszyli. Datys uśmiechnął się do tej myśli, rozważając, czy tego wieczoru ponowna uczta dla oficerów będzie bezpiecznym posunięciem. Prawdopodobnie nie. Ktoś mógłby uznać, że trafia się okazja, żeby mu zaszkodzić, i złożyć na niego donos. Straciłby żołd, może zostałby zdegradowany albo przytrafiłoby mu się coś jeszcze gorszego, gdyby jego wrogowie zaczęli sączyć jad do właściwego ucha. Nikt spośród ludzi, którzy służyli wielkiemu królowi Dariuszowi, nie mógł być pewien, że nie dosięgną go słowa krytyki, nawet najwyższy dowódca największej inwazji morskiej, jaką do tej pory znał świat. Datys gardził jednak donosami, a swoją wysoką pozycję osiągnął częściowo dlatego, że bezbłędnie wyczuwał, kiedy należy milczeć.

Przed tygodniem perski wódz dobił ze swoją flotą do Eretrii. Atak na port nie mógłby powieść się lepiej i Datys z wielką dumą przypominał sobie teraz jego zdobycie i późniejsze grabieże. Przyglądał się temu sam Dariusz, najpierw z bezpiecznego miejsca na królewskim okręcie flagowym, a później z wielkiego pawilonu wzniesionego na brzegu.

Pozabijali wszystkich Greków powyżej czternastego roku życia oraz wszystkie kobiety, które były już zbyt stare, żeby rodzić dzieci, lub zbyt chore i słabe, żeby pracować. Resztę zagoniono na okręty i wywieziono na wybrzeże Jonii, skąd mieli wyruszyć w wielomiesięczną wędrówkę do serca imperium. Ci, którzy przeżyją, mieli zostać sprzedani jako egzotyczne okazy bogatym ludziom, takim jak Datys, którzy nigdy nie widzieli morza na własne oczy.

W greckich świątyniach znaleziono mnóstwo bogactw. Po dary składane bogom przez stulecia wystarczyło wyciągnąć rękę. Datys nie był w stanie zainteresować króla tymi łupami, nie znaczyło to jednak, że pozostawiono je na miejscu. Złoto pozostawało złotem, a srebro srebrem, nieważne, w jakie wykuto

je kształty. Teraz większość miała zostać przetopiona i całkowicie odmieniona w ogniu – tak jak wolnych ludzi piętnuje się gorącym żelazem i czyni niewolnikami.

Wódz nie okazał zadowolenia, kiedy ostatnie konie podprowadzono do czekających na nie okrętów, które wcześniej poruszane siłą wiosł mocno wbiły się w piaszczystą plażę. Ich stępki rozdarły mokry piasek, po czym okręty się przechyliły. Dziesiątki koni wciąż spoczywały na plaży niczym muszelki, chociaż coraz więcej podnosiło się na nogi. Zwierzęta i jeźdźcy w końcu mogli odetchnąć na stałym lądzie po zbyt długiej morskiej podróży. Datys doskonale wiedział, że dumne wierzchowce nigdy na morzu nie wymiotują, niezależnie od tego, jak cierpią. Na kołyszących się pokładach po prostu robią się coraz bardziej chore, aż w końcu ich oczy mętnieją i zwierzęta zaczynają umierać. Pomyślał, że tego samego nie można powiedzieć o jeźdźcach. Po tygodniu czy dwóch, jakie spędzili na morzu, roztropnie było stawać przy nich po zawietrznej.

Datys widział ponure twarze mężczyzn wprowadzających wierzchowce z powrotem na pokłady, na cuchnące stanowiska pełne nieczystości i szczurów. Nie narzekali jednak ani nie opóźniali pracy. Szeroka plaża, otoczona górami i grzędzawiskami, była doskonałym miejscem na wypoczynek i przygotowania do uderzenia. Kampania nieuchronnie zbierała śmiertelne żniwo wśród ludzi i kosztowała wiele cennego sprzętu. Choć złupienie Eretrii przyszło im z łatwością. Kiedy armia ponownie znajdzie się na okrętach i wypłynie w morze, skieruje się wzdłuż wybrzeża w stronę Aten, po czym zablokuje miasto, a na brzeg wysiądzie czterdzieści tysięcy doświadczonych żołnierzy. To była krzepiąca myśl. Persowie przewyższali Greków chociażby liczbą niewolników przy wiosłach. Tutejsze świątynie zamierzali zamienić w stosy pogrzebowe, tak jak płonęły ich własne w Sardes.

Datys się uśmiechnął, kiedy ostatni okręt z końmi rozpoczął żmudny proces powrotu na wodę. Liny się napięły, gdy żołnierze z małej łodzi przywiązali je do innych okrętów, które dzięki sile wiosłarzy zaczęły powoli wyciągać transportowe triery z plaży na głęboką wodę. Była to praca delikatna i zarazem

nerwowa. Zdarzało się, że okręty niespodziewanie się przechylały na płyciznach, zmiatając wszystko i wszystkich z pokładu do morza. Datys popatrzył przez plażę w kierunku miejsca, z którego król, w zaciszu chłodnego pawilonu, obserwował operację. Zaczął się modlić do Ahury Mazdy, aby ostatni okręt zachował pion. Jego wywrotka byłaby złym proroctwem dla wielkiego króla, a mówiło się, że Dariusz bardzo poważnie traktuje takie znaki.

Wódz wstrzymywał oddech, dopóki ostatnia para okrętów z końmi nie odbiła bezpiecznie od brzegu. Wciąż znajdowały się na tyle blisko, że przez rzenie wierzchowców przebijały się rozszłoszczone głosy ludzi, odetchnął jednak z satysfakcją, kiedy wioślarze przystąpili do miarowej pracy.

Skoro odprawiono konie, można było przystąpić do operacji wprowadzania na okręty wciąż czekających oddziałów. Kształtne triery o szerokich pokładach, na których można było stłoczyć żołnierzy, krążyły jak rekiny. Część ludzi stała już na brzegu. Kapitanowie trier byli zmęczeni czekaniem w niemal bezwietrznej pogodzie, w towarzystwie ponurych niewolnych wioślarzy. Datys się uspokoił, kiedy pierwsze oddziały ustawiły się w szyku gotowe do wejścia na pokład. Część wybrzeża, którą zajmowały jego wojska, była doskonałym naturalnym portem chronionym przed morskimi falami, które nicowały ludzkie żołądki. Odkąd wylądowali tutaj poprzedniego wieczoru, widział tylko spokojne wody. Jego ludzie podjedli, wypoczęli, sprawdzili wyposażenie i broń, sporządzili spisy łupów z Eretrii i wyekspediowali do imperium nowych niewolników. I to wszystko w ciągu jednej nocy, pomyślał. Imperium to sprawny grabieżca. Datys zaczął się zastanawiać, czy wielki król pozwoli mu wybudować w nim dom, kiedy wreszcie rzuci całą Grecję na kolana. Nadzieja, że tego doczeka, pozwalała mu codziennie rano z przyjemnością otwierać oczy.

Spojrzał w głąb lądu, na równinę, która rozpościerała się dość szeroko od brzegu, ograniczona niewyraźnymi sylwetkami gór na horyzoncie. Dzięki temu był jednym z pierwszych, którzy dostrzegli węża ze złota i z kurzu wijącego się od zachodu pomiędzy wzgórzami. Osłonił oczy, patrząc pod popołudniowe

słońce. Cicho zaklął, kiedy maszerujące oddziały dostrzegli w końcu leniwi zwiadowcy i zadęli w rogi.

Mężczyźni na plaży znieruchomieli. Zamarły nawet wiosła na okrętach, które zaczęły się kołysać i w niekontrolowany sposób przemieszczać po wodzie, co groziło rychłą katastrofą. Datys zauważył, że oficerowie kierują do niego posłańców. Obserwowany przez wielkiego króla musiał teraz podjąć jakąś decyzję. Każdy moment wahania powodował, że wróg się zbliżał i ograniczał Persom możliwości manewru. Nie będzie mógł wykorzystać jazdy, Datys zdał sobie z tego sprawę natychmiast. Nie mógł przywołać unoszących ją okrętów i zarządzić lądowania na plaży tuż przed starciem; wróg podszedł zbyt blisko. Przygryzł wargę, kiedy pierwszy posłaniec, ciężko dysząc, padł na piasek u jego stóp, czekając na rozkazy. Jeszcze raz popatrzył na swe oddziały na plaży. Dysponował dwudziestoma tysiącami żołnierzy oraz dziesięcioma tysiącami Nieśmiertelnych – sercem i tarczą armii. Miał tyle samo łuczników i procarzy z Etiopii, posługujących się łukami o wielkiej mocy. W sumie na plaży pod Maratonem nadal stało czterdzieści tysięcy weteranów gotowych wykonać każdy jego rozkaz. Podjął decyzję, kiedy podbiegł do niego królewski herold.

– Jego Wysokość, bóg-król i ojciec świata, nakazuje mi zapytać, jakie wydasz rozkazy – powiedział.

Herold nie padł na piasek, lecz jedynie skłonił przed wodzem głowę. Datys go nie lubił, jednak zanadto cenił własne życie, żeby ryzykować skarcenie go za takie zachowanie. Także więc skinął głową.

– Proszę, powiedz Jego Wysokości, że rozkażę ludziom ruszyć i podjąć walkę. Nie będę unikał boju. Nie mamy czasu na zaokrętowanie całej armii przed nadejściem Greków. – Potarł policzek, przez chwilę się zastanawiając, wreszcie pokiwał głową. – Nie możemy walczyć na piasku, mając za plecami wodę. Grunt w głębi lądu jest suchy i twardy. Wymaszerujemy naprzeciwko wroga i sformujemy szyki, aby uzyskać gotowość do walki. Łucznicy i procarze staną na skrzydłach, Nieśmiertelni i inne oddziały w środku. Proszę, przekaż Jego

Wysokości, że po wschodniej stronie równiny znajduje się wzniesienie. Ufam, że właśnie stamtąd zechce obserwować bitwę.

Herold uśmiechnął się kącikiem ust, jakby coś w zachowaniu Datysa go rozbawiło. Znowu skłonił głowę i bez słowa odbiegł wzdłuż brzegu, a ślady jego stóp szybko zmyły morskie fale leniwie zalewające biały piasek.

5

Ksantyppos nerwowo przełknął ślinę, gdy żołnierze zaczęli z dwóch stron obchodzić niskie wzgórza. Słowo „Maraton” oznaczało tyle, co „zarośnięte koprem”, i ów koper rzeczywiście wyrastał bujnie z czerwonej ziemi. Deptany sandałami roztaczał w słonym powietrzu ciężki zapach.

Tempo marszu wzrosło niemal niepostrzeżenie, jakby ludzie chcieli jak najszybciej dotrzeć do celu. Krok po kroku niebo nad ich głowami otwierało się szerzej, a zielone wzgórza wkrótce ustąpiły równinie porośniętej niskimi krzewami i karłowatymi drzewami przywodzącymi na myśl wartowników. Dalej rozpościerało się ciemne morze, na którym wciąż unosiło się mnóstwo okrętów. Grecy z każdym krokiem widzieli coraz więcej, a dodatkowe szczegóły przynosili podekscytowani zwiadowcy i posłańcy. Informacje roznosiły się w szeregach lotem błyskawicy, a pierwsze potwierdzone wieści wzbudziły radość.

– Nie mają jazdy! – Epikleos głośno powtórzył otrzymaną wiadomość.

W kolumnie rozległy się wiwaty i okrzyki zadowolenia. Przed kilkoma laty Ateńczycy znaleźli się w poważnych opałach, kiedy walczyli z Tesalczykami. Jeźdźcy nie mogli przełamać zwartej falangi z wystawionymi długimi włóczniami, lecz również falanga nie była w stanie nacierać z pożądaną szybkością. Na polu bitwy powstały wtedy niemal nieruchome wysepki hoplitów, a tymczasem wrogowie krążyli wokół nich, zasypując je strzałami i wyrywając z formacji jednego wojownika po drugim.

Liczebność wroga była inną sprawą. Tu doniesienia się różniły, gdyż zwiadowcy mieli trudności z liczeniem ludzi poruszających się w różnych formacjach i w szeregach o zróżnicowanej długości. Ksantyppos jednak z niedowierzaniem obserwował, jak wielu Persów schodzi z plaży. Z tej odległości ich szereg przypominał mur dużego miasta. Potrząsnął głową, żeby uwolnić się od tego wrażenia. Zmrużył oczy i spróbował myśleć jak dowódca. Czy perskie okręty wyrzucają na brzeg dodatkowych ludzi, czy zabierają ich teraz na pełne morze? Trudno to było określić, przypomniał sobie jednak wcześniejszą wieść o perskiej jeździe. Choć błędne raporty zdarzały się często, trudno byłoby pomylić tysiące koni z czymkolwiek innym. Zadał sobie pytanie, czy przypadkiem ich szybki marsz z Aten na wschód nie przeszkodził Persom w załadunku armii na okręty i wypłynięciu z powrotem w morze. Wiedział, że coś takiego jak szczęście nie istnieje. O tym, co się wydarzyło i jeszcze się wydarzy, zdecydują bogowie.

Ksantyppos usłyszał po perskiej stronie odgłosy rogów i dostrzegł wzniesione jedwabne chorągwie, gdy wojska zaczęły się ustawiać w szyku bojowym. Ten widok i te dźwięki znów wywołały stłumione rozmowy i nerwowy śmiech wśród otaczających go żołnierzy. Każdy mężczyzna, który tego dnia opuścił swój dom, znał stawkę. Tej nocy Persowie zaczną zabijać kobiety i dzieci w Atenach, jeśli właśnie w tym miejscu nie zostaną powstrzymani. Zatrzymać ich zaś mogli tylko oni, żadna inna siła ani władza.

Miltiades wyszedł ze swojego miejsca w szeregu. Jego osobisty herold, Filippides, dotrzymywał mu kroku. Przebiegł już tego dnia znaczny dystans, przenosząc rozkazy i informacje dla poszczególnych dowódców. Na jego ciele lśniła oliwa lub pot, lecz oddech miał długi i miarowy. Młodszy żołnierze nieśli przy Miltiadesie chorągwie na długich włóczniach, dzięki czemu wszyscy w szeregach wiedzieli, gdzie znajduje się archont. Serce Ksantypposa zaczęło bić jak szalone, sprawiając mu niemal ból, kiedy przeszył go spazm strachu i zarazem wściekłości na wroga. Aż do tej pory marsz nie sprawiał nikomu większych trudności niż zwykłe ćwiczenia. On sam był rozluźniony, rozgrzany

i swobodnie oddychał. Tego, co miało wkrótce się wydarzyć, nie mógł jednak porównać z żadnym dotychczasowym przeżyciem. Czekąco go najstraszliwsze, najbardziej wyczerpujące i zarazem najbardziej upojne z doświadczeń, jakich może zaznać mężczyzna. Był dumny, że stoi w tym miejscu ze swoimi ludźmi i wspólnie z nimi będzie walczył o życie, nie zaś o królestwo.

– Formować falangę! Falanga! – wrzasnął Miltiades. – Kolejno fylami! Stratedzy, wykonać! Kolumna, utworzyć falangę!

Ksantypposowi przemknęło przez myśl, że Miltiades ma głos stworzony do rozkazywania. Razem z innymi strategami skwapliwie przystąpił do wypełniania rozkazu, wydając z kolei polecenia własnym oficerom, którzy po kolei mu odpowiadali. Każdy spośród dziesięciu tysięcy ludzi należał do jednego z ludów mających swoich przedstawicieli w eklezji w mieście bogini Ateny. Tysiąc platejskich hoplitów miało stanąć pośrodku szyku; przyjęli przywództwo Miltiadesa, rezygnując z niezależnej walki. Był to warunek, którego spełnienie pozwoliło im dołączyć do głównych sił. Nosili takie same zbroje jak wszyscy i okrągłe tarcze, na których wymalowali własne symbole. Byli Hellenami, lecz nie mogli mienić się Ateńczykami.

Ksantyppos czuł, że atmosfera gęstnieje, a ludzi ogarnia coraz większa nienawiść, jak też poczucie powagi sytuacji. Cienie żołnierzy tańczyły na ziemi, jakby popierały ich ruchy, był to z pewnością dobry znak.

– Niechże więc stanie się to, co ma się stać – powiedział Epikleos, tylko nieznacznie poruszywszy ustami.

Ksantyppos otrząsnął się z zadumy i skłonił głowę, jakby składał przysięgę. Razem z Epikleosem i innymi żołnierzami złamali szyk na lewym skrzydle, w odległości niecałych dziesięciu metrów od samego Miltiadesa. Kolumna rozsypała się w gromadę chaotycznie biegających ludzi, szukających nowych pozycji i popatrujących ku dowódcom, aby sprawdzić, gdzie właściwie są ich miejsca. Ksantyppos usłyszał, jak Temistokles i Arystydes grzmiały na swoich podwładnych pośrodku całej grupy, zwołując ich na pozycje wewnętrzne. Fyle Leontis i Antiochis utworzyły czworobok, który miał być mocnym sercem

formacji hoplitów liczącej osiem szeregów. Na prawym skrzydle kolejna formacja trzech fyl ustawiła się identycznie jak trzy po lewej, z dodatkowym tysiącem Platejczyków. W oczach Ksantypposa całe to przegrupowanie trwało zbyt długo i odbywało się niezbornie. Kiedy jednak dobiegło końca, dziesięć fyl i jedenaście tysięcy ludzi stanęło w uporządkowanych szeregach, w szerokiej formacji bojowej, z włóczyniami wzniesionymi niczym kolce jeżozwierz. Gdy ruszyli do przodu, przez ciała wielu przebiegł dreszcz emocji. Każdy krok na równinie zbliżał ich ku zastępom wroga.

Ksantyppos czuł suchość w ustach. Nadepnął na gęsty, suchy krzew, którego gałęzie pękały niczym kości pod jego sandałami. Obliznął wargi i znów zaczął się rozglądać za chłopakiem z wodą, nigdzie jednak nie mógł go dostrzec. Dlaczego przed walką usta zawsze wysychały mu na pieprz? Żałował, że nie zabrał własnego bukłaka. Jego dwaj przybocznicy oczywiście zniknęli wraz z wszystkimi rzeczami, kiedy tylko na horyzoncie pojawił się wróg. Bez wątplenia teraz popijali wodę i leniwie spacerowali daleko na tyłach. Część żołnierzy miała gliniane manierki przy rzemieniach opasujących ramiona. Ksantyppos z trudem odrywał od nich wzrok. Żołnierz, który nie zabrał ze sobą wody, nie powinien prosić o nią tego, który ją miał – było to bardzo źle widziane.

Maszerowali swobodnie, dostosowując jednak krok do rytmu wybijanego na bębnach i do melodii fleciarzy. Grali *Marsz Tezeusza* przypominający Ksantypposowi czasy młodości i siły. Poczował na ciele świeży pot, a jednocześnie odczuwał stary ból w prawym kolanie. Dziesięć lat temu pod rzepekę wbił mu się grot włóczni. Wówczas rana nie wydawała się poważna, lecz od tamtego czasu ból w kolanie powracał, w szczególności dając o sobie znać podczas długich marszów.

Po ich lewej stronie znajdowały się mokradła, a po prawej wzgórze, co wystarczało, aby ograniczyć szerokość frontu Persów. Pomyślawszy o tym, Ksantyppos wreszcie poczuł przypływ nadziei. Ale zaraz dostrzegł niezliczone zastępy perskich procarzy; na razie znajdowali się zbyt daleko, aby ich atak mógł odnieść skutek, wymachiwali jednak energicznie procami i prężyli muskuły,

gotowi do zadania pierwszych ciosów. Może tymi gwałtownymi ruchami zamierzali wystraszyć wroga, choć Ksantyppos wcale nie był pewien, co chcą osiągnąć. Na skrzydłach perskich wojsk zobaczył z kolei łuczników, czarnych mężczyzn bez zbroi; z napiętymi łukami czekali na okazję, by posłać swe drogie strzały prosto w gardła Greków. Nigdy w życiu nie widział tylu łuczników w jednym miejscu.

Zorientował się, że Miltiades bynajmniej nie zapomniał o swojej odpowiedzialności za armię. W odległości zaledwie kilku kroków od Ksantypposa lustrował uważnym wzrokiem szeregi, sprawdzał i korygował ustawienie falangi. Początkowo żołnierze stanęli zbyt ciasno i dlatego co kilka kroków gubili rytm marszu. Powodował nimi instynkt, lecz należało ten szyk poprawić, dopóki wróg, z każdą chwilą coraz wyraźniej widoczny, znajdował się jeszcze w odległości dwóch tysięcy kroków.

Ksantyppos zauważył, że archont zagryza wargę, porównując długość frontu żołnierzy greckich i perskich. Mokrada nie skróciły go po stronie Persów w takim stopniu, na jaki liczyli Grecy. Było aż nadto oczywiste, że dysponując na polu bitwy czterdziestoma czy pięćdziesięcioma tysiącami ludzi, wróg już na początku okrąży ich skrzydła. Ksantyppos dostrzegł, że intensywnie rozmyślający nad taktyką Miltiades poci się w zbroi. Idealne rozwiązanie w obecnej sytuacji praktycznie nie istniało i nie potrafił odgadnąć, jakie rozkazy wyda archont. Czekał, a jego serce z każdym krokiem podjeżdżało bliżej przelęku. Tysiąc sześćset kroków – osiem stadionów. Tysiąc dwieście – sześć stadionów. Widział już poszczególnych żołnierzy w pierwszym szeregu wroga i chorągwie powiewające nad jego armią. Było ich niewiarygodnie dużo.

– Wzmocnić skrzydła! – zawołał w końcu Miltiades. – Fyle pośrodku: tylna czwórka rozproszyć się na prawo i lewo. Osiem szeregów ustawić z tyłu na skrzydłach. Cztery w środku.

Ksantyppos odetchnął z ulgą, zadowolony z podjętej decyzji. Bez wątplenia rozkazy były właściwe, chociaż Miltiades wcale nie sprawiał wrażenia, że jest usatysfakcjonowany. Siłą Greków miały być fyle walczące w ciasnej formacji,

składające się z ludzi, których Ksantyppos i Miltiades dobrze znali. Wzajemne zaufanie i męska duma były potężnymi czynnikami motywującymi, kiedy należało walczyć ramię w ramię. Spartanie ustawiali nawet żołnierzy w taki sposób, że w jednym szeregu znajdowali się ci, którzy wspólnie w tym samym roku kończyli ćwiczenia wojskowe. Dzięki temu w pierwszej linii kroczyli najstarsi i najbardziej doświadczeni, kolejny rząd tworzyli o rok młodsi i tak dalej. Wszyscy dobrze się znali, dlatego nikt nie uciekał z pola bitwy. Wstyd przed dożywotnią hańbą był bowiem rewersem dumy i równie potężnym motywatorem.

Ksantyppos wiedział, że jedenaście tysięcy Greków będzie musiało przede wszystkim pilnować, żeby wróg ich nie oskrzydlił. Ich falangi funkcjonowały jak młoty z brązu – były to zwarte czworoboki szczelnie osłonięte częściowo zachodzącymi na siebie tarczami. Nie dysponując większą liczbą ludzi, nie mogli przedłużyć boków falang. Mogli natomiast wzmocnić skrzydła, aby stawić czoło atakom z flanki. Długie włócznie powinny powstrzymać Persów. Ksantyppos pokiwał głową. W najgorszym wypadku zadziałają jak złoty kamień wrzucony w nurt rzeki. Zapowiadał się ciężki dzień, od walki nie było już jednak odwrotu.

Zobaczył, że Temistokles rozsyła posłańców, chcąc dopilnować, aby jego rozkazy zostały właściwie zrozumiane i aby stratedzy potrafili wykonać je w boju. Miltiades natychmiast odesłał biegaczy tam, skąd przybyli, a środkowa formacja zajęła pozycję zgodnie z jego poleceniem. Temistokles się wściekł, za to Arystydes pozostawał niewzruszony, chłodny i spokojny jak zawsze. Ksantyppos był z niego dumny i zadowolony, że wódz, którego podziwiał, postępuje z wielką godnością. Pole bitwy to nie miejsce na małostkowe emocje ani egocentryzm, cechujące chociażby takich ludzi jak Temistokles. Zwycięstwo można osiągnąć jedynie dzięki współpracy i absolutnemu wzajemnemu zaufaniu.

Z przodu wróg zatrzymał się i przygotowywał do walki. Dwie armie dzieliła teraz odległość ośmiuset kroków – czterech stadionów. Za plecami Persów rozpościerało się morze. Bardzo szybko zeszli z plaży i stanęli na twardym gruncie, zajmując przestrzeń wystarczającą do manewrów. Ksantyppos się

skrzywił, gdyż doskonale wiedział, że będą chcieli jak najszybciej użyć łuczników i procarzy. W samej bitwie byli oni przydatni jak osy w maselnicy – nie mieli już wpływu na jej przebieg. Ich rolą było zadanie wrogowi jak największych strat, zanim zdoła się zbliżyć na odległość rzutu włócznią. Właśnie wtedy stanowili największe zagrożenie dla hoplitów. Dysponowali bowiem śmiertelnie groźną bronią i stosowali taktykę, która polegała na zniwelowaniu przewagi fizycznej przeciwnika.

Ksantyppos wydał swojej fyli Akamantis rozkaz podniesienia tarcz, a jego wykonaniu towarzyszył głuchy odgłos niosący się wzdłuż szeregów. Zakręcił własną tarczą i przeniósł ją z prawego ramienia na lewe, po czym zacisnął dłoń na rzemieniu. Ten ruch bardzo go uspokoił. Całe jego przedramię zniknęło w głębokiej drewnianej misie powleczonej brązem; odniósł wrażenie, że w tej chwili tarcza stała się częścią jego ciała. Wiedział, że gniewne spojrzenie lwa jest doskonale widoczne na złotym tle. Włócznię trzymał poniżej barku, gotowy zadać cios, gdy dla jego szeregu nastąpi pora ataku. Pot spływał mu po twarzy i czuł strach, ale też swoistą radość. Był bardzo silny. Także szybki i sprawny, a jego ciało osłaniała ciężka zbroja z brązu. Pierwszego wroga, który tego dnia stanie mu na drodze, zamierzał zabić. Tak jak i drugiego. A co będzie później, zależy wyłącznie od bogów.

Pozostałe fyly także wzniosły tarcze do pozycji „gotów”, tak jakby Ksantyppos wydał im taki rozkaz. Sprawił to przypadek, ucieszył go jednak ten widok, mimo że Temistokles właśnie zaczął mu się uważnie przypatrywać, gdyż każdą ingerencję w swoje kompetencje uważał za osobistą zniewagę. Ksantyppos pamiętał z czasów wspólnych szkoleń, że Temistokles jest typem człowieka, który bez wahania podejdzie do niego po bitwie z pretensjami. Jeśli obaj przeżyją.

Po swojej lewej stronie zobaczył, że Kallimach sprzecza się gwałtownie z Miltiadesem, a po krótkiej wymianie zdań szybko odchodzi na prawe skrzydło. Wydawało się, że czerwony na twarzy polemarch znalazł wreszcie tarczę

i włócznie. Być może Kallimach zdenerwował czymś archonta, Ksantyppos nie był tego pewien.

Za nim samotnie dowodzący armią Miltiades uniósł rękę. Strateg pomyślał, że mógłby nakazać krótki postój, chociażby po to, żeby wróg zmarnował pierwsze kamienie i strzały. Taki atak na odległość stanowił poważne niebezpieczeństwo, lecz Grecy wiedzieli, w jaki sposób trzymać tarcze, aby go przetrwać. Ćwiczyli to aż do znudzenia, nie mogło więc być to dla nich wielkim zaskoczeniem. Niemniej realia bitwy były czymś zupełnie innym niż ćwiczenia na placach gimnazjonu. W trakcie ćwiczeń ludzie bardzo rzadko umierali.

Ksantyppos usłyszał jednak całkiem inną komendę Miltiadesa:

– Lewe skrzydło... powoli naprzód! Powoli naprzód! Środek i prawe skrzydło... przyśpieszyć, do zwania!

Strateg powtórzył rozkaz najgłośniej jak potrafił, chociaż go nie pojmował. Fyle na lewym skrzydle natychmiast spowolniły o połowę tempo marszu, natomiast te ze środka i z prawej flanki wysforowały się do przodu.

– Wolniej i zewrzeć szyki! Lewe skrzydło, wolniej i zewrzeć szyki! – wrzasnął Miltiades nad głowami żołnierzy. – Będziemy potrzebowali rezerw i to wy odegracie we właściwej chwili tę rolę. Teraz zwolnijcie.

Ksantyppos pokiwał głową. Być może miało to sens w starciu ze znacznie liczniejszym wrogiem. Zauważył, że Temistokles ogląda się przez ramię i gestem nakazuje ludziom, żeby przyśpieszyli, lecz armią dowodził jeden człowiek. To Miltiades odpowiadał za całe pole bitwy, nie tylko za lewe skrzydło. Ksantyppos poczuł ucisk w brzuchu i przemknęło mu przez głowę pytanie, jak ta sytuacja wygląda w oczach Temistoklesa. Połowa jego ludzi musiała odejść na bok, osłabiając środek, na dodatek jedno skrzydło znalazło się jakby w zawieszeniu. Przywodziło to w gruncie rzeczy na myśl... Ksantyppos się wzdrygnął, czując, jak pot zalewa mu oczy, mimo że pod hełmem miał na czole płócienną przepaskę. Nie, archont Miltiades był lojalny i wierny. Właściwie można było podejrzewać wszystkich. Podobno król perski traktował złoto jak wodę i zawsze nagradzał tych, którzy go zadowalają. Łatwo było sobie wyobrazić, że ktoś wybrałby

dobrobyt i komfort, przedkładając je ponad lojalność i ubóstwo. Szczodrość wielkiego króla obrosła już legendami. Czy mógłby kupić także kogoś takiego jak Miltiades?

– Epikleosie! – krzyknął.

Przyjaciel podbiegł do niego z poważną miną.

– Tak, strategu.

– Przekaż Miltiadesowi moje pozdrowienia i powiedz mu, że fyle Akamantis jest gotowa do walki w środku.

– Tak, strategu.

Epikleos zniknął mu z pola widzenia, by jak najszybciej wykonać polecenie. Ksantyppos obserwował, jak Temistokles i Arystydes przecinają niewidzialną linię, wkraczając w obszar, który obejmowały zasięgiem perskie pociski. Wrogowie natychmiast przygotowali broń i posłali na Greków tysiące strzał i kamieni mających łamać, rozbijać lub przebijać. W zaciętrzewieniu zaczęli strzelać zbyt wcześnie, nawała jednak się nie kończyła. Ich pociski rozdzierające powietrze z dźwiękiem przypominającym nawoływania ptaków latały zbyt szybko i zbyt wysoko, by Grecy mogli je widzieć i ich unikać. Była to straszna broń. Kawalek ołowiu nie większy od palca mógł poważnie zranić męskie ramię, spadłszy na nie jak grom z jasnego nieba. Strzała mogła w jednej chwili odebrać człowiekowi życie.

Ten grad sprawił, że szeregi Persów strzelających pod popołudniowe słońce spowiła krótkotrwała migocząca ciemność. Ksantyppos miał nadzieję, że to dobry omen, że ten cień zwiastuje ich porażkę. Przypomniawszy sobie gniazdo szerszeni w pniu dębu, których spokój zakłócił, kiedy był chłopcem. Któregoś dnia rzucił w gniazdo wiadrzem ze zjełczoną oliwą i zaczął uciekać. Nie miał pojęcia, czy szerszenie będą go ścigały. Przełknął głośno ślinę, wspominając swoją głupotę i szczęście, że owady jednak za nim nie poleciały. Wiedział, że gdyby go dopadły, wściekłe i mściwe, byłoby po nim. Na wszelki wypadek biegł ile sił w nogach całą drogę do domu.

Błysnęło złotem, kiedy cztery szeregi w środku i kolejne osiem po prawej wzniosło nad głowy tarcze niczym rybie łuski. Kamienie i kawałki ołowiu odbijały się od nich z głuchym łoskotem, ale słychać było także okrzyki bólu. Zdarzało się, że strzały przebijały tarcze na wylot i raniły ręce żołnierzy. Kilku pozostało za maszerującą falangą, wijąc się z bólu, lecz po chwili wszyscy spróbowali dołączyć do szeregu. Ksantyppos bezwiednie przygryzł aż do krwi dolną wargę. Zauważył to dopiero wtedy, gdy poczuł na języku smak soli i żelaza.

Cały środkowy szereg pod dowództwem Temistoklesa i Arystydesa znacznie się wysforował przed lewe skrzydło, pozostawiając z tyłu także to prawe. Tysiące Persów wciąż miotały na głowy Greków wszelkie pociski, a ci w pierwszych szeregach pośrodku ich linii przygotowywali się do walki wręcz. Po perskiej stronie żelazne miecze odbijały promienie słoneczne.

Nieśmiertelni byli wojownikami najwyższej klasy. Nosili zszywane po bokach tuniki sięgające za kolana. Wszyscy długie brody spleli w warkocze, pozawijane w taki sposób, aby trudno było je złapać. Na czołach mieli złote opaski, przez co sprawiali wrażenie, jakby każdy z nich nosił koronę. Nie mieli hełmów, zdawali się na skuteczność swoich mieczy i wytrzymałość zbroi. Byli elitarnymi żołnierzami imperium, najlepszymi, jakich wielki król mógł wysłać do boju. Samych Nieśmiertelnych było pod Maratonem tylu, ilu żołnierzy liczyła cała armia grecka. Ksantyppos poczuł przypływ strachu, kiedy rozległo się dudnienie bębnow oraz zawodzenie dziwnych rogów. Ta perska muzyka wydała mu się fałszywa i zupełnie niepasująca do pola bitwy.

Idący przed nim fletniści zdwoili wysiłki. Nie mieli szans, aby zagłuszyć Persów, lecz melodia, którą wybrali, *Atena*, została natychmiast podchwycona przez tysiące głosów. Hellenowie zaczęli głośno wyśpiewywać obietnicę, jaką złożyła bogini, kiedy powstało miasto. Dodawała im ducha i pozwalała maszerować naprzód równym krokiem pod nawałą kamieni i strzał. Ksantyppos w ustach miał krew i piasek. Zorientował się, że coraz więcej ludzi spogląda

w bok ze zdziwieniem, że lewe skrzydło pozostało z tyłu. Podskakiwały tarcze, gdy ci z ostatnich szeregów gestami przywoływali maruderów.

Powrócił czerwony na twarzy Epikleos. Zastęp Greków wciąż parł powoli do przodu, Ksantyppos odgadł więc, co przyjaciel mu przekaże, zanim ten przemówił.

– Archont Miltiades jest niewzruszony, strategu. Twierdzi, że najlepiej będzie, jeżeli pozostaniemy w odwodzie. Poczekaj na rozkaz zatrzymania się, a potem utrzymaj swoją pozycję.

Ksantyppos cicho zaklął, zaskakując tym Epikleosa. Zanim zdołał wymyślić stosowną odpowiedź, wzdłuż szeregu pomknął rozkaz i lewe skrzydło się zatrzymało. Ponad cztery tysiące gotowych do walki ludzi stanęło z Miltiadesem. Ksantyppos zmilczał. Podstawą dyscypliny było podporządkowanie się archontowi, utrzymanie szyku. Zaufanie polegało na przyjmowaniu rozkazów od dowódcy, którego zgromadzenie upoważniło do ich wydawania. Pomyślał o żonie: co ona by teraz powiedziała? Agarysta zdawała się nie pojmować jego szacunku dla starszych i przełożonych. Twierdziła, że Miltiades jest głupcem, stracił całą rodzinną fortunę w kopalniach srebra w Tracji, które przepadły na rzecz perskiego króla.

Obaj patrzyli sfrustrowani, jak Grecy pod dowództwem Temistoklesa i Arystydesa pochylają włócznie i ciasno zwierają tarcze. Nieśmiertelni widzieli teraz przed sobą jedynie złoto: hełmy, tarcze i nagolenice oraz włócznie wyglądające jak las drzew o żelaznych liściach.

Ksantyppos popatrzył na Miltiadesa. W tej chwili bardzo chciał otrzymać od niego rozkaz dołączenia do ataku. Pod nieobecność Kallimacha archont stał nieruchomo, jakby przysłuchiwał się debacie na agorze. Prawą stopę lekko wysunął do przodu, a głowę przechylił, jakby opierał ją na włóczni. Jego tarczę wciąż trzymał niewolnik. Strateg w myślach nakazał sobie czekać, zachować cierpliwość. Rozkazy, które otrzymał, były jasne. Platejczycy obserwowali tę scenę ze zdziwionymi minami, ponieważ nie rozumieli, dlaczego zaszli tak daleko jedynie po to, żeby teraz stanąć z boku. Ksantyppos musiał posłuchać

rozkazu. Alternatywą było ściągnięcie hańby na siebie, swoją fyle – i na swoją żonę. Gdyby wrócił do domu w niesławie, Agarysta nigdy by mu nie wybaczyła. Tego mógł być pewien. Gdyby musiał wybierać pomiędzy godną śmiercią, wśród podziwu żołnierzy, a przeżyciem i pozostawieniem honoru na polu bitwy, wiedział, że Agarysta wolałaby, aby zginął. Wydobył z siebie gardłowy charkot. Był to niemal zwierzęcy odgłos wielkiej frustracji.

6

Temistokles zajął miejsce w pierwszym szeregu. Biało-czarny pióropusz na hełmie, który podał mu pomocnik, wyróżniał go z tłumu. Zastanawiał się też, czy nie przywdziać chlamidy, podobnie jak Spartanie, lecz w innym kolorze. Nie zdążył podjąć decyzji, nim zabrzmiał rozkaz sformowania szyku, i teraz tego żałował. Ludzie musieli go przecież dobrze widzieć – podpowiadał mu to zarówno instynkt, jak i rozsądek. Jeżeli kiedykolwiek ma stanąć na czele Aten, powinien dzisiaj zaryzykować własne życie niczym pionek w grze. Była to prosta prawda. Nie stała za nim bogata rodzina jak za Ksantyposem i nie mógł też z ubóstwa i prostoty życia uczynić cnoty jak Arystydes. Zanadto uwielbiał sympozjony i wino!

Armie zbliżały się do siebie, a wśród śpiewu rozległy się szepty modlitw. Wreszcie żołnierze ucichli, koncentrując się na ustawieniu idealnie równych szeregów. Temistokles nie zdołał się powstrzymać od rzucenia okiem na dziwny pawilon wzniesiony na tyłach armii perskiej. Mógł w nim przebywać jedynie ich król; wzgórze dawało mu doskonały widok na równinę. Królewską pozycję otaczało przynajmniej tysiąc żołnierzy, dlatego ewentualny atak raczej nie mógł zakończyć się powodzeniem. Każdy oddział, który ruszyłby w jego kierunku, natychmiast odsłoniłby flankę przed Nieśmiertelnymi. Dariusz mógł obserwować bitwę zupełnie bezpiecznie, podobnie jak tłumy oglądają dramaty w teatrze Dionizosa w Atenach. Temistokles wydał wargę. Tego dnia bóg-król był zaledwie widzem, a oni jego aktorami.

Nieśmiertelni przygotowali miecze, lecz Temistokles dostrzegł strach w ich zachowaniu. Oglądali się za siebie, czekając na nowe rozkazy, gdyż zrozumieli już, jakie zagrożenie się do nich zbliża. Długie włócznie ciasno skupione na dużej przestrzeni dawały mrozący efekt.

– Leontis, przygotować się! – zawołał do swojej fyli. Następnie krzyknął do wszystkich otaczających go żołnierzy: – Ateny, przygotować się!

Wszyscy byli jego ludźmi. Nie dbał o to, którą fylę przypisał Ksantypposowi jakiś wuj spokrewniony z nim dzięki jego małżeństwu z Agarystą. On był Ateńczykiem! Biegał po ulicach tego miasta jako chłopiec, przeskakiwał nad rynsztokami, z których ścieki wylewały się po każdym deszczu. Kilka razy się poślizgnął i wylądował w nieczystościach. Zaśmiał się na te wspomnienia. Latami każdego ranka ćwiczył sztuki walki, uczył się, obserwując innych, i dorastał tak szybko, że starsi mężczyźni bledli na myśl o chwili, kiedy zaczną regularnie bić się z nimi na ubitej ziemi. Pięściarstwo albo zapasy: każdy styl walki mu odpowiadał. Lubił się bić, a wszystko, co osiągnął, było efektem pracy jego własnych rąk. Temistoklesa rozpierała duma. Arystydes mógł imponować powagą i zimną logiką. Ksantyppos mógł się uważać za ważniejszego od innych, chociaż całą swoją fortunę i wpływy zyskał tylko dzięki małżeństwu. To Temistokles był nową Helladą i tego dnia dorównywał pozostałym strategom. Roześmiał się głośno do tej myśli, a otaczający go żołnierze zareagowali uśmiechami.

– Widzicie ich strach? – zawołał nad głowami towarzyszy. – Przygotować włócznie! I chcę słyszeć flety!

Nowy rytm wypchnął do przodu żelazne ostrza, szybkie i bezwzględne. Było to jedno z odkryć tego wieku – muzyka wzmacniała serca i siłę mężczyzn. Walka przy głośnej muzyce wydawała się łatwiejsza, żołnierze szybciej reagowali wtedy na rozkazy.

– Widzicie naszych wrogów? Dostrzegacie ich strach? No to do ataku! – krzyknął Temistokles i obnażył zęby w szerokim uśmiechu.

Pozostali stratedzy głośno powtórzyli jego rozkaz. Hoplici biegiem ruszyli do przodu. Strzały świszczały im nad głowami i spadały na ziemię, gdyż łucznicy źle ocenili prędkość Greków.

Armie starły się i długie włócznie zaczęły przebijać zbroje i ciała. Cofnąwszy broń, całą we krwi, Grecy zwarli tarcze i wydali okrzyk wojenny wzmocniony dudnieniem bębnów i wysokimi dźwiękami fletów. Ich włócznie wystawały zza tarcz na wysokość człowieka. Nieśmiertelni próbowali je odpychać, lecz żelazne groty bezustannie ich kęsały, dźgały, wbijały się w nich i było ich tak dużo, że uniki okazywały się bezskuteczne.

Rozpoczęła się rzeź – błyskawiczna i brutalna. Długie włócznie szukały wroga, z desperacką siłą pchane przez mężczyzn, których nauczono celować w punkty niewiele większe od męskich pięści. Dźgali Persów w uda, twarze, we wszystkie widoczne skrawki ciał. Nie wszystkie ciosy były dobrze wymierzone, lecz powtarzały się jakby w rytmie dziwnego wojennego tańca, podawanym przez bębny i flety, wydawałoby się – bez końca. Tarcze Greków były zaś na tyle duże, że chroniły ich przed ciosami. Persowie nie byli w stanie znaleźć ich słabych stron, widzieli tylko hełmy i równo przyszczyżone pióra, a później wielkie tarcze i niżej nagolenice z brązu.

Długie peleryny Nieśmiertelnych nie chroniły przed ostrzami włócznie, które uderzały, cofały się i uderzały znowu, dwukrotnie, przy każdym kroku hoplity. Persowie zaczęli się cofać, z wielu przez krwawe rany uciekało już życie, inni po prostu szukali przestrzeni, z której mogliby wyprowadzić kontratak przeciwko żelaznemu lasowi włócznie.

Nie mogli liczyć nawet na chwilę wytchnienia. Falanga napierała, nie dając wrogowi szansy ani na oddech, ani na atak. Grecy parli jak tarany, a gdy któryś upadł, mijano go, odciągano do tyłu i jego miejsce natychmiast zajmował następny. Siła natarcia była przeogromna. Kiedy tempo trochę zwolniło, wojownicy z pierwszych szeregów z trudem odwodzili ręce, żeby wyprowadzić kolejne uderzenia, bo zaraz za ich plecami znajdowali się kolejni hoplici ze

wzniesionymi tarczami. Mogli tylko podążać do przodu lub paść na ziemię. Temistokles był wśród nich.

– Wyrównać szereg! – krzyknął nagle z wyraźnym niezadowoleniem.

Pchnął włócznią, celując pod tarczę Persa po jego prawej stronie. Poczł opór i drżenie, co oznaczało, że trafił w żywe mięso. Dobrze. Ponieważ szeregi były zwarte, nie miał pewności, który z zakrwawionych Persów przyjął jego cios. Jego rząd wciąż napierał i kiedy zaczął przechodzić nad leżącymi na ziemi wrogami, hoplici wyciągnęli sztylety, żeby podrzynać gardła zarówno martwym, jak i wciąż żywym. Nikt nie chciał nabrać się na udawaną śmierć, nikt nie miał zamiaru okazywać litości. Mieli do czynienia z najeźdźcami, którzy przybyli tutaj z zamiarem zniewolenia Grecji. Temistokles po raz kolejny zawołał z całych sił:

– A wy co, jesteście Tebańczykami, że walczyacie tak nieudolnie? Jesteście metojkami nie wiadomo skąd? Niewolnikami? Nie chcę umrzeć dzisiaj ze wstydu z waszego powodu. Postarajcie się trochę, dobrze? Na Aresa, naprawdę chcecie zawstydzić swojego przywódcę? Chcecie mnie zawstydzić przed Arystydesem?

Zdawał sobie sprawę, że w emocjach ma w zwyczaju głośno wyładowywać swoją złość. Nie był pewien, czy jego nawoływania i kpiny odnoszą jakiś skutek, ale kilku żołnierzy się uśmiechnęło. Później słyszał, jak ci, którzy przetrwali bitwę, go cytują. Doceniali więc te zagrzewające okrzyki w chwilach, kiedy długość ich życia odmierzają uderzenia serca, a w spoconych dłoniach tkwiły śliskie włócznie.

To nie mogło jednak trwać w nieskończoność. Persowie zaczęli wyrywać włócznie z rąk hoplitów. Chwyтали je albo uderzali w drzewca mieczami, nie pozwalając, aby zadawały skuteczne ciosy. W litej ścianie sterczących grotów pojawiły się wyrwy, bo Nieśmiertelni nie ustawali w wysiłkach, żeby zatrzymać natarcie. Ich król obserwował wszystko z pawilonu w odległości zaledwie nieco ponad kilometra.

Grecy, którzy stracili włócznie, dobywali mieczy. Tarcze wciąż tkwiły w linii, jakby je sklejonu. Każdy z hoplitów osłaniał towarzysza po lewej stronie, a sam

osłaniany był przez tego, który walczył po jego prawej. Ostrza dźgały każdego Persa, który próbował ten szyk naruszyć.

Persowie przyzwyczajeni byli do wybijania oddziałów, które nie mogły sprostać nawale łuczników, a tym bardziej nie potrafiły walczyć w uporządkowanym szyku bitewnym. Kiedy pojedynczy Nieśmiertelni, uniknąwszy włóczni, stawali przed rzędem tarcz, mogli tylko uderzać w nie i w hełmy z brązu, a tymczasem hoplici zadawali im ciosy zarówno tuż nad ziemią, jak i wyżej, rozbijając im głowy, dźgając stopy. Szczególnie upodobali sobie złote opaski na ich czołach.

Mimo ogromnych strat Persowie zdołali zapanować na strachem i wyrównać szeregi. Datys wydał nowe rozkazy. Ci, którzy znaleźli się pomiędzy długimi włóczniami, porzucili teraz miecze i nie zważając na własne rany, dążyli do tego, aby przed śmiercią wyrwać z rąk przeciwników jak najwięcej broni. Była to zdumiewająca taktyka i okupowali ją życiem setek ludzi, zwłaszcza gdy Temistokles się w tym zorientował i też wydał odpowiednie polecenia. Persowie pręży do przodu w samobójczych atakach byli odtąd zabijani już w chwili, w której zdradzili zamiar unieszkodliwienia włóczni.

Bitwa trwała w najlepsze, dobrze radziło sobie prawe skrzydło złożone z ośmiu szeregów, lecz Temistokles dostrzegł nagle, że Persowie zaczynają otaczać lewą flankę. Prawa była słaba w tym miejscu, w którym kończyła się zaporą z tarcz. Zachowanie jej siły miało sens, nawet kosztem centrum i lewego skrzydła. Przyjął to, chociaż niechętnie. Jak długo mogła jednak utrzymywać się taka sytuacja? Nie miał pojęcia. Wydawało mu się, że walczy już godzinę albo dłużej, ale słońce na niebie tkwiło w tym samym miejscu, jakby ktoś je tam namalował.

Zaklął, kiedy kolejny deszcz kamieni i strzał wywołał okrzyki bólu hoplitów w centrum. Gdzie był Ksantyppos, kręcący nosem na wszystko, co czyni życie przyjemnym? Gdzie był Miltiades w chlamidzie, która miała maskować wystający brzuch? Lewe skrzydło pozostało z tyłu, przez co perscy łucznicy i procarze nabrali odwagi. Kiedy zwały się główne siły obu armii, wycofali się

w stronę morza. Zobaczywszy, że lewa flanką Greków nie kwapi się do boju, zakradli się w ich kierunku cicho jak muchy, aby po chwili rozpocząć kanonadę. Salwy nie były tak zmasowane jak na początku, lecz z każdą chwilą strzelali energiczniej i celniej.

Temistokles zablokował tarczą potężny cios i ryzykując życie, zerknął do tyłu. Zobaczył, że lewe skrzydło ich armii wciąż czeka, stojąc spokojnie na piasku, gdy tymczasem pozostali walczą i się wykrwawiają. Wydawało mu się, że przez chwilę kątem oka widzi Miltiadesa trwającego beczynnie jak dziwka na rogu ulicy w oczekiwaniu na klienta. W duchu zaczął się modlić, aby wreszcie ruszyli im z pomocą albo żeby przynajmniej on sam ze wsparciem bogów przetrwał bitwę i mógł ich potem pozabijać. Jeżeli zdradził Ksantyppos, zrobił to zapewne z obawy przed sławą i popularnością, których nigdy nie był w stanie docenić. Jeżeli zdradził Miltiades... to na pewno w zamian za złoto. Ten staruch zawsze był chciwy, Temistokles dobrze o tym wiedział. Krążyły pogłoski, że Miltiades roztrwonił cały rodzinny majątek. Niektórzy mężczyźni łakną władzy, a inni złota – Temistokles potrafił to zrozumieć. Łatwe życie stanowi pokusę, szczególnie dla tych, którzy kiedyś zaznali głodu. On sam poznał go również, i to w nadmiarze...

Z zamyślenia wyrwało go nagłe szarpnięcie. Któryś z Persów wytrącił mu włócznię. Temistokles zaklął i dobył miecza.

– Wyrównać szereg! – wrzasnął.

Arystydes znajdował się gdzieś po jego lewej stronie razem ze swoją fyle Antiochis. Zaczęli się wycofywać i ku swojej wściekłości oraz przerażeniu Temistokles ujrzał, że jego ludzie idą w ich ślady. Nie dawali rady wznosić tarcz dla osłony przed strzałami i kamieniami ani utrzymać szyku bojowego. Narastał w nich strach i drobnymi krokami, szurając stopami, nieuchronnie oddalali się z placu boju. Temistokles zaklął tak siarczyście, że któryś z hoplitów aż się roześmiał.

– Na mój znak i ani chwili wcześniej! – wrzasnął. – Odetchniemy trochę, ale nie pozostawimy na tym polu ani krztyny naszego honoru. Na pewno nie sprawią tego ci Persowie! Sześć kroków do tyłu i przegrupować się. Atakujemy dopiero

na mój znak! Widzę cię, Ksias! Postąpisz krok, zanim wydam rozkaz, a już nigdy nie zadowolisz żony.

Groźba była szokująca, ale poskutkowała i w szeregi powróciła dyscyplina. Hoplici zajęli pozycje, a Temistokles stanął pośrodku szeregu. Pomyślał, że na zawsze zapamięta tę chwilę, powietrze na moment odurzyło go jak wino.

– Sześć kroków... teraz!

Zaczął głośno odliczać, kiedy jego ludzie ruszyli do przodu. Postępowali równo, spokojnie, mimo że Persowie wydali triumfalny okrzyk i runęli z naprzeciwka, pewni, że szala zwycięstwa przechyla się na ich stronę.

– Utrzymać szereg! Utrzymać! – komenderował Temistokles. – Zewrzeć tarcze. Persowie muszą zapłacić za nasze ofiary. Pomyślcie tylko, że mogliby pomaszerować na Ateny, a później chwycić wasze córki za gardła. Zachowajcie zimną krew. Podnoście z ziemi włócznie. Kiedy to zrobicie, wymienimy pierwszy szereg. Czy *epistatai* są gotowi? Tak czy nie? Druga linia! Ci z tyłu! Odpowiedzcie mi, leniwe sukinsyny, słyszycie mnie?!

Epistaci zapalczywie odpowiedzieli wprost ze środka kolumny. Walka trwała, a towarzyszyły jej szalony hałas, wściekłość i strach. Temistokles się uśmiechnął.

Do tej pory wykrzykiwał gorączkowe rozkazy, ale teraz zamilkł. Szeregi Greków się wyrównały. Zobaczył, że Arystydes wykorzystał okazję, aby też wrócić do boju. Gdyby został sam, Persowie wyrznęliby jego ludzi w pień. Nieśmiertelni bili się z determinacją, o której wiele słyszał i której się po nich spodziewał. Falanga powinna ich zmieść, a jednak przetrwali. Tylko Atena wiedziała, jak wielu ich już zginęło. Na ziemi leżało mnóstwo Persów, a w suchy jak pieprz grunt błyskawicznie wsiąkała ich krew. Temistokles zadrżał. Nie chciał, żeby dzisiaj także jego krew zrosiła ziemię. Zbyt mocno kochał słońce.

– Epistaci w drugim szeregu, przygotować się! Protostaci w pierwszym szeregu, przygotować się!

Temistokles już ochrypl, usłyszał jednak, jak jego rozkazy powtarza Arystydes. Bez wątpienia jego fyle była równie wycieńczona jak pierwszy szereg Leontis. Odetchnął głęboko. Wymiana szeregów w trakcie bitwy była

niebezpiecznym posunięciem, lecz mogła się bardzo opłacić. Oczywiście, jeżeli Persowie znali grecki, w takiej chwili mogło dojść do masakry.

– Pierwszy szereg protostatów, do tyłu! Drugi szereg epistatów, naprzód! Iii... zewrzeć tarcze!

Wymiana odbyła się wolniej i w większym chaosie, niżby sobie życzył. W tym momencie Temistokles był szczerze zadowolony, że na polu bitwy nie ma Spartan, którzy wyśmialiby ten manewr. Nieśmiertelni skoczyli do przodu i zabili kilku Greków, którzy odwrócili się do nich plecami, i jednocześnie spróbowali przeniknąć pomiędzy hoplitów nowego pierwszego szeregu. Temistokles widział, jak padają na ziemię mężczyźni, których dobrze znał, ale w końcu pierwszy szereg utworzył zwarty szyk w miarę wypoczętych ludzi pragnących zabijać.

– Na mój sygnał! Sześć kroków do tyłu! Sześć kroków na mój sygnał. Przygotować włócznie! – wrzasnął nad ich głowami.

W ferworze walki trudno go było usłyszeć. Poza tym nikt nie chciał się teraz cofać. Ludzie ogarnięci byli morderczym szałem, odbierali życie ciężko dyszącym Nieśmiertelnym, którzy jeszcze przed chwilą mieli nadzieję, że są bliscy przełamania frontu wroga.

– Sześć kroków... teraz!

Dobywszy z gardeł wściekłe wycie, ludzie Temistoklesa się cofnęli. Za drugim razem wymiana szeregów przebiegła sprawniej, nikt się nie odwrócił i wszyscy cofający się wbijali spojrzenia w Persów, którzy na próżno cięli mieczami powietrze. Kiedy Temistokles liczył kroki, hoplici się wymienili. Wzniesli tarcze, a niektórzy zdołali sięgnąć po włócznie z ziemi. Przed Nieśmiertelnymi ponownie wyrósł ostry cierniowy las.

– Teraz, naprzód! – krzyknął Temistokles pełnym głosem.

Nie miał przed sobą żadnego wroga w zasięgu miecza, a tymczasem przekłęci łucznicy i procarze znowu rozpoczęli ostrzał, siejąc śmierć wśród jego ludzi. Gdzie był Miltiades? Persowie nie mieli już żadnych odwodów poza strażą królewską. Rzucili na Hellenów wszystkie siły, jakie wylądowały na plaży. Co

więcej, szala zwycięstwa przechylała się na ich stronę – zwycięstwa, którego źródłem musiały być złoto i zdrada. Nie dało się tego wyjaśnić w inny sposób.

7

Ksantyppos obserwował zmagania Temistoklesa i Arystydesa w centrum, jak w uporządkowany sposób wymieniają ludzi w pierwszym szeregu, przegrupowując falangę. Szło im dobrze, chociaż stracili połowę dystansu, który zdobyli w pierwszym ataku. Zaczynało już brakować im sił, wielu było rannych. Zresztą wojownicy obu stron z trudem trzymali się na nogach. Walka pozbawiała energii nawet najsprawniejszych. Popołudniowe słońce znacznie się przesunęło na niebie, a ziemia wchłonęła krew setek ludzi. Wydawało się jednak, że Persów wcale na polu bitwy nie ubywa. Walczyli z ogromnym zacięciem, obserwowani przez króla z pawilonu na wzgórzu i przez jego strażników, doskonale nieruchomych, jakby przypatrywali się po prostu jakiejś wystawie, a nie walce, której stawką było przetrwanie miasta i państwa.

– Widzisz? – zapytał Epikleos. – Wracają ich łucznicy.

Stał w pierwszym szeregu obok Ksantypposa. Obaj postąpili kilka kroków do przodu, chcąc widzieć każdy szczegół. Procarze i łucznicy wycofali się, kiedy tylko rozgorzała bitwa, gdy ich pociski mogły stanowić takie samo zagrożenie dla swoich jak dla wrogów. Ale widząc, że całe lewe skrzydło Greków tkwi bez ruchu z tyłu, zaczęli wracać i ponownie strzelać z łuków i proc. Byli jednak w zasadzie bezbronni i Ksantypposa korciło, żeby ich zaatakować.

Pierwszy szereg jego ludzi przesunął się nieznacznie do przodu, kiedy pchnęli go żołnierze z tylnych rzędów, ciekawi wydarzeń na polu bitwy. Ci niżsi już z drugiego i trzeciego szeregu nie widzieli właściwie nic. Dlatego napierali na

tych, którzy stali przed nimi i głośno przeklinali, z każdą chwilą coraz bardziej przejęci i zdenerwowani.

Ksantyppos dostrzegł z ulgą, że przed frontem lewego skrzydła biegnie w jego kierunku Filippides.

– Najwyższy czas – rzucił Epikleos.

Herold Miltiadesa skłonił głowę. Strateg zauważył, że młodzieniec jest już mniej wytworny i opanowany niż zazwyczaj.

– Archont prosi, abyście wyrównali szyki. Wasze niezdyscyplinowanie zostało zauważone. Macie trwać na wyznaczonej pozycji. Miltiades nakazał mi zapytać każdego stratega, czy zrozumiał rozkaz.

Ksantyppos nie zareagował. W milczeniu wbił spojrzenie w długonogiego herolda, a ten z konsternacją zmarszczył czoło.

– Strategu? – odezwał się dość niepewnym głosem.

– Poczekaj – mruknął Ksantyppos przez zaciśnięte zęby.

Ponad jego głowę popatrzył na zastępy łuczników przekradających się na pole bitwy, a potem ku środkowi greckich szyków, gdzie trwała szaleńcza bitwa hoplitów i Nieśmiertelnych; lewa flank hoplitów była straszliwie obnażona. W końcu spojrzął wzdłuż szeregu w stronę Miltiadesa, który obserwował jego spotkanie z heroldem. Twarz archonta wykrzywił grymas złości.

– Powiedz Miltiadesowi, że przyjmuję rozkaz do ataku – powiedział.

Epikleos się roześmiał i klepnął go w ramię, a zdumiony herold szeroko otworzył usta.

– Strategu... – wystękał po chwili. – To nie jest...

Jego kolejne słowa pochłonięte zostały przez nowe rozkazy i okrzyki, które rozległy się w szeregu. Epikleos wrzasnął tuż przy lewym uchu Filippidesa. Młodzieniec zrobił krzywą minę i się wycofał.

Tymczasem z przodu spora grupa perskich łuczników ruszyła biegiem. Zerkali na boki, na stojące nieruchomo zastępy Greków, obawiając się ataku z ich strony. Oni pierwsi zauważyli, że ich lewe skrzydło ożywa i podąża za Ksantypposem oraz fylą Akamantis. Ruszyli za nim Platejczycy, zadowoleni, że wreszcie będą

mogli spełnić obietnicę, którą honor nakazał im złożyć dawno temu. Wiele lat wcześniej Ateńczycy ich ocalili. Teraz znaleźli się na równinie pod Maratonem, żeby spłacić dług, a nie obserwować rozgrywającą się tragedię.

Łucznicy zmienili cel ataku i zasypali ich strzałami, tymczasem wzmocnieni kolejną grupą. Ksantyppos zaklął. Nienawidził łuczników niemal równie mocno jak jazdy. Jego próba odwrócenia rozkazu Miltiadesa poskutkowała wielkim zamieszaniem. Nie wszystkie fyle na jego skrzydle się ruszyły, a te, które rozpoczęły marsz, kontynuowały go w chaosie. Siły zgromadzone wokół Miltiadesa ni to posuwały się do przodu, ni to czekały na rozkazy. Bez wątplenia źródłem konfliktu był sam archont żądający wyjaśnień, co właściwie myślą sobie jego stratedzy.

– Do diabła! – krzyknął Ksantyppos. – Akamantis! Platejczycy! Wznieść tarcze!

Tymczasem perscy łucznicy i procarze się rozochocili, zadowoleni z sukcesu pierwszej grupy. Skoro hoplici w zasadzie wciąż się nie ruszali, mogli strzelać do woli. Strateg pomyślał, że nie spoczną, dopóki ktoś ich nie powstrzyma, i ruszył ze swoimi ludźmi do przodu. Nie dbał już o tych, którzy zostali z tyłu. Skupił się teraz wyłącznie na łucznicach i procarzach celujących w jego stronę. Z trudem przełknął ślinę, kiedy nad jego głową przeleciała pierwsza salwa. Wszyscy łucznicy wiedzieli, że jest w tej chwili bezbronny. Wszyscy mierzyli do Ksantypposa i chaotycznie nacierających Greków.

Już po chwili dyszał ciężko, wydawało mu się, że w ustach ma klej. Czteryście kroków dzieliło go od pierwszego rzędu perskich łuczników. Szeregi jego hoplitów były poszarpane, a ponieważ ludzie nie trzymali tarcz nad głowami, groziło im, że zaczną masowo ginąć. Chaotyczne natarcie było marzeniem każdego łucznika. Ich część wciąż się cofała tylko dlatego, żeby ta sytuacja trwała jak najdłużej. W końcu sformowali szyk w odległości dwóch stadionów od ludzi Ksantypposa. Był tylko jeden sposób, żeby odebrać przewagę Persom, chociaż w upale i w zbrojach z brązu niemal niewykonalny. Trzeba było jak

najszybciej pokonać odległość czterystu kroków, mimo że na całej drodze czekała śmierć.

Zabrał bukłak żołnierzowi z drugiego szeregu, zwilżył usta i wymamrotał nieskładne podziękowania.

– Do ataku, Akamantis! Naprzód, Ateny! Dla Ateny! Do ataku!

Wysoko uniósł tarczę i co sił w nogach pobiegł na wroga. Miał przed sobą tysiące łuczników, a każdy zdawał się celować właśnie w niego. Pochwycił spojrzenie Epikleosa, który biegł obok. Obaj byli wystarczająco sprawni, by szybko się poruszać w pełnej zbroi, strateg czuł jednak przejmujący i nasilający się ból w kolanie.

Za nim runęła reszta fyli Akamantis wchodzącej w skład lewego skrzydła. Hoplici mieli już dość wyczekiwania. Okrzykami dodawali sobie odwagi i mknęli po piachu, chcąc jak najszybciej dopaść łuczników. Szybko zaczęły im doskwierać ciężkie nagolenice, tarcze, miecze i włócznie. Ich twarze nabiegły czerwienią, ciała błyszcząły potem, lecz nie zwalniali.

W powietrzu świsnęły strzały i trafiły kilku żołnierzom na samym końcu, bo łucznicy znowu źle ocenili prędkość biegnących żołnierzom w zbrojach. Przyzwyczajeni byli do rażenia celów poruszających się powoli, a nie nacierających na nich rozwrzeszczanych szaleńców z włóczniami.

Dobiegłszy do łuczników, Ksantyppos znów opuścił tarczę. Z Epikleosem u boku używał jej jak taranu. Pary hoplitów były najmniejszymi jednostkami armii greckiej – pary mężczyzn, którzy wspólnie się szkolili i ćwiczyli przez wiele lat. Ich rodziny się przyjaźniły i strateg czuł się zaszczycony, że Epikleos zginie w bitwie razem z nim.

Szeregi Akamantis i Platejczyków zwały się z łucznikami i rozpoczęły rzeź przypominającą ubój zwierząt ofiarnych w świąteczny dzień. Krew tryskała z ran, Persowie jeden po drugim padali na piasek, a Grecy ruszali dalej, chcąc dopaść wrogów na plaży bynajmniej niepalących się do walki. Ksantyppos roześmiał się niemal z ulgą, kiedy falanga Akamantis zaczęła tworzyć zwarty szyk.

Ich obecność nie umknęła uwagi wrogów. Najbliżsi Persowie znowu zaczęli się rozglądać w oczekiwaniu na nowe rozkazy albo w poszukiwaniu drogi ucieczki. Grecy z centrum skrzykiwali znane sobie fyle, zarówno ze złością, jak i w radosnym powitaniu. Wciąż mieli przed sobą ciężką walkę i Ksantyppos odczekał, aż ludzie utworzą szyk i zaporę z tarcz. Zobaczył, że Miltiades przybiegł za nimi. Archont nawet nie spojrział w jego stronę. Miał równie czerwoną twarz jak pozostali żołnierze, jakby spaliło ją słońce. Być może doskwierało mu, kiedy stał i obserwował bitwę. Ksantyppos zadał sobie pytanie, czy Miltiades będzie później narzekać na swoich strategów. Przysięgł sobie, że jeżeli tak się stanie, i on wystąpi z zarzutami. Jego ludzie zbyt długo tkwili bezczynnie na skrzydle. Nawet jeśli przyczyną nie była świadoma zdrada, oskarżenie o nią Miltiadesa nie zawadzi.

Lewe skrzydło parło do przodu jak jedno ciało: po ataku na Persów wszyscy zapomnieli o podziałach i wzajemnej rywalizacji. Nawet gdy już razem z towarzyszami włóczył odbierał życie pierwszym wrogom, Ksantyppos nie był pewien... Nie, w głębi serca jednak wiedział, że Miltiades został przekupiony.

Walka rozgorzała na długości całego szeregu i tylko mokradła zapobiegły dalszemu wydłużeniu krwawego frontu. Strateg bił się w milczeniu, z zaciśniętymi zębami, a tymczasem światło słoneczne powoli bladło, zapowiadając wieczór. Lubił tę porę najbardziej, lubił, kiedy temperatura się obniżała i nastawała chłodniejsza część dnia. Walczył ramię w ramię z ludźmi ze swojego miasta i razem z nimi zabijał, chociaż kolano bolało go tak, jakby ktoś je podpalił. Nie mógł już opierać na nim ciężaru ciała.

Temistokles i Arystydes dzielnie poczynali sobie w centrum. Po lewej stronie Ksantyppos i Epikleos cięli Persów z ponurą rozkoszą, posługując się włóczniami, później mieczami, zdobywali teren w zdyscyplinowanej formacji, która atakowała, robiła krok do tyłu i po chwili znowu ruszała naprzód. Pchnięcie, wycofanie, zasłona z tarcz i kolejny krok w przód. Wrogowie pod nogami Greków byli zdeptywani i otrzymywali ciosy, po których żaden już nie mógł się podnieść.

Persowie oddawali pole, mimo że obserwował ich sam król. Ksantyppos w pewnej chwili zobaczył, że jego strażę rozbierają królewski pawilon, nie potrafił jednak odgadnąć dlaczego: czy władca postanowił wrócić na morze i dać swoim ludziom sygnał do odwrotu, czy też nadciągający pogrom kazał wielkiemu królowi po prostu jak najszybciej uciekać, zanim Grecy wpędzą go w nieuchronną pułapkę na plaży.

Bitwa zamieniła się w brutalną rzeź. Strateg całkowicie stracił głos i musiał polegać na Epikleosie; teraz to on wykrzykiwał rozkazy, dzięki którym udawało się zachować dyscyplinę. Cofający się Nieśmiertelni czuli już morze za plecami. W ciężkich pelerynach nie mogli pływać. Kiedy fale obmyły im stopy, desperacka walka straciła sens. Utrzymywanie przez Hellenów zdyscyplinowanego szyku i szczelnej zasłony z tarcz ponownie dowiodło swej wartości na polu bitwy. Woda w morzu zabarwiła się na czerwono, gdy Persowie padali w nią jeden po drugim. Król przedostał się na pokład swojego okrętu i wypłynął na otwarte morze. Jego strażnicy w potrójnym szeregu bronili okrętu, kiedy spychano go na wodę. Ocalili króla, ale sami nie zdążyli już uciec.

Ksantyppos zobaczył Miltiadesa wśród Greków, którzy zmagali się z nimi na płyciźnie. Cięli ich, dźgali i dobijali tak długo, aż królewscy strażnicy podzielili marny los rodaków. Przyszło mu do głowy, że po ucieczce króla Persowie utracili wolę walki, bo w zmaganiach ze zmęczonymi hoplitami nie dawali już z siebie wszystkiego. Tymczasem obywatele Aten walczyli o coś więcej niż króla. I chyba to przesądziło sprawę.

Temistokles poprowadził swoją fyle z centrum zwartym blokiem do przodu, aby dorżnąć pozostałych przy życiu procarzy i łuczników. Twardzi Etiopczycy i Egipcjanie, uzbrojeni w noże i pałki, ginęli potulnie jak owieczki, szlachtowani przez hoplitów. Trwało to aż do zmierzchu, wtedy Arystydes podpalił pozostałe na plaży okręty, aby można było ogarnąć wzrokiem miejsce rzezi. Żadnemu Persowi na lądzie nie darowano życia, żaden z nich nie miał już nigdy rabować, gwałcić ani zabijać niewinnych ludzi.

Zwłoki unosiły się gęsto na wodzie jak rozrzucone jabłka, kiedy morze w nocy się uspokoiło. Bitwa dobiegła końca, gdy księżyc stał wysoko na letnim niebie. Miltiades wystawił warty i nakazał Filippidesowi, aby pobiegł do Aten z wiadomością o zwycięstwie. Tej nocy wszyscy Ateńczycy mieli świętować. Kobiety i starcy, chromi, chorzy oraz dzieci mieli dziękować bogom za ocalenie.

Kolejne ogniska coraz jaśniej oświetlały plażę. Wrzucano do nich krzewy kopru, żeby nasycić powietrze słodkim zapachem. Ksantyppos sprawdzał, czy ludzie z jego fyli są cali i zdrowi, czy zadbano o rannych. Wkrótce w kolumnie z zaopatrzeniem dotarły bandaże. Przy blasku płomieni zszywano rany i przemywano je winem. Martwych zamierzano spisać rano, w świetle dnia. Większość Greków, którzy przeżyli bitwę, siedziała lub klęczała tam, gdzie się znajdowali, kiedy dobiegła ona końca. Byli wyczerpani i zaszokowani tym, co widzieli i czego dokonali.

8

Ksantyppos stał w ciemności z zamkniętymi oczami. Blask niedalekich, wesoło trzaskających ognisk przenikał jego powieki pomarańczową barwą. Wiedział, że nie zaśnie, chociaż bolały go wszystkie mięśnie i ścięgna, a kolano właściwie było już całkiem do niczego. Spuchło tak mocno, że stało się dwa razy grubsze niż normalnie, i musiał się pilnować, żeby nie wyć z bólu przy każdym ruchu. Najłatwiej było mu stać beczynn timer w miejscu. Doczekał się nawet prezentu od Epikleosa, który rzucił mu bukłak z rozcieńczonym winem, zmieszonym przynajmniej pół na pół z wodą. Nie zapytał przyjaciela, skąd wziął tak cenną zdobycz, upragnioną przez każdego żołnierza i oficera po bitwie. Wino trochę spowolniło jego myśli, niczym sieć na ryby zarzucona w rzece. Mimo wyczerpania nie potrafił się pozbyć przed oczu scen z dzisiejszego dnia.

Podjął krótki spacer wzdłuż brzegu z nadzieją, że miarowy szum fal go ukoi. Lecz na wodzie wciąż unosiły się zwłoki, których widok przyprawiał go o drżenie. Wydawało mu się, że z oddali dociera jakiś głośniejszy dźwięk, i wyobraził sobie bestię wynurzającą się z głębin i pożerającą zmarłych. Zrozumiał, że dzisiaj nigdzie nie zazna spokoju, i wrócił do miejsca, w którym zgromadziła się jego fyle, a Epikleos złożył na piasku nagolenice, tarczę, włócznię i miecz stratega. Wymalowany lew był poważnie zniszczony. W świetle ogniska Ksantyppos dostrzegł, że przyjaciel otrzymał kilka poprzecznych cięć, porozrywana skóra lśniła teraz jaśniejszym odcieniem. On sam nie odniósł żadnej rany. Po powrocie do domu powie Agaryście, że to lew przyjął ciosy przeznaczone dla niego. Będzie zadowolona.

Członkowie fyli Akamantis odpoczywali na piasku, na skraju płaskowyżu, gdzie grunt był twardy. Ksantyppos słyszał sapanie zmęczonych ludzi leżących na plecach z otwartymi oczami. Inni rozmawiali półgłosem w małych grupach, wciąż przeżywając niedawne wydarzenia. Znał ich wszystkich. Od niektórych kupował zboże, wspólnie z innymi inwestował pieniądze. Z ust wielu wysłuchiwał przemówień i argumentów w dyskusji podczas obrad zgromadzenia, kiwając z aprobatą głową i proponując głosowania. Osiemnastolatkiem na tyle już odzyskali siły, że w ciemnościach ruszyli z powrotem na pole bitwy, poszukując monet, pierścieni albo tych intrygujących złotych przepasek na czoło, które nosili Nieśmiertelni. Wiadomo było, że tam, gdzie walczyli Persowie, na ziemi pozostawały skarby.

Mężczyzn z własnego pokolenia Ksantyppos znał oczywiście lepiej niż innych, lecz tego dnia wszyscy byli po prostu Ateńczykami. W czasie wojny gromadzili się w tej samej części agory i wszyscy znali się z widzenia. Czasami to wystarczyło. Kiedy był jeszcze gołowąsem, z podziwem spoglądał na mężczyzn liczących już czterdzieści, pięćdziesiąt lat. Najstarsi padali po bitwie jak martwi, z opuchniętymi plecami, kolanami i łokciami, niekiedy odniesione rany sprawiały, że życie uciekało z nich jakby przez nieszczelną starą skórę. A jednak wciąż maszerowali i mimo wszystko walczyli, siwowłose i długobrode stare dranie. Nie unikali walki, ponieważ byli potrzebni, czasami jedynie po to, aby nadzorować młodych, których wyszkolili, jak chociażby samego Ksantypposa. Później i on pilnował grupy młodzików, którzy z trudem odróżniali dwa końce włóczni. Było to zarówno dobrym obyczajem, jak i nakazem honoru.

Naraz zmarszczył czoło. Nie umknęło jego uwagi, jak wielu hoplitów dyszało ciężko, z sercami trzepoczącymi niczym ptaki, po długiej walce w pełnym uzbrojeniu. Byli mniej sprawni fizycznie, niżby mogli i powinni. Jego stary instruktor zwracał szczególną uwagę na siłę i wytrzymałość. Mawiał, że mężczyzna, który potrafi zachować świeżość, kiedy wrogowi zbiera się na wymioty, uginają się pod nim kolana i purpurowieje na twarzy, wygrywa każde

starcie. Dobre przygotowanie oznacza szybkość ruchów, a szybkość to zwycięstwo.

Przypomniawszy sobie te słowa, Ksantyppos się uśmiechnął i ogarnął go spokój. Nadal będzie szkolił członków swojej fyli. Przy odrobinie szczęścia i może ze wsparciem Arystydesa, a nawet Temistoklesa, wprowadzi nowy reżim szkoleniowy. Każe ludziom biegać w pełnym uzbrojeniu na długich i krótkich dystansach. Dzisiaj sprint, żeby dopaść łuczników, połowa jego ludzi niemal przypląciła życiem.

Pogrążony w rozmyślaniach nie zauważył, że ktoś się do niego zbliża. Kroki na piasku usłyszał jednak Epikleos; wyłonił się z cienia i przyłożył nóż do gardła nieznanego mężczyzny, który stęknął i znieruchomiał.

– No i proszę, złapałem Persa – powiedział.

Posłaniec zaklął.

– Wcale nie i dobrze o tym wiesz. Strateg Ksantyppos?

Epikleos zerknął na przyjaciela i cofnął rękę z nożem. Posłaniec popatrzył na niego z wyrzutem, masując szyję.

– Czeka na ciebie archont Miltiades. Mogę cię do niego zaprowadzić.

– Mam pójść razem z tobą? – zapytał Epikleos. Klepnął się po pasie. Jego palce wciąż ścisnęły rękojeść noża.

Ksantyppos zrozumiał ten gest, lecz pokręcił głową.

– Sądzę, że archont pragnie mi pogratulować naszego zwycięstwa – rzekł. – Nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo.

– Jesteś pewien? Mogę zaraz przywołać do ciebie straż honorową – wycedził Epikleos przez zaciśnięte zęby, chociaż zmusił się do uśmiechu.

Posłaniec był już na niego zły za to, że go nastraszył. Odezwał się cierpkim tonem:

– Zapewne ci wiadomo, że wrogowie znajdują się teraz wyłącznie na morzu. Dzisiejszej nocy strateg na pewno nie będzie potrzebował straży.

– Czyżbyś się ze mną droczył? – warknął Epikleos. – Doskonale wiem, gdzie są wrogowie, żywi i martwi, bo wielu dzisiaj zabiłem.

Przybyły postanowił go więcej nie prowokować i już jedynie czekał z lekko wybałuszonymi oczami. Ksantyppos wziął głęboki oddech. Nogi mu drżały w tym samym rytmie, w którym biło jego serce, co bardzo go dziwiło. Wzrokiem poszukał włóczni. Epikleos pochwycił jego spojrzenie i natychmiast mu ją podał.

– Prowadź mnie zatem do Miltiadesa – powiedział strateg.

Początkowo starał się nie utykać, powtarzając sobie jak nieopierzony młodzieniec, że w żadnym wypadku nie może okazać słabości. Ale kolano miało tak opuchnięte, że mocno ocierało się o drugie, i w końcu zaczął się potykać i musiał podpierać włócznią.

– Dobrze się czujesz? – zapytał posłaniec, odwróciwszy się.

Młody człowiek szybkim krokiem przemierzał obóz, mijając jasno płonące ogniska i ciemniejsze miejsca tam, gdzie ogień już tylko się żarzył.

– Doskonale, dziękuję. Prowadź mnie do swojego pana – odparł rozzłoszczony tonem jego głosu, a może jego troską.

Był wyczerpany. Miał pewność, że tej nocy nie zdoła zasnąć, lecz niespodziewanie znużenie zaczęło brać nad nim górę i jego powieki nagle stały się bardzo ciężkie.

Posłaniec mijał rzędy śpiących mężczyzn oraz tych niewielu, którzy wciąż nie zmrużyli oka. Podniecenie po okrutnej bitwie powoli ich jednak opuszczało i oni także jeden po drugim kładli się na piasku.

Ksantyppos się zaniepokoił, kiedy zdał sobie sprawę, że chłopak wyprowadził go poza obręb obozu. Nagle zatrzymali ich wartownicy. Strateg podał im swoje imię i pochwalił za czujność. Teren zaczął się wznosić, co zmusiło go do większego wysiłku. Gdyby nie podpierał się włócznią, nie byłby już w stanie stawiać kolejnych kroków. Miał wrażenie, że pomiędzy kośćmi jego kolana utkwiono coś bardzo ostrego.

Przypomniawszy sobie pawilon na wzgórzu, z którego perski król oglądał bitwę. Zmierzali właśnie w to miejsce i teren w końcu się wyrównał, co Ksantyppos przyjął z wielką ulgą. Na pagórku stał zwykły kociołek z żarem, a przy nim Miltiades. Archont zdjął już nabijany guzami płaszcz i ubrany był teraz w luźny

biały chiton odsłaniający silne ramiona. Strateg ze zdziwieniem odnotował, że mężczyźnie urósł spory brzuch, który niczym u ciężarnej kobiety napinał delikatny materiał. Ucieszył się, że nie ma przy nim Epikleosa. Z pewnością by ten widok skomentował.

– Strategu! – zawołał Miltiades. – Dziękuję, że przyszedłeś. Utykasz? Jesteś ranny? Przepraszam, nie powiedziano mi o tym.

– To nic wielkiego. I nie jestem już strategiem, Miltiadesie. Długi dzień dobiegł końca. Tytuły i stanowiska nadane przez zgromadzenie przestały istnieć.

– Zapewne ból w kolanie i fakt, że mimo to musiał przebyć długą drogę, kazały mu dodać: – I ty także nie jesteś już archontem.

Twarz Miltiadesa stężała, pokiwał głową, jakby do własnych myśli.

– To zadziwiające, Ksantypposie. Rozmawiałem z kilkoma strategami. Biedny Kallimach nie przeżył bitwy. Ale w końcu nie urodził się wojownikiem. Przyszli jednak do mnie Temistokles i Arystydes. Arymnestos, który dowodził tysiącem Platejczyków, ukląkł przede mną i zapytał, czy spłacili swój dług.

– Platejczycy dobrze walczyli – zauważył Ksantyppos. – Mam nadzieję, że właśnie to mu powiedziałaś.

Miltiades parsknął z rozdrażnieniem.

– Znowu to samo: troska o to, co się komu należy, o reguły. Zgromadzenia, tytuły. Anulowałem Platejczykom dług, ponieważ tak nakazywał honor. Chcę ci jednak powiedzieć, że pozostali stratedzy pogratulowali mi wspólnego zwycięstwa. Ty zaś, który walczyłeś w moim skrzydle, postanowiłeś mnie pouczyć o stosowności używania tytułów. Jesteś dziwnym człowiekiem.

Ksantyppos odniósł wrażenie, że coś się poruszyło w cieniu po lewej stronie. Z obolałą nogą nie dałby rady poderwać się do biegu. Kiedy dotarło do niego, że nie zdoła uciec przed nieznanym zagrożeniem, rozluźnił się. Stał swobodnie, ogarnął go wielki spokój. Jeżeli Miltiades zechce odebrać mu życie, dopnie swego.

– Twoje milczenie też jest... dziwne, strategu – powiedział archont.

– Jestem wolnym obywatelem Aten, Miltiadesie.

– No i nie jesteś już strategiem, jak sam zauważyłeś. Ale od dzisiaj jesteś *marathonmachos*, wojownikiem spod Maratonu, podobnie jak ja. Walczyłeś wśród kopru, piasku i soli morskiej. Więcej, jesteś jednym z eupatrydów, właścicieli ziemskich. Podobnie jak ja. I Ateńczykiem, tak jak ja.

Ksantyppos zmierzył uważnym spojrzeniem stojącego przed nim mężczyznę, starając się odgadnąć jego intencje. Dostrzegł, że archont się poci. Wielu pociło się jeszcze przez długie godziny po bitwie, lecz u około sześćdziesięcioletniego Miltiadesa mogło to być sygnałem, że ma słabe serce. Strateg widywał żołnierzy umierających następnego dnia po bitwie. Czasami uznawano ich za ostatnie ofiary, chociaż oni po prostu nagle przyciskali dłonie do piersi i upadali, kiedy ziemię oświetlało już nowe słońce. Teraz jednak Ksantyppos pomyślał, że strużki potu spływające po twarzy archonta aż na brodę dowodzą jego poczucia winy i strachu.

– Czego chcesz, Miltiadesie? – zapytał. – Chodzi po prostu o gratulacje z okazji zwycięstwa? Cieszę się, że wygraliśmy. Myślałem... – Zawahał się, nie chcąc ujawniać najskrytszych myśli przed człowiekiem, którego dzisiaj posądzał o zdradę. Wciąż nie miał pewności, czy słusznie. Bitwa była chaotyczna, a przekazywane rozkazy mogły nie być precyzyjne. Ale jeżeli doszło do zdrady, była to zbrodnia tak nikczemna, że na samą myśl o niej strategowi ścisnął się żołądek.

– Co się z tobą dzieje? O czym myślisz?

Na Atenę, Miltiades przypominał mu jedną z kochanek, która pragnęła wiedzieć, jakie myśli go nurtują, kiedy tylko zmieniał wyraz twarzy!

– Myślałem, że nie wygramy – dokończył z westchnieniem. – Wrogów było wielu, a Nieśmiertelni pod okiem króla nie powinni nam ulec.

Zobaczył, że z kolei Miltiades wzdycha z ulgą i opuszcza go napięcie. Ksantyppos doskonale zdawał sobie sprawę, co grozi mężczyznom po wielkim wysiłku. Wiedział, że w kolejnych godzinach nie należy prowadzić interesów, upijać się ani wydobywać noża w złości. Krew wciąż jest wtedy przesycona bitewnym szalem i gniewem, jak mawiali jego starzy instruktorzy, którzy szkolili

go w sztuce wojennej. W takich chwilach należało spocząć w gronie zaufanych przyjaciół, długo milczeć, zasnąć, a potem się obudzić – dla większości było to najlepszym rozwiązaniem. On tymczasem musiał przebrnąć przez cały obóz z piekielnie rwącym kolanem i wysłuchiwać Miltiadesa, który raczej na wyrost uważał się za człowieka wyrafinowanego i przenikliwego.

– Myślałem też, że kupił cię król Persów – dodał.

Powinien był przekląć samego siebie, nim wypowiedział te słowa, ale było już za późno. Miltiades wbił w niego spojrzenie spod ciemnych brwi, a jego ramiona zapaśnika się naprężyły. Ksantypposa przeszedł dreszcz strachu, brnął jednak dalej, nie zamierzając skończyć jak tchórz. Uznał, że prawdę należy wyłożyć wprost.

– Pamiętałem, że straciłeś rodzinny majątek w kopalniach srebra, chyba w Tracji, prawda? Na polu bitwy wycofałeś moich ludzi, gdy Temistokles i Arystydes dostawali cięgi od Persów. Dałeś nam rozkaz, żebyśmy pozostali na miejscu, a przecież właśnie wtedy byliśmy bardzo potrzebni. – Wreszcie zdołał zamilknąć. Teraz, kiedy głośno wypowiedział swoje podejrzenie, nawet w jego uszach zabrzmiało słabo i nieprzekonująco.

Miltiades tymczasem jakby się z nim zgodził, pokręcił lekko głową, a na jego ustach pojawił się uśmiech.

– Wydałem ten rozkaz, bo potrzebowaliśmy odwodów, Ksantypposie. Trzymałem jedno skrzydło z tyłu jako przynętę dla perskich łuczników i procarzy. Czy się myliłem? Czyż nie zwyciężyliśmy?

Strateg nie miał zamiaru odpowiadać. Pojął już, dlaczego Miltiades go wezwał, a potem kazał niewolnikom odejść. Bał się tego oskarżenia. Chciał wiedzieć, czy Ksantyppos jest jego wrogiem i czy on będzie mógł wrócić do Aten jako bohater. Gdyby był dwudziestolatkiem, strateg skłoniłby teraz pokornie głowę i odszedł. Ale nie był już młodzikiem i stojącego przed nim mężczyznę uważał za zdrajcę. W gardle rosła mu gruda gęstej śliny. Nie mógł jej przełknąć.

– Zwyciężyliśmy, ponieważ nie posłuchałem twojego rozkazu, aby pozostać na miejscu, Miltiadesie. Ludzie ruszyli za mną i zaatakowaliśmy łuczników wcale

nie na twój rozkaz, lecz wbrew niemu. Jak więc możesz mówić o swoim zwycięstwie?

Archont znowu pokręcił głową. Zobaczył na jego twarzy wściekłość.

– Mylisz się! Trzymałem odwody, zamierzając ich użyć w najlepszym momencie. Wnioskuje, Ksantypposie, że w ferworze nie usłyszałeś mojego rozkazu do ataku. Zapewne powinienem poinformować zgromadzenie o twoim nieposłuszeństwie podczas bitwy. Zastanawiam się, jak przyjęłaby taką wiadomość rodzina twojej żony.

Strateg mocniej zacisnął dłoń na włócznie. Nagle przypomniał sobie, że przecież trzyma broń, a nie kostur. Zabijał nią dzisiaj ludzi. Poczul, jak wzmagają się w nim złość, ale po chwili świadomie ją stłumił. Zdał sobie sprawę, że oskarżenia źle się przysłużą i jemu, i Miltiadesowi. Przecież nie będzie mógł pod przysięgą zeznać, że nie sprzeciwił się rozkazowi. Wyjaśnienia, że jego działanie przyniosło pożądane rezultaty, nie będzie miało znaczenia. Zgromadzenie przykładowo go ukarze za niesubordynację. Wielkie nieprzyjemności spotkają także archonta. Chwała należna zwycięzcy spod Maratonu się rozwieje, kiedy jego własny strateg nazwie go zdrajcą.

Mogli się nawzajem zniszczyć – było to kwestią ich wyboru. Ta świadomość aż zaiskrzyła w powietrzu między nimi. Ksantyppos poczuł kolejny przypływ złości, a zaraz potem zmęczenie.

Stoczył w życiu zbyt wiele słownych pojedynków, żeby każdy z nich pamiętać – w gimnazjone czy na gruncie prywatnym. Gwałtowne dyskusje były równie trudnym i krwawym sportem jak walki pięściarskie, w których udział był dla Temistoklesa sposobem na podtrzymanie sprawności fizycznej. Tylko Spartanie nie uprawiali żadnej z tych dyscyplin, ponieważ tu każda potyczka musiała się skończyć porażką jednego z rywali. Spartańscy instruktorzy mawiali, że nie zamierzają przyzwyczajać swoich ludzi do klęsk, że każda kapitulacja musi oznaczać śmierć. On uważał to za szkodliwą filozofię, chociaż ją podziwiał. Był jednak Ateńczykiem: mógł przełknąć porażkę i czekać na okazję do rewanżu.

– W ferworze walki zdarzają się nieporozumienia – powiedział. – Zapewne źle odczytałem twoje intencje. – Nie zabrzmiało to przekonująco, ale na twarzy Miltiadesa natychmiast odmalowała się ulga. Zrozumiał, jak bardzo ten starszy już mężczyzna potrzebował dzisiejszego zwycięstwa – a jego armia naprawdę zwyciężyła. Jeszcze przez chwilę Ksantyppos zmagał się z sobą, bo wiedział, że mógłby bardziej zdecydowanie dochodzić sprawiedliwości. Ale w nocnym powietrzu unosił się ciężki zapach krwi i kopru, a on czuł się wycieńczony i otepiały.

– Cieszę się, że to przyznałeś – skwitował Miltiades. – To był nadzwyczajny dzień. Jesteśmy *marathonmachi*, teraz i na zawsze. Czując smak kopru, będę wspominał to miejsce.

Ksantyppos skinął głową, oddając mu honor, na który nie zasługiwał, następnie się odwrócił i kuśtykając, powlókł się łagodnym zboczem w stronę plaży, gdzie leżeli i chrapali jego przyjaciele. Wciąż był pewien, że sam nie zmruży oka, a jednak głęboko zasnął.

9

Herold Filippides zaniósł wiadomość o zwycięstwie, przebiegłszy wzdłuż wybrzeża do Aten w rekordowo krótkim czasie. Dotarł na agorę, po czym zawołał:

– Radujmy się! Zwyciężyliśmy!

Następnie usiadł na ławce w powiększającym się kręgu uszczęśliwionych ludzi i zaczął masować dłońmi klatkę piersiową. Nikt nie przypuszczał, że dopadł go potworny ból. Kiedy ktoś wreszcie wpadł na pomysł, żeby podać mu wino, Filippides już nie żył. Jego serce przestało bić.

Ta mała tragedia nie mogła zepsuć święta. Kiedy na horyzoncie pojawiła się kolumna hoplitów, wybiegły im naprzeciw dzieci, a na drogę wiodącą do miasta wylegli prawdopodobnie wszyscy Ateńczycy. Mnóstwo kobiet przyozdobiło się kwiatami i całowało powracających żołnierzy. Niewolników zwolniono tego dnia od pracy i nawet metojkowie wybiegli przed mury, aby zobaczyć mężczyzn w zbrojach z brązu maszerujących triumfalnie.

Ksantyppos się zastanawiał, ilu ludzi w tym tłumie zawróciło chyłkiem z okolicznych wzgórz, kiedy się dowiedzieli, że hoplici zwyciężyli. Sam widział strumienie mieszkańców na wozach, opuszczających miasto na wieść o lądowaniu Persów. Całkiem sporo wciąż się oddalało, gdyż nie dotarła do nich wiadomość, że wojownicy Aten odparli zagrożenie.

Tego dnia obudził się wcześnie. Był tak zeszywniały, że z trudem usiadł. Mimo bólu dołączył do młodszych mężczyzn, którzy biegami po plaży i ćwiczeniami fizycznymi przywracali sprawność obolałym kończynom. Dopiero

teraz ze zdumieniem zauważył, ile ma na ciele drobnych ran i zadrapań. Na klatce piersiowej i prawej ręce miał dziwne cętki, a na udach obrzęknięte ślady, jakby jakieś zwierzę przeorało je pazurami. W nocy z zatoki zniknęło sporo zwłok, lecz mnóstwo wciąż leżało na płyciźnie, bo ciężar zbroi nie pozwalał morzu ich zabrać. Wzmagał się trupi odór, ale Miltiades oznajmił, że grzebanie poległych nie jest zajęciem dla hoplitów. Oni wykonali swoją pracę dzień wcześniej. Kopaniem grobów, spisywaniem zdobytej broni i kosztowności mieli się zająć pomocnicy oraz niewolnicy, którzy przybyli na miejsce bitwy na wozach z zaopatrzeniem. Przecież w trakcie walk trwali beczynnienie.

Chociaż stratedzy formalnie utracili już władzę nadaną im przez zgromadzenie, wciąż jednak mieli wypełniać swoje obowiązki, przynajmniej do chwili przekroczenia murów miasta. W szczególności Miltiades i Temistokles spodziewali się po swoich ludziach absolutnego posłuszeństwa. Od wschodu słońca krążyli pomiędzy nimi bez wytchnienia, wydając rozkazy, przywołując do porządku tych, którzy nadal byli oszołomieni po bitwie i nie dowierzali, że żyją. Archont wyznaczył dziesięciu ludzi, żeby pozostali na plaży i dokładnie policzyli zabitych. Nikt, kto choć raz ujrzał złote przepaski na czołach Nieśmiertelnych, nie miał cienia wątpliwości, że nie powinny śnieść w ziemi. Na piasku leżała fortuna. Prawdopodobnie bardzo trudno będzie nie dopuścić na pole bitwy chłopaków z miasta, którzy zapewne rozłożą się tutaj obozem na kilka dni i żądni bogactw zaczną kopać w poszukiwaniu pierścieni i monet. Ktoś musiał także obserwować morze, gdyż nie można było wykluczyć, że okręty wroga powrócą, a ich załogi wylegną na brzeg, aby zdobyć niewolników. Grecy już tracili w ten sposób dzieci, a Persowie wciąż pływali w okolicy. Nikt się raczej nie spodziewał, że wrócą, ale czy ktoś potrafił przeniknąć ich myśli? Persowie to naprawdę dziwny lud.

Kolumna maszerująca z powrotem do Aten była uszczuplona o tysiąc hoplitów w porównaniu do tej, która ruszyła pod Maraton. Około czterystu mężczyzn spośród tego tysiąca wciąż żyło, byli jednak zbyt poważnie ranni, żeby iść z pozostałymi. Sterty ich nagolenic, tarcz i włóczni transportowały wozy

z wyposażeniem i bronią tych, którzy polegli. Dla sześciuset martwych Ateńczyków były to najcenniejsze rzeczy, jakie kiedykolwiek posiadali. Każda opatrzona była znakiem rodziny. Miały wrócić do fył, demów i spadkobierców, aby je sprzedali lub przekazali kolejnym pokoleniom dumnych żołnierzy.

Te kwestie nie miały jednak znaczenia, kiedy Ksantyppos maszerował obok Epikleosa w pełnym słońcu. Tego dnia jego promienie na karku sprawiały po prostu przyjemność, a ich gorący dotyk stanowił dla ludzi jeszcze jeden dowód, że żyją. Strateg był też pewien, że zapach kopru już zawsze będzie mu się kojarzył z bitwą pod Maratonem.

Wiwaty było słychać z daleka. Nasiliły się, kiedy tłumy dostrzegły bohaterów. Ksantyppos rzadko wkraczał do miasta po kampaniach wojennych, a nigdy przedtem po bitwie, która odbyła się niemal w zasięgu wzroku Ateńczyków. On i wszyscy hoplici naprawdę byli *marathonomachoi*, jak powiedział Miltiades. Wojownikami spod Maratonu. Zastanawiał się, czy dzień tej bitwy nie jest najważniejszy w jego życiu i czy zawsze już będzie czuł satysfakcję, wspominając, jaką rolę w niej odegrał. Pamięć często płata figle. Wiedział za to, że na jego życiu mocno zaważy rozmowa, jaką odbył z Miltiadesem poprzedniego wieczoru. Przez jego umysł bezustannie przewijały się jaskrawe migawki z chwil, kiedy wraz z podkomendnymi walczył z Persami w pierwszej linii. Przypomniawszy sobie, że w dniu bitwy praktycznie w ogóle nie pił. Część wspomnień powracała chaotycznie, ponieważ nie pamiętał już kolejności wydarzeń. Świeże i mocne było w nim jednak podejrzenie wobec archonta.

Tłum przyozdabiał Miltiadesa wieńcami z krokusów i szarłatu, wiecznych kwiatów, które nigdy nie traciły głębokiej czerwonej barwy, nawet kiedy już uschły. Namówiono go też, żeby wziął ukwieconą gałąź. Z dumą maszerował na czele kolumny, z pnączami winorośli wokół prawej ręki. Żołnierze, którzy byli najbliżej, uśmiechali się i machali rękami. Tarcze przewiesili przez barki, chcąc mieć swobodę ruchów, żeby obejmować ramionami wszystkich, którzy wyskakowali z tłumu i obdarzali ich pocałunkami. Ksantyppos starał się nie

przybierać zbyt poważnej miny, lecz Epikleos i tak popatrywał na niego z ukosa, zaskoczony jego niezadowoleniem.

– Nigdy tego nie lubiłeś... – krzyknął ponad wiwatami rozentuzjasmowanych ludzi. – Tłumu, ciżby Ateńczyków. A popatrz tylko na Temistoklesa! On to uwielbia! Czuje się jak ryba w wodzie!

Rzeczywiście, to była prawda. Temistokles kroczył u boku Miltiadesa, pochylając się, kiedy ludzie wręczali mu kwiaty, a jednej z kobiet pozwolił zostać przy sobie tak długo, aż owinęła mu winoroślą całą rękę, od barku po nadgarstek. Oboje się śmiali, a jego dłoń niby przypadkowo powędrowała ku jej talii. Przyciągnął kobietę do siebie, pochylił głowę i szepnął jej coś do ucha, tak że się zaczerwieniła.

Temistokles przyjmował pochlebstwa rozradowanych Ateńczyków bez najmniejszego zażenowania. Ksantyppos reagował na ten widok tylko wzruszeniem ramion. Owszem, tamten poprowadził w bitwie swoją fyle i środkowe oddziały Greków z chłodną odwagą, dobrze nimi dowodził i rozbił trzon Nieśmiertelnych. Tak, zasłużył na uznanie.

Trasa zwycięzców wiodła na agorę, omijając od południowego zachodu wzgórze Pnyks i Areopag. U ich kamiennych podstaw zbierało się zgromadzenie i rada, aby dyskutować i głosować. Przeznaczenie tych miejsc zarazem je uświęcało. Bez wątplenia wkrótce rozlegną się tu mowy i zostaną złożone ofiary ku czci Ateny za wybawienie od najeźdźców. Ksantyppos wiedział, że będzie musiał zostać wśród tłumów przynajmniej na część uroczystości, jednak bardzo blisko stał jego dom, gdzie czekały na niego chłodna woda i cisza. Spotka się tam z Agarystą i dziećmi, ale dopiero wtedy, gdy spokój zagości w jego sercu i umyśle. Potrzebował wytchnienia od zgiełku i wrzasków, które były go po uszach niczym skrzydła ptaka. Pragnął samotności, choć przez jakiś czas. Ludzie tacy jak Temistokles zdawali się rosnąć i promienieć pod wpływem dotyku rąk i łkania wdzięcznych kobiet. Epikleosa także uszczęśliwiał entuzjazm Ateńczyków. Zdaniem stratega Tezeusz i Herakles byli zapewne tacy sami.

Zobaczył przed sobą Arystydesa odzianego w prostą szatę. Przynajmniej on wyglądał jak archiwista albo uczony wędrujący przez ateńskie place. Arystydes przyczynił się do zwycięstwa tak samo jak Temistokles, lecz w jego postawie nie było ani odrobiny próżności. Ksantyppos był dumny, że tamten zachowuje się z tak wielką godnością. Temistokles ochoczo dotykał każdej ręki wyciągniętej w jego kierunku, szczyrzył zęby w szerokim uśmiechu i wiwatował razem z innymi.

Strateg zdał sobie sprawę, że radujący się ludzie nie mają pojęcia, przez co przeszli hoplici. Na polu bitwy ryzykowali życie, gotowi ponieść największą ofiarę. Nie mógł tego zrozumieć nikt, kto nie był pod Maratonem. Wspólna walka sprawiła, że Miltiades stał się jego bratem. Był to pewnie jeden z powodów, dla których nie zamierzał mówić głośno o swoich podejrzeniach. Oczywiście archont mógł na jego oskarżenia zareagować własnymi i zarzucić mu nieposłuszeństwo, lecz wcale nie dlatego obaj postanowili milczeć. Braterstwo... niespodziewanie poczuł ucisk w gardle, a do oczu napłynęły mu łzy. Nie potrafił pojąć, skąd u niego to nagłe wzruszenie. Zapragnął się znaleźć w spokojnym miejscu, z dala od rozkrzyczanych tłumów.

Epikleos dwukrotnie mocno klepnął go w ramię, przywracając do rzeczywistości.

– Co z tobą, Ksan? – zapytał z wyraźną troską w głosie. – Już cię widziałem w takim stanie, od razu bo bitwie. Potrzebujesz wypoczynku, odrobiny wina i skromnego posiłku. Albo mnóstwa wina.

Ksantyppos się uśmiechnął i pokiwał głową. Znosił wiwatującą cizbę przez całą drogę na agorę, gdzie zgromadziło się jeszcze więcej ludzi. Wypełniali ulice, zatłoczony był każdy większy plac. Mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy wylegli z domów, nie dało się zliczyć, a ich okrzyki dowodziły, jak doceniają zwycięstwo w bitwie. Dla wszystkich powracających żołnierzy to powinny być cudowne chwile, lecz strategowi dokuczało słońce palące mu kark i ramiona i czuł, że usta ma suche i zapiaszczone. Temistokles wydawał się odporny na kurz i brud, mimo że poprzedniego dnia walczył i pocił się tak samo jak wszyscy. A może już się

przebrał? Ksantyppos uznał, że z pewnością musiał zdobyć gdzieś nową bladoniebieską chlamidę. Z wieńcami z kwiatów na szyi i ramionach wyglądał jak król albo bóg, który właśnie się wynurzył z jakiegoś świętego gaju.

Stopniowo, powoli kolumna hoplitów stąpiła się z tłumem. Witały ich fyle, demy i najbliżsi. Gdzieniedzie słyhać było płacz po tych, którzy nie wrócili. Szlochające kobiety i dzieci zabierano na bok; uspokajały je i odprowadzały do domów osoby dzielające ich żal, siostry i rodzice. Przy tych wysepkach rozpaczy inni się radowali, z uznaniem poklepując zwycięzców po plecach i ramionach.

Ksantyppos zobaczył, że Miltiadesa wnoszą na agorę ludzie z jego fyle. Siedząc na ich barkach, archont wznosił wysoko ramiona, ochoczo przyjmując okrzyki i wiwaty na swoją cześć. Także Temistokles zauważył, jak mocno Ateńscy schlebiają archontowi i jak ogromnie go poważają. Chyba nie był tym zachwycony. Ksantyppos popatrzył w stronę zwycięzcy spod Maratonu i wydawało mu się, że Miltiades poczuł na sobie jego spojrzenie, bo także skierował ku niemu wzrok. Hałas nieco przycichł i strateg zrozumiał, że jeśli mają nastąpić jakieś przemówienia, to właśnie teraz.

Tymczasem Miltiades objął jakiegoś młodzieńca i również wciągnął go na barki ludzi. Był to jego syn, Kimon. Miał szesnaście albo siedemnaście lat i wpatrywał się w ojca z respektem. Strateg bez trudu wyobraził sobie, że i jego synowie, kiedy dorosną, będą się w niego wpatrywać z wielką dumą.

Podjął ostateczną decyzję. Nie miał pewności, co kryło się w sercu Miltiadesa, nie miał pewności, że zdradził na polu walki. Nie było na to żadnych dowodów. Skinął mu lekko głową. Jeżeli archont to zauważył, nie dał tego po sobie znać.

Oczywiście to Temistokles pierwszy przemówił do tłumu. Ksantyppos przewrócił oczami, kiedy jego głos zadudnił nad agorą. Na pochmurnym niebie królowało jaskrawe słońce wczesnego popołudnia. Strateg kilkakrotnie głęboko odetchnął i poczuł, że opuszcza go napięcie. Zupełnie się uspokoił. Zamknął oczy, znów wciągnął powietrze, a wraz z nim życie i rozbrzmiewający na placu głos.

– Dziękujemy bogom za wspaniałe zwycięstwo, bo bez ich pomocy i wsparcia nie odnieśliśmy triumfu. – Umilkł na chwilę, a Ksantyppos zadał sobie w duchu pytanie, ile z tej zasługi Temistokles przypisze sobie. Była to zaiste niegodna myśl. – W najbliższych dniach i miesiącach usłyszycie tysiąc opowieści o tym, czego dokonaliśmy. Zepchnęliśmy armię wielkiego króla do morza, upuściliśmy Persom tyle krwi, że woda zrobiła się czerwona jak wino.

Teraz zapanowała absolutna cisza. Ksantyppos usłyszał, jak ludzie głośno wciągają powietrze, wyobrażając sobie czerwoną morską wodę. Tłumy, których nie było pod Maratonem, spijały słowa z ust Temistoklesa. Bo on był przecież świadkiem tego, co się tam wydarzyło.

– Tym, którzy wraz ze mną stanęli przeciwko wrogowi, dziękuję jako braciom, jako Ateńczykom. Jako Hellenom. Jesteśmy Grekami i zwyciężyliśmy.

Ksantyppos zdał sobie sprawę, że Temistokles przemawia niemal smutnym głosem. Nie potrafił jednak odgadnąć, czy dzięki temu chce osiągnąć jakiś efekt, czy jest po prostu straszliwie zmęczony. W pewnej chwili popatrzył na niego, jakby usłyszał jego myśli.

– Dziękuję strategom, którzy dowodzili w bitwie: Arystydesowi, który wraz ze mną walczył w środku naszych sił, i Ksantypposowi z lewego skrzydła, który w trudnej chwili wskrzesił w ludziach bojowego ducha. Miltiadesowi, który dawał nam poczucie mocy i we właściwym momencie posłał do boju oddziały czekające w odwodzie, które przebiły się przez Persów na oczach ich króla obserwującego bitwę.

Tłum znów zaczął wiwatować, gromkie okrzyki odbijające się echem od murów sprawiły, że całe miasto zadrzało – podjęli je także ci, którzy znajdowali się zbyt daleko, aby usłyszeć choć słowo Temistoklesa. Ksantyppos zdał sobie sprawę, że on wie. Temistokles doskonale wie, co się stało, a przynajmniej coś podejrzewa. Może jego też mierziło, jak tłum adoruje Miltiadesa, że ludzie dotykają go tylko po to, żeby móc później się tym chwalić. Po wielkim zwycięstwie archont był poza zasięgiem wszelkiej krytyki. Prawda musiała na razie pozostać w cieniu.

Miltiadesa opuszczono na ziemię. Gdy stanął na własnych nogach, zrobił krok do przodu, chociaż Ksantypposowi się wydawało, że Temistokles nie chce mu jeszcze oddać głosu. Lecz tamten ustąpił mu bez niechęci i pozwolił tłumom po raz kolejny wzniesć okrzyki na cześć bohatera spod Maratonu.

Archont szeroko się uśmiechnął, pławiąc się w radosnych owacjach. Nie dopuścił jednak, by trwały zbyt długo, przedkładając ostrożność nad próżność. W końcu pomachał rękami, żądając ciszy. Ludzie milkli stopniowo, gdziekolwiek wciąż rozlegały się okrzyki. Ksantyppos się zastanawiał, jak się czuli Ateńczycy, czekając i nasłuchując wraz z niewolnikami oraz metojkami, czy żołnierze, którzy zbliżają się do Aten, to armia perska czy grecka. Te godziny niepewności musiały być straszne – on sam nigdy czegoś takiego nie zaznał. Wzruszył ramionami. Jedni ludzie zmieniają świat, inni zdają się na skutki ich czynów. Wiedział, że on zawsze będzie panem własnego losu i nigdy nie pozwoli, by ktoś dokonywał wyborów w jego imieniu. Było to jego prawo jako mężczyzny i obywatela Aten. Odsunął od siebie wszystkie myśli, ponieważ Miltiades zaczął przemawiać.

– Miałem przywilej poprowadzić was do boju. Tylko my i dzielni wojownicy z Platejów, którzy odpowiedzieli na nasze wezwanie... zaledwie jedenaście tysięcy ludzi przeciwko wrogowi cztery lub pięć razy liczniejszemu, przeciwko procarzom i łucznikom, i Nieśmiertelnym, najlepszym żołnierzom, jakich zna perskie imperium. Przeciwko załogom okrętów i niewolnikom zasiadającym przy wiosłach. Przeciwko ich królowi, który uważnie nas obserwował. Ale ten dzień już minął. Pozostaje tylko w naszej pamięci. Jedynie my, *marathonomachoi*, znamy prawdę o nim.

Po słowach Miltiadesa na jedno uderzenie serca zapadła cisza, po czym tłum znowu eksplodował radością. Przyniesiono bębny i flety; ponad wiwaty wzbijały się dźwięki instrumentów, a serce Ksantypposa zabiło szybciej – takie same rozlegały się w czasie bitwy, wciąż świeżej w jego pamięci.

Miltiades musiał odczekać dłuższą chwilę, nim znowu przemówił.

– Część z was zapewne już słyszała, że wielkiemu królowi towarzyszył Hippiasz, zdrajca i tyran Aten – powiedział.

Flety nagle zamilkły. Przez tłum przeszedł pomruk zaskoczenia. Ksantyppos nadstawił uszu i wymienił spojrzenia z Epikleosem. Imię Hippiasza znali wszyscy Ateńczycy. Wiele lat temu wygnano go z miasta po tym, jak próbował cofnąć reformy, które Ateńczykom dały zgromadzenie, bezcenne, chociaż hałaśliwe i pełne zgiełku. Wciąż mieli dług wobec Spartan za to, że na ich prośbę wkroczyli do miasta, otoczyli siły Hippiasza na Akropolu i zmusili go do opuszczenia Aten.

Strateg doskonale pamiętał ten dzień, chociaż miał wtedy zaledwie osiemnaście lat. Spartanie naturalnie zapragnęli pozostać w mieście. Utrzymywali, że mają do niego pewne prawa, bo je oswobodzili, lecz zaproszono ich tylko jako gości. Po Atenach rozeszła się pogłoska, że nie chcą dobrowolnie odejść, i niespodziewanie, bez żadnych przemówień ani głosowań, na ulice wylegli młodzi Ateńczycy i ich okrążyli. Zapewne wszystkim towarzyszył wstyd, że nie zdołali przeciwstawić się tyranowi i jego żołnierzom. Ale nie miało to znaczenia. Obywatele w końcu odzyskali odwagę i postanowili, że już nigdy nie zawładnie nimi żaden tyran. Nawet Spartanie zdali sobie sprawę, że nie dadzą rady stawić oporu tak wielu zdeterminowanym mężczyznom. Wyglądali jak wilki, przeciwko którym wystąpiły uzbrojone owce. Tego dnia Ksantyppos doszedł do wniosku, że demokracja naprawdę może przetrwać. Wcześniej nie miał pojęcia, ilu mieszkańcom Aten na tym zależy. Skoro ludzie byli gotowi umrzeć za demokrację i cenili ją ponad życie, zapewne była coś warta.

Zmarszczył czoło. Nie dotarły do niego plotki, że Hippiasz wrócił, nie dostrzegł w szeregach Persów jego chorągwi ani żadnej greckiej tarczy. Skąd Miltiades miał takie informacje? Oczywiście pojмали jeńców i ich przesłuchali. Część straszliwie cierpiała, zanim straciła życie. Może powiedzieli archontowi więcej, niż on sam przekazał Ksantypposowi poprzedniego wieczoru. Cóż, ziarno wątpliwości zostało zasiane.

– Przed bitwą – kontynuował Miltiades – docierały do mnie wieści, że Hippiasz zamierza opuścić perskie pałace i przybyć w towarzystwie wielkiego króla. Zdrajca chciał wesprzeć naszych wrogów. – Umilkł, a przez tłum przetoczył się gniewny pomruk. Ksantyppos był pewien, że gdyby w tej chwili Hippiasz znalazł się w Atenach, ludzie rozszarpaliby go na strzępy. – Większość ich floty odplynęła, okręty zabrały z powrotem na morze perską jazdę i tysiące żołnierzy. Pozostają dla nas zagrożeniem i pamiętajcie, że w ich szeregach jest również Hippiasz. Dlatego nie proszę was o laur triumfalny ani dla siebie, ani dla pozostałych dzielnych wojowników. Wiemy, czego dokonaliśmy i że zrobiliśmy wczoraj wszystko, co leżało w naszej mocy. Proszę was jednak o flotę, która pozwoliłaby mi ścigać perskich niedobitków, a także dopaść Hippiasza, gdziekolwiek się ukrywa. Jeżeli zgromadzenie zagłosuje i przyzna mi dzisiaj pełnomocnictwa, abym mógł zbudować okręty i skompletować ich załogi, jeśli da mi srebro z naszego skarbcza, abym mógł zapłacić ludziom, powrócę ze znacznie większą ilością perskiego srebra i dokonam zemsty na Hippiaszu, która mu się należy już od bardzo dawna.

Gdy tłum znów wybuchł wielkimi emocjami, Epikleos przysunął się do Ksantypposa, tak że ustami niemal musnął jego ucho.

– Przynajmniej na jakiś czas opuści Ateny – powiedział. – A jeżeli bogowie tak zechcą, może już nigdy go nie zobaczymy.

Strateg pokiwał głową, patrząc, jak przyjaciele i zwolennicy znów unoszą Miltiadesa na ramiona. Był już pewien, że archont nie pozwalał jego skrzydłu na atak, bo chciał, żeby zwyciężyli Persowie. Gdyby osiągnął ten cel, ci, którzy tu wiwatują, zostaliby już zakuci w łańcuchy jako niewolnicy. Nie miało znaczenia, że jego plan się nie powiódł, ważne było, że za swoją podłość nie poniósł kary. Świadomość straszliwej niesprawiedliwości uwierała Ksantypposa. Miał wrażenie, że w piersiach płonie mu żywy ogień sprzeciwu.

– Idę do domu – rzucił do Epikleosa. Powtórzył to głośniejszym głosem, bo przyjaciel złożył dłoń w trąbkę przy uchu i popatrzył na niego pytającym wzrokiem. – Do domu w Cholargos.

Epikloes skinął głową. Wiedział, że Ksantyppos nie znosi tłumów. Był tutaj jedynie z obowiązku, żeby wysłuchać przemówień Miltiadesa i Temistoklesa. Zmęczyło go już jednak to, co widział i słyszał.

Pozostali jeszcze na miejscu, aby doczekać głosowania. Gdy wreszcie padł sygnał, aby podnieść ręce, strateg jeszcze przez długą chwilę trzymał dłonie na biodrach. W końcu Epikleos go szturchnął.

– Nigdy nie pozwól, żeby jeleń zobaczył twój łuk – powiedział mu do ucha.

Ksantyppos wciągnął haust powietrza i wypuścił je ze świstem, po czym uniósł rękę. Miltiades zauważył ten ruch. Wśród nieprzebranego mrowia ludzi w jednej chwili dostrzegł Ksantypposa. On z kolei prawie nie widział twarzy ludzi, którzy wczoraj mieli zostać zdradzeni. Łzy błyszczały w jego oczach.

10

Ksantyppos wdychał zapach świeżego drewna, patrząc, jak kolejnym sosnowym i dębowym żerdziom powoli nadawane są harmonijne kształty. Stępki czterdziestu nowych trier znajdowały się już w stelażach na nabrzeżu portu w Pireusie. Wszystkie z wyjątkiem trzech wykonano zimą i teraz wyczekiwały wiosny, której woń też czuł już w powietrzu. Praca była niemal ukończona i rozpoczęło się niecierpliwe wyczekiwanie. Część nowej floty wypłynęła w morze, ich załogi się szkoliły, uczyły wypełniania rozkazów w ferworze bitwy, zatrzymywania i zawracania okrętów na małej przestrzeni, zadziwiając obserwatorów sprawnością. Dadzą radę odeprzeć atak każdego perskiego okrętu wojennego. Co więcej, będą dla Persów zagrożeniem niczym drapieżne jastrzębie.

Kiedy ostatnie triery będą gotowe, zostaną zwodowane i dołączą do pozostałych kołyszących się już na wodzie. Galery z sośniny, dębiny i brązu opuszczą spokojne wody przybrzeżne i wypłyną na otwarte morze. Dziewięćdziesięciu wioślarzy przy każdej burcie, zasiadających trójkami w trzydziestu rzędach, rozgarniało ciemne wody Morza Egejskiego. Przy wiosłach ateńskich okrętów siedzieli wolni i uzbrojeni ludzie, którzy w razie konieczności mogli ich bronić przed abordażem. W przeszłości wielokrotnie zaskakiwali wrogów tą prostą taktyką. Niewolnicy zakuci w łańcuchy nie walczyli. A chociaż greckim wioślarzom trzeba było płacić, rola, jaką odgrywali, przynosiła im zaszczyt. Oni także mieli swój głos w zgromadzeniu i również chcieli bronić miasta.

Obserwując ciężko pracujących stolarzy, Ksantyppos był zwrócony plecami do Aten. Uśmiechnął się, kiedy zdał sobie sprawę, że chociaż w uszach dzwoni mu nieregularny stukot drewnianych młotków i dłut, jest całkowicie spokojny. Doszedł do wniosku, że hałas ma różne oblicza. Odgłosy kształtowania drewnianych okrętowych elementów oraz nawoływania o gwoździe i lepiszcze ani trochę go nie denerwowały. W przeciwieństwie do kłótni w mieście prosta praca fizyczna była niczym balsam.

Port znajdował się w odległości mniej więcej trzydziestu stadionów na południowy zachód od murów Aten. Ksantyppos mógł przebiec taką odległość mniej więcej w pół godziny i bardzo lubił tę trasę. Wielu poważnych młodych ludzi ze zgromadzenia biegało wokół gimnazjonu, pogrążając się w dziwnym transie, kiedy pot spływał po ich ciałach. On wolał dla biegu wyznaczyć sobie cel, a poza tym interesował się postępami w budowie.

Tak naprawdę Aten nie było stać na te okręty. O wniesienie swego wkładu i przekazanie na nie sporych sum w srebrze poproszono najbogatsze rodziny. Dwie jednostki nabierające kształtów na brzegu sfinansowane zostały przez Alkmeonidów. Część fortuny jego żony – jego własnej fortuny! – miała wiosną odpłynąć razem z Miltiadesem.

Oplaciwszy budowę okrętów, Ksantyppos nie ponosił już odpowiedzialności za sam proces. Usłyszał gdzieś, że jeden zyska na dziobie wizerunek Agarysty, lecz wynikało to tylko z kaprysu jego żony i dodatkowej umowy z głównym konstruktorem, nie stanowiło rekompensaty za hojny datek. Westchnął ciężko. Najprostszym rysunkiem po bokach taranów miało być oko wypatrujące wroga. To, co najprostsze, często okazywało się najlepsze, tak jak stary malunek na jego tarczy.

Ruszył powoli brzegiem zatoki, gdzie szkielety okrętów spoczywały w stelażach z szarego dębu, odgrodzone od morza drewnianymi wrotami i wielkimi belkami. Kiedy nadejdzie czas, a okręty będą gotowe, do stelaży zostanie wpuszczona woda, która uniesie triery i zawładnie nimi już na zawsze. Zostaną zepchnięte na zatokę i przejdą pierwsze próby.

Z fascynacją obserwował mocowanie tarana do niemal ukończonego okrętu. Obite solidnie brązem belki na dziobie służyły do niszczenia wrogich jednostek i wzbudzały powszechną grozę. Metalowe płyty i drewno stanowiły doskonałą kombinację lekkości i siły. Tarany były długie, szerokie i nieco stępione, Ksantyppos wiedział jednak, jaka jest tego przyczyna. Miały rozbijać burty okrętów wroga, a potem pozwalać wioślarzom na wycofanie się i poszukiwanie kolejnego celu. Gdyby były zakończone ostro, wbijałyby się w zaatakowany okręt, co utrudniałoby oderwanie się od niego. Tarany funkcjonowały jak ciężkie młoty. Gdy okręt płynął z pełną prędkością, dzięki masie własnej oraz dwustu ludzi na pokładzie mógł rozbić każdą jednostkę pływającą na swojej drodze. Taka taktyka bardzo Ksantypposowi odpowiadała.

Stanął na brzegu nagi, pozwalając, aby morska bryza osuszyła pot na jego ciele. Oczywiście wciąż bolało go kolano. Tęsknił za dniami, kiedy taką odległość potrafił przebiec dziesięć razy, jeżeli tylko zechciał, a potem nie musiał narzekać przez tydzień na sztywne mięśnie i bóle w krzyżu. Westchnął ciężko. Upływ czasu robił swoje. Mógł się pocieszać jedynie tym, że po trzech deszczowych dniach wreszcie zniknęły chmury i na niebie pojawiło się słońce.

Za nieukończonych trier wyłonili się dwaj mężczyźni. Ksantyppos zaklął w duchu, kiedy rozpoznał Temistoklesa pogrążonego w konwersacji z Arystydesem. Ten pierwszy był wyższy, pochylał więc głowę ku swojemu rozmówcy. Bez wątpienia wykonywali obowiązki, jakie nałożyło na nich zgromadzenie. Sprawdzali każdy gwóźdź i narzędzie, liczyli każdą srebrną monetę wydaną na budowę okrętów. Tworząc tak ogromną flotę, nie można było pozwolić na marnotrawstwo. Skonstruowanie siedemdziesięciu okrętów stanowiło imponujące przedsięwzięcie, na morskie wody miał wypłynąć ogromny majątek i nikt nie wiedział, czy kiedykolwiek zwróci się on właścicielom. Część ludzi twierdziła, że nie należało udzielać zgody Miltiadesowi, gdy wystąpił z tą propozycją, on jednak wybrał na swoje wystąpienie naprawdę doskonały moment.

Ksantyppos się odwrócił, ale w tym samym momencie Temistokles uniósł głowę i go zobaczył. Podniósł rękę i głośno zawołał dawnego stratega. Przez chwilę krótką jak uderzenie serca ten mógł udawać, że go nie usłyszał, zawahał się jednak i chwila minęła. Mężczyźni skierowali się w jego stronę. Ubrani byli w proste szaty i nieśli pod pachami zwoje papirusu upstrzone symbolami, liczbami i zapisane rejestrami. Ksantyppos jęknął bezsilnie, lecz pozostał na miejscu. Zmusił się do uśmiechu i czekał, czując, że pot wciąż spływa mu po karku. Czyżby od bitwy pod Maratonem aż tak utracił sprawność fizyczną? Ostatnio trenował częściej niż kiedykolwiek, ale... musiał to przyznać, upływ lat dawał mu się we znaki. Wyobrażał sobie, że wkrótce urośnie mu brzuch, jak wielu mężczyznom w średnim wieku. Ta myśl wzbudzała w nim przerażenie, dlatego wciąż biegał, nie zważając na bolące kolano.

Zbliżywszy się, Temistokles zmierzył go uważnym spojrzeniem.

– Dobrze wyglądasz, Ksantypposie – powiedział. – Przyszedłeś obejrzyć swoje okręty?

– One nie należą do mnie – odparł natychmiast. Dlaczego Temistokles zawsze potrafi go zirytować jednym prostym zdaniem? To frustrujące. Zobaczył, że Arystydes jest spokojny i opanowany, i w tej chwili dotarło do niego, że to właśnie jego Temistokles najczęściej denerwuje. – Miło was widzieć, no i waszą troskę o nowe galery – dodał.

Arystydes uśmiechnął się łagodnie.

– Wszyscy mamy w tym interes – odpowiedział. – We trzech staliśmy przy nim pod Maratonem. Do dzisiaj goją się nasze rany. Moim obowiązkiem jest dopilnowanie, aby Miltiades wyruszył na wojnę dobrze wyekwipowany. W końcu taka jest wola zgromadzenia.

Ksantyppos skinął głową. Wydawało mu się, że Temistokles za plecami Arystydesa przewrócił oczami.

– Słyszałem, że w tym roku mianowano cię archontem eponimem, Arystydesie. W pełni na to zasłużyłeś.

Ku jego zadowoleniu mężczyzna zbył komplement.

– Takie rzeczy są nieważne, Ksantypposie, doskonale wiesz. W najlepszym wypadku stanowią pożywkę dla próżności. W najgorszym są jak robaki toczące duszę! Czy powinno mieć dla mnie jakieś znaczenie, że zgromadzenie uznało, iż rok ma nosić moje imię? Przecież byli też inni kandydaci. Czy mniej zasługiwali na ten zaszczyt? Równie dobrze można było przyznać ten tytuł Temistoklesowi. Jedno głosowanie mogło nas podzielić: przegrawszy, mógłbym pozwolić, aby zawiadnęła mną zazdrość. Czy moje zasługi dla Aten byłyby wówczas mniejsze, a jego większe? Oczywiście, że nie. To wszystko jest trywialne. Wiem, że to rozumiesz, Ksantypposie.

Strateg poczuł, że się czerwieni. Był zadowolony, że Arystydes traktuje go z taką zażyłością, chociaż mógł mieć w tym jakiś cel. Co roku tylko jednego mężczyznę wybierano na archonta eponima. Arystydes miał więc być filarem dźwigającym ciężar wszystkich wydarzeń w mieście. W następnych wiekach ludzie będą określali czas, mówiąc na przykład „trzy lata po Arystydesie”. Ksantyppos był przekonany, że ten archont nie dba o takie zaszczyty, on sam jednak z dumą przyjąłby tytuł. Podobnie jak Temistokles.

– Idę na spotkanie z zarządcą portu – dodał Arystydes. Wyciągnął rękę do Ksantypposa i ten ją przyjął; poczuł mocny uścisk suchych palców. – Znalazłem rozbieżności w jego rachunkach.

– Przepięstwo czy niekompetencja? – zapytał strateg.

Obecność Arystydesa jak zawsze skłaniała go do powagi i przenikliwości. Przebywanie w jego towarzystwie wymagało dochowywania najważniejszych zasad.

Archont przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią, bo przecież na szali spoczywało życie człowieka.

– Wierzę, że chodzi o to drugie, na miejscu ocenię jednak jego reakcję. Jeżeli będzie to konieczne, zaprowadzę go na zgromadzenie, żeby go osądono.

– Spodziewasz się oporu z jego strony? – spytał Ksantyppos. – Nie mam przy sobie miecza, ale mogę ci towarzyszyć. Przecież nie godzi się, żeby ktoś zaatakował archonta wypełniającego obowiązki.

Arystydes patrzył gdzieś w dal, namyślając się, ale po chwili pokręcił głową. Ksantyppos już wcześniej zorientował się, że mężczyzna ten nie odczuwa strachu przed agresją fizyczną, tak jakby ryzyko zranienia, a nawet śmierci, nigdy nie było przedmiotem jego trosk.

– To nie będzie konieczne. Jestem tutaj dobrze znany. Jeżeli zarządca mnie zaatakuje, znajdzie się dziesięciu stolarzy i niewolników, którzy przywołają go do porządku. Ale dziękuję ci za troskę, Ksantypposie. Jesteś dobrym człowiekiem.

Strateg znowu się zaczerwienił. Arystydes odwrócił się i ruszył w stronę portu. Zauważył, że Temistokles go obserwuje, wysoko uniósłszy brwi. Atmosfera nagle się zmieniła, jakby obaj zeszli ze sceny i znowu mogli być sobą. Ksantyppos zdał sobie sprawę, że z powodu samej obecności Arystydesa przez chwilę nie potrafił zachowywać się normalnie. Albo z powodu swojego bezgranicznego podziwu dla tego człowieka.

– Spędziłem z naszym nowym archontem cały poranek – odezwał się Temistokles. – Tego czasu nic mi już nie zwróci.

Ksantyppos posłał mu gniewne spojrzenie. Nie miał zamiaru podejmować krytyki Arystydesa.

– Jest spośród nas najlepszy – rzucił stanowczo, ignorując fakt, że rozmówca parsknął śmiechem.

– Prawdopodobnie w opinii niektórych – powiedział Temistokles, a kiedy Ksantyppos spojrział mu w oczy, wzruszył ramionami. – Częścią ludzi kieruje chciwość, głupota i rozmaite żądze. Ukradliby drachmę własnej matce albo zmiażdżyli palce innym, gdyby im się sprzeciwiali. W swojej złośliwości są jak dzieci.

– Chyba nie mówisz o Arystydesie? – zawołał Ksantyppos ze zdziwieniem.

– Nie, oczywiście, że nie. Ale właśnie oni potrzebują Arystydesów. Muszą wiedzieć, że istnieją ludzie, których można postawić na straży skarbcza ze złotymi monetami, a oni ani jednej nie ukradną. Co więcej, umrą z głodu, a nie wezmą do ust okruszynki chleba, która nie należy do nich. Wiem, że takim człowiekiem jest

Arystydes. Ty zresztą też to wiesz. Jego wola... honor... są jak żelazo. Potrafi zarządzać tym portem i całym miastem i skłonić innych, żeby pracowali jak zgrana falanga w boju.

Ksantyppos popatrzył podejrzliwie na rozmówcę.

– Podziwiasz go więc... – powiedział. – Podobnie jak ja. Potrzebujemy takich ludzi jak...

– Ale gdyby Arystydes pilnował przestrzegania prawa, Ateny stałyby się martwym miastem – kontynuował Temistokles. Odwrócił się, żeby popatrzeć na niskiego, drobnego mężczyznę zmierzającego do siedziby zarządcy portu. – Och, funkcjonowałyby bardzo dobrze, sterowane silną ręką, jak okręt ustawiony dziobem do wiatru. Wyobraź sobie ciężko pracujących wioślarzy i okręt tnący fale, wiozący nas wszystkich w obranym kierunku. Arystydes potrafi to sprawić.

– Dlaczego więc Ateny byłyby „martwe”? – zapytał coraz bardziej rozzłoszczony Ksantyppos.

Czemu wszystkie jego rozmowy z Temistoklesem przybierały taki obrót? Ten człowiek miał nadzwyczajną umiejętność rozdrażniania go!

Tamten znów wzruszył ramionami.

– Mężczyźni potrzebują czegoś więcej niż tylko chleba, wina, kochanek i złota.

– Masz na myśli bogów?

Ku jego zaskoczeniu Temistokles zachichotał.

– Nie. Twój umysł wędruje zaskakującymi ścieżkami, Ksantypposie z Cholargos! Nie, mężczyźni potrzebują ambicji. A tacy jak Arystydes są zadowoleni, jeżeli mogą podtrzymywać stan, jaki zastali, konserwować to, czym dysponujemy.

– To przecież całkiem rozsądne – odparł strateg.

– Świat się zmienia. Jeśli jakiś budynek będziesz ciągle tylko odmalowywał i naprawiał, w końcu powstaną w nim pęknięcia. Widziałeś, mój przyjacielu, ruiny świątyń i miast. Całe ludy wyginęły przed naszymi narodzinami, ponieważ tkwiły w marazmie, nie dążyły do postępu. Nie miały ambicji, aby powstać

i zawołać: „Pozostawimy po sobie coś, dzięki czemu nigdy o nas nie zapomną”. – Temistokles zaciętrzewił się tak, że aż nieprzyjemnie było na niego patrzeć. Rozbłysły mu oczy. Ale po chwili zapanował nad sobą, jakby właśnie się ocknął. – W każdym razie nie jest to człowiek mojego ducha. Nie chciałbym go u siebie gościć. Swoją surową miną zabija wszelką radość i śmiech.

Ksantyppos niechętnie pokiwał głową. Czuł się już zmęczony wymianą zdań z Temistoklesem.

– Cóż – mruknął. – Wracam do miasta. Obiecałem sobie, że będę dzisiaj intensywnie biegał.

Temistokles popatrzył na niego uważnie. Zobaczył długie kończyny i silne mięśnie mężczyzny, który każdego dnia ćwiczy się w sztuce wojennej.

– Mogę biec z tobą czy chcesz być sam?

Strateg usłyszał w jego głosie zaczepkę i uśmiechnął się.

– Z radością przyjmę twoje towarzystwo, ale ostrzegam, narzucam sobie ostre tempo.

Tamten zdjął chlamidę i sandały, ściągnął przez głowę chiton i stanął przed nim nagi. Ksantyppos przypomniał sobie, że ma przed sobą miłośnika zapasów i pięściarstwa. Mężczyzna wręcz tryskał energią i zdrowiem, a on zaczął się obawiać, że trochę przesadził z tym ostrzeżeniem. Przecież nie był już młodzieńcem, a kolano wciąż go bolało. Nie wspomniał jednak o swoich wątpliwościach.

Temistokles złożył swoje rzeczy w małą stertę i gwizdnął w stronę plaży. Spomiędzy okrętów wyłonił się niewolnik i ruszył biegiem w ich kierunku.

Temistokles pokiwał głową.

– Prowadź, Ksantypposie. Zrobię, co w mojej mocy, żeby za tobą nadążyć.

Ruszyli spokojnym truchtem. Obaj byli świadomi obecności rywala i żaden nie zamierzał przegrać tego pojedynku, nawet gdyby rywalizacja miała doprowadzić do śmierci.

11

Zawiodło go kolano. Obaj niemal wypłuli serca z piersi, biegnąc przez całą drogę do miasta co sił w nogach. Zobaczywszy mury Aten, poderwali się do sprintu. Ich stopy głośno uderzały o ziemię, rozpryskiwali dookoła ciężkie krople potu. Ksantyppos poczuł, że kolano odmawia mu posłuszeństwa, jakby ktoś przebił je żelaznym szpikulcem. Stracił szybkość, a po chwili zaczął kuśtykać. Zaraz zmusił się jednak do ostatniego wysiłku, mimo że Temistokles wysforował się daleko do przodu i nie oglądał się na niego. Ludzie na wozach ciągniętych przez woły pozdrawiali bohaterów spod Maratonu, bez wątpienia rozpoznając Temistoklesa.

Mężczyźni, dysząc ciężko, zakończyli bieg w bramie miasta, obserwowani z murów przez scytyjskich łuczników, metojków zatrudnionych przez zgromadzenie. Ich zadaniem było utrzymywanie porządku na ulicach, a także na samym Pnyksie, kiedy jakaś gorączkowa wymiana zdań przeradzała się w bijatykę. Na wzgórzu gromadziło się czasami dwadzieścia tysięcy ludzi, kiedy więc emocje sięgały zenitu, dochodziło nawet do rozlewu krwi.

Temistokles się roześmiał, kiedy Ksantyppos do niego dołączył. Obaj mieli czerwone twarze i ciężko oddychali, odzyskiwali już jednak równowagę, chociaż i tak niemal się udusili, bo każdy chciał jak najszybciej wyrównać oddech i pokazać temu drugiemu, że forsowny bieg nie sprawił mu trudności.

– Kulejesz – zauważył Temistokles. – Pewnie powinienem się z tego cieszyć. Mdląłem już, kiedy zwolniłeś.

– To nic takiego – odparł Ksantyppos. Za nic w świecie nie chciał się tłumaczyć przed rywalem. Wyścig wygrał Temistokles. Żadne wyjaśnienia nie miały sensu.

– Znam zarządcę gimnazjonu nad Ilissosem, zaledwie kilka stadionów stąd. To nowe miejsce. Chodźmy tam, z pewnością przywita nas z radością i zajmie się nami jak należy po tym wysiłku. Pochodzi z fyli Leontis i walczył przy mnie pod Maratonem.

Strateg się zawahał, ale nie chciał odmawiać Temistoklesowi. Potrzebował masażu, jego ciało łaknęło oliwy, koniecznej, żeby jutro mógł choćby chodzić. W kolanie czuł ogień i widział, jak mięśnie wokół niego puchną z minuty na minutę. Jego ulubionym gimnazjonem był ten w gaju Akademos, położony na północy, albo jeszcze inny, znajdujący się na wschód od miasta. Poza tym nie chciał zaciągać u Temistoklesa żadnych długów. Kropla potu zawisła mu na czubku nosa, musiał ją zetrzeć dłonią. Nie zastanawiając się dłużej, pokiwał głową. Temistokles ruszył przodem. Jego oddech był już równy i spokojny.

– Starość jest okrutna – powiedział młodszy mężczyzna. – Dzień za dniem odbiera nam po trochu wszystko, co osiągnęliśmy.

Ksantyppos poczuł, jak wzbiera w nim irytacja.

– To tylko dawna rana – odparł napiętym głosem.

– Nas wszystkich to czeka – mruknął Temistokles jakby do siebie.

Ksantyppos wzniósł oczy ku niebu, błagając bogów, żeby dali mu cierpliwość.

Zarządca gimnazjonu powitał jego towarzysza jak dawno niewidzianego brata. Zawołał go po imieniu, kiedy tylko przekroczył bramę i znalazł się w chłodnym perystylu prowadzącym na główne pole. Rzeka płynąca nieopodal znikiała w ocienionym zagajniku. Trasa do biegania była nowa i czysta. Trudno było nie porównywać tego miejsca z łuszczącą się farbą i zielskami rosnącymi na terenie gimnazjonu w gaju Akademos. Ksantypposa zachwyciła troska, z jaką się nimi opiekowano. Jego i Temistoklesa ułożono na wygodnych posłaniach, wymasowano, nie szczędząc oliwy, a potem z niej oczyszczono skrobakami z brązu i kości słoniowej. Brudna oliwa trafiła do sagana stojącego w pobliżu.

Brzydko pachniała i Temistokles kazał niewolnikowi wynieść naczynie, żeby smród im nie dokuczał.

– Wiesz, że Arystydes nie płaci za nową oliwę? Słyszałeś o tym? – zapytał. – Kaze używać bezpłatnych resztek i nie ma dla niego znaczenia, jak śmierdzą.

Ksantyppos zmarszczył czoło. Leżał na plecach i obserwował, jak niewolnik unosi mu nogę. Mężczyzna krytycznym wzrokiem popatrzył na jego kolano. Strateg wziął głęboki oddech, kiedy tamten zaczął uciskać kciukami ścięgna, wyciskając płyny jak najdalej od miejsc, w których się zgromadziły. Strasznie cierpiał i wołał skupić się na rozmowie, żeby nie wyć z bólu. Za nic w świecie nie zamierzał okazać słabości przy Temistoklesie.

– A zatem nie lubi marnotrawstwa. To przecież świadczy o mądrości – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Temistokles usłyszał napięcie w jego głosie i spojrział na niego.

– Kolano sprawia ci kłopoty? – zapytał.

Ksantyppos zwlekał przez chwilę z odpowiedzią.

– Nic mi nie będzie. Dziękuję, że mnie tutaj przyprowadziłeś.

Postawny mężczyzna machnął ręką.

– Kocham to miejsce. Nieważne, ile mnie kosztują wizyty, bo nie są to zmarnowane pieniądze. Napijesz się wina? Pół na pół z wodą? A może trzy miarki wody na jedną wina?

Mimo oporów Ksantyppos zgodził się na tę drugą propozycję. Usiadł, aby swobodnie pić, dlatego niewolnicy, którzy zajmowali się jego nogami, musieli uklęknąć. Popatrzył na plac ćwiczeń, gdzie dwaj zapaśnicy zmagali się z nieudawaną złością. Temistokles obserwował ich bardziej wprawnym okiem i donośnie pogratulował, kiedy jeden z mężczyzn wysoko podrzucił drugiego. Przegrany stanął, bezradnie przytrzymując dłońią bez wątplenia złamany nadgarstek. Ale rozpromienił się, kiedy zobaczył, kto był świadkiem walki. Dopiero po dłuższej chwili poszedł, aby skorzystać z pomocy. Jego nadgarstek unieruchomiono i mocno owinięto.

– Ciekawe, czy spodoba ci się tu tak samo jak mnie – odezwał się Temistokles.

Ksantyppos, który zdążył już wypić wino i położyć się na brzuchu, podniósł głowę. Dwaj niewolnicy wciąż masowali mu nogi, a kolejny, potężnie zbudowany, uciskał mięśnie na jego plecach. Strateg miał wrażenie, że posługuje się łokciami, tak twardy był jego dotyk. Odchrząknął, przygotowany na kolejne boleści.

– Tak. Jestem o tym przekonany – odpowiedział.

– A ja nie – kontynuował towarzysz. – Należysz do eupatrydów. Eupatrydzi mieli ziemię, a ziemia... cóż, w pewnym sensie ziemia to wolność. Właściciel ziemski wie, że nigdy nie będzie głodował. Kiedy świat zwróci się przeciwko niemu, ma się gdzie schronić. Może zamknąć za sobą bramy, nakazać niewolnikom, aby strzegli murów posiadłości. Jest spokojny. Twój ojciec był majątnym człowiekiem, prawda?

– Tak, rzeczywiście – przyznał strateg ostrożnie.

– A rodzina twojej żony... na Atenę, oni byli bogaci już w czasach *Iliady*! Wiesz, że Arystydes pracował z wujem twojej żony, Klejstenesem? Wiedziałaś o tym? Ogromnie go podziwiał. I trudno mu się dziwić. To Klejstenes nadał imiona dziesięciu fylom, to on powołał zgromadzenie i radę! Był wielkim człowiekiem i takim zapamiętał go świat.

– A ty pragniesz, żeby i ciebie tak zapamiętano? – zapytał Ksantyppos.

Żałował, że nie ma z nimi Arystydesa, który przysłuchiwałby się ich rozmowie i właściwie reagował. W przeciwieństwie do Ksantypposa on zawsze potrafił znaleźć w dyskusji odpowiednie argumenty. Temistokles leżał na posłaniu z rozwichrzonymi włosami i umięśnionymi kończynami niczym lew wygrzewający się w promieniach słońca. Po wyczerpującym biegu jego skóra wciąż była zaczerwieniona. Doskonale się czuł, nic nie robiąc.

– Pragnę powodzenia dla Aten – odpowiedział po chwili.

Strateg wyczuł, że to może nie być cała prawda. Zapewne powodzenie Aten utożsamiał on z tym, co było najlepsze dla niego.

– Urodziłem się tuż za murami miasta, w demie Frearrioj. Wiedziałaś o tym?

Ksantyppos pokiwał głową, nie otwierając oczu. Była to niezbyt bogata wioska, jeżeli o to chodziło Temistoklesowi. Pamiętał ją jako miejsce zadbane i schludne, otoczone polami jęczmienia i pszenicy. W Atenach zabudowania stały niekiedy tak gęsto, że promienie słońca nie docierały tam do ziemi. Dziwnie było myśleć o Temistoklesie jako o kimś, kto długo żył wśród pól, bo tak wprawnie poruszał się po zakamarkach miasta. Strateg nie mógł odgadnąć, w jakim stopniu te wczesne lata ukształtowały mężczyznę, który teraz leniwie spoczywał obok niego. Wydawało mu się, że Temistokles wziął od bogów wszystko, co mu zaoferowali, a dodatkowo wyłudził coś podstępem.

Z cichym szumem starą oliwę wylano do nowej drewnianej wanny. Kilka ciężkich kropli spadło na piasek. Przyniesiono świeżą o złotej barwie, a dwaj potężnie zbudowani niewolnicy zanurzyli w niej ręce. Na placach zapaśniczych kurz grubą warstwą przywierał do ciał mężczyzn spoconych z wysiłku. Choć wielu z nich ponosiły emocje, starali się nie czynić sobie nawzajem krzywdy. Inaczej przebiegały walki pięściarskie, o wiele bardziej brutalne od rywalizacji zapaśników. Usłyszawszy głośniejsze kroki, Ksantyppos przez chwilę miał ochotę się wyprostować, żeby poobserwować ścigających się biegaczy, ale zaraz z tego zrezygnował. Dzień był zbyt piękny, a powietrze zbyt słodkie. Uniósł za to kubek, aby dolano mu wina, i oparł głowę na obitym skórą drewnianym kłocu. Wymamrotał podziękowania do niewolnika, który zajmował się jego kolanem. Ból powoli ustępował i strateg był masażystie ogromnie wdzięczny.

– Mój ojciec, Neokles – ciągnął Temistokles – nie posiadał wielkiego majątku, nie szczyił się też w życiu wielkimi osiągnięciami. Dziadek wyrzekł się go, a on nigdy nie powiedział mi dlaczego, chociaż miało to prawdopodobnie związek z jego gwałtownym usposobieniem. Pamiętam, że matka się go bała. Umarł, kiedy miałem jedenaście lat, i wychowywała mnie sama, z niewielką pomocą obcych ludzi. Zabrała mnie do Aten i zamieszkaliśmy w okolicy Keramejkosu. Miała na imię Abrotonon, była drobną blondynką z Tracji, samotną w wielkim mieście, bez siostr czy przyjaciół. Wyobrażasz sobie? Pracowała od świtu do zmroku, żeby nas utrzymać. Pamiętam, jak pewnego dnia rozbiłem gliniany

dzbanek, mały, zwykły, wypalony w piecu. Był niebieski. Dla mnie to nie miało znaczenia, ale ona płakała, kiedy próbowała posklejać drobne skorupy. Nie miała innego, a ludzie każdego dnia wyrzucają na śmietnik o wiele lepsze naczynia. – Umilkł na długą chwilę, a Ksantyppos zaczął się zastanawiać, czy prawdziwe są plotki, że jego matka zatrudniła się w burdelu, żeby zarobić na utrzymanie. Nie popadła w długi, dzięki czemu uniknęła losu niewolnicy, co bardzo dobrze świadczyło o jej charakterze. Nie potrafił jednak wyobrazić sobie takiego dzieciństwa, jakie opisywał Temistokles. – Przez jakiś czas żyliśmy sobie spokojnie – odezwał się znowu tamten. Jego głos złagodniał, kiedy wspominał dziecięce lata. – Uwielbiałem ją rozśmieszać. Mogłem skończyć jako jeden z pięściarzy w takim miejscu jak to. Przez lata ćwiczyłem w dwóch gimnazjonach podobnych do tego, w którym teraz jesteśmy, wiedziałeś o tym? Złamano mi nos więcej razy, niż jestem w stanie spamiętać, ale instruktorzy nauczyli mnie kilku rzeczy. Uczyłem się wszystkiego, czego zdołałem, wszystkiego, co było potrzebne, żeby osiągnąć w życiu lepszy status. Nie chciałem być ubogi, nie chciałem... żeby mną pomiatano. Kiedy miałem trochę pieniędzy, zatrudniałem nauczycieli, żeby uczyli mnie czytać i pisać, sztuki dyskusowania i inżynierii. Każdy kolejny krok na tej drodze zwiększał moje szanse. Rozumiesz, Ksantypposie? Wsłuchiwałem się w słowa mówców na zgromadzeniu. Obserwowałem ich i się uczyłem, ćwiczyłem ciało i umysł. W końcu stałem się znany, zacząłem sprzedawać moje rady i umiejętności innym. Pisałem archontom i strategom przemówienia, które później wygłaszali wobec eklezji i wygrywali dzięki nim nasze sprawy. Zmieniliśmy prawa. Pamiętam, że pomiędzy dwudziestką a trzydziestką niemal nie sypiałem.

– Twoja matka wciąż żyje? – zapytał strateg.

Nie usłyszawszy odpowiedzi, otworzył oczy i zobaczył, że Temistokles leży z głową opartą na wysokim klocku, a siwowłose niewolnik masuje mu nogi i wykręca je w stawach. Zabiegi miały sprawić, że będzie nimi poruszał tak swobodnie, jakby dzisiaj w ogóle nie zmusił ich do forsownego wysiłku.

– Umarła kilka lat temu. Rok później zgromadzenie mianowało mnie archontem eponimem. Uwierzysz? Nie doczekała tej chwili. Nigdy się nie dowiedziała, że rok po jej śmierci nazwano imieniem jej syna, że dla wszystkich Ateńczyków był to rok Temistoklesa. Nie było w ciągu niego trzęsienia ziemi ani wielkiej powodzi, ani bitwy, niczego, co mogłoby narazić mój honor na szwank. – Jego głos odrobinę się zmienił, mówił teraz przez ściśnięte gardło. – Żałuję, że nie doczekała roku Temistoklesa. – Na jego policzkach pojawiły się łzy i odwrócił głowę.

Ksantyppos milczał. Nie wiedział, dlaczego mężczyzna dzieli się z nim najbardziej osobistymi wspomnieniami. Jego opowieść zafascynowała go, lecz jednocześnie jakby ubodła, gdyż wywołała w nim poczucie winy, że sam miał o wiele łatwiejsze dzieciństwo i młodość. Oczywiście kroczyli przez życie odrębnymi ścieżkami, ale obaj wylądowali w końcu w Atenach, a teraz masowali ich ci sami niewolnicy dolewający im do kubków wino i wodę. Czy ważne było, jakimi drogami dotarli do swoich pozycji?

– Byłaby bardzo dumna – powiedział w końcu.

– Tak. Kiedy więc słyszę, jak Arystydes mówi, że tytuł archonta eponima nic dla niego nie znaczy, że jest jedynie zaproszeniem dla próżności, myślę sobie... iż tak mówi człowiek, któremu wszystko w życiu przychodziło zbyt łatwo. Zastanawiam się, czy ma on w ogóle jakieś pojęcie o doli przeciętnych Ateńczyków.

– A czy ktoś z nas potrafi zrozumieć problemy innych? – zapytał Ksantyppos. – Patrzę na ciebie, wysłuchałem twoich słów. Wiem, że jesteś człowiekiem wpływowym, o dużym autorytecie. Widziałem, jak pod Maratonem przemawiałeś do ludzi. – Zauważył zdziwienie na twarzy Temistoklesa. Tamten pewnie był przekonany, że zanadto się różnią, aby zrozumieć się nawzajem. – Widzę, że Arystydes jest pełen spokojnej godności – kontynuował.

– Arogancji – mruknął Temistokles, układając się wygodniej na posłaniu.

Strateg miał nadzieję, że nie skierował tego przeciwko niemu, chociaż jego towarzysz był na tyle wyrafinowany, że jednym słowem potrafił obrazić od razu

dwie osoby.

– Nie zgadzam się. Arystydes emanuje cnotą abstynencji i dyscypliny. Ludzie to widzą. Jest doskonałym przywódcą.

– Zachowuje się bardziej jak Spartanin niż Ateńczyk – stwierdził Temistokles.

– I Spartanie, i Ateńczycy mają swoje zalety! – powiedział Ksantyppos z naciskiem.

Usłyszał, że Temistokles siada i zdejmuje nogi z posłania.

– Och, coś o tym wiem. Chociaż nigdy nie pojmowałem tego... poczucia wyższości, przekonania niektórych Spartan i Ateńczyków, że są lepszym gatunkiem ludzi, a w ich żyłach płynie szlachetniejsza krew. – Wzruszył ramionami. – Czasami mnie to złości. Arystydes Sprawiedliwy, mówią o nim ze względu na jego przyzwoitość i niezmiennie honorowe postępowanie. Ale on nigdy nie zaznał strachu ani głodu. Czy ktoś taki naprawdę może przewodzić miastu?

– Przecież on głoduje każdego dnia! – sprzeciwił się Ksantyppos. – Nosi zgrzebne szaty, zniszczone sandały i nie daje się zwieść pokusie dobrobytu. Widziałem, jak jadł posiłek składający się z rybich łusek i wnętrzności, które rybacy wyrzucają w portach. I sam powiedziałeś, że w gimnazjonie nie używa świeżej oliwy.

– A jednak jego ziemie i posiadłości są równie rozległe jak twoje. Arystydes gardzi dobrobytem, lecz jego bogactwem można by obdzielić tysiące ludzi. A że chodzi w łachmanach? To oznaka wyłącznie arogancji i dwulicowości. To mu nie przystoi.

– Aż tak się od niego różnisz? – Ksantyppos ze zdziwieniem usłyszał swoje pytanie. Było bliskie obelgi i zaraz pożałował, że je zadał.

Temistokles jednak się nie obraził i odpowiedział spokojnie:

– Równie dobrze jak Arystydes wiem, co ma w życiu wartość, a co jej nie ma. Ale pochodzę z ludu, Ksantypposie, wychowałem się wśród prostych Ateńczyków. Ciężko pracowałem, sporządzając dokumenty dla innych, lecz nigdy nie odmówiłem usługi człowiekowi, który nie posiadał nic. Domagałem się

fortuny od archontów z Areopagu, kiedy chcieli, żebym pisał dla nich wystąpienia albo dostarczał argumentów do dyskusji podczas zgromadzenia lub przed sądami. Kiedy jednak przychodził do mnie człowiek, który bał się, że właściciel wyrzuci go z domu albo że zostanie niewolnikiem z powodu swoich długów, czasami pracowałem dla niego całą noc i nie brałem za to zapłaty. Nigdy nie zapominałem, jak smakuje ubóstwo. Arystydes na jednym wydechu szydzi z mojej młodości i z mojego uwielbienia dla wina, jedzenia czy innych dobrych rzeczy. – Potrzęsnał głową i parsknął jak pies, któremu woda dostała się do nosa. – Zaczynałem od niczego! – zawołał. – Zaznałem w życiu wiele trudnych chwil. Ateńczycy o tym wiedzą. Kiedy patrzą na mnie, to jakby widzieli samych siebie. Gdy zgromadzenie debatuje nad budową nowej świątyni, wzywa budowniczych, a ci jedynie słuchają o kosztach, rozliczeniach, niezbędnych materiałach. Lecz kiedy sprawa dotyczy zarządzania miastem, każdy może wyrazić swoją opinię. Budowniczowie mogą stanąć u boku archontów i zostaną przez nich wysłuchani. Mnie także wysłuchają, Ksantypposie, ponieważ nauczyli się cenić moje rady. Czyż to nie cudowne? Czy w Sparcie, Tebach albo Koryncie mógłbym osiągnąć tak wysoką pozycję, nie pochodząc z uprzywilejowanej rodziny? Znasz odpowiedź. Tutaj jednak jestem znany i ceniony. I to dlatego zostałem archontem eponimem, pierwszym pośród równych, wcześniej niż Arystydes, który musiał czekać aż trzy lata na ten zaszczyt. – W głosie Temistoklesa brzmiała głęboka gorycz. Wyrażna, nieskrywana. Gorycz, ból i niepewność.

Ksantyppos zastanawiał się, jak głęboko tkwią te uczucia w Temistoklesie, a tymczasem na twarz jego towarzysza powróciły radość i zadowolenie, przyćmiewając wszystko inne. Ten człowiek doskonale znał samego siebie, potrafił więc śmiać się z własnych słabości i nigdy nie dawał się im zaskoczyć. Zapewne właśnie dlatego był tak niebezpieczny, choć Ksantyppos nie wiedział, czy tylko dlatego.

– Widzisz tych ludzi wokół nas? – zapytał leniwie Temistokles. – Dwaj metojkowie z Tracji, cudzoziemcy sprowadzeni do tego gimnazjonu za ogromne pieniądze ze względu na swe umiejętności. Masz tu jeszcze trzech niewolników.

Dwaj urodzili się niecałą przecznicę od domu, w którym mieszkałem z matką. Deneos pracował na rynku, sprzedawał figi, no i siebie przy okazji, zanim trafił tutaj. Mam udziały w tym gimnazjone i to dzięki mnie go tutaj zatrudniono, jeśli więc mu każę poderznąć ci gardło, jak sądzisz, ocalisz życie?

Ksantyppos znieruchomiał. Odniósł wrażenie, że mężczyźni, których wymienił Temistokles, uważnie go obserwują, czekając na jego reakcję. Jego towarzysz się roześmiał.

– Musiałbyś zobaczyć teraz swoją minę! – zawołał. – To są także twoi ludzie. Wiedzą, że walczyłeś dla nich pod Maratonem. Jesteś bohaterem, Ksantypposie, podobnie jak ja. Jesteśmy zwycięzcami. Arystydes nigdy nie zyska w Atenach większego szacunku niż ja. Ani Miltiades.

Ksantyppos posłał mu ostre spojrzenie, ale Temistokles znowu zainteresował się zapaśnikami. Odezwał się po chwili ciszy, jego głos był już znacznie spokojniejszy, a na ustach błąkał mu się uśmiech.

– Teraz zażyję krótkiej kąpieli w basenie, później coś zjem, a jeszcze później zajmę się zapasami, zupełnie innymi od tych tutaj: w burdelu w mieście. Dowiedziałem się, że przywieziono nowe kobiety. Dotarły prosto ze statku, który przybył z jakiegoś dziwnego miejsca, gdzie nigdy nie doświadczyły dotyku mężczyzny. To oczywiście nieprawda, ale zabawnie będzie patrzeć, jak odgrywają niewiniątka. Zechcesz mi towarzyszyć, Ksantypposie? Nabieram coraz większego apetytu na zabawę.

Temistokles dobrze wiedział, kiedy zadać to pytanie. Jego towarzysz czuł się przytłoczony długą rozmową i groźbami, a jednocześnie schlebiało mu jego zaufanie. Tymczasem przedwieczorne słońce wciąż pieściło ich ciepłymi promieniami, mimo że białe kamienne kolumny rzucały już długie cienie.

– Dosyć, dziękuję – powiedział do otaczających go niewolników.

Wyczuwszy wcześniej z ich strony ukryte zagrożenie, zdał sobie sprawę, że nie może dłużej leżeć i pozwalać, aby ich silne dłonie ugniatały jego opuchnięte kolano. W końcu ból pozwalał mu czuć, że wciąż żyje. Wstał i oparł ciężar ciała na niesprawnej nodze. Kolano doskwierało mu znacznie mniej niż bezpośrednio

po biegu. Wyjął z sakiewki srebrną drachmę i rzucił niewolnikowi, który najintensywniej się nim zajmował. Była to połowa jego dziennego zarobku, dlatego przed odejściem mężczyzna uśmiechnął się szeroko i głęboko mu uklonił.

– Mówisz, że dotarliśmy na swoje pozycje różnymi ścieżkami – zaczął Ksantyppos. – Lecz żaden z nas nie wybierał własnej drogi. Zapewne Arystydes jest najbardziej uczciwy, skoro wybrał ubóstwo jako atrybut szlachectwa, życie bez zbytków i ekstrawagancji. Podziwiam go za tę niezłomność. A jeśli chodzi o ciebie, Temistoklesie... co mam myśleć o tobie? – Usiadł na ławce i skrzyżował nogi w kostkach. Jedną dłoń ułożył na piersi, a na drugiej ręce oparł podbródek. Popatrzył na towarzysza w taki sposób, jakby stanowił dla niego zagadkę, którą właśnie chce rozwiązać.

– Absolutnie nic. Świadomie i z własnej woli jestem tym, kim jestem. Dzięki wpływowi czasu, łaskawości bogów i własnym wysiłkom. A osiągnąłem taki wiek, że nie domagam się niczyich ocen i nie życzę sobie rzeźbiarzy, którzy chcieliby na nowo kształtować moją postać.

– Zgoda. Jako dorośli mężczyźni dokonujemy wolnych wyborów, podobnie jak Arystydes. Jako młodzieńcy byliśmy tej możliwości pozbawieni. Nie miałem wpływu na wybór moich nauczycieli ani na treść tego, co mi wpajali. Tak jak ty, za młodu przyjąłem od życia to, co mi ono zaoferowało. Jestem człowiekiem ukształtowanym przez określone warunki, świadomym, że dzięki ojcu i jego wpływom wynikającym z bogactwa miałem ułatwiony start w dorosłość. Czy ścieżka, która mnie tutaj przywiodła, kiedykolwiek skrzyżowała się z twoją? Czy byliśmy w czymś do siebie podobni? Chyba nie. I nadal nie jesteśmy. A jednak, chociaż nie pochodzę z ludu, jestem Ateńczykiem i szanuję cię, tak jak i Arystydesa. Mam nadzieję, że ty też mnie szanujesz.

– A Miltiadesa? – zapytał niespodziewanie Temistokles.

Ksantyppos zamarł. Na bogów, ten mężczyzna miał umysł ostry jak brzytwa! Przy nim ani na chwilę nie można było stracić czujności. Lekko pochylił głowę i odezwał się ciszej, jakby ktoś mógł ich podsłuchiwać:

– Wyjaśniliśmy między sobą wszystkie nieporozumienia, Temistoklesie. Zgromadzenie go uwielbia.

– Tak – odparł Temistokles z niechęcią. – Uwielbia. Pójdiesz na święcenie nowych okrętów, kiedy będą gotowe do wypłynięcia?

– Oczywiście. Będę obserwował składanie ofiar, będę pił wodę i wino i radował się z innymi. Ateny to moje miasto. To, co jest dobre dla Aten, jest dobre dla mnie.

– Piękna myśl – powiedział Temistokles miękkim głosem. – Chodź więc ze mną. Spożyjmy razem posiłek i odprężmy się. Może cię namówię, żebyś mnie wsparł w rywalizacji z Arystydesem, kiedy nadejdzie pora. Do rozważenia pozostało wiele innych aspektów poza sposobem bycia i wyborem oliwy. Chodź. Jesteś wśród przyjaciół.

Ksantyppos nie był tego do końca pewien. Właściwie nie wiedział, dlaczego nie ufa Temistoklesowi, a jednak tak właśnie było. Może wynikało to z tego, że tamten kochał wygrywać, a kiedy ktoś zwycięża, obok zawsze musi znajdować się przegrany? Postanowił, że dzisiaj dowie się o Temistoklesie tyle, ile tylko zdoła, nawet jeżeli przez cały wieczór będzie musiał uważać na każde słowo, obcując z dziwkami i podstępными zmiłami.

* * *

Agarysta obudziła się, usłyszawszy pukanie. Przez chwilę wpatrywała się w sufit. Czyżby rozplakało się któreś z dzieci? Pukanie rozległo się ponownie i wtedy zobaczyła błysk światła – któryś z niewolników zapalił lampę, wyjąwszy z paleniska żarzące się drewno. Światło zaczęło wędrować korytarzem w kierunku jej pokoju. Usiadła, pościel opadła jej z piersi. W pokoju Ksantypposa było ciemno, a więc jeszcze nie wrócił.

Jedno z dzieci rzeczywiście zaczęło płakać, nie rozpoznała jednak, czy to Perykles czy jego siostra. Zacisnęła usta i wstała z łóżka. To zadaniem służby było reagowanie na pukanie do drzwi i decydowanie, czy należy budzić panią

domu. Ale czy ktoś mógł nadal spać, skoro drzwi niemal dudniły? Przez głowę przebiegły jej czarne myśli: Ksantyppos nie żyje, Persowie zaatakowali miasto, w Atenach wybuchły zamieszki, bunt. Cicho zakławszy, okryła się długą szatą i skierowała do głównej części domu.

Pomieszczenia dla niewolników znajdowały się w fundamentach poniżej pokoi rodzinnych i Agarysta zobaczyła na korytarzu wystraszone twarze. Służba nie ośmielała się zapalić własnych lamp, dopóki pani nie pozwoliła. Czekali w mroku, nieruchomi i bezradni, tak jak nakazywał ich status. Wychodząc z sypialni, Agarysta zacisnęła szczęki. Miała nadzieję, że do któregoś z niewolników dotrze wreszcie, że trzeba uspokoić płaczące dziecko. W końcu rozpoznała głos Peryklesa. Trudno jej było powściągnąć złość na głupca, który ośmielił się obudzić w nocy cały dom; tylko sama Hera wiedziała, jaka to pora.

Spośród pięćdziesięciu czterech niewolników zaledwie sześciu nauczono posługiwać się bronią na wypadek, gdyby trzeba było stanąć w obronie kobiet i dzieci. Na co dzień pracowali jako kucharze, kamieniarze albo stolarze, lecz teraz chwycili miecze i skórzane zbroje i stanęli przed panią, aby jej bronić. Reszta służby zapaliła wreszcie lampy. Wszyscy zgromadzili się pomiędzy głównym budynkiem a murem oddzielającym posiadłość od drogi, oświetlając Agarystę, która wyszła na zewnątrz. Nie okazała strachu, kiedy padło na nią światło. W obecności służby musiała zachowywać się jak Atena w hełmie wojownika. Nabrała powietrza w płuca, chcąc się uspokoić i ukryć przerażenie, które sprawiało, że drżała i kolana się pod nią uginały.

Najważniejszym i najstarszym niewolnikiem w posiadłości był Manias, który służył jeszcze ojcu Agarysty i znał ją jako małą dziewczynkę. Pomagał Ksantypposowi przygotować broń i przywdziać zbroję, gdy pan domu wyruszał pod Maraton. Teraz stanął przy bramie z mieczem w dłoni i skinął na swoją panią, gotowy wykonywać jej rozkazy. W bramie znajdowało się okienko, które można było bezpiecznie uchylić przed jej otwarciem. Oczywiście istniało ryzyko, że ktoś zaatakuje przez otwór włócznie, i dlatego Manias patrzył na Agarystę, oczekując poleceń.

– Zatem kto do nas przybył, Maniasie? – odezwała się Agarysta, czując, jak lodowaty strach zaciska jej gardło.

Manias uchylił bramę i wyrzał na zewnątrz. Agarysta dostrzegła ponad jego głową mężczyznę o zwieszonych ramionach, zaciskającego dłoń na rękojeści miecza.

– To pan – oznajmił niewolnik.

Agarysta chciała coś powiedzieć, ale z ulicy dobiegł tubalny głos:

– Brama! Czy wszyscy ogłuchliście? Otwórzcie mi bramę!

Agarysta nie kazała reszcie służby odejść; dała Maniasowi znak, żeby odsunął żelazne zasuwę, które biegły wzdłuż całej bramy aż do muru. To było niewybaczalne: jej mąż nie miał prawa budzić rodziny w taki sposób.

Brama stanęła otworem i Ksantyppos prawie wpadł w mury swojej posiadłości, przytrzymywany przez dwóch obcych. Wydawali się raczej złośliwie rozbawieni niż zakłopotani. Agarysta mocniej otuliła się szatą, gdy mężczyźni spróbowali jednocześnie się jej ukłonić i nie pozwolić przy tym, żeby jej mąż upadł na ziemię. Poczula bijący od nich smród wina i wymiocin. Zakryła dłonią usta.

– Gdzie mamy go położyć, pani? – wyjąkał jeden z przybyłych i nie wiadomo dlaczego mrugnął do Agarysty.

– Mogliście go zostawić w rynsztoku – odparła. – Ale skoro obudziliście cały dom, zostawcie go na ławce i idźcie stąd. Maniasie, daj im po drachmie za ich wysiłek, dobrze?

Niewolnik wygrzebał z sakiewki dwie srebrne monety i wręczył zadowolonym mężczyznom, którzy wylewnie mu podziękowali. Ksantyppos zaległ na ławce z odchyłoną głową i natychmiast zasnął. Natomiast tamci niespodziewanie zatrzymali się w bramie i rozejrzeli dookoła zapuchniętymi oczami.

– A może dostaniemy też coś do jedzenia? – zapytał jeden.

– Nie, nie dostaniecie – odpowiedziała Agarysta. – Jesteście niewolnikami?

Jej zachowanie wobec tych pijaków zależało od ich statusu społecznego. W słabym świetle trudno było ocenić, kim są. Byli młodzi, ubrani w proste szaty,

na palcach nie nosili pierścieni. Kiedy w odpowiedzi na jej pytanie skinęli głowami, odetchnęła z ulgą. W gruncie rzeczy miała wobec nich dług, jednak w przypadku niewolników o żadnym zobowiązaniu nie mogło być mowy.

– Jestem wam wdzięczna. Kto jest waszym panem i kazał wam przyprowadzić mojego męża do domu w takim stanie?

– Archont Temistokles, pani – odparł dumnym głosem jeden z mężczyzn. – Zapłacił za wizytę w burdelu.

– Cudownie – powiedziała Agarysta. – Czyżby coś świętowali?

Obaj pokiwali głowami. Jeden bardzo zbladł, jakby i on mocno nadwerężył zdrowie w trakcie zabawy.

– Wracajcie do swojego pana i podziękujcie mu ode mnie – dodała Agarysta najbardziej uprzejmym tonem, na jaki potrafiła się w tej chwili zdobyć.

Nie okazywała już ani irytacji całą sytuacją, ani wściekłości na męża. Młodzieńcy uśmiechnęli się do niej i pozwolili, żeby Manias wypchnął ich aż na ulicę. Bramę zamknięto i zabezpieczono żelazną zasuwą. Przez chwilę zza muru słychać było ich śpiew, gdy ruszyli w drogę powrotną do miasta.

12

Obwieszczenia i nawoływania heroldów, które rozbrzmiewały w całym mieście, oznaczały zwołanie eklezji. Choć słońce docierało właśnie do zenitu, Ateńczycy nie przerywali pracy. Może tylko na zawsze zatłoczonych targach na agorze zrobił się jeszcze większy tłok, gdy głoszący obywatele próbowali dokończyć zakupy, wciskając paczki z jedzeniem w ręce niewolników. Nieliczna grupa kobiet z wyższych sfer zachowywała dystans wobec tłumów. Wiedziały z doświadczenia, że w ciżbie mogłyby zostać sponiewierane. Biedniejsze kobiety nie miały takich obaw, wychodząc z domów. Niektóre targowały się nawet przy straganach, doskonale wiedząc, że sprzedawcy, którzy przed rozpoczęciem obrad zgromadzenia będą musieli zaprzestać handlu, zechcą wcześniej sprzedać jak najwięcej towaru.

Epikleos i Ksantyppos siedzieli na Pnyksie, kilkanaście kroków od kamienia przeznaczonego dla mówcy. Zawsze wybierali to miejsce i jak zawsze na wzgórzu zgromadziło się już mnóstwo innych mężczyzn. Nikt nie zasiadał na płaskiej skale, z której przemawiano, stojąc ponad głowami pozostałych członków zgromadzenia. Dzisiejsze spotkanie zaplanowano już dawno. Jak w każdy zwyczajny dzień witali się tradycyjnym „Co słyhać?”. Wieści rozchodziły się jednak tak daleko i szybko, że tylko niewielu nie znało jeszcze odpowiedzi na to pytanie. Sprowadziła ich tutaj perspektywa wielkiego dobrobytu, równie ekscytująca jak wino i krew. Tę ekscytację było widać w oczach zebranych, słyhać w ich nerwowym śmiechu.

Pnyks stopniowo wypełniał się młodszymi i starszymi mężczyznami, których przywiodła ciekawość i duma, nawoływania heroldów, a nawet przekonanie, że należy sumiennie wypełniać obywatelskie obowiązki.

– Zastanawiam się, czy dzisiaj na agorze będą potrzebne czerwone sznury – powiedział Epikleos do przyjaciela. – Tak, oczywiście – dodał od razu – Ateńczycy nie lubią, kiedy się im mówi, co mają robić, nawet dla własnego dobra. Niech bogowie ich za to błogosławią.

Wzgórze znajdowało się wysoko ponad doliną, której sercem była agora, a kamienne stopnie na nim mogły pomieścić tysiące ludzi, którzy – zajmawszy wygodnie miejsca – mogli wysłuchiwać kolejnych mówców. W zwyczajne dni zdarzało się, że na posiedzenia przybywało sześć lub siedem tysięcy obywateli – ledwie tyle, by zgromadzenie mogło podejmować decyzje i ustanawiać nowe prawa. W takie dni jak ten na wzgórzu zasiadało jednak ponad dwadzieścia tysięcy mężczyzn.

Z wieściami z Laurion członkowie zgromadzenia śpieszyli tutaj zarówno z demów poza miastem, jak i z wszystkich dzielnic Aten. Sami Ateńczycy byli w tym gronie maruderami, pojawiali się najpóźniej, pogrążeni w rozmowach lub do ostatniej chwili targujący się o towary i usługi.

Grupa miejskich niewolników zatrudnianych przez zgromadzenie rozpoczęła swoją ulubioną pracę – rzucanie w stronę ludzi długich sznurów zakończonych pętlami i świeżo zanurzonych w czerwonej farbie. Miało to ponaglać spóźnialskich do zajmowania miejsc na wzgórzu. Zależnie od nastroju i natężenia obelg pod adresem niewolników ci mogli rzucać mniej lub bardziej celnie. Nikt nie chciał się zetknąć z farbą, która na zawsze pozostawiała ślady na ubraniu, a do ciała przywierała na tydzień albo dłużej. Czerwone paski były przedmiotem drwin i niewybrednych komentarzy. Naznaczonych nimi mężczyzn wyzywano od „guzdrałów” lub „spacerowiczów”, ku wielkiemu zadowoleniu tych, którzy nie mieli prawa uczestniczyć w głosowaniach.

Głosować nie mogli niewolnicy, kobiety, dzieci ani metojkowie z odległych krain, dlatego przeganiano ich ze wzgórza, tak jak rybacy wrzucają z powrotem

do morza małe rybki. Mogli na nim pozostać jedynie uprawnieni do głosowania mężczyźni liczący co najmniej osiemnaście lat. W Atenach mieszkało ich około trzydziestu tysięcy – trzy razy więcej, niż wzięło udział w bitwie pod Maratonem. Z dziesięciu miejskich fyl zgromadzenie wybierało bule, radę z urzędnikami i sędziami, oraz w drodze losowania epistatesa, przewodniczącego obradom w danym dniu. Mawiano, że każdy mężczyzna, który skończył trzydzieści lat, może przez jeden dzień rządzić Atenami, jeżeli tylko naprawdę tego zechce. Bezustanne zmiany na stanowiskach miały zapobiegać tyranii. Zależnie od nastroju i jakości argumentów w dyskusjach Ksantyppos zarazem nienawidził i uwielbiał ten ustrój za jego nieprzewidywalność i uczciwość.

Na kamieniu mówcy złożono ofiarę z barana, po czym dwaj spoceni kapłani zabrali go, trzymając głową do dołu. Obeszli wzgórze, a krew ciekąca z szyi zwierzęcia utworzyła na ziemi linię o wielkim znaczeniu. Ci, którzy znaleźli się w wyznaczonym przez nią okręgu, mieli stanowić obowiązujące w Atenach prawo. Ci na zewnątrz mieli być mu po prostu posłuszni. Miasto strzegło się przed tyranami, a decyzje zgromadzenia ryto dłutem w kamieniu i umieszczano na agorze. Tam każdy mógł je przeczytać – metojk, kobieta albo niewolnik, jeżeli tylko sztuka czytania nie była mu obca albo jeśli miał przy sobie drobną monetę i mógł zapłacić komuś za głośne odczytanie obowiązującego prawa.

– Kto jest dzisiaj epistatesem? – mruknął Ksantyppos do przyjaciela.

Popatrzyli w stronę zupełnie nieznanego im mężczyzny, który zaczął powoli wchodzić po stopniach prowadzących do kamienia mówcy. Nazwę jego funkcji znano także w falandze, oznaczała ona „tego, który stoi z tyłu”. Na Pnyksie miała przypominać, że ktoś, kto przewodzi miastu, jest także sługą ludu. Epikleos wzruszył ramionami.

– W tym miesiącu przewodzi fyle Pandionis. Nie znam ich dobrze. Następna w kolejności jest Leontis, wyobrażam sobie, że Temistokles będzie wtedy zapracowany jak pszczołka. Widzę go na podwyższeniu. Nic dziwnego, skoro dotarły takie wiadomości... Arystydes także tam jest.

– A więc będzie kłótnia. Ci dwaj nie potrafią wspólnie uzgodnić, jaki jest dzień tygodnia.

Mężczyzna, który stanął na kamieniu mówcy, uśmiechnął się promiennie do tysięcy ludzi zgromadzonych, aby roztrząsać najważniejsze sprawy miasta. Ksantyppos podniósł na chwilę wzrok.

– Czasami się zastanawiam, czy nie ma lepszego sposobu na zarządzanie Atenami – powiedział, ledwie poruszając wargami.

Epikleos popatrzył na niego i uśmiechnął się ironicznie. Dyskutowali już na ten temat, podobnie jak wszyscy Ateńczycy, kiedy w głowach szumiało im wino.

– Doświadczyliśmy tyranów – odparł. – Kiedy przedstawiciel naszej warstwy narzeka na nowe prawa, w roli najlepszego prawodawcy zawsze zdaje się widzieć tylko siebie. „Och, czego ja bym nie zrobił!”, mawia. Ale to tak nie działa, Ksan. Dobrych tyranów szybko zastępują źli. Władza nad ludźmi... wydobywa z przywódców same złe cechy. Ledwie taki zasiądzie na tronie, a już żąda, żeby sprowadzono mu do haremu dziesięć młodych żon! Dlaczego mielibyśmy znosić kolejnego tyrana, nieważne, jak dobre miałyby intencje? Mówię ci, Ksan, szybko doszłoby do buntu. Ostatniego wygnaliśmy z miasta, chociaż mogliśmy go zabić. Hippiasz nie rozumiał współczesnych czasów.

– Kto przemówi? – zawołał epistates nad głowami zgromadzonych.

Ludzie zaczęli rozmawiać w grupach znacznie głośniej niż zazwyczaj. Każdy mógł odpowiedzieć na wezwanie, jeżeli miał tutaj swoich zwolenników. Oczywiście, gdyby zaczął gadać od rzeczy albo bluźnić, w pogotowiu czekali łucznicy, którzy mogli zdjąć go z kamienia.

Ksantyppos pokręcił głową.

– Musi istnieć coś pośredniego pomiędzy tyranami a tym... Inny przywódca na każdy dzień roku.

– „Każdy mężczyzna może przewodzić Atenom, przynajmniej przez jeden dzień” – powiedział cicho Epikleos. – No i oczywiście władzę ma rada Areopagu. Archontowie rozumieją ludzi lepiej, niż oni rozumieją samych siebie.

– Możliwe – odparł Ksantyppos. – Są tacy, którzy chętnie odmówiliby im prawa głosu, skoro każdy głos, czy to archonta, czy zwykłego obywatela, waży tyle samo. Jeżeli do tego dojdziemy, Epikleosie... Zresztą posłuchaj tylko! – Urwał, gdyż nad Pnyksem poniosła się gwałtowna kłótnia. Pokręcił głową. – To jest... bałagan.

Jego przyjaciel westchnął.

– Świat nie zna niczego podobnego, Ksan. Może to jest bałagan, ale wspaniały. Ksantyppos popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Naprawdę zmieniłeś zdanie? Kiedy? Po bitwie pod Maratonem?

– Nie wtedy. Gdzie byli oni wszyscy, kiedy wyruszyliśmy z Aten? Połowa tych, którzy tutaj głosują, nie odróżnia jednego końca włóczni od drugiego. Nie, gdybym był bardziej stanowczy, powiedziałbym: „Albo walczcie o swoje miasto, albo słuchajcie poleceń tych, którzy walczą”. Nie, dyskutowałem na temat tyranii z Arystydesem...

Ksantyppos poklepał go po ramieniu. Tymczasem Temistokles odpowiedział na wezwanie epistatesa i wszedł na kamień mówcy, aby ludzie mogli go lepiej słyszeć. Stanąwszy ponad tłumem, mogąc czerpać inspirację z Akropolu po prawej stronie, zamierzał dotrzeć do umysłów wszystkich tu obecnych. Przejęty swoją rolą epistates, by dochować formalności, popatrzył na morze głów, poszukując zwolenników Temistoklesa. Rozległy się gromkie głosy, na znak poparcia wysoko uniosły się też liczne ręce. Jego oponenti nie sprzeciwiali się, by wystąpił, wyraźnie zadowoleni, że to on rozpocznie dyskusję. Ofiary zostały złożone, modlitwy do Ateny i Apollina wygłoszone. Epistates usiadł, a Temistokles odchrząknął i otworzył obrady.

– Przyjaciele, bracia, Ateńczycy. Wszyscy już zapewne słyszeli, że górnicy z Laurion natrafili na nowe złoża srebra i rudy ołowiu, obfitsze od wszystkich dotychczasowych. – Przez zgromadzenie przebiegł szmer zdziwienia. Temistokles głośno się roześmiał. – Chcecie udawać zaskoczonych? Ateńczycy, wiem to samo co wy. W tej kopalni pracuje, ile, dziesięć tysięcy mężczyzn? Więcej? Tej informacji już od pierwszej chwili nie można było utrzymać

w sekrecie. Szepcze o niej całe miasto, a chodzi o bogactwo, które należy do nas wszystkich. My, Ateńczycy, jesteśmy dzisiaj bogatsi niż kiedykolwiek.

Zebrani zagłuszyli wiwatami Temistoklesa albo samą myśl o bogactwie. Ogromnie uradowała ich wieść, którą dotąd znali jedynie z plotek. Ksantyppos pomyślał, że na pewno nie wszyscy uczestnicy zgromadzenia słyszeli wcześniej te pogłoski. Teraz śmiali się i cieszyli razem z wtajemniczonymi, uradowani perspektywą bogactwa. Podawszy im na dłoni tę wizję, Temistokles sprawił, że w jednej chwili stali się jednością. Epikleos uśmiechnął się do niego, widząc jego posępną minę.

– Gdybyśmy byli Spartanami – kontynuował archont – przeznaczylibyśmy srebro na nowe koszary i... kamienie lub żelazne słupy. Gdybyśmy byli Tesalczykami, na pewno kupilibyśmy konie. Jako Koryntczycy zapewne owce lub kozy. Kto wie? W Atenach mieszka około trzydziestu tysięcy mężczyzn mających prawo głosu. Poleciałem, aby demarchowie każdego ze stu demów dokładnie wszystkich policzyli. Powinniśmy znać ich liczbę, kiedy będziemy decydować, co zrobić z darem od bogów. Oczywiście dwadzieścia tysięcy metojków nie weźmie udziału w podziale bogactwa. Kobiety i dzieci to około dwustu tysięcy osób, mniej więcej tylu jest w Atenach także niewolników. Wynagrodzenie robotnika wynosi dwie drachmy dziennie, około siedmiuset drachm rocznie.

Tłum chłonał jego słowa. Ludzie niczym urzeczeni wsłuchiwali się w liczby, które przedstawiał zdecydowanym głosem. Ksantyppos i Epikleos wymienili cierpkie spojrzenia. Jako eupatrydzi posiadali lub zarządzali ziemią, która przynosiła fortunę w zbożu lub w srebrze po jego sprzedaży. Wiedzieli, że nowa kopalnia nie wpłynie w istotny sposób na ich życie. Lecz w oczach innych mężczyzn pojawił się błysk chciwości, iskra podniecenia. Dla wielu z nich srebro z Laurion mogło oznaczać wspaniałą odmianę losu.

– Do czego on zmierza? – mruknął Epikleos. – On ci ufa, Ksan, albo przynajmniej chciałby ufać. Rozmawialiście na ten temat?

Ksantyppos pokręcił głową, a tymczasem Temistokles kontynuował silnym i dźwięcznym głosem:

– Powiedziano mi, że ta kopalnia mogłaby właśnie tyle pieniędzy przynieść co roku każdemu z was. Ja już tam byłem i widziałem, jak powstają nowe tunele. Przy ich drążeniu mogą znaleźć zatrudnienie kolejne tysiące ludzi. Jeżeli ktoś z was albo spośród waszych krewnych boi się głodu, wiedźcie: w Laurion będzie praca. Mówię to wam, ponieważ wiem, że Arystydes będzie wobec was szczery. Powie wam, że trzeba wydobyć srebro z ziemi, przetopić je na monety, drachmy i tetradrachmy, abyście mogli karmić za nie swoje rodziny i budować nowe domy. Powie wam, żebyście zatrudniali stolarzy i dekarzy, żebyście kupowali mięso, ser i drewniane zabawki dla dzieci. Powie, że taka ilość srebra przyniesiona do miasta wielokrotnie przejdzie z rąk do rąk, tworząc wartość dodaną i miejsca pracy tam, gdzie ich dotąd nie było. Arystydes wierzy, że na znalezieniu tych złóż wszyscy skorzystamy. W tej sprawie panuje pomiędzy nami całkowita zgoda. Ateńczycy odniosą korzyść, lecz tą korzyścią będzie wolność, a nie nowe dachy, cegły i lepsze drogi.

Rozległy się pomruki niezadowolenia i nerwowe śmiechy, a Temistokles wysoko uniośł ręce i także przez chwilę się śmiał.

– Och, wiem, że nasze drogi są straszne. Powinniśmy je wybrukować. Pewnie Arystydes każe wam to robić, kiedy się do was odezwie. W końcu kiedy Persowie ruszą na Ateny, ucieszą się z równych dróg wyłożonych pięknymi płaskimi kamieniami! – Odczekał, aż ludzie ucichną, i odezwał się poważniejszym głosem: – W Atenach bogacimy się dzięki handlowi. Sprzedajemy oliwę, figi i gliniane dzbany wypalane w naszych piecach. Sprowadzamy ryby, jęczmień i pszenicę, z której pieczemy chleb. W naszej krwi jest morska sól, która wysycha na żaglach i pokładach naszych statków. Port w Pireusie odróżnia nas od mieszkańców Koryntu czy od wojowników ze Sparty albo od handlarzy końmi z Tesalii. Jesteśmy podróżnikami i niezależnymi Hellenami. Tak nas opisał sam Homer. – Umilkł. Opuścił swoją dużą głowę, jakby się modlił, lecz wciąż wpatrywał się gdzieś w dal.

Ksantyppos powoli zamrugał, obserwując jego występ. Jedynym dźwiękiem, jaki unosił się teraz nad wzgórzem, był szmer wiatru i łopotanie szat. Mężczyźni znieruchomieli. Odniósł wrażenie, że czuje w nozdrzach zapach morza, ale szybko doszedł do wniosku, że to jedynie gra jego wyobraźni. Kiedy Temistokles ponownie uniósł głowę, natchniona chwila przeminęła.

– Jakimi okrętami teraz dysponujemy? – zapytał. – Miltiades zabrał siedemdziesiąt trier wraz z załogami i hoplitami. Został nam zaledwie tuzin jednostek, które patrolują nasze wody i mogą reagować na ewentualne zagrożenia. Ci z nas, którzy pomaszerowali pod Maraton, widzieli flotę Persów i ich fenickich sprzymierzeńców. Widzieliśmy żagle i wiosła, dwieście, trzysta, a może i więcej okrętów z końmi i ludźmi na pokładach. Pływały bez przeszkód wzdłuż naszych wybrzeży. Dobijały do brzegu tam, gdzie perski król miał na to ochotę, zagrażając wszystkiemu, co posiadamy i co kiedykolwiek moglibyśmy posiadać. Jeżeli Arystydes stanie przed wami i zacznie was namawiać na budowę dróg i świątyń, zadajcie mu pytanie: „Co nam przyjdzie z tych dróg, kiedy powrócą Persowie?”. A może nie wierzycie, że wrócą, może jesteście przekonani, że wielki król, który nigdy wcześniej nie zaznał klęski, pogodzi się z ciosem, jaki mu zadaliśmy pod Maratonem, i zostawi nas w spokoju? Jeżeli w to wierzycie, sprzedam wam pewien garnek, który należał do samego Heraklesa. – Uśmiechnął się do tłumu, ale zaraz kontynuował ze śmiertelną powagą. Opuścił brwi, przybierając ponury wyraz twarzy. – Srebro z Laurion jest prezentem, którym obdarowała nas ziemia i bogowie. Nikt z nas się tego daru nie spodziewał ani też nie zrobił niczego, żeby zasłużyć na to ogromne bogactwo. Jeżeli zagłosujemy, aby podzielić srebro pomiędzy siebie, każdy otrzyma tyle, że będzie mógł sobie kupić trochę drobiazgów: nowy dach, nową bramę, kamienie do wybrukowania drogi albo niewolnika. Takie rzeczy warto mieć. I docenią je także nasi wrogowie, kiedy nadejdą. Ja natomiast proszę was, abyście uznali nowe srebro za wspólną własność zarządzaną przez urzędników, których wyznacza to zgromadzenie. Abyście postanowili przeznaczyć je na budowę nowych okrętów, floty, jakiej Ateny jeszcze nigdy nie posiadały. Zbudujmy sto, dwieście okrętów,

ile tylko damy radę zbudować i obsadzić załogami. – Korzyści z takiego rozwiązania zaczął wyliczać na palcach wyciągniętej prawej ręki. – Do ich budowy zatrudnimy rzemieślników, którzy będą kupować jedzenie oraz narzędzia na straganach wyrastających na każdym kroku. Na każdy okręt zamustrujemy dwustu wioślarzy i pięćdziesięciu hoplitów: młodych mężczyzn, którzy zarobią dość pieniędzy, aby później założyć rodziny. Wyobrażacie to sobie? Wyobrażacie sobie miasto kwitnące, zdrowe, silne i świetnie prosperujące? Częstka po częstce srebro, które przeznaczymy na okręty, powróci do Aten i ostatecznie zostanie wymienione na żywność, cegły, dachówki, niewolników. Proszę was jedynie... żebyśmy najpierw wybudowali za nie okręty. W swoim czasie i tak trafi ono do waszych kieszeni. Dajcie je najpierw wiatrowi i morzu, a ono wszystkich nas ocali.

Część zebranych zaczęła wiwatować, inni kiwali głowami albo w niewielkich grupkach roztrząsali propozycję Temistoklesa. Minęło sporo czasu, zanim epistates zdołał przywrócić porządek i wezwać kolejnego mówcę. Uniosło się dziesięć rąk, energicznie wypychano do przodu co odważniejszych znajomych. Milczący Arystydes wciąż stał z boku w otoczeniu przynajmniej setki zwolenników. A kiedy w końcu podniósł rękę, wszyscy zamilkli, pozwalając mu wystąpić. Na stopniach minął się z Temistoklesem, który właśnie opuszczał kamień mówcy. Mężczyźni nawet na siebie nie spojrzeli.

Stanąwszy na kamieniu, Arystydes głęboko odetchnął ciepłym powietrzem wczesnego popołudnia i popatrzył na tysiące głów. Nazwa „Pnyks” oznacza „tłum”. Tego dnia na wzgórzu naprawdę wyległy tłumy. Przybyły tutaj chyba całe Ateny.

Po Temistoklesie o szerokich ramionach, podkreślającym swoje słowa zamaszystymi gestami, Arystydes wydawał się bardzo drobny, raczej uczyony, nauczyciel niż płomienny orator. Miał na sobie znoszony chiton i chlamidę o poszarpanych brzegach, gdzieś tam wystawały z niej luźne ciemne nitki. Jego broda była rozwichrzona, wyglądał jednak na zdrowego i silnego, miał też ładną opaleniznę. Stanąwszy przed tłumem, uniósł dłoń do ust, po czym

przesunął palcem wskazującym po wargach i ukazał w uśmiechu zęby. Szepty, które przez chwilę unosiły się nad Pnyksem, ustały. Wszyscy chcieli usłyszeć, co Arystydes ma do powiedzenia. Nie mieli zamiaru go lekceważyć i zagłuszać nawet ci, którzy gorąco popierali Temistoklesa. Gdyby zaś tak się stało, epistates musiałby nakazać scytyjskim łucznikom, aby usunęli mówcę z kamienia. Takie przypadki zdarzały się jednak bardzo rzadko. W tak zdecydowany sposób epistates i łucznicy reagowali jedynie na publiczne bluźnierstwa.

– Temistokles dobrze mówi i jest szlachetnym człowiekiem – zaczął Arystydes. – Kiedy indziej spodziewałbym się, że będzie nawoływał, aby to srebro wydać na organizację uczty dla wszystkich Ateńczyków albo na powołanie oddziału jazdy, albo na nowe tarcze i miecze dla kolejnych dziesięciu tysięcy młodych wojowników. Oczywiście powinniśmy podjąć decyzję, komu przekazać te wspólne pieniądze. – Umilkł, aby słuchający go dobrze zrozumieli problem. Po chwili kontynuował: – Myślę, że właśnie na tym polega prawdziwa wolność. To wydawanie tego, co zarobiliście w pocie czoła, okupując zarobek bólem pleców i odciskami na dłoniach. To decydowanie, czy pieniądze wydawać, czy też zakopać w ziemi i sięgnąć po nie dopiero w trudniejszych czasach. Czy kupić za nie rozrywki, podarunki czy też dać jałmużnę najbiedniejszym. Pewnie nie dojdziemy do porozumienia, która z tych decyzji byłaby głupia, a która mądra, ale to teraz bez znaczenia. Jeżeli trzymam w ręku własne pieniądze, mam prawo decydować, w jaki sposób je wydam. Jeżeli ktoś inny trzyma w ręku własne pieniądze, to on podejmuje decyzję, a mnie nic do tego. – Arystydes uśmiechnął się słabo, jakby z wyrzutem. Szerzej stanął na nogach i rozłożył ręce, jakby chciał objąć wszystkich, którzy go słuchali i obserwowali. – Przyjaciele, jedno jest pewne. Jeżeli otrzymacie miesięczne wynagrodzenie w srebrze, sześćdziesiąt drachm, które od tej chwili będą należeć do was, doskonale będziecie wiedzieli, jaka jest ich wartość. Jeśli zechcecie, kupicie za nie różne dobra o tej wartości, ani mniej, ani więcej. Jeżeli kupicie żywność, będzie ona warta sześćdziesiąt drachm. Jeżeli kupicie drewno lub dachówki, o których wspomniał Temistokles, będą warte sześćdziesiąt drachm. Jeżeli wszystko

wydacie na dziwki, otrzymacie od nich to, co w ich zawodzie wycenia się na sześćdziesiąt drachm. – Odczekał chwilę, aż umilkną śmiechy i wulgarne komentarze. Był jak rybak zarzucający haczyk i wydobywający z tłumu właśnie takie reakcje, jakich oczekiwał.

Ksantyppos popatrzył na Temistoklesa, który też udawał rozbawienie. Jego uśmiech był jednak sztuczny, a oczy czujnie przymrużone.

– Temistoklesowi chyba się nie podoba – wyszeptał mu do ucha Epikleos.

Ksantyppos pokiwał głową, ale nie zdołał tego skomentować, ponieważ znowu odezwał się Arystydes:

– Jeżeli oddacie swoje sześćdziesiąt drachm zgromadzeniu, żeby w ciągu roku lub dwóch zapłaciło za nowe okręty, czy otrzymacie swoje pieniądze z powrotem? A może wasze drachmy zostaną przeznaczone na wypłaty dla innych ludzi, może dla administratorów i urzędników? Może kupi się za nie jedzenie dla stolarzy albo drwali, którzy będą wycinać sosny w górach? Bez wątplenia wszyscy oni otrzymają też dobre obuwie i ciepłe płaszcze na zimę, ale co wam zostanie z waszych pieniędzy? Będziecie chodzić do portu i obserwować budowę okrętów, będziecie wskazywać na ożebrowanie, na kolejne elementy konstrukcji i mówić: „Patrzcie, to należy do mnie”? Być może. Ja jednak jeszcze nigdy nie widziałem, żeby efektywnie wydawał pieniądze ktoś, kto nie ceni ich wartości, bo ich po prostu nie zarobił.

– A co z Persami? – zawołał z tłumu ktoś zasiadający w znacznej odległości od Temistoklesa.

Ksantyppos jednak wątpił, aby był to ktoś przypadkowy. Temistokles potrafił rozsądzać w różnych miejscach swoich zwolenników.

Arystydes się nie zraził, tak jakby spodziewał się tego pytania, bo wcześniej sam nakazał je wykrzyczeć jednemu ze swoich ludzi – to także było możliwe. On i Temistokles sprzeczali się niemal podczas każdego zgromadzenia. Walka między nimi była mniej więcej wyrównana, a ich zmagania stawały się przedmiotem zakładów i rozmów w mieście na cały kolejny miesiąc. Dochodziło także do bójek pomiędzy ich zwolennikami. Niestety Arystydes zawsze

przeciwstawiał się Temistoklesowi, nawet gdy zdaniem Ksantypposa miał on rację, jak dzisiaj. Ateny potrzebowały floty. Pomysł Temistoklesa był wspaniały. Czy to z tego powodu archont zabiegał o jego przyjaźń po bitwie pod Maratonem? Po raz pierwszy w życiu Ksantyppos zaczął rozważać, czy samemu nie stanąć na kamieniu mówcy.

– A co z Persami? – powtórzył Arystydes. – Powinniśmy się ich bać? Persowie nigdy nie walczyli na morzu. Trzymają się ziemi! Cóż moglibyśmy osiągnąć, ścigając ich na głębinie, ryzykując zatonięcia i katastrofy morskie, zamiast czekać, aż wyjdą na brzeg, i zniszczyć ich na twardym gruncie? Przecież właśnie to zrobiliśmy pod Maratonem, jak Temistokles zapewne doskonale pamięta. Mój anonimowy przyjacielu, nie boimy się perskich okrętów bardziej niż ich żołnierzy! – Mocno zaakcentował ostatnie słowa, punkt kulminacyjny długiego wystąpienia.

Ksantyppos dostrzegł, że Temistokles pochylił głowę, aby ukryć wściekłość, bo tłum zaczął wiwatować na cześć Arystydesa. Bez trudu zdobył przewagę, gdyż zwycięstwo pod Maratonem wciąż było świeże w pamięci ludzi, mimo że od tamtej pory minął już cały rok. Jednak wielu członków zgromadzenia siedziało teraz w milczeniu. Ksantyppos nie był pewien, czy Arystydes uczynił wystarczająco dużo, aby przeciągnąć ich na swoją stronę, mimo że w swojej mowie odniósł się zarówno do ich serc, jak i umysłów.

W końcu zaległa cisza. Kilku mężczyzn zasygnalizowało, że także chcą wziąć udział w dyskusji.

– Skończyłeś? – zapytał epistates.

Arystydes krótko skinął głową i wycofał się trochę, ale nie zszedł z kamienia.

Tymczasem epistates zaczął po kolei wywoływać następnych mówców. Niektórzy wspinali się na kamień, żeby zadeklarować poparcie dla floty, inni woleliby zachować pieniądze we własnych sakiewkach. Jeszcze inni zadawali szczegółowe pytania nagradzane mizernymi oklaskami. Debata trwała.

Arystydes przemówił raz jeszcze, odpowiadając na jakieś pytanie, lecz to Temistokles zebrał owacje, kiedy wstał, aby dokładniej wyjaśnić swoje

stanowisko. Odpowiadał na pytania rzucone z tłumu i dawał ludziom czas na przemyślenie jego odpowiedzi. Swoją propozycję uzupełnił kilkoma istotnymi szczegółami.

– W którą stronę to zmierza? – zapytał Epikleos, nie patrząc na przyjaciela. – Jestem gotów postawić tetradrachmę na Temistoklesa i pewnie na tym zarobię, jeśli tylko wybiorę właściwy moment.

Ksantyppos zmarszczył czoło. Ojciec od najmłodszych lat przestrzegał go przed hazardem. Mimo wszystko spróbował, stracił małą fortunę i na całe życie powziął niechęć do tych, którzy zdawali się mieć w tym więcej szczęścia od niego.

– Nie spodziewałem się dotąd, że Temistokles ma jakieś szanse – odparł, zdając sobie sprawę, że ludzie wokół go słuchają i mogą wesprzeć. Zdarzało się, że krótka wypowiedź w tłumie otwierała komuś drogę na kamień mówcy. Dlatego kontynuował trochę głośniej: – Przed Maratonem nie porwałby ludzi. Czym dla większości z nas była Persja? Odległym imperium. Ale połowa zgromadzonych tutaj zobaczyła ich flotę. O tym trzeba pamiętać. Chociaż nie podoba mi się tupet Temistoklesa, myślę, że ma rację. Dysponujemy środkami, jakich nikt się nie spodziewał. Czy możemy wydać je lepiej niż na budowę okrętów? – Uderzył się dłonią w czoło i uniósł rękę, aby zwrócić na siebie uwagę.

– Mówca! – zawołał natychmiast Epikleos, chcąc go wesprzeć.

Kilku mężczyzn, którzy znali Ksantypposa, zaczęło wykrzykiwać jego imię. Zauważył, że z kamienia mówcy obserwuje go Temistokles, skłonił więc lekko głowę. Archont podszedł do epistatesa i wskazał Ksantypposa. Obecność na kamieniu zawsze dawała przewagę. Kiedy epistates go wywołał, ludzie się rozstąpili i dotarł do schodów. Wszedł po nich szybko, porządkując myśli.

Zarówno Arystydes, jak i Temistokles się cofnęli, ale raczej po to, żeby lepiej widziano ich z tłumu, niż dla okazania mu szacunku. Ksantyppos w minionych dziewięciu latach dał się poznać członkom zgromadzenia. Wuj jego żony opracował obowiązujące tu prawa, ale ważniejsze było to, że on sam dowodził

fylą w bitwie. Dysponował więc autorytetem, który mógł wpłynąć na wyniki głosowania. Temistokles i Arystydes o tym wiedzieli.

Uniósł rękę i tłum zamilkł z szacunkiem. W Atenach nie była to powszechna reakcja, lecz mogli się jej spodziewać wszyscy weterani spod Maratonu.

– Ateńczycy, mówi do was Ksantyppos z fyli Akamantis. Osobiste doświadczenie skłania mnie do uzupełnienia dzisiejszej dyskusji. Wszyscy znacie nasze prawa: ci, którzy żyją w dobrobycie, wspierają funkcjonowanie miasta. Płacą za budowę okrętów albo wspomagają artystów i dramaturgów, którzy dzięki temu mogą tworzyć wspaniałe dzieła. Inni dają swoim robotnikom dodatkową żywność albo opłacają miejskie święta. I ja tak czyniłem, i sam na tym korzystałem. Dwa okręty, które wypłynęły z Miltiadesem, mają żagle i wiosła dzięki mojemu srebru. Nie czuję się jednak przez to ważniejszy od was. Dzisiaj wszyscy jesteśmy równi. Co za tym idzie, Ateny mogą każdego z nas poprosić o wsparcie. – Urwał, a nad Pnyksem poniósł się szmer oznaczający zainteresowanie. Ksantyppos zacisnął usta, porządkując myśli. Nie miał pojęcia, w jaki sposób Temistoklesowi udaje się skłaniać zgromadzonych do żywiołowych reakcji. Podejrzewał, że jeśli on spróbuje zażartować, odpowie mu grobowa cisza. Na samą myśl o tym się zaczerwienił. Uznał, że najlepiej postąpi, jeżeli nadal będzie wysuwał przemyślane argumenty. – Poza tym... Okręt jest znacznie trwalszy niż żywność albo dachówki, albo... – Pomachał ręką, poszukując w myślach kolejnego przykładu.

– Albo nowe szaty – mruknął Temistokles.

Arystydes uniósł brew, gdyż przyszło mu do głowy, że Temistokles ma na myśli jego zgrzebny strój.

– Nowe szaty – dokończył Ksantyppos. – Moje triery będą pływały po Morzu Egejskim, kiedy ja spocznę w grobie. Ta spuścizna może należeć do nas wszystkich. Dzisiaj każdy Ateńczyk ma identyczny wybór jak ja. Musimy zbudować tę flotę.

Puenta wyszła mu dość słabo, lecz Temistokles potrafił podtrzymać aplauz dla jego słów, mógł więc wrócić na miejsce z podniesionym czołem. Jakiś impuls

nakazał mu jednak pozostać na podwyższeniu, nawet gdy Temistokles znów stanął na miejscu dla mówcy.

– Dziękuję mojemu przyjacielowi Ksantypposowi z demu Cholargos. Jego wystąpienie przypomniało o czymś ważnym tym spośród nas, którzy debatowali nad znaczeniem słów wyroczni z Delf.

Nastała cisza i Ksantyppos znów usłyszał łopot szat na wietrze. Wiedział, że Temistokles jest sprytny i nikomu nie okaże lekceważenia, czuł jednak, że każde zdarzenie potrafi obrócić na swoją korzyść, jeżeli tylko uzna to za konieczne.

– Kapłanka wyroczni powiedziała kiedyś Klejstenesowi, że „Ateny wesprą się na murach z drewna”. Pamiętacie?

Tłum przytaknął zgodnym szmerem, a wielu wskazało na potężną skałę wyrastającą ponad miasto. Temistokles także na nią popatrzył.

– Akropol, tak. To tam tyran Hippiasz zabarykadował się przed własnymi ludźmi i przed armią spartańską, która przybyła, żeby go przepędzić. Myślał, że drewniane mury go ocalą. Wyrocznia nie podała szczegółów, lecz nie sądzę, aby kapłanka Apollina miała na myśli właśnie te mury. One nie ochroniły Hippiasza!

– Zaczął mówić szybciej, gdyż ludzie niespodziewanie zaczęli rozmawiać. – Mówię wam, tymi drewnianymi murami są okręty, które zbudujemy. Kiedy Persowie wrócą, „wesprzemy się” na tych drewnianych murach, które będą pływać po morzach. I proroctwo się wypełni!

Zebrani zaczęli kiwać głowami. Temistokles się uśmiechnął; jeszcze przed chwilą miał obawy, że Ksantyppos pozbawił ich całego entuzjazmu, przemawiając sucho i zwięźle. Zgromadzenie trwało jednak przez cztery dni każdego miesiąca. Ludzie doceniali wymowne gesty i puenty, ale nie lubili, kiedy coś im zbyt natarczywie wmawiano. Czasami rzeczowe argumenty były skuteczniejsze od najbardziej kwiecistej retoryki. Teraz nadchodził najważniejszy moment.

– Wzywam do przeprowadzenia wiążącego głosowania – oznajmił Temistokles.

– Popieram – dodał Ksantyppos, a to samo słowo padło w tej chwili z setek innych ust.

Niemniej Temistokles docenił jego wsparcie. Pochylił się i powiedział mu do ucha:

– Jesteś dzisiaj po właściwej stronie. Te okręty są nam naprawdę potrzebne.

Głosowanie nie polegało na zapisaniu swojego imienia na glinianej tabliczce, ale na przemieszczeniu się ludzi do przeciwległych krańców Pnyksu, gdzie ich liczone i spisywano. Ksantyppos obserwował Ateńczyków, którzy mieli postanowić, czy miasto wybuduje flotę czy nie. Poświęcili temu głosowaniu cały dzień. Niektórzy pozostaną tutaj aż do wczesnego wieczoru, żeby podjąć decyzje w pilnych kwestiach prawnych. Inni wytkną jakieś nieprawidłowości i wskażą swoje krzywdy, które zostaną rozsądzone w mniejszych grupkach równych im obywateli. Nie było drugiego takiego miejsca na świecie, a mimo to Ksantyppos czasami pragnął, aby wśród zebranych większą rolę odgrywał zwykły wzajemny szacunek. Zgromadzenie przypominało młodego byczka. Można było nim sterować za pomocą lekkich dotknięć, było jednak zwierzęciem pewnym siebie i potwornie silnym.

– To... imponujące – powiedział w końcu. – Naprawdę sądzisz, że to okręty są drewnianymi murami z przepowiedni?

– Oczywiście – odparł Temistokles.

Kiedy klepnął go w ramię, Ksantyppos pożałował, że zadał to pytanie, i zszedł z kamienia mówców, żeby wziąć udział w głosowaniu.

Zwycięstwo przypadło Temistoklesowi i jego zwolennikom. Postanowiono, że całe bogactwo wydobyte z nowej kopalni zostanie przeznaczone na wybudowanie większej liczby okrętów, niż Ateny posiadały kiedykolwiek wcześniej. Arystydes zamknął tę część formalnym uznaniem porażki. Poddał się z wysoko podniesioną głową, lecz zaczerwienienie na szczękach i szyi świadczyło o tym, że wynik głosowania przyjął z wielkim bólem.

13

Krótko po zapadnięciu zmroku dostrzeżono okręty, które stanęły na kotwicach wzdłuż wschodniego wybrzeża Attyki. Jeżeli Miltiades miał nadzieję zaskoczyć wszystkich niespodziewanym powrotem do Pireusu, nie miał już na to szansy i czekało go rozczarowanie. W ostatnich tygodniach lata noc spadała na ziemię powoli, lecz nawet na ojczystych wodach żeglarze nie ryzykowali zderzenia w półmroku z niewidocznymi podwodnymi skałami. Woleli bezpiecznie rzucić kotwice i poczekać, aż słońce ponownie wzejdzie nad horyzont. Gdzieniedzie na wybrzeżu, gdy zauważono okręty, posłańcy od razu pobiegli z nowinami w stronę nadchodzącego zmierzchu. A to dlatego, że w wioskach w tym regionie na wschód od Aten czy też w możliwych domach, na przykład Alkmeonidów, dobrze płacono za takie informacje. Zatrudniano młodzieńców, szybkich i wytrzymałych, żeby jak najprędzej dostarczali wieści o wyładowanych towarach statkach albo o powrotach wojowników z zagranicznych wypraw. Albo żeby na czas poinformowali Greków o perskiej inwazji. W porę dostarczona informacja mogła przynieść fortunę, a brak wiadomości spowodować nieobliczalne straty. Kiedy na niebo wzeszedł księżyc, nad szlakami wiodącymi przez góry rozbrzmiało echo młodzieńczych stóp odbijających się od ziemi. Posłańcy na wyścigi zarabiali na swoje wypłaty, każdy chciał pierwszy dobiec do bram Aten.

O świcie zwołano zgromadzenie, które miało się zebrać przed południem, a wiadomość o tym roznosili już uliczni krzykacze. Dzięki nim informacja docierała do ludzi spieszących do pracy, a także do tych, którzy mieli tego dnia

uczestniczyć w rozprawach na Pnyksie i w Areopagu. Chociaż za prace na rzecz zgromadzenia wypłacano jedynie połowę przeciętnej dziennej stawki robotnika, większość mężczyzn uważała je za przywilej. Tego poranka wszyscy przerywali mniej ważne zajęcia i zadania. Miltiadesa nie było w Atenach od początku wiosny, jego wyprawa trwała dłużej, niż ktokolwiek się spodziewał. Ludzie zaczęli się obawiać, że któregoś dnia dotrze do miasta informacja o potężnym letnim sztormie, który zniszczył triery, zanim zdołały w spokojnej zatoce uchronić się przed gniewem morza.

Ksantyppos obudził się w jednej chwili, kiedy ktoś potrząsnął jego ramieniem. Usiadł gwałtownie na łóżku i dotknął stopami chłodnej posadzki, tłumiąc jęk spowodowany bólem w kolanie i kłuciem tuż nad biodrem. Nigdy nie odniósł żadnej rany w tym miejscu, lecz w ciągu minionego roku dolegliwości wciąż się nasilały. Miał z tego powodu trudności z zasypianiem.

– Co się dzieje? – syknął.

Przy łóżku stał Manias. W ręce trzymał glinianą lampę oliwną. Knot palił się intensywnie, cicho skwiercząc. Niewolnik spokojnie postawił lampę na stoliku i dopiero wtedy odpowiedział:

– Flota, panie. Miltiades wrócił.

Ksantyppos zerwał się na równe nogi, zapominając o bólu. Do tej pory do Aten docierały jedynie plotki o katastrofie. Chociaż Miltiades polował na Persów daleko od miasta, wieści wędrowały tu z zadziwiającą prędkością: jeden rybak powiedział coś drugiemu, wojownicy z jakiegoś okrętu przekazali wiadomość załodze statku kupieckiego i tak dalej. Morze było wielkie, lecz informacje unosiły się nad jego wodami, nieuchronnie docierając do każdej zatoki i do każdego ujścia rzeki.

– Przynies mi... – Zamilkł, ujrawszy w rękach starego niewolnika czysty lniany chiton i sandały. Szybko się ubrał. – Czy Agarysta już nie śpi?

Dziwny cień przemknął po twarzy Maniasa i Ksantyppos zadał sobie pytanie, czy staruszek, który służy w tym domostwie od niepamiętnych czasów, kiedykolwiek okaże nowemu panu lojalność. Zgodnie z prawem Manias był jego

własnością, lecz on mu nie ufał. Niewolnik, który znał Agarystę od dziecka, przynigdy nie zdradzi mu jej sekretów.

– Sądę, że dzisiaj nie spała dobrze, panie.

Ksantyppos znieruchomiał z nożem w ręku, który właśnie miał wsunąć za pasek. Czy jego żona ma kochankę? Może Manias przyszedł tutaj, żeby go zająć rozmową, a tymczasem jakiś młodzieniec właśnie ucieka przez okno? W Atenach codziennie działy się takie i jeszcze dziwniejsze rzeczy, ale Ksantyppos zaraz pokręcił głową, mimo wszystko nie mogąc sobie tego wyobrazić we własnym domu.

Niespodziewana pobudka w środku nocy sprawiła, że czuł się, jakby rozpoczęto przygotowania do wojny, a przecież chodziło tylko o powrót floty, o której losach od długich tygodni niewiele wiedziano. Plotkom i pogłoskom powtarzanym na rynkach nie można było wierzyć. Było jednakże prawdopodobne, że Miltiades dopadł Persów po drugiej stronie morza i odniósł wielkie zwycięstwo. Ktoś widział podobno potężne kłęby dymu po jakiejś bitwie, ale palić się mogły zarówno perski garnizon, jak i ateńskie okręty.

Podniósł głowę, kiedy usłyszał słaby głos któregoś z dzieci. Oczywiście wszystkie miały swoje piastunki, nie zaszkodziło jednak posłać do nich także Maniasa.

– Jesteś uzbrojony? – zapytał.

Niewolnik uniósł brwi.

– Mam nóż, ale mogę pójść także po miecz. Czy coś grozi rodzinie, panie?

– Nic o tym nie wiem. Mam... po prostu mam jakieś przeczucie. Może to głupie, ale byłbym spokojniejszy, gdybyś poszedł do dzieci. Wcześniej się przygotuj, żeby móc je bronić.

Niewolnik nie zawahał się ani przez moment, zresztą zgodnie z oczekiwaniami Ksantypposa. Skinął głową i pośpieszył na wyznaczony mu posterunek, gotów oddać życie w obronie niewinnych maleństw. Ksantyppos patrzył za nim przez chwilę. W pierwszej reakcji Maniasa, kiedy zapytał go o Agarystę, było coś dziwnego. Na zewnątrz wciąż panował mrok, na niebie dopiero pojawiały się

pierwsze nieśmiałe zwiastuny świtu. Jeżeli Miltiades naprawdę wrócił, minie kilka godzin, zanim wpłynie do portu. A nim dotrze do Pnyksu, minie kolejna godzina! Miał więc jeszcze mnóstwo czasu.

W ciszy przeszedł kilkanaście kroków korytarzem, który łączył jego pokój z sypialnią Agarysty. Lekko stawiał stopy na zimnej posadzce, a po chwili zatrzymał się, nasłuchując.

Nigdy nie sypiał dobrze, kiedy obok niego w łóżku leżała inna osoba. Agarysta twierdziła, że z nią jest podobnie, a ciepło ciała męża w ogóle nie pozwala jej zasnąć. Tylko najbiedniejsi mężczyźni musieli dzielić łoża z żonami, a skoro Ksantyppos uznał, że samemu śpi mu się najlepiej, chętnie skorzystał z przywileju właściwego ludziom o jego statusie. Przecież w domu było mnóstwo pokoiów.

Kiedy usłyszał jakiś jęk, kilka ostatnich metrów pokonał susami. Zmusił się, aby przystanąć przed drzwiami sypialni żony, i jeszcze raz wyteżył słuch. Gwałtowne najście nie przynosiło chluby mężowi, zapukał więc i od razu wszedł do środka, bojąc się, co tam zobaczy.

Okno było otwarte, a nocna bryza wypełniała pokój chłodem. Agarysta siedziała na łóżku, zmięta pościel skrywała tylko jej nogi do kolan. Kiedy zobaczyła męża, podciągnęła ją wyżej. Podejrzenie nagle wywołało u niego kwaśną zgage, jakby połknął siarkę.

– Co się dzieje, Ksan? – zapytała. – Dlaczego tak okropnie na mnie patrzysz? Z dziećmi wszystko w porządku? Ksan! Czy nasze dzieci są bezpieczne?

Jej troska o dzieci ostudziła szaleństwo, które zaczynało go ogarniać. Zamrugął. Agarystę oświetlał jedynie księżyc, w jego blasku była bardzo blada, jakby wyciosana z białego marmuru. Skołtuniona pościel wokół jej bioder pozostawała w cieniu, wystawała spod niej jedna jej stopa.

– Są całkowicie bezpieczne – odpowiedział nieprzyjemnym głosem. – Jest aż tak ciepło, że na noc szeroko otworzyłaś okno?

– Ale o co chodzi? Ktoś napadł na Ateny?

Manias nie zdążył więc przekazać swojej pani wiadomości o Miltiadesie. Prawdopodobnie poszedłby do niej, gdyby on nie wysłał go do dzieci. Jego zdaniem Agarysta była autentycznie zakłopotana i przestraszona, ale w jej zachowaniu było coś jeszcze, coś złego i niewytłumaczalnego. Usiadł na twardym brzegu łóżka, ale kobieta nieznacznie się od niego odsunęła.

– Dlaczego jesteś taki zły? – zapytała.

Jej ciemne oczy były szeroko otwarte, gęste loki opadały na ramiona. Patrząc na męża, zaczęła się kołysać. Ksantyppos wyczuł w niej strach, nie potrafił jednak odgadnąć, co jest jego źródłem. Jeżeli było nim uzasadnione poczucie winy, wiedział, że niedługo będzie musiał stoczyć ciężką walkę z samym sobą, żeby jej nie zabić.

– Wydawało mi się, że po ogrodzie biega ktoś obcy – powiedział, obserwując jednocześnie reakcję Agarysty; nawet się starał, by zabrzmiało to przekonująco.

Kobieta westchnęła.

– Nikogo nie widziałam. To dlatego przyszedłeś tutaj i tak dziwnie na mnie patrzysz?

– Chodzi mi... tak, właśnie o to. Poza tym dotarły też do mnie wieści, że wrócił Miltiades. Z brzegu dostrzeżono jego flotę.

– Zatem powinniśmy podziękować Posejdonowi, że nam go zwrócił. To bardzo dobra wiadomość, Ksantypposie. Wstanę na chwilę i zajrzę do dzieci.

Gdy się nie poruszył, Agarysta mocniej zacisnęła kolana.

– Na pewno teraz nie zasnę. Pozwól mi się ubrać, proszę. Chciałbyś zjeść razem ze mną trochę owsianki albo naleśniki? Mam kazać kucharzowi, żeby przygotował nam lekki posiłek? Możemy też zjeść trochę miodu albo sera, jeśli masz ochotę.

Agarysta trajkotała, a Ksantyppos zobaczył światła poruszające się za oknem. Cały dom się już budził, dziesięcioro niewolników wypiekało chleb, większość chciała zjeść śniadanie, zanim wstaną właściciele. Nawet informacja o ataku Persów nie zakłóciłaby ich porannej rutyny. Wyszedł na korytarz, stanął na progu domu i przywołał do siebie niewolnika z lampą. Ze stajni przybiegł do niego

chłopak, który szkolił się do pracy w kuchni. W obecności pana niezwykle ostrożnie trzymał lampę oliwną.

– Wezmę ją – powiedział Ksantyppos. – A ty wracaj do swoich zajęć.

Młodziak głęboko mu się uklonił, a on wrócił z lampą do pokoju żony. Zapalił od niej dwie kolejne i pomieszczenie oświetlił nasycony złoty blask.

Agarysta nie ruszyła się z łóżka. Było to co najmniej dziwne. Siedziała pod kołdrą, pod którą wyraźnie rysowały się jej kolana, wokół niej tańczyły cienie. Obserwowała męża dużymi, ciemnymi oczami, tak jak kwoka obserwowałaby lisa skradającego się w uspiętym kurniku, cicha i bezbronna.

– Co się dzieje? – zapytał. – Coś mi tu nie pasuje.

Znowu przysiadł na brzegu łóżka i pochylił się do żony. Tym razem się nie cofnęła, jakby wiedziała, że oznaczałoby to przyznanie się do winy. W tym momencie Ksantyppos zapragnął po prostu sięgnąć ręką do środka jej głowy i wydobyć z niej prawdę. Jeżeli go zdradziła, potrzebował dowodu. Gdyby ją zabił, powodowany wyłącznie podejrzeniami i wściekłością, jej rodzina by go zniszczyła. Właśnie tak wyglądała sytuacja.

Wyprostował się.

– Wyjdę na zewnątrz i poszukam intruza, kochanie. Wysłałem Maniasa do dzieci. Powinnaś zostać w swoim pokoju, dopóki się nie upewnię, że nie ma żadnego zagrożenia.

Była blada, nawet w świetle lamp. Pot lśnił nad jej brwiami i w pewnej chwili błyszcząca kropla potoczyła się po jej karku. A przecież noc wcale nie była duszna. Podejrzenie urosło w ciężką kulę, która zaczęła pęcznieć w jego klatce piersiowej, niemal go dławiąc.

Agarysta wpatrywała się w niego i nagle zaczęła drżeć. Ksantyppos odruchowo uniósł rękę, żeby odgarnąć ciężki kosmyk włosów, który zasłonił jej twarz. Palec niespodziewanie pozostawił czerwony ślad na jej czole. Zamarł, kiedy się zorientował, że jego dłoń jest mokra.

Zerwał się z okrzykiem przerażenia. Dopiero wtedy zauważył, że ciemniejszy odcień pościeli wokół jej bioder spowodowała krew. Nagle wyczuł jej zapach

w pokoju, silniejszy od woni płonącej oliwy i perfum Agarysty.

– Co się stało? Co ty zrobiłaś? – krzyknął.

Patrzyła na niego w milczeniu, więc złapał rąbek kołdry i mocno szarpnął. Kobieta próbowała ją przytrzymać, lecz materiał wyslizgnął się jej spomiędzy palców. Ukazała mu się naga i zakrwawiona. Skuliła się, na materacu pod nią widniała wielka czerwona plama. Czerwone były jej uda, krew już gdzieś na nich zasychała, na skórze perlily się małe czerwone kryształki.

– Co...? – wykrztusił Ksantyppos. Przez chwilę tylko otwierał i zamykał usta.
– Jesteś ranna? Czy to jest... krew miesięczna? Powiedz mi, Agarysto! Co się dzieje?

Kobieta się rozplakała. W jednej chwili uroda opuściła jej twarz. Przesunęła zakrwawionymi dłońmi po nosie i oczach, przez co wyglądała, jakby założyła koszmarną czerwoną maskę.

– Przepraszam cię, Ksan – wyszlochała. – Przepraszam. Po prostu nie mogłam...

Ksantypposa ogarnął chłód, który rozpoczął wędrówkę przez jego ciało od stóp, po czym sprawił, że włosy na głowie stanęły mu dęba. Wiedział, że kobiety krwawią co miesiąc, że krew miesięczna użyźnia pola. W jakiś sposób była źródłem życia i przestawała płynąć, kiedy kobieta zachodziła w ciążę lub była zbyt stara, aby urodzić dziecko. Popatrzył na swoją czerwoną dłoń i zadrżał. Przecież widział już w życiu krew. Widział nawet płótna zabrudzone krwią miesięczną, kiedy wynoszono je do spalenia. Były na nich plamki przywodzące na myśl czerwone monety. Teraz miał do czynienia z krwią jakby od strasznej rany odniesionej w bitwie, a jej obfitość wzbudzała przerażenie.

– Dlaczego mnie przepraszasz? – zapytał szybko.

Na bogów, czy nie powinien jej przytulić? Czy ona umiera? Podejrzenia, że w jej sypialni był kochanek, całkiem się rozwiały. Poczul się nagle bezużyteczny i bezradny w obliczu kobiecych tajemnic.

– Dlaczego tutaj jest tak dużo krwi, Agarysto? Czy to... czy to zawsze się odbywa w taki sposób?

Pokręciła głową i jeszcze mocniej się skuliła. Stał nad nią przez chwilę, a w końcu wrzasnął, żeby natychmiast przyprawiono akuszerkę.

Na drogę wybiegł niewolnik, aby bez względu na wczesną porę wyciągnąć kobietę z łóżka. Zanim przybyła, niewolnicy ułożyli Agarystę w czystej pościeli, a tę zakrwawioną wynieśli do spalenia. Akuszerkę, która przybiegła z wielką torbą pod pachą, spokojna, opanowana i starannie ubrana – jakby wcale nie wybudzono jej z głębokiego snu – powitały cisza i spokój. Może nie spała tej nocy, pomyślał Ksantyppos, a może była przyzwyczajona do wezwań na pomoc krwawiącym kobietom.

Stanął w korytarzu, wyproszony na zewnątrz przez przybyłą, która natychmiast zajęła się Agarystą. Słyszał, jak żona sennym głosem, niczym małe dziecko, odpowiada na jej pytania. Zaczął chodzić nerwowo w tę i z powrotem. Nie wyobrażał sobie, że mógłby ją stracić. Była podporą jego życia, główną kolumną, dzięki której stały wszystkie pozostałe. Zaczął się modlić do Ateny, matki jego ukochanego miasta i wszystkich niemądrych mężczyzn.

Kiedy akuszerka wyszła z pokoju i cicho zamknęła za sobą drzwi, słońce wisiało już nad horyzontem. Jej twarz była ściągnięta i poważna.

Zawołał, aby mu przyniesiono miskę oraz ręczniki, bo chciał umyć ręce i twarz. Niewolnicy dostarczyli mu na korytarz wszystko, czego potrzebował, nie musiał więc odchodzić od drzwi. Popatrzył na kobietę, nie mogąc się doczekać informacji.

– Bądź spokojny, panie. Twoja żona jest bezpieczna. Zatomowałam krwawienie.

– Czy... czy to problemy kobiece? Związane z jej krwawieniem miesięcznym?

Miał nadzieję, że akuszerka pokiwa głową, lecz ona ją odwróciła i popatrzyła w dal, zastanawiając się, co mu odpowiedzieć. Przez chwilę chciał ją złapać za ramiona i potrząsnąć. Lata posługiwania się włócznią i mieczem sprawiły, że palce miał bardzo silne i stara jęzda na pewno krzyknęłaby z bólu. Odezwała się jednak, zanim się ruszył, zapewne wyczuwszy jego niecierpliwość:

– Wypiła pewną miksturę. Mieszanę ziół, które zakłóciły naturalną harmonię jej ciała. Taki specjalny napar.

Ksantyppos poczuł się, jakby ktoś go uderzył w żołądek. Zabrakło mu tchu.

– Jak cykuta? Trucizna? Czy chciała...

– Nic z tych rzeczy... Chciała się upewnić, że wkrótce nie urodzi dziecka. Nie poleciłabym jej tych ziół, a przynajmniej nie aż takiej dawki, jaką, jak sama twierdzi, wypła. Naprawdę było tego za dużo. Zmieszała miętę i wrotycz. Taka mikstura wywołuje krwawienie nawet... u kobiety, w której łonie rozwija się dziecko. To kończy ciążę, ale jest bardzo niebezpieczne. Czasami krwawienia nie można zatrzymać.

– Rozumiem – powiedział. Skinął na niewolnika, który wciąż stał obok niego z ręcznikiem i miedzianą miską. – Zapłać jej dwie drachmy. Nie, daj jej cztery. Jestem ci wdzięczny, kobieto. Możesz osobiście przyjąć zapłatę?

W ten sposób zapytał, czy jest niewolnicą czy wolną kobietą. Jej strój niczego mu nie podpowiadał, zachowywała się co prawda jak osoba przywykła do słuchania poleceń, ale trudno było określić jej status.

– Jestem wolną kobietą, panie. I jeszcze nie skończyłam. Twoja żona będzie potrzebowała...

– Możesz już iść – rzucił.

W jego oczach błysnęła złość, chociaż pozostawał bardzo spokojny. Akuszerka wydeła usta i skinęła mu głową, po czym zarzuciła torbę na ramię – niczym tarczę – i odeszła na sztywnych nogach. Ksantyppos stał na korytarzu, wpatrując się w drzwi pokoju żony. Usłyszał przez ścianę płacz dziecka, Eleni albo Peryklesa. Gdyby nie zbudzono go dzisiaj wiadomością o powrocie floty, pewnie nigdy by się nie dowiedział, co wyprawia Agarysta. Mógłby nawet zastać ją w łóżku zimną i sztywną, w otoczeniu zapłakanych niewolników. Zdał sobie sprawę, że go zdradziła, chociaż nie z kochankiem. Zdradziła, nie dopuszczając go do tajemnicy. Czy była w ciąży? Może nigdy się tego nie dowie. Wydało mu się, że słyszy płacz Agarysty za drzwiami, i już miał je otworzyć... Ale tylko przyłożył czoło do drewnianej framugi, po czym odwrócił się i odszedł, nagle

rześki i świeży. Słońce już dawno wstało. Wiedział, że powinien pójść na Pnyks, żeby powitać Miltiadesa w ojczyźnie. Ruszył biegiem, a płacz zdawał się podążać za nim.

* * *

O świcie stało się jasne, że nie będzie wielkiego świętowania. Resztki floty, którą kiedyś tak uroczyście żegnano, z trudem dopłynęły do wybrzeża, a nad ranem do bezpiecznej przystani w Pireusie. Wiosną wypłynęło siedemdziesiąt okrętów, a powróciło zaledwie dwadzieścia. Kiedy wreszcie dotarły do nabrzeży i zacumowały, nad tłumem, który się tutaj zgromadził, zaległa absolutna cisza. Wiadomo już było, że wojownicy nie będą rzucać dzieciom perskich monet, że nie ziści się marzenie o triumfie i dobrobycie. Ludzie obserwowali, jak załogi schodzą z pokładów po chybionych drewnianych trapach. Ich widok mówił wszystko. Wielu miało rany, poowijane byle jak łachmanami, a ich szaty plamiły wymiociny.

Miltiades nie zdołał zejść na ląd bez pomocy. Wspierał się na kij, którego szerszy koniec wsunął sobie pod pachę. Był blady i obficie się pocił. Byłby się nawet przewrócił, gdyby jego syn, Kimon, nie podbiegł do niego i nie przytrzymał go za ramię. Prawą nogę archonta od uda aż do kolana spowijało płótno nie pierwszej czystości. Było jasne, że Miltiades nie przejdzie drogi do miasta jako bohater, a tłumy nie będą mu rzucać pod nogi kwiatów i skandować jego imienia.

Przyprowadzono wóz i syn musiał się natrudzić, aby posadzić na nim ojca. Później Kimon szedł obok wozu, a Miltiades wpatrywał się w morze, które powoli znikało mu sprzed oczu. Tłum opuścił port i także ruszył piaszczystą drogą w stronę miasta. Ludzie pobiegli do Pireusu, żeby świętować, a tymczasem przyszło im uczestniczyć w kondukcje. Wielu taszczyło dzbany z winem. Inni zaczęli płakać, kiedy policzyli okręty i zrozumieli, co się stało. Matki tuliły do siebie dzieci. Każdy stracony okręt oznaczał utratę dwustu trzydziestu mężczyzn,

którzy nie wrócili do Aten. Każdy z nich był synem, mężem albo ojcem. Tysiące kobiet i dzieci wyszły, żeby ich powitać. Świadomość, że ich bliscy nie wrócą, spadała na nich jak potężny cios. Już w porcie zapanowała żałoba, matki i żony przez długi czas albo stały zupełnie nieruchomo, albo chwiały się na nogach jak pijane. Dzieci zawodziły głośno i rozpaczliwie, widząc szlochające matki, w bólu rwące włosy z głowy i rozdzierające szaty. Płacz, lament i jęki ścigały Miltiadesa przez całą drogę do Aten.

Wśród odgłosów żałoby Kimon wpatrywał się w ojca i widział tylko zmęczoną, niemal przejrzystą twarz starca. Chłopak miał osiemnaście lat. Był bardzo sprawny i silny. Co dzień oddawał się wyczerpującym ćwiczeniom fizycznym. Tego ranka, kiedy dotarła do niego wiadomość, poczuł wielką radość. Ojciec wraca! Wybiegł z miasta w chitonie i sandałach, jakby na wielki wyścig – jak najszybciej chciał zobaczyć okręty w porcie. Tymczasem trafił na pochód straszliwie okaleczonych mężczyzn, bladych jak śmierć. Okręty, które wróciły, były w dobrym stanie, ale było ich tak niewiele! Smród, jaki unosił się wokół nich, dowodził, że zbyt wielu ludzi tłoczyło się na nich przez zbyt długi czas, uparcie wiosłując, aby dotrzeć do domu. Kimon zadrżał, wcale nie na myśl o ich cierpieniach, ale na myśl o wielkich stratach, jakie poniosły Ateny. W tej chwili wstydził się za ojca. Kiedy Miltiades wreszcie popatrzył na niego podpuchniętymi oczami, podrażnionymi przez wiatr i sól, Kimon odwrócił wzrok. Milczał, nie chciał dzisiaj rozmawiać z ojcem.

14

Na Akropolu, wysoko nad miastem, pojawili się kapłani Apollina, aby powitać słońce i podziękować bogu za opiekę. Starodawna świątynia zwrócona była frontem na wschód. Kapłani pokłonili się źródłu światła i życia, śpiewając modlitwy i paląc kadzidła lub wonne drewno. Stojąc u podstawy Pnyksu, Ksantyppos patrzył na cienkie smugi dymu unoszące się nad świątyniami na wybrzeżu. Epikleos podążył za jego wzrokiem i pokiwał głową.

– Z okazji bezpiecznego powrotu Miltiadesa, naszego wybawcy, poświęć kilka dorodnych baranów – powiedział.

Ksantyppos zmarszczył czoło. Nie podobało mu się, gdy przyjaciel lekkim tonem mówił o poważnych sprawach.

– Uważaj na słowa, Epikleosie – mruknął.

Młody mężczyzna znał go wystarczająco dobrze, by zrozumieć ostrzeżenie. Wzruszył ramionami.

– Nie oceniam. Bogowie dają i odbierają. Popatrz na tego biedaka: trzeba mu pomagać, kiedy chce usiąść! Gdy ostatnio stawał w tym miejscu, był bohaterem spod Maratonu. Jeżeli kapłani Apollina chcą sobie przyrzędnąć na Akropolu wspaniałe śniadanie, stan zdrowia Miltiadesa nie ma żadnego znaczenia.

– Dosyć! – warknął zniesmaczony Ksantyppos.

Było powszechnie wiadomo, że kapłani zabierają dla siebie mięso zwierząt ofiarnych. Owszem, najważniejsze narządy palili na ołtarzach, ale całą resztą karmili swoje rodziny. Słowa Epikleosa świadczyły, że żywi głęboką pogardę dla

tego niepisanego zwyczaju. Ksantyppos pokręcił głową, kiedy jego przyjaciel otworzył usta, żeby znów się odezwać, i ten z niechęcią zmilczał.

Pnyks stopniowo zapełniał się ludźmi. W takim dniu żaden Ateńczyk nie mógł pozostać w domu czy pójść do pracy. Ksantyppos dostrzegł Temistoklesa; miał potargane włosy, jakby przed chwilą wyrwano go z łóżka. Po przeciwnej stronie wzgórza stał Arystydes w otoczeniu najstarszych archontów Areopagu i mężczyzn ze swojej fyli. Wszyscy się zjawili, żeby wysłuchać raportu Miltiadesa. Tutaj byli sobie równi, każdy dysponował tylko jednym głosem. Przybyli bogaci i biedni, mieszały się tu budowniczy, folarze i właściciele ziemscy – wszyscy stali ramię w ramię, każdy mężczyzna miał identyczny status i mógł się wypowiadać na tematy związane z prawem i moralnością.

– Ludzie są podekscytowani od samego rana – odezwał się Epikleos. – Czujesz to? W tym miejscu bije serce miasta, Ksan. Zastanawiam się, czy Hippiasz czuł się tak samo, kiedy wstawał z łóżka jako tyran. Dzisiejszego ranka to my jesteśmy tyranami Aten.

– Zgromadzenie nie może być tyranem. Właśnie dlatego powstało – odparł Ksantyppos cierpko.

– Powiedz to prostakom, kiedy zaczną z furią ryć imiona na tabliczkach. Powinniśmy przynajmniej zezwalać na obronę przed ostracyzmem. Jak byś przyjął dziesięcioletnie wygnanie z miasta, brak kontaktu z Agarystą i z dziećmi, pozbawiony nawet szans obrony przed takim wyrokiem?

– Tutaj nie ma prostaków. Aby tak wielu zwróciło się przeciwko jednemu, potrzeba czegoś więcej niż kaprysu lub zwykłej złośliwości. Taki człowiek musiałby naprawdę na to zasłużyć.

To skłoniło mężczyzn do spojrzenia w stronę Miltiadesa. Siedział z opuszczoną głową i sprawiał wrażenie skrajnie wycieńczonego. Od razu udał się na Pnyks, nie miał możliwości ani się wykapać, ani przebrać w świeże szaty. Ksantyppos i Epikleos zobaczyli, że synowi Miltiadesa podano jakiś pakunek. Rozwinął go i oczom zgromadzonych ukazały się oliwki, kawałek twardego chleba i kilka srebrzystych rybek, niewiele grubszych od palca. Kimon podał

posiłek ojcu wraz z kubkiem zimnej wody. Synowską powinność spełniał w milczeniu, ale z oddaniem. Ksantyppos przypatrywał się archontowi, starając się wyczuć nastrój tłumu.

– Do tej pory był nietykalny – mruknął.

Epikleos gorzko się uśmiechnął.

– Teraz już nie jest – powiedział. Popatrzył uważnie na przyjaciela i dostrzegł złość na jego twarzy. – Dobrze się czujesz? Mam wrażenie, że od samego rana jesteś nie w sosie.

Ksantyppos zbył jego słowa machnięciem ręki.

– Agarysta... cóż, jest niezdrowa. Zostawiłem ją w kiepskim stanie. Opuściłem ją właśnie dla tego człowieka. – Wpatrywał się w Miltiadesa przenikliwym, złym spojrzeniem.

Epikleos zrobił zatroskaną minę, przede wszystkim dlatego, że przyjaciel wspomniał o żonie. Zwykle nie opowiadał, co się dzieje u niego w domu, uważając, że prywatne sprawy nie powinny wychodzić poza mury posiadłości.

– Mam nadzieję, że szybko wydobrzeje, bracie – powiedział.

Ksantyppos gwałtownie obrócił głowę w jego stronę, chcąc się upewnić, że tamten nie potraktował zbyt lekko jego słów. Epikleos wydawał się jednak szczerze przejęty. Ksantyppos pokiwał głową i zamilkł.

Epistatesem był tego dnia mężczyzna z fyli Arystydesa – Antiochis. Wyznaczono go na to stanowisko poprzedniego dnia o zachodzie słońca. Wszedł na kamień mówcy, aby zwrócić się do zgromadzonych. Był wysoki i straszliwie chudy, ledwie skończył trzydzieści lat. Miał skwaszoną minę, jakby jego żołądek bardzo źle przyjął coś, co przed chwilą zjadł.

– Kto przemówi? – zapytał.

W ciszy jego głos był cienki i piskliwy. Nie dudnił jak głos Temistoklesa, brakowało mu też ostrości głosu Arystydesa, który potrafił sprawić, że oponenci czmychali, przerażeni jego zdecydowaniem i siłą argumentów. Nikt nie zareagował na wezwanie; wszyscy patrzyli na Miltiadesa w oczekiwaniu na jego reakcję. On zaś westchnął ciężko, jego potężne ramiona bezradnie wznosiły się

i opadały. Wyglądał jak ktoś, kto już się poddał. Wreszcie wstał, postępując z wysiłku, i oparł się na lasce zakończonej poprzecznym drewnikiem, które wsunął pod pachę. Kimon też się podniósł, gotów wesprzeć ojca, gdyby ten się zachwiał.

– Przemówię – odezwał się Miltiades i uniósł głowę – skoro sobie tego życzyście.

Ksantyppos zauważył, że przez te miesiące urosła mu broda. Długa i niepielegnowana była po prostu niechlujna. Pamiętał, że patrzy na człowieka, który wstrzymywał jego skrzydło pod Maratonem. Na mężczyznę, który niemal sprzedał Ateny i doprowadził je do ruiny.

– Znam cię – szepnął.

Epikleos spojrział na niego i zmrużył oczy, zorientowawszy się, jak przenikliwie jego przyjaciel wpatruje się w archonta.

Jeszcze dwaj mężczyźni wystąpili, żeby pomóc Miltiadesowi pokonać ostatnie stopnie prowadzące na kamień mówcy. Przez tłum przebiegł niechętny pomruk, przez cały czas słyhać było także niesione wiatrem zawodzenie kobiet i płacz dzieci. Ludzie, którzy otoczyli Pnyks, chcieli dowiedzieć się jak najwięcej o przebiegu katastrofalnej wyprawy, pod tym względem ani trochę nie różnili się od zasiadających na wzgórzu i posiadających prawo głosu. Młodzi i starzy wypełnili wszystkie najbliższe ulice i uliczki. Ze szczytu było widać, jak niektórzy, uparcie niczym mrówki, wdrapują się na skaliste wzgórze Aresa, gdzie zazwyczaj zbierała się rada. Wszyscy archontowie przybyli na zgromadzenie i nikt nie miał głowy, żeby posyłać siły porządkowe i karać tych, którzy chcieli mieć jak najlepszą widoczność na Pnyks. Katastrofa floty Miltiadesa oznaczała, że tego roku każdy Ateńczyk doznał jakiejś straty.

Stanąwszy na miejscu, archont uniósł głowę i odetchnął głęboko świeżym powietrzem.

– Stoi przed wami Miltiades z rodu Filaidów, zwycięzca spod Maratonu. Potomek Achillesa, który był wnukiem króla Ajakosa, syna Zeusa. Moim ojcem był Kimon, który brał udział w wyścigu rydwanów w czasie igrzysk olimpijskich.

Jego imieniem nazwałem własnego syna, który osiągnął wiek dorosły, dołączył do eklezji i dzisiaj stoi przy mnie. Dziękuję bogom za to, że wróciłem, i zarazem rozpaczam, bo wielu moich ludzi nie powróciło ze mną do Aten.

Miltiades głęboko odetchnął. Ksantyppos dostrzegł łzy w jego oczach. Nie wzruszyły go jednak, ponieważ od dłuższej chwili podejrzewał, że w wystąpieniu archonta więcej będzie teatru niż szczerości. Ale ci, którzy stali daleko z tyłu, nie mogli zobaczyć jego łez. Czy zatem wódz obetrze je za chwilę zamaszystym gestem, żeby wszyscy mogli zobaczyć, jak wielka jest jego rozpacz?

– Wypłynąłem z Pireusu na czele siedemdziesięciu trier – kontynuował. – Skierowaliśmy się na wschód, zamierzając ścigać flotę Persów wzdłuż wybrzeża Jonii i pomiędzy tamtejszymi wyspami. Od samego początku, gdy w czasie postojów zasięgaliśmy języka u rybaków, wielu nam mówiło, że niedawno widzieli perskie okręty. Dzielił nas od nich miesiąc żeglugi. Ale zabrakło nam świeżej wody i musieliśmy przybijać do wysp, których nazw wcześniej nie znałem. Tam usłyszałem, że niektóre osady opowiedziały się za Persją. Wyspy, kiedyś lojalne wobec Aten, podobno skierowały się przeciwko nam. – Odczekał, aż ucichnie szmer niedowierzania, i po chwili mówił dalej. Być może nieświadomie podniósł trochę chorą nogę i aby zmniejszyć dyskomfort, opierał ją jedynie na czubkach palców. Tym sposobem przypomniał wszystkim o swojej ranie. Ksantyppos patrzył, jak stoi z głową wysoko uniesioną i lekko przechyloną. – Zainteresowały mnie te plotki i zapłaciłem srebrem za informacje kapitanom statków handlowych, piratom oraz awanturnikom szukającym szczęścia na naszych wodach. Od nich się dowiedziałem, że wyspa Paros przyłączyła się do Persji. Popłynąłem tam, rozszerzając obszar poszukiwań, wciąż szukając wroga. Znowu zabrakło nam wody, zaczęliśmy także głodować. Nalegałem jednak, żeby nie przerywać misji, a ludzie mi ufali. – Umilkł, aby wypić kilka łyków wody z kubka, który podał mu syn. Ksantyppos stał bez ruchu, całkowicie skoncentrowany na Miltiadesie. On tymczasem kontynuował: – Znaleźliśmy ich na Paros. Persowie wylądowali tam setką, a może dwiema setkami okrętów, nie wiem. Porzucili je przy brzegu, a na plaży zobaczyliśmy

ogromne stada koni, tysiące wierzchowców. Kiedy przybiliśmy, konie uciekły. Wyspa wydawała się rajem, nigdzie nie mogliśmy dostrzec śladów obecności człowieka. Kapitanowie zaczęli wysadzać na brzeg hoplitów, żeby udali się w głąb wyspy. – Znowu upił parę łyków wody, trzymając kubek w drżących rękach. – Wtedy nadeszli Persowie. Było ich więcej, niż byłbym w stanie zliczyć. Byli to niewolnicy z ich okrętów i jeźdźcy. Zaczęli zbiegać ze wzgórz, zeskakiwać z drzew. Ukryli się, kiedy dostrzegli, że nadpływamy, a potem całkowicie nas zaskoczyli. Walczyliśmy. Wyrzynaliśmy ich bez litości, aż biały piasek zrobił się czerwony niczym wino! Jednak nie wszyscy nasi wojownicy zdążyli zejść na brzeg, a Persów było zbyt wielu. – Oblizwał suche i spękane wargi. Jego syn wstał, chcąc znowu podać mu kubek, lecz powstrzymał go ruchem ręki. Wydawało się, że nie potrafi zatrzymać potoku słów. – Nie wiem, kto podpalił okręty: czy przypadkowo któryś z naszych ludzi, czy jakiś Pers. Drewno było suche i... nagle rozległy się przeraźliwe wrzaski tych, którzy zostali uwięzieni na pokładach i nie mieli jak z nich uciec. Ogień zaczął trawić okręty zarówno nasze, jak i perskie, wkrótce na całej plaży szalał pożar, nad którym nikt nie był w stanie zapanować. Część naszych starała się zepchnąć niektóre okręty z powrotem na wodę. Ci, którzy wrócili ze mną do Pireusu, mieli szczęście. Pozostali zginęli z rąk wrogów, starając się odpłynąć, albo zostali zabici na plaży. – Zamknął na chwilę oczy, oddając cześć zmarłym. – Nasi hoplici stawali jak bohaterowie, wszyscy jak jeden mąż. Byli dzielni i wspaniali, lecz otoczyli ich i zgładzili Persowie z pałkami i nożami, dzikusy walczyły jak opętane, nierzadko gryzły i darły paznokciami nasze ciała. Tarcze i hełmy okazały się bezużyteczne i bezpowrotnie je utraciliśmy. Zrekompensuję te straty rodzinom poległych. Gdy krewni do mnie przyjdą, dam im nową broń, jeżeli tylko są już w tych rodzinach synowie, którzy zdołają udźwignąć tarcze, włócznie i hełmy, jakie powinni odziedziczyć po swoich ojcach. Tyle mogę dla nich zrobić.

– Możesz zrobić więcej – powiedział niespodziewanie Ksantyppos.

Spojrzenia ludzi skierowały się ku niemu. Jedyne on spoglądał wprost na Miltiadesa. Wódz wyglądał na bardzo chorego, zbyt słabego, żeby samodzielnie

stać na nogach. Zachwiał się, kiedy rozpoznał Ksantypposa. Skrzywił się, być może ta nieuświadomiona reakcja świadczyła o głębokiej rezygnacji.

– Będziesz miał szansę zadać pytania archontowi, Ksantypposie – odezwał się epistates.

W jego głosie zabrzmiała nagana i strateg poczuł, jak Epikleos ostrzegawczo dotyka jego biodra. Wzbierał w nim gniew i to uczucie kierowało teraz jego postępowaniem.

– Zadam mu wiele pytań, epistatesie. I zażądam sprawiedliwości – oznajmił. Nawet nie zauważył, że zgromadzeni wokół wstrzymali oddechy. – Oskarżam tego człowieka. Zawiódł Ateny. Oskarżam go w imieniu poległych, oskarżam o zbrodniczo przelaną krew i o zaprzepaszczenie naszego wspólnego srebra. Wzywam...

– Proszę, w...waż słowa – wyjąkał epistates wstrząśnięty tymi zarzutami wobec bohatera. Przywódcą zgromadzenia został zaledwie poprzedniego wieczoru i nie czuł się pewnie w swojej nowej roli, bo nie był biegły w prawie ateńskim i nie wiedział, do jakich precedensów może dopuszczać. Prawa Klejstenesa liczyły sobie tylko dwadzieścia lat, ale z kolei Ksantyppos znał je dobrze. – Zastanów się, co mówisz. Obaj jesteście *marathonomachoi*!

– Tak – odparł. – Tak, jesteśmy. – Przez długą chwilę wytrzymał spojrzenie Miltiadesa. Odwrócił wzrok dopiero wtedy, gdy był już pewien, że tamten wie, co zaraz nastąpi. – Przemawiam, bo jesteśmy *marathonomachoi*. Miltiades otrzymał od nas wszystko, czego zażądał, i twierdzę, że bardzo nas zawiódł. Wzywam, aby postawiono go przed sądem. – Ostatnie słowa wypowiedział, znów patrząc na Miltiadesa, który stał przed nim schorowany i jakby oszołomiony jego wystąpieniem.

– Przecież to niesprawiedliwe! – zawołał Kimon. – Mój ojciec jest ranny, każdy to widzi. Czy można sądzić człowieka, który z trudem stoi na własnych nogach?

– Być może – powiedział Ksantyppos łagodniejszym tonem – ale takie są nasze prawa. Jeśli zechcesz przemawiać w jego obronie, chłopcze, masz do tego

prawo. Jeśli nie, jestem pewien, że ojciec sam zdoła przedstawić swoje argumenty. Zważ jednak, że powiedział już dużo i nawet jego wypowiedzi wystarczą, żeby zapadł wyrok skazujący. Niewiele można dodać do słów, którymi sam siebie oskarżył.

Kimon niemal błagalnie popatrzył na epistatesa, który jedynie rozłożył ręce.

– Muszę się naradzić z urzędnikami zgromadzenia. – Przewodniczący szukał u nich wsparcia. – Powinniśmy wybrać sędziów. To nie jest wniosek o ostracyzm. Miltiadesowi wolno będzie się bronić. O co go oskarżasz, Ksantypposie?

– O nieudolne dowodzenie, o oszustwo i kradzież. Słyszeliście przecież, że do wszystkiego już się przyznał. – Ksantyppos zerknął na Epikleosa, który masował dłonią czoło. Usta miał lekko otwarte.

– Zatem... zatem odraczam zgromadzenie do popołudnia albo nawet do jutra. Dopóki Miltiades nie przytoczy argumentów na swoją obronę, dopóki... nie odbędę niezbędnych rozmów... Tak, tak, myślę...

Ksantyppos pokręcił głową. Zauważył, że Temistokles obserwuje go z miną niewiele się różniącą od wyrazu twarzy Epikleosa. Dobrze, niech się na niego gapią! Podjął decyzję i nie pozwoli teraz, żeby jakiś głupi jąkała przypadkiem przewodzący zgromadzeniu umożliwił Miltiadesowi zerwanie się z haczyka.

– Ateny nie mają pisanej konstytucji – oznajmił. Teoretycznie zwracał się do epistatesa, który wciąż był skonsternowany i żałował, że akurat dzisiaj przyszło mu pełnić tę funkcję. – Wszystkie nasze prawa i procesy wyznaczamy na tym wzgórzu. Wezwałem dzisiaj do procesu. Jeżeli mamy do rozpatrzenia ważniejsze sprawy, proces Miltiadesa może poczekać. Jeśli nie, chciałbym, żebyśmy przeszli do oskarżenia, obrony i głosowania nad losem tego człowieka.

– Ale jaką karę uznasz za adekwatną w odniesieniu do przestępstw, które wymieniłeś? – zapytał epistates płacziwie.

Wielu zebranych gniewnymi minami zareagowało na takie naruszenie standardowego trybu postępowania.

Ksantyppos wzruszył ramionami.

– Za śmierć dwóch tysięcy hoplitów, *marathonomachoi*? Za utratę pięćdziesięciu galer i wolnych ludzi z ich załóg? Za oszustwo, gdyż zażądał od nas, abyśmy obdarzyli go stanowiskiem, na które absolutnie się nie nadawał? Czyż za to wszystko może odpowiedzieć inaczej niż śmiercią?

– Ksantypposie – mruknął Epikleos ponad szemraniem tłumu. – Okaż miłosierdzie. W wielu miejscach wciąż go uwielbiają.

Ksantyppos przygryzł wargę. Teraz patrzył na niego nie tylko Temistokles, ale także Arystydes. Koniecznie chciał zachować się godnie, obserwowany przez tak znakomitych mężów.

– Dobrze, epistatesie – powiedział. – Ustalmy, że proces odbędzie się pojutrze. Jestem skłonny zgodzić się na taką zwłokę. Dzięki niej zyskam czas na przesłuchanie świadków.

Miltiades patrzył na niego przekrwionymi i podpuchniętymi oczami. Był jak chory pies, który wie, że coś mu grozi, ale nie ma już siły, żeby się bronić.

15

Kserkses kroczył po bladobłękitnym marmurze wypolerowanym tak doskonale, że patrząc pod nogi, widział swój kolorowy cień. Odnosił wrażenie, że spaceruje po tafli jeziora w bezwietrzny dzień.

Jego ojciec siedział na tronie, a niewolnicy chłodzili go wachlarzami, mimo że słońce już zniknęło za horyzontem. Zbliżała się pora kolacji, a pomyślawszy o niej, Kserkses popatrzył na małego eunucha, Miszara, którego zadaniem każdego wieczoru było dyskretne przypominanie królowi o Grekach. Stał nieruchomo w tunice z białego jedwabiu. Nowe złote bransolety zdobiły mu nadgarstki i kostki, odzwierciedlając jego podwyższony status.

Kserkses, podchodząc do ojca i klękając przed nim na jedno kolano, czuł na sobie spojrzenie eunucha. W ten sposób hołd władcy mógł oddawać jedynie książę i następca tronu. To było jego wyłączne prawo, o czym doskonale wiedział każdy służący i niewolnik mający dostęp do jego ojca. Nawet królowie padali na twarz przed Dariuszem, a lśniący marmur zachodził mgłą, kiedy leżąc bez ruchu, oddychali prosto w posadzkę. Nie musiał tego robić tylko królewski syn, młodzieniec, który pewnego dnia pójdzie w jego ślady i obejmie władzę nad światem. Tak ojciec go wyróżniał i zarazem wskazywał, że Kserkses będzie jego sukcesorem.

Odczekał, aż ojciec skinie na niego, dopiero wtedy wstał i podszedł do tronu. Ujął prawą dłoń króla, po czym pocałował go dwukrotnie w każdy policzek i na koniec przycisnął usta do warg Dariusza. Słodycz w oddechu ojca lekko go oszołomiła i zaniepokoiła, wyczuwał w nim woń bielunia.

– Wciąż dokuczają ci boleści, ojcze? – zapytał.

Dostrzegł, że oczy króla są przekrwione, a jego skóra ma żółtawy odcień. Poczuł dziwne ukłucie w brzuchu – strachu, niemal paniki. Nie, nie był na to gotowy, jeszcze nie! Przebył konno tysiąc mil do Persepolis, kiedy jego szpiedzy na dworze zdołali mu donieść, że król niedomaga. Przez wszystkie dni ciężkiej podróży nawet do głowy mu nie przyszło, co w rzeczywistości może oznaczać choroba ojca. Ludzie umierają. Kserkses znał tę prawdę równie dobrze jak każdy człowiek. Bywał świadkiem egzekucji tysięcy skazańców naraz, widywał mężczyzn, kobiety i dzieci zabijane w walce albo po prostu dla zabawy. Na ich miejsce rodzili się inni. Lecz jego ojciec był jak skała, na której opierało się imperium, niezłomny, wieczny.

Z przerażeniem zobaczył, że król znacznie stracił na wadze – nie mogły tego ukryć ani wyszukane szaty, ani bogato zdobiona peleryna. Jego szyja się skurczyła, a skóra na niej pomarszczyła. Dariusz miał sześćdziesiąt dwa lata. Kiedy przed dwoma laty Kserkses wyruszył z Persepolis na wyprawę, podczas której miał złożyć wizytę w każdym królestwie wchodzącym w skład imperium, nie wiedział, że miała ona przygotować go do objęcia tronu.

– Dobrze cię widzieć, synu – powiedział Dariusz i uśmiechnął się.

Chociaż królowie i satrapowie dostawali gęsiej skórki na widok tego uśmiechu, Kserkses dostrzegł w nim jedynie wyraz ojcowskiej miłości. Wciąż trzymał dłoń ojca i lekko ją uściskał. Poczuł, że knykcie starego króla wbijają mu się w rękę. A jeszcze niedawno nawet dłonie Dariusza były muskularne, z łatwością naciągały cięciwy wielkich łuków lub ścisnęły rękojeści ciężkich mieczy. Kserkses poczuł, że do oczu napływają mu łzy. Po chwili potoczyły się powoli po jego policzkach, lecz się tego nie wstydził. Nie były w tych okolicznościach niczym nadzwyczajnym. Poza tym wielu mężczyzn płakało w czasie spotkań z wielkim królem z powodu ogromnego, nagłego wzruszenia.

– Ganak stara się uśmierzać mój ból – odezwał się król. – Czasami sprzecza się z panem Zhou i zajmują się mną na zmianę lub palą przy mnie różne rodzaje drewna i każą mi wdychać dym.

Kserkses zerknął w bok na tych obcokrajowców i zmarszczył czoło. Obaj natychmiast padli na posadzkę. Hinduski medyk miał siwą brodę i wyglądał bardzo staro, ale w obecności księcia poruszał się dość sprawnie. Niski rytmiczny dźwięk, brzmiący jak pocieranie o siebie kawałków drewna, kazał mu znów skupić uwagę na ojcu. Król kaszłał.

– Ufam im, Kserksesie – powiedział po chwili. – Nie bój się o mnie. Oni wiedzą, co się stanie, jeżeli pozwolą mi umrzeć.

– Chyba jednak nie do końca to rozumieją – odparł Kserkses.

Medycy leżeli na marmurowej posadzce z dłońmi przy uszach, jakby chcieli z nich zrobić kołyskę dla głowy. Chińczyk był o połowę młodszy od Hindusa i trwał zupełnie nieruchomo, wykazując się samodyscypliną i opanowaniem. Z kolei Hindus drżał, obawiając się rychłej śmierci. Kserkses odwrócił wzrok, nie chciał na nich patrzeć.

– Wkrótce wrócą ci siły, ojcze. Tak się musi stać. Nie jestem jeszcze gotowy.

Ku jego zaskoczeniu teraz to ojciec ścisnął mu dłoń. Kościste palce Dariusza wyglądały jak szpony.

– Jesteś. Za mną długie i bogate życie, dzięki błogosławieństwu bogów. Ale nikt nie żyje wiecznie. Czy powinienem się obawiać niebios? Dlaczego? Życie wśród bogów wcale nie będzie się różnić od tego na ziemi, chociaż z pewnością nie zaznam w nim bólu i chorób. Przygotowałem cię, Kserksesie. Już dzisiaj mógłbyś zasiąść na moim tronie. Co więcej, przygotowałem także swój grobowiec w Naksz-e-Rostam. Inskrypcje są już niemal ukończone, chociaż wciąż żyję i liczę na twoją cierpliwość. Poprosiłem naszego Pana, Ahurę Mazdę, aby pozwolił mi przeprowadzić ostatnią kampanię. Przeżyłem sześćdziesiąt dwa lata, Kserksesie. Jeżeli dane mi będzie jeszcze kilka, zgromadzę wszystkie nasze armie i zastępy. Zbiorę w jednym miejscu milion ludzi i więcej okrętów, niż kiedykolwiek widział świat. Pożegluję z nimi do Hellady i dopilnuję zagłady tych, którzy upokorzyli biednego Datysa i zarzynali naszych ludzi w morskiej wodzie. Tych, którzy nas pohańbili! Greków! Greków! – Mówił coraz głośniejszym głosem, a w miarę jak wzbierał w nim gniew, jego skóra przybierała ciemniejszą barwę.

Kserkses czuł kropelki śliny ojca na twarzy, ale nie wykonał żadnego ruchu, żeby je zetrzeć.

– Ojcze... – zaczął.

Król Dariusz nieznacznie się wyprostował. Złość pozwoliła mu przewyciężyć słabość fizyczną, lecz kosztowało go to mnóstwo wysiłku.

– Miszarze, podejdź do mnie i wypełnij swój obowiązek – rozkazał.

Niewolnik podbiegł i padł na posadzkę. Złote bransolety głośno zadźwięczały na marmurze.

– Panie, według twojego rozkazu. – Eunuch wstał i podszedł do króla. Ustami niemal dotknął jego ucha. Kserkses ujrzał, że złość ojca jakby unosi się na długich falach, to ustępuje, to znowu się wzmacnia. Kiedy Miszar szeptał do królewskiego ucha, ciemne oczy Dariusza były szeroko otwarte, ani razu nie mrugnął. – Panie, pamiętaj o Grekach.

Gdy król skinął głową, niewolnik się cofnął.

– Pamiętam – powiedział Dariusz.

Nakazał synowi podejść bliżej i teraz Kserkses pochylił się ku niemu, w identyczny sposób jak przed chwilą Miszar. Nie uwłaczało mu to jednak. Wszyscy byli niewolnikami jego ojca, nawet następcą tronu. Wiedział, że wystarczyłby jeden rozkaz króla i nie odszedłby stąd żywy. Władza wielkiego króla była absolutna, a on chwilami drżał na myśl, że ją po nim odziedziczy.

– Grecy gadają, mój synu. Powiedzieli światu o swoim zwycięstwie na polu kopru, które zwą Maratonem. Już we wszystkich naszych królestwach mieszkańcy słyszeli, że moja armia została pobita. Grekom nie może to ujść na sucho, Kserksesie, rozumiesz? Kiedyś żyli na skraju imperium. Zostawiłbym ich w spokoju jako satrapów i poddanych. Lecz oni wybrali opór i ten opór zobaczył cały świat. Teraz nie mam wyboru. Jeżeli bóg zechce, pożyję wystarczająco długo, aby zobaczyć, jak płoną greckie miasta. Ujrzę płonące Ateny i Spartę, i Teby, i Korynt, i wszystkie inne. – Umilkł, żeby uspokoić oddech. Przez chwilę patrzył przed siebie, czekając, aż jego klatka piersiowa przestanie gwałtownie się unosić i opadać. – Nazywają swój kraj placem do tańca dla boga Aresa,

słyszałeś? Tego ich boga wojny. Jeszcze nie widzieli prawdziwego boga wojny, Kserksesie! Lecz wkrótce zobaczą... – Skrzywił się, jego oddech stał się nagle urywany, płytki. Przycisnął dłoń do boku pod żebrami. Kserkses chciał zapytać, co sprawia mu ból, ale Dariusz niecierpliwie machnął ręką. – To nic, to przejściowe. Powiedz medykom, żeby przygotowali dla mnie więcej naparu i dymu z tych aromatycznych ziaren maku. To wszystko trochę mi pomaga, ale nic nie działa na dłużej. No i później mam koszmary, pełne okrucieństw i dziwacznych zjaw. – Dostrzegł troskę na twarzy syna i jeszcze raz się uśmiechnął, chociaż ból w nim narastał, a żółty odcień skóry stał się głębszy, wyraźniejszy. – Odejdź teraz i wypocznij, Kserksesie. Przybyłeś z daleka i bardzo szybko. Jesteś moim następcą, ukochany synu. Będziesz przy mnie, kiedy wrócę do Grecji, masz na to moje słowo.

16

Każdy dzień procesowy rozpoczynał się przed świtem. Urzędnicy przystępowali do mozolnej pracy, której celem było wylosowanie sędziów przysięgłych i sędziego pokoju, a potem wyznaczenie konkretnego miejsca dla przeprowadzenia procesu, zawsze w centrum miasta. Ksantyppos nie zdziwił się, kiedy ogłoszono, że Miltiades będzie sądzony na Areopagu. Sprawców najpoważniejszych przestępstw sądzono także w trzech innych miejscach, jednak wielka skała boga Aresa jako miejsce egzekwowania prawa od dawna miała uświęconą pozycję. Przed nową demokracją Klejstenesa na Areopagu obradowała rada dysponująca niemal nieograniczoną władzą. Pamiętający te czasy archontowie wciąż piastowali swoje funkcje, ponieważ reformatorzy nie ośmielili się całkowicie pozbawić ich znaczenia. Trwali jakby w zawieszaniu, obnosząc się z autorytetem płynącym ze starodawnej tradycji, lecz ich rola w nowym porządku była niejasna.

Sama skała wpisywała się we wzgórze o ostrych konturach, które wyrastało ponad dolnym miastem. Z łatwością mogła pomieścić czterystu lub pięciuset sędziów przysięgłych, choć groziło im, że upieką się na białym kamieniu, wystawieni bezustannie na słońce. Kiedy słońce wstało, Ksantyppos przechadzał się już w tę i z powrotem u stóp Areopagu, a Epikleos uważnie go obserwował. Sędzia pokoju, który miał przewodniczyć procesowi, objął swoje stanowisko w wyniku losowania i z zawodu był rzeźnikiem. Wydawał się zachwycony i przy pierwszym spotkaniu wylewnie uściskał Ksantypposowi dłoń. Jak wszyscy rzeźnicy, był dobrze odkarmiony, mocnej budowy i miał ogromną siłę w ręce.

Strateg nawet nie musiał go pytać, czy jest jednym z *marathonomachos*. To było oczywiste.

Epikleos patrzył, jak pierwsi sędziowie przysięgli zajmują miejsca na skalnych stopniach, mijając pilnujących porządku scytyjskich strażników.

– Przyznano już, że wielu hoplitów straciło życie – powiedział cicho Epikleos.
– Ta kwestia w gruncie rzeczy nie podlega dyskusji. Twoim jedynym zadaniem będzie wykazanie, że Miltiades lekkomyślnie posłał ich na śmierć, że powinien był najpierw pchnąć w głąb wyspy zwiadowców i wtedy z pewnością wykryłby zasadzkę. Nie uczynił tego, więc przynajmniej w części odpowiedzialny jest za masakrę.

Ksantyppos pokiwał głową. Żałował, że żaden z punktów oskarżenia nie dotyczy zachowania Miltiadesa pod Maratonem. Był już pewien jego zdrady, chociaż wciąż dysponował jedynie poszlakami. Popatrzył na sędziów przysięgłych i zobaczył ich ściągnięte twarze, marsowe miny. Kiedyś okrzyknęli Miltiadesa bohaterem, ale to było, zanim utracił tak wielu ludzi i tyle okrętów.

Poczuł zimny pot pod pachami. Ciało miał rozgrzane, mimo że słońce dopiero niedawno uniosło się nad horyzontem. Oskarżony jeszcze nie dotarł na miejsce. Od momentu, w którym Ksantyppos wniósł oskarżenie, Miltiades przebywał pod strażą i przygotowywał się do procesu. Nie pozwolono mu wrócić do lojalnych wobec niego załóg na okrętach ani nawet do domu – było to niemożliwe ze względu na wagę oskarżeń, jakim musiał stawić czoło. Leczył rany w fatalnych warunkach w małym więzieniu niedaleko koszar Scytyjczyków. Ksantyppos wyobrażał sobie, że właśnie w tej chwili bierze kąpiel albo już się ubiera i wkrótce będzie gotowy do zmagania z losem.

– Jeden z jego trierarchów jest moim świadkiem – mruknął, spoglądając na spisane wystąpienie, które zamierzał wygłosić.

Wiele słów zostało skreślonych i zapisanych od nowa. Patrząc na zapiski, poczuł pot nad brwiami. Nie był Temistoklesem i nie potrafił tak jak on zalewać ludzi słowami niczym miodem tak długo, aż się w nim utopia. Nie mógł też wyjawiać gnębiących go podejrzeń, które legły u podstaw jego oskarżenia.

Miltiades był zdrajcą opłaconym przez perskiego króla. Wszystko inne stanowiło jedynie łańcuch, który miał raz na zawsze ograniczyć mu swobodę.

Archont przybył w otoczeniu rozkrzyczanych zwolenników wpatrujących się groźnie w Ksantypposa. Nadal musiał się wspierać na lasce, a Kimon pomagał mu przy każdym kroku. Wprawieni w polemikach sądowych mężczyźni także szli w tej grupie, trzymając pod pachami zwoje. Sprawiali wrażenie spokojnych i dobrze przygotowanych do batalii; już od pierwszych chwil starali się swą pewnością siebie wpływać na sędziów, którzy nadal zajmowali miejsca. Nie zawsze było łatwo znaleźć ochotników powyżej trzydziestki na dzień procesu. Wynagrodzenie sędziów przysięgłych wynosiło mniej niż dzienna płaca robotnika, dlatego rutynowo funkcje te pełnili zazwyczaj ludzie starsi, wywodzący się spośród najbiedniejszych mieszkańców. Mawiano, że jest to ich główna rozrywka, a w sztukach często drwiono z siwizny sędziów.

Tego dnia zainteresowanie sprawą skłoniło znacznie młodszych mężczyzn do wzięcia udziału w losowaniu. Była wśród nich nawet pewna grupa tych, którzy z jego flotą wrócili do Aten; mieli do tego takie samo prawo jak inni. Ksantyppos dostrzegł, że kilku jest rannych, i nerwowo przełknął ślinę.

– Widzisz tych marynarzy? – wyszeptał do Epikleosa.

Przyjaciel zerknął na grupkę wspinającą się po stopniach. Poruszali się zupełnie inaczej niż mężczyźni przyzwyczajeni do stałego lądu.

– Chyba im się zdaje, że wciąż są na pokładzie okrętu, a nie na wielkiej skale – odparł. – Nieważne. Mają prawo głosu i więcej powodów od innych, żeby tu dzisiaj być. Nie przejmuj się nimi, Ksan. Przecież oni widzieli, jak toną ich przyjaciele, bo Miltiades jest słabym dowódcą. Ich obecność wcale nie oznacza głosów na jego korzyść.

Strateg przygryzł wargę. Obserwował, jak spoceni niewolnicy wnoszą kosze do głosowania na szczyt wzgórza. Nikomu nie było wolno wpływać na przysięgłych przed wydaniem wyroku. W czasie procesu nie głosowano przez podniesienie rąk ani nie gromadzono się w jednomyślnych grupach. Każdy z mężczyzn otrzymywał dwa krótkie pręty z brązu, jeden pełen i jeden

wydrążony, oraz gliniany krążek z wgłębieniem pośrodku. We wgłębieniu odciskano końcówkę pręta – pełnego lub wydrążonego – decydując w ten sposób, czy oskarżony jest winny czy niewinny. Po głosowaniu sędziowie zaciskali palce na końcach prętów, nie można więc było podpatrzeć, jak głosowali. To oznaczało, że nikt nie może wpłynąć na werdykt konkretnego sędziego i nie może go kupić, a nawet jeżeli zapłaci, nie będzie miał pewności, czy dobrze ulokował pieniądze. W ten sposób wyrok był wynikiem przemyśleń i decyzji podjętych samodzielnie przez sędziów, a możliwość manipulacji osób nieuprawnionych została zminimalizowana. Ksantyppos przyglądał się przez chwilę marynarzom, zastanawiając się, jak będą głosować.

Uzgodnił z Miltiadesem, że sędziów przysięgłych będzie czterystu. Można było wyznaczyć ich aż tysiąc albo tylko stu; ustalona liczba była wynikiem kompromisu. Ostatni z sędziów zajął miejsce siedzące lub stojące, kiedy słońce wzniosło się już dość wysoko i długie cienie zaczęły się kurczyć. Dzień wydawał się spokojny, chociaż w mieście miało się toczyć jednocześnie aż dziesięć procesów w sądach usytuowanych w różnych miejscach Aten. Za stosowanie prawa odpowiadali sędziowie przysięgli i sędziowie pokoju o niewiele większym doświadczeniu w tej dziedzinie niż w przypadku ich podsądnych. W przemowach sądowych zawsze ktoś nawoływał o wyznaczenie bardziej doświadczonych sędziów pokoju i o organizowanie szkoleń dla przysięgłych. Jeszcze w poprzednim pokoleniu wyroki wydawali archontowie z areopagu. Szerzyła się jednak korupcja i często miały one niewiele wspólnego ze sprawiedliwością. Mimo wszystko Ksantyppos należał do tych Ateńczyków, którzy byli przeciwni oddawaniu życia oskarżonych w ręce osób niewykształconych, zepsutych, mściwych, biednych. Temistokles z kolei optował za utrzymaniem obecnych rozwiązań, co Ksantypposowi teraz, kiedy wiedział więcej o jego młodości, wydawało się całkiem zrozumiałe. Prawdą było jednak, że ten system był równie dobry jak każdy inny, ale przede wszystkim łączył Ateńczyków we wspólnym poczuciu tożsamości. Ksantyppos nie mógł temu zaprzeczyć. Było to wypisane na twarzach wszystkich zgromadzonych, przejawiało się w ich żywym

zainteresowaniu wydarzeniami i poważnych minach. Tego dnia mieli z powagą i godnością zdecydować o losie Miltiadesa, wydając wyrok na jednego z rodaków.

Odetchnął z ulgą, kiedy zobaczył, że miejsca obok niego zajmują dwaj ludzie z okrętów. Było mu strasznie trudno dotrzeć zarówno do trierarchy, jak i do hoplity i ich przesłuchać, ale w końcu usłyszał historię nieszczęsnej wyprawy z ich ust. Pomogło mu to, że obaj byli wściekli na Miltiadesa. Ksantyppos popatrzył im w oczy, wyciągając rękę na powitanie. Po chwili usiedli na drewnianych krzesłach, zwrócenii w stronę sędziów, gotowi zareagować na pierwsze wezwanie. Strateg z zadowoleniem odnotował, że kiedy podawał im dłoń, żaden nie próbował uniknąć jego wzroku. Miltiades i jego ludzie zajęli miejsca na krzesłach po drugiej stronie stanowiska sędziego pokoju. Wszyscy znajdowali się naprzeciwko sędziów przysięgłych, którzy siedzieli, kucali lub stali na nagiej skale. Ksantyppos i Epikleos – który brał udział w procesie jako jego pomocnik – widzieli ze swoich miejsc przysięgłych i miasto rozciągające się za Areopagiem, skąpane w złotych promieniach słońca.

Sędzia pokoju odchrząknął, potem uczynił to po raz drugi i jeszcze raz, jakby górę nad nim brały nerwy i nie był w stanie rozpocząć. Ksantyppos chciał już wstać i przerwać mu to nieporadne pochrząkiwanie, ale wtedy mężczyzna się odezwał:

– W tym dniu, w miesiącu Skiroforion, w roku Arystydesa, zwołuję ten sąd zgodnie z prawami Aten i mądrością Ateny. Głównym powodem i oskarżycielem Miltiadesa, bohatera spod Maratonu, jest Ksantyppos z fyli Akamantis i z demu Cholargos.

Strateg czekał spokojnie z opuszczoną głową. Usłyszał, jak Epikleos gwałtownie wciąga powietrze, oburzony tą taną próbą manipulacji. Trudno było nie odnieść wrażenia, że sędzia pokoju wcale nie jest tak bezstronny, jak być powinien. Oczywiście o jego wyborze zdecydował los i bogowie, stanowiąc element procesu.

Jeden z pisarzy eklezji pochylił się do ucha sędziego. Nie wiadomo, co mu powiedział, ale tamten zaczerwienił się i zaraz pokiwał głową. Bez wątpienia potrzebował podpowiedzi ze strony bardziej doświadczonej pisarzy i należało się ich spodziewać w trakcie całego procesu. Sprawdził swoje zapiski, chociaż mogło się wydawać, że litery pływają mu przed oczami.

Po obowiązkowym wstępie sędzia wywołał Ksantypposa. Zamyślony, nie usłyszał swojego imienia i Epikleos musiał trącić go łokciem w bok. Podniósł się i skinął głową urzędnikowi stojącemu przy dwóch dużych urnach, z których jedna umieszczona była wyżej. Mężczyzna ceremonialnym ruchem wyciągnął kulek z jej podstawy. Cienki strumyk zaczął ciurkać do urny dolnej. Każdy z mówców miał prawo występować tak długo, aż poziom wody znajdzie się na wysokości otworu wydrążonego w ścianie. Obrona nie mogła zabierać więcej czasu niż oskarżenie – i odwrotnie. Odgłos szemrzącej wody rozbrzmiewał przyjemnie nad Areopagiem, tak jakby w pobliżu płynął strumień.

– Stałem wraz z Miltiadesem pod Maratonem, na lewym skrzydle naszej armii – odezwał się Ksantyppos i zaczął się przechadzać przed sędziami przysięgłymi.

Przypatrywało mu się czterysta par sędziowskich oczu; od strony skały zawiął lekki wiatr, mierzwiąc mu włosy. Nie zamierzał rozpoczynać mowy w taki sposób, ale sędzia pokoju nieświadomie podsunął mu pewien pomysł i postanowił przystąpić do jego realizacji, zanim świeża myśl mu ucieknie.

– Nie działał wówczas pochopnie. Mógł posłać całą naszą armię do jednego dzikiego ataku przeciwko Persom. Taki atak mógł nam przynieść zwycięstwo albo zgubę. Co by się stało? Już się nie dowiemy. Miltiades nie podjął decyzji o ataku wszystkimi siłami i z lewego skrzydła obserwowaliśmy, jak wielu naszych przyjaciół ginie.

Nie ośmielił się na dosadniejszy opis tej sytuacji. Archont obserwował go roziskrzonymi oczami, a jego syn zmarszczył czoło, zaskoczony, jakby właśnie usłyszał zupełnie nowe informacje o bitwie pod Maratonem. Ksantyppos nie mógł jednak brnąć w oskarżenia dotyczące tej bitwy. Miltiades zapowiedział mu

przecież, że wtedy odpowie własnym, jak najbardziej zasadnym zarzutem, że strateg nie wykonał jego rozkazu. Wzajemne oskarżenia zniszczyłyby ich obu.

Uporządkował myśli, chcąc płynnie kontynuować.

– Pobiliśmy Persów. Zabiliśmy tych, którzy zamierzali wziąć nas w niewolę, okrutnie zabawiać się z naszymi kobietami i dziećmi, którzy byli gotowi spalić nasze miasto. Wycięliśmy ich niemal w pień. – Umilkł na chwilę i skłonił głowę, pozwalając, aby ciepły wiatr przez chwilę targał mu włosy. Wyglądało to na zabieg mający przykuć uwagę słuchających go mężczyzn, ale tak naprawdę nagle napłynęły mu do głowy wspomnienia spod Maratonu, na moment odbierając mu głos. – Wracając po bitwie, na drodze spotkaliśmy Ateńczyków, którzy tłumnie wylegli, żeby nas powitać. Przystrajali nas kwiatami, częstowali winem... pamiętam piękne amarantowe kwiecie. Stanęliśmy pod Pnyksem i podziękowaliśmy bogom za wybawienie. Miltiades był wtedy bohaterem, uwielbianym przez całe miasto, i jako taki poprosił nas o flotę i o ludzi. Zaprażył siedemdziesięciu okrętów, na których przy wiosłach mieli zasiąść wolni żeglarze, w trzech ławach po trzydziestu na każdej burcie. Każdy okręt miał pruć fale dzięki wysiłkowi stu osiemdziesięciu wolnych Ateńczyków. Na każdym z nich miało się też znaleźć co najmniej dziesięć dodatkowych osób... dwóch kucharzy, trzech cieśli, żaglomistrzów i nawigator z pomocnikiem... pochodzących z naszych demów i fyl. Okręty miały zabrać hoplitów wyposażonych i uzbrojonych tak jak pod Maratonem, kiedy walczyli u mojego boku pod wodzą Miltiadesa. Część z nich pochodziła z lewego skrzydła armii, część z fyl walczących w środku: to ich Persowie zaatakowali najzajadlej, a oni im nie ulegli. To oni przegrupowali szyki mimo wrzasków i zawodzenia rozwścieczonego wroga. To oni spływali krwią i potem i zepchnęli Persów aż do morza!

Ksantyppos nie zdawał sobie sprawy, jak mocny i dźwięczny stał się teraz jego głos. Słowa, które wypowiadał, niczym ciężki bat uderzały w oblicza sędziów przysięgłych i powracały do niego wielokrotnym echem. W pewnej chwili zerknął na niższą urnę, znaną jako klepsydra albo „złodziejka wody”. Poziom

wody niebezpiecznie się podniósł. Strateg ze zgrozą stwierdził, że wykorzystał już niemal połowę czasu! Zmusił się do uporządkowania myśli. Zerknął na Miltiadesa, który miał dość niewyraźną minę. Jego pisarze trzymali głowy opuszczone nisko nad notatkami. Woleli patrzeć na swoje zapiski niż na mężczyznę, który przemawiał.

– Na siedemdziesięciu okrętach wypłynęli bohaterowie spod Maratonu. Na każdym znalazło się od czterdziestu do pięćdziesięciu z nich, wszyscy byli ochotnikami. Trzy i pół tysiąca ludzi spośród tych, którzy walczyli u mojego boku, kiedy morze unosiło czerwoną pianę, a zwłoki zalegały u naszych stóp. Każdy z nich był Ateńczykiem, tak jak my wszyscy zgromadzeni w tym miejscu. Tysiąc dwustu ich zginęło. To tragedia, która czyni nas uboższymi, słabszymi. Jeżeli Persowie powrócą jutro, nie będziemy w stanie wystawić przeciwko nim dziesięciotysięcznej armii. Jeżeli przyplynie ich flota, nie będziemy mogli przeciwstawić jej naszych okrętów, aby zapobiec lądowaniu wroga na ziemi należącej do Aten. W tym roku jesteśmy słabi... słabi z powodu arogancji jednego człowieka. Być może Miltiades w swej pysze uznał, że jest niepokonany. Może wzgardził miastem, które go wychowało, a może tylko wzruszył ramionami na myśl, że Ateny zostaną pozbawione mężczyzn, staną się bezbronne i obnażone z powodu jego poczynań? Bo właśnie taki efekt osiągnął!

Ksantyppos wpatrywał się w sędziów tak płomiennym wzrokiem, że również oni, podobnie jak pisarze, zaczęli unikać jego spojrzenia. Spróbował popatrzeć na nich łagodniej, bo przecież powinien zyskać ich przychylność, a ciskanie gromów temu nie sprzyjało. Chodząc w tę i z powrotem u podnóża wielkiej skały, dostrzegł, że tymczasem przybyło mnóstwo kolejnych obserwatorów, którzy musieli zatrzymać się za liną wyznaczającą granice miejsca sądu. Wielu ryzykowało upadek ze stromego zbocza Areopagu. Wsłuchiwali się jednak w każde słowo, a Ksantyppos doskonale rozumiał ich motywy. Nie zdziwił się, kiedy wyłowił wzrokiem z tłumu twarz Temistoklesa. Oczywiście i on przyszedł na proces. On także walczył pod Maratonem. I widział, jak szeregi Greków rzędną, a lewe skrzydło trzymane jest w dalekim odwodzie, chociaż do walki

wkroczyła już elita armii perskiej, wojownicy zwani przez ich króla Nieśmiertelnymi. Na mgnienie oka nawiązał kontakt wzrokowy z Temistoklesem, ale więcej im nie było trzeba. Znali się, a Temistokles w tym momencie zrozumiał, dlaczego Ksantyppos oskarża Miltiadesa z tak ogromną pasją.

Nie dostrzegł za to nigdzie Arystydesa. Mężczyzna, na którym chciał wywrzeć wrażenie, wybrał się chyba na jakiś inny proces. Zabolało go to, przypomniało mu jednak, że ponad wszelkie osobiste pobudki powinien stawiać obowiązek; wzorem takiej postawy był Arystydes. Znowu zerknął na urnę z wodą i przygryzł wargę. Miał jeszcze wiele do powiedzenia, lecz nieuchronnie upływający czas zmuszał go do zwięzłości. Kiedy odezwał się ponownie, jego głos był cichszy i spokojniejszy, dla ludzi w odległych rzędach ledwie słyszalny ponad wiatrem wiejącym od morza.

– My, Grecy, rozumiemy, czym jest *hybris*. Pycha grozi nam wszystkim, lecz przede wszystkim stanowi niebezpieczeństwo dla tych, którzy są rozpoznawalni. Pycha kusi nas i uwodzi, każe nam czynić więcej, podejmować większe ryzyko, lekceważyć niepowodzenia i ponawiać nierozsądne starania. Czyż bogowie nas nie kochają? Czyż nie jesteśmy wspaniali? Czy jedno zwycięstwo wystarczy? Właśnie taki głos uwiódł Miltiadesa. Wiwatowaliśmy na jego cześć, a on spijał słowa uwielbienia z naszych ust, lecz wciąż był spragniony!

Ksantyppos popatrzył z ulgą na zwój z tekstem wystąpienia. Niemal go rozwinął, jednak niespodziewana łatwość, z jaką przemawiał, nie wspomagając się wcześniej zapisanymi argumentami, kusila, aby tą drogą iść dalej. Zaczęła go ogarniać taka sama pokusa, jaką przed chwilą przypisał Miltiadesowi. Na szczęście w porę zdał sobie z tego sprawę. Rozwinął całkiem zwój, wziął głęboki oddech i powiódł wzrokiem po zapiskach. Szybko natrafił na właściwe miejsce.

– Przedstawię wam trierarchę Arkajosa z *Delfina* oraz hoplitę z okrętu o wspaniałej nazwie *Sprawiedliwość*. Z ich ust usłyszycie słowa o arogancji Miltiadesa, o lądowaniu na wyspie, na którą nie wysłano wcześniej zwiadowców, co zakończyło się rzezią. Usłyszycie o tym, jak dążenie jednego człowieka do sławy wyrwało serce naszej flocie. Później poproszę was o najsurowszą karę dla

niego za utracenie przez Ateny wielkiej fortuny, która legła na dnie morza, i przede wszystkim za utraczone życie wielu naszych najlepszych mężów.

Znów umilkł i opuścił głowę. Jakby w odpowiedzi, woda w dolnej urnie zaczęła wyciekać bocznym otworem, co oznaczało, że minął czas jego wystąpienia. Ksantyppos skinął sędziemu pokoju, który siedział bez ruchu, wstrząśnięty jego słowami. Wreszcie się poruszył i otarł ręką pot z czoła, a potem wytarł wilgotną dłoń w szatę na piersiach. Materiał w tym miejscu przybrał ciemniejszą barwę.

Ksantyppos wrócił na swoje miejsce i Epikleos szepnął mu do ucha:

- Dobra robota, Ksan. Doskonały początek.
- Przekonamy się – odparł.

Jego serce biło tak mocno, że szumiało mu w głowie. Zdał sobie sprawę, że duma stanowi dla człowieka prawdziwe zagrożenie. Świadomość, że mnóstwo mężczyzn wpatruje się w niego z respektem i podziwem, działała jak mocne wino. Popatrzył na Temistoklesa i zorientował się, że ten bezustannie się w niego wpatruje. Lekko skłonił głowę, a tamten wykonał identyczny ruch; dwaj mężczyźni jakby zawarli porozumienie.

Niewolnicy uzupełnili wodę w górnej urnie i powstał Miltiades. Był bardzo blady, jego skóra miała odcień starego, zwietrzałego marmuru, ledwie przypominała skórę żywego człowieka. Chociaż wciąż panował poranny chłód, Miltiades pocił się na całym ciele. Chiton sięgał mu zaledwie do ud, wszyscy więc mogli zobaczyć grube bandaże na jego nogach. Cała prawa noga Miltiadesa była opuchnięta, a powyżej i poniżej bandaży miała ciemny odcień, jakby spod opatrunku wyrastały dziwaczne korzenie. Ksantyppos skrzywił się na ten widok. Widywał już w życiu takie rany, z których nie chciała płynąć czysta krew, rany, nad którymi unosił się zapach zgnilizny. Ciało zaczynało się wówczas psuć i kończyne należało uciąć. Zazwyczaj rannemu i tak nie było dane uniknąć rychłej śmierci. Jedynym sposobem leczenia było lanie na rany wina i przykładanie do nich mokrego chleba, który wchłaniał ropę.

Miltiades oparł się na lasce, stanąwszy przed sędziami, którzy mieli zdecydować o jego losie. Było jasne, że nie da rady się przechadzać, jak jego przedmówca. Po prostu odchrząknął i zaczął mówić. Ksantyppos się pochylił, chcąc słyszeć każde jego słowo. Dostrzegł, że intensywnie wpatruje się w niego syn archonta, jakby chciał go zabić nienawistnym wzrokiem. Strateg nie miał jednak głowy, żeby przejmować się złością młokosa.

– Walczyłem pod Maratonem, tak, już o tym słyszeliście. U boku Ksantypposa, który mnie teraz oskarża... – Umilkł, a strateg usłyszał cichy szelest, gdy mężczyzna przesunął dłonią po zwoju, który trzymał pod pachą. Postanowił, że jeśli Miltiades powie, że w trakcie bitwy nie wykonał jego rozkazu, wstanie i wprost oskarży go o zdradę. Zapanuje chaos i tumult, lecz archont się z tego nie wywinie. – Tego dnia Ksantyppos stawał dzielnie, zmagając się z okrutnym wrogiem. Równie odważnie jak Temistokles i Arystydes, którzy dowodzili środkowym odcinkiem naszych szeregów. Podobnie jak Kallimach, który przed śmiercią dowodził prawym skrzydłem. Jako Ateńczycy walczyliśmy ramię w ramię z wojownikami z Platejów. Stanęliśmy przeciwko wrogim strzałom, włóczniom i mieczom... tak wielu, że nawet dzisiaj nie spróbuję określić ich liczby. Od tamtej pory wielokrotnie budziły mnie senne koszmary, w których widziałem atakujących Persów. Czy nasze zwycięstwo przepełniło mnie dumą? Oczywiście, że tak! Czy kierowała mną pycha, kiedy prosiłem o wysłanie floty w pościg za wrogiem? Nie sądzę. Byliście skorzy zostawić Persów w spokoju, aby zabiły się ich rany i znowu urosły w siłę. Tak, przegrałem bitwę na Paros. Kazałem wylądować na wyspie, chociaż wiedziałem, że mieszkańcy przysięgli lojalność Persom. Nie twierdzę, że nie mam wad, ale w sytuacjach, kiedy należy bezzwłocznie podejmować decyzje, chwalebne zwycięstwa przeplatają się z pomyłkami i błędami. Wojownicy ruszają do ataku, zanim otrzymają rozkazy, albo tkwią w miejscu wtedy, kiedy powinni nacierać. Jeśli są ludźmi honoru, staną przed wami i przyznają się do swoich błędów, tak jak ja to czynię. – Gdy Miltiades popatrzył na Ksantypposa, ten widział przez chwilę jego starcze, mętne oczy, opuchnięte i zaczerwienione, jakby dręczyła go straszliwa gorączka. –

Zasiadacie teraz na chłodnych kamieniach, aby osądzić decyzje, które podejmowałem, kiedy fale morskie rozbijały się o brzeg, a hoplici czekali na rozkazy. Nigdy się jednak nie dowiecie, jak naprawdę tam było, jak ciężko i strasznie. Zamierzacie ukarać mnie za straty? Każdego dnia moją karą są myśli o ludziach, którzy utonęli w morzu, o przyjaciółach zabitych w tej samej bitwie, w której ja sam o mało nie postradałem życia. Tak, działałem lekkomyślnie... – Zamilkł, świadomy, że przekroczył niebezpieczną granicę. Wśród sędziów i obserwatorów rozległy się szmery. – ...wydałem rozkazy, opierając się na wiedzy, którą wówczas posiadałem. I przegrałem. Pod Maratonem zwyciężyłem, na Paros poniosłem klęskę. Właśnie w taki sposób układa się życie stratega i archonta, przywódcy. Na samym końcu ocena jego poczynań zależy od tego, czy zwycięstwa przeważają nad klęskami, czy odwrotnie. To wszystko, co mam dzisiaj do powiedzenia. – Machnął ręką, jakby w geście lekceważenia dla słuchających go ludzi, i skrzywił się. Wydawało się, że wyrok, który wkrótce usłyszy, z góry ma w najgłębszej pogardzie, niezależnie od tego, jaki on będzie.

Ksantyppos nie dowierzał własnym oczom, kiedy Miltiades, wspomagany przez syna, powoli wracał na miejsce. Czyżby choroba aż tak go osłabiła? Czy na tym zakończył swoją obronę? Usiadł spokojnie, z lekko przechyloną głową, i wpatrywał się w jakiś punkt w przestrzeni. Tymczasem wynajęci przez niego pisarze, mocno skonsternowani, próbowali przywołać go do rzeczywistości,

Także sędzia pokoju sprawiał wrażenie, jakby znacznie więcej się spodziewał po wystąpieniu podsądnego. Woda w dolnej urnie wciąż miała niski poziom. Sędzia rozłożył ręce w niemym zapytaniu i powiódł wzrokiem po zgromadzonych. Gdy nikt nie zareagował, pochylił się ku jednemu z pisarzy sądowych i nerwowym szeptem zadał mu kilka pytań.

– Miltiadesie – odezwał się po dłuższej chwili – czy przedstawiś świadków, którzy będą zeznawać w twojej obronie?

Zapytany milczał. Bardzo powoli podniósł się jego syn. Kimon był szczupłym i przystojnym młodzieńcem. Ksantyppos nie poznał go wcześniej. Patrzył teraz, jak osiemnastolatek się pochyla, aby ucałować ojca w oba policzki. Po chwili

zaczął przemawiać do sędziów, a strateg mimo woli zerknął na wodny czasomierz.

– Mój ojciec przez całe życie służył Atenom, swoim czasem, krwią i srebrem. Na lądzie i na morzu. Walczył w naszym imieniu w kampanii jońskiej i z tego powodu przez wiele lat nie widział rodziny. W czasie jego nieobecności opiekowaliśmy się posiadłością i uprawami, które żywiły wielu ludzi, to dzięki nim jedli chleb i pili wino. Także wtedy, gdy mój ojciec ryzykował życie, stając przeciwko armiom Persji. Maraton to jego największe osiągnięcie, wspaniałe, bez najmniejszej skazy. Później morze, bogowie i bezwzględny wróg sprowadzili na niego klęskę. Widzicie rany, jakie odniósł, walcząc dla nas, rany, które w każdej chwili mogą przynieść mu śmierć? Czy dobrze znacie prawa, jakie nas obowiązują? Jeżeli już musicie ukarać moją rodzinę, po jej długiej służbie dla Aten, nałóżcie na nas grzywnę, którą zapłacimy, lecz nie postanawiajcie o śmierci ani o wygnaniu! Mój ojciec jest bohaterem Aten! Zawdzięczamy mu po prostu wszystko. – Młody człowiek usiadł, czerwony na twarzy, rozeźlony.

Ksantyppos pomyślał, że te wyrzuty i pretensje chyba nie przysporzyły jego ojcu uznania w oczach sędziów, ale trudno mu było to ocenić. Miltiades wyglądał na bardzo chorego, zachodziła obawa, że za chwilę nie będzie w stanie nawet siedzieć samodzielnie. Kołysał się bezwiednie, jakby tracił świadomość. Musiał jednak dotrzeć do końca procesu. Należało przeprowadzić głosowanie nad jego losem.

Woda zaczęła się sączyć z dolnej urny i sędzia pokoju odetchnął z ulgą.

– Jeżeli obrona nie ma nic więcej do dodania, możesz wezwać swojego pierwszego świadka, oskarżycielu – powiedział zdecydowanym głosem, gdyż stąpał już po pewnym gruncie.

Ksantyppos pokiwał głową. Miał nadzieję, że proces zakończy się do południa i wkrótce zapadnie wyrok.

17

Zanim słońce sięgnęło zenitu, ostatni świadek skończył opisywać rzeź na Paros. Miltiades zrezygnował z ich przesłuchania, a to oznaczało, że zeznania trierarchy i hoplity nie będą podważane. Obrona wydawała się przekonana, że przysięgli nie ukarzą człowieka za jedną wielką klęskę po długim życiu wypełnionym bezinteresowną pracą na rzecz społeczności i licznymi sukcesami. Było to proste przesłanie i wiele głów potakiwało, kiedy pisarze Miltiadesa podsumowywali stanowisko jego strony. Ksantyppos nie był pewien, czy uczynił wystarczająco dużo, aby dzisiaj zwyciężyć. Po raz pierwszy od dnia, w którym rzucił oskarżenie, stanęło mu przed oczami widmo porażki i jej konsekwencji.

Jeżeli Miltiades wyjdzie cało z opresji, bez wątplenia zostanie jego wrogiem, i to bardzo niebezpiecznym. Kimon co chwilę rzucał Ksantypposowi spojrzenia pełne ognia i złości. On jednak nie zamierzał się wycofać, nawet jeśli sąd przedstawi mu taką propozycję. Od czasu bitwy pod Maratonem Miltiades cieszący się swobodą był mu niczym kamień w sandale, rana, która nie chce się zagoić. Był pewien swoich racji. Zdrada Miltiadesa była tak wyraźna, jakby ktoś wyrzeźbił ją w kamieniu.

Głosowanie się zaczęło, kiedy dzwony w mieście obwieściły południe. Połowa Ateńczyków wracała wtedy do domów na lekki posiłek, a druga połowa kierowała się ku gimnazjom, aby skorzystać z masażu i posilić się przy ulicznych straganach. Także sędziowie zaczęli odczuwać pierwszy głód. Wszyscy byli szczupli i zapewne nie lubili zakłóceń w codziennym rytmie życia. Ksantyppos obserwował, jak wybierają brązowe pręty i wciskają je w krążek,

starannie ukrywając za pomocą kciuka i palca wskazującego, czy zdecydowali się na wydrażony czy też zaślepiony pręt. Wcześniej uzgodniono, że użycie zaślepionego oznacza uznanie oskarżonego za winnego.

Przysięgli po kolei, przez cały czas bacznie obserwowani, wrzucali małe kraszki do jednego koszyka, a pręty do drugiego. W głosowaniu wybrano także sędziów, którzy mieli policzyć głosy, jak i tych, których zadaniem było nadzorowanie przebiegu głosowania i potwierdzenie jego ważności. W całym procesie nie mogło być miejsca na nieprawidłowości ani korupcję, bo przecież zdecydowano o życiu człowieka.

Ksantyppos poczuł, że w końcu opuszcza go napięcie.

– Już niedługo – powiedział do Epikleosa.

Policzenie czterystu głosów nie wymagało wiele czasu. Kilku sędziów spróbowało pochwycić spojrzenie stratega. Wyczuwał ich natarczywy wzrok, lecz nie patrzył w ich kierunku. Nie chciał zgadywać wyniku. Epikleos z kolei uważnie przyglądał się poszczególnym sędziom. Ogromnie spięty, starał się wyczuć ich decyzje.

Ksantyppos skorzystał z chwili, żeby podziękować świadkom czekającym na wyrok z wielkim niepokojem. Zarówno trierarcha, jak i hoplita powiedzieli przed sądem jedynie prawdę, złożywszy uprzednio przysięgę wobec bogów. Za uczciwość nie powinna ich spotkać żadna kara. Ale rzeczywistość była nieprzewidywalna i zależała tylko od ludzi. Obaj byli bardzo dzielnymi, nieustraszonymi wojownikami. Nie bez znaczenia było też to, że pochodzili z rodzin, którym nie groziło nagłe ubóstwo, gdyby o ich losie miał zdecydować Miltiades i jego poplecznicy.

Strateg zmarszczył czoło, kiedy o tym pomyślał. Powszechną praktyką było, że niewolników – zanim mogli stanąć przed sądem jako świadkowie – najpierw poddawano torturom. Jedynie tortury mogły zmusić do szczerych zeznań osoby, których jedynym zadaniem była służba konkretnemu domowi i konkretnej rodzinie. On nie wezwał na proces Miltiadesa żadnego niewolnika. Zastanawiał się nad wezwaniem wioślarzy, zadając sobie pytanie, czy naprawdę pozostają

poza zasięgiem ludzkiej mściwości i złośliwości. Jako wolni mężczyźni, chociaż nieposiadający bogactw ani statusu, mogli zyskać przychylność sędziów o podobnej pozycji społecznej. Co więcej, ich głos miałby znaczenie dla przebiegu procesu, a on lekkomyślnie tego nie wykorzystał. Skrzywił się na tę myśl i w duchu się pomodlił, żeby własna pycha nie przyniosła mu porażki.

Głęboko oddychał, starając się uspokoić i odepchnąć czarne myśli. Głosy już policzono i teraz zapis głosowania sprawdzali z poważnymi minami urzędnicy wraz z sędzią pokoju. Nie było już odwrotu. Jak mawiają filozofowie, każdy wybór prowadzi do następnego i kolejnego, nikt jednak nie może przewidzieć ich następstw. W przeciwnym wypadku wszyscy byliby równie mądrzy jak Homer.

Sędzia pokoju skinął głową urzędnikom zgromadzenia, po czym powrócił na miejsce. Przysięgli niemal zamarli w bezruchu, czekając na ogłoszenie ich własnego werdyktu, którego w tej chwili też nie znali.

– Wynikiem dwustu sześćdziesięciu czterech głosów przeciwko stu trzydziestu sześciu orzeczenie jest niekorzystne dla Miltiadesa. Oskarżenie zostało dowiedzione. Wyrok brzmi: winny.

Zapanował rozgardiasz, gdy czterystu sędziów zaczęło albo przeklinać pod nosem, albo wiwatować i poklepywać się wzajemnie po plecach. Ich wyrok był nieodwołalny. Życie Miltiadesa zawisło na włosku.

– Dopadłeś go – powiedział Epikleos, przekrzykując zgiełk. – Okazesz mu litość?

Ksantyppos popatrzył na przyjaciela ostrym wzrokiem. Pokręcił głową.

– Zlitowałbym się nad nim, gdyby chodziło tylko o przegraną bitwę. Ale ponieważ przyjął perskie srebro, nie mam dla niego litości. On sprzedał wszystkich Ateńczyków, także moją żonę i dzieci. Dlatego jego los jest przesądzony.

Ostatnią część procesu stanowiła subtelna gra, której stawką był wymiar kary. Po tym, jak przysięgli uznali podsądnego za winnego, strona skarżąca i obrona miały obowiązek przedstawić, nie porozumiewając się, swoje propozycje w tej kwestii. Sędziowie z kolei wybierali jedną z nich poprzez podniesienie rąk.

Ksantyppos przygryzł wargę, zastanawiając się, jak postąpić. Zbytńia surowość z jego strony mogła sprawić, że sędziowie skłonią się ku propozycji obrońców Miltiadesa. Oczywiście obrona miała identyczny problem. Gdyby Miltiades wskazał dla siebie zbyt lekką karę, sędziowie mogli się przychylić do znacznie surowszej propozycji oskarżenia. Mężczyźni uwielbiają widok krwi; między innymi dlatego Ksantyppos stał teraz na lepszej pozycji.

Kiedy sędzia pokoju skończył kolejną naradę i spojrzał na niego, strateg już się nie wahał.

– Za nieposkromioną pychę, za śmierć tysięcy ludzi, za utratę floty karą dla Miltiadesa musi być śmierć. Chcę mu jednak okazać litość w sposobie jej zadania, proponuję więc, żeby odebrano mu życie jednym ciosem noża, a ciało oddano rodzinie w celu godnego pochówku.

Wśród sędziów rozległ się szmer aprobaty, wielu pokiwało głowami. Ksantyppos uniknął pułapki, jaką mogłoby się okazać żądanie, aby z Miltiadesem skończono w okrutny sposób, na przykład przez zachłostanie na śmierć albo przez powieszenie go na tarczy na murze miejskim, aby wysoka temperatura i pragnienie odbierały mu życie powoli, przez wiele dni.

Usiadł, a po chwili archont z trudem podniósł się ze swego miejsca. Od początku procesu pobladł, chociaż wydawało się to już niemożliwe. Na kamieniach u jego stóp utworzyły się ciemne plamy w miejscach, gdzie krople potu spłynęły z jego policzków i czubka nosa. Przez długą chwilę zmagał się ze słabością i zdawało się, że nie zdoła utrzymać się na nogach. Przywołał do siebie syna i przez chwilę szeptał mu coś gwałtownie do ucha. Kimon o coś zapytał, ale w końcu pokiwał głową i na moment zacisnął usta. Wreszcie się odezwał:

– Z uwagi na oddaną służbę mojego ojca dla miasta prosimy o karę trzymiesięcznego więzienia oraz o grzywnę... w wysokości pięćdziesięciu talentów.

Ksantyppos poczuł skurcz w gardle. Był wstrząśnięty. Jeden talent srebra stanowił równowartość sześciu tysięcy drachm, tyle prosty robotnik zarabiał w dziesięć lat. Pięćdziesiąt talentów musiało zaszokować sędziów i skłonić ich

do poważnego rozważenia oferty. W Atenach stało dziesięć tysięcy domów. Gdyby zatwierdzono grzywnę w tej wysokości, każde domostwo mogłoby otrzymać równowartość dwutygodniowych zarobków. Ksantypposowi zamarło serce. Za tę kwotę można by też kupić okręty, które przynajmniej częściowo zastąpiłyby flotę utraconą przez Miltiadesa. Zarazem dowiedział on, że jego rodzina wciąż jest bogata i ma się dobrze. Jego propozycja, uwzględniająca także krótkie uwięzienie, aby usatysfakcjonować najbardziej nieprzejednanych krytyków, była starannie przemyślana. Ksantyppos nie musiał nawet wymieniać spojrzeń z Epikleosem, aby zrozumieć, że Miltiades ocali życie.

Drugie głosowanie przebiegło sprawnie. Sędziowie zaakceptowali wysoką grzywnę i czas, jaki archont miał spędzić w więzieniu. Wyrokiem zachwycony był w szczególności sędzia pokoju, który posyłał przysięgłym promienne uśmiechy. Po jego krótkim oficjalnym przemówieniu proces zakończono. Każdy z sędziów otrzymał żeton, który za całodzienną pracę mógł wymienić na pięć oboli o wartości jednej szóstej drachmy każdy.

Zdaniem Ksantypposa możliwość obserwowania wydarzeń, które tego dnia rozegrały się na skale Aresa, była dla nich i tak wystarczającą zapłatą. Teraz śpieszyli do domów, aby opowiedzieć żonom i znajomym o szczegółach procesu. Pochwycił ostre spojrzenie Epikleosa i odwrócił się, akurat gdy stanął obok niego syn Miltiadesa. W jednej chwili zrozumiał, że od dzisiaj ma w nim nie tylko nieprzejednanego wroga, ale też groźnego przeciwnika. Epikleos na wszelki wypadek ustawił się tak, żeby móc zablokować nagły atak, chociaż żaden z nich nie bał się młokosa, mimo że Kimon miał naprawdę szerokie ramiona.

– Pięćdziesiąt talentów – odezwał się strateg. – Niewiele rodów w Atenach może sobie pozwolić na taki wydatek.

Chłopak wzruszył ramionami i lekko wydał usta. Stał przed Ksantypposem i patrzył na niego z nienawiścią, zaciśnięte pięści oparłszy na biodrach. Wielu przyglądało się tej scenie: zastanawiali się, czy dojdzie do bijatyki, czy też zaczną się jedynie obrzucać inwektywami. Takie rzeczy przecież się tutaj zdarzały. Epikleos gestem przywołał najbliższego łucznika.

– Za życie ojca? – rzucił Kimon. – To miał być mój spadek, ale chętnie go poświęcę.

– Proces się zakończył – zwrócił się do niego Epikleos. – Miltiades wydobreje w celi. Kiedy wyjdzie na wolność, będzie już zdrowy i silny. Życzę ci dobrego dnia, Kimonie. Opiekuj się ojcem.

– Nie mów mi, co mam robić – odburknął młodzieniec.

Ksantyppos pomyślał, że chłopak może zaraz eksplodować, i spiął się w sobie, gotów do odparcia ataku. Ale niespodziewanie stanęli między nimi uzbrojeni Scytyjczycy. Stanowczo nakazali wszystkim opuścić skałę i wrócić do swoich zajęć. Chwila napięcia minęła w hałasie i tupocie stóp. Strateg jeszcze przez chwilę obserwował, jak towarzysze Miltiadesa pomagają mu zejść krok po kroku. Powłóczący nogami ojciec mocno obejmował ramieniem barki syna. Ksantyppos nadal nie ruszał się z miejsca.

– Synowskie oddanie stanowi ujmujący widok – odezwał się Epikleos. – Cóż, wywalczyłeś dla miasta pięćdziesiąt talentów, Ksan. Może nie tego pragnąłeś, lecz w pewnym sensie osiągnąłeś sprawiedliwość.

Zmusił się do uśmiechu. Otaczali go łucznicy z coraz bardziej zaciętymi minami, nie ośmielali się jednak tknąć weterana spod Maratonu.

– Mam ochotę na posiłek, na dojrzałe figi, a może i kilka sardeli. W każdym razie coś lekkiego, bo żołądek wciąż mam ściśnięty – stwierdził.

Przyjaciel poklepał go po ramieniu.

– Powinieneś pójść do domu, porozmawiać z Agarystą. – Niespodziewanie dostrzegł na jego twarzy ponury grymas. Pomyślał, aby spotkać się z żoną, najwyraźniej wcale mu nie odpowiadała. Epikleos nie rozumiał przyczyny, nie wiedział przecież o wydarzeniach ostatniej nocy. – Ksan, wygrałeś! Przecież ona zechce to od ciebie usłyszeć!

Kiedy ruszyli, Ksantyppos zacisnął szczęki w dziwnym uporze. Epikleos przez chwilę go obserwował, po czym ciężko westchnął z rezygnacją. Nie zamierzał go o nic pytać. Lubił młodą kobietę, którą poślubił przyjaciel. Musiał jednak trochę

odczekać, zanim ten postanowi mu wyjaśnić, co zaszło pomiędzy nim a małżonką.

– Widziałeś, dokąd poszedł Temistokles? – zapytał strateg.

Jego towarzysz pokręcił głową. Areopag powoli zostawał za ich plecami. Szli ulicą prowadzącą na agorę, gdzie kierowali się też teraz wszyscy sędziowie przysięgli, aby kupić coś do jedzenia i podyskutować o dzisiejszych procesach.

– Nie wyglądał na zbytnio zadowolonego, chociaż część srebra zostanie przeznaczona na wypłaty dla załóg kolejnych okrętów, które zbudujemy. Powinien więc się cieszyć. A poza tym Miltiades nie jest już ulubionym synem eklezji. Jego gwiazda spadła z nieba wraz z klęską na Paros, odniesionymi ciężkimi ranami, procesem. Nie stanowi zagrożenia dla Temistoklesa.

– Myślisz, że właśnie dlatego go oskarżyłem? Żeby przysłużyć się Temistoklesowi? – zapytał Ksantyppos. – Przecież ci powiedziałem: nie byłem i nie jestem mu nic winien.

Przyjaciel wolał wzruszyć ramionami, niż kontynuować tę wymianę zdań, chociaż podejrzewał, że prawda nie jest taka prosta. Motywacje ludzkie rzadko bywają nieskomplikowane, bo przecież ludzie nie są nieskomplikowanymi istotami. Ksantyppos był wyraźnie z czegoś niezadowolony. Wreszcie przystanął na skraju agory i odezwał się:

– Idź dalej beze mnie, dobrze?

– Ksan, nie sugerowałem, że jesteś jednym z jego ludzi... – zaczął Epikleos.

– Nie. Masz rację. Już od długiego czasu nie widziałem się z Agarystą. Muszę pójść do niej i do dzieci.

Kiedy był w takim nastroju, dyskusowanie z nim nie miało sensu. Epikleos wiedział, że jego przyjaciel potrzebuje teraz absolutnego spokoju, dlatego jedynie pokiwał głową. Podali sobie dłonie, a mocny uścisk w subtelny sposób potwierdził ich zażyłość. Epikleos obserwował jeszcze, jak towarzysz kieruje się na rynek, gdzie pachniały smażone ryby i pasta z oliwek.

18

Ksantyppos szedł drogą prowadzącą do jego posiadłości poza murami miasta. Czuł, jak powoli rozluźniają mu się mięśnie. Kolano wydawało się mocne i prawie wcale nie bolało. Nikt się za nim nie oglądał, a przynajmniej niczego takiego nie dostrzegł. Wtopił się w tłum handlarzy śpieszących z miasta i do miasta, zgubił się pomiędzy ludźmi pragnącymi sprzedawać swoje towary albo ubiegać się o obywatelstwo. Ateny z mocy prawa nadawały je dzieciom osób, które już je posiadały. Jeśli chociaż jedno z rodziców urodziło się w mieście, nie miało znaczenia, w którą stronę świata i w jakim celu wyruszali ich synowie i córki. Zawsze mogli wrócić. Od chwili zagrożenia perskim atakiem w Jonii do Aten powracało mnóstwo rodzin, które w porcie schodziły z pokładów statków z dobytkiem mieszczącym się w jednym worku na plecach. W mieście ludzie rozpoczynali nowe, lepsze życie albo głodowali i popadali w niewolę. Wielu już przed upływem roku służyło panom, dla tych jednak, którzy wykazywali się umiejętnościami i potrafili ciężko pracować, nie było lepszego miejsca na świecie.

Załomotał w żelazną bramę i czekał cierpliwie, podczas gdy któryś ze służących jego żony uważnie lustrował go wzrokiem przez okienko. Dwaj niewolnicy wspięli się na mur, uważnymi spojrzeniami omietli ulicę i dopiero wtedy brama stanęła przed nim otworem. Był to nadmiar ostrożności, chociaż nastroje w mieście były niespokojne. Stanowiły mieszaninę złości lub frustracji i strachu.

Agarysta wybiegła z domu, kiedy usłyszała, że wrócił jej mąż. Ukazała się mu w białej sukience obszytej szeroką zieloną wstążką. Wyglądała, jakby owinął się wokół niej długi wąż. Miała dwadzieścia pięć lat, jej skóra była gładka, niepoprzecinana zmarszczkami. Na jej twarzy malował się jednak strach: obawiała się, co może usłyszeć od Ksantypposa. Odkąd przed trzema dniami znalazł ją całą we krwi, nie zamienili ani słowa.

– Dziękuję, że wróciłeś, Ksan – powiedziała drżącym głosem. – Czy proces przebiegł po twojej myśli?

– Zakładam, że już cię o tym poinformowano.

Dostrzegł w jej oczach iskierki złości. Przechyliła głowę i przygryzła dolną wargę, jakby chciała zatrzymać słowa cisnące się jej na usta. Po chwili się odezwała:

– Wciąż jesteś na mnie zły? Dlatego tak się zachowujesz? A może chcesz się ze mną rozwieść? Albo zmusić mnie, żebym przebywała tu zupełnie sama, kiedy ciebie będzie trawić gniew i będziesz mnie z tego powodu unikać? Przepraszam! Ile razy chcesz to jeszcze usłyszeć? Przeczytałeś list, który ci wysłałam? – Ksantyppos pokręcił głową, a jego żona z irytacją wyrzuciła w górę ręce. – Przeprosiłam cię także w nim, lecz nie mogę cofnąć tego, co się wydarzyło. To niemożliwe.

Ujął Agarystę pod rękę, pociągnął ją gwałtownie do pokoju, ignorując jej cichy jęk, i kopniakiem zatrzaskał drzwi wychodzące na perystyl i zielony ogród. Oczywiście zaraz za nimi zgromadzą się niewolnicy. Bez wątplenia Manias wymyśli jakiś pretekst, żeby zapukać i upewnić się, czy pani na pewno nie życzy sobie teraz jego obecności. Na razie jednak znaleźli się w zamkniętym pomieszczeniu zupełnie sami.

Puścił ramię żony. Nie odsunęła się od niego, tylko zaczęła masować miejsce, gdzie przed chwilą zaciskały się jego palce. Zobaczył ślady na jej przedramieniu. Zdał sobie sprawę, że w oczach Agarysty czai się strach. Niemal drżała, niczym chłopak na chwilę przed pierwszą bitwą. On natomiast starał się panować nad trawiącą go złością.

– A więc byłaś w ciąży? – zapytał. – Chyba dlatego wypilaś ten wywar.

Pokiwała głową. Miała szeroko otwarte oczy. Milczała.

– Pozbawiłaś mnie dziecka – kontynuował. – Może kolejnego syna? I niemal postradałaś życie. Masz pojęcie, jak niewiele brakowało, żebym cię stracił? I z jakiego powodu? Czy tak trudno być matką moich dzieci? Urodzić jeszcze jedno? Nie potrafię tego pojąć!

– Nie wiesz, jak to jest – odpowiedziała cicho. – Zostać zapłodnioną, a potem pęcznieć z dzieckiem w brzuchu. Przeżyłam to już trzy razy! Dałam ci dwóch synów i córkę. Wystarczy. Każde z nich mi dokuczało, rozrywało mnie. Nie masz pojęcia, jakie to cierpienie. Całymi miesiącami wymiotowałam tak gwałtownie, że moja skóra pokryła się krwawymi cętkami. Przetrwałam jednak to wszystko. Urodziłam troje, posłuszna, uległa. Czy tak ciężko ci zrozumieć, że przez najbliższy rok albo przez dwa czy trzy lata nie chcę przechodzić przez to ponownie? Że chcę wychowywać te dzieci, które już mam? Że nie chcę, żeby moje piersi znowu nabrzmiały mlekiem, żeby bezustannie bolały mnie plecy ani żeby ciąża rozciągała mój brzuch? Ja już wypełniłam mój obowiązek.

– Masz pewność, że byłaś w ciąży? – wyszeptał Ksantyppos, utkwivszy wzrok w jej zaokrąglonym podbrzuszu.

Agarysta pokiwała głową, zarazem gniewna i wystraszona.

– Gdybyś mi powiedziała, wynająłbym kobietę, żeby urodziła kolejne dzieci. Nawet Epikleos ma...

– Nie byłyby twoimi spadkobiercami – przerwała mu. – Albo walczyłyby z Aryfronem i Peryklosem o spuściznę po tobie. Albo zapragnąłbyś mnie odsunąć i poślubić tę kobietę! Jakże mogłabym przystać na coś takiego? – Zaczęła płakać, po jej policzkach toczyły się łzy. – Żałuję tego, Ksan. Żałuję tego, co zrobiłam. Ja tylko potrzebowałam roku lub dwóch lat wolności od rodzenia dzieci. Piłam ten napar już dziesięć razy i jeszcze mocniej krwawiłam... Proszę, nie patrz na mnie w taki sposób.

– Zastanawiam się, ile moich dzieci zamordowałaś w ten sposób. Wracam do miasta, Agarysto. Chybabym cię zabił, gdybym teraz został.

– Proszę cię, nie odchodź. Po prostu zostań w domu i rozmawiaj ze mną. Przepraszam cię, Ksan.

Spróbowała go objąć, lecz odepchnął ją, i to bardziej gwałtownie, niż zamierzał. Kobieta zawadziła o stół, a Ksantyppos natychmiast usłyszał za plecami pukanie do drzwi. Zapanował nad sobą. Przecież nie był już młodzieńcem, którym mogą władać namiętności. Odwrócił się, otworzył drzwi i zobaczył Maniasa. Niewolnik stał w progu z wiklinowym koszykiem i z niepokojem wyglądał ponad jego ramieniem.

– Pani prosiła, żebym przyniósł owoce – powiedział.

Ksantyppos skwitował kłamstwo skinieniem głowy. Wyjął z koszyka pomarańczę, powąchał ją, głęboko wciągając powietrze.

– Doskonale – rzucił. – Właśnie wychodzę.

Nie obejrzał się, chociaż odchodząc, słyszał rozpaczliwy płacz Agarysty.

* * *

Ksantyppos przebudził się gwałtownie i zaspanymi oczami rozejrzał po wąskim pokoju. Przebywał w swoim miejskim domu stojącym w cieniu Akropolu. Czyżby ktoś pukał do drzwi? Ale przecież zareagowałiby niewolnicy. Czuł się świeży i wypoczęty, a więc spał już dość długo. Dom służył mu przez lata, kiedy nie chciał wracać na noc do żony i razem z przyjaciółmi spędzał całe noce na rozmowach, żartach i popijawach, by w końcu paść bez sił na posłanie i głośno chrapać jeszcze przez długie godziny po świcie. Tymczasem ostatniej nocy w ogóle nie tknął wina. Niewolnicy wyczuli odmienność w jego zachowaniu. Trzymał ich tutaj zaledwie sześciu, a wszyscy mieli zdumienie w oczach, kiedy poprosił o lekki posiłek i zażądał, aby przewietrzono i przygotowano dla niego pokój na noc.

Postanowił wybaczyć Agaryście. Jej łzy go poruszyły, mimo że czuł wielki gniew. Poza tym nie mógł lekceważyć żony. Jej rodzina mogłaby mocno dać mu się we znaki, gdyby się okazało, że źle ją traktuje. Nawet jako jeden

z *marathonomachoi* nie miał aż takiej pozycji, by jej krewni nie mogli go wygnać na ulicę. Ojciec Agarysty był poważnym, napuszonym starcem, który chyba wciąż uważał, że jego córka mogła znaleźć sobie lepszą partię.

Ksantyppos westchnął, kiedy pukanie do drzwi w przedsiionku się powtórzyło. Usłyszał jakieś głosy. Czyżby przyszedł Epikleos? Prawdopodobnie. Znowu pomyślał o żonie. Jej płacz i uroda wywoływały w nim współczucie. Co więcej, także pożądanie, chociaż mieszało się ono z bólem. Czy będzie mógł jej zaufać, że nie zamorduje już żadnego dziecka, które on spłodzi? Ilekroć w przeszłości się kłócili, godzili się w łóżku. Czasami było to tak, jakby wielka zaporą pękała po dniach nieporozumień i napięcia. Ale teraz nie potrafił znieść myśli, że mógłby napełnić żonę nasieniem, które ona świadomie z siebie usunie. Była to tak okropna wizja, że kiedy przywędrowała mu do głowy, aż się skrzywił ze złości.

– Czego oni ode mnie chcą? – mruknął niechętnie.

Usłyszał kroki na schodach i wstał z łóżka zupełnie nagi. Sięgnął po świeżą szatę, którą przygotowali dla niego niewolnicy. Ziewnął i podrapał się po policzku. Wyczuł pod palcami twardą szczecinę. Uznał, że musi pójść do golibrody, a potem do gimnazjonu. Dopiero wtedy poczuje się naprawdę świeży i sprawny.

Do pokoju wszedł Epikleos. Wyraz jego twarzy odebrał Ksantypposowi ochotę na serdeczne powitanie.

– Słyszałeś już? – zapytał.

Było jasne, że Ksantyppos nie ma pojęcia, z jaką wiadomością przychodzi przyjaciel, ten więc kontynuował:

– Miltiades nie żyje. Po pierwszej nocy, którą spędził w więziennej celi. Znalaziono go sztywnego i zimnego mniej więcej przed godziną. Lekarze mówią, że serce nie wytrzymało. Taką diagnozę usłyszał Kimon.

– Z powodu ran? Gorączki?

– Być może. Oczywiście wpływ na to na pewno miał ogólny stan jego zdrowia. Uwięzienie i konieczność zapłacenia ogromnej grzywny, dotkliwej

nawet dla bardzo bogatej rodziny, zapewne także się do tego przyczyniły. Temistokles zaproponował, że wygłosi mowę na pogrzebie.

– Jakże by inaczej. – Ksantyppos westchnął i podrapał się po brodzie w zamyśleniu.

Epikleos obserwował go czujnie.

– Skąd wiedziałeś, że tutaj jestem? – zapytał nagle przyjaciel.

– Nie wiedziałem. Najpierw poszedłem do waszej posiadłości. Agarysta była... bardzo smutna. Powiedziała, że na pewno znajdę cię tutaj, więc wróciłem do miasta. Rozumiem, że sprawy między wami wciąż nie mają się najlepiej.

– Jeszcze nie, przyjacielu. Ale to zbyt poważne, żebym chciał o tym rozmawiać, przynajmniej na razie.

Wręcz przerażała go myśl, że mógłby dzielić się z kimkolwiek intymnymi szczegółami dotyczącymi jego małżeństwa. Wydawało mu się, że taka wiedza dawałaby powiernikom przewagę nad nim. Na szczęście Epikleos znał go na tyle dobrze, że w tej chwili nie spodziewał się żadnych zwierzeń.

– Jeśli chodzi o Miltiadesa, myślę... chyba jestem zadowolony! – stwierdził Ksantyppos. – Żądałem dla niego kary śmierci... i mam, czego chciałem. Zaoferował ogromne odszkodowanie dla miasta i wciąż będziemy się go domagać. Możemy żądać, żeby rodzina zapłaciła tę grzywnę?

Epikleos pokiwał głową.

– Jeżeli Kimon nie chce zostać wygnany z miasta, zapłaci. Chociaż sędzę, że w zestawieniu z tak wielkim wydatkiem wygnanie wcale nie byłoby najgorsze. Wyobrażam sobie, że nie będzie miał ochoty płacić, nie zna jednak wszystkich spraw swojego ojca, a Miltiades kosztował miasto setki tysięcy drachm. Ten dług musi zostać spłacony. – Popatrzył na przyjaciela. Dostrzegł w jego oczach rozbawienie. – Ksantypposie, kiedy opuścisz dzisiaj ten dom, powinieneś przybrać jak najbardziej poważną minę. Stronnicy Miltiadesa będą chcieli zobaczyć, czy się przypadkiem nie radujesz. Nie ściągaj na siebie ich złości, przyjacielu.

– Och, zrobię grobową minę. Będę surowy i dostojny – odparł, lecz jego oczy wręcz skrzyły się radością. – Bogowie naprawdę bywają kapryśni. Dzisiaj uśmiechnęli się do mnie. – Wydobył z gardła okrzyk zadowolenia, całkowicie zaskakując Epikleosa, który jednak też nieznacznie się uśmiechnął. Z kolei gospodarz wyrzucił pięść w powietrze, a drugą rękę przycisnął do ust, po czym się roześmiał. – Już nie okażę więcej radości, przysięgam. Koniec z tym. Pójdiesz ze mną do gimnazjonu? Zakładam, że jeszcze rano odbędzie się posiedzenie eklezji, jeżeli wieści będą się rozchodzić odpowiednio szybko. Do tego czasu chcę być czysty oraz najedzony.

– Zdążyłem już kupić trochę chleba i wina – powiedział Epikleos. – Wykąp się, a ja tymczasem wyjdę do miasta i sprawdzę, jakie panują nastroje. Znajdziesz mnie na Pnyksie.

19

Kimon kołysał się nad zwłokami ojca. W połowie pusty skórzany bukłak z winem zwisał mu z ręki niczym zaszlachtowane jagnię. Młodzieniec cuchnął kwaśnym winem i przed chwilą wymiotował, dlatego w małym pomieszczeniu unosiła się silna woń. Przebywał tu już długo, wciąż wpatrując się w martwe ciało. Nikt nie ośmielał się mu przeszkadzać. Na zewnątrz mieszkańcy posiadłości stali w ciszy przerywanej tylko nieśmiałymi szeptami. Wszyscy czekali, aż syn Miltiadesa się z nim pożegna. Przerwanie mu czuwania przy zwłokach nie wchodziło w grę.

Martwy Miltiades ani odrobinę nie przypominał siebie za życia. Kimon słyszał, że czasami ludzie po śmierci wyglądają tak, jakby właśnie zasnęli, jakby po prostu udawszy się na spoczynek, wydali ostatnie tchnienie. Miltiades nie zaznał jednak spokoju w ostatnich chwilach życia. Odseparowany od rodziny i przyjaciół, samotny w zamkniętej celi, odszedł z tego świata w delirium i w bólu.

Kimon zapragnął dotknąć jego zimnej ręki, która kiedyś czule go dotykała, mierzwiła mu włosy. Już nigdy nie usłyszy głosu ojca, jak go chwali lub gani, nie usłyszy z jego ust ani jednego słowa. Niedawno przyszedł kapłan Hadesa, aby pobłogosławić Miltiadesa i bezpiecznie wysłać jego duszę do swojego pana. Czekał teraz w drzwiach, coraz bardziej zniecierpliwiony. Może był już świadkiem zbyt wielu śmierci, aby współczuć synowi rozpaczającemu po stracie ojca. Rybakom obojętne są ryby, które łowią, Kimon o tym wiedział. Lekko otarł się o kapłana, kiedy ten w końcu podszedł do zwłok. Mężczyzna bardzo uważał,

żeby się z nim nie zderzyć. Nie chciał, żeby niepanujący nad sobą chłopak przyparł go do ściany. Kiedy tego pił, bywał nieustępliwy i nieobliczalny.

Świątynia Ateny na Akropolu dla uhonorowania Miltiadesa przysłała najwyższą kapłankę. Ona także nie zamierzała wchodzić w drogę Kimonowi. Kobieta w średnim wieku w ręku trzymała berło i gałązkę zielonych oliwek. Kiedy kapłan się pochylił i zaczął mamrotać pod nosem modlitwy, energicznie pokręciła głową. Matka Kimona i jej siostry także już przyszły, ich zadaniem było umycie i przygotowanie zwłok. Wszystkie kobiety stały w zbitej gromadce, poważne i milczące, niczym aktorzy przed występem.

Częściowo właśnie z ich powodu Kimon tak długo nie ruszał się znad ciała ojca, który uważał jego ciotki za kobiety niesympatyczne i irytujące. To, że właśnie one miały myć jego ciało, że mogły patrzeć na niego, gdy nie mógł już ich przegonić ani obronić się przed ich ostrymi spojrzeniami i jeszcze ostrzejszymi myślami... właśnie to trzymało Kimona na miejscu. Strzegł Miltiadesa po śmierci, starając się mu wynagrodzić, że nie potrafił go ochronić za życia.

Rozwiązawszy bukłak, wlał sobie do gardła trochę wina. Nieco trunku pociekło mu po piersiach. Czknął, czując, jak smutek unosi się w nim i opada, jakby on sam był brzegiem, a żałoba wielką falą. Chwilami zaś nic już nie czuł, patrząc na ciemnożółtą woskową twarz zmarłego i widząc tylko śmierć, a nie ojca, który nauczył go posługiwać się łukiem i mieczem oraz mówił mu o powinnościach mężczyzny. Miltiades odniósł triumf pod Maratonem, ocalił miasto przed Persami. Każdy chłopiec uważał go za bohatera. I naprawdę był bohaterem Aten.

– Wszyscy cię wtedy kochali – powiedział cichym, łamiącym się głosem.

Przypomniał sobie o obowiązku, który wskazał mu kapłan. Pokręcił głową. Nie będzie płakał, przynajmniej nie w obecności tych wszystkich osób, które obserwują go teraz spod opuszczonych rzęs. Bo natychmiast rozniosą po całych Atenach, że syn wielkiego wodza szlochał jak kobieta. Nie, nie da im tej satysfakcji. Wiedział, że gdy ciało archonta wystawione zostanie na widok

publiczny i potem, w trakcie wieczornej procesji pogrzebowej na miejsce pochówku na wielkim cmentarzu za murami miasta, przez cały czas będzie obserwowany. Był teraz głową rodziny i następcą wielkiego Ateńczyka.

Znów wypił spory łyk wina i niemal się zachłysnął. Był jak ryba pływająca w winie; ta myśl sprawiła, że zaczął się krztusić i kaszleć. Musiał się przytrzymać marmurowego katafalku, dopóki gwałtowny kaszel nie minął. Żołądek miał pełen gorzkiej żółci, która po tym ataku zaplamiła przód jego chitonu. Poczł smród wymiocin i przyszło mu do głowy, że zachowuje się niegodnie. Odepchnął jednak od siebie tę myśl i znowu uniósł bukłak do ust. Wino trochę łagodziło ogromny ból, dlatego nawet nie próbował przerywać picia.

Po dłuższej chwili poklepał dłoń ojca, na moment ją uściskał, chociaż pod wpływem tego dotyku aż ciarki przebiegły mu po plecach. Ręka Miltiadesa była zimna i sztywna. Kimon zadrżał, zdawszy sobie sprawę, że trzyma ją w dłoni po raz ostatni.

– Jesteś bohaterem Aten, ojcze – dodał. – Dopilnuję, żebyś na zawsze nim pozostał.

Pomyślał, że niezłomny wódz spod Maratonu nigdy nie utraci swojej wielkości i we wspomnieniach wszystkich pozostanie wspaniałym wojownikiem. Człł jednak odór jego gnijącej nogi, także po śmierci spuchniętej i zaczerwienionej, poznaczonej purpurowymi nacięciami. Pod opatrunkami w ranach wezbrała ropa, mimo że uzdrowiacze robili wszystko, aby wypływała z nich krew, i przykładali do nich bandaże maczane w miodzie. Czasami bogowie upokarzali nawet najsilniejszych mężów. Hades z taką samą ochotą przyjmował w podziemnym świecie zarówno wielkich, jak i małych ludzi. Na końcu każdy nieodwołalnie musiał przekroczyć rzekę.

Ta myśl zdenerwowała Kimona i zaczął przetrząsać szatę w poszukiwaniu złotej monety z wizerunkiem perskiego łuczника wybitym w miękkim metalu. Znalazłszy ją, otworzył ojcu usta i wsunął pieniążek pod policzek. Drgnął, kiedy wydał nieprzyjemny dźwięk, otarłszy się o zęby. Poczł napływające do oczu łzy, kiedy z trudem zamknął usta zmarłego, a one powoli znowu się otworzyły. To

zjawisko wytrącało z równowagi, chociaż Kimon doskonale wiedział, że zmarli potrafią także czkać i drgać. Ojciec opowiadał mu o zabitych w walce, którzy po wielu godzinach niespodziewanie siadali, przerażając wszystkich świadków. Życie wciąż desperacko trzymało się ich ciał.

Przycisnął dłoń do ust ojca i długo ją przytrzymał, co wyglądało tak, jakby chciał go po śmierci udusić. Jednocześnie łkał bezgłośnie i krztusił się, jakby w gardle utkwiała kość. Kiedy oderwał rękę, szczęki Miltiadesa znowu się rozchyliły. Cofnął się wtedy i przez jakiś czas ciężko oddychał. Wreszcie się uspokoił. Musiał zachować godność, płacze i lamenty były rolą kobiet. On musiał być chłodny i poważny, mimo że w jego żyłach krew mieszała się z winem i wiedział, że wkrótce znowu wymiotuje.

Pomyślał o współczuciu, które będzie widoczne na wszystkich twarzach w jego otoczeniu przez najbliższe dni, dopóki ojciec nie spocznie w rodzinnym grobowcu. Oczywiście na pogrzeb nie przyjdzie oskarżyciel ojca. Ksantyppos nie ośmieli się uczestniczyć w procesji żałobnej. Myśl o tym człowieku sprawiła, że mocno zacisnął szczęki. Jeżeli tamten chociaż się zbliży, poleje się krew. Tego będzie wymagać honor...

Wśród powitań, kondolencji i podziękowań, które dobiegały z zewnątrz, wyłowił głos Temistoklesa. Następnie rozległ się przyciszony głos matki, która z respektem dziękowała mu za przybycie. Kimon wyjął wargi i jeszcze raz położył dłoń na ręce ojca. Nie chciał, żeby obcy człowiek był świadkiem jego cierpienia. Popatrzył na drzwi prowadzące do ogrodów i przez chwilę rozważał, czy z nich nie skorzystać. Bardzo potrzebował świeżego powietrza, nie potrafił się jednak zdobyć na opuszczenie ojca.

– Nie zostawię cię w samotności – powiedział. – Będę przy tobie.

Z jakiegoś powodu te słowa wzmogły jego ból. Musiał stoczyć ze sobą walkę, żeby się nie załamać i nie rozbeczeć jak dziecko. Kiedy Temistokles wszedł do pokoju, wnosząc ze sobą zapach lata i powiew ciepłego powietrza, Kimon szybko otarł oczy.

– Dziękuję, że chcesz oddać cześć mojemu ojcu – odezwał się.

Wiedział, że mamrocze, pokój kołysał mu się przed oczami. Widział jednak wystarczająco wyraźnie pełną współczucia minę Temistoklesa. Mężczyzna podszedł do niego i przez długi czas obaj spoglądali na Miltiadesa.

– Był wielkim człowiekiem – powiedział przybyły. – Ocalił nas wszystkich i każdego z osobna.

Kimon pokiwał głową i poczuł, jak przepęnia go wdzięczność wobec tego człowieka. Pod wpływem impulsu podał mu bukłak i patrzył, jak Temistokles wlewa sobie wino do ust. Trwało to tak długo, że chłopak ze zdziwieniem uniósł brwi.

Wreszcie Temistokles z westchnieniem oddał mu bukłak.

– W trudnych chwilach trzeba pić – powiedział. – Chciałbym, żebyś po pogrzebie przyszedł do mojego gimnazjonu nad rzeką albo do burdelu, który ostatnio nabyłem. Obiecuję dyskrecję. Będziesz mógł w odosobnieniu oplakiwać ojca.

Kimon niezgrabnie machnął ręką.

– Mam własne miejsca odosobnienia. Jestem spadkobiercą mojego ojca. Wszystko, co do niego należało, teraz jest moje. Wszystko bez wyjątku.

– Ale... czy nadal tak będzie, kiedy zapłacisz grzywnę? – zapytał Temistokles.

Kimon popatrzył na niego podejrzliwie i jakby się skurczył, niczym bukłak opróżniony z wina. Sprawiał wrażenie, jakby w płucach zabrakło mu powietrza. Wreszcie pokiwał głową i wzruszył ramionami.

– Przygotowaliśmy już pełną kwotę. Pięćdziesiąt talentów w srebrze. Widziałeś kiedyś tyle pieniędzy? Będę musiał zawieźć je radzie całą karawaną! Trzysta tysięcy drachm! I za co? Za jeden dzień życia? Może jednak nie zapłacę?

– Zapłacisz – odparł Temistokles łagodnie. – Te drachmy kupiły twojemu ojcu honorową śmierć. Uniknął ciosu noża albo gorszego losu. Bogowie dali mu choć tyle. – Przez chwilę rozmyślał, po czym kontynuował: – Jeśli chcesz, przyślę dzisiaj ludzi po te pieniądze. Będziemy musieli przeliczyć je na agorze i... tak, będziemy wówczas głośno sławić Miltiadesa, aby wszyscy młodzieńcy Aten wiedzieli, że całe to srebro dostarczyła twoja rodzina.

– Tak... rzeczywiście, to by było miłe. I z pewnością zadowoliliby ducha ojca.
– Na pewno nie będziesz musiał niczego sprzedać? Hm... Miltiades był bogatszy, niż mi się wydawało.

– Ojciec prowadził wiele interesów. Pewnie się zadłużymy, ale przetrwamy...
– Kimon urwał i popatrzył na Temistoklesa. Pociągnął kolejny łyk wina i podał bukłak rozmówcy. Kiedy ten pił, młodzieniec się pochylił i wyszeptał mu do ucha: – Zabiję Ksantypposa.

Temistokles westchnął. Wymownym ruchem zakorkował bukłak i odłożył go na bok.

– Nie. Nie zabijesz. Jeśli to zrobisz, trafisz do tej samej celi, w której siedział twój ojciec. Kolejny dzień sądów przypada w następnym tygodniu. Zostałbyś zaciągnięty na Areopag, a twój los zależałby od wyniku głosowania. Ksantyppos jest znanym obywatelem. Rodzina jego żony jest zarówno bogata, jak i szanowana. Nie dałbyś rady zapłacić grzywny, która ocaliłaby ci życie. Rozumiem, że się odgrażasz, bo za dużo wypiełeś. Dlatego przyjmijmy, że niczego nie słyszałem, a nawet gdybym usłyszał, słowa wypowiedane w alkoholowym upojeniu nie mają znaczenia.

– To jego wina – odparł chłopak z pijackim uporem. – Serce ojca nie wytrzymało udreki i wstydu, jaki przyniosło mu potraktowanie go niczym pospolitego przestępcy. Nie otrząsnął się po haniebnym procesie, nie pogodził z wtrąceniem do mrocznego lochu, żeby tam zgnił! Przysięgam... – Mówił coraz głośniej, więc Temistokles podszedł bliżej i stanął pomiędzy nim a drzwiami.

Ktoś, kto w tej chwili by popatrzył, mógłby dostrzec tylko jego szerokie plecy.

– Synu, opamiętaj się. Twój głos może dotrzeć do wielu uszu, nie tylko do moich. Proszę cię. Nie mów niczego, co musiałbym powtórzyć sędziom przysięgłym. Ksantyppos... – Zamilkł, gdyż młody człowiek syknął z bólu i wściekłości na dźwięk tego imienia. – Wytoczył twojemu ojcu proces, obwiniając go o spowodowanie wielkiej straty dla Aten, o katastrofę. Świadkowie dokładnie przedstawili, na czym polegała jego wina. Nie masz powodu, żeby mścić się na Ksantypposie. On nie zasługuje na śmierć, podobnie

jak nie zasługiwał na nią twój ojciec, rozumiesz? To samo dotyczy wygnania. Wyrzucamy z miasta tych, którzy okazują Atenom arogancję i żądają dla siebie nadmiernej władzy. Z czymś takim nie mamy obecnie do czynienia i nie zdołałbyś zebrać sześciu tysięcy głosów przeciwko Ksantypoosowi. Jego imię wiele znaczy w tym mieście. Co więcej, jest on moim przyjacielem i dobrym człowiekiem, chociaż, przyznaję, zdaje się wyżej cenić Arystydesa niż mnie. Tacy ludzie są poza twoim zasięgiem, Kimonie. Musisz to zrozumieć.

– Nie rozumiem. I znajdę sposób – odparł chłopak. – To ciebie nie dotyczy. Tylko mnie i mojego ojca, który był dobrym człowiekiem. A umarł w poniżeniu i bólu, samotny, podczas gdy powinni się nim opiekować niewolnicy w jego własnym domu. Znajdę sposób...

– Zabiorę srebro do miasta w twoim imieniu – powiedział Temistokles. – Dopóki przemawia przez ciebie żal, wezmę ten ciężar na siebie. Każę zawieźć talenty do budynku rady na agorze...

– Czyli tam, gdzie zamknięto w celi ojca. I gdzie umarł – mruknął ponuro Kimon.

Temistokles opuścił głowę, jakby się modlił. Ale to były jedynie pozory.

– Tak – powiedział po chwili. – Zapamiętaj, chłopcze, twój ojciec nie płakał ani nie narzekał. Udał się do więzienia odważnie, z honorem, zachował się jak mężczyzna. Pozwól mi przemówić na pogrzebie, chciałbym go w ten sposób uhonorować.

Kimon go objął. Temistokles cierpliwie odczekał, aż młodzieniec przestanie szlochać z nosem w jego szacie.

– Twój ojciec był wielkim Ateńczykiem – odezwał się wreszcie. – Na pewno by chciał, żebyś się ożenił i miał dzieci. Nie każ mi stawiać cię przed sądem. Rozumiesz? Wszystkich nas obowiązują prawa. A twój los leży wyłącznie w twoich rękach.

Chłopak się cofnął. Miał rozognione oczy. Temistokles podał mu chustkę, którą tamten wytarł całą twarz, osuszając ją z potu i łez. W końcu pokiwał głową i Temistokles na pożegnanie poklepał go po ramieniu.

Kapłan Hadesa rozpoczął cichą rozmowę z kapłanką Ateny. Wciąż stali bez ruchu nad ciałem jednego z najznamienszych ludzi Aten.

– Temistoklesie – rzekł mężczyzna, pozdrawiając go i kłaniając się.

– Kapłanie. – Temistokles zastanawiał się, ile z jego krótkiej rozmowy z Kimonem do nich dotarło.

Za plecami przedstawicieli świątyni czekała matka chłopaka. Była raczej zaniedbaną, pośledniej urody kobietą w średnim wieku, praktycznie bez wcięcia w talii. Ubrana w prostą czarną suknię nosiła złoty naszyjnik, jakiego nie powstydziliby się żadna królowa. Rodzina Miltiadesa bez skrępowania obnosiła się ze swoim bogactwem. Temistoklesowi przemknęło przez głowę pytanie, jak wiele z tego majątku pochodziło od Persów.

– Pani. – Ukłonił się kobiecie, oddając jej honory we własnym domu. – Twój syn prosił mnie, żebym zabezpieczył talenty dla skarbcza miejskiego. Policzę monety i zatrudnię strażników, aby dopilnowali transportu.

Łkając, machnęła ręką, przyciskając do twarzy chusteczkę. Kobiety mogły okazywać żalobę otwarcie, nie uwłaczało to ich godności. W gruncie rzeczy, czekając, aż syn pożegna się z ojcem, i tak była w tej sytuacji niezwykle opanowana. Temistokles nie potrafił osądzić, czy autentycznie rozpacza po stracie męża, czy też odgrywa jakieś przedstawienie.

– Zabierz je – powiedziała po chwili, zdawszy sobie sprawę, że on czeka na jej zgodę.

Przy tak ogromnej kwocie naprawdę potrzebowal strażników, pewnie ze stu hoplitów w pełnym uzbrojeniu. Gdyby utracił pięćdziesiąt talentów, zgromadzenie już następnego dnia z pewnością skazałoby go na wygnanie, a może nawet na śmierć – to pewne.

– Dziękuję ci – odparł.

W końcu Atenom potrzebna była teraz każda moneta, nawet najdrobniejsza. Należało zbudować nową flotę, która rozbije perskie okręty, jeżeli znowu się pojawią.

Jeszcze raz skłonił głowę przed matką Kimona i wyszedł z pokoju, podążając za niewolnikiem w stronę portyku, na którego skraju, przy frontowej bramie, czekały drewniane skrzynie. Pilnowali ich ludzie, którzy służyli w domu Miltiadesa. Wycelowali w Temistoklesa włócznie i opuścili je dopiero wtedy, kiedy uzyskali potwierdzenie, że może przebywać w pobliżu skarbu.

Bacznie przez nich obserwowany, otworzył jedną ze skrzyń. Przesunął dłonią po srebrnych monetach, czując na sobie spojrzenia strażników. Może się spodziewali, że zechce ukraść tę fortunę. On jednak nie miał zamiaru zabrać dla siebie nawet jednej monety. W tej sytuacji zdecydowanie wolał postąpić tak jak Arystydes. Zachowa się godnie, dopilnuje, żeby całe srebro otrzymały Ateny i przeznaczyły je na budowę floty.

– Sprowadźcie tu urzędników i niewolników, żeby policzyli pieniądze – zarządził. – Chcę, aby to zrobiono, zanim je zabierzemy.

– Panie, monety zostały już policzone – zaprotestował jeden ze strażników.

– A jeśli dotrę do budynku rady i okaże się, że brakuje dziesięciu drachm, to co wtedy? Znajdą się ludzie, którzy pomyślą wszystko co najgorsze. O was albo o mnie. Nie, wolę osobiście nadzorować liczenie i mieć pewność, co zabieram, niż razem z wami stracić życie z powodu nędznych groszy.

Strażnik szybko zrozumiał te wątpliwości. Odłożył włócznię i pochylił się nad skrzyniami, gotów do pomocy. Temistokles poważnie pokiwał głową.

– To srebro jest świętością. Darem Miltiadesa dla Aten, jego zadośćuczynieniem za utratę okrętów i wielu dobrych ludzi. Dlatego z szacunkiem musimy policzyć monety. W przeciwnym razie przeklęte niech będą nasze dusze.

Niewolnicy, którzy zgromadzili się dookoła, w oszołomieniu i z wyraźnym strachem wysłuchali jego słów. Miał nadzieję, że ów strach odbierze im ochotę do kradzieży, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, że po zakończeniu liczenia będzie musiał rozebrać do naga i dokładnie przeszukać wszystkich, którzy znajdą się w pobliżu. Widok takiej ilości srebra naturalnie wzbudzał chciwość –

zarówno wśród niewolników, jak i wśród wolnych, tak samo u kobiet, jak i u mężczyzn.

20

Jedynie syk i trzaski płonących pochodni zakłócały ciszę. Paliły się ich tysiące, tak wiele, że na wielkiej nekropoli za murami Aten złote plamy sąsiadowały z mrocznymi cieniami. Oblewało go tyle światła, że ludzie nie mogli dostrzec gwiazd na niebie. Proponując, że przemówi na pogrzebie, Temistokles nie miał pojęcia, że zgromadzi się takie mnóstwo ludzi. Nie spodziewał się też, że przybędzie tyle młodzieży. Był przekonany, że to Kimon zaapelował do młodych Ateńczyków, aby po raz ostatni pożegnali jego ojca, i większość go posłuchała. Spoglądał na młodzieńców przechodzących pomiędzy wiekowymi grobami. Większość przyniosła ze sobą wino, bynajmniej nierozcieńczone wodą; wina było za dużo i w tych okolicznościach było ono zbyt mocne. Młodzieńcy zaczęli pić już w trakcie procesji, która wyszła z miasta przez Bramę Triazyjską i kroczyła dalej drogą wzdłuż cmentarza rozciągającego się na ogromnej przestrzeni. Pierwsze groby przylegały do murów, lecz z roku na rok kopano je coraz dalej. Domy, które kiedyś stały daleko od miasta, teraz otaczały mogiły. Nietrudno było sobie wyobrazić, że po pewnym czasie sięgną aż do brzegu morza.

Najpierw przemówił Kimon, dziękując przybyłym. Jego głos był ochrypły i napięty, co chwilę się łamał. Mowa była jednak krótka i prosta i chyba właśnie dlatego bardzo poruszająca. Temistokles musiał wziąć to pod uwagę, rozważając własne wystąpienie. Kiedy stanął nad otwartym grobem, który miał odtąd stać się domem dla owiniętego w całun ciała Miltiadesa, ludzie zastygli w cierpliwym oczekiwaniu na jego słowa. Archont miał dołączyć do rodziców i dwóch sióstr,

które zmarły młodo. Ich szczątki spoczywały niczym lalki na kamiennych półkach. Po przemowach ciało miało zostać wniesione do grobowca na barkach syna i jego przyjaciół i złożone wśród szczątków bliskich. Oczywiście tylko ciało. Dusza była już daleko stąd. Właśnie. Temistokles postanowił, że właśnie o tym wspomni na samym początku.

– Miltiades odszedł. Nie trwa już w umęczonym ciele, w którym żył przez wiele lat. Wraz z ostatnim oddechem z jego ciała uleciała dusza i w tym samym momencie znalazł wieczny spokój. Na pewno jeszcze przez chwilę spoglądał na swojego syna, żonę, na nas wszystkich. Wiem, że był dumny z Kimona. Ta duma sprawiała, że kiedy o nim mówił, głos mu drżał ze wzruszenia. Wiem, że z taką samą dumą i wzruszeniem do łez opowiadał także o Maratonie.

Tłum zareagował pełnym uznania szmerem. Temistokles popatrzył ponad głowami najbliższych stojących i najmłodszych Ateńczyków, w większości ubranych w białe lniane chitony. Niektórzy mieli odkryte ramiona. Dalej światła pochodni odbijały się w złotych zbrojach. Hoplici przybyli tu w pełnym rynsztunku jak na wojnę. Dopiero teraz ich dostrzegł.

– Podejdźcie bliżej wszyscy, którzy z nim byliście tamtego dnia – powiedział takim tonem, jakby nad grobem Miltiadesa chciał przywołać ich bohaterstwo.

Rzeczywiście na tym mu zależało. Wojownicy ruszyli do przodu jak duchy po wielkiej bitwie. Wzruszenie na chwilę odebrało mu mowę. Setki hoplitów włożyły nagolenice i napierśniki, zabrali na ostatnie pożegnanie wodza włócznie, miecze i tarcze. Ten prosty gest zaskoczył i poruszył Temistoklesa. Przetarł oczy, kilkakrotnie głęboko odetchnął i dopiero wtedy kontynuował.

– Byłem w centrum bitwy – powiedział. – Miltiades posłał nas do walki w pierwszej linii i myślałem, że nie przeżyjemy. Wrogów było zbyt wielu! Sądziłem, że wkrótce zginę! Że zbliża się koniec! Ale walczyłem ramię w ramię z moimi braćmi, z moją fyla, a przede wszystkim z Ateńczykami, Hellenami! Za nic w świecie bym ich wtedy nie opuścił! Broniliśmy Aten jak jeden mąż, a Miltiades wiedział, że wróg nas nie złamie. – Urwał na moment, żeby wziąć oddech. – Chociaż klęska była blisko... – Jego uśmiech nieco rozweselił tych,

kórzy pamiętali bitwę. Przypomniiał im chwile chwały. Oni także tam byli, razem z Temistoklesem. – Perscy łucznicy i procarze kąsali nas jak szakale. Miltiades trzymał swoje skrzydło w pogotowiu, czekając na właściwy moment, który miał zdecydować o zwycięstwie. – Znow zamilkł i wbił spojrzenie w ciemność, poza krąg światła. – I wreszcie ruszył. Walczyliśmy tak długo, aż przeciwnik się załamał. Widziałem, jak wokół mnie giną wspaniali ludzie. Każdy z nich był mi bratem, tak jak Arystydes, jak był nim Miltiades, jak Ksantyppos...

Przerwał, gdy wśród tłumu rozległy się nieprzyjazne syki. Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie, choć świadomie grał na emocjach zgromadzonych, jak lalkarz poruszający marionetkami.

– Nie, bracia, oddajcie mu cześć! Od tamtej pory świat doświadczył zimy i kolejnego lata. Być może część spośród tych, którzy wtedy walczyli, zdążyła już zatracić poczucie braterstwa. Ale wówczas pod Maratonem wszyscy byliśmy Ateńczykami. Biliśmy się za nasze dzieci i nasze kobiety. Za naszych ojców, nasze świątynie i bogów. Bo wszyscy jesteśmy obywatelami jednego miasta, mówimy tym samym językiem, chlubimy się jedną kulturą! I demokracją! Wiem, jaką ofiarę złożyli ci, którzy wtedy zginęli, bo sam byłem na nią gotów! Ale bogowie zabrali tylko tych, których sami chcieli zabrać. A przy życiu pozostawili tych, którzy mają ich opłakiwać, tak jak ja to czynię każdego dnia.

Zamilkł, a część młodych ludzi wzniosła bukłaki i amfory w toaście. Pomruki ucichły i na cmentarzu znow słycać było tylko szum i trzask płonących pochodni. W oddali wielkie miasto głęboko spało.

– Los człowieka jest zmienny jak pory roku – kontynuował Temistokles, teraz tak cicho, że ludzie niemal wstrzymali oddechy, aby go słyszeć. Sprawiał wrażenie, jakby mówił do siebie, jakby zdradzał najbardziej osobiste myśli. – Bogowie zezwalają na wielkość, ale też wyznaczają jej granice. Granicą, która powstrzymała Miltiadesa, wcale nie była nieostrożność i pycha, jakże typowa u ludzi małego serca. Nie pokonały go niegodziwe żądze, chciwość czy słabość charakteru. Nie... On pragnął, aby Ateny były bezpieczne, i chciał to zapewnić poprzez zniszczenie wroga. – Mówił teraz znacznie wolniej niż na początku,

jakby ważył każde słowo. – Część jego floty wylądowała na wybrzeżu, na którym dostrzegł wrogie okręty. Zamierzał wydać Persom decydującą bitwę. Był przekonany, że zwycięży. Śledził ich na bezkresnym morzu i wreszcie, był tego pewien ponad wszelką wątpliwość, dopadł ich na lądzie. Ale tysiące Persów cały czas obserwowało jego flotę spośród gęstych drzew. Gdyby zdołał w porę wysadzić na wyspie wszystkie załogi, zapewne by ich pokonał. W tej sytuacji jednak nie miał szans. Z pokładu okrętu musiał ze łzami w oczach patrzeć na rzeź swoich ludzi. Posłał do boju kolejnych i sam zszedł na ląd, lecz wrogów było znacznie więcej. Piasek nadmorski przesiąkł krwią naszych najlepszych hoplitów, którzy bili się pod Maratonem, wioślarzy, którzy wcale nie zasłużyli na śmierć, jaką im zgotowano. Sam Miltiades otrzymał cios w udo, zdradziecka włócznia unieruchomiła go i pozostawiła po sobie zatrutą ranę.

Temistokles znowu przetarł oczy. Wydawało się, że przemawia niczym wyrocznia, że z jego ust nieprzerwanym strumieniem płyną słowa najświętszej prawdy, które podpowiadają mu bogowie. Gestem poprosił jednego z młodych ludzi, żeby podał mu wina. W tłumie zapanowała wesołość, kiedy pił i ocierał wargi.

– Młodzi, powinniście jednak trochę rozcieńczyć trunk – powiedział, żeby jeszcze bardziej rozbawić zgromadzonych. – Miltiades był dobrym ojcem, wielkim strategiem i Ateńczykiem. Kiedy zwyciężał, zawdzięczaliśmy to jego niezłomnemu charakterowi. Kiedy przegrał, to dlatego, że był tylko człowiekiem. Każdemu zdarzają się upadki. I wszyscy się podnosimy. Kto ma wino, niech wypije teraz za Miltiadesa, który tej nocy czeka na Przewoźnika. Niech usłyszy, jak sławicie jego imię! Za Miltiadesa! – Wzniósł bukłak, pociągnął jeszcze łyk i oddał wino właścicielowi. Nieśpiesznie otarł usta.

Tłum zagrzmiał okrzykami aprobaty, a sporo ludzi wykrzyknęło ku niebiosom także imię mówcy.

Gdy znów zapadła cisza, wystąpił Kimon w towarzystwie pięciu młodzieńców. Unieśli zwłoki i wkroczyli do czeluści grobowca. Temistokles odczekał, aż spełnią swoje obowiązki, a kapłani Hadesa, Apollina i Ateny odmówią modlitwy

i złożą ofiary, aby tamten świat przyjął Miltiadesa. Jego duch nie powinien długo czekać nad Styksem. Zostanie zabrany na Pola Elizejskie, a tam oddadzą mu cześć wszyscy, którzy dotarli tam wcześniej.

21

Ksantyppos kroczył do buleuterionu, budynku rady, ulicami tętniącymi handlem, który stanowił krwiobieg miasta. Bule tworzyło pięćdziesięciu mężczyzn reprezentujących wszystkie fyle. Odpowiadali za poszczególne dziedziny, w tym za skarbiec, i szybko podejmowali niezbędne działania, kiedy nie obradowała eklezja. Ponadto organizowali stolarzy, hutników, cieśli okrętowych i innych robotników, którzy mieli budować flotę, a także górników, aby wydobywali z ziemi srebro. Urzędników, w tym epistatesa, wybierano spośród pięciuset ochotników. Życie miasta odbijało się w oczach Ksantypposa tysiącami barw, skórzanymi pasami, pięknie tkanymi kobiecymi peplosami, żelaznymi gwoździami, glinianymi ceglami, figami, winem i oliwą. Miejski gwar, debaty, sądy i wojny miały trwać wiecznie. Ale najważniejszym dźwiękiem w Atenach był brzęk monet przechodzących z ręki do ręki. Doszedłszy do tego wniosku, Ksantyppos przygryzł dolną wargę. Miał nadzieję, że taka myśl nie jest bluźnierstwem.

Ostatnio był tutaj przed tygodniem, aby być świadkiem dostarczenia srebra Miltiadesa. Trudno było przegapić to wydarzenie: Temistokles w jasnoniebieskim płaszczu wjechał do miasta na wozie, z wyrazem wielkiej powagi na szlachetnej twarzy. Uczynił z tego wielki spektakl. Mieszkańcy tłumnie wylegli na ulice, aby obserwować procesję wozów i hoplitów, którzy maszerowali przy nich, strzegąc ogromnego bogactwa. Ludzie wiwatowali i cieszyli się jak dzieci, kiedy rozeszła się wieść o srebrze Miltiadesa, tak jakby Temistokles przywiózł cały skarbiec zagrabiony w jakimś obcym mieście.

Wydawało się, że pogrzeb archonta był zaledwie pierwszym aktem rozciągniętego w czasie przedstawienia. Po tym, jak srebro zabrano do budynku rady i jeszcze raz przeliczono, wieczorem, we wszystkich dzielnicach miasta, na ulicach oświetlonych tysiącami pochodni, odbyło się bardziej uroczyste wydarzenie. Uczestniczyli w nim mężczyźni, którzy walczyli pod Maratonem. Większość z nich w pełnym uzbrojeniu oddała hołd wodzowi, który poprowadził ich do tamtego zwycięstwa.

Ksantyppos pozostał tego dnia w swojej miejskiej willi i wcześniej położył się spać. Od Epikleosa się dowiedział, z jakim uznaniem Temistokles przemawiał na pogrzebie o honorze i dokonaniach Miltiadesa. Nie było powodu, żeby źle mówić o zmarłym, a poza tym po prostu udało mu się wygłosić doskonałą mowę. Ludzie zareagowali nieprzyjaznym szemraniem, kiedy wymienił imię Ksantypposa wśród pozostałych strategów spod Maratonu.

Zmarszczył czoło. Od tego czasu rzadko nie wyczuwał zupełnie świeżej wrogości, kiedy załatwiał swoje sprawy w Atenach. Czy to na zgromadzeniu, czy na jakiejś porannej rozprawie sądowej, na posiedzeniu rady, w porcie, czy podczas nadzorowania sprzedaży produktów z rodzinnego majątku wydawały się podążać za nim nieprzyjazne spojrzenia i szept. Cóż, Miltiades był w Atenach bardzo popularny.

Miał nadzieję, że to minie wraz z upływem czasu. Na pewno. Przecież on nie zabił Miltiadesa! A jednak wśród obywateli zaczynało umacniać się przekonanie, że ich wielki bohater zmarł z powodu zdrady i oskarżenia wywołanego niskimi pobudkami. Ksantyppos zeszywniał, kiedy ktoś za jego plecami rzucił ohydną obelgę. Kobieta! Popatrzył na nią ze złością. Gdyby ją uderzył, wyszedłby na głupca. Nie, takie złośliwe zaczepki musiał ignorować. Ludzie na pewno dadzą mu spokój, kiedy znajdą sobie inny obiekt drwin i nienawiści. Ten trudny czas musiał po prostu przetrwać.

Byłoby mu łatwiej, gdyby mógł szczerze porozmawiać z żoną. Jednak jego relacje z Agarystą uległy ochłodzeniu. Napięcie między nimi odebrało mu wiele radości z życia, sprawiło, że przez całe dni pozostawał zamknięty w sobie

i ponury. Miał wrażenie, że nurkuje w głębokiej wodzie i nie jest w stanie myśleć. Wykonywał swoje obowiązki polegające na nadzorowaniu dochodów rodzinnej posiadłości, lecz za regulowanie rachunków odpowiadali służący, więc nie musiał się tym zajmować. Korzystając z wolnego czasu, zabierał dzieci na konne przejażdżki. Uczył je dosiadać wierzchowca i odpowiednio ścisnąć jego boki kolanami. Agarysta czasami obserwowała te lekcje, kiedy przebywali w pobliżu domu. Czuł wtedy na sobie jej wzrok, jej obecność tuż przy ogrodzeniu. Uśmiechała się, kiedy Perykles spadał na ziemię i potykając się, biegł do niej, szukając pocieszenia. Uśmiech nigdy nie był jednak przeznaczony dla męża. Nie miała dla niego ani odrobiny ciepła, a on nie wiedział, co mógłby zrobić, aby naprawić całą sytuację.

Gmach rady był imponujący, świadczył o znaczeniu, jakie miała dla Aten nowa, wciąż raczkująca administracja. Stary budynek przy Areopagu, zbudowany z wiekowych kamieni, był нефункциональный, dlatego nowy, z wapienia i cegieł, z lśniącymi kolumnami, wzniesiono z myślą o tym, aby jak najlepiej służył pracującym tu ludziom. Co roku kolejne pięćset osób zawiadywało stąd miastem. Tutaj powstawały księgi, rachunki i bilanse. Wszystko dobrze funkcjonowało, co czasami nawet wzbudzało zdziwienie. Ksantyppos poczuł irytację, a potem dumę, kiedy przy wejściu najpierw został zatrzymany i dopiero później rozpoznany. Członkowie rady byli dumni ze swoich stanowisk. Spoczywające na nich obowiązki traktowali z powagą, co miesiąc poświęcali im sporo czasu i sumiennie się przykładali do ich realizacji. Ateny nie miały konstytucji. Interpretacja praw zależała od dobrej woli urzędników, tradycji i zdrowego rozsądku. Oznaczało to, że członkowie zgromadzenia czuli się częścią miasta, nawet najbiedniejsi. Rodziny, takie jak Ksantypposa, oddawały im część władzy w zamian za coś więcej: rezygnowały z części wpływów w zamian za uczestnictwo we wspólnocie.

Ksantyppos westchnął. Nie czuł się dobrze, słysząc te szeptane obelgi. Tuż przy agorze leżała dzielnica Keramejkos, jedna z najbiedniejszych w Atenach, gdzie wyrabiano garnki i naczynia. Ulice utwardzone tu były kawałkami ceramiki

wciśniętymi w glinę i piasek. Było stąd niedaleko do murów miejskich i do położonej zaraz za nimi nekropoli, na której pochowano Miltiadesa. Ksantyppos nagle się zatrzymał i pokręcił głową. Ktoś go przeklął, że blokuje przejście, lecz nie było w tym nadmiernej złości. Przypomniawszy sobie, że jeszcze nie odwiedził grobu archonta, aby pożegnać jego duszę. Był mu to winien, chociaż – nawet tydzień po pogrzebie – spotkani tam ludzie mogliby gwałtownie zareagować na taką wizytę. Uznał, że nic złego się nie stanie, jeżeli ją odłoży, odczeka, aż przeminie zła pamięć o jego związku ze śmiercią Miltiadesa.

Wciąż w wejściu do budynku Ksantyppos się odwrócił, wyobrażając sobie niedawną procesję ze skarbem. Jak to się stało, że nagle w ludzkich oczach został ucieleśnieniem zła? Przecież dzięki jego oskarżeniu Ateny zdobyły pięćdziesiąt talentów! Za taką kwotę można zbudować dwadzieścia pięć galer, była równa wynagrodzeniu wykwalifikowanego robotnika przez tysiąc lat! Jeżeli jej uiszczenie nie było formą „trierachii” – obowiązku utrzymywania wojennych trier – to czym? Ksantyppos nawet nie próbował znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Czy Miltiades zapłaciłby tyle dobrowolnie? Oczywiście, że nie.

– Ksan! – Znajomy głos wyrwał go z rozmyślań.

Epikleos. Uniósł brwi, widząc przyjaciela w prostym chitonie, z obnażonymi nogami.

– Gdzie twoja broń? Zbroja? Nie będziesz dzisiaj biegał?

– Zostawiłem wszystko w twoim domu. Pomyślałem, że razem z tobą przygotuję się do ćwiczeń, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Ksantyppos pokiwał głową, wciąż posępny.

– Nie ma wielu... niewielu... dzisiaj będzie z nami mało ludzi – dodał Epikleos, nie patrząc mu w oczy.

W miesiącach po bitwie pod Maratonem Ksantyppos zorganizował dziesiątki wyścigów przez miasto i dookoła murów dla wszystkich hoplitów, którzy chcieli poprawić kondycję i sprawność. Były to biegi w pełnym uzbrojeniu, z tarczami, włóczniami i pozostałym wyposażeniem, w rynsztunku jak na wojnę. Bywały dni, kiedy w morderczych sprintach albo w pokonywaniu długiej pętli wokół

murów rywalizowało ponad tysiąc mężczyzn chcących poprawić wydolność płuc i wytrzymałość. Biegi były ogromnie wyczerpujące, przynosiły jednak wymierne korzyści – ich uczestnicy w krótkim czasie zyskiwali na prędkości i sile.

Liczba ćwiczących gwałtownie spadła po procesie i śmierci Miltiadesa. W ciągu zaledwie kilku dni grupa zagorzałych biegaczy się skurczyła, jakby nagle rozeszła się wieść, że organizator jest trędowaty lub ciąży na nim klątwa. Mimo wszystko Ksantyppos nie rozumiał zdenerwowania Epikleosa. A może sytuacja zrobiła się już dramatyczna?

– Ilu się zgłosiło? – zapytał.

– Może dziesięciu z fyli Akamantis, mniej więcej tyle co zawsze. Ale chyba nikt więcej.

– Mam nadzieję, że ci, którzy zrezygnowali, nigdy nie będą musieli stanąć naprzeciwko armii perskiej ani przypuścić ataku na łuczników. – Nie potrafił powstrzymać złości, ale zaraz się zreflektował; niepotrzebnie podniósł głos na Epikleosa, przecież on nie był niczemu winien. – To sprawka Kimona? – spytał, kiedy się uspokoił.

– Kimon jest... charyzmatycznym młodzieńcem – odparł przyjaciel przyciszonym głosem. – Przypomina ojca bardziej, niż to się wcześniej wydawało. Otwarcie obwinia cię o to, co się stało. Jest bogaty i co za tym idzie, posiada także duże wpływy. Okruchy z jego stołu są bezcenną zdobyczą, szczególnie dla ubogich chłopców. Zaproponował, że sam ich będzie szkolił na nowych obiektach gimnazjonu przy gaju Akademososa.

– Na tym starym, zapuszczonym placu? – parsknął Ksantyppos.

Epikleos miał niepewną minę.

– Kimon kazał wszystko uporządkować i przebudować. Mają powstać nowa trasa biegowa i ogrody. On wszystko finansuje, nawet płaci tym, którzy biegają z nim każdego poranka. Opowiada, że zabierze ich na wielką wyprawę w poszukiwaniu grobu Tezeusza, sam stanie na jej czele. Okoliczności śmierci ojca sprawiły, że zyskał wielu zwolenników, Ksan. Bardzo mi przykro.

Ksantyppos zaklął w duchu. Nie chciał, żeby posyłano mu współczujące spojrzenia, kiedy będzie biegał prawie sam, ale nie chciał też, żeby chuligani rzucali w niego kamieniami. Postanowił, że dzisiaj opuści miasto i skieruje się w stronę portu, chociaż żółć się w nim przelewała, kiedy podejmował tę wymuszoną decyzję. Pokaże towarzyszom, jak powstają nowe okręty, wskaże im sterty drewna sosnowego i dębowego, zwiezonego z lasów odległych setki mil i sezonowanego przez wiele lat. Budowa nowej floty była ogromnym przedsięwzięciem wykraczającym poza port. W mieście mówiło się już o konieczności wykonania nowych umocnionych nabrzeży i stworzenia nowych warsztatów. Z kolei każdy stolarz, któremu proponowano pracę, żądał podwójnej zapłaty, grożąc, że inaczej odejdzie w siną dal razem ze swoimi narzędziami. Ksantyppos machnął ręką i splunął na marmur, zirytowany ludzką chciwością i dosłownie wszystkim.

– Nie przyszedłem na posiedzenie rady, żeby wysłuchiwać złośliwości Kimona, pozbawionych sensu i absolutnie niezasłużonych. Czy radni przedstawili już program debaty? Czekam na informacje z Laurion na temat złóż srebra. Część najważniejszych cieśli już od tygodnia nie otrzymała wypłaty. Jeśli nie dostaną pieniędzy, przerwą pracę albo będą głodować.

Epikleos skinął głową, ogromnie przybity.

– Rada wysłała tam ludzi, żeby sprawdzili postępy w pracach i ocenili zapotrzebowanie na robotników. Dowiedziałem się, że przedstawią swój raport zgromadzeniu nie wcześniej niż za tydzień – powiedział. – Mówi się, że będzie trzeba wydłużyć czas pracy robotników do dziesięciu, a może i dwunastu godzin, żeby osiągnąć wystarczający poziom wydobywania srebra. To zwiększy koszty. Górnicy też będą chcieli więcej pieniędzy.

– Która fyle przewodniczy posiedzeniom? – zapytał Ksantyppos.

– Leontis, jeszcze przez dwanaście dni. A potem służbę przejmie nasza droga Akamantis.

– I jeszcze tydzień mamy czekać na raport?! Dlaczego tak długo, skoro problem jest oczywisty? – Potarł twarz otwartą dłonią. Skóra na policzkach była

zaczerwieniona i szorstka. – Mieli całe miesiące, żeby przeorganizować wydobywanie, wybudować nowe piece. To jest albo... lenistwo, albo ludzie są niekompetentni. Może pracami zawiaduje jakiś dureń, który się do tego nie nadaje? – Znowu przesunął dłonią po szczęcie, tym razem lekko się zadrasnął paznokciem. – Wszelkimi poczynaniami Leontis zawiaduje Temistokles. Chociaż starannie to ukrywa. Dlaczego miałoby mu zależeć na opóźnieniu? Powiniennem z nim o tym porozmawiać?

– Jeśli właśnie on za tym stoi, to lepiej nie – odparł Epikleos. Odruchowo rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt nie podsłuchuje ich rozmowy.

– To nie może być prawda – parsknął Ksantyppos. – O ile go znam, to przyśpieszyłby ogłoszenie raportu albo naciskał na przeznaczenie większych pieniędzy na wynagrodzenia dla robotników. To przecież głównie on chciał, żeby srebro Miltiadesa przeznaczono na nowe okręty.

– Być może. Ale coś się zmieniło. Teraz w ogóle nie zabiera głosu na ten temat. Myślę, że to potrwa, bo chyba ma z tego jakieś korzyści. – Epikleos ciężko westchnął. – Mówi się, że po przemówieniu, jakie wygłosił na pogrzebie, jest blisko z Kimonem. A wiem, że ten chłopak wydaje srebro jak perski król. – Przyjaciele wymienili znaczące spojrzenia. – Członkowie rady to tylko ludzie, Ksan. Ochotnicy. Można im schlebiać, można ich zapraszać na obiady, oferować dobre miejsca w teatrze, sprawiać, że czują się ważni... kto wie? Może Temistokles szuka wpływów, żeby wycisnąć lepsze płace dla górników i kowali? No i zapewne stara się, żeby część tych pieniędzy trafiła do kieszeni tego, kto je uzyska. Działa legalnie, otrzyma po prostu pewien procent jako pośrednik. W takiej sytuacji opóźnienie raportu działa na jego korzyść. Wyobraź sobie: srebra ubywa, ludzie głodują, a na agorze zaczynają się rozruchy. Takie rzeczy dzieją się zawsze.

Wytrącony z równowagi Ksantyppos wbił spojrzenie w przyjaciela.

– Cieśle w porcie żądają podwójnej stawki – powiedział.

– Sam widzisz. A możesz mieć do nich pretensje, skoro zapotrzebowanie na ich pracę tak wzrosło? Byłbym zdziwiony, gdyby siedzieli cicho.

– Ale zgoda na ich żądania w praktyce podwoi koszty budowy okrętów! Co dobrego przyniesie im dodatkowy woreczek srebra, jeżeli wróci perska flota? Twierdzisz, że za takimi żądaniami stoi Temistokles? Nigdy nie słyszałem o czymś podobnym!

Epikleos rozłożył ręce.

– Bo nie prowadzisz z ludźmi trudnych negocjacji, Ksan. Nie musisz, twoje bogactwo cię przed tym chroni. Tacy jak Temistokles umieją budować flotę, szukać w ziemi złóż srebra, ale nie potrafią się powstrzymać przed skubnięciem dla siebie sporej części kwot przeznaczonych na realizację tych przedsięwzięć albo wynikających z zawyżania kosztów. Tylko dlatego są bogaci. Słyszałem, że rodzina Temistoklesa wcale nie jest majątna. Zresztą, nawet gdyby odziedziczył rodzinne mienie, to tak wydaje pieniądze, że bardzo szybko zostałby żebrakiem. Uczty, zabawy, nowe budynki, trzy triery, które obiecał sfinansować... A ludzie go za to kochają.

– Nigdy się nie zgodzę, żeby w Atenach wyrósł nowy tyran – powiedział Ksantyppos stanowczo.

– Prawdopodobnie jednak kogoś takiego wychowamy, a wskaże go nam samo zgromadzenie. Jestem skłonny twierdzić, że Temistokles chce zostać pierwszym obywatelem Aten. Masz inne zdanie? Przecież wszyscy widzą, co się dzieje. Mógł go powstrzymać Miltiades, ale skutecznie mu to uniemożliwiłeś. Może mu się przeciwstawić Arystydes albo ty. I kto jeszcze? Obiecaj mi, że będziesz ostrożny, dobrze? Mimo że posyła uśmiechy na prawo i lewo, Temistokles jest bezwzględny, nigdy w to nie wątp.

– Mylisz się. – Ksantyppos powrócił myślami do dnia w gimnazjonie, kiedy Temistokles opowiadał mu o swoim dzieciństwie. – Znam go lepiej, niż sądzisz. On jest... wulgarny, hałaśliwy, owszem, ma wszystkie cechy, które mi się nie podobają. Wydaje srebro lekką ręką, to na pewno. Uważam jednak, że jest człowiekiem honoru. Ateńczykiem z krwi i kości.

– Mam nadzieję. – Epikleos westchnął. – Z pewnością potrafi porwać za sobą innych. Dostrzegłem to na pogrzebie. Problem w tym, dokąd będzie chciał

poprowadzić tych ludzi.

– Twierdził, że srebro z Laurion należy przeznaczyć na budowę floty – przypomniał przyjacielowi Ksantyppos. – W żaden sposób nie może się na tym wzbogacić, co pewnie byłoby możliwe, gdyby pieniądze wydawano na niewolników, drogi, dachówki. Uważałem wtedy, że zachowuje się jak należy. Jeśli chcesz wiedzieć, powitałbym z radością dwóch lub trzech takich jak on, gdyby to oznaczało, że wybudują dla nas czterysta trier!

Epikleos wolał zapatrzyć się w przestrzeń, niż kontynuować tę rozmowę. Jego wątpliwości były oczywiste. Widząc to, Ksantyppos poczuł, jak narasta w nim zniecierpliwienie. Miał niemal czterdzieści lat i subtelności polityki oraz bezustannie zmieniające się sojusze uważał za kwestie strasznie trywialne, niemal dziecinne. Po chwili ciszy klepnął przyjaciela w ramię.

– Pozwól, że moje zastrzeżenia przedstawię w środku. Potrzebuję tylko trochę czasu i zaraz do ciebie wrócę. Pobiegniemy dzisiaj do portu i z powrotem.

Epikleos odchrząknął i uśmiechnął się, tak jak tego oczekiwał Ksantyppos, jednak gdy ten wchodził do budynku rady, na jego twarz powróciła troska. Uważnie przypatrywał się Temistoklesowi na pogrzebie Miltiadesa. Był doskonałym mówcą i jego oracje mogły poprowadzić ludzi w wiele kierunków. A z jego peanów wynikało, że Miltiadesa oceniono niesprawiedliwie, że był bohaterem, którego zniszczył oskarżyciel. Zapewne nie całą winę za to, że w Atenach zapanowały właśnie takie nastroje, należało przypisywać Temistoklesowi, jednak jego w tym udział czynił go niebezpiecznym. Choć zawsze można było popatrzeć na niego z innej strony. Ludzie kochali Temistoklesa i nie potrafili w nim dostrzec żadnego zła. Epikleos wiedział, że Ksantyppos go podziwia za jego empatię i nadzwyczajne umiejętności narzucania swojego zdania tłumom. Właściwie za to wszystko, czego on sam nie potrafił.

Czekając, Epikleos kopał kawałki ceramiki, którymi utwardzono ziemię. On podziwiał zarówno Ksantypposa, jak i Temistoklesa, chociaż byli ulepieni z bardzo różnej gliny. Niewielu potrafiło wpływać na zgromadzenie w taki sposób jak Temistokles.

Epikleos wsunął kciuk do ust i zaczął obgryzać paznokcie. Coś takiego zdarzało mu się tylko wtedy, gdy był bardzo zmartwiony. Cóż, próbował ostrzec przyjaciela, ten jednak nie zamierzał go słuchać.

22

Kimon pojawił się w gimnazjone na południe od miasta. Poprzedniej nocy nie spał i czuł piasek pod powiekami oraz narastające zmęczenie. Oblewał go gorący pot. W wieku osiemnastu lat miał jednak wystarczająco silny organizm, żeby się tym nie martwić. Sen uważał za niepotrzebną przerwę w życiu, zjawisko denerwujące i przyciągające go akurat wtedy, gdy miał zamiar robić coś zupełnie innego.

Nikt z obsługi nie zatrzymał go, kiedy przeszedł przez bramę i długimi portykami skierował się ku otwartemu polu. To podziało na niego orzeźwiająco. Pochowawszy ojca, zaczął zyskiwać w Atenach coraz większą sławę. Częściowo zawdzięczał to ludziom, którzy uważali, że Miltiades został potraktowany bardzo niesprawiedliwie i praktycznie uśmiercony po tym, jak całe długie życie poświęcił służbie dla miasta. Inni, którzy walczyli pod Maratonem, po procesji pogrzebowej uznali jego syna za naturalnego następcę. Kimon nie do końca rozumiał, co nimi kieruje, przyjął jednak ich przysięgę wierności. Uczynił to bez wahania, chociaż w ten sposób stali się klientami jego rodziny. Ich poparcie mogło go uczynić opiekunem tych ludzi w wypadku chorób lub gdyby odnieśli w boju ciężkie rany. Ale nie odpychał ich od siebie i w mieście się mówiło, że nigdy tego nie zrobi. Widział w nich sprawców największego triumfu w historii Aten, obywateli, których życie poddało największej próbie, a oni jej sprostali, okazawszy wręcz heroiczną odwagę. Był przekonany, że już nigdy nie spotka ich nic wspanialszego niż tamto zwycięstwo. Pragnął, aby splendor spłynął także na niego.

To przede wszystkim Temistokles zyskał dla Kimona ich wsparcie, wygłosivszy mowę na pogrzebie. Młodzieniec wciąż nie wiedział, czy zaplanował to od samego początku, czy po prostu zareagował na widok hoplitów w pełnym uzbrojeniu, którzy przyszedli oddać ostatni hołd znamienitemu obywatelowi Aten. W tym momencie Kimon otrzymał schedę po ojcu. Dowódcy falangi oddali mu pokłon – mężczyźni o wpływach, o jakich osiemnastolatek mógł tylko marzyć. Kimon wszedł w skład zgromadzenia, nie mógł jednak wytaczać procesów ani kandydować na ważne stanowiska. Przed ukończeniem trzydziestu lat nie wolno mu było przewodzić Atenom. Ale tego ranka był pewien dwóch rzeczy: kiedyś stanie na ich czele, tylko na razie ma przed sobą jeszcze wiele czasu.

Dostrzegł Temistoklesa na placu pięściarskim, ćwiczył z jakimś innym mężczyzną. Obaj byli nadzy, mieli tylko bandaże na rękach, żeby chronić knykcie. Mimo takich zabezpieczeń dłonie wielu pięściarzy przypominały krwawą miazgę.

Zbliżając się, Kimon zadrżał. Wiedział, że Temistokles może zaprosić go do wspólnego treningu. Niektórzy właśnie w walkach na pięści sprawdzali się nawzajem. Kimon nie miał pojęcia, jakie informacje Temistokles zebrał dotąd na jego temat. Szata chłopaka skrywała twarde mięśnie, to nie było żadnym sekretem. Biegał i ćwiczył codziennie, przez cały czas budując sprawność. On i jego przyjaciele mieli już kondycję młodych panter i z każdym dniem treningów byli szybsi.

Temistokles zerknął na zbliżającą się postać, ale natychmiast musiał się odchylić, żeby uniknąć ciosu, który wyprowadził partner, korzystając z jego krótkiej nieuwagi.

– Dosyć, dosyć! – zawołał ze śmiechem. Wyciągnął przed siebie otwartą dłoń, chcąc powstrzymać kolejne ciosy.

Drugi mężczyzna popatrzył nieprzyjaźnie na przybyłego. Miał czerwone, żylaste ciało, jakby zeszkrobano z niego skórę i wszystkie mięśnie. Jego twarz była opuchnięta i malowała się na niej złość.

– Przecież zapłaciłem za całą walkę – powiedział, uderzając pięścią o pięść.

Temistokles natychmiast się na nim skoncentrował, jakby Kimon nagle zniknął.

– Co takiego? – zapytał.

Chłopak usłyszał w jego głosie groźny ton, lecz tamten chyba sobie tego nie uświadamiał.

– Powiedziałem, że zapłaciłem za całą walkę! – warknął.

Temistokles zaczął więc walczyć na serio. Kimon zorientował się, że do tej pory jedynie się bawił albo uczył przeciwnika zachowania w walce. Teraz uderzył go prosto w szczękę, po czym poprawił sierpowym w żołądek – mężczyzna z trudem utrzymał się na nogach. Kiedy uniósł ręce, Temistokles wyprowadził dwa potężne ciosy w jego tors, w lewą i prawą stronę klatki piersiowej. Jego przeciwnik zacharczał i nieudolnie próbował się bronić, lecz Temistokles doskoczył do niego i zadał mu długą serię ciosów. Odstąpił dopiero wtedy, gdy mężczyzna padł bez czucia na piasek. Przez chwilę leżał bez ruchu, a Temistokles dał znać komuś z obsługi, żeby odwrócił go na plecy, zanim wciągnie piasek do ust i się udusi.

Kimon dostrzegł uśmiech na jego ustach. Temistokles zasadniczo uśmiechał się do siebie, ciesząc się zwycięstwem. Wyciągnął ręce, żeby zdjęto mu bandaż. Niewolnicy szybko podbiegli do współwłaściciela gimnazjonu. Po chwili Temistokles zszedł z placu, żeby powitać Kimona. Podał mu dłoń, wciąż bardzo bladą, gdyż przez długi czas była ściśnięta bandażami i krew nie w pełni do niej docierała.

Chłopak odwzajemnił uścisk. Dopiero teraz dostrzegł, że Temistokles jest bardzo spocony.

– Muszę popływać. Wyglądasz na zmęczonego, Kimonie. Mam nadzieję, że przyjąłeś moją radę i starasz się wypoczywać.

– Sypiam po kilka godzin popołudniami – odparł, gdy obaj ruszyli. – Radzę sobie, chociaż co kilka tygodni muszę przespać całą noc i poranek.

Temistokles jęknął.

– Na bogów, chciałbym znów być młody. Prawie już nie pamiętam... kiedy nic mnie nie bolało, piłem przez całą noc, a następnego dnia biegałem, rześki jak skowronek!

– Wciąż wydajesz się w świetnej formie... – zauważył Kimon.

Temistokles spodziewał się w jego głosie drwiny, lecz jej nie usłyszał. Ale nie było w nim także zrozumienia dla jego narzekań. Cóż, młodzi nie rozumieją i nigdy nie rozumieją starości.

– Kiedyś płacono mi za takie treningi. Zdarzały się poranki, że odbywałem sześć albo i osiem walk. Uwierz mi, nie dowiesz się, czym jest wyczerpanie, póki nie staniesz na piasku naprzeciwko jakiegoś szczeniaka, świeżego i pełnego energii, mając już za sobą kilka innych walk. Ale dzięki temu mogłem płacić za naukę i miałem co jeść. – Przycisnął do nosa czubek palca i ze smętną miną przez chwilę nim poruszał. – Nos miałem złamany tyle razy, że przestałem liczyć. Ale było warto.

– Dzisiaj chyba już nie musisz zarabiać w ten sposób? – zapytał Kimon.

– Muszę ćwiczyć i zachować sprawność. A jeśli jakiś poczciwy Ateńczyk pragnie spróbować ze mną szczęścia za kilka drachm, jestem gotów stanąć. Kimonie, od urodzenia otacza cię bogactwo. Ze mną było inaczej. Pewnie dlatego cenię sobie każdą monetę, którą mogę zarobić.

– A ja cenię sobie dobrobyt, w jakim żyje moja rodzina – odparł chłopak niespodziewanie poważnym tonem.

Przeszli przez pole do ćwiczeń i stanęli nad brzegiem strumienia przecinającego gimnazjon i będącego źródłem zimnej pitnej wody. Tego roku płynął szeroko. Temistokles wszedł na marmurowy podest i skoczył do wody.

Kimon obserwował, jak przez chwilę pluska się w zimnym strumieniu. Kiedy wyszedł na brzeg, potrząsał głową i parsknął. Osiemnastolatek przez chwilę nie wiedział, jak się zachować. Obejrzał się na niewolników czekających z ręcznikami i czystymi szatami dla Temistoklesa. Popatrzył też w stronę placu i dostrzegł, że powalony przez niego pięściarz wstał. Chwiał się, zerkając ze złością w stronę Temistoklesa, wyraźnie nieszczęśliwy z powodu tego, jak został

potraktowany. Kimon się uśmiechnął. Dzień był piękny, niebo błękitne, a wysoko nad gimnazjonem jaskółki zataczały kręgi. Pod wpływem impulsu zdjął szatę i sandały i wszedł do zimnej wody.

– Ach! Bardzo dobrze! – zawołał Temistokles. – Zimna kąpiel oczyszcza krew. I ma doskonały wpływ na zdrowie. Kiedyś spędziłem w lodowatej wodzie niemal cały dzień, chcąc się przekonać, jak długo wytrzymam. Nogi mi zdrętwiały, a dłonie pomarszczyły się jak u staruszka, ale później, kiedy krew stężała, wiesz, jaką poczułem moc? Dokonywałem cudów, a następnego dnia wcale nie byłem zeszywniały, chociaż ty pewnie nie rozumiesz, o czym mówię.

– Chciałem cię zapytać... o coś bardzo ważnego – powiedział chłopak.

Pochylił się, żeby woda sięgnęła mu do obojczyka. Stopy utkwiły mu w jedwabistym mule, czuł go pomiędzy palcami. Chociaż słońce prażyło, zaczął szczerkać zębami.

Temistokles, nie oglądając się, gestem nakazał niewolnikom, żeby odeszli. Szybko zebrali rzeczy i zniknęli. Pozostali sami.

– Jestem za stary, żeby zostać twoim mentorem – odparł Temistokles. – A kochać się wolę z kobietami. Jeżeli więc o to ci chodzi...

– Wcale nie o to – odpowiedział cicho Kimon.

Temistokles spoważniał i oparł rękę o marmurową półkę. Drugą dłonią zaczął gładzić lustro wody.

– Zatem o co?

– Powiedziałeś, że nie wolno mi zabić człowieka, który doprowadził do śmierci mojego ojca – zaczął młodzieniec. Uniósł rękę, kiedy Temistokles otworzył usta. – Zgodziłem się z tym. Zapanowałem nad sobą, zgodnie z twoją radą.

Po kilku dniach to zapewnienie wydawało się trochę pochopne, lecz Temistokles nie zaprotestował.

– Setki mężczyzn przysięgły, że będą mnie wspierać... to niewiarygodne, jak dużo. Ale nie ma ich jeszcze sześciu tysięcy, na razie.

Temistokles zmrużył oczy, rozważając te słowa. Na chwilę zapatrzył się gdzieś w dal i chłopak pomyślał, że jego myśli krążą gdzieś daleko.

– Prawo stanowi – kontynuował – że każdego Ateńczyka można poddać ostracyzmowi, wygnać z miasta na dziesięć lat. Nie potrzeba do tego formalnego powodu i od takiej decyzji nie ma odwołania. O wygnaniu decyduje wola obywateli wyrażona w jednym głosowaniu, błyskawicznie niczym letnia burza. Jestem Ateńczykiem, Temistoklesie. Mój ojciec to Miltiades spod Maratonu.

– Wiem. Ale Ksantyppos także jest liczącym się obywatelem Aten. Zyska poparcie. A jeśli ci pomogę i przegramy, prawie na pewno kolejne głosowanie zadecyduje o moim losie.

– A więc nie pomożesz mi? – zapytał Kimon.

Temistokles skrzywił się, wyraźnie zmieszany. Młodzieniec obserwował go uważnie. Po chwili twarz tamtego znowu przybrała naturalny wyraz.

– Przecież mnie o to nie poprosiłeś, chłopaku – odpowiedział.

– Proszę cię teraz! Pomożesz? Udzielisz mi poparcia? Zapłacę ci, ile zechcesz.

Temistokles zastygł w bezruchu. Chociaż świeciło jasne słońce, nad wodą było zimno i mężczyźni zaczęli drzeć. Kimon dostrzegł w strumieniu rybę, która wynurzyła się z mułu.

– Doskonale – powiedział w końcu Temistokles.

– Jaka jest twoja cena? – zapytał chłopak. Ogarnęła go ulga, ale właśnie ona spowodowała, że z trudem dobywał głos z gardła. – Przysięgam, zapłacę, ile zażądasz.

– Oczywiście mam swoją cenę – powiedział spokojnie jego towarzysz. – Jednak w tym wypadku nie można jej ująć w srebrze.

23

Poprzedniej nocy spadł deszcz. Ksantyppos czuł wilgoć w ziemi i w powietrzu. Piach pod nogami był grubszy, a powietrze słodsze niż w suche dni.

Obudził się przed wschodem słońca w swoim pokoju w podmiejskiej posiadłości. Powrót do Agarysty był gestem skierowanym raczej w stronę dzieci niż wobec niej. Poza tym tu było mu wygodniej, co przyznawał przed sobą, kiedy miał dobry humor. W porównaniu z przestrzeniami rodzinnego majątku jego miejska willa była po prostu ciasna. No i tutaj był panem, a kiedy chciał, mógł korzystać z takich urządzeń i obiektów do ćwiczeń, jakich nie powstydziliby się najlepszy gimnazjon. Przygryzł wargę, kiedy pomyślał o burdelu, który kupił Temistokles. Cóż, pewnych rzeczy jednak tutaj brakowało.

Jego syn Aryfron odziedziczył po matce chłód w zachowaniu, przypominały ją nawet jego usta i bezustannie gniewny wyraz twarzy. Ksantyppos się zastanawiał, w jaki sposób matka wyjaśniła dzieciom jego długą nieobecność. On sam nawet słowem nie próbował im niczego tłumaczyć. Sprawami pomiędzy mężem i żoną dzieci nie powinny się interesować.

On i Agarysta zachowywali chłodny, lecz pełen szacunku dystans, kiedy się spotykali, nawet gdy rozmawiali o kwestiach dotyczących miasta i interesów rodziny. Ksantyppos nie czuł się wtedy komfortowo, a napięcie pomiędzy małżonkami udzielało się także dzieciom, które szeroko otwartymi oczami spoglądały to na matkę, to na ojca.

Oparłszy się o kamienną kolumnę, popatrzył w stronę wybiegu dla koni. Dostrzegł córkę. Eleni wyrastała na silną i sprawną dziewczynę. Ponieważ wiele

czasu spędzała na świeżym powietrzu, głównie zajmując się końmi, była pięknie opalona. Uwielbiała ryzyko i z młodzieńczą brawurą galopowała jednocześnie na dwóch wierzchowcach, stojąc na ich szerokich grzbietach i wydając radosne okrzyki. Zdarzały się jej skaleczenia i zadrapania, a dziwne było to, że bardziej niż Aryfron próbował jej dorównywać mały Perykles. Ksantyppos miał wrażenie, że wynika to z naturalnego brzemienia, jakim zawsze obarczony jest najstarszy syn. Wiedział, że pierworodni bywają zazwyczaj przywódcami dla młodszych braci i sióstr. Ta rola niesie ze sobą odpowiedzialność, której nie można się pozbyć, z kolei młodszy bracia zdają się jej w ogóle nie czuć. Zachowują się bardziej swobodnie, chętniej narzucają innym swoją wolę, niż sami poddają się dyscyplinie. To Perykles pierwszy z trojga dzieci zaczął skakać do rzeki na główkę i nauczył tego Eleni. Nauczyciele chłopca narzekali, że opuszcza połowę lekcji, a mimo to koniugację najtrudniejszych czasowników miał w małym palcu. Oczywiście często spuszcza mu lanie, o czym ojciec myślał z pewną satysfakcją. Chłopiec w tym wieku nie miał prawa grać dorosłym na nosie. Gdyby Perykles mniej czasu spędzał na lenistwie i zabawie, posiadałby już ogromną wiedzę. Ksantyppos westchnął. Aryfron z kolei nie lubił rzeki. Jego najstarszy syn żywił jakiś dziwny strach przed głęboką wodą, objawiający się reakcjami, w których panika mieszała się z wściekłością. Nie miało to jednak znaczenia. W końcu nie każdy mężczyzna musi umieć pływać.

Obserwował, jak Perykles ustawia przeszkody do ćwiczenia konnych skoków, zawsze skory do pomocy starszej siostrze. Patrząc na niego, zapragnął takiego syna, który miałby odwagę i pewność siebie Peryklesa oraz obowiązkowość Aryfrona. Tymczasem każdy z nich miał nadmiar jednej cechy i niedostatek drugiej.

Chłopiec zmagił się z o wiele wyższą od niego kłodą. Ułożył ją na dwóch rozjaśnionych słońcem sosnowych pniakach i już po chwili Eleni na kucyku skierowała się w jej stronę. Ojciec syknął ze zgrozą, widząc, że Perykles stanął za kłodą. Gdyby mały wierzchowiec Eleni stracił przeszkodę, uderzyłaby chłopca jak ciężki młot.

Dzieci znajdowały się zbyt daleko, by mógł ostrzec je krzykiem, zresztą i tak było już za późno. Ksantyppos z przerażeniem i bezradnością patrzył, jak jego córka pokonuje przeszkodę i koń nawet nie ociera się o nią kopytami. Perykles wydał okrzyk radości, podskakując i machając rękami. Ojciec roześmiał się słabo i ogarnęła go fala ulgi. Oderwał się od chłodnej kolumny i ruszył przez piaszczysty wybieg do dzieci.

Eleni zauważyła go pierwsza. Klepnęła Peryklesa w ramię, żeby przestał się śmiać i trąkotać. Skonsternowany chłopiec odwrócił się w stronę, którą mu wskazała. Od razu spowaźniał i się wyprostował. Ksantyppos poczuł, że szybciej bije mu serce, lecz pełna powagi reakcja dzieci zmusiła go do przybrania surowej miny. Miał ochotę śmiać się i skakać jak przed chwilą syn, ale dzieci stanęły przed nim niemal na bacność, zmarszczył więc czoło i splótł dłonie za plecami.

– Gdzie Aryfron? – zapytał.

Córka odpowiedziała mu cichym głosem. Koń u jej boku wsunął jej pysk pod ramię i poklepała go, nawet na niego nie spojrzawszy.

– Ze swoim nauczycielem, ojczu. Ma jakieś kłopoty?

– Co? Nie, skądże. Po prostu zobaczyłem, że dobrze się bawicie, i zastanowiło mnie, dlaczego nie ma z wami Aryfrona.

– Wcale się nie bawiliśmy – wtrącił się Perykles obronnym tonem, jakby chciał odeprzeć zarzuty. – Eleni pozwoli mi poskakać. Ćwiczyłem jazdę konną i już od wielu tygodni nie spadłem na ziemię. Jestem gotowy.

Chłopiec był podrapany i posiniaczony, co wskazywało, że kłamie. Ojciec natychmiast postanowił go na tym przyłapać.

– Czy to prawda?

Eleni lekko pokręciła głową, lecz zignorował to, chcąc, żeby odpowiedział mu Perykles. Chłopiec przez chwilę milczał, wpatrując się w piach.

– Nie. Spadłem dzisiaj rano – powiedział w końcu.

– Dlaczego więc mnie okłamałeś?

– Bo pomyślałem, że nie pozwolisz mi skakać... nie wiem.

Ksantyppos miał ochotę wytargać syna za ucho. Podszedł do dzieci, chcąc razem z nimi się śmiać i cieszyć życiem. Miał wspaniały nastrój, a tymczasem w jednej chwili został zmuszony grać rolę surowego ojca, niezadowolonego z ich zachowania. Strasznie się tym zdenerwował i poczerwieniał na twarzy. Wziął głęboki oddech przez nos. Patrząc na syna, starał się uspokoić.

– Pokaż mi – rzucił po chwili.

Perykles popatrzył na niego z nadzieją, lecz nie dowierzał własnym uszom.

– Jak skacze?

– Skoro twierdzisz, że jesteś gotowy... – Ojciec uśmiechnął się, widząc minę syna. – Tak, skacz!

Chłopak wydał okrzyk zachwyty i chwycił wodze, które rzuciła mu Eleni. Kucyk parsknął i zaczął żuć wędzidło. Gdyby zwierzę go nie posłuchało, kiedy pociągnął za wodze, Perykles pewnie by się przewrócił, lecz kucyk posłusznie poszedł za nim, chociaż znowu parsknął, po zwierzęcemu oburzony.

– Ustawię przeszkodę – powiedziała Eleni, zerkając na brata.

Chciała obniżyć belkę, ale ojciec tylko machnął ręką.

– Zostaw, Eleni. Kucyk da radę. A jeśli Perykles utrzyma się na grzbiecie, tym bardziej będzie z siebie dumny.

Ku jego zaskoczeniu dziewczynka się zawahała. W tej chwili była bardzo podobna do Agarysty.

– Chyba nie... nie chcesz go w ten sposób ukarać? – zapytała. – To nie ma być surowa lekcja?

Ksantyppos westchnął. W młodości bał się ojca. Stary drań przerażał dzieci, był bardzo surowym rodzicem, a on nie wyobrażał sobie, że kiedyś będzie pod tym względem podobny do niego. Czas i doświadczenie sprawiły jednak, że dzisiaj niewiele się od niego różnił. Pokręcił głową. Pewne rzeczy były zbyt trudne, żeby wyjaśniać je dzieciom.

– Po prostu zostaw przeszkodę na takiej wysokości – powiedział.

Eleni grzecznie skinęła głową, wyraźnie zaniepokojona, a tymczasem Perykles zawracał już na skraju wybiegu. Ojciec i córka obserwowali, jak chłopiec

z krzykiem spina boki kucyka, zmuszając go najpierw do cwału, a potem do galopu. Zbliżał się do przeszkody zbyt szybko. Wyglądał jak pchła na grzbiecie konika, ściskając w dłoniach jego grzywę i wodze, zadzierając kolana aż na jego uszy. Raczej nie było szans, żeby nie spadł. Ksantyppos poczuł nagły strach, że za chwilę stanie się świadkiem śmierci własnego dziecka. Czy wraz z wiekiem pojawia się w człowieku nadmierna skłonność do obaw? Czy wiek osłabia ducha i przez to odbiera chęć podejmowania ryzyka? Nie... Perykles właśnie wziął przeszkodę, kopyta kucyka zadudniły na powrót o ziemię, a chłopak wydał dziki okrzyk radości.

Córka podskoczyła z entuzjazmem, klaszcząc w dłonie. Ksantyppos uśmiechnął się, kiedy odwróciła się do niego, i przez chwilę był po prostu szczęśliwy.

Jej wzrok prześlizgnął się po jego twarzy i natychmiast zmarszczyła czoło. Ksantyppos popatrzył za synem, który zawrócił, niemal leżąc na końskim grzbiecie i radośnie szepcząc coś zwierzęciu do ucha. Kilkakrotnie poklepał kuca tak mocno, że wzbił kurz z jego grzbietu.

W kierunku Ksantypposa i Eleni szło dwóch mężczyzn. To Manias eskortował kogoś obcego. Widząc nerwowe ruchy przybysza, Ksantyppos poczuł, jak opuszcza go dobry nastrój. Chwile, które spędzał z dziećmi, były zupełnie prywatne i wprost bezcenne. Nie życzył sobie, żeby ich świadkiem był ktoś obcy. Posłał Maniasowi nieprzyjemne spojrzenie, pod którym niewolnik opuścił głowę i się zaczerwienił.

– Przepraszam, panie – powiedział. – Ten obywatel jest posłańcem zgromadzenia. Powiedział, że ma ważną sprawę i koniecznie chce z tobą rozmawiać.

– Przysyła mnie Epikleos – odezwał się młody człowiek, zdawkowo się kłaniając.

Wyrównał już oddech, lecz był bardzo spocony. Lśniące krople spływały mu po szyi. Słońce wciąż wznosiło się na niebie. Ksantyppos nie pamiętał, by kiedykolwiek wcześniej go spotkał, chociażby podczas wspólnych biegów.

– No i? – zapytał nagle zniecierpliwiony.

Wahanie młodego człowieka wzbudziło w nim najgorsze obawy.

– Mam ci powiedzieć, że zgromadzenie przygotowuje się do głosowania nad wygnaniem z miasta. Właśnie łamią skorupy.

– Kogo chcą wygnąć z Aten? – zapytał.

– Ciebie, panie. Przykro mi. Powinieneś tam pójść. Natychmiast, chociaż może jest już za późno.

Ksantyppos bezwiednie poruszył ustami. Perykles na kucyku dotarł do nich i zeskoczył na ziemię. Wodze trzymał owinięte wokół piąstki. Nie słyszał rozmowy dorosłych i wciąż był uśmiechnięty od ucha do ucha, czekając na pochwałę, na którą z pewnością zasłużył. Powoli jednak jego uśmiech zaczął blednąć i zastąpiła go konsternacja.

Eleni była wstrząśnięta. Nie wierzyła własnym uszom.

– Ale dlaczego? – zapytała.

Ksantyppos na chwilę zacisnął szczęki.

– To zemsta – odpowiedział córce. – Ale będą potrzebowali sześciu tysięcy głosów, żeby się mnie pozbyć. To wcale nie takie łatwe. I jeszcze nie dopięli swego.

Nie dodawszy już ani słowa, ruszył biegiem do bramy. Na pewno Manias przekaże informację Agaryście albo zrobią to dzieci. Posłaniec z poważną miną zaraz go dogonił. Po chwili biegli drogą do Aten, nad którymi unosiły się kuchenne zapachy z dziesięciu tysięcy domostw, a ich mieszkańcy mieli zdecydować o losie Ksantypposa.

24

Kiedy Ksantyppos zjawiał się na miejscu, Pnyks wciąż zapełniał się obywatelami w białych lnianych szatach. Epikleos czekał na niego poniżej kamienia mówcy. Gdy wreszcie dostrzegł przyjaciela, na jego twarzy zagościła pewna ulga.

– Co się dzieje? – zapytał ponuro przybyły. Rzucił posłańcowi dwie srebrne drachmy.

Mężczyzna uklonił się i odszedł.

– Kimon zażądał tego wczoraj wieczorem na posiedzeniu rady. Chciał, żeby głosowanie odbyło się z samego rana. Posłałem po ciebie, kiedy tylko się dowiedziałem.

– Wciąż obwinia mnie o śmierć ojca. – Ksantyppos zaklął pod nosem.

Epikleos pokiwał głową i ciężko westchnął. Wieść, że na Pnyks przybył Ksantyppos, szybko zaczęła się rozchodzić i wiele twarzy skierowało się w jego stronę. Wytrzymał spojrzenia bez mrugnięcia okiem, nie pozwalając, aby któryś z mężczyzn pomyślał, że się boi albo wstydzi. Przed głosowaniem nad ostracyzmem nie były dozwolone żadne przemówienia. Prawo, które miało na celu odarcie z władzy tyrana, egzekwowano w niemal absolutnej ciszy. Musiało tak być, bo inaczej jakiś doskonały mówca mógłby przeciągnąć tłum na swoją stronę i uchronić tyrana przed wygnaniem. Ksantyppos zorientował się, że uważnie go obserwują scytyjscy łucznicy, gotowi zaciągnąć go do celi, gdyby w jakiś sposób spróbował wpłynąć na rozgrywające się wydarzenia.

– Nie wierzę, że syn Miltiadesa ma aż tylu zwolenników! – szepnął gorzko do ucha przyjaciela. – Czy ta rodzina natrafiła na jakąś żyłę złota?

Epikleos nie odpowiedział mu od razu. Skrzywił się, jakby się wgrzyzł w niedojrzały owoc.

Przed nimi na Pnyksie stała wielka gliniana urna. Chodzili wokół niej mężczyźni, których Ksantyppos nigdy dotąd nie spotkał i nie rozpoznałby w tłumie. Każdy trzymał w ręku ostrakon i mógł wyryć w wypalanej glinie imię „Ksantyppos”. Jeżeli uczyni tak jedna trzecia głosujących, jeżeli sześć tysięcy mężczyzn wrzuci zapisane skorupy do urny i tym samym zagłosuje za wygnaniem go z Aten, to wystarczy. Jego los będzie przesądzony.

– Może powinienem stanąć przy urnie i każdemu głosującemu patrzeć w oczy?
– wyszeptał znowu do przyjaciela.

Epikleos po chwili zastanowienia pokręcił głową.

– To może ich rozzłościć. Lepiej trzymaj się z daleka, Ksan, i módl się. Może jednak twoi przeciwnicy nie zbiorą wystarczającej liczby głosów?

– A oto i on – powiedział Ksantyppos i poklepał towarzysza po ramieniu.

Epikleos zobaczył, jak Kimon wchodzi po schodach, zmierzając do kamienia mówcy. Kiedy znalazł się przy urnie, wrzucił do niej ostrakon. Zanim wypuścił go z dłoni, znieruchomiał na chwilę i popatrzył w dół, na Ksantypposa. Jego twarz była nieprzenikniona, oczy skrywał pod kapturem. Mimo to obaj dostrzegli w nich mściwość.

– Nikt nie potrafi tak nienawidzić jak młody człowiek – mruknął Epikleos.

– Jak bardzo młody człowiek – odparł Ksantyppos cicho. – Ale czy zdoła zgromadzić sześć tysięcy głosów, żeby mnie potępić? Przecież jestem *marathonomachos*! Moja rodzina to eupatrydzi, bogaci właściciele ziemscy! Karmimy Ateńczyków! Na wszystkich bogów, przecież to wuj Agarysty stworzył prawo, które teraz wymierza się przeciwko mnie!

– Uspokój się, Ksan. Spójrz tam... widzisz Arystydesa?

– Co? Przecież on nie zagłosuje przeciwko mnie! Jest człowiekiem honoru!

Opadła mu szczeka, kiedy Arystydes po schodach zbliżył się do urny. Wyciągnął przed siebie rękę i obrócił ją, żeby wszyscy wokół zobaczyli, że nie ma w niej ostrakon. Wreszcie pokręcił głową i wrócił na swoje miejsce. Ksantyppos głęboko odetchnął. Poczł wielką ulgę, a jego ręce nagle zrobiły się bardzo zimne. Kiedy Arystydes popatrzył w jego stronę, pochylił głowę. Drżał.

– Zachował się sprytnie – wyszeptał Epikleos. – I... odważnie.

Scytyjscy strażnicy mieli groźne miny. Kimon nerwowo coś tłumaczył dwóm z nich, wymachując rękami. Nikt nie mógł wpływać na przebieg głosowania. Arystydes zaryzykował, że zostanie wtrącony do więzienia za to, że zademonstrował swój niesmak wobec tego, co się działo.

– To dobry człowiek – powiedział Ksantyppos. – Zawsze o tym wiedziałem.

– Modlę się, żeby to wystarczyło...

Zapanowało poruszenie, kiedy z tłumu wynurzył się Temistokles, niczym skała wystająca ponad toń spokojnej wody. Szybko wbiegł na schody. Ksantypposowi szybciej zabiło serce. Nie ośmielał się żywić nadziei.

– Jeżeli zachowa się tak samo jak Arystydes, to chyba przetrwam. Dzięki bogom za Arystydesa. Pokazał wszystkim, jak należy postąpić.

Razem z Epikleosem obserwował, jak Temistokles podchodzi do urny i otwiera dłoń. Znajdował się w niej kawałek czerwonej ceramiki. Odwrócił się i patrząc w oczy Ksantypposowi, wrzucił ostrakon do urny. Nad Pnyksem rozległ się pełen respektu szmer.

Ksantyppos poczuł, że krew odpływa mu z twarzy i rąk.

– O, nie... – wyszeptał.

Epikleos miał oczy szeroko otwarte ze zdumienia.

– Dlaczego to zrobił? Myślałem, że jesteście... przyjaciółmi, że się wspieracie! Do diabła z nim, on cię zdradził, Ksan!

Podniósł głos, a łucznicy natychmiast podeszli bliżej, gotowi egzekwować obowiązek zachowania ciszy. Ksantyppos jak przez mgłę dostrzegł, że trzymają w rękach pałki. Był pewien, że go zaatakują, i opuścił dłoń do pasa, szukając

miecza, który powinien się tam znajdować. Ale natrafił jedynie na fałdy lnianego chitonu i swoje gołe nogi.

Tymczasem Temistokles wrócił na miejsce. Nie spojrział już drugi raz na Ksantypposa. Słońce sięgnęło zenitu i ci, którzy oddali głos, ruszyli na agorę, żeby kupić coś do jedzenia i dzbanek wina z wodą. Życie i handel trwały w najlepsze, kiedy epistates po raz ostatni wezwał do oddawania głosów. Po chwili zapieczętował urnę, wykorzystując do tego pasek płótna zamoczony w płynnym wosku. Nad Pnyksem zabił dzwon. Ksantyppos się nie ruszał. Chociaż bolały go kolano i krzyż, stał niemal na baczność, jak żołnierz. Miał poważną minę i milczał.

Woskowa pieczęć nie zdążyła nawet zastygnąć, gdy ją rozerwano. Liczenie głosów miało się odbyć natychmiast i zakończyć cały proces. Ksantyppos mógł podejść do liczących i oglądać każdy ostrakon, nie był jednak w stanie ruszyć się z miejsca. Upokorzenie wprost wbiło go w ziemię. Widząc to, Epikleos położył mu dłoń na ramieniu.

– Zadbam, żeby wszystko odbyło się uczciwie, Ksan, nic się nie martw.

Wszedł na kamień mówcy i przyglądał się, jak rozstawiają stoły i nakrywają je białym płótnem. Odpowiadała za to fyle, która w tym miesiącu kontrolowała radę, jednak przedstawiciele fyli Ksantypposa, Akamantis, byli obserwatorami, pilnując liczenia głosów w imieniu najznamienitszego ze swoich synów. Epikleos chodził między nimi, gdy ostrakony wysypano z urny i się zaczęło. Każdy kawałek z imieniem Ksantypposa spisywano i wrzucano z powrotem do urny. Następnego dnia wyląduje w jakiejś dziurze jako zwyczajne śmieci. Nikt nie będzie pamiętał, że jeszcze niedawno zadecydowały o losie człowieka.

Liczenie trwało, każdy głos ranił Ksantypposa, który nie mógł zapobiec temu, że jego życie rozsypuje się w gruzy. Urzędnicy sprawdzali głos po głosie, spisywali je na specjalnych tabliczkach, a tymczasem słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Kiedy policzono sześćtysięczny głos, Ksantyppos zachwiał się, jakby ktoś uderzył go w głowę. Od długiego stania bolało go kolano, lecz nie zamierzał okazywać ludziom, którzy go zniszczyli, jak wielki trawi go ból.

Kimon wpatrywał się w niego, koniecznie chcąc, aby uchwycił jego spojrzenie i zobaczył triumf w jego oczach. Ksantyppos nie wiedział, czy Temistokles wciąż znajduje się na swoim miejscu. Nie zamierzał patrzeć na człowieka, który przyczynił się do jego upadku. Był skończony.

W końcu doliczono się niemal siedmiu tysięcy głosów. To w zupełności wystarczało. Ogłoszono wynik głosowania, następnie powtórzono go kilkakrotnie i wtedy ponad tłumem uniosły się gniewne okrzyki. Zaczęły się przepychanki pomiędzy tymi, którzy się cieszyli, i tymi, których wynik zbulwersował.

Ksantyppos prawie nie zauważył Epikleosa, gdy ten do niego podszedł i ujął go pod ramię, żeby się nie przewrócił. W jego oczach nie było łez, lecz przez cały dzień stał w jednym miejscu i kontury świata zaczęły mu się rozmazywać. Wydawał się jakby miękki i dziwnie mglisty. Odwrócił głowę i zerknął na przyjaciela.

– Od jutrzejszego świtu będziesz miał dziesięć dni na opuszczenie miasta – poinformował go Epikleos. – Przykro mi, Ksan.

– Znam prawo. Poprowadź mnie, dobrze?

Czuł się jak zazwyczaj po długiej bitwie, coraz bardziej zmęczony, a jednocześnie nie był w stanie zapanować nad szalonym biciem serca.

Nie zatrzymywali się, nie odzywali do nikogo ani słowem. Tłum rozstępował się przed nimi. Niektórzy wykrzykiwali obelgi, a inni w geście współczucia próbowali dotknąć dłoni Ksantypposa. Wielu stało ze zwieszonymi głowami, kiedy przechodził obok; zapanowała atmosfera jak na pogrzebie. Można było odnieść wrażenie, że Ksantyppos naprawdę dzisiaj umarł. Nagle zrobiło się zamieszanie, kiedy Kimon próbował się do niego przedostać, lecz tłum zgodnie powstrzymał młodzieńca. Nikt nie wątpił, że Ksantyppos nie zasługuje na kolejne poniżenie. Jednym z tych, którzy najbardziej energicznie bronili dostępu do niego, był Arystydes.

Ksantyppos kilkakrotnie głęboko odetchnął, kiedy dotarł do Bramy Triazyjskiej. Następnie powoli ruszył wzdłuż cmentarza. Pomędzy ścieżkami, z dala od głównej alei, widoczny był grób Miltiadesa. Ksantyppos przez chwilę

chciał tam podejść, przekazać zmarłemu wyrazy szacunku i pogratulować mu syna.

– Dlaczego Temistokles głosował tak, jak chciał Kimon? – zapytał Epikleos po długim milczeniu.

– Ponieważ się go nie boi. Temistokles chce rządzić, sam to powiedziałeś. Powinienem być cię posłuchać. Powinienem... Ach, jakie teraz ma to znaczenie? Dziesięć lat! Przez dziesięć lat nie będę mógł wrócić do domu? A co z moimi dziećmi? Z żoną?

– Chyba będą mogły cię widywać? Nie wiem, jakie masz posiadłości, ale skoro musisz opuścić tę część Grecji, pozostaje wiele innych miejsc.

– Nic nie dorówna życiu, jakiego tutaj zaznałem! – wykrzyknął Ksantyppos. – Jeżeli zamieszkam w Delfach albo w Koryncie, albo w Tebach, jak często będę widywał Agarystę i dzieci, skoro będą nas dzielić tygodnie podróży niebezpiecznymi drogami? Jak myślisz? – Przyśpieszył kroku, coraz bardziej oddalając się od miasta. – Jestem skończony. Moim domem są Ateny, a oni mnie z niego wyrzucili.

Dotarł do bramy posiadłości i uniósł rękę, żeby w nią uderzyć, lecz zawahał się.

– Całe życie poświęciłem Atenom – dodał. – Dlatego są moim domem.

Po raz pierwszy w jego oczach zalśniły łzy i Epikleos mocno go objął.

– Chcesz, żebym wszedł z tobą i pomógł ci wyjaśnić wszystko rodzinie? – zapytał.

Ksantyppos pokręcił głową. Już się zastanawiał, co powiedzieć dzieciom. Jego dzień rozpoczął się chwilą szczęścia. Wydawało się, że wieczór zaczyna się w innej erze, w zupełnie innym życiu.

* * *

Kimon wciąż miał ściągniętą twarz i mocno zaciskał szczęki, starając się nie chełpić triumfem, nie okazywać radości. Razem z najbliższymi przyjaciółmi

poszedł do tawerny, żeby się najeść i napić. W połowie dnia wypadło zjeść tylko lekki posiłek, lecz wszyscy byli przede wszystkim spragnieni po długich godzinach spędzonych pod gołym niebem. Dlatego młodzi ludzie wypili dużo wina, a jedli niewiele. Było ich około czterdziestu. Świątowali aż do zachodu słońca.

Stanąwszy na progu gospody, Kimon patrzył przez chwilę na Ateny zamglonym wzrokiem. W jego żyłach płynęło wino i rozlewała się rozkosz po wielkim zwycięstwie. Już nie pamiętał, ile toastów wzniósł za ojca. Co jakiś czas pozdrawiał go nieskładnie, a izba wirowała mu przed oczami. Czuł się jednak doskonale, a po ogromnym sukcesie nikt nie mógł mu zabronić pić wina za trzech! Czasami, kiedy pił, upominała go matka. Jeden z jej wujów był strasznym opojem, dlatego kiedy widziała, że jej syn unosi kubek z winem, groziła mu palcem i przypominała, jakim zagrożeniem jest dla człowieka nieumiarkowane pijaństwo. Zdarzało się, że pił na umór tylko dlatego, żeby utopić w winie jej głos.

Młodzi ludzie tak długo bawili się za jego srebro, że wreszcie cała grupa zmieniła się w rehotliwą, wrzaskliwą hałastrę. Właściciele tawerny ze łzami w oczach spoglądali na rozochoconych młodzików. Kiedy przyszedł Arystydes, zapadła nagle cisza. Radość jakby się ulotniła, a młodzieńcy popatrzyli na niego jak zaspane sowy.

Kimon poczuł przyływ złości, gwałtownie wstał, a potem niemal się przewrócił, bo pomieszczenie zakołysało mu się przed oczami. Zdołał jednak utrzymać się w pionie, złapawszy oparcie krzesła.

– Czego tutaj chcesz, Arystydesie? Nie wolno mi napić się w spokoju, w towarzystwie kilku przyjaciół?

Arystydes próbował mu odpowiedzieć, lecz młodzieńcowi wpadła do głowy kolejna myśl i kontynuował:

– A może przyszedłeś mi pogratulować? Co? Chyba powinienes.

– Nie przyszedłem w tym celu – odparł wreszcie mężczyzna. – Po prostu zastanawiam się, czy twój ojciec byłby tak zadowolony jak ty.

– Na pewno. O to się nie martw.

Kimon przyjął wojowniczą postawę, bezwiednie wydał dolną wargę. Nie stracił jednak resztek rozumu. Wiedział, że jest zbyt pijany, by wszczynać bijatykę. Arystydes nie był słabeuszem.

– Ty i Temistokles pozbawiliście Ateny stratega, dowódcy wojennego. Wydaje ci się, że takich ludzi można znaleźć na każdym rogu?

– Być może! – zawołał Kimon. – Może ja także zostanę strategiem, tak jak mój ojciec!

– Jestem pewien, że tak, chyba że wcześniej zniszczy cię wino. Niemniej dzisiaj poważnie osłabiliście miasto. Ty w imię zemsty, ale dlaczego Temistokles? Z powodu ambicji? A może chciał usunąć zagrożenie ze swojej drogi?

– W imię zemsty? W imię sprawiedliwości! Ale mów dalej, starcze, nie krępuj się – rzucił Kimon groźnie.

Był bardzo pijany. W pewnej chwili zaczął wymachiwać palcem w powietrzu. Jeden z przyjaciół spróbował złapać go za rękę, ale go odepchnął. Tymczasem Arystydes kontynuował, irytująco spokojny i nieustraszony.

– Jeżeli następnego lata znów pojawią się Persowie, nie będziemy mieli Ksantypposa. To oznacza dla nas wielką stratę. Chcę się upewnić, że rozumiesz, co uczyniłeś.

Kimon świdrował go przenikliwym wzrokiem. W głowie kotłowało mu się mnóstwo argumentów, lecz nie potrafił ubrać ich w słowa, aby odpowiedzieć Arystydesowi. Po chwili starzec tylko pokiwał głową i wyszedł na ulicę. Młodzieńcy w tawernie zaczęli z niego szydzić i drwić, odczekali jednak, aż zniknie za drzwiami. Kimon opadł na krzesło i zażądał kolejnego dzbana wina.

– Myślę... – odezwał się. – Myślę, że ojciec byłby zadowolony, że podjęliśmy... te kroki. Myślę, że powinniśmy jeszcze dużo wypić, żeby uczcić jego pamięć. Dzisiaj musimy pić.

W tawernie rozległy się gromkie wiwaty, kiedy rzucił właścicielowi woreczek pełen srebra. Oczy mężczyzny się rozszerzyły i natychmiast wysłał żonę do

piwnicy, żeby przyniosła tyle wina, ile tylko zdoła.

25

Ksantyppos stał przy wozie zaprzężonym w dwa konie, który miał go zawieźć na północ, a potem na zachód na Peloponez. Jego domem na lata wygnania miał zostać Korynt. Miasto leżało w odległości niecałych trzech dni podróży od jego posiadłości i dzieci. Znajdowało się poza Attyką, mógł więc się tam osiedlić zgodnie z literą prawa. Poza tym dla niego było to miejsce równie dobre jak każde inne. Nie były to Ateny. To nie był jego prawdziwy dom. Dla człowieka o jego pozycji każde inne miejsce na świecie było takie samo.

Był już gotów. Dziesięć dni minęło bardzo szybko, dobijał ostatnich interesów z ostatnimi kontrahentami, płacił robotnikom. Towarzyszyło temu trochę chaosu, mógł jednak powiedzieć, że zostawia rodzinną posiadłość w jako takim porządku.

Agarysta przyprowadziła do niego dzieci. Załadowawszy na wóz skrzynię srebra oraz zbroję i broń, na drogę wynajął czterech hoplitów. Czekali w pełnej szacunku postawie, kiedy strateg klękał i przyciskał do piersi najmłodszego Peryklesa. Chłopak drżał z żalu, wciąż nie mogąc pojąć, dlaczego ojca zesłano tak daleko od domu. Dla dziecka w jego wieku dziesięć lat stanowiło niewyobrażalnie długi okres, właściwie całą wieczność, a ukochany ojciec zniknął z jego młodego życia akurat wtedy, kiedy zaczął go poznawać. Gdy zaczął podejmować pierwsze próby jego naśladowania. Chłopiec załkał, a Eleni go uciszyła, przycisnąwszy jego twarz do swojego ramienia.

Ksantyppos objął ich oboje i przycisnął do siebie. W ich włosach czuł zapach trawy i koni. Przez ostatnie dziesięć dni spędził z dziećmi więcej czasu niż przez

miniony rok. Chodziły za nim jak zbłąkane owce, a on cieszył się, słuchając, jak do niego mówią, jak się śmieją. Nawet Aryfron, który chętniej przebywał w towarzystwie matki, teraz jakby zbliżył się do ojca. Tego poranka chłopak miał zaczerwienione oczy, wcześniej długo starał się powstrzymać łzy, lecz w końcu wybuchnął płaczem.

– Zobaczmy się, kiedy przyjedziecie z mamą do mnie – powiedział Ksantyppos. – Potrzebuję tylko trochę czasu, żeby znaleźć jakieś wygodne miejsce. Ale to nie potrwa długo, obiecuję.

Prawda była jednak inna. Drogi między miastami roiły się od niebezpieczeństw. Każda wyprawa z konieczności przekształcała się w zbrojną ekspedycję poruszającą się bardzo powoli. Wiedział, że będzie szczęściarzem, jeżeli zdoła widywać dzieci raz lub dwa razy w roku. Wiele zależało od Agarysty.

– Nie chcemy, żebyś wyjeżdżał – powiedział Perykles.

Ojciec pokiwał głową. Słowa najmłodszego syna zaboląły, jakby ktoś ostrzem przeciągnął mu po żebrach. On także nie chciał ich opuszczać.

– Prawo jest prawem, synu. Żyję i cieszę się, że nie postanowiono odebrać mi życia. Mogę mieszkać gdziekolwiek, byle nie w Atenach i w Attyce. To nie jest aż takie trudne. Tylko że strasznie mnie od was oddala. To jest...

Nie mógł mówić. Doskonale wiedział, że wyrok zostanie w pełni wyegzekwowany. Gdyby wrócił do Aten przed upływem dziesięciu lat, zostałyby stracony. Nakazał sobie zachować spokojną godność w obliczu tej prawdy. Łzy i lament nie mogły niczego zmienić, musiał z honorem poddać się swojemu losowi.

Ale trudno mu było obejmować po kolei dzieci, słuchać ich płaczu, widzieć ich niedowierzanie. Dotknął palcem oka, ocierając z niego nieposłuszną łzę. Wreszcie po raz ostatni przycisnął do siebie całą trójkę, wszystkie ramionka, pochylone głowy, wycalował zapłakane oczy, milcząc w wielkiej rozpacz.

– Teraz to wy musicie się opiekować mamą i siostrą – powiedział do Aryfrona i Peryklesa. – Rozumiecie? Jesteście w rodzinie moimi przedstawicielami. Nim

znowu przekroczyć tę bramę, będziecie dorosłymi mężczyznami. Wówczas musicie już być gotowi do zajęcia należnego wam miejsca w zgromadzeniu.

– Zniszczę je – mruknął Perykles.

Jego ojciec się roześmiał.

– Nie. Wtedy będziesz już wiedział, że na świecie nie istnieje nic wspanialszego. Nic lepszego od władzy inteligentnych ludzi, prawych i przyzwoitych. Niemających nad sobą żadnych wodzów, a zatem równych wobec prawa. Taka władza nie jest pozbawiona wad... ale przez całe życie nie widziałem nic lepszego.

Chłopiec pokiwał głową, chociaż nie pogodził się ze słowami ojca. Dzieci się cofnęły i Ksantyppos podszedł do Agarysty. Jego młoda żona miała w dłoniach rąbek sukni. Ona także miała zaczerwienione oczy, ale widział w nich nie tylko żal. Spojrzenie kobiety oskarżało.

Poprzedniej nocy kłócili się aż do zachrypnięcia. Agarysta była zanadto przyzwyczajona, że mnóstwo rzeczy można narzucić siłą, by przyjąć do wiadomości, że jej mąż potulnie zamierza wyjechać z Aten. Zaciskała szczęki, jej twarzy nie opuszczał wyraz buntu. Powiedziała mu, że jej wuj nigdy by się z czymś takim nie pogodził. Jeśli Ksantyppos ją kocha, jeżeli jej wybaczył – jak sam powiedział – on również nie ma prawa przystać na wygnanie.

Odparł, że wtedy przeżyłby jeszcze tylko jeden dzień. Zgromadzeniu nie można się sprzeciwiać, nie można ignorować wyników głosowania.

– Proszę, zostań – powiedziała teraz.

Ujął jej ramiona i przycisnął ją do siebie.

– Nie mogę, Agarysto – odparł znużonym głosem.

– Zostań i walcz o siebie.

– Wywołałbym wojnę domową, kochana.

Gdy usłyszała ostatnie słowo, znieruchomiała. Nie użył go, odkąd znalazł ją w zakrwawionej pościeli.

– Tak? I co z tego? Jesteś tego wart.

– Nie, kochana, nie jestem. I nie wygralibyśmy takiej wojny: przeciwko Kimonowi, synowi Miltiadesa, przeciwko Temistoklesowi, a może nawet Arystydesowi. Stracilibyśmy wszystko, a ty i dzieci już nigdy nie byłibyście bezpieczni. Teraz chodzi tylko o dziesięć lat.

Własne słowa zabrzmiały w jego uszach jak ponury żart. Dziesięć lat poza Atenami! Z dala od teatrów, rynków, polityki, sporów i sądów. Od bijącego serca Attyki i całej Hellady. Dziesięć lat z dala od wielkiego portu w Pireusie i handlu na Morzu Egejskim. Dziesięć lat bez gimnazjonów i mężczyzn, którzy z bronią w ręku stoją na straży miasta. Na świecie nie istniało nic, co równałoby się z Atenami. Czekало go dziesięć lat pustego, bezbarwnego życia.

– Przepraszam cię za ten napar – wyszeptała Agarysta.

Pokiwał głową. Pochylił się tak, żeby dotknąć policzkiem policzka żony.

– Ja też cię przepraszam. Za to, w jaki sposób zareagowałem. Dopiero tracąc wszystko, potrafię zrozumieć, co jest dla mnie najcenniejsze. – Pocałował ją czule i jeszcze raz mocno objął. – Gdy będziesz czegoś potrzebowała, nie wahaj się prosić o pomoc Epikleosa. Nie odmówi żadnej twojej prośbie i możesz mu ufać. Prześlę wiadomość, kiedy znajdę dom w Koryncie. Przyjedź wtedy do mnie razem z dziećmi.

– Będę liczyła dni – odparła.

Uniosła głowę, chcąc, żeby mąż jeszcze raz ją pocałował. Poczul na jej ustach słone łzy.

– Dosyć – rzucił szorstko. – Muszę już jechać.

Wysunął się z jej objęć, poklepał po policzkach dzieci i wszedł na wóz. Stanął na ławeczce i odjeżdżając, patrzył, jak ich sylwetki stają się coraz mniejsze.

– Do widzenia! – zawołał.

Perykles i Eleni wtulili się w mamę, a Aryfron uniósł rękę w geście pożegnania. Ksantyppos trzasnął lejcami, zmuszając konie do klusa. Czterej hoplici wskoczyli na wóz, gotowi bronić woźnicy oraz jego dobytku przed złodziejami i włóczęgami. Ksantyppos nakazał sobie patrzeć tylko przed siebie, lecz w końcu się odwrócił i popatrzył na ledwie już widoczne małe postaci.

Wreszcie kurz unoszący się za wozem i jaskrawe słońce sprawiły, że zniknęły mu z pola widzenia.

* * *

Była wiosna. Arystydes szedł ulicami Keramejkosu, wracając z portu. Odwiedził Pireus, żeby sprawdzić księgi i postępy w budowie wielkiej floty. Robotnicy przyzwyczaili się już do jego nadzoru i nauczyli się odpowiadać na pytania szybko i grzecznie, tym bardziej że zdążył już wyrzucić sześciu urzędników za korupcję. Zastąpił ich ludźmi, których znał i którym ufał.

Wciąż dochodziło do marnotrawstwa; taka już była natura wielkich projektów. Zdarzało się, że zakupione drewno okazywało się zgniłe i stoczone przez robaki. Oliwa i smoła znikwały, niby przypadkowo rozlane, z alarmującą regularnością, a robotnicy nadzwyczaj często niszczyli i gubili narzędzia. Arystydes podejrzewał, że część zabierają do domów albo sprzedają na rynkach, trudno jednak było to udowodnić. Miasto musiało dostarczać nowych narzędzi, a koszty zakupu zapisywano na cierpliwym egipskim papirusie i umieszczano w księgach rachunkowych.

Arystydes uśmiechnął się na myśl o wielu nowych stępkach, o postępach w budowie i o pracowitości ludzi. To prawda, że sprzeciwiał się wydaniu srebra z Laurion na okręty, lecz w gruncie rzeczy chodziło mu raczej o to, żeby publicznie przeciwstawić się Temistoklesowi. Tak naprawdę się z nim zgadzał, ale wszystkie otwarte spory ożywczo wpływały na demokrację i prowadziły do najlepszych rozwiązań. W głębi serca Arystydes uważał, że Ateny zawsze będą potrzebowały wojennych trier. Był pewien, że bitwa pod Maratonem nie zlikwidowała zagrożenia ze strony Persji. Nie przyczyniła się do tego tym bardziej masakra na Paros, gdzie Miltiades zaprzepaścił wielką szansę pokonania Persów w ich własnym bastionie.

Krażyły plotki, że w Jonii są już całe perskie garnizony, sprowadzone na zachodnie wybrzeże ich imperium, gdzie graniczy ono z dziesięcioma wyspami

rzządzonymi przez Greków. Kupcy powracali z opowieściami, że na tamtejszych rynkach pojawiają się aroganccy perscy wojownicy, że ich urzędnicy opodatkowują wszelką działalność i że niedola spada na każdego, kto na żądanie inspektorów nie jest w stanie się wykazać.

Arystydes odbierał to jako dowód zaciskania się perskiej pięści na terenach, które jeszcze niedawno wydawały się wystarczające odległe, by pozostawać pod wpływami Greków lub cieszyć się niezależnością. Bardzo się tym martwił. Dzisiaj po południu miał przedstawić finanse portu na forum rady. Zastanawiał się, czy nie wygłosić bardziej ogólnej mowy na temat wzmożonych działań Persów.

Myśl o takim wystąpieniu nie budziła w nim entuzjazmu. Jeśli będzie go słuchał Temistokles, a przecież nie opuszczał żadnego posiedzenia rady, w każdej kwestii zaprezentuje odmienne zdanie, bezczelny i władczy, jeśli zechce, albo protekcyjny, jakby przemawiał do dzieci. Jego arogancja była ogromna, jednak prawdopodobnie nawet on będzie musiał w końcu przyznać, że zagrożenie ze strony imperium jest coraz większe. W przeszłości król Dariusz prawie nie zwracał uwagi na daleki zachód, na setki miast położonych tysiące mil od jego pałaców i serca terytoriów, którymi władał. Zmieniło się to wraz z buntem jońskim i spaleniem Sardes, a kolejną zmianę przyniosła bitwa pod Maratonem. Właśnie wtedy król Dariusz zwrócił się w stronę Hellenów. Stracił ochotę na spokojne drzemki i leniwe popijanie soku brzoskwiniowego, przypomniał sobie o zachodnich krańcach imperium. Nie zwiastowało to niczego dobrego.

Arystydes odepchnął od siebie tę myśl, jakby oganiał się od muchy, która przysiadła mu na twarzy. Całą Persję pokrywała sieć dróg, którymi posłańcy przewozili listy, szlachetne kamienie i opowieści z obszarów położonych w centrum. Kupcy, podróżujący w długich karawanach, zabierali na wschód niewolników i wonne olejki, z których powstawały perfumy o najwspanialszym na świecie zapachu. Wracali z historiami o potworach i mężczyznach przyobleczonych w złoto, o cętkowanych kotach wielkich jak lwy, o ogromnych zwierzętach z kłami zdobionymi srebrem. Więcej niż połowę tych wieści

stanowiły nieskładne fantazje opowiadane dla rozrywki, ale człowiek, który potrafił oddzielać ziarno od plew, każdego dnia w Pireusie mógł się dowiedzieć czegoś wartościowego.

Arystydes słuchał kapitana próbującego sprzedać radzie statek, gdy opowiadał o swojej ostatniej wyprawie na wschód. Wiózł ładunek ambry, którą można było palić jako kadzidło albo wyrabiać z niej perfumy. Mężczyzna był potężnej postury Rzymianinem, nosił kapelusz z krótkimi pawimi piórami, a twarz miał tak zniszczoną przez słońce i wiatr, że skóra na niej wyglądała jak poprzecinana szwami. Arystydes zainteresował się dziwnym ładunkiem: były to jakieś ciężkie czarne bryły. Kapitan zdążył już znaleźć nabywcę i był w doskonałym nastroju. Właśnie od niego Arystydes usłyszał pogłoski, że król perski jest zbyt chory lub stary, żeby poprowadzić kolejną kampanię. Taka informacja docierała do niego już drugi raz, nie potrafił jednak stwierdzić, czy jest prawdziwa. Plotki i pogłoski żyły własnym życiem, były jak wąż zjadający własny ogon. Osoby rzekomo dobrze poinformowane potwierdzały prawdziwość fałszywych przekazów, jeżeli tylko usłyszały je dwukrotnie albo jeśli powtarzały się one przynajmniej w dwóch przybrzeżnych miastach. Trudno było zatem powiedzieć, czy tkwi w nich ziarno prawdy i – co najważniejsze – czy wiadomości są dobre czy złe dla Aten.

Tłumy rozlewały się po Keramejkosie. Ludzie kupowali gliniane naczynia lub sprzedawali swoje produkty. Ta część miasta była hałaśliwa i zazwyczaj mało przyjemna. Koła garncarskie znajdowały się tutaj w każdym małym warsztacie i w każdym domu; zgrzytały i skrzypiały napędzane pedałami, za których pomocą rzemieślnicy bezustannie nimi obracali. Garncarze zawsze byli brudni, a mokra glina kleiła się do ich skóry i włosów. Mawiano, że naciskają pedały nawet przez sen.

Arystydes chciał pospacerować i spokojnie pomyśleć, dlatego zgiełk tej dzielnicy mu przeszkadzał. Na szczęście niedaleko rozciągała się agora i wiedział, że tam na pewno znajdzie spokojne miejsce. Pomyślał, że mógłby też pójść na Areopag i posłuchać mów. Akurat tego dnia odbywały się rozprawy

sądowe i miasto dodatkowo tętniło życiem, a sędziowie z demów mieszały się z falującymi tłumami.

Dostrzegł przed sobą mężczyznę, który stał na środku ulicy, wpatrywał się w coś, co trzymał w ręce, i głośno przeklinał. Chciał go wyminąć, nie interesując się, czy jest on szalony, czy też z jakiegoś konkretnego powodu tak się zachowuje, tamten jednak zauważył go i uniósł rękę.

– Potrafisz pisać, panie? Mógłbyś mi pomóc?

Arystydes dostrzegł, że mężczyzna trzyma kawałek ceramiki, trójkąt, który odpadł od jakiejś starej lub wyrzuconej misy. Ulica przecinająca Keramejkos zaśmiecona była ceramicznymi odpadkami znacznie mniejszymi od tego w ręce mężczyzny, co stanowiło wspomnienie po długich wiekach wypalania gliny i chaotycznego pozbywania się uszkodzonych bądź niepotrzebnych naczyń.

– Co zamierzasz? – zapytał go.

Wyraz twarzy tamtego zmienił się w jednej chwili, jak u dziecka. Pojawił się na niej szczerzy uśmiech, dlatego Arystydes ucieszył się, że przy nim przystanął.

– Chciałbym wyryć imię na tym ostrakonie, żeby zagłosować.

W drugiej ręce trzymał rysik garncarski służący do zdobienia najtańszych naczyń przed ich wypaleniem.

– I nie potrafisz pisać?

Nie było w tym nic nadzwyczajnego, jednak mężczyzna zaczerwienił się, kiwając głową.

– Nigdy się nie nauczyłem, panie. Możesz to dla mnie zrobić? Zajmie ci to tylko chwilę.

– Oczywiście. Powiedz mi imię, a ja wyryję je w glinie. – Wziął od niego skorupę i rysik. Popatrzył na rozmówcę, a ten pochylił się i dotknął palcem gliny.

– Arys...ty...des – powiedział.

Archont znieruchomiał.

– Chodzi o głosowanie nad ostracyzmem?

– Tak, panie. Gdybyś zechciał napisać imię...

– Dzisiaj? Nad ostracyzmem wobec Arystydesa?

Mężczyzna pokiwał głową i zmarszczył czoło, wpatrując się w skorupę. Archont uniósł brwi.

– Znasz tego człowieka? – zapytał.

Tamten pokręcił głową, po czym odchylił się i splunął na czerwoną ziemię u swoich stóp.

– Nie, ale ciągle słyszę to imię. „Arystydes Sprawiedliwy”. „Arystydes Niezłomny”. Co on wie o naszym życiu? Chory jestem, kiedy wciąż o nim słucham.

– Rozumiem – odpowiedział niemal szeptem.

– Napiszesz? – Mężczyzna postukał paznokciem w kawałek wypalanej gliny. Powoli i starannie Arystydes wyrył własne imię.

– Proszę – powiedział i oddał mężczyźnie ostrakon.

Ten uśmiechnął się i popatrzył na litery spod przymrużonych powiek.

– Dziękuję ci, panie. Jesteś dobrym człowiekiem.

Arystydes odszedł. Dotarł do końca ulicy, po czym skierował się w stronę agory. Pnyks leżał całkiem blisko i wkrótce zobaczył tłumy otaczające wzgórze, niezwykle czyste, co kontrastowało z wszechobecnym brudem Keramejkosu. Gliniany pył zdążył już osadzić się na jego szacie, szarymi smugami znaczył nawet jego dłonie. Zapewne garncarz uznał go za jednego ze swoich, bo miał na sobie starą, zabrudzoną szatę, włosów nie zwilżył oliwą, nie nosił pierścieni, nie epatował żadnymi symbolami dobrobytu.

Z ciężkim sercem zbliżył się do Pnyksu, a potem do samej urny. Nie zdziwił się, kiedy zobaczył Temistoklesa i Kimona. Zauważył, że młody człowiek najwyraźniej znów jest pijany. Chwiał się na nogach, stojąc na dużym płaskim kamieniu, a jego oczy były szkliste. Arystydes pokręcił głową. Żal w życiu mężczyzny był niszczącą siłą. Należało go przewycięzać, jak każdą słabość, zamiast topić w winie. Kimon nie był jednak jego klientem ani nawet bliskim znajomym. Los chłopaka był jego sprawą. Widok obiecującego młodzieńca, który rujnuje sobie przyszłość, zawsze sprawia ból, ale taki jest porządek rzeczy.

Niektórzy ludzie wyrastają ponad tłum, innych życie doprowadza do upadku. Dzisiaj upadek groził także Arystydesowi.

Przez długą chwilę stał, obserwując głosujących. Nie był w stanie odgadnąć, jaka będzie ich decyzja. Ci z zewnętrznego miasta wrzucali do urny skorupy z wrytym jego imieniem. Na większości twarzy nie dostrzegał złości. Przyniosło mu to trochę zadowolenia. Tymczasem wieści o głosowaniu rozchodziły się po Atenach, przyciągając na Pnyks coraz większe tłumy. Wyczuwało się atmosferę podniecenia. Arystydes zadał sobie pytanie, ilu mężczyzn zagłosuje, nawet nie wiedząc, kogo chcą wygnąć z miasta.

W miarę upływu czasu zmęczył się beczynną obserwacją. Stale przypatrywał mu się Temistokles. Wreszcie Arystydes zaczął się wspinać na wzgórze po kamiennych schodach, widział młodych ludzi kłębiących się wokół Kimona i jego starszego towarzysza. Ich mentorzy wydali im ciche instrukcje, dlatego wycofali się, robiąc mu przejście. W końcu się zatrzymał. Kimon był pijany, więc się nim nie zainteresował. Spojrzał natomiast na Temistoklesa.

– Jednego po drugim... – powiedział. – Usuwasz rywali jednego po drugim.

Czekał, a Temistokles tylko nieznacznie wzruszył ramionami. Zaskoczony Kimon popatrzył na niego z gniewem.

– Co zamierzasz, Temistoklesie? – zapytał Arystydes. – Co zrobisz, kiedy usuniesz mnie z miasta?

– Służę Atenom, Arystydesie. Nie jestem odpowiedzialny ani za przelewające się przez miasto fale, ani za poszczególne głosy.

– Gardzę twoją odpowiedzią. Nie potrafisz być uczciwy? Teraz, tutaj, kiedy wszyscy głosują? Kimon oddał ci przysługę, prawda? Wsparł cię dzisiaj, razem z tymi, którzy wpatrują się w niego jak w obrazek. – Archont głęboko zaczerpnął powietrza, aby się uspokoić. – Zajmiesz w Atenach moje miejsce. Odbierzesz mi wszystko, co kocham. Naprawdę tego potrzebujesz?

Po raz pierwszy Temistokles się zaczerwienił. Miał zakłopotaną minę.

Kimon uśmiechnął się szyderczo w pijackim zamroczeniu.

– Należysz do starego... pokolenia, Arlystdzie... Artystytdzie.

Mężczyźni go zignorowali.

– Ludzie obawiają się tyranów nie bez powodu, Temistoklesie. Nie pozwolą, aby jeden człowiek rządził samodzielnie, szybko ściągną śmiałka z piedestału. Jak długo przetrwasz tu beze mnie, bez człowieka w opozycji? Ile czasu minie, zanim Ateńczycy dostrzegą, że zostałeś sam?

– Nie dążę do władzy – odpowiedział tamten głośno. – Nie mieszam się w prace portowe, nie przychodzę z raportami do rady. Nie odzywam się w każdej debacie w taki sposób, jakbym był jedynym dorosłym, który w niej uczestniczy, jakby wyłącznie moja opinia była warta wysłuchania.

– Twoja pokora jest krzepiąca – stwierdził Arystydes. – Miałem nadzieję, że potrafisz być ze mną szczery, rozumiem jednak, że otacza nas zbyt wielu ludzi, dlatego nie zdołasz się na to zdobyć.

Cofnął się, aby zajrzeć do urny. Urzędujący epistates nie znał go, dlatego nie zareagował. Archont pokiwał głową.

– Widzę, że głosów jest dosyć. Dziesięć dni. Doskonale. Przygotuję moje domostwo.

Drżał ze złości i czuł w głowie dziwną lekkość. Nie spojrzał więcej na Temistoklesa, chociaż nawet gdy znalazł się już na agorze, miał wrażenie, że wciąż spoczywa na nim jego triumfalny wzrok.

Z wysiłkiem wyprostował ramiona. Znów szedł przez ukochane miasto. Do tej pory był przekonany, że Temistokles wystarczająco dobrze rozumie, w jaki sposób funkcjonuje zgromadzenie, aby nie kierować się osobistymi ambicjami. Ateny potrzebowały bezustannych zmagania mądrych umysłów, by podążać najlepszą drogą – co do tego Arystydes nie miał wątpliwości. Miasto, które uwielbiał, było czymś więcej niż tylko zbiorowiskiem domostw otoczonym wysokimi murami! Było ideą, pomysłem na rządy ludu, każdego dnia lepszym dzięki procesom, sądom, debatom, a nawet walkom. Podwaliny jego funkcjonowania stanowiło prawo, które Arystydes akceptował, chociaż dzisiaj Temistokles je wykorzystał dla swoich wyjątkowo podłych celów.

Przyszła mu do głowy myśl tak nagła, że się potknął. Czy to możliwe, że do upadku Miltiadesa przyczynił się Temistokles? Czy szepnął coś do ucha Ksantypoosowi? I potem zawarł pakt z Kimonem? Zatrzymał się na chwilę, czując, że oblewa go zimny pot. Czy to dzięki Temistoklesowi imieniem Arystydesa nazwano rok? Ten zaszczyt wyniósł go ponad innych – ponad tych samych ludzi, którzy teraz zrównali go z ziemią. Czy to możliwe, że ostatnie wydarzenia to zbieg okoliczności? A może jednak kroki długiej, starannie przemyślanej kampanii? Temistokles pozostał w Atenach praktycznie sam i był na tyle popularny, że nie musiał się obawiać glinianych skorup. Mimo wszystko dobrowolnie wskoczył na nieujeżdżonego konia. Prędzej czy później czeka go bolesny upadek.

Wyrok, który na niego wydano, bardzo bolał. Lecz Arystydes nie rozpaczał, nie wściekał się, nawet wtedy gdy został sam w swojej sypialni i nikt nie mógł go usłyszeć. Przez długi czas siedział w ciszy. W jego miejskiej willi nie było wina, wypił więc trzy kubki wody, po czym zmył gliniany pył, który w Keramejkosie przywarł do jego ciała. Później zaczął porządkować swoje sprawy, przygotowywać się do tego, co nieuchronne. Miał czterdzieści osiem lat. Pomyślał, że dziesięciolecie poza Atenami będzie jak rozpalona żelazna sztaba rzucona na jego piersi. Temistokles zabrał mu niemal wszystko. Nie odebrał mu jednak godności ani honoru.

CZEŚĆ DRUGA

482 ROK PRZED NASZĄ ERĄ

26

Kserkses stał z zamkniętymi oczami, wyczerpany po długiej wspinacze, pozwalając, aby morska bryza chłodziła mu skórę. Miasto Abydos powstało z połączenia starożytnych wiosek na północno-zachodnim wybrzeżu, na samym skraju imperium. Zastanawiał się, czy przybędzie mu mieszkańców, jeżeli nie powstaną mosty, które spięłyby brzegi nad głębokimi wodami. Jego budowniczości twierdzili, że nie da się przerzucić ponad falami morskimi łuków o tak wielkiej rozpiętości. On jednak wierzył w pomysłowość swoich ludzi i we wsparcie niebios. Jego ojciec zbudował kiedyś most na cieśninie Bosfor, lecz wkrótce zniszczyły go sztormy. Kserkses przysiągł sobie, że dokona czegoś znacznie większego. Aby przeprowadzić się na zachód od Byzantion, połączy mostem brzegi Hellespontu. Jego armia suchą nogą przejdzie przez morze.

Ze szczytu wzgórza widział po drugiej stronie brązowozielone wybrzeże. Przypomniawszy sobie mapy, które powstały tylko dla oczu królów i których nie mógł oglądać nikt o niższym statusie. Kiedyś armie jego ojca...

Przerwał rozmyślenia, nie chcąc brnąć dalej we wspomnienia. Wziął głęboki oddech i gwałtownie wypuścił powietrze z płuc. Wciąż był w żałobie, a wraz z nim rozpadało czterdzieści królestw. Od śmierci jego ojca minęły już cztery lata. Od tego dnia doświadczył momentów, w których życie wydawało mu się nieznośnie trudne, bo imperium funkcjonujące bez doświadczonego pasterza zaczęły ogarniać zamieszki i zbrojne powstania. Powoli Kserkses zdołał jednak odbudować swoją wiarę w życie i w samego siebie. Otrząsnął się

z przeświadczenia, że nigdy nie dorówna ojcu. Nie. Teraz to on był wielkim królem i miał już pewność, że uda mu się utrzymać świetność imperium.

Kiedy jego armie wylądowały na tym odległym brzegu, na wąskim półwyspie, stanęła dla nich otworem droga przez Trację na zachód aż do Macedonii, ku ziemiom zupełnie nieznanym, aby w końcu wielką falą zalać greckie polis. Kserkses nie zapomniał przysięgi ojca. Król Dariusz nie dokończył tylko jednego przedsięwzięcia w swoim bogatym i wspaniałym życiu. Powstrzymała go śmierć, lecz pozostawił po sobie syna! A głównym celem synów było przecież kontynuowanie tego, czego naturalny koniec nie pozwolił zrealizować ojcom. Kserkses uśmiechnął się do tej myśli. Zanim opuścił ojczyznę, pozostawił swoje nasienie w brzuchu żony. Amestris obiecała, że urodzi mu syna, królewskiego księcia, którego będzie mógł wychować na wielkiego człowieka, podobnie jak z nim uczynił Dariusz. Aby zyskać pewność, że zdoła zrealizować tę obietnicę, zakopała żywcem siedmiu chłopców odebranych rodzinom pomniejszych królów. Była to wspaniała ofiara, pomyślał, gest typowy dla niej, wzruszający i świadczący zarazem o jej głębokiej wierności dla męża. Zapewne również jemu przypominał, że powinien pozostać wierny żonie. Ojciec ostrzegł go kiedyś, żeby odnosił się nieufnie do każdej obcej kobiety, która mogłaby go obserwować w czasie snu. Cała siła i władza nad światem traciły na znaczeniu, kiedy mężczyzna chrapał.

Wiatr się wzmógł, poruszając sypkim piaskiem u jego stóp. Osłonił oczy przed słońcem i obserwował wyteżone działania ludzi. Nie zaniedbał niczego, aby oddać cześć zmarłemu ojcu. Ta prosta prawda wypisana była w ruchach oddziałów, których żołnierze jak zuczki przemieszczali się po stałym lądzie, i w kołysaniu się okrętów stojących na kotwicach; przybywało ich z każdym miesiącem. Praca, koszty materiałów, szkoleń i ćwiczeń osiągnęły niewyobrażalne rozmiary. Kserkses w końcu wyrzucił księgowych, kiedy się zorientował, że liczą pieniądze z coraz większą troską i strachem. Jaki sens miało bogactwo, jeżeli nie można go było spożytkować na wojnie przeciwko wrogom własnego ludu? Jaki pożytek przynosiłoby jedzenie ze złotych talerzy i popijanie

wina z kubków zdobionych szlachetnymi kamieniami, gdyby Grecy wciąż żyli, weselili się i rzucali szyderczy cień na pamięć jego ojca? Kserkses nie potrzebował niewolnika, który każdego wieczoru by mu o nich przypominał. Po prostu sam nie potrafił zapomnieć, że Grecy nadal istnieją. W najbardziej ponurych chwilach zastanawiał się, czy to przypadkiem nie porażka pod Maratonem przyprawiła ojca o chorobę, która doprowadziła do jego śmierci.

Zacisnął pięści. Po chwili rozluźnił je powoli i zobaczył, że od ucisku zbieleły mu palce. Przez moment przypominały części ciała martwego człowieka. Podjął jedną, jedyną próbę naśladowania wspaniałej wielkości swego ojca. Pchnął do wszystkich greckich miast swoich emisariuszy z pokojową misją, proponując Hellenom, żeby przyjęli podległość lenną wobec Persji. Gdyby Ateny i Sparta zaakceptowały jego zwierzchnictwo, okazałyby im dobroć, właśnie w imię pamięci ojca. To dzięki Dariuszowi jego syn zrozumiał, że aby skutecznie rządzić imperium, musi być dla poddanych kimś więcej niż królem. Powinien robić wszystko, żeby w ich oczach utrwałać wizerunek miłościwego władcy. Co więcej, żeby dobrowolnie zostać jego sojusznikami, nowi poddani musieliby zyskać pewność, że będzie ich chronił, nawet przed innymi Grekami.

Była to dla niego trudna ścieżka, podążanie nią wydawało się prawie niemożliwe. Wiele pomniejszych greckich miast-państw przyjęło jego ofertę – ze strachu czy z miłości, to nie miało znaczenia. Kiedy jednak Kserkses usłyszał, że Ateny postawiły jego wysłanników przed sądem i dokonały na nich egzekucji, przyjął wiadomość ze swoistą radością. Spartanie z kolei wrzucili jego ludzi do głębokiej studni. Wciąż pamiętał chwilę, kiedy ta wieść do niego dotarła – serdecznie go rozbawiła. Podążanie drogą miłosierdzia było dla niego zbyt trudne i odczuł ulgę, że może z niej zrezygnować. W końcu jego propozycje nie były wyrazem słabości, ale wręcz przeciwnie – siły.

Kserkses był młody, silny i pewny siebie, dysponował armią i flotą, które obecnie nie miały sobie równych. Ucieszył się, że Spartanie i Ateńczycy nim wzgardzili, że niehonorowo postąpili z wysłannikami. Dzięki temu to, co nastąpiło, miało słodszy smak. Zdławiwszy bunty w Egipcie po śmierci ojca,

odkrył, że niszczenie słabych nie sprawia mu szczególnej satysfakcji. Kazał wybijać całe miasta, aby ci, którzy przeżyją, rozumieli, że wielki król wciąż rządzi, nie zaś dlatego, żeby przynosiło mu to jakąkolwiek przyjemność. Radość wojownikowi zapewniała wyłącznie możliwość stawania przeciwko silnemu przeciwnikowi i całkowite jego zniszczenie, aby już nigdy nie podniósł się z upadku. W momencie, w którym Ateny i Sparta zdadzą sobie sprawę, że z ich polis nie pozostanie kamień na kamieniu, a jedynie krew i kurz, wykona się testament jego ojca.

Była to wspaniała i odurzająca myśl, jakby wypił mnóstwo wina na chłodnym powietrzu, które z każdym oddechem wpływało do jego płuc. Widział inne wzgórza otaczające Abydos, a po drugiej stronie cieśniny dalekie ziemie, przez które jego armia pomaszeruje na zachód. Być może pewnego dnia zobaczy na własne oczy kamienny most spinający brzegi cieśniny, łączący nowe imperium zachodnie z wielkością Persepolis i Babilonu. Na razie miał czas. Był młodym i energicznym człowiekiem. Kiedy wreszcie znajdzie się wraz z synem wśród ruin Aten, opowie mu o królu Dariuszu.

Brzęk zbroi zwrócił jego myśli od nieskończoności i przyszłych lat ku teraźniejszości. Po stromym zboczach wspinał się Mardoniusz, kierując się prosto ku niemu. Znalazłszy się na szczycie, wódz padł na ziemię. Kserkses dał sygnał dwóm strażnikom z włóczniami, żeby pozwolili tamtemu podejść.

Przybyły miał na sobie ozdobny płaszcz, a do pasa przypięty miecz. Choć słońce dawało się we znaki, król z zadowoleniem stwierdził, że Mardoniusz po forsownej wspinaczce oddycha bez trudności. Wódz bardzo pilnował, aby wojownicy pod jego rozkazami odbywali dużo intensywne ćwiczeń, czego nie można było powiedzieć o pomniejszych dowódcach. Kserkses także wymagał dobrego przygotowania fizycznego od tych, którzy mu służyli, tłumacząc, że są winni tronowi siłą i wytrzymałości. Nie znosił słabości i mazgajstwa, nie pozwalał na nie ani sobie, ani swojemu otoczeniu.

– Wstań, Mardoniuszu. Popatrz, jak liczne wojska tutaj sprowadziłem. Czyż to nie wspaniały widok?

Przez długą chwilę stali ramię w ramię, zanim wódz mu odpowiedział. Ze wzgórza widać było armię przypominającą ruchome miasto, a także flotę kotwiczącą w cieśninie. Liczyła już osiemset okrętów i każdego dnia ich przybywało. Ta armia nie zaatakuje już tak nieśmiało jak pod Maratonem. Do tej pory skruszyła wiele mniejszych rebelii i Kserkses wreszcie mógł skierować wszystkie siły imperium na zachodnie wybrzeże.

– Cudowny, Wasza Wysokość – odpowiedział Mardoniusz. Kręcił głową, patrząc w dół szeroko otwartymi oczami, jakby na zawsze chciał wchłonąć w siebie tę scenę.

Król był zadowolony, że wódz użył słowa, które jemu też przyszło do głowy.

– Mam informacje z naszych baz zaopatrzeniowych w Tracji – dodał. – Zostały zaatakowane przez oddziały jakiegoś lokalnego króla, lecz nasi ludzie odparli ataki, a następnie spalili kilka wiosek.

Kserkses machnął lekceważąco ręką. Problem wyżywienia tak wielkiej armii powinien rozwiązać się sam dzięki jego niezłomnej woli, bogactwu i niewolnikom. Imperium rozprzestrzeniało się jak rozlany miód, powoli, ale niepowstrzymanie, stopniowo pokrywając swoją słodyczą cały świat. Zaopatrzenie czekało na perskich żołnierzy po drugiej stronie Hellespontu. Okręty zwoziły ludzi i wszelkie wyposażenie już od ponad roku, a gościnność lokalnych społeczności kupowano złotem i zdobywano w krwawych rzeziach. Król nie dbał o to, skąd armia bierze żywność. On jedynie wydawał rozkazy.

– Dobrze. Myślę, że ojciec byłby dumny.

– Tak, Wasza Wysokość. I jest dumny – odparł Mardoniusz.

Wódz przyklęknął na jedno kolano i opuścił głowę, oddając cześć wielkiemu królowi, który odszedł z tego świata.

Kserkses się uśmiechnął.

– Będzie dumny – poprawił po chwili samego siebie i Mardoniusza. – Sam poprowadzę naszą flotę. Zamknę morze przed Ateńczykami, jakbym zarzucił wzdłuż wybrzeża wielką sieć. W tym samym czasie ty będziesz dowodził armią na lądzie, po drugiej stronie Hellespontu, i pomaszerujesz na zachód, równolegle

z nami. Spotkamy się na zgliszczach Aten i tam podamy sobie ręce. Masz jakieś pytania?

Mardoniusz przez chwilę się zastanawiał, gładząc gęstą czarną brodę, spod której w uśmiechu przebijały czerwone wargi i białe zęby.

– Kiedy zostanie ukończony most przez cieśninę? – zapytał w końcu.

Pytanie dotyczyło przedsięwzięcia, które miało być cudem inżynierii, jeśli tylko budowniczowie wywiążą się z zadania. Brzegów Hellespontu nigdy dotąd nie połączono, nikt o czymś takim nie słyszał od dziesięciu tysięcy lat.

– Pierwsze kadłuby znajdą się na miejscu jeszcze dzisiaj – odpowiedział Kserkses z widoczną dumą. – Persja jest światłością świata, Mardoniuszu. Dysponujemy machinami, które potrafią wywoływać wiatr i wydobywać wodę z ziemi. Postawienie mostu to zwyczajna praca dla niewolników, muszą tylko dysponować odpowiednią ilością lin, drewna i pali, żeby je gęsto wbić w grząski grunt. Mistrz Baloch mówi, że stabilny most powstanie w ciągu miesiąca, jeśli nie wystąpią gwałtowne sztormy. Jeżeli przetrwa zimę, wiosną po nim przejdiesz, nie moczając płaszcza w morskiej wodzie. A ja tego samego dnia postawię żagle na okrętach. Ze wsparciem bogów zwyciężymy przed końcem roku.

– Grecy z pewnością się dowiedzą, że przybywamy – powiedział Mardoniusz. Przygryzł wargę na tę myśl. Był dowódcą sił zbrojnych Persji i obawiał się nadmiernej pewności siebie, nawet u króla, która mogłaby doprowadzić do zguby.

– Oczywiście – odparł Kserkses. – Mają swoich szpiegów w Jonii, odkąd spalili Sardes. Połowa ludzi na tym wybrzeżu przyznaje się do więzów krwi z Hellenami. Ostrzeżenia płyną do nich każdego dnia. Ale to nie ma znaczenia. Bez wątpienia wytropili nasze bazy w Tracji i domyślają się trasy naszego marszu.

– Nie martwi cię to, Wasza Wysokość?

Król popatrzył na port i odległe wybrzeże rysujące się we mgle po drugiej stronie cieśniny.

– Przywiodłem tutaj milion ludzi, a także okręty z Fenicji i z Egiptu. Nie oszczędzałem na ćwiczeniach, uzbrojeniu ani na wyżywieniu, żeby armia była silna. Uczyniłem to wszystko na tak ogromną skalę, ponieważ Grecy od dawna się nas spodziewają. Na mój rozkaz ludzie zaczęli kopać kanał, żeby flota uniknęła zdradzieckiego fragmentu wybrzeża i popłynęła bezpiecznie tam, gdzie niedawno była płycizna! Niczego nie szczędziliśmy w tym przedsięwzięciu: ani złota, ani ludzi, ani krwi. Rozpocząłem przygotowania zaraz po śmierci ojca, który za życia pragnął osobiście tego dokonać. – Kserkses umilkł i opuścił głowę, przywoławszy zmarłego wielkiego króla. Dopiero po chwili kontynuował: – Minęło osiem lat od Maratonu, Mardoniuszu. Choroba pozbawiła ojca możliwości zasmakowania zemsty, na którą zasługiwał. Więc teraz ja ją wywrę, aby uczcić jego pamięć. A Grecy... już od tamtej pory wiedzą, że przybędziemy; dziecko by to odgadło. Nie da się utrzymać w tajemnicy istnienia takiej armii. Więc się tym nie martwię, lecz cieszę. – Obnażył zęby w niemal wilczym uśmiechu. – Będą wiedzieli, że nadciągamy, i będą próbowali się nam przeciwstawiać, dopóki nie zrozumieją, że jesteśmy falą, która rozbije ich mury niezależnie od tego, z jakim uporem będą ich bronić. Jesteśmy potężną falą, która ich zaleje, przyniesie kres wszystkim ich marzeniom i ambicjom. Jesteśmy ogniem, który spali ich na popiół!

Mówił coraz głośniej, aż w końcu krzyczał, jakby wydawał rozkazy w czasie bitwy. Wódz instynktownie padł na ziemię, zakrywając dłońmi uszy. Mardoniusz był mężczyzną wielkiej siły fizycznej i psychicznej, który z oddaniem służył już ojcu Kserksesa. Widok tego znamienitego wojownika leżącego w piachu trochę ostudził zapał, który ogarnął młodego króla.

Pochylił się i ujął Mardoniusza pod ramię, pomagając mu wstać. Królewski dotyk, i to tak poufały, był ogromnym zaszczytem, dlatego Mardoniusz zarumienił się jak dziewczica.

– Nie zawiodę Waszej Wysokości. Będzie tak, jak mówisz, panie.

Król ponownie skierował spojrzenie na wody i brzeg cieśniny, na którym roіło się od ludzi i okrętów.

– Popatrz tylko, Mardoniuszu, na wybrzeże. Widzisz?

W dole widoczny był okręt, który przyplłynął z Hellespontu i właśnie cumowano go do drewnianego nabrzeża za pomocą lin z papirusu i białego lnu, grubych jak męskie ramię. Wódz i król obserwowali, jak powoli zbliża się do brzegu kolejny okręt, z tej odległości przypominający dziecięcą zabawkę. Ustawił się równolegle do poprzedniego i żeglarze go przyciągnęli, tak by oba zetknęły się burtami. Rzucili też kotwice z dziobów oraz ruf, a po chwili przerzucono jeszcze więcej lin; przez moment wznosiły się nad pokładami jak cienkie nici. Mężczyźni, którzy pracowali nad połączeniem kadłubów, uwijali się po pokładach pomimo ogromnego skwaru.

Z masztów ściągnięto żagle, które następnie ułożono w stertach na brzegu. Z kolei trafiły tam poprzeczne drzewce i zbędne liny, a nad okrętami wzniosło się wielkie ramię drewnianego żurawia. Jednocześnie dziesiątki ludzi pracowały nad zdjęciem masztu okrętowego. Sieć obciążona kamieniami posłużyła im jako przeciwwaga, aby żuraw uniósł potężny sosnowy pień.

– Widzę, Wasza Wysokość.

– Tak. Ludzie wyciągają maszty z okrętów jak zęby, żeby zbudować dla mnie drogę przez wodę.

Na kadłuby weszło jeszcze więcej stolarzy z deskami, kołkami, wiertłami i młotami. Kserkses się uśmiechnął, kiedy zobaczył, jak pomiędzy burtami pojawiają się klepki. Właśnie tam żołnierze postawią pierwsze kroki na szerokiej drodze przez cieśninę, kiedy prace zostaną ukończone. Ojciec pokazał w Byzantion, jak budować długie przeprawy. Wykonał most nie z kamieni, lecz z połączonych okrętów. Ludzie, którymi dowodził Kserkses, mieli przejść po takim moście na inny kontynent.

– Mógłbym przeprowadzić wojowników na okrętach, lecz zajęłoby to mnóstwo czasu i straciłbym miesiące, które powinienem przeznaczyć na kampanię. Ten most to wspaniały gest, sygnał moich intencji. Widzisz, Mardoniuszu? On pokazuje wszystkim, że nie można mnie powstrzymać. Niech tylko Grecy się

dowiedzą, że położyłem drogę przez morze... Zrozumieją wtedy, że dla mnie nie istnieją żadne granice.

Wódz popatrzył na króla z bezgranicznym podziwem w oczach.

– A więc to prawda? Że dotarłeś do wybrzeża, panie, i wychłostałeś ocean?

– Tak. Kijem. Wymierzyłem mu trzysta uderzeń, a potem obićem kij rozpalonym żelazem. Zrobiłem to w miejscu, w którym mogli mnie obserwować greccy rybacy. Musiałbyś widzieć ich miny! – Kserkses głośno się roześmiał. – Byli wystraszeni! Jak dzieci! Nie boję się ich Posejdona. Nawet ich morze jest dzisiaj moim sługą. Nic nie może mnie zawrócić. „Pamiętaj o Grekach”, Mardoniuszu. Te słowa niewolnik szeptał do ucha mojemu ojcu. A ja powiem ci coś innego: kiedy z nimi skończę, to oni mnie zapamiętają aż za dobrze.

W oddali dostrzegł ławice ryb w błękitnej wodzie, smętnie sunących pod jej powierzchnią. Kolejny okręt wpływał do cieśniny, aby przymocowano go do poprzedniego w dziele budowy mostu pomiędzy dwoma kontynentami. Jego maszty zostaną ścięte i wbite w morskie dno, aby unoszące most pokłady zyskały stabilność. Budowniczości zapewnili króla, że potrafią skonstruować platformę, która będzie zdolna oprzeć się sztormom szalejącym zimą w cieśninie. Tylko dotrzymanie tej obietnicy gwarantowało im, że będą żyć. Na wodzie kołysało się już dziesięć kolejnych okrętów, których załogi czekały, aby podpłynąć w wyznaczone miejsce. Ludzie na pokładach uwijali się jak w ukropie. Kserkses się uśmiechnął. To był dobry dzień.

Temistokles z trudem ukrywał irytację. Kiedyś był przekonany, że ustanowiona przez Klejstenesa zasada wybierania co rano nowego epistatesa jest genialnym pomysłem. W krótkim czasie od wschodu do zachodu słońca nie mógł się ujawnić żaden tyran! Teraz przesunął dłonią po policzku, wyczuwając na nim ostrą szczecinę. Przypatrując się najnowszemu przywódcy miasta, pomyślał, że właściwie powinien zapuścić brodę. Już nawet nie liczył, ile razy musiał wyjaśniać realia polityki kompletnie zielonemu człowiekowi, wyłonionemu w wyniku losowania, zdeterminowanemu, aby jakoś się utrwalić w historii Aten. To było... męczące.

– Temistoklesie? – odezwał się mężczyzna.

Pamiętał tylko, że epistates pochodzi z fyli Hippothoontis. Nawet z nożem na gardle nie byłby w stanie przypomnieć sobie jego imienia. Nowe twarze epistatesów widywał codziennie już od wielu lat i nie licząc kilku wyjątków, wszystkie zamazywały się w jego pamięci. Klejstenes może był geniuszem, ale jego upór, aby zachować w Atenach demokrację, skutkował uśrednieniem umiejętności miejskich urzędników. Za rzecz gorszą od współpracowania z głupcami Temistokles uważał bezpowrotną rezygnację z dobrych ludzi. Dzień wcześniej epistatesem był młody, niezwykle inteligentny rzeźbiarz o imieniu Diofenas. Potrafił za pomocą kilku słów namówić radnych do podjęcia właściwej decyzji i doskonale rozumiał, co robić, żeby sprawnie zawiadywać posiedzeniem bule. Chociaż raz Temistokles znalazł w epistatesie sprzymierzeńca. Ale słońce szybko zaszło i Diofenas wrócił do swojej codziennej pracy polegającej na

wydobywaniu kształtów z kamienia. Nowy człowiek na tym stanowisku wydawał się osobą pełną rozterek, co irytowało Temistoklesa i mu przeszkadzało.

– Źle się czujesz? – zapytał tymczasem epistates.

Jakże on miał na imię? W jego głosie zabrzmiała nuta szyderstwa, mężczyzna był lekko zarumieniony, jakby zorientował się, że jest ignorowany.

– Czuję się doskonale – odparł.

Tamten uniósł brwi.

– A zatem może dysponujesz informacją, którą mógłbym przekazać radzie? Gdzie się znajdują zapisy księgowe dotyczące górników w Laurion? Mówi się, że ci ludzie muszą oddawać część dochodów, zanim zaczną zarabiać.

Temistokles milczał, w jego oczach pojawiła się jednak złość i opuścił głowę jak byk zagnany do narożnika. Udało mu się doprowadzić do historycznego porozumienia, które obowiązywało już od momentu wbicia w ziemię pierwszej łopaty. Zgodził się na zbiorowe wypłaty dla pracujących tam ludzi oraz na stawki wyższe, niż mogli się spodziewać, zagarniając za to dla siebie jedynie pewną kwotę za udział w negocjacjach. Takich spraw nie należało rozgłaszać publicznie i początkowo rzeczywiście wszyscy się tego trzymali. Gdyby nie zajmowały go pilne sprawy w mieście, pewnie by pamiętał, aby czuwać nad sytuacją i ułożyć się z nadzorcami w kopalni. Tymczasem twarze oraz imiona epistatesów bezustannie się zmieniały i... nagle ze strony rady zaczęły padać pytania na temat małego wózka z rudą srebra, który co miesiąc wyjeżdżał z kopalni bez rejestracji.

Zamiast pilnować swoich interesów, Temistokles był zmuszony zajmować się tysiącem innych. Stopniowo zaczynał sobie uświadamiać, ile problemów pozostało nierozwiązanych po odejściu Arystydesa. Dotąd nie zdawał sobie sprawy, ile czasu ten posępny człowieczek poświęcał służbie miastu. I to nie tylko w stoczni, gdzie rozliczał pracę stolarzy i cieśli okrętowych. Nadzorował również drwali i wózkarzy zwożących drewno, a także tartaków, gdzie drewno sezonowano i przygotowywano do dalszej obróbki. Miesiąc po wygnaniu Arystydesa dwaj ludzie przygotowali mapę miejskich rynsztoków, zaznaczając na

niej wszystkie wychodki w prywatnych domach. Ich praca kosztowała małą fortunę. Należało im zapłacić, ale chcieli też omówić pewną kwestię, którą od dawna rozważał Arystydes; chodziło o ukrycie części kanałów ściekowych pod powierzchnią ziemi, aby nie wylewały tak często.

To była niesłychanie żmudna, a zarazem niedostrzegana i nienagradzana praca. Bez Arystydesa, Ksantypposa, a nawet Miltiadesa mnóstwo obowiązków spadało na członków rady, których wybierano zaledwie na miesiąc. Byli to ludzie bez szczególnych umiejętności, bez wizji. I oczywiście coraz częściej przychodzili z pytaniami do Temistoklesa.

– Zajmę się tym, epistatesie – odparł. – W przyszłym tygodniu przedłożę radzie raport.

– Poinformowano mnie, że coś podobnego obiecałeś w ubiegłym miesiącu.

Temistokles wzniósł oczy ku niebu. Swoją taktykę odsuwania niewygodnych spraw na daleką przyszłość opierał na tym, że urzędnicy bezustannie się zmieniali, i do tej pory to działało. Niestety ostatnio członkowie nowej rady zaczęli rozmawiać między sobą o jego opieszałości. Świadczyły o tym chociażby ścigające go podejrzliwe spojrzenia.

– Wysłanie ludzi do kopalni, przesłuchanie świadków i sprawdzenie ksiąg wymaga czasu.

– Powinno się je porównać też z rejestrami, które leżą w budynku rady – dodał epistates.

Temistokles pokiwał głową. Tamten prawdopodobnie miał rację, ale tylko on wiedział, że te zestawy ksiąg nigdy nie będą identyczne. Sklął się w myślach za niedopilnowanie tej sprawy.

W mieście rozległo się bicie dzwonów obwieszczające południe. Wtedy Temistokles zaklął już głośno, co zadziwiło epistatesa.

– Muszę już iść, Diofenasie. – Dostrzegł złość na twarzy mężczyzny i zdał sobie sprawę z pomyłki. – Przepraszam, Diofenas był tu wczoraj... Naprawdę muszę już iść. Spodziewają się mnie na Areopagu.

Pośpiesznie odszedł, ściskając pod pachą zwoje. Czuł, że brakuje mu czasu, ale był też zaniepokojony. Gdzie się podział raport na temat próbnych rejsów floty? Miał go w torbie, ale później położył na swoim siedzeniu, kiedy przysłuchiwał się dyskusji na temat urlopów dla wioślarzy. Gdyby to członkowie rady mieli decydować, przyznaliby wioślarzom prawo do sześciu miesięcy próżnowania, płatnego po sześć drachm za dzień! Musiał odrzucać najbardziej nierozsądne pomysły, korzystając z autorytetu archonta Areopagu. Nie zyskiwał w ten sposób zwolenników. Wcześniej takie niewdzięczne zadania zrzucał na barki Ksantypposa albo Arystydesa. Dotąd nie sądził, że kiedyś za nimi zatęskni, jednak właśnie tak się stało. Okazało się, że zarządzanie miastem w taki sposób, aby obywatele nie zdawali sobie sprawy, kto naprawdę rządzi, jest o wiele bardziej skomplikowane, niż sobie wyobrażał. Gdyby faktycznie został tyranem, mógłby zlecać prace innym i tylko wydawać polecenia. Oczywiście na to nie było szans, wcześniej usłyszałyby wyrok śmierci.

Zaledwie miesiąc wcześniej Temistokles oglądał przedstawienie w teatrze przy Akropolu, komedię, w której wyśmiewano i wyszydzano jego nową wysoką pozycję. Śmiał się wraz z widzami, których wyraźnie cieszyły padające ze sceny przytyki wobec niego, ale miał też wrażenie, że ludzie się go obawiają. O Ateńczykach można było powiedzieć wiele rzeczy, ale nie to, że są głupcami. W przeciwnym razie nie chciałby nimi rządzić. Obronił się przed jedną próbą ostracyzmu, ale kosztowało go to fortunę w srebrze i mnóstwo ciężkich pertraktacji. Na wszelki wypadek przygotował stu krzepkich wioślarzy, którzy mieli siłą rozgonić uczestników procesu, nie musiał się jednak posuwać do ich wykorzystania. Kiedy wybił dzwon i urnę z głosami zapieczętowano, w środku znajdowało się zaledwie trzy tysiące skorup z jego imieniem. Skrzywił się na to wspomnienie. To było ostrzeżenie, a przecież miał jeszcze tyle do zrobienia w tym mieście.

Zaczął przepychać się przez tłum w kierunku skały Aresa wyrastającej z ziemi niedaleko agory. To starożytne miejsce widziało już wzloty i upadki wielu ludzi.

Nie powinien się tam pojawiać zdyszany i spocony jak pierwszy lepszy niewolny skryba!

Na miejscu dostrzegł wszystkich czterech archontów. Byli starzy, najlepsze lata życia mieli już za sobą. Nie zastąpili godnie Miltiadesa, Ksantypposa ani Arystydesa, tak jakby nikt nie był w stanie tego zrobić. Temistokles zobaczył, że miejsce Arystydesa pomiędzy dwoma starcami celowo pozostawiono puste. Czy miało to oznaczać krytykę wobec niego? Śmierć zabrała jednego z archontów, a pozostałych zgromadzenie poddało ostracyzmowi. Nikt nie mógł kwestionować podjętych decyzji. Zaczynała w nim narastać frustracja. Czekano na niego mnóstwo innych spraw. Archonci stanowili relikwiarz dawnych czasów, utraconej władzy. Ich autorytet opierał się jeszcze na szacunku i tradycji – kruchej podstawie ich funkcjonowania, która w każdej chwili mogła zniknąć.

– Witajcie. – Temistokles zasiadł na swoim miejscu i rozłożył dokumenty.

Każdego kolejnego dnia torba wydawała mu się coraz cięższa. Chyba będzie musiał zatrudnić niewolnika, żeby ją za nim nosił. Już dzisiaj mógł któregoś przywołać...

– Spóźniłeś się, Temistoklesie – powiedział Nikodemos drżącym starym głosem.

Wybrano go na archonta przed rokiem i jego kadencja na szczęście dobiegała już końca. Temistokles zakładał, że na następny rok zostanie wybrany Hysichides. Popatrzył na wiekowego starca o żylastej szyi i łysej głowie upstrzonej znamionami, straszliwie wychudzonego. Zaszczytna funkcja archonta wydawała się coraz mniej atrakcyjna, skoro tak wielu spośród nich zostało wygnanych z miasta. Młodsza, bardziej aktywna rada archontów z pewnością pozwoliłaby zapomnieć o tych, których skazano na wygnanie. Młodszych jednak nie wybierano, starcy wciąż bronili swojej gasnącej gwiazdy. Może też się bali, że inny wybór będzie oznaczać dopuszczenie do głosu ludzi Kimona. Ten młodzieniec pod wieloma względami przypominał ojca. Miał zadatki na przywódcę i należało zakładać, że jeśli wino nie zniszczy go przed trzydziestką, stanie się w Atenach ważną postacią.

– Przyniosłem raport na temat ostatnich prób morskich – zaczął Temistokles.

Flota była jego największym osiągnięciem. W czasie, który minął od jego sporu z Arystydesem na temat wydatkowania miejskiego srebra na okręty, ateńskie jednostki zaczęły żeglować aż do nowego miasta Rzym na zachodzie, patrolowały wyspy Morza Egejskiego i pilnowały, by panował pokój na warunkach Aten. Nawet Spartanie ustępowali, kiedy widzieli na horyzoncie ich galery. Temistokles był pewien, że flota już na zawsze pozostanie jego spuścizną. Niestrudzenie składał meldunki o sukcesach w jej budowie.

Rozłożywszy papirus, zdał sobie sprawę, że wyjął niewłaściwy zwój. Odłożył go i zaczął grzebać w torbie, a tymczasem archonci niecierpliwie spoglądali jeden na drugiego.

– Jeżeli nie jesteś gotowy, to chyba może poczekać – powiedział Nikodemos cierpkim tonem.

Temistokles podniósł wzrok i zastanowił się przelotnie, czy trudno byłoby roztrzaskać mu czerep.

– Nie, już mam właściwy papirus – odparł.

Ku jego zaskoczeniu Nikodemos uniósł rękę.

– Mamy inne, bardziej naglące wieści. Od naszych przyjaciół.

Temistokles z rezygnacją zamknął torbę i usiadł prosto. Był zmęczony i zły, a starcy patrzyli na niego jak jastrzębie, które otoczyły królika. Błyski w ich oczach wcale mu się nie spodobaly.

– Wielki król zgromadził armię na wybrzeżu Jonii, Temistoklesie. Jeden z naszych ludzi dotarł dzisiaj rano z informacją sprzed zaledwie dwóch tygodni. Persowie nadchodzą i wydaje się, że mają za sobą długie lata intensywnych przygotowań do wojny.

Temistokles poczuł, że ściska mu się żołądek. Pochylił się. Niespodziewanie rozboleła go głowa nad okiem. Przeczuwał, że ten ból pozostanie z nim już do końca dnia.

– Od wielu lat mamy do czynienia z fałszywymi alarmami – powiedział. – Ile mają okrętów? Ilu ludzi? Ile czasu im potrzeba, żeby ruszyć na Ateny?

– Straciliśmy paru chłopców, próbując to ustalić – odparł Nikodemos. – Dysponujemy szacunkami, wiemy natomiast na pewno, że Persowie są w ciągłym ruchu, a na wybrzeżu wyroili się jak wszy morskie. Niecały miesiąc temu na nasze dwa statki handlowe wsiedli ich urzędnicy, działo się to na wodach, na których Persowie w ogóle nie mają prawa przebywać. Niczego nie zabrali, ale ich pewność siebie rośnie. Jeszcze przed rokiem nie ośmieliliby się na coś takiego.

– Kiedy armie maszerują, ich siłę mierzy się tym, co wojownicy potrafią zniszczyć, zabrać i sobie przywłaszczyć – powiedział Temistokles ponurym głosem. – Przecież nikt nie stanie wojskom na drodze z aktem własności danej ziemi i nie wykrzyczy żołnierzom, że nie mają prawa dalej iść. – Niemal warknął z wielkiej frustracji, z jego gardła wydobył się głuchy pomruk. Przez ostatnie trzy lata nie było miesiąca bez raportów o perskich okrętach albo perskim złocie, albo o perskich żołnierzach licznych niczym ziarnka piasku na plaży. – Ile już razy słyszeliśmy takie doniesienia? – kontynuował. – Cóż, na rynkach trzeba przecież o czymś plotkować.

– To... nie jest plotka, Temistoklesie – odparł Nikodemos. – Wielki król osobiście towarzyszy armii. Wiemy o tym od ludzi, którzy widzieli go na wybrzeżu. Jest żądnym sławy następcą swojego ojca i wypatruje przez morze w kierunku zachodnim.

Temistokles zmarszczył czoło z niezadowoleniem. Wiedział, że wraz z wiekiem w człowieku wzrasta strach. Było to dziwne zjawisko, przypominało zgniliznę rozwijającą się w pniu zdrowego drzewa. Młodzi zwykli nie odczuwać strachu w ogóle, ale później, kiedy osiągnęli wiek dorosły, lęk rozpełzał się w nich i w końcu zyskiwał nad nimi władzę. Popatrzył na Nikodemosą i dostrzegł, że starzec się boi. Z trudem zapanował nad rozdrażnieniem w głosie.

– Powiedz mi, czy Persowie po prostu chronią swoją zachodnią granicę, czy naprawdę przygotowują atak.

– Nie mamy sposobu, aby poznać jednoznaczną odpowiedź na to pytanie – przyznał archont. – Podejrzewam, że sam wielki król tego nie wie. Ale ich jest

tak wielu, Temistoklesie... Jeden z naszych ludzi obserwował, jak wytyczają obozowisko, i policzył, ilu ludzi mogłoby się zmieścić na tym obszarze. Przez cały dzień zbierało się ich tam coraz więcej. Naszego człowieka wypatrzono i wychłostano za to wścibstwo. Powiedział, że jeszcze nigdy w życiu nie widział tylu żołnierzy. I że Persów jest... przynajmniej dwieście tysięcy, a może nawet dwa razy tyle.

– To niemożliwe – odparł Temistokles pogardliwie. – Jeżeli tak powiedział, to chciał cię wystraszyć. Nawet z niewolnikami i kobietami tylu ludzi nie ma w całych Atenach. Kto wyżywi w marszu taki tłum? Przecież będą głodować.

– Część zaopatrzenia przy pływa na okrętach. Ich ładownie są pełne solonego mięsa i beczek z wodą. Tę armię żywi całe perskie imperium.

– Ile okrętów przy płynęło?

– Setki. Nie wiemy dokładnie.

– To co właściwie wiecie? – warknął Temistokles ze złością. Zamknął na moment oczy, gdyż zdał sobie sprawę, że przestraszył członków rady. Był na siebie zły. Podnoszenie głosu na starszych ludzi nie przynosiło zaszczytu. – Przepraszam – powiedział i opuścił głowę. – Sami rozumiecie, że te wiadomości są bardzo niepokojące. Myśleliśmy, że Persowie zjawią się po bitwie pod Maratonem, a jednak nie przybyli. Z Persji przestały napływać wieści i część z nas doszła do wniosku, że już nigdy o Persach nie usłyszymy, że zyskaliśmy trwałą pokój w jednej bitwie. Pamiętasz tamte czasy, Nikodemosie?

– Ich król umarł – odpowiedział starzec.

– Tak. A jego syn, Kserkses, wciąż mnie pamięta. Gdybyśmy tylko wiedzieli, co mu chodzi po głowie! – Zaczął przechadzać się niespokojnie. Głowy archontów obracały się w lewo i w prawo, podążając za jego ruchami, jak w transie. – Za nami całe lata plotek i doniesień – kontynuował. – Rozmów o napływających armiach, odbywających manewry i zajmujących miasta Jonii. Przez to żyjemy w cieniu inwazji, chociaż mrowie naszych okrętów patroluje morze w dzień i w nocy. Podziękujemy sobie za tę mądrość, jeśli Persowie naprawdę nadejdą! – Zauważył, że Nikodemos wznosi oczy ku niebu. Zacisnął

usta. Ludzie winni mu byli szacunek za zbudowanie wielkiej floty. – Egzystujemy z dnia na dzień, doskonale zdając sobie sprawę, że Persowie kiedyś się pojawią. Na razie jednak ich nie ma. Czasami sobie myślę, że niepokoje i przestępczość w Atenach są efektem właśnie takiego życia. Tylko wczoraj popełniono dwa morderstwa! Nie pamiętam takich rzeczy z młodości, z czasów, kiedy tym, co zajmowało nas najbardziej, były głód i pragnienie. Nie, dzisiaj ludzie żyją na ziemi, która drży pod ich stopami, i boją się, że w końcu dachy pospadają im na głowy. – Zaczął chodzić szybciej, z rękami splecionymi za plecami. – Mówisz, że sądny dzień właśnie nadszedł, Nikodemosie? Na Atenę, nie jesteśmy jeszcze gotowi.

– A jednak Persowie przybędą – odparł starzec. – Jeżeli bogowie tak postanowią, będzie to oznaczać nasz koniec.

Temistokles wbił w niego spojrzenie, zastanawiając się, co przez niego przemawia: starość czy słabość charakteru?

– Nie. Jeśli nadejdą... kiedy nadejdą, pokonamy ich na naszej ziemi, tak jak pod Maratonem. Albo nasza flota zniszczy ich na morzu. Przysięgam.

– Jest nas za mało. – Archont pokręcił głową.

W pierwszej chwili Temistokles nie zareagował. Już od dłuższego czasu uważał radę za irytujące zgromadzenie. Teraz zdał sobie sprawę, że ci ludzie oczekują, iż wskaże im drogę wyjścia z tragicznej sytuacji. Zbudzili perskiego lwa i mieli pewność, że bestia się zbliża. Byli przerażeni.

– Pchnijmy więc posłańców do Sparty – powiedział. – Nie dali wody ani ziemi Persom, podobnie jak my. Poślijmy wiadomości do Teb, do Koryntu, wszędzie tam, gdzie żyją Grecy gotowi wznieść przeciwko Persom tarcze i włócznie, jak prawdziwi hoplici. Są Hellenami tak jak my. Odwołajmy się do wspólnoty krwi. Powiedzmy im, żeby szkolili wojowników, budowali sprawność, ostrzyli miecze. Niech się dowiedzą, że nadchodzi wróg, który zagraża nam wszystkim.

– Mamy prosić o pomoc nawet te miasta, które przyjęły perskich posłów? Zdraycy nie ruszą do walki – powiedział Nikodemos cichym głosem.

– Okażą się więc głupcami. Ogień nie rozróżnia domów, kiedy płonie całe miasto. Kiedy Persowie się zjawią, przeciwstawimy się im. Ateny staną na czele Hellady. Na morzu i na lądzie.

– Będę się modlił o burzę i o to, żeby młody perski król poszedł w ślady ojca – odezwał się Nikodemos.

Temistokles wzruszył ramionami.

– Dlaczego nie? Już cztery lata temu myśleliśmy, że Persowie zaatakują, ale król Dariusz niespodziewanie umarł i szeptki umilkły. Może znowu trafi się nam takie szczęście? – Zachichotał, choć bez odrobiny wesołości. – W każdym razie, jeżeli przyślą mało ludzi, zgnieciemy ich jak pod Maratonem. Jeżeli z Persji wyruszy wielka armia, zagłodzi się, zanim zdoła dotrzeć do Grecji. Persom nie urosną skrzydła, nie będą latać jak harpie! Macie pojęcie, ile czasu zabierze okrętom i statkom rybackim samo przepłynięcie wojsk przez Hellespont do Tracji? Długie lata! Pierwsi, którzy się przedostaną, poumierają z głodu albo posiwieją, zanim dołączy do nich reszta! Myślmy realnie: ilu ludzi mogą wystawić Persowie?

28

Kserkses przemierzał cud tego świata, a kopyta jego szarego wałacha tętniły głucho w ciszy wiosennego poranka. Strażnicy stali na baczność po obu stronach jak posągi w salach pałacu w Persepolis. Na wybrzeżu pod Abydos zebrały się tłumy. Przygotowanie armii do wielkiego przedsięwzięcia wiązało się z koniecznością ściągnięcia nad morze tysięcy robotników wraz z rodzinami. Złoto, srebro i królewska wola sprawiły, że powstało tu nowe miasto. Mieszkali tutaj już i szewcy, i rolnicy, którzy przywozili zboże na targ. Nowe domy strzelały ku niebu na wszystkich zboczach opadających do morza. Dzisiaj na brzegu zgromadziły się tłumy, a dorośli wchodzili na drzewa, obsiadając je jak gołębie tylko dlatego, że chcieli chociaż przez chwilę widzieć króla. Kiedy Kserkses wreszcie się pojawił, powitały go entuzjastyczne wiwaty. Zatrzymał się i pomodlił razem z kapłanami, którzy poświęcili kampanię grecką zarówno Ahurze Maździe, bogu bogów, jak i Kserksesowi, królowi królów.

Czuł, że wiatr przybiera na sile, gdy oddalał się konno od brzegu szeroką groblą, którą zbudowali jego ludzie. Deski skrzypiały pod końskimi kopytami i pod wpływem kołysania wody. Wybrał na tę przeprawę wałacha ze względu na jego spokojną naturę, rezygnując z ogiera, którego zazwyczaj dosiadał. Nic dobrego nie przyniósłby ani jemu, ani armii widok króla, którego zrzuca do morza narowisty koń.

Przeprawa była doskonała, a jej wykonanie kosztowało życie ponad siedemdziesięciu ludzi. Pierwsza próba ustawienia mostu polegała na przymocowaniu kadłubów okrętów do słupów, które wbijano od góry w morskie

dno za pomocą wielkich bali opuszczanych i podnoszonych dzięki mechanizmowi bloczkowemu. Jednak taki most okazał się zbyt sztywny, a Hellespont nawiedziły potężne sztormy. Kserkses przeczytał później w raportach, że część przeprawy nad najgłębszym fragmentem cieśniny unosiła się i opadała prawidłowo, ale z mocowań wyrwała się ta część, którą przytwierdzono sztywno do nabrzeża. W końcu cały most się uniósł i trzasnął o wodę niczym potężny bat, rozbijając w drzazgi cenne kadłuby wielu galer. Nie odnaleziono ciała żadnego ze strażników, którzy znajdowali się wówczas na przeprawie. Połamane kadłuby spalono.

Kiedy król znalazł się na środku mostu, gdy przystanął i rozejrzał się na wszystkie strony, nie dojrzał żadnego śladu po katastrofie. Kazał ściąć głowy budowniczym odpowiedzialnym za gwałtowny upadek pierwszej przeprawy, co miało stanowić ostrzeżenie dla wszystkich pozostałych. Nowe zespoły pracowały dniami i nocami, aby po raz kolejny w rekordowym czasie spiąć brzegi cieśniny mostem pływającym na wodzie. Kilku robotników się przy tym utopiło, ale pozostali ani na moment nie przerwali wyłożonych działań.

Pośrodku drogi przez cieśninę czekało na Kserksesa dwóch kapłanów. Zalegli twarzami w dół na drewnie zbielełym od słońca, kiedy tylko wielki król zeskoczył z wierzchowca. Okrzyki tłumów brzmiały tutaj jak odległy syk, jak szum fal rozbijających się o skały.

– Powstańcie, przystąpcie do swoich powinności. Pobłogosławcie moje wielkie przedsięwzięcie i pamięć mojego ojca.

Kiedy zaintonowali modlitwy o pomyślność, spryskując go świeżą wodą z najgłębszych studni, do których dna nigdy nie docierało światło słoneczne, król po prostu ich zignorował. Przed oczami miał panoramę, która rok wcześniej nawet nie istniała. Po jednej stronie w oddali rozpościerała się Persja, największe imperium, jakie kiedykolwiek widział świat.

Po drugiej stronie znajdowała się Tracja ze wzgórzami i kopalniami, chłopskimi zagrodami, wioskami, myśliwymi i wojownikami. Kserkses uśmiechnął się do swoich myśli. Mieszkającym tam prymitywnym plemionom

jego żołnierze na pewno wydadzą się złoto-żelaznymi posągami, wręcz niebiańskimi duchami kroczącymi po ziemi. Trackie kobiety były całkiem urodziwe. Kilka porwali jego ludzie, ale przy pierwszej okazji popełniały samobójstwo, a czasami nawet zabijały mężczyzn chrapiących u ich boku.

Pokręcił głową. Przez pewien czas wiele wskazywało na to, że trackie plemiona powstaną i przeciwstawią się jego armii. Pchnął posłańców do ich miast i wiosek, dając im jasny wybór. Lecz zmagając się z sojuszem królów zdeterminowanych, aby odrzucić jego władzę, musiał się posunąć do dania im surowej nauczki. Nie mieli najmniejszej szansy z jego Nieśmiertelnymi. To było takie niepotrzebne! Przecież nie szukał z nimi zwady. Podobnie jak deski jęczące pod jego stopami, ich ziemie były tylko pomostem mającym zaprowadzić go o wiele dalej. Kserkses uśmiechnął się na tę myśl.

Za Tracją góry Macedonii wyrastały na mapach jak ostrza noży. Perscy kupcy od wielu lat odwiedzali miasta, które miały się znaleźć na jego drodze, zbierając wszelkie informacje. Król nigdy nie widział tych ziem na własne oczy. Mawiano, że panujący tam władcy mają wojownicze usposobienie i dysponują armiami włóczników w zbrojach z brązu, jak Ateńczycy. Zastanawiał się, czy staną na drodze Mardoniuszowi, kiedy sprowadzi tu pół miliona ludzi. Oni również byli jedynie pomostem. Mało go obchodziła Macedonia, przynajmniej w tej kampanii. Jego nagrodą była Hellada, Ateńczycy i Spartanie, którzy zdrzwili z niego i wciąż byli jego niegojącą się raną.

Zaczął nasłuchiwać, jak kapłani proszą jego ojca o wsparcie w niebiosach. Na moment zamknął oczy, dołączając do modlitwy, którą tak dobrze znał z dzieciństwa. Jej monotonia go uspokoiła, wygładziła jego myśli. W wietrze, który chłodził skórę, odczuł jakby obecność ojca. Co więcej, odniósł wrażenie, że słyszy głosy dzieci, ich śmiechy i nawoływania.

Gwałtownie wciągnął zimne powietrze do płuc. Jeżeli wielki król przybył tutaj, aby zobaczyć dzieło swojego syna, on poniesie jego ducha jako szlachetny oddech aż do miast Grecji. Podjął się wiekopomnego czynu, a teraz czuł wielką pewność siebie. Zdał sobie sprawę, że nie rozumieją go nawet kapłani. Inni snuli

marzenia tylko po to, aby na końcu zobaczyć, jak rozsypują się w pył. Kserkses był człowiekiem z zupełnie innej gliny. Jego nadzieje przeistoczyły się w most. Jego marzenia stały się zemstą, strzałą wystrzeloną z łuku ojca, która już od dłuższego czasu unosi się w powietrzu. Wyląduje w sercu Aten.

Kiedy kapłani skończyli modlitwy i drżąc, znów płasko przywarli ciałami do grobli, król podszedł i pozwolił im dotknąć swoich dłoni, okazując im w ten sposób szacunek. Młodszy przytrzymał ją odrobinę zbyt długo, szepcząc modlitwy i wychwalając władcę pod niebiosy. Jego usta, które przywarły do królewskich knykci, były mokre.

Kserkses sięgnął do pasa po nóż, kapłan zachował jednak wystarczającą przytomność umysłu, by natychmiast się od niego oderwać i ponownie paść na deski. Przez długą chwilę król wpatrywał się w niego i rozmyślał, czy nie powinien skropić jego krwią mostu przez cieśninę. Czuł ślinę schnącą na dłoni, miał też wrażenie, że śmierć kapłana pośrodku przeprawy byłaby właściwą ofiarą wieńczącą dzieło. Bóg stał po jego stronie. Amestris urodziła mu syna i królewskiego księcia o imieniu Dariusz; zawdzięczał to imię oczywiście swemu dziadkowi. A skoro zapewnił sobie następcę, Kserkses mógł rozpocząć realizację ostatniej części planu i przystąpić do kampanii wojennej.

Był zdrowy i silny, a najbardziej skryte myśli podpowiadały mu, że rządy ojca były zapewne ledwie wstępem do tego, co on sam wkrótce osiągnie. Kserkses wychłostał morze i przeciął jego powierzchnię wstęgą. Och, to prawda, że narzekali na nią rybacy i kupcy. Nie można było zostawić bramy w tym pływającym moście z kadłubów okrętów, zatem nikt przebywający po zachodniej stronie nie miał możliwości przedostać się statkami na wschodni brzeg Hellespontu. Część spośród najbogatszych kupców sporą grupą najechała nowe miasto. Przemawiało przez nich najświętsze oburzenie, kiedy przedstawiali swoje żądania zarządcy.

Król odwrócił głowę ku miejscu, gdzie tamci zawiśli na szubienicach i gdzie teraz ich ciałami kołysał wiatr. Perski namiestnik Byzantion postanowił

przypomnieć wszystkim, że ich życie i służba dla imperium zależą wyłącznie od kaprysu wielkiego króla. Po powieszeniu tej zgrai nikt już nie narzekał.

Kserkses poczuł, że ogarnia go spokój i poczucie misji; nie wątpił, że w ten sposób duch ojca daje mu znać o swojej opiece. Zostawił kapłanów jak w transie szepczących modlitwy i znów wskoczył na konia. Jakby w odpowiedzi most na wodzie uniósł się na większej fali. Było to... dziwnie nieprzyjemne. Budowniczości poinformowali króla, że cała przeprawa liczy trzy tysiące kroków; była cudem swoich czasów, który pozwolił jego żołnierzom przepłynąć się przez cieśninę już w ciągu minionych tygodni. Wyobrażał sobie, jak wyglądałby pochód wojowników przez Hellespont w jego oczach, gdyby umiał fruwać albo gdyby mógł to obserwować z jakiejś wysokiej grani. Przypominaliby pewnie ziarnka piasku albo krople wina przemieszczające się z jednego brzegu na drugi. Przedostały się już setki tysięcy ludzi, mnóstwo wozów i koni. Czekali teraz na nowym kontynencie na jego przybycie.

Kserkses powoli jechał na wałachu. Ściągnął wodze, gdyż koń zaczął wysoko unosić nogi i głośno parskać, zaskoczony dziwną drogą, która unosiła się i opadała w rytm fal. Wreszcie ścisnął kolanami boki wierzchowca i zmusił go do kłusa. Zwolnił dopiero wtedy, kiedy mieli pokonać stopień sprowadzający ich na stały ląd. Przez chwilę także ziemia zdawała się opadać i unosić, lecz to wrażenie szybko minęło.

Przed oczami króla pojawiły się imperialne oddziały. Żołnierze stali w nieskazitelnie równych szeregach, a na wietrze łopotały ich chorągwie zatknięte na długich drzewcach. Trwali tu od momentu, w którym słońce pojawiło się na horyzoncie, a wielki król rozpoczął przygotowania do przeprawy. Jeden z wojowników właśnie teraz, w obecności władcy, zemdlał pokonany długim bezruchem i nieznośnym upałem. Pozostał tam, gdzie padł; nikt nie śmiał ruszyć mu na pomoc.

Mardoniusz wraz z ponad dziewięćdziesięcioma najwyższymi dowódcami uformował czworobok przed zjazdem z mostu. Dowodzenie tak licznymi oddziałami wymagało mrowia urzędników i pisemnych rozkazów – niemal

drugiej armii, która była potrzebna, aby administrować tą pierwszą. Zwyczajne wykarmienie tylu ludzi albo wymiana zużytej odzieży czy też uzbrojenia wymagały kolejnego miasteczka robotników, zamieszkanego przez kucharzy, handlarzy i niewolników.

Każdego z dowódców wyszkolił Dariusz. Byli kompetentni i niezniszczalni. Wielu było także synami jego najbardziej zaufanych przyjaciół. Gdy zjawił się Kserkses, zeskoczyli z wierzchowców i stanęli z opuszczonymi głowami, trzymając wodze. Nie mogli paść na ziemię, bo wtedy konie by się rozbiegły. Młody król odnotował ten fakt i przez jego plecy przebiegł dreszcz oczekiwania. Oto rozpoczynało się nieznane życie w drodze. Ekscytowały go jego szorstkość i prostota.

Przykłusował do nich. Mardoniusz wystąpił do przodu i ukląkł na piasku, nie przysiadając jednak na łydkach. Kserkses obdarzył go uśmiechem i krótkim gestem nakazał mu wstać. Mardoniusz nie miał prawa odezwać się pierwszy. Pomiędzy królem a wodzem zaległa cisza. Kserkses zawrócił konia w miejscu, pod wiatr wiejący znad morza.

Jego ojciec zawsze z łatwością nawiązywał rozmowy z ludźmi, od prostych żołnierzy po najstarszych wodzów z trzydziestoletnim doświadczeniem, wojowników znających smak bezlitosnych zmagania na kamiennych pustkowiach i piaszczystych pustyniach. Jeżeli duch ojca tkwił w nim tego poranka, to był głęboko ukryty. Kserkses czuł, że brakuje mu swobody w obecności żołnierzy, uciekał raczej w surowość i w rozkazy wydawane ostrym tonem. Ale dopóki go słuchali, nie miało to znaczenia.

– Jestem zadowolony, Mardoniuszu – powiedział w końcu.

Zeskoczył z konia i ruchem ręki wskazał wojowników ustawionych w kolumnach ciągnących się daleko, ale objął nim także most. Chwilami miał wrażenie, że brakuje mu tchu, bo rozumiał doniosłość i zarazem kruchość tej przeprawy. Co się stanie, jeżeli przyjdzie sztorm i most zatonie, kiedy on będzie akurat przebywał na drugim brzegu? Osamotnioną armię spotka wtedy okrutny los. Była zbyt liczna, żeby samodzielnie się wyżywić płodami nieznanej

i nieuprawianej ziemi. Stanowiła ogromne maszerujące miasto, niedysponujące nawet połową niezbędnego zaopatrzenia w wodę i żywność.

Oddziały powoli wymierające z głodu... to była straszna perspektywa. Zużył kadłuby wszystkich starych okrętów swojej floty, aby zbudować pierwszą, a potem drugą przeprawę. Z jednostek, które się na nią składały, trzeba było przez cały czas wybierać wodę, żeby ich nie zatopiła; pracowało przy tym pod deskami mostu mnóstwo młodych niewolników. Kiedy stał na nim z kapłanami, wydawało mu się, że słyszy ich głosy. Jeżeli sztorm rozerwie łączenia albo woda będzie wlewać się zbyt szybko i część kadłubów zatonie, wielka pływająca droga przestanie istnieć. Wtedy...

– Wasza Wysokość? Wszystko będzie dobrze – odezwał się Mardoniusz.

Dostrzegł nagłą zmianę nastroju młodego króla, podobnie jak tysiące razy w minionych miesiącach. Kserkses martwił się o wszystko, w przeciwieństwie do ojca, któremu wystarczała wiara, że jego życzenia po prostu zostaną spełnione. Być może powodem takiego zachowania młodzieńca była chęć dorównania ojcu wielkością, Mardoniusz tego nie wiedział. Jego synowie byli doskonałymi żołnierzami, którzy awansowali w hierarchii Nieśmiertelnych jedynie z niewielkim wsparciem ojca.

Kserkses na moment zamknął oczy, ujęty prostymi słowami wodza. Poczł łzy napływające do oczu. Zamrugął kilkakrotnie, żeby się ich pozbyć.

– A jeśli most zatonie albo znów się rozerwie, Mardoniuszu? Jak wrócimy wtedy do domu?

– Jeśli zwyciężymy? Będziemy dysponować flotą, Wasza Wysokość. Będiesz mógł rozkazać kapitanom, aby uformowali most. Jeżeli nie będzie nam nic groziło i nie będziemy potrzebowali okrętów na morzu, rozkażesz, aby wszystkie jednostki zestawiono razem, i nowa przeprawa powstanie w ciągu kilku dni, najwyżej tygodni. Prawdopodobnie będzie można zostawić maszty albo przyciąć stare deski, żeby ich użyć jako...

– Tak, rozumiem – odpowiedział.

Poczuł, że krew w jego żyłach znowu krąży spokojniej. Duch ojca. Na moment zapomniał, że nosi w sobie ducha zmarłego króla. Nie istniały problemy nie do pokonania – na pewno nie dla tego doskonałego związku ojca z synem.

– Od tej chwili, Mardoniuszu – kontynuował – kiedy znów postawię stopę na moście, aby przejść na ląd po drugiej stronie, z moim błogosławieństwem będziesz tutaj dowodził. Będziesz szedł od północy, ja popłynę okrętem. Spotkamy się w Atenach, jeśli Bóg tak zechce.

Wódz schylił się, żeby ucałować sandał młodego władcy. Jego serce rozpierała duma z własnych ludzi, z Kserksesa i z armii, którą kochał. Została powołana specjalnie na tę wyprawę, sformowana niemal tak subtelnie, jak subtelnie pracują garncarze kształtujący glinę. W latach, które minęły od bitwy pod Maratonem i od katastrofy, która stała się udziałem tego głupca Datysa, Mardoniusz szkolił, wzmacniał i zbroił swoje wojsko. Złoto Achemenidów płynęło strumieniem i jeśli w jego ludziach pozostała jeszcze jakaś słabość, wypali ją w górach i w trakcie liczącego setki mil marszu.

– Przysięgam, że tak się stanie, Wasza Wysokość. Jesteśmy twoim mieczem. Nie zawiedziemy cię.

Kserkses pozwolił, aby wódz złożył dłonie i podsadził go z powrotem na konia, następnie zawrócił na most. Po drugiej stronie cieśniny jego flota czekała na morzu; kapitanowie zaczęli podnosić kotwice, obserwując jego przejazd. Żagle wydymał wiatr, tysiące wiosł zaczęło uderzać w wodę.

Jedynie jego okręt flagowy wciąż czekał przy nabrzeżu. Nieśmiertelni w białych płaszczach, którzy mieli płynąć wraz z królem, oddali mu honory. Kserkses głęboko odetchnął, patrząc, jak jego żałośnie rżący koń jest transportowany w nosidle na pokład. Planował tę kampanię od lat, każdy jej szczegół. Żył i oddychał, rozmyślając niemal wyłącznie o zagładzie Greków. Za ojca, za obelgę maratońską, za ich pogardliwe odrzucenie jego oferty, że otrzymają ziemię i wodę – ale też za siebie, za własną potrzebę spalenia ich miast na popiół.

– Zakończę to – wyszeptał, składając sobie przysięgę.

Chłód, jaki poczuł, mógł być jedynie duchem ojca w jego żyłach. Już wielokrotnie odczuwał ten wzmagający się chłód, kiedy wypijał pomagający mu zasnąć wywar z maku. Teraz jednak wcale nie był senny, wręcz przeciwnie, rozpierała go energia.

– Dziękuję ci, ojcze. Będę dzielny, wygram tę wojnę. Będę dla nich twoją i moją własną zemstą.

Kserkses wszedł po trapie i dołączył do załogi. Stanąwszy na pokładzie, przyjął ceremonialny miecz głównodowodzącego floty. Będzie dowodził na morzu tak jak Mardoniusz na lądzie. Uderzą na Ateny z dwóch stron i wrogowie wreszcie zrozumieją, jaki popełnili błąd.

29

Temistokles zastanawiał się, czy tego wieczoru poleje się krew. Kiedy spór stawał się coraz bardziej zażarty, nietrudno było sobie coś takiego wyobrazić. Ludzie jednak przybyli na jego formalną prośbę. Chociaż wielu posłańców, których rozesłał, wróciło z odmową, trzydzieści miast i regionów odpowiedziało Atenom. Setki małych osad machnęły ręką, lecz ci Grecy, którzy przybyli na neutralny teren Tesalii, do miasta o nazwie Larysa, reprezentowali najpotężniejsze spośród helleńskich polis. Pojawili się bardzo mocni Spartanie, a także przedstawiciele Megary, Chalkidy, Sykionu, Arkadii, Koryntu i ponad dwudziestu innych miast. Temistoklesa utwierdziło to w przekonaniu, że Ateny mogą przewodzić całej Helladzie, jeśli na ich czele staną właściwi ludzie. Najlepiej on.

Niestety, chociaż Greków przywiódł do Larysy duch współpracy, słabł on z każdą chwilą. Może po części zawiniło wino albo fakt, że wszelkie wystąpienia zasadniczo ograniczały się do jałowych wywodów. Ciekawsze rozważania – Temistokles był o tym przekonany – toczyły się każdego dnia w ateńskim zgromadzeniu. Zauważył, że tylko Spartanie siedzą ze zwieszonymi głowami i zakrywają dłońmi puchary z winem, kiedy któryś z niewolników zbliżał się, żeby je napełnić. Spoglądali dookoła nadzwyczaj wyniośle i z kwaśnymi minami. Słyszał, że w swoim domu każdy spartański wojownik dysponuje siedmioma helotami, którzy mu usługują i traktują jak boga. Zadał sobie pytanie, czy ich arogancka postawa nie jest właśnie tego efektem. A przecież nie wszyscy mogą być władcami, to po prostu niemożliwe.

Zauważył, że Kleombrotos klepie towarzysza w ramię, zgadzając się ze słowami, które ten mamrocze pod nosem. W grupie Spartan można było dostrzec poczucie wyższości, chociaż do Larysy przybyło ich zaledwie czterech. Prezentowali postawę władczą wobec pozostałych, choć w tawernie zgromadziło się mnóstwo mężczyzn, którzy doskonale znali życie i wiedzieli, na czym polega ciężka praca. Temistokles odnotował, że wszyscy Spartanie mają na ciele blade blizny, swoiste świadectwo tysięcy godzin spędzonych na polu ćwiczebnym albo po prostu w walce z wrogiem. Kleombrotos, szczupły, o silnych ramionach, mógł liczyć od czterdziestu do pięćdziesięciu lat i był młodszym bratem wojowniczego króla Sparty. Temistokles nigdy dotąd nie spotkał Leonidasa, którego imię tłumaczone dosłownie znaczyło „Król Lew”. Uważał, że wysłanie na czele tej delegacji członka rodziny jest oznaką zaufania ze strony spartańskiego władcy, przynajmniej taką miał nadzieję. Spartanie mieli dwóch królów, jeden bacznie pilnował poczynań drugiego. Ich ustrój nie był tyranią, inaczej niż w wielu innych greckich miastach-państwach, ale nie rządzono tam za pomocą wolnych głosowań zgromadzenia. Temistokles wiedział, że Spartanie sądzą, iż Atenami rządzi tłum, w mieście toczą się bezustanne kłótnie i w gruncie rzeczy panuje chaos. Machał na to ręką. Sam uważał Spartę za miejsce zacofane, za smutny obóz wojskowy, w którym kobiety mają podobne obowiązki jak mężczyźni.

Kleombrotos wyczuł na sobie jego spojrzenie i podniósł głowę. Uniósł brwi w niemym pytaniu, wciąż spokojny i zrelaksowany. Temistokles z kolei lekko skinął mu głową na znak szacunku. Zapewne Kleombrotos mógł przemawiać w imieniu brata. On także miał na ramionach szramy, blade na tle ciemnej, opalonej skóry człowieka, który spędza życie na otwartej przestrzeni. Spartanie, którzy przybyli do Larysy – Temistokles to widział – byli weteranami, którzy stoczyli wojny z wrogami i zwyciężyli. Takich właśnie sprzymierzeńców potrzebował.

Wyniesiono półmiski z jedzeniem i niewolnicy, którzy dotąd obsługiwali gości, zniknęli. Takie polecenie wydał Temistokles: od tej pory wino, winogrona i figi mieli donosić niewolnicy, których sprowadził z własnego domu. Teraz wstał ze

swojego miejsca i w tawernie dość szybko zapanowała cisza. Ludzie przez cały dzień dyskutowali, co należy zrobić, czuł jednak, że nie wszyscy zaangażowali się w odpowiednim stopniu. Bardzo istotne było to, że Spartanie wcale nie przystąpili jeszcze do rozmów. Cóż, jedną kwestią było ściągnięcie ich na naradę miast-państw zwołaną przez Ateny, a zupełnie inną namówienie ich do udziału w wojnie.

Głośno odchrząknął.

– Rozmawiałem już z wami w większych grupach i z osobna. Dzieliłem się informacjami naszych wywiadowców, wiadomościami od rybaków, zaufanych kupców, szpiegów i naszych przyjaciół z wybrzeża Jonii. Chyba wszyscy już rozumiecie, że nasza eklezja nigdy by was tu nie zaprosiła, gdybyśmy nie uważali, że zagrożenie jest śmiertelne, ogromne... i bardzo bliskie. – Nie zaskrzybiało nawet krzesło. Wszyscy go słuchali, chłonąc każde słowo. – Los Grecji zadecyduje się w tym pomieszczeniu – kontynuował. – Chciałbym nie mieć racji, ale wiemy, że Persowie nadchodzą. Nie zjawili się wcześniej, ponieważ mnóstwo czasu poświęcili tłumieniu licznych buntów w swoim imperium. Wiecie, jak zareagował na nie król Kserkses. Wyrzwał tysiące ludzi w Egipcie, w Libii i w miastach jońskich. Rebelia objęła ogromne terytoria i część z nas pomyślała nawet, że spowoduje rozpad Persji. – Pokręcił głową. – Ale tak się nie stało. Kserkses zdołał zapanować nad poddanymi i teraz rządzi jeszcze silniejszą ręką niż do tej pory. Jest młody i równie bezwzględny jak jego przodkowie. Celowo okazał tyle okrucieństwa. Każdy raport, jaki do nas dociera, mówi o tym samym. W Persji obecnie panuje pokój, wysychają krew i łzy.

Koryntczyk pochylił się do ucha towarzysza i wyszeptał kilka słów, wzbudzając jego chichot. Temistokles pokiwał głową i uśmiechnął się.

– My, niepoprawni Ateńczycy... o to chodzi? Zawsze dużo gadamy. Cóż, taka już nasza natura, ale to ja walczyłem pod Maratonem. – Obserwował, jak czerwienieje twarz mężczyzny, do którego skierował te słowa. Dobrze, że przynajmniej przybył do Larysy. – Stałem na polu bitwy przeciwko Persom, którzy dzisiaj znowu nam zagrażają – kontynuował. – Po bitwie przez wiele

miesiący w miejscu starcia znajdowaliśmy kamienie szlachetne, złoto i srebro. Nawet martwi Persowie posiadali fortunę. Kiedy wygasł wielki ogień, w którym spaliliśmy ich ciała, chłopcy jeszcze przez miesiąc przesiewali popioły w poszukiwaniu złota, które potem przynosili do miasta.

– Dzielnie walczyli ci Persowie? – zapytał Arkadyjczyk.

Oczekiwano teraz powszechnie jakichś weselszych słów. Ludzie ich potrzebowali, kiedy wysłuchali złych wieści. Temistokles przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią i w końcu uznał, że powie prawdę w najprostszych słowach.

– Tak, byli wystarczająco dzielni. – Dostrzegł, że słaby uśmiech tamtego zupełnie znika. – Ustawili się w zwartym szyku i nie pozwolili go rozerwać, chociaż za plecami mieli morze. Bitwę obserwował ich król albo któryś z namiestników. Nie widzieliśmy go. Zapewne zakazał im uciekać. W końcu musieliśmy wszystkich zabić.

Spartanie unieśli głowy na te słowa i uważnie go teraz obserwowali. Kleombrotos doskonale wiedział, że jego rodacy nie dotarli pod Maraton na czas. Temistokles i Arystydes następnego dnia udali się na spotkanie z nimi, kiedy wreszcie się pojawili, po dwóch dniach i nocach forsownego marszu. Kurz i pot na ich ciałach rozbawił wówczas Temistoklesa. Co więcej, w ich oczach dostrzegł swego rodzaju obłąd. Spartanie nienawidzili zawodzić. Żadne wyrzuty, jakie by skierował pod ich adresem, nie mogłyby zranić ich bardziej niż własny wstyd, chociaż by je zapamiętali. Zadrżał, przypomniawszy sobie ich spojrzenia. Dwaj towarzysze przy Kleombrotosie byli ulepieni z tej samej gliny. Sprawiali wrażenie krwiożerczych psów, szalonych, lecz zdeterminowanych i mimo wszystko zdyscyplinowanych. Wyglądali przerażająco. Temistokles był zadowolony, że są po jego stronie i mają wspólnego wroga.

– Tarcze chroniły nas przed procarzami i łucznikami. Nie wszyscy posługujecie się włóczniami w taki sposób jak Ateńczycy, zapewniam was jednak, że pod Maratonem była to broń skuteczna. Kiedy utworzyliśmy mur z tarcz, Persowie okazali dzielność, ale sami nie mieli hoplonów, przez co nasze

włócznie siały wśród nich śmierć. Jeżeli w następnej bitwie będą dysponować takimi samymi zbrojami i bronią, postawię każdą drachmę, jaką zarobię lub zdołam pożyczyć, na nasze zwycięstwo.

Usłyszawszy te słowa, ludzie zaczęli kiwać głowami, pojawiło się nawet parę uśmiechów. Kilkunastu zaczęło rozmawiać w małych grupach i w tawernie rozległ się szmer chaotycznych konwersacji. Temistokles znowu głośno odchrząknął, przerywając te rozmowy. Co za ludzie! Kochał ich, lecz wiedział, że gdyby tylko dać im czas, ich dyskusje mogłyby trwać bez końca i wcale nie przodowaliby w nich Ateńczycy.

– Mam dwa powody, aby powątpiewać we własny osąd – powiedział. – Jakie siły możemy wspólnie wystawić przeciwko Persom? Ateny mogą zaproponować dwieście okrętów, ośmiuset łuczników... osiem tysięcy hoplitów. Czy Sparta wesprze nas podobnymi siłami? – Czekał, a Spartanie niechętnie po chwili skinęli głowami. Słynęli z tego, że nie zdradzają siły swojej armii, on musiał ją jednak poznać. Z trudem ukrył ulgę. – Reszta wystawi do walki najwyżej trzydzieści albo czterdzieści tysięcy ludzi. Nie wszyscy będą w pełni uzbrojonymi hoplitami, nie wszyscy będą mieli doświadczenie wojenne. Kiedy połączymy siły, nasza armia będzie liczyć nie więcej niż sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt tysięcy Hellenów. – Zamilkł. To, co miał powiedzieć za chwilę, właściwie nie było tajemnicą dla jego słuchaczy, a jednak jego następne słowa zabrzmiały ponuro. – Persowie mogą mieć nawet pięciokrotnie liczniejszą armię. Według niektórych doniesień może ich być... pół miliona. – Umilkł znowu w oczekiwaniu, aż ucichną szmery niedowierzania i konsternacji. – Nie wszyscy będą w pełni uzbrojonymi, doświadczonymi wojownikami, ale będzie ich tak wielu, że staniemy przed ogromnym zagrożeniem.

Spojrzenia zebranych podpowiedziały mu, że nie musi dalej malować obrazu perskiej potęgi. Wszyscy jego słuchacze, podobnie jak on sam, doskonale wiedzieli, co grozi Grecji.

Przedstawiciel Megary, niski, krępy wojownik z czarną, krótko przyciętą brodą, stał z tyłu pod ścianą. Prawdopodobnie niedawno skończył trzydzieści lat.

– Jak przeciwstawimy się takiemu wrogowi? – zapytał.

– Nie wiem jeszcze, czy wszyscy się mu przeciwstawimy – odparł Temistokles. – Wiem natomiast, że staną przeciwko niemu Ateny. Podejmiemy z Persami walkę na morzu i już w tej chwili oddaję w służbę całej Grecji sto osiemdziesiąt naszych okrętów. Czterdzieści tysięcy wioślarzy i hoplitów. Szkoliliśmy dotąd w sztuce wojennej każdego naszego syna, każdego młodego człowieka i kiedy wybuchnie wojna, nikogo nie pozostawimy na tyłach, absolutnie nikogo. Chcę, żebyście to zrozumieli. Rozbijemy flotę Persów i utopimy każdego najeźdźcę, który zechce wylądować na naszej ziemi!

Musiał krzyknąć, żeby przebić się przez nerwowe rozmowy, które rozległy się w ciasnym pomieszczeniu. Niechętnie udzielił głosu jednemu z Koryntczyków. Nie znał go osobiście, znana mu była jedynie reputacja jego miasta-państwa.

– Korynt może dać czterdzieści galer.

Temistokles zamrugał w zaskoczeniu, gdy Koryntczyk usiadł. Nie zamierzał dzisiaj pytać o liczbę dostępnych okrętów, ale postanowił wykorzystać moment i chłodnym gestem wskazał następnego chętnego do wypowiedzi – wyjątkowo brzydkiego mężczyznę ze złamanym nosem sugerującym, że spędził młodość na bijatykach.

– Wyspa Kytnos dysponuje zaledwie jedną trierą – powiedział. – Ale oddajemy do dyspozycji przymierza całą naszą flotę.

Rozległy się śmiechy, które ucichły, kiedy wstał jeden ze Spartan.

– Mam na imię Eurybiades i reprezentuję flotę Sparty. Dysponujemy jedynie szesnastoma galerami, które patrolują nasze wybrzeże. Więcej po prostu nie potrzebujemy. Naszymi wioślarzami są heloci, każdy z okrętów przewozi czterdziestu wojowników. Jeżeli walka będzie się toczyć na morzu, włączymy się do niej.

Temistokles pokiwał głową. Spodziewał się, że Eurybiades usiądzie, ale ponieważ wciąż stał, musiał powstrzymać się przed oddaniem głosu jednemu z Arkadyjczyków.

– Mogę wystawić szesnaście naszych okrętów – kontynuował tamten – lecz nie mogę zrezygnować z osobistego dowodzenia ani zgodzić się, żeby w czasie wojny dowodził nimi ktoś inny. To jedna z naszych zasad. Gdybym wrócił do domu i powiedział eforom i królom Sparty, że oddałem naszą flotę pod dowództwo Temistoklesa z Aten, wręczono by mi sztylet i wskazano spokojne miejsce, w którym miałbym ze sobą skończyć.

Temistokles się zawahał. Myślał intensywnie. W takich chwilach bardzo mu brakowało Arystydesa, który potrafił wysnuć rzeczowe argumenty w sytuacji zagmatwanej jak pajęczna sieć, a jemu w tej chwili zabrakło słów.

– Nasze okręty... – zaczął – ćwiczyły manewry, jakich zapewne nigdy nie widziały twoje oczy i jakich nie można prowadzić, mając doświadczenie w dowodzeniu zaledwie szesnastoma jednostkami. Nasza taktyka, formacje, komendy, jakich pewnie nigdy nie słyszałeś... to tysiąc różnych zagadnień.

Ku jego rozczarowaniu Eurybiades usiadł. Mając do czynienia z kimkolwiek innym, Temistokles uznałby, że zwyciężył w tej słownej potyczce. Ale w tym przypadku podejrzewał, że Spartanin po prostu przedstawił swoją ofertę i nie widział powodu, żeby prowadzić dalszą dyskusję. Temistokles mógłby mówić jeszcze przez godzinę, a i tak niczego by nie wskórał. Zastanawiał się, czy Arystydes rozegrałby to lepiej.

Przygryzł wargę. Był w tej tawernie jedynym przedstawicielem Aten i musiał podejmować strategiczne decyzje, które wpłyną na życie każdego spośród tutaj zgromadzonych. Prawdą było także to, że w zasadzie wszystko, co ustaliby dzisiaj ze Spartanami, na morzu można by uznać za nieważne, i to w trakcie bitwy. Na dłuższą chwilę zamknął oczy. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jego sposób myślenia cechuje typowo ateńska przebiegłość, której Spartanie nienawidzą z głębi serc. Milczał na tyle długo, że w sali znowu rozległy się rozmowy.

– Ateny przyjmują twoją propozycję, Eurybiadesie. Jesteśmy ci wdzięczni. Czy ktoś jest temu przeciwny? Rozumiem, że nie.

Spartanin pokiwał głową, chociaż na jego twarzy nie było widać nawet śladu triumfu. Zachowywał się tak, jakby nie widział alternatywy dla postanowienia Temistoklesa.

On tymczasem wziął głęboki oddech, chcąc uspokoić nerwy. Przesunął dłonią po czole, na którym załśniły krople potu.

– Drugim powodem, dla którego trudno będzie o zwycięstwo, jest liczba, w jakiej zgromadziliśmy się dzisiaj wieczoru. Gdzie są nasi bracia? Rozesłałem posłańców po całej Grecji, na zachód, na wschód i na północ, aż do Macedonii. Wy odpowiedzieliście, wpływy Persji wydają się jednak z każdą nową porą roku sięgać dalej. Wiem, że część Greków kupią pieniędzmi i obietnicami albo zastraszą groźbami niewoli.

– To nieistotne – powiedział Kleombrotos.

Najstarszy spośród Spartan przemówił cicho i spokojnie, lecz natychmiast zgasił wszelkie szepty, gdy pozostali zdali sobie sprawę, kto do nich przemawia. Głos miał ciepły i niski. Poklepał Eurybiadesa po ramieniu i wstał, jakby tym gestem obaj się porozumieli, że nadeszła jego pora na wystąpienie. Lekko się skrzywił, kiedy uświadomił sobie, że wszyscy zgromadzeni uważnie się w niego wpatrują.

– Temistokles wiele mówił o okrętach, lecz wojen nigdy nie wygrywa się na morzu. Będziemy musieli przeciwstawić się najeźdźcom na lądzie. I zwyciężymy.

Ku zaskoczeniu Temistoklesa brat króla Sparty usiadł równie niespodziewanie, jak przed chwilą wstał, jakby powiedział już wszystko, co zamierzał. Spartanie doprowadzali go do szału, zachowywali się, jakby doskonale wiedzieli, w jaki sposób zdenerwować Ateńczyka, i robili to bez umiaru. Temistokles znowu wstał, chociaż tym razem równocześnie chciało przemówić także kilku mężczyzn. Ku jego zadowoleniu wszyscy zrezygnowali, kiedy zobaczyli, że to on chce przemawiać. W gruncie rzeczy byli wobec niego bardziej przyjaźni niż zgromadzenie.

– Ateny staną do boju z drewnianymi murami na morzu i ze wszystkimi hoplitami na twardej ziemi. Kiedy nadejdą Persowie, przyjmujemy dowództwo Sparty na lądzie. Mam to poddać pod głosowanie?

Kleombrotos się podniósł. Ku irytacji Temistoklesa wzruszył ramionami.

– Skoro tego chcesz... Przecież dobrze wiesz, że będziemy dowodzić. Nie przyjmujemy rozkazów od innych Greków, nawet od Ateńczyków.

Słowa te zgromadzeni przyjęli pomrukami i mniej lub bardziej wyraźnymi sprzeciwami. Kleombrotos odczekał, aż ich głosy ucichną, spoglądając po twarzach, jakby poszukiwał wśród nich najbardziej zajadłego oponenta. Nie zamierzał pozwalać im na narzekania ani na wymowne przewracanie oczami. W tawernie zgromadziły się wyłącznie dwie istotne siły. Kleombrotos patrzył więc na ludzi spokojnie, samym spojrzeniem zmuszając ich do przyznania tego, o czym wszyscy doskonale wiedzieli. Temistokles obserwował, jak zebrani jeden po drugim milkną i powoli kiwają głowami. Byli jak psy, które akceptują przywództwo najsilniejszego ze stada. To było zadziwiające. Zapytał się w duchu, czy coś takiego mogłoby się wydarzyć na Pnyksie.

– Masz moje słowo – powiedział Kleombrotos, patrząc przez całą salę na Temistoklesa. – Tego chciałeś, prawda? Mówię w imieniu mojego brata, króla Leonidasa. Jeżeli nadejdą Persowie, wyruszymy, aby stanąć przeciwko nim na lądzie. Pięć tysięcy spartańskich wojowników, pięć tysięcy innych żołnierzy... i nasi heloci. Dzień, w którym zmierzymy się z najeźdźcami, będzie dobrym dniem dla Grecji.

Temistokles otworzył usta, ale Spartanin nagle skierował się do wyjścia. Trzej towarzysze poszli w jego ślady. Brat króla Leonidasa tylko raz zerknął jeszcze na Temistoklesa. Lekki uśmiech na jego ustach wskazywał, że jest w dobrym humorze.

Kiedy Spartanie wyszli, tawernę opuściło również wyczuwalne dotąd napięcie. Temistokles otarł pot z czoła. Jego powrót do Aten już o kilka dni się opóźnił. Kiedy wróci, zgromadzenie ze zdwojoną energią zacznie żądać od niego kolejnych raportów, a tymczasem flota nie była gotowa do poważnej walki.

Napomniał się jednak, że sam tego chciał. Pragnął przewodzić Atenom. Po prostu się nie spodziewał, że przywództwo wiąże się z tak ogromnym nakładem pracy.

– Będiesz towarzyszył ateńskim hoplitom? – zapytał go przyjaciel z Megary.

Temistokles podrapał się po policzku. Osobiście dopilnował budowy floty, poczynając od wydobycia srebra w Laurion, a kończąc na organizowaniu szkolenia dowódców i wioślarzy. Myśl o przekazaniu jej komuś innemu sprawiała mu niemal fizyczny ból. Potrzebował dobrych wojowników. Potrzebował strategów. Serce zamierało mu w piersiach, kiedy docierało do niego, co będzie musiał uczynić. Musi postąpić wbrew prawu, ale w głębi serca wiedział, że prawo istnieje po to, aby przestrzegali go malutcy. Wkrótce powstanie nowe, nawet jeśli będzie musiał namówić do jego przyjęcia całą eklezję.

30

Temistokles stał na Pnyksie, spoglądając z góry na Ateny. Na wieść o jego powrocie z Larysy ludzie stłoczyli się w centrum miasta. Na samym wzgórzu zgromadziło się ze dwadzieścia tysięcy osób, a przynajmniej drugie tyle stanęło pod skałą i na pobliskich ulicach. Większość nie słyszała ani słowa, ale ponieważ coraz częściej mówiło się o wojnie, uznali, że muszą tu teraz być.

Archontowie z Areopagu zajęli miejsca blisko kamienia mówcy, a razem z nimi zasiadł epistates wyznaczony na ten dzień. Temistokles znał go osobiście, bo pochodził z jego fyli. Mężczyzna nie zamierzał jednak okazywać mu dzisiaj żadnego braterstwa. A Temistokles czuł, że traci poparcie tłumów.

– Gdybym nie oddał dowództwa nad flotą Sparcie, stracilibyśmy jej okręty, a może i całą armię. Czyż można temu przeczyć?

– Zagadnieniem, które omawiamy, jest wątpliwość, czy nie powinienes najpierw wrócić do Aten i uzyskać zgody zgromadzenia na podjęcie takiej decyzji – napomniął go epistates.

Temistokles zmierzył go złym wzrokiem.

– Nikt spośród tutaj zebranych nie oddał zgromadzeniu więcej siły i energii niż ja. Dążyłem do pozyskania poparcia wszystkich Hellenów jako wasz przedstawiciel.

– Czyli tyran! – krzyknął ktoś z tylnych rzędów.

Temistokles zmusił się do uśmiechu. Podniósł głos, aby dotarł jak najdalej, chociaż przez to zabrzmiał dziwnie i zabrakło w nim subtelności.

– Nigdy! Każdym oddechem zaświadczam, że szanuję Ateny i zgromadzenie. Ale na czas wojenny – a przecież właśnie w obliczu wojny teraz stajemy – wyznaczamy strategów, czyż nie? W trudnym momencie, wobec groźby utracenia Sparty jako sojusznika, uznałem, że muszę w imieniu nas wszystkich przyjąć jej ofertę.

Ustąpił miejsca Kimonowi i oddał mu głos. Szacunku i uległości chłopak spodziewał się już po wszystkich Ateńczykach. Jako członek zgromadzenia wciąż nie osiągnął w nim doniosłej pozycji ojca, lecz zdaniem Temistoklesa ta chwila już się zbliżała. Czuł to tak, jak pasterz potrafi wyczuć pierwsze gorące dni lata. Chociaż Kimon nie mógł objąć żadnego ważnego stanowiska w mieście aż do trzydziestych urodzin, jego imię było już powszechnie szanowane. Bez wątplenia były mu w przyszłości pisane funkcje archonta i stratega, podobnie jak kiedyś Miltiadesowi. Niemniej dorastał do nich bez ojcowskiej opieki. Znać po nim było nieokrzesanie i nadmierną skłonność do przemocy. Nauczył się naginać ludzi do swojej woli, lecz czynił to metodami dalekimi od subtelności. Wodzami, które trzymał w dłoniach, zazwyczaj szarpał zbyt gwałtownie. Temistokles uważał, że w obliczu wojny ten młodzieniec w niedługim czasie pozbędzie się wszelkiej powściągliwości wobec ludzi.

On sam wciąż miał przyklejony do twarzy słaby uśmiech, lecz już od wschodu słońca oskarżano go, dręczono i denerwowano. Kiedyś widział się w roli męża górującego nad wszystkimi dookoła, zdolnego do sterowania gawiedzią w taki sposób, aby osiągać coraz bardziej szczytne cele. Pokręcił głową, jakby ze współczuciem dla samego siebie, gdyż poczuł, że jego myśli zmierzają w złą stronę. Czy zatracił już zdolności przywódcze, czy postradał subtelną umiejętność panowania nad umysłami innych? Wraz z wiekiem każdy traci wiele ze swojej osobowości. Czy bezwzględny czas odebrał mu umiejętność czytania nastrojów tłumu? Jak wielu znał ludzi o siwych brodach, którzy utracili zdolność rozumienia, o czym mówią młodzi?

– ...o murach postawionych w wąskim przesmyku – mówił Kimon, pouczając tłum.

Temistokles wrócił do rzeczywistości, zdawszy sobie sprawę, że utracił najważniejszy punkt jego przemowy. Na Atenę, był zmęczony! Potarł dłońmi twarz. W tej chwili pragnął jedynie kilku łyków wina i chociaż odrobiny snu. A tymczasem musiał skupiać się na tym, co mówił Kimon. Na szczęście wszystko wskazywało na to, że młodzieniec go wspiera.

– Jeżeli miasta Peloponezu wierzą, że potrafią żyć za tymi murami, kiedy Persja będzie gwałcić Grecję, z całą pewnością są w błędzie! Sparta posiada zaledwie szesnaście okrętów wojennych! Więc jeśli pozostanie sama, Persowie będą mogli wylądować w dowolnym miejscu jej wybrzeża. Ale to nie ma znaczenia. Jeżeli Spartanie i Koryntczycy wierzą, że są bezpieczni za swoją barykadą, może nie zaangażują się w walkę. Pamiętajcie, że wszyscy jesteśmy sprzymierzeńcami z konieczności. Temistokles dał im jasno do zrozumienia, że wspólnie zyskamy lepszą pozycję niż podzieleni na dwie części. I to jest jego zwycięstwem bez względu na to, co będziecie o nim mówić. – Kimon gwałtownie opuścił kamień mówcy, jakby wzgardził tym, czy ludzie go poprą, czy nie.

Część jego stronników zaczęła głośno wiwatować. Była to jednak wciąż niewielka grupa, mimo że zaoferował swoje pola i zbiory każdemu Ateńczykowi, który potrzebował jedzenia.

Temistokles ujrzał, że przemówić chce jeszcze przynajmniej kilkunastu mężczyzn. Kiedy pomyślał, że będzie musiał ich wysłuchać, zaczęły mu opadać powieki. Na Apollina, chociaż kochał ich wszystkich, marnowali jego czas.

Wiedział, że nie może opuścić Pnyksu, dopóki nie uzyska tego, po co tutaj przybył. Ciężko westchnął. Ukrył dłoń w drugiej, a potem mocno pociągnął i wykręcił palce. Stawy głośno trzasnęły i przemieściły się, jak już setki razy w jego życiu. Był to efekt starej kontuzji zapaśniczej i natychmiast przyniósł skutek. Spowodował ostry ból, który go otrzeźwił i rozjaśnił mu umysł. Znowu podszedł do kamienia mówcy, gestem nakazując, aby pozostali mężczyźni usiedli. W końcu to oni tutaj go wezwali, miał więc prawo przemawiać.

– Dziękuję ci, Kimonie – powiedział spokojnie, aby dochować formalności, i dopiero wtedy wysoko uniósł głowę i głos. Rozejrzał się; przez chwilę czuł, że drży mu szczęka. – Wszyscy słyszeliście już raporty! – kontynuował. – Ściągnęliśmy tutaj świadków, aby zdali cenne sprawozdania z wydarzeń minionych miesięcy i lat. Czy zaprzeczycie któremuś z nich? Temu o perskich wojownikach w Macedonii budujących obozy i forty, wytyczających drogi? O moście z okrętów na Hellesponcie? O armii tak ogromnej, że nie znajdzie się dwóch ludzi, którzy oszacowaliby ją taką samą liczbą? O flocie dowodzonej przez samego Kserksesa i o jego braciach w niej służących? Oni nadchodzą! Wreszcie! I spotkają się z należytą odprawą!

Część zebranych w końcu zaczęła wiwatować, chociaż ich entuzjazm nie był pozbawiony rezerwy. Temistokles zdał sobie sprawę, że słuchacze po prostu się boją.

– Rozmieściliśmy obserwatorów na północy – ciągnął – gotowych w każdej chwili galopować do Aten z nowymi wiadomościami. Kiedy pokaże się perska armia, ruszymy jej na spotkanie. Ateny, Sparta, Korynt i cała reszta naszego przymierza, które nakazaliście mi stworzyć, wysyłając mnie do Larysy w imieniu zgromadzenia. Jeżeli ceną za jego powstanie ma być przywództwo Sparty, jestem gotów ją zapłacić, a nawet tysiąckrotnie więcej. Stałem przed Hellenami jako reprezentant ateńskiego zgromadzenia i oddałem dowództwo Sparcie.

– A co z flotą? – zawołał ktoś ze złością.

Temistokles czuł, jak pulsują mu palce, kiedy zniknął ból i powróciło znużenie. Znał flotę lepiej niż którykolwiek z Ateńczyków. Była źródłem jego władzy w Atenach, zatrudniał w niej i opłacał jako wioślarzy ponad trzydzieści tysięcy mężczyzn. Całe miasto zdawało się pracować przy jego okrętach, było wśród nich mnóstwo ludzi zasiadających w zgromadzeniu. Byli wdzięczni Temistoklesowi za regularne wypłaty i swoją pracę uważali za zaszczyt. Tego dnia wszystkim się zdawało, że przekazał ich Sparcie, odepchnął od siebie jak podstarzałą i zbędną kochankę. Nie mógł im wprost powiedzieć, że nie ma

zamiaru dopuścić do wykonania jakiegokolwiek złego rozkazu Spartan. Ale musiał przekazać im coś, dzięki czemu nie stracą do niego zaufania.

– W naszym sojuszu będziemy dysponowali ponad trzystoma okrętami. Flotę Hellenów złożoną z wioślarzy, hoplitów, łuczników i ciężkozbrojnych. Będą wśród was. Będzie z nami także Kimon jako dowódca dwunastki. – Popatrzył na młodzieńca, jakby prosił go o zgodę, lecz tę sprawę już uzgodnili. Jedynie z uwagi na młody wiek Kimon nie mógł otrzymać dowództwa nad większą liczbą okrętów. Chłopak pokiwał głową, przyjmując propozycję. – Razem ze mną stanie na okręcie Eurybiades ze Sparty – kontynuował Temistokles. – Nie, spokojnie! Przecież nie jesteście gęsiami! Sami się poniżacie, posykując na dźwięk tego imienia, podczas gdy powinniście je szanować. Eurybiades jest po naszej stronie, podobnie jak cała Sparta. Nie ma teraz miejsca na drobne ambicjonalne zatargi, nie w tym roku. Albo staniemy do wspólnej walki, albo zginiemy w samotności. Zrozumcie to! Bo później nie będzie możliwości ucieczki, nie znajdziemy żadnego spokojnego miejsca, gdzie moglibyśmy zabić rany. Król Persów będzie nas ścigał do utraty tchu! Przybywa tutaj, aby palić, gwałcić i mordować. Przybywa, żeby nas osiąść, żeby wszystkich Greków uczynić swoimi niewolnikami. Mówię wam, jeżeli przegramy, nie będziemy mieli gdzie się ukryć. – Na moment umilkł. – Dowódcy wyprowadzą naszą flotę w takie miejsce, w którym będzie mogła skutecznie operować wiosłami, taranami i inną bronią. Tak jak rzucona włócznia ma zabić biegnącego człowieka, tak my posłużymy się flotą, aby posłać Persów na dno morza. Zwycięstwo zależy od załóg na okrętach. Wiecie o tym lepiej ode mnie. Kiedy rozpocznie się bitwa, okręty będą faktycznie waszą własnością, będziecie polować jak jastrzębie i pantery. Rozbijecie nieprzyjaciela i za każdym razem wycofacie własną jednostkę szybciej i sprawniej, niż uczynią to zabiedzeni perscy niewolnicy przy wiosłach. Albo przeskoczycie na pokład okrętu wroga, sprawicie, że spłynie krew, a potem podpalicie i odpłyniecie! Uważacie, że będzie miało jakieś znaczenie to, czy do boju poprowadził was Spartanin czy Ateńczyk? W każdej chwili będziecie wiedzieć, że wszystko uważnie obserwuję!

Na te słowa zareagowali już lepiej. Temistokles pociągnął za palec i ból się wzmógł, jednak stawy po chwili się ustabilizowały, przynosząc mu ulgę. Ten ból był z nim od wielu dni, lecz Temistokles niekiedy potrzebował tego doznania. Nie pozwalał sobie na słabość, przecież miał tak wiele do zrobienia. Po latach fałszywych alarmów marsz Persów na Grecję stawał się rzeczywistością. Nie próbowali już ukrywać swojej obecności w Tracji i w Macedonii, przygotowywali olbrzymie składy żywności, których strzegły oddziały stacjonujące w umocnionych obozach. Co więcej, ich flota znajdowała się już na morzu pod pełnymi żaglami, napędzana wiatrem i wiosłami. Każdego dnia do Aten docierały nowe raporty o ruchach wojsk lądowych i floty. Nagle, po długim oczekiwaniu, zaczęło brakować czasu na przygotowanie obrony.

– Wzywam do nadzwyczajnego głosowania – powiedział Temistokles. – To konieczne na czas wojny. Nie mogę prowadzić was sam. Potrzebuję wprawnych dowódców, doświadczonych strategów. Arystydesa...

W jednej chwili rozległ się tumult. Temistokles pochwycił spojrzenie Kimona. Wytrzymał jego wzrok, nie odwrócił się, mimo że młodzieniec sprawiał wrażenie, jakby ktoś uderzył go w głowę. Był wyraźnie oszołomiony. Temistokles próbował przekrzyczeć tłum.

– I potrzebuję Ksantypposa. Wzywam do nadzwyczajnego głosowania, które zakończy ich wygnanie. Sprowadzi z powrotem do domu.

Patrzył, jak Kimon się do niego zbliża, i nie cofnął się, kiedy chłopak chwycił go za ramię. Czuł wino w jego oddechu, lecz młodzieniec nie chwiał się, nie mrugał. W rzeczy samej Temistokles miał wrażenie, że młodzik doskonale kontroluje w tej chwili emocje. Dobrze to świadczyło o synu Miltiadesa.

– Naprawdę ich potrzebujesz? – zapytał.

– Tak. W czasie pokoju dałbym sobie radę bez nich. Wyobrażasz sobie, ile będzie mnie kosztować wezwanie ich do powrotu? Ale czy ocalenie Aten nie jest warte mojej dumy? A zwycięstwo w wojnie? I Arystydes, i Ksantyppos walczyli pod Maratonem u boku twojego ojca. Wobec tego faktu moja duma jest po prostu kawałkiem wystrzępionej szmaty. Ateny znaczą dla mnie więcej.

Kimon pokiwał głową. Słowa Temistoklesa poruszyły go na tyle, że poklepał go po ramieniu. Było to prosty gest uznający jego przywództwo, a Temistokles nie próbował go uniknąć. Chłopak znowu go zaskoczył.

Ludzie wokół zachowywali się coraz głośniejsze, ich nastroje stawały się coraz bardziej zapalczyste, groziły wybuchem przemocy. Scytyjscy strażnicy zaczęli zajmować strategiczne pozycje, przypominając rozognionym mężczyznom o swojej obecności.

– Arystydes i Ksantyppos – odezwał się spokojnie Kimon – mogą jednak nie wrócić. Jeżeli są przekonani, że to ty stoisz za ich wygnaniem.

Temistokles uśmiechnął się gorzko. Już od jakiegoś czasu zmagał się z tą myślą, ale był przekonany, że ta sama motywacja, która kieruje nim, będzie decydować także o ich poczynaniach.

– Na ile znam Arystydesa, będzie się dręczył tym podejrzeniem, dopóki nie dojdzie do wniosku, że poznał prawdę. Chociażby dla własnej satysfakcji. Ale obaj są Ateńczykami, Kimonie, a Ateny są teraz zagrożone. Nic innego się nie liczy. Ani prawo, ani moja duma, ani duma Arystydesa i Ksantypposa. Wróć. Muszą, bo ich potrzebujemy. A teraz pomóż mi zwyciężyć w tym głosowaniu.

31

Słońce okrutnie doskwierało ludziom w dolinie. Miesiące ciężkiej pracy sprawiły, że ich skóra przybrała ciemnobrązową barwę i przypominała wypolerowane drewno, zwłaszcza kiedy lśnił na niej pot. Naskórek schodził z ich ciał szerokimi płatami, szczególnie z obnażonych ramion. Nauczyli się już go nie zdzierać i nie odsłaniać ukrytej pod nim jaśniejszej skóry, która później mogła pokrywać się pęcherzami. Po prostu pracowali, jedli i spali, przyodziani jedynie w przepaski biodrowe, a czasami w stare lniane chitony, tak brudne, że aż czarne. Trwali na swoich stanowiskach niczym żołnierze, stawiając ciężkie pale i wbijając je w ziemię, pijąc wodę i pocąc się, wypoczywając pod platanami, kiedy zarządzano przerwę na popołudniowy posiłek. Było to życie bardzo proste, a Ksantyppos odnosił wrażenie, że w pewnym stopniu uszlachetniające. Ścinanie dębów, cięcie pni na deski, a następnie budowanie z nich zagród dla bydła wydawało się dumną pracą. Obserwował zarządcę Peliasa, jak wyjaśnia robotnikowi jego zadanie, a następnie dołącza do ekipy pracującej za dwie drachmy dziennie.

Początkowo Pelias zachowywał wobec niego dużą rezerwę, widząc jego ramiona upstrzone bliznami i mając świadomość jego postawy żołnierza. Lecz Ksantyppos pracował równie ciężko jak każdy z robotników, jego ciało też pokrywało się pęcherzami, dłonie tak samo twardniały, a drzazgi wbijały się w nie równie często jak w ręce pozostałych. Wydawało się, że nie szuka ani towarzystwa, ani przyjaźni. Ludzie to wyczuwali i przez większość czasu pozostawiali go w spokoju. Pewien głupiec, który próbował odebrać mu miskę

z duszonym mięsem, zetknął się z nożem hoplity, który pojawił się w dłoni Ksantypposa jakby znikąd i nagle przywarł do jego pachwiny. Mężczyzna natychmiast odstawił miskę, o wiele szybciej, niż po nią sięgnął, chociaż Ksantyppos nie powiedział wówczas ani słowa i nawet nie wstał z miejsca.

Czuł pewną dumę, że może jeść wyłącznie dzięki swojej pracy. Drachmy, które zarabiał, nie wystarczały na wiele. Mógł na nich zaciskać poranione palce ze świadomością, że należą tylko do niego. Mógł nakazać Agaryście, żeby co miesiąc przesyłała mu pieniądze wypracowane w rodzinnych posiadłościach, lecz wolał nie polegać na takich dochodach. Istniały na świecie rzeczy znacznie cenniejsze od srebra – jedną z nich była duma. Chociaż upadł nisko w hierarchii społecznej, nie był niewolnikiem, którego należało karmić niczym psa i zapewniać mu dach nad głową.

Wyszczupłał na wygnaniu. Przez pierwsze dwa lata niemal bez przerwy pisał listy. Przez bardzo długi czas chciał żyć w taki sposób jak wcześniej. Ale jak mężczyzna może spędzić dziesięć lat z dala od domu? Z dala od rodziny, swojego miasta i wszystkiego, co kocha? Wiedział, że w dniu, w którym będzie mógł wrócić do Aten, będzie pięćdziesięcioletkiem – taka perspektywa była zbyt odległa, aby mógł na ów dzień po prostu czekać. W końcu zrozumiał, że musi podjąć jakąś pracę, intensywnie się ruszać, żeby pozostać sprawny, a także po to, by po prostu czymś się zająć. Czas ciągnął się boleśnie dla każdego, kto nie miał celu w życiu. A Ksantyppos nigdy dotąd nie rozumiał, jaką karą może się okazać dysponowanie nadmiarem wolnego czasu.

Agarysta z dziećmi przyjechała do niego zaledwie raz, kilka miesięcy po rozpoczęciu jego wygnania. Wizyta była ogromnym przedsięwzięciem, a przynajmniej w jej zamyśle sprawiała takie wrażenie. Jej narzekania dotyczące wielodniowej podróży stanowiły dla niego wyraźne ostrzeżenie. Obiecał sobie, że więcej nie poprosi, żeby go odwiedziła, jeżeli sama się nie zaoferuje. Oczywiście nic takiego nie nastąpiło. Nie widział dzieci już od sześciu lat. Aryfron niemal osiągnął wiek pozwalający na zostanie pełnoprawnym członkiem zgromadzenia.

Eleni miała piętnaście, a Perykles trzynaście lat, prawie czternaście. W tej chwili nie potrafił sobie nawet ich wyobrazić.

– Trzymaj mocno – powiedział.

Mężczyzna obejmujący pal miał tendencję do mrugania, kiedy na słup z góry opadał młot. Zapewne lepiej by się spisywał, uderzając młotem, lecz Ksantyppos nie wierzył, że potrafiłby to robić celnie, szczególnie gdyby w jego zasięgu miały się znajdować jego własne dłonie. Tamten nie był niemową, ale, podobnie jak on sam, odzywał się rzadko.

Raz za razem zaczął opuszczać żelazo, wbijając pal w ziemię. Ogrodzili płotem już duży teren, rozciągający się aż do odległych zabudowań mieszkalnych i gospodarczych. Ksantyppos nie poznał mieszkającej tam rodziny. Był po prostu robotnikiem wykonującym w pocie czoła i w znoju te same czynności.

Westchnął ciężko. Dochodził do wniosku, że zbyt dużo myśli. Bywały momenty, kiedy nagle zdawał sobie sprawę, że minęło wiele długich dni, których po prostu nie zauważył, zwyczajnie przed nim przepłynęły. Wracały do niego jedynie migawkami, a nie długimi falami wspomnień. Na wygnaniu parał się już co najmniej dziesięcioma pracami, od ujeżdżania koni po układanie dachów i pisanie przemówień dla kapłanów z Koryntu, którzy ledwie dawali wiarę, że ktoś wyglądający jak zwyczajny cieśla zna litery równie dobrze jak świątynny skryba.

– Koniec na dzisiaj – ogłosił Pelias.

Robotnicy nie protestowali. Zebrali łopaty i młoty, szybko wrzucili je na wóz, a następnie uformowali krótką kolejkę, żeby odebrać srebrne monety – dzisiejsze wynagrodzenie za pracę. Ksantyppos przyjął wypłatę, ze zmęczenia niemal chwiejąc się na nogach.

Czekał go mniej więcej godzinny marsz do domu na przedmieściach Koryntu. Zanim dotarł na miejsce, nogi ciążyły mu już jak ołów, a pod koniec wędrówki widział świat jak przez mgłę. Był głodny i spragniony, wiedział, że tylko kubek lub dwa kubki wina trochę go podreperują.

Na drodze przed domem dostrzegł wóz zaprzężony w dwa konie i czekających przy nim czterech uzbrojonych mężczyzn. Widok ten od razu wyostrzył mu wszystkie zmysły. Drzwi domu były otwarte! Usłyszał, jak skomli pies, bezbłędnie wyczuwając, że nadchodzi jego pan. Ksantyppos dotknął dłonią pasa, lecz miał za nim zatknięty jedynie nóż z drewnianą rękojeścią. Mimo wszystko dobył go i wchodząc do domu, trzymał uniesiony, gotów do zadania ciosu.

Agarysta zupełnie nie pasowała do jego małej kuchni. Rozpoznał ją natychmiast, ale stanął jak wryty. Usłyszał metaliczny dźwięk, gdy nóż wypadł mu z dłoni, ale nie schylił się, aby go podnieść.

– Agarysta? – odezwał się z lękiem. – Nie pisałaś, nie uprzedziłaś mnie, że przyjedziesz.

Jej twarz była ściągnięta. Pokiwała głową, kiedy zrobił krok w jej kierunku, ogarnięty panicznym strachem przed złymi wiadomościami.

– Chodzi o dzieci? Z Aryfronem wszystko w porządku? Co z Peryklosem? Z Eleni?

– Dzieci mają się dobrze, Ksantypposie. Przyjechałam, żeby cię zabrać do domu – odpowiedziała. – Tak zagłosowało zgromadzenie.

Jego wzrok powędrował ku drugiej osobie znajdującej się w kuchni, obserwującej go w milczeniu z dłonią na ustach. Jego kochanka, Alia, była Koryntyjką. Miała dwoje dzieci i była już wdową, lecz wciąż piękną kobietą. To ona przytrzymywała psa, chociaż duży brązowy mastyf się wyrywał, nie potrafiąc zrozumieć, dlaczego nie wolno mu podbiec do pana. Ksantyppos ruchem ręki uspokoił skomlące zwierzę. Napięcie panujące w pomieszczeniu podpowiedziało Ksantypposowi, że Agarysta zna już rolę drugiej kobiety w jego domu.

– Zbliżają się Persowie, Ksan. Pomyślałam...

Ku swemu przerażeniu zobaczył, że w oczach żony pojawiają się łzy. Wstała z krzesła, minęła go i wybiegła z domu. Został w kuchni z kochanką, nieruchomy jak kamień. Nagle, jakby opuściły ją siły, Alia puściła psa, a ten skoczył na niego, zadowolony i skory do zabawy. Ksantyppos nazwał go „Konis”, czyli piach,

ponieważ jego sierść miała kolor piasku. Jednak dla Greka imię to nosiło w sobie cień śmierci, ponieważ każdy zmarły trafiał do piachu. Pasowało do psa także dlatego, że sprawiał wrażenie dzikiego jak potwory, z którymi walczył Herakles.

– Czy to koniec? – zapytała kobieta. – Mówiłeś, że mamy więcej czasu.

Zdał sobie sprawę, że Alia zachowuje się bardzo dzielnie. Jeszcze tego poranka, obudziwszy się, oboje leżeli przez dłuższy czas w łóżku, ciesząc się wzajemną bliskością, tak jak niemal co rano przez ostatnie cztery lata.

– Nigdy cię nie okłamywałem – odparł łagodnym głosem, głaszcząc i poklepując psa. – Wiedziałaś, że wrócę do Aten, do rodziny. – Kolejne słowa wypowiedział z trudem: – Do żony.

Usłyszał hałas przed domem. Wóz niespodziewanie ruszył. Siedem lat! Czy Agarysta się spodziewała, że na wygnaniu będzie żył jak pustelnik? Przecież nie mógł tyle czasu spędzić w samotności. Mógł tylko dziękować Atenie, że nie spłodził dzieci, które musiałby teraz ze sobą zabrać. Ta myśl aż go zmroziła. Uniósł otwartą dłoń nad głowę Konisa, nakazując mu, żeby usiadł.

– Alio, jeżeli się okaże, że jesteś w ciąży, przywieź dziecko do mnie. Stanie się obywatelem Aten i...

– Nie jestem w ciąży.

Odpowiedziała z taką pewnością siebie, że odgadł, iż ona także zażywa zioła i napary pozwalające pozbyć się dziecka razem z krwią. Jego kobietom bardzo zależało, żeby nie mieć z nim dzieci. Przez chwilę krótką jak uderzenie serca zapragnął ją udusić. Nie był jednak słabeuszem i nie ulegał emocjom. Zapanował nad sobą.

– Dom jest twój, możesz go sprzedać. Także Konis należy do ciebie. W moim płaszczu, na piętrze, jest trochę złota i srebra. Muszę już iść, Alio.

– Dlatego, że żona przywołuje cię z powrotem w fałdy swojej szaty – odparła kobieta. Do jej głosu zakradł się kwaśny ton.

– Dlatego, że wzywa mnie moje miasto – powiedział Ksantyppos. Zabrzmiało to jak usprawiedliwienie, a przecież nie chciał się usprawiedliwiać przed

kochanką. – I także dlatego, owszem, że przyjechała po mnie żona. Nigdy cię nie okłamywałem, Alio.

– Kłamałeś, Ksan. Kłamstwem był każdy twój dotyk.

Wpatrywał się w nią przez długą chwilę, po czym wyszedł na zewnątrz i bez słowa zajął miejsce na wozie obok żony. Oddalając się od budynku, który przez siedem lat był jego domem, słyszał popiskiwanie Konisa. Pokręcił głową, zbyt zmęczony, żeby myśleć. Przeciągle gwizdnął. Gdyby w tej chwili ktoś chciał zatrzymać psa, zwierzę wyciągnęłoby go na drogę. Odwrócił się i zobaczył, że wielka bestia biegnie, ścigając wóz, wzbijając tumany pyłu. Chociaż był wykończony, chociaż Agarysta siedziała obok niego z kamienną twarzą, widok ogromnego psiego łba sprawił, że zrobiło mu się lżej na sercu. Konis zaskowyczał w biegu, a Ksantyppos wyciągnął ręce i mastyf natychmiast na niego skoczył. Zwierzę i jego pan padli na deski; Konis z wielkim entuzjazmem zaczął lizać twarz Ksantypposa.

W czasie podróży na wschód, do wąskiej granicy oddzielającej Peloponez od reszty Grecji, mąż i żona nie odezwali się do siebie ani słowem. Spartanie zbudowali tutaj zaporę z jedną niewielką bramą, tak że wozy i ludzie, którzy chcieli przejechać, czasami spędzali w kolejce nawet pół dnia. Po bardzo długim oczekiwaniu Ksantyppos sięgnął w końcu po dłoń żony. Agarysta ją wyszarpnęła, dlatego odezwał się do psa zamiast do niej:

– Konis? To Agarysta. Jest moją żoną. Będziesz ją chronił i dbał o jej bezpieczeństwo. Rozumiesz? – Pies wydał dźwięk pośredni pomiędzy skomleniem a warknięciem. – Doskonale. Dobry piesek.

Usiadł wygodniej, zamknął oczy i zapadł w niespokojną drzemkę. Agarysta milczała, spoglądając zimno w dal. Wreszcie ich wóz minął bramę i uważnie przypatrujących się im Spartan, po czym skierował się w stronę Aten.

* * *

Arystydes popijał napar z jaśminu i mięty, zadowolony z porannej pracy. Partia dziesięciu dzbanków, które wypalił w piecu, wyglądała tak jak powinna. Wszystkie miały błękitny odcień, który przypominał mu morze w letni dzień. Upewnił się, że ich kolor już się nie zmieni, po czym włożył do pieca kolejną dziesiątkę. Spokojnie żarzył się węgiel drzewny, a cegły syczały i niemal brzęczały pod wpływem gorąca. W robieniu garnków znajdował spokój, a sprzedawanie ich na rynkach Itaki przynosiło mu zadowolenie.

Wyspę zamieszkiwało niewielu ludzi, dlatego Arystydes miał już znacznie więcej prostych lśniących talerzy, niż kiedykolwiek zdołałby tutaj sprzedać. Przez pewien czas łowił też ryby i z ich sprzedaży zdołał wyremontować dla siebie jednoizbową chatę w taki sposób, że było mu tutaj wygodnie. Wyglądała tak, że sam Odyseusz mógłby przejść obok, wracając z dalekich wypraw. Arystydes podejmował się tylu prac, że nauczył się rzemiosła niezbędnego przy naprawach domu. Samodzielnie, po nieudanych próbach, wybudował piec do wypalania. Niemal przez rok obserwował pracę garncarzy, zanim przejął ich umiejętności, nauczył się dobierać odpowiednią glinę i wytwarzać węgiel drzewny.

Uśmiechnął się, popijając kolejny łyk naparu, z rozkoszą wdychając jego zapach. Najpierw zbudował solidny dach, aby chronił go przed chłodem i deszczem. Następnie zrobił drzwi i zawiesił je na skórzanych uchwytych; później, pracując w kuźni w mieście, zamiast zapłaty w srebrze przyjął żelazne zawiasy i klamkę. Te pierwsze drzwi się wypaczyły i musiał sprzedać kilka talerzy, żeby kupić kolejne, z utwardzonego drewna. Każdy fragment domu był efektem pracy jego umysłu i rąk. Chociaż chata była nieduża, to zarazem doskonała. Stała blisko wybrzeża, do którego przybijały łodzie, a rybacy rozładowywali połów. W zamian za ciepły napój albo za bochenek chleba z jego pieca zostawiali mu czasem jedną lub dwie ryby. W końcu Grecy jak nikt inny rozumieli pustelników. Arystydes zapuścił długą brodę. Nikt nie patrzył na niego podejrzliwie, a on sam nie czuł ze strony ludzi zagrożenia, które mogłoby spędzać mu sen z powiek. Kiedy wieczorami siedział bez ruchu przed domem,

obserwując morze, ogarniał go błogi spokój. Przeważnie przychodziła wtedy do niego ruda kotka i siadała obok. Nie nadał jej imienia, bo nie uważał się za jej pana. Karmił ją jednak resztkami ze swojego stołu i nauczył podawać mu jedną łapkę, a potem drugą.

Zobaczył na morzu dwie triery. Obserwował je bez większego zainteresowania, spokojnie przypatrując się oczom wymalowanym na dziobie, unoszącym się i opadającym na falach. Trierarchowie, czyli dowódcy, prowadzili swoje okręty z wprawą, wyczuwał to, chociaż miał niewielkie doświadczenie w tym zakresie. Jeśli nie liczyć wprawy w kalkulowaniu kosztów budowy okrętów. Na tym się znał. Przez dłuższą chwilę zastanawiał się, ile kosztowało zbudowanie i zwodowanie tych trier, a potem zamustrowanie załóg. Zakładając, że na pokładach znajdują się kompletne załogi, kwota musiała być olbrzymia. Tylko Ateny mogły utrzymywać na morzu dużo trier.

Kiedy okręty podpłynęły do brzegu, zauważył, że mają na masztach chorągwie z wizerunkiem sowy, symbolem Aten. Poczul ukłucie w sercu, niemal się zdenerwował. Przez długi czas nie rozmyślał o okolicznościach i warunkach swojego wygnania. Ale w głębi duszy liczył upływające lata. Wiedział, że jest jeszcze za wcześnie, że triery nie przyplłynęły po niego.

Jeden z okrętów rzucił kotwicę w pewnej odległości od brzegu. Drugi, z wprawą prowadzony przez wioślarzy, zbliżał się do niego. Wydawało się, że załoga zamierza dobić do samej plaży. Arystydes zerknął na piec przylegający do muru jego chatki. Jeżeli naczynia mają nabrać połysku, powinien wpompować do niego więcej gorącego powietrza, posługując się skórzanymi miechami. Temperatura miała też wpływ na ostateczny kolor ceramiki, chociaż on wciąż nie rozumiał, dlaczego tak się dzieje.

Podskakując na falach, galera mknęła w stronę plaży i w końcu jej dziób wgrzyzł się w piasek, tnąc go jak ostry nóż. Zatrzymała się i w wodzie pozostały jedynie bliźniacze stery. Arystydes obserwował, jak hoplici rzucają z pokładu drabiny, trapy i zaczynają schodzić na brzeg. Przypadkowi rybacy, którzy

naprawiali na plaży sieci, patrzyli na to szeroko otwartymi oczami. Nie wiedzieli, czy powinni powitać okręt z entuzjazmem, czy też jak najszybciej uciekać.

Arystydes jeszcze raz popatrzył na swój mały warsztat. Usłyszał trzask stygnących kamieni. Musiał jak najszybciej wstać i je podgrzać. O miejsce pracy należało dbać, wszyscy o tym wiedzieli. Ale wciąż stał nieruchomo, niezdolny odwrócić wzroku od okrętów, których nie widział od tak dawna.

Sam trierarcha zszedł na plażę i zawołał coś do rybaków. Wskazali mu piaszczystą drogę wiodącą na wzgórze, chociaż całe miasto było doskonale widoczne z brzegu. Było to dla mieszkańców święte miejsce, z czerwonymi dachami, białymi murami i szerokim nabrzeżem. Arystydes zaczął się zastanawiać... Jego rozmyślania przerwał trierarcha.

– Hej, człowieku, poszukujemy Ateńczyka Arystydesa. Wiadomo nam, że mieszka na tej wyspie. Znasz go?

– To ja.

Dowódca zamrugał zaskoczony, ale szybko oprzytomniał, jak należało się spodziewać po żołnierzu.

– To dla mnie zaszczyt, panie. Mam ci powiedzieć, że twoje wygnanie dobiegło końca. Tak postanowiło zgromadzenie.

Arystydes odstawił kubek i wziął głęboki oddech. Bez słowa minął trierarchę i jego ludzi. Po chwilowym wahaniu tamten wzruszył ramionami i poszedł za nim. Wkrótce okręt został zepchnięty na głęboką wodę. Na brzegu pozostał stygnący piec do wypalania naczyń, wybudowany przez Arystydesa, i zapomniane przez niego piękne błękitne dzbanki.

32

Sala posiedzeń znajdowała się pośrodku buleuterionu otwartego na agorę. Mógł pomieścić pięciuset Ateńczyków wybieranych co roku przez losowanie spośród dziesięciu fyl. Przez kilka dni w miesiącu zasiadali oni na białych kamiennych ławach, aby rozważać kwestie związane z administrowaniem miastem. Dyskutowano wtedy o flocie i kopalniach, a także o morderstwach. Najpilniejsze sprawy prezentowano następnie zgromadzeniu, które prowadziło nad nimi publiczne dyskusje i głosowało.

Buleuterion był jasny i przestronny. Docierały tu promienie słoneczne i odgłosy pobliskiej agory. Temistokles zamierzał pozostać na miejscu, kiedy pojawią się Arystydes z Ksantyposem, i na ich widok udawać wyniosłą obojętność. Ale kiedy otworzyły się drzwi, zerwał się na nogi, jakby ktoś pociągnął go za sznurek.

Pomyślał, że tamci robią doskonale wrażenie. On sam był znacznie bledszy. Milczał, kiedy jacyś radni ukazali się jakby znikąd i zamknęli za nimi drzwi. Zamierzał odbyć to spotkanie tylko we trzech, chociaż zdawał sobie sprawę, że zawsze znajdą się uszy, które będą podsłuchiwać. Prywatność dało się zachować tylko pod słońcem, na otwartej przestrzeni.

Arystydes miał na sobie nową szatę z białego płótna. Chyba drażniła mu skórę na szyi, gdyż rysowała na niej czerwone pręgi. Temistokles wpatrywał się w niego, gdy się zbliżał i wreszcie zajął miejsce w ławie kilka rzędów od niego. Obaj mogli patrzeć stąd na agorę, tłumy przechodniów i ulicznych sprzedawców.

– Pozdrawiam cię, Arystydesie – powiedział oficjalnie.

Zanim ten zareagował, zbliżył się do nich Ksantyppos, wykorzystując ławy jak schody. Nie miał przy sobie żadnej broni, poza złością, ale Temistoklesowi i tak zmiękły nogi. Nie mógł się już jednak wycofać. I nie zamierzał.

– Wezwałem was z wygnania – odezwał się szybko. – Zażądałem nadzwyczajnego głosowania w sprawie waszego powrotu i odniosłem zwycięstwo dzięki pomocy Kimona.

– Zabrałeś mi siedem lat – zauważył Ksantyppos.

Głos miał szorstki, ale złość zaczęła go opuszczać. Odniósł wrażenie, że Temistokles pozbył się mnóstwa pewności siebie i arogancji, którą tak dobrze w nim zapamiętał. Na twarzy miał nowe zmarszczki i lekko się garbił. Zaskoczony Ksantyppos zrobił krzywą minę. Gdzież jest dzisiaj ten roześmiany kuros sprzed lat?

– Gdybym cię nie wezwał, pozostałbyś na wygnaniu jeszcze parę lat – odparł Temistokles. – Proponuję wzajemną szczerłość. Uderz mnie, jeśli chcesz, ale potem usiądź i wysłuchaj. Nie stój przede mną i nie patrz z nienawiścią. Nie mamy na to czasu.

– Dlaczego miałbym cię uderzyć? – zapytał Ksantyppos ze zjadliwym triumfem w głosie. – Czyżbyś to ty stał za moim ostracyzmem?

– Daj spokój i usiądź – powiedział Arystydes. – Posłuchajmy, co ma nam do powiedzenia.

Ksantyppos zacisnął pięści. Temistokles był dobrze zbudowany, miał szerokie ramiona i raczej trudno byłoby mu powalić go jednym ciosem.

– Cieszę się, że was znaleźliśmy – kontynuował tamten.

Jakoś nie potrafił zająć miejsca, gdy Ksantyppos stał nad nim, ciężko oddychając; wyglądało to, jakby tylko kilka uderzeń serca dzieliło go od utraty panowania nad sobą. Dwaj mężczyźni jeszcze przez długą chwilę wpatrywali się w siebie czujnie.

– Posłałem ludzi, żeby was sprowadzili, ale twoja żona, Ksantypposie, prawdopodobnie podjęła działania wcześniej. Zanim eklezja zakończyła głosowanie, była już w drodze.

– Nie mów o mojej żonie – zażądał strateg.

Temistokles pokiwał głową. Czas upływał, a oni wciąż zachowywali się jak rozdrażnione koguty.

– Chyba nie sprowadziłeś mnie tutaj na spektakl, Temistoklesie! – zawołał Arystydes. – Siadajcie! Obaj!

Mężczyźni zastrzegli się w duchu, że nie ma to nic wspólnego z posłuszeństwem wobec Arystydesa; po prostu jego żądanie dało im pretekst, żeby wreszcie usiąść i rozładować napięcie. Nieważne, jaką wymyślili dla siebie wymówkę, żeby podporządkować się Arystydesowi, który potraktował ich jak niesforne dzieci, ale obaj zajęli miejsca w ławach.

– Dziękuję – powiedział Temistokles do Ksantypposa. Poczuł, że się spocił, i przez chwilę się zastanawiał, jak by zareagował, gdyby znajdował się w jego sytuacji. Podejrzewał, że nie lepiej. – Za chwilę sprowadzę Kimona – kontynuował cichym, ale pewnym głosem. Zobaczył, że Ksantyppos się zaniepokoił. – Tak jak ty wybaczasz mnie, on może wybaczyć tobie. Dla Aten.

– Nie powiedziałem, że ci wybaczam – odparł strateg, lecz w jego głosie było znacznie mniej zaciekłości niż na początku. – Jeszcze się policzymy.

– Tak, na to zawsze będzie czas – odpowiedział Temistokles i westchnął.

Podszedł do kolejnych drzwi i zapukał. Kimon pojawił się w nich natychmiast, jakby stał z uchem przyciśniętym do drewna.

Ksantyppos i Arystydes wstali. Chłopak szedł krokiem sprężystym jak pantera albo doborowy wojownik. Nie ukończył jeszcze trzydziestki, a jego postawa świadczyła o wyćwiczonych mięśniach, sile i umiejętnościach nabytych w czasie intensywnych szkoleń. Wzbudzał grozę, choć na jego twarzy malowała się jedynie zimna surowość.

Ksantyppos zobaczył, że młodzieniec jest uzbrojony, i głęboko odetchnął. Rozumiał cel pojawienia się Kimona z bronią, a przynajmniej taką miał nadzieję. Jeżeli chłopak miałby być bezpieczny, jeżeli którykolwiek z nich byłby bezpieczny tylko wtedy, gdyby byli nieuzbrojeni, wówczas nie było szans na pokój między nimi. Jeśli Kimon mógł stać przy nich z mieczem za pasem i go nie

dobywać, możliwe było porozumienie. Był to subtelny sygnał, Temistokles znał się jednak na ludzkich charakterach.

Ksantyppos miał nadzieję, że się nie myli w swoich kalkulacjach. Jeżeli się pomylił, a syn Miltiadesa zamierza pomścić ojca, on mógł się uważać za martwego.

– Arystydesie... Ksantypposie – odezwał się Kimon.

Stanął przed nimi na jednym z niższych stopni. W ogóle nie przypominał chłopaka, który stał u boku ojca w trakcie procesu. Włosy miał obcięte bardzo krótko, a jego twarz się zmieniła, straciła chłopięce rysy. Emanował siłą i zdecydowaniem.

– Kimonie – odparli niemal równocześnie; ich głosy zabrzmiały nieskoordynowanym chórem.

Młody człowiek pochylił głowę, chociaż nie spuszczał spojrzenia z Ksantypposa.

– Temistokles mnie przekonał, że jesteście mu potrzebni. Zgodziłem się z jego stanowiskiem. Ale... – uniósł wskazujący palec, jakby podkreślając, że chce powiedzieć coś bardzo istotnego – ...Ksantypposie, popełniłeś błąd, doprowadzając mojego ojca przed sąd. Jeżeli to przyznasz, porzucę wszelką wrogość, jaką do ciebie czuję. A więc?

Strateg wbił w niego spojrzenie, a w głowie kotłowały mu się miliony myśli. Temistokles odchrząknął. Młodzieniec wyciągnął w jego stronę otwartą dłoń, ostrzegając go, żeby był cicho.

– Och, usiądź, chłopaku – rzucił Arystydes. – Nie popełnił żadnego błędu.

– Nie szukam z tobą zwady – warknął tamten urażony.

Arystydes wzruszył ramionami.

– Ani ja z tobą. Nie możemy odmienić prawdy ani przeszłości. Temistokles skrócił nasze wygnanie i wezwał nas do Aten. Zakładam więc, że ma nastąpić koniec świata. Właśnie dlatego tutaj jestem i czekam, aż powie, czego ode mnie chce. A ty? Kim ty jesteś?

– Synem Miltiadesa!

– Byłeś z nami pod Maratonem? – zapytał Arystydes. – Bo my trzej tam byliśmy. Walczyliśmy ramię w ramię z twoim ojcem. Jak by na to spojrzeć, Miltiades zmarł z powodu ran, które odniósł pod Maratonem. Niemal dziesięć lat temu. Bądź więc ostrożny, młody człowieku. Poniosłeś wielką stratę. Ja także. I Ksantyppos.

Kimon patrzył na niego z niedowierzaniem. Wyobrażał sobie wspaniały spektakl, sądził, że skłoni Ksantypposa do żalu, zmusi do przyznania, że się pomylił. A tymczasem mąż, którego szanował, zniweczył ten plan i potraktował go jak dziecko. Młodzieniec znowu popatrzył ze złością na Ksantypposa, jednak żadna siła nie mogła już odwrócić sytuacji.

– Nie potrafię zmienić przeszłości – powiedział strateg. Zabrzmiało to bardzo słabo nawet w jego uszach, dlatego zmusił się, żeby to powtórzyć. Gdyby Kimon dobył teraz miecza, może we trójkę daliby radę go okiełznać, zanimby kogoś zabił. Wziął głęboki oddech. – Nie popełniłem błędu, Kimonie. Wykonałem swój obowiązek wobec Aten, które są warte o wiele więcej niż którykolwiek z nas. Wolność jest warta o wiele więcej niż nasze życie, na pewno znacznie więcej niż nasza praca. Potrafisz to zrozumieć? Nigdy nie było to dla mnie bardziej oczywiste niż dzisiaj, kiedy ponownie postawiłem stopę na agorze. Nie ma na świecie nic porównywalnego z naszym zgromadzeniem, Kimonie. Poza naszymi granicami funkcjonują jedynie ludzie, którzy mówią innym, co mają robić, to tyrani. Spędziłem wiele lat w Koryncie, na Peloponezie. Minęło trochę czasu, nim się zorientowałem, jak różni się on od Aten, ale kiedy to zrozumiałem, było to dla mnie niczym uderzenie obuchem w głowę. Tam od lat nic się nie zmienia. W Atenach dyskutujemy, handlujemy, unowocześniamy miasto. Zmiany widać każdego dnia, lecz zawsze zachodzą one za zgodą ludzi. Zawsze. Widziałem, jak wieszają człowieka, który skrytykował możnego z Koryntu. Nikt nie protestował, tutaj byłoby inaczej. My możemy mówić wszystko, nie wolno nam tylko bluźnić. Wolno nam chwalić Spartę, ale Spartanom nie wolno chwalić Aten! Na tym polega różnica między Atenami a resztą świata. Źródłem naszego prawa jest lud,

a nie zachcianki sędziów czy królów. Na Atenę, kocham i kochałem za to nasze miasto, nawet na wygnaniu, nawet z niego wyrzucony!

W oczach Kimona pojawił się podziw, gdy nagle zaczął on rozumieć mężczyznę, którego nienawidził. Także Arystydes wydawał się poruszony. Można było odnieść wrażenie, że jest bliski łez.

Ksantyppos powoli odetchnął.

– To dlatego Temistokles mnie wezwał, chociaż wie, że mam ochotę go udusić. Wolność, którą wywalczyliśmy, jest warta mojego życia i dzisiaj jest nawet słodsza niż siedem lat temu.

Obaj popatrzyli na Temistoklesa. Świadomy ich spojrzeń powoli pokiwał głową. Ksantyppos się roześmiał, lecz w jego śmiechu zabrzmiała gorycz.

– Będę ciężko pracował, aby zachować to wszystko, co w Atenach jest dobre. Chyba każdy z nas może się tego podjąć. Nieważne, jakim kosztem. A na koniec będziemy mogli powiedzieć: „Uczyniliśmy wszystko, co leżało w naszej mocy, zgodnie z naszą wiedzą”.

– Postąpiłbyś tak jeszcze raz? – spytał Kimon cicho, jakby zadawał to pytanie sobie.

Wszelka złość jakby go opuściła, scena, którą sobie wyobrażał, ustąpiła prawdzie, mimo że był nią ogromnie rozczarowany. Ksantyppos nie był potworem, ale zwyczajnym Ateńczykiem, szczerym i inteligentnym, silnym, o ciele spalonym przez słońce.

– To nie ma znaczenia – odpowiedział. – Nie możemy wrócić do przeszłości. Po dawnych dniach pozostało mi znacznie więcej żalu, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić, Kimonie. Ale nie mogę cofnąć niczego, co uczyniłem, rozumiesz? Masz przed sobą wiele wspaniałych chwil. Ale jeśli zawsze będziesz podążał przed siebie tylko wtedy, gdy będziesz pewien, że każdy twój krok jest właściwy, w ogóle nie ruszysz z miejsca. Powiem tyle... bardzo boleję nad tym, że twój ojciec umarł.

– Dziękuję ci.

Temistokles popatrzył na Kimona i na Ksantypposa.

– Wiem teraz, że miałem rację... – zaczął.

Strateg odwrócił się w przypiływie złości tak ogromnej, że przed oczami widział tylko białe światło. Nie poczuł bólu, kiedy rzucił się na potężnej postury Temistoklesa i zaczął się z nim przetaczać pomiędzy kamiennymi ławami.

Zaatakowany jęknął, a Ksantyppos poczuł strach, gdy jego złość nagle zniknęła. Przypomniawszy sobie, jak silnym mężczyzną jest jego przeciwnik, jak groźnym jest pięściarzem i zapaśnikiem. Zaciśnął pięści, chociaż jedna ręka już go bolała po silnym ciosie, który mu zadał. Nie zamierzał, nie mógł się wycofać, to było już niemożliwe. Z chłodem w spojrzeniu zrobił dwa kroki do tyłu i patrzył, jak Temistokles wstaje z posadzki. W miejscu, w które trafiła jego pięść, miał czerwony ślad. Wyprostował się i spokojnie podszedł. Nie spuszczał wzroku z twarzy Ksantypposa.

– To był raczej zdradziecki atak – powiedział, a potem przez długą chwilę milczał. Strateg czekał na rozwój sytuacji. – Mamy jednak ważniejsze sprawy. Jeśli skończyliśmy już z zaszłościami. Skończyliśmy? – Trzej mężczyźni po kolei pokiwali głowami. – Dobrze. Nie odmienimy przeszłości. Musimy natomiast zmierzyć się z przyszłością. Persowie nadciągają morzem i lądem. A ja nie jestem w stanie ich powstrzymać. Przynajmniej nie sam.

Mimo że bolała go szczęka, Temistokles zdał sobie sprawę, że jest mu znacznie lżej na sercu. Arystydes był doskonałym strategiem. Już sama myśl, że może oddać pod jego dowództwo hoplitów, ujmowała mu z ramion ogromnego ciężaru. Ksantyppos zyskał ogromny szacunek dzięki zdecydowaniu i żołnierskim umiejętnościom. Można mu było ufać: zawsze walczył do upadłego, niezależnie od stawki. Kimon był narwańcem, owszem, miał w sobie agresję, bezczelność i brak szacunku wobec przełożonych, ale z dnia na dzień przeradzał się w charyzmatycznego przywódcę. Takich ludzi źle odbierano w czasie pokoju, jednak podczas wojny okazywali się wprost niezastąpieni. Temistokles z ogromną ulgą doszedł do wniosku, że się nie pomylił. Wszyscy trzej byli mu niezbędni.

33

Ksantyppos opuścił miasto. Miał za sobą długi dzień i był zmęczony, ale też przepelniony uczuciem satysfakcji, jakiej nie zaznał od bardzo dawna. I wcale nie chodziło o to, że Arystydes otrzymał dowództwo nad ateńskimi hoplitami. Tyran mógłby je objąć na jedno skinienie dłoni przystrojonej w pierścienie z drogocennymi kamieniami. Nie, źródłem jego zadowolenia było to, że rada zwołała nadzwyczajne posiedzenie zgromadzenia, a Ateńczycy w głosowaniu formalnie zatwierdzili Arystydesa na stanowisku, puszczając w niepamięć jego banicję. Ta decyzja została wyryta w kamieniu i widniała na agorze, mógł to przeczytać każdy obywatel Aten.

Uśmiechnął się i wydłużył krok. Arystydes wezwał wszystkich hoplitów na plac ćwiczebny; powinni się na nim zgromadzić następnego dnia o świcie. Następnie mieli pójść do Maratonu, tam przenocować i kolejnego poranka wrócić do Aten. Wódz miał ocenić ich przygotowanie, a Ksantyppos znał go wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że przez dwa dni wyciśnie z nich siódme poty.

Sam początkowo był rozczarowany, że jako strateg nie otrzymał dowództwa nad tysiącem ludzi. Zakładał, że Temistokles wezwał go z wygnania ze względu na rolę, jaką odegrał pod Maratonem. Jednak tamten miał inne plany. Jako że Kimon był za młody, żeby pełnić ważną funkcję we flocie, Temistokles jako jej dowódca potrzebował więc zastępcy i chyba zamierzał powierzyć to stanowisko Ksantypposowi.

Była to zapewne najdziwniejsza ze wszystkich okoliczności, jakie towarzyszyły jego powrotowi. Przez całe lata wyobrażał sobie, jak zemści się na Temistoklesie, choć nigdy nie powątpiewał w jego umiejętności ani w jego miłość do Aten. Wydawało się, że tamten również widzi te cechy w nim. Pomijając osobiste waśnie, mieli z sobą wiele wspólnego. Dlatego Ksantyppos był niemal zachwycony. Następnego ranka, kiedy Arystydes zabierze hoplitów w pierwszy długi bieg, on miał stawić się w porcie, aby objąć swoją funkcję na jednym z okrętów. W krótkim czasie musiał nauczyć się wielu nowych rzeczy i czuł się podekscytowany. Ateny posiadały zbyt wiele trier, aby Temistokles mógł nimi dowodzić samodzielnie. Tym bardziej że codziennie przybywali ze sprzymierzonych miast nowi ludzie, a trierarcha ze Sparty dał się już we znaki jako uciążliwy partner.

Ksantyppos pokręcił głową z rozbawieniem i roześmiał się. Na drodze był sam, a wciąż z trudem panował nad ekscytacją, jaka go ogarnęła, kiedy ponownie rzucił się w wir ateńskiej polityki. Jego egzystencja na wygnaniu wyglądała ponuro w porównaniu z codziennością życia w Atenach. Pomyślał, że Alię zainteresowałyby wiadomości od niego, i nagle przystanął. Popatrzył daleko w przestrzeń. Tęsknił za nią, lecz raczej nie mógł zwierzyć się z tej tęsknoty Agaryście. Gdyby jego banicja zakończyła się w sposób naturalny, zapewne przywiózłby kochankę do Aten i znalazł dla niej dom przy jakiejś cichej uliczce. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego.

Ruszył biegiem, rozciągając biodra i zmęczone mięśnie. Bolał go krzyż, a kolano zaczęło protestować po zaledwie kilku krokach, przypominając mu, że nie jest już młodzieńcem. Postanowił, że nie sprowadzi Alii tam, gdzie mogą się zjawić Persowie, na pewno nie w tym roku. Bardziej bezpieczna niż w Atenach będzie na przedmieściach Koryntu. Ta decyzja przyniosła mu niespodziewane rozczarowanie, dlatego postanowił rozważyć ją ponownie, trochę później. Sprawy sercowe zawsze są skomplikowane.

Nastrój mu się poprawił, kiedy stanął przed bramą rodzinnej posiadłości i załomotał w nią pięściami. Na schody po drugiej stronie wspiał się niewolnik,

którego nie znał, i popatrzył na niego ze zmarszczonym czołem. Rozzłościło go to spojrzenie: niesłychane, że niewolnik dopuścił do siebie myśl, iż on jest tu obcy.

– Powiedz swojej pani, że jej mąż wrócił – zawołał.

Mężczyzna zniknął i po chwili brama otwarła się przed nim szeroko.

Przyjechał z Agarystą do domu we wczesnych godzinach porannych, krótko przed świtem. Oboje przysypiali na wozie. Z domu wybiegły dzieci, aby powitać ojca, lecz stanęły przed nim w rzędzie, z lampami w rękach, zachowując się niemal jak obcy. Dopiero Konis rozładował napięcie. Podbiegł do dzieci, napierał na nie całym ciałem i machał radośnie ogonem. Aż do tej pory Ksantyppos nie miał pojęcia, jak bardzo zmieniły się ich twarze. Eleni urosła. Jej brązowe oczy obserwowały go czujnie, a przecież kiedyś widywał w nich tylko radość. Usta, które pamiętał jako skóre do uśmiechu, teraz były ściągnięte. Dwaj synowie z większym entuzjazmem pokleпали psa, niż uścisnęli dłoń ojca. Pozwolili mu się objąć, lecz odniósł wrażenie, że zgadzają się na to jedynie z synowskiego obowiązku. Jeszcze nigdy nie czuł się bardziej zakłopotany.

Słońce zachodziło, kiedy wchodził do domu, tak dobrze mu znanego, lecz teraz także subtelnie obcego. Za jego plecami niewolnicy zamknęli bramę, zabezpieczając posiadłość na noc. Konis wybiegł mu naprzeciw, wesoło podskakując, ślizgając się na płytkach. Wydawał ciche odgłosy radości, niezdarnie ocierając się o nogi pana. Ksantyppos pomyślał, że pies zawsze jest dobrym przyjacielem.

W domu zapalono lampy. Ich blask wabił, emanując bezpiecznym ciepłem, ukazując jego oczom to, o czym marzył przez lata na wygnaniu. Ostatniej nocy niemal ich nie zauważał. Teraz stanął i wpatrywał się w nie, rozmyślając o przeszłości. Przyszło mu do głowy, że Agarysta zapewne czeka, aż wejdzie do jej pokoju. W tej chwili nie potrafił się na to zdobyć. Usłyszał odgłos końskich kopyt na zielonej darni i odwrócił się. Obszedł dom dookoła, po czym ruszył na otwartą przestrzeń. Konis dreptał przy jego nodze.

W szarym półmroku zobaczył, jak Perykles zmusza wierzchowca do bardzo wysokiego skoku przez przeszkodę. Ksantyppos nigdy w życiu nie widział, aby ktoś skakał na koniu tak wysoko. Zwierzę było silne i dało radę przemknąć nad żerdzią, uginając nad nią przednie nogi. Przez chwilę jakby zawisło w powietrzu, a potem wylądowało na ziemi, najpierw przednimi, a następnie tylnymi kopytami. Syn poklepał konia po szyi, następnie zawrócił go w miejscu.

Skok obserwowali Eleni i Aryfron. Nie zauważyli, kiedy ich ojciec z Konisem wyszli z cienia. Ksantyppos nie był częścią ich życia od bardzo dawna i zastanawiał się, czy kiedykolwiek do niego powróci. To Temistokles odebrał mu radość obserwowania, jak dzieci dorastają, lecz ta świadomość była już tylko starym bólem, dawno zabliznioną raną. Wrócił do domu, a tymczasem zbliżała się wojna. Kochał dzieci, ale nie w taki sposób, by się w tej miłości rozplęwać, rozczulać, przynajmniej nie w tej chwili. Kochał je tak, jak kochał Ateny. I tak jak za Ateny gotów był oddać za nie życie.

Dzieci odwróciły się bez pośpiechu, kiedy do nich podchodził. Zauważył, że na jego widok znowu przyjmują sztywną postawę, stają się czujne. Aryfron i Eleni zbliżyli się do siebie, jakby znowu chcieli stanąć przed nim w szeregu. Perykles obserwował go z wysokości końskiego grzbietu. Nie zamierzał zeskoczyć na ziemię, a w jasnych oczach miał blask, który przywodził na myśl nienawiść. Uśmiech zamarł na ustach Ksantypposa. Zbliżając się do dzieci, czuł zwyczajną radość. I ta radość wydawała się zanikać, kiedy musiał się mierzyć z twardą rzeczywistością. Ci młodzi ludzie go nie znali.

– Pamiętam, jak uczyłaś się jeździć konno, Eleni – powiedział. – Skakałaś przez o wiele niższe przeszkody na małym kucyku. Tak! Perykles stał o, tam. Martwiłem się, że jeśli strącisz belkę, ona uderzy go w głowę.

Chłopcy milczeli. Patrzyli na niego, jak patrzyliby na każdego innego przyjaciela swojej mamy. Lecz Eleni się rozpromieniła.

– Pamiętam! – zawołała. – Dosiadałam wtedy Cienia. Był cudowny.

– To wcale nie był Cień – mruknął Perykles.

Siostra popatrzyła na niego przelotnie i kontynuowała zachwycona wspomnieniem.

– Sprzedaliśmy go, kiedy Perykles tak urósł, że Cień stał się dla niego za mały. I kupiłam Wojownika... to on. Tak naprawdę to koń Peryklesa, ale mnie lubi znacznie bardziej.

Uśmiechnęła się i Ksantyppos pomyślał, że jest piękną dziewczyną, pełną życia. Kiedy się odzywała, Konis natychmiast machał ogonem.

– Tamten kucyk to wcale nie był Cień – znowu wtrącił Perykles. – Nie miał imienia. A ten to nie jest Wojownik. Konie nie mają imion.

– Mają, kiedy ich dosiadam – oznajmiła wciąż uśmiechnięta Eleni.

Spoglądając po twarzach dzieci, Ksantyppos zorientował się, że prowadzą w tej kwestii bezustanną sprzeczkę.

– Nadawanie imion zwierzętom nie jest niczym złym – powiedział łagodnie. – Przecież wiecie, że nazwałem mojego psa „Konis”, czyli „piach”, bo wciąż przywiera mu do sierści, i ma nawet taką samą barwę.

Perykles popatrzył na niego twardo i dostrzegł, że chłopiec zмага się z sobą: miał ochotę ostro ojcu odpowiedzieć, lecz rozsądek podpowiadał mu, że powinien zachować ostrożność.

– A wasza matka i ja nadaliśmy imiona całej waszej trójce – kontynuował. – „Ary-fron” znaczy „wielki umysł”. Jesteś moim pierworodnym synem, prabratankiem Klejstenesa, który obdarzył Ateny demokracją.

Po tych słowach spojrzenie jego najstarszego syna trochę złagodniało.

– A „Eleni”? – zapytała córka.

Ksantyppos się uśmiechnął.

– To oznacza „światło”, pochodnię w ciemności. Ponieważ moje serce się rozjaśniło, kiedy mi powiedziano, że wasza matka urodziła córkę. Sam je wybrałem.

Dziewczyna była zachwycona tym wyjaśnieniem. Zapadła cisza. Perykles wciąż milczał, a jego siostra spoglądała to na brata, to na ojca i wreszcie straciła cierpliwość dla wciąż widocznej niechęci chłopaka.

– A co z Peryklosem? Co znaczy jego imię?

– Oznacza „sławny” – mruknął sam zainteresowany. Wydawał się niezadowolony, lecz przynajmniej zeskoczył z konia.

Ojciec pokiwał głową.

– Rzeczywiście. W noc przed narodzinami Peryklesa waszej matce przyśnił się lew. Takie sny nie zdarzają się często i bardzo niewielu osobom. Nadała ci imię „sławny”, ponieważ zapragnęła, aby pewnego dnia poznali je wszyscy ludzie.

– A ty, ojcze? – zapytała Eleni. – Skąd się wzięło twoje imię?

– Moja matka śniła o bladym koniu – odparł i wzruszył ramionami. – Nie wiem, co oznaczał ten sen.

Ku swemu zaskoczeniu cieszył się długą rozmową z dziećmi, czuł, że dzięki niej pęka w jego sercu jakaś twarda skorupa. A może spowodował to śmiech córki? Mężczyźni potrzebowali kobiet właśnie do zmiękczenia serc, gdyby ich nie było, życie miałoby wyłącznie ciemną barwę i same złe strony. Nie zapobiegłoby temu nawet towarzystwo najwierniejszego psa.

Ta myśl sprawiła, że omijając wzrokiem Konisa, spojrzał w stronę domu. Głęboko odetchnął.

– Masz pięknego konia, Peryklesie... Ma na imię Wojownik, prawda?

Ucieszył się, kiedy syn tylko przewrócił oczami, porzucając ponurą minę, z którą obnosił się jeszcze przed chwilą. Ksantyppos poklepał go po plecach i nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo brakowało mu czułości wobec własnych dzieci. Rozłożył ramiona i niespodziewanie, bez słów, w półmroku przyłgnęła do niego cała trójka. Pomiędzy nie wdarł się Konis, wywołując uśmiechy na ich twarzach.

Wróciwszy do domu, Ksantyppos wciąż miał czerwone oczy. Natknął się na Agarystę. Emanowała złością, pogardą i urazą. Kiedy do niej podszedł, uniosła ręce, chcąc go odepchnąć, zlekceważył jednak ten gest i mocno ją przytulił. Po chwili zorientował się, że żona płacze w jego pierś.

– Byłem głupcem – powiedział. – Przepraszam. Bardzo cię przepraszam.

34

Promienie słońca błyszczały w wodzie milionami iskierek. Akropol był doskonale widoczny z portu, więc Ksantyppos nabożnie skłonił głowę przed Ateną, po czym wyszeptał poświęconą jej modlitwę. Pod wpływem nagłego impulsu pomodlił się też do Posejdona, bo przecież to na terenie jego królestwa właśnie się znajdował, a potem do Aresa, ponieważ zbliżała się wojna. Bohaterem jego dzieciństwa był Apollo, dodał więc kilka wersetów sławiących słońce i źródło życia, a potem jeszcze przez chwilę sławił Tezeusza i Heraklesa. Aten strzegło wielu bogów i herosów. Niemal fizycznie wyczuwał ich obecność, gęstą jak rój pszczół, płynąc łodzią intensywnie kołysaną przez fale morskie. Była to po prostu łupina z drewna i miała długość mniej więcej dwóch wyprostowanych ludzi. Przecinały ją dwie ławki z grubych sosnowych desek, wyblakłych i wytartych. Przyglądał się dwóm wiosłarzom; byli silni i z łatwością prowadzili łódź po falach. Mieli ciemną skórę i przedramiona porośnięte gęstymi włoskami. I podobnie jak łódź, najlepsze lata mieli już za sobą. Ksantyppos zadał sobie w duchu pytanie, czy w czasie wojny także będą pływać tą swoją starą łodzią. Wątpił w to. Flota wojenna potrzebowała wprawnych wiosłarzy, a w szczególności mężczyzn tak doświadczonych jak ci dwaj.

Ksantyppos siedział przy sterze, a wiosłarze na ławce naprzeciwko niego. Przed łodzią powoli wyrastała triera i wkrótce wypełniała już niemal całe pole jego widzenia. Potężny port w Pireusie widniał w oddali, coraz bardziej funkcjonalny i pogłębiony przez Temistoklesa – przynajmniej tak mu powiedziano. Odkrył, że Temistokles jest w Atenach bohaterem. Tylu ludzi miało

dzięki niemu pracę, że absolutnie nie musiał obawiać się wygnania, przynajmniej w tym roku. Ksantyppos nie wiedział, czy powinien się z tego cieszyć.

Odsunął takie myśli. Płynęli po wodzie wystarczająco głębokiej, by mógł się w niej utopić dorosły mężczyzna. Gdy spoglądał w jej toń, wyobraźnia go nie uspokajała, ponieważ trudno było mu sobie wyobrazić mroczniejszy i zimniejszy świat niż ten, nad którym znajdowała się łódź, wymoszczony szarym piaskiem, zamieszkanym przez majestatycznie przepływające ryby, w większości niewidzialne dla ludzkiego oka.

Triera wznosiła się przed łodzią niczym mur; z tej perspektywy trudno ją było określić innym słowem. Ksantyppos znał statki kupieckie, które zdawały się fruwać nad falami, z wydętymi żaglami i skrzypiącymi masztami. W porównaniu z nimi okręty o szerokich dziobach zdawały się na głębokich wodach okropnie niestabilne. Na trierze nie było widać ani masztów, ani żagli. Ksantyppos zdawał sobie sprawę, że na czas ćwiczeń na morzu po prostu się je składa. Gdy wciągnięto wiosła, okręt jawił się niemal bezbronny, jak kłoda unosząca się na falach. Obserwował, jak wiosła znów opadają do wody. Nastąpiło to w chwili, kiedy ich łódka znalazła się w pobliżu burty triery. Z pokładu padły głośne rozkazy. Potężne pióra wiosel zawisły nad wodą z trzech poziomów na burcie. Przy każdej pracowało dziewięćdziesięciu wiosłarzy zasiadających tak blisko jeden nad drugim, że pot siedzących wyżej kapał na tych poniżej.

Niczym odnóża dziwnych robaków wiosła zanurzyły się w wodzie i triera przestała się kołysać. Ksantyppos przyjął z ulgą, że nie będzie musiał wspinać się na pokład jednostki rozkołysanej i wyrzucającej spod dziobu białą pianę.

Nad wiosłami dostrzegł mężczyzn pracujących na podwójnym pokładzie. Pośrodku widniała jakby szeroka studnia, dzięki której ludzie z dolnego pokładu mieli dostęp do światła i świeżego powietrza. Na górnym stała konstrukcja przypominająca drewniane żurawie z portu albo zabawki sprzedawane na agorze. Triera była cudowną, skomplikowaną machiną stworzoną przez człowieka w celu polowania na innych ludzi. Wykonaną po to, żeby zatapiała inne okręty.

Wioślarze na łodzi starali się bezpiecznie dobić do rufy. Wreszcie łódź się zatrzymała, a mężczyźni jakby się spodziewali, że Ksantyppos będzie wiedział, co robić dalej. Popatrzył jednak na nich nierozumiejącym wzrokiem i dopiero po chwili dostrzegł, że dwa najbliższe wiosła wysuwają się z triery niemal poziomo, aby po prostu mógł na nie wejść. Okręt wciąż lekko się kołysał na falach.

Nim zdążył zawładnąć nim strach, chwycił pierwsze wiosło i wciągnął się po nim na drugie. Chociaż serce niemal podchodziło mu do gardła, stanął na drzewcu. Czuł się jak pająk wędrujący w gałęziach. Z wielką ulgą dotarł do drewnianego grzbietu burty i objął ją ramieniem. Kiedy znalazł się na pokładzie, niespodziewanie podszedł do niego Temistokles. Podał mu rękę.

– Nie zauważyłeś drabiny? – zdziwił się.

Popatrzył w miejsce, które wskazał mu tamten, i zobaczył drabinkę opadającą aż do wody. Wejście po niej na pokład wydawało się znacznie bezpieczniejsze niż wspinaczka po wiosłach. Kusiło go, aby powiedzieć, że wybrał wiosła dla kaprysu, wolał jednak nie okłamywać kogoś, kto bezbłędnie wyczuwał wszelkie ludzkie słabości.

– Nie. Będziesz musiał jeszcze wiele mnie nauczyć – odparł.

Wychylił się za burtę, chcąc zobaczyć, co robią jego dwaj wioślarze. Wciąż byli w łódce. Jeden wstał, aby podać na pokład torbę z najpotrzebniejszymi rzeczami Ksantypposa. Temistokles ostrzegł go wcześniej, żeby nie zabierał ze sobą niczego poza oponczą, brzytwą, butelką oliwy i bukłakiem z wodą. Sam dodał do tej listy jeszcze tylko starannie owiniętą gomółkę sera i wapienną figurkę Ateny, którą dała mu na drogę Agarysta.

Obserwował z niepokojem, jak ktoś z załogi rzuca w stronę łodzi linę, niewiele dłuższą od niego samego. Triera była tak głęboko zanurzona, że wydawało się, iż zaraz wdrze się do niej woda przez otwory na wiosła. Tymczasem mężczyźni, którzy przywieźli tu Ksantypposa, udowadniali, że znają swój fach. Szybko przywiązali torbę do liny, a po chwili jego dobytek wciągnięto na pokład i postawiono mu u stóp. Zdał sobie sprawę, że żeglarze wszystkie zadania wykonują bardzo sprawnie. Okręt tętnił życiem, ludzie znajdowali się

w bezustannym ruchu. Cieszył go taki widok, jednak stojąc na szerokim pokładzie, pozbawionym masztu i żagli, miał wrażenie, że jest przez wszystkich obserwowany.

Rzucił na łódkę srebrną tetrachmę, równowartość czterech drachm, czyli wypłaty dla dwóch mężczyzn za cały dzień pracy. Dopiero kiedy znalazła się w powietrzu, zorientował się, jak trudno żeglarzom będzie ją złapać. Lśniła takim samym blaskiem jak woda i była niewielka. Ale jeden z wioślarzy, który znalazł się bliżej toru jej lotu, zdołał ją pochwycić, mimo że przy gwałtownym ruchu prawie wypadł za burtę. Razem z towarzyszem uśmiechnął się do Ksantypposa, uniósł ramię w geście podziękowania i zadowolenia, po czym łódź ruszyła w stronę brzegu, sunąc po falach znacznie szybciej niż wtedy, gdy na jej pokładzie znajdował się pasażer.

Temistokles klepnął Ksantypposa w ramię, kiedy ten podnosił z pokładu torbę.

– Wybrałem cię dlatego, że potrafisz dowodzić ludźmi. Nie przeszkadza mi twoje niewielkie doświadczenie na morzu – powiedział. Przez chwilę się zastanawiał. – Chociaż owszem, musisz się wiele nauczyć i masz bardzo mało czasu. Będziesz musiał poznać siłę i ograniczenia trier oraz ich załóg. Opracowaliśmy taktykę walki, trudno jednak ocenić jej skuteczność, nim spotkamy na morzu Persów. Ale teraz pozwól, że przedstawię cię mojemu szanownemu towarzyszowi, Eurybiadesowi ze Sparty.

Ksantyppos obserwował, jak Temistokles przeskakuje szczelinę w górnym pokładzie, aby znaleźć się po jego drugiej stronie. Uczynił to z taką łatwością, jakby po prostu szedł, chociaż szczelina miała szerokość równą co najmniej wzrostowi człowieka. W gruncie rzeczy wykonanie takiego skoku nikomu nie przysparzało większych trudności, jednak on nadal miał nieprzyjemne wrażenie, że wszyscy na pokładzie i pod nim oceniają, jak daje sobie radę. W dole ktoś uderzał młotkiem i co chwilę przeklinał. Domyślił się, że to pracują cieśla okrętowy z pomocnikami. Skoczył za Temistoklesem, a w głowie kołatało mu się pytanie, czy kiedykolwiek nauczy się to robić z taką samą niewymuszoną łatwością.

Przy drugiej burcie stał Spartanin w olśniewająco czerwonym płaszczu i białym chitonie, balansujący na nogach w rytmie, w jakim okręt unosił się i opadał na falach. Miał gołe łydki, lecz płaszcz sięgał mu za kolana, chroniąc go przed chłodną morską bryzą. W tej chwili Ksantyppos zadrżał na myśl o tym, że prawdopodobnie spędzi na morzu długie tygodnie i miesiące. Nagle poczuł się jakby zagubiony. Pojednanie z Agarystą skradło mu niemal całą noc i odebrało szansę na sen. Wciąż pachniał jej perfumami i bardzo pragnął, żeby wiatr jak najszybciej rozwiał ten zapach. Przyjął wyciągniętą dłoń Eurybiadesa i z trudem powstrzymał się przed syknięciem z bólu, tak mocny był uścisk Spartanina.

Tymczasem okręt zaczął nabierać prędkości. Ksantyppos słyszał, jak fale rozbijają się o jego kadłub. Zapragnął ukryć się w jakimś kącie i napić wina. Musiał jednak wykonywać swoje obowiązki, skłonił więc głowę przed Eurybiadesem.

– Ach, wróciłeś z wygnania! – zawołał tamten.

Miał lekko chropawy, niski głos, przypominający Ksantypposowi mruczenie kota.

– Czyżby moja sława mnie wyprzedzała? – odpowiedział pytaniem.

Chociaż Spartanin puścił wreszcie jego dłoń, którą niemal pogruchotał, wciąż przypatrywał mu się badawczo. W gruncie rzeczy Ksantyppos nie miał nic przeciwko temu. Przecież w krótkim czasie musieli dobrze poznać się nawzajem i nabrać do siebie zaufania. Nie było innej możliwości. Jego kolejne słowa świadczyły, jak wielką wagę do tego przykładła.

– Mam na imię Ksantyppos i pochodzę z ateńskiego demu Cholargos z fyli Akamantis, jeśli chcesz wiedzieć. Ale fyle to nowość w naszym mieście, pomysł poprzedniego pokolenia. Jestem eupatrydą.

– Czyli rolnikiem – powiedział Eurybiades, wciąż patrząc na niego uważnie.

Ksantyppos uśmiechnął się, klepnął go w ramię i czekał na jego reakcję. Dla kogoś, kto uważałby się za ważnego dowódcę, byłaby to zniewaga. Spartanin wydawał się jednak nieporuszony jego gestem. Ksantypposowi przyszło do głowy, że Eurybiades tak przywykł do przemocy fizycznej, by na takie niewinne

zachowanie po prostu nie reagować. Przypomniawszy sobie, że spotkał już zapaśników, którzy prawie nie zauważali ciosu, dopóki nie zobaczyli krwi. Ta myśl bynajmniej go nie uspokoiła.

– Nie ja sam, lecz inni ludzie zajmują się uprawą mojej ziemi – wyjaśnił. – Ale rzeczywiście, żywię w Atenach wiele rodzin. Sam jestem strategiem i żołnierzem. Walczyłem pod Maratonem. Jakie są twoje wspomnienia z tej bitwy?

Zapadła długa cisza. Ksantyppos wyczuł, że Temistokles zamierza powiedzieć coś pojednawczego, lecz Spartanin go uprzedził. Uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Znajdowałem się w kolumnie, która dotarła do was o cały dzień za późno – odparł. – Żałuję tego od lat. Nam... po prostu zabroniono wyruszyć wcześniej. Eforowie... – Umilkł i pokręcił głową. Pewnych rzeczy nie mówiło się obcom.

Ksantyppos jęknął z bezsilności. Ani on, ani Temistokles nie zamierzali przerywać Eurybiadesowi, po chwili milczenia więc kontynuował, świadomy ich zainteresowania.

– O ile pamiętam, posłaniec przybiegł z wiadomością o zwycięstwie dość późno – powiedział kwaśno. – Pamiętam, że zamierzałem go wychłostać, ale dowiedziałem się, że pękło mu serce. – Wydał wargi tak, że ułożyły się w fałdy. – To była moja jedyna szansa, żeby zmierzyć się z Nieśmiertelnymi! Chciałbym się dowiedzieć, co wy pamiętacie z tamtego dnia pod Maratonem. Może porozmawiamy o tym wieczorem? Będę zaszczycony, jeżeli odwiedzicie mój okręt flagowy. Zapewnię dobrą rozrywkę.

Była to dosyć zaskakująca oferta, ale Ksantyppos przystał na nią natychmiast. Spartański okręt był na tych wodach rzadkością. Może dzięki Eurybiadesowi zyska wyjątkową szansę obejrzenia takiej jednostki?

– Dla mnie też będzie to zaszczyt, trierarcho.

Użył tego tytułu odruchowo, przecież zwracał się do dowódcy spartańskiego okrętu. A jednak sprawił tym, że atmosfera nagle się ochłodziła.

– Kiedy dowodzę flotą, tytułuj mnie „nauarchą” – powiedział Spartanin.

Ksantyppos pokiwał głową.

– Tak, nauarcho. Wybacz.

Tamten się rozpogodził.

– Tym razem się nie obraziłem. Ale jeżeli pomylisz się po raz drugi, nasze relacje ograniczę do tego, co niezbędne. Czy to jasne?

Ksantyppos nie potrzebował ostrzeżenia Temistoklesa, który wbił w niego spojrzenie szeroko otwartych oczu. Przecież czekała ich bitwa z perską flotą. On sam zrezygnował z tego powodu z zemsty za stracone lata. W porównaniu z takim gestem zaakceptowanie władczego zachowania nadętego Spartanina właściwie było drobnostką.

– Oczywiście, nauarcho – powiedział chłodno.

Eurybiades pokiwał głową.

– Tak sądzę. A teraz wezwijcie łaskawie moją łódź. Będę cię oczekiwał na okręcie o zmierzchu. Zaproszenie dotyczy oczywiście także ciebie, Temistoklesie.

– Obowiązki zatrzymają mnie na moim okręcie, nauarcho, chociaż bardzo tego żałuję.

Ksantyppos nie miał pojęcia, jak wezwać łódź Spartanina, ale Temistokles dał znać jednemu z żeglarzy i po chwili nad płaskodenną łodzią uniosła się flaga. Obaj stali w pełnej szacunku ciszy, obserwując, jak łódź dobija do triery i Eurybiades schodzi na jej pokład. Poruszał się z wprawą, bez trudności, rezygnując z wszelkiej pomocy.

Ksantyppos zastanawiał się, kto jeszcze będzie dziś słuchał na pokładzie jego słów. Opanowało go dziwne uczucie. Był przyzwyczajony mówić, co myśli, nie dbając o to, kto i dlaczego go słucha. Teraz musiał pamiętać, że flota kołysząca się na wodzie nie należy w całości do Aten, mimo że to one dostarczyły ponad połowę okrętów i załóg. Była to flota helleńska, część wielkiego przymierza. Czuł, jak jego serce przepełniają emocje, i szybko podszedł do burty, aby ją obejrzeć.

Fale pręły dziesiątki okrętów przypominających klucz ptaków unoszących się nad wodą i frunących wzdłuż wybrzeża. Długie rzędy wiosł pracowały jak skrzydła, spieniając wodę i sprawiając, że kotłowała się i syczała za rufami.

Część okrętów miała szarą barwę, lecz wiele też lśniło złotem, którym powleczono świeże deski sosnowe i dębowe, a tarany błyszczą wilgocią, to unosząc się wysoko nad falami, to opadając. Widok był po prostu piękny.

– Nie nacieszysz się dzisiaj strawą – powiedział Temistokles.

– Jaką strawą?

– Pomyjami, którymi zostaniesz ugoszczony u Spartan. Kiedy pierwszy raz tam poszedłem, myślałem, że ze mnie żartują, ale to wcale nie były żarty. Oni żyją tak jak Arystydes. Kiedy widzisz, jak sprawni, jak zaprawieni w boju są Spartanie, przychodzi ci do głowy, że nie unikają wina i dobrze przyprawionej jagnięciny. Tymczasem zawsze jedzą jakieś ciemnobrązowe łajno i chleb tak twardy, że można by go używać w bitwie jako broni. Oto, jak prezentuje się społeczeństwo, które nie zna pieniędzy! Nikt nie może kupić sobie nic lepszego, niż posiadają pozostali. Jaki to ma cel? Ale nie chciałbym być w skórze Persa, który dostanie rozkaz wdarcia się na któryś ze spartańskich okrętów. Tego jestem absolutnie pewien.

Temistokles dostrzegł dziwny wyraz twarzy Ksantypposa i powędrował za jego spojrzeniem. Łąd znajdował się niedaleko i okręty mknęły jak kaczki po stawie wzdłuż drogi, którą obaj maszerowali do Maratonu, wydawałoby się, że wieki temu. Temistokles popatrzył w stronę brzegu nad ramieniem towarzysza.

– Daj maksymalną prędkość! – wrzasnął niespodziewanie.

Trierarcha przy sterze wstał i uśmiechnął się szeroko, przyjmując wyzwanie. Wydał komendę „tempo sześćdziesiąt” keleustesowi zawiadującemu wiosłarzami, któremu jedynie głowa i ramiona wystawały ponad deski górnego pokładu. Zniknął, aby przekazać im rozkaz, i okręt natychmiast przyspieszył. Niewidoczny bęben zaczął wybijać rytm, dzięki czemu wiosłarze przy obu burtach pracowali miarowo.

– Prawie fruniemy! – rzucił Temistokles. – Poruszamy się teraz tak szybko jak biegacz, wiosła pracują w rytmie sześćdziesięciu uderzeń na minutę. To ogromna prędkość, mimo że okręt jest ciężki. – Jego duma była wyraźna, a radość

wzbierała w nim jak ciężkie krople wody, które coraz intensywniej zraszały mu twarz w silnym wietrze.

– Jaka jest moja rola w tym wszystkim? – Ksantyppos podniósł głos, aby towarzysz mógł go usłyszeć ponad zgiełkiem pokrzykiwań i uderzeń bębna spod pokładu.

Triera szybko wyprzedziła wszystkie, które płynęły przed nią. Serce zaczęło radośnie łomotać w piersi Ksantypposa, nie był w stanie nad tym zapanować.

– Potrzebuję zastępcy, któremu będę mógł ufać – odparł Temistokles. – To ty masz nim zostać, jeśli zechcesz. Twoja rola zasadniczo będzie polegać na dźwiganiu ciężaru wszelkich zadań, jakie złożę na twoich barkach. Chcę, żebyś dowodził częścią floty. Poznasz swoich trierarchów i będziesz z nimi współpracował. Nauczysz się od nich wszystkiego, co sami potrafią, przekażą ci całą swoją wiedzę.

– Ilu? – zapytał.

– A ilu chcesz? Jeżeli powiesz, że trzydziestu, ogromnie mi pomożesz. Jeżeli uznasz, że chcesz dziewięćdziesiąt okrętów, oddam je pod twoje rozkazy w grupach po sześć. Nie bądź taki zaskoczony! Kimon nie ma jeszcze trzydziestki, a jego rozkazów słucha kilku poważnych trierarchów i nie obrażają się, że muszą podporządkowywać się młodzieńcowi, i nie ma znaczenia, że jest synem Miltiadesa. Nie mamy żadnych doświadczeń w dowodzeniu tak wielką flotą, Ksantypposie! Jeżeli obejmiesz dowództwo nad dziewięćdziesięcioma okrętami, zdejmiesz ze mnie w walce poważny ciężar. Pomyśl o tym jako strateg. Naprawdę cię potrzebuję! To ja będę decydował, kiedy rozpocząć bitwę, ale morze jest terenem znacznie bardziej rozległym niż jakiegokolwiek pole bitwy na lądzie, o wiele za dużym, aby jeden dowódca mógł przekazywać sygnały i wykrzykiwać rozkazy wszystkim wojownikom. Kiedy złożymy maszty, by przystąpić do walki, wszyscy będziemy się znajdować zbyt nisko nad lustrem wody, aby widzieć cały obraz sytuacji. Dlatego właśnie potrzebuję ludzi godnych najwyższego zaufania. To oni muszą kierować bitwą na szczeblu taktycznym.

Okręt szarpnął i niemal się zatrzymał. Znow dało się odczuć niespokojne kołysanie morza, a nad całym pokładem wzniosły się dobiegające z najgłębszych zakamarków ciężkie oddechy wioślarzy. Każdy oddech przychodził im z taką trudnością, że brzmiał jak jęk bólu.

– Prędkość wymaga ofiar – zauważył Ksantyppos przyciszonym głosem.

– Tak. Tężyzna fizyczna naszych ludzi to nasza potężna broń – odparł Temistokles. Też ściszył głos. – Zauważ, że perscy wioślarze przed spotkaniem z nami będą na morzu już od miesiący. Mówi się, że są niewolnikami. Kto wie, jak są karmieni, ile wody się im daje? Spodziewam się, że kiedy okrętami będą poruszać tylko wiosła, okażemy się o wiele szybsi i zwinniejsi od Persów. Modłę się o to do Posejdona i Ateny. Już kiedyś sprzyjali nam w boju. Niech więc nadal nas błogosławią, swoje ukochane dzieci! – Przygładził dłonią włosy; po wielu dniach na morzu jaśniejsze pasemka miały niemal złotą barwę. – Nie możemy się jednak spodziewać, że Persowie szybko opadną z sił. Dlatego wiem, że tych, którzy pracują pod pokładem, czeka najtrudniejsze zadanie. Jedyna praca, jaką znają, polega na poruszaniu wiosłami. Wydajemy im rozkazy, regulując prędkość okrętu. Muszą je wykonywać, nawet jeśli ich mięśnie płoną, a pot spływa po ich ciałach strumieniami. Uwierz mi, o ogromie ich pracy najlepiej świadczy ilość wypijanej przez nich wody. – Skinął w stronę trierarchy. – Każ wioślarzom ruszyć z połową maksymalnej prędkości. Niech ludzie przy sterze będą gotowi do skrętu.

Ksantyppos zorientował się, że Temistokles wydaje rozkazy jedynie za pośrednictwem trierarchy, chcąc, aby miał on wśród załogi jak najwyższy autorytet. Sytuacja była delikatna, bo mógł je jedynie powtarzać, i to natychmiast, keleustesowi.

– A zatem jaką rolę odgrywa nasz spartański nauarcha? – zapytał.

Temistokles parsknął śmiechem.

– Eurybiades? Dysponuje szesnastoma spartańskimi okrętami, takie jest jego znaczenie. Musiałem się zgodzić, aby dowodził całą flotą, przynajmniej w teorii, albo straciłbym siły Sparty, nie tylko na morzu, ale także na lądzie. Mam zamiar

wykonywać jego rozkazy, jeżeli będą właściwe, Ksan. Ale jeśli okażą się złe, nic z tego. – Zauważył, że towarzysz marszczy czoło, i wzruszył ramionami. – To nie jest idealna sytuacja, ale rzeczywiście potrzebujemy Spartan. Naprawdę nawet ja nie chciałbym stanąć naprzeciwko armii perskiej bez ich pomocy. Wyglądałoby to jak posłanie do boju Arystydesa, chociaż on skrzywiłby się na to porównanie.

Ksantyppos się uśmiechnął, pomyślawszy o archoncie. Temistokles głęboko odetchnął i potrząsnął głową.

– Prawda jest taka, że Persowie się zbliżają. Mamy raporty z obserwacji poczynionych wzdłuż wybrzeża Tracji. Dziękujemy Posejdonowi, że nie są dobrymi żeglarzami. Boją się wirów podwodnych, ukrytych skał i letnich burz. Nawet to rozumiem, bo przecież żeglują po wodach, których w ogóle nie znają. Dlatego krótkimi zrywami pełzną wzdłuż brzegu i starają się mieć w zasięgu wzroku swoją armię na lądzie. Są niczym dzieci obawiające się zanadto oddalić od rodziców. – Przetarł twarz dłonią i Ksantyppos nagle zdał sobie sprawę, jak mocno tamten jest zmęczony. Zastanawiał się, kiedy strateg ostatnio spał. – Nie wiemy, kiedy się tu pojawią, możemy tylko przewidywać, że nastąpi to już tego lata... A jeśli nie, to zmierzmy się z nimi wiosną przyszłego roku. Ale muszą na nas uderzyć, skoro już wyruszyli w drogę. Jest ich zbyt wielu, aby mogli się teraz zatrzymać albo czekać na najbardziej dogodny moment do ataku. Ich zapasy żywności muszą być ograniczone, niezależnie od tego, jak starannie planowali tę kampanię. Jeżeli pogłoski na temat ich armii są prawdziwe, zapewne połowa żołnierzy umrze z głodu i oszczędzi nam konieczności ich zabijania. Albo burza zatopi ich okręty, zanim dopłyną do Aten. Możemy się o to modlić, lecz Persowie rozpoczęli tę inwazję i nie mogą się już zatrzymać, zabrnęli za daleko. Zmierzają ku nam i z pewnością zaatakują. Nasza flota spotka się z ich okrętami i to my, na morzu, zadecydujemy o przyszłości Aten i całej Grecji. Bo czymże jest Grecja bez nas? Dlatego właśnie przerwałem twoje wygnanie. – Temistokles się roześmiał. – Dlatego po raz kolejny zostawiłeś żonę i dzieci, aby stanąć przeciwko Persom ramię w ramię ze mną na pokładzie okrętu. Pewne rzeczy są warte znacznie więcej niż jedno ludzkie życie. Doskonale o tym wiesz.

– Tak – odparł spokojnie Ksantyppos.

Flota ich dogoniła, jednak na widok okrętów nie czuł już takiego podniecenia jak na początku.

35

Wieczorny posiłek na pokładzie spartańskiego okrętu był tak fatalny, jak to opisywał Temistokles. Ksantyppos wraz z dziesięcioma marynarzami jadł w milczeniu, a kiedy wstawał od stołu, wciąż był głodny.

Księżyc wisiał wysoko na niebie, cała flota stała na kotwicach. Panował spokój, a Ksantyppos doskonale się czuł na wodach, które znał. W tej chwili nikogo nie niepokoiły wiadomości, że wielka perska flota każdego dnia jest coraz bliżej, gotowa siać zamęt i zniszczenie. Tej nocy Persowie na pewno również wypoczywali. Miał przynajmniej taką nadzieję.

Spacerował po długim pokładzie w towarzystwie nauarchy, oglądając szczegółowo okręt. Wioślarze spali owinięci w płaszcze, przypominając w ciemnościach poczwarki. Do kolacji nie podano wina, dlatego Ksantyppos zdziwił się, kiedy Eurybiades wyciągnął nie wiadomo skąd bukłak, odkorkował go zębami i zaproponował, aby się razem napili. Trunek był cierpki i mocny. Ateńczyk się skrzywił, kiedy wypił łyk, i oddał bukłak Spartaninowi.

– Chciałem cię zapytać, dlaczego właściwie zostałeś wygnany – odezwał się Eurybiades. Patrzył daleko w morze. Po chwili upił duży łyk wina.

– Temistokles ci nie powiedział?

– Wyjaśnił, że macie u siebie jakiś głupi system, który pozwala wyrzucić z miasta każdego, i to prawie bez powodu. Przysiągł mi, że tak jest, ale pomyślałem sobie, że... kryje się w tym coś głębszego.

– To zabezpieczenie przeciwko tyranom – mruknął Ksantyppos. – Ja nie byłem jednak tyranem. Mimo wszystko muszę ufać ludowi. I bogom. Na świecie nie ma

innej władzy.

– Jest nią przemoc – powiedział Eurybiades. Wydobył zza pasa groźnie wyglądający sztylet o zakrzywionym ostrzu, które błysnęło w świetle księżyca. – Gdybym przyłożył ci go do gardła, czyż nie powiedziałabyś mi wszystkiego, co chciałbym od ciebie usłyszeć? To także jest władza.

Ksantyppos stał bez ruchu, patrząc badawczo na rozmówcę.

– W twoich słowach zawiera się swoista prawda... ale nawet Spartanie śpią. Nie da się przemocą trzymać w ryzach całego społeczeństwa. Każde społeczeństwo kiedyś przeciwko takiej władzy powstanie.

Eurybiades się roześmiał.

– Heloci są w Sparcie niewolnikami od setek lat. Ich dzieci rodzą się w niewoli, wnuki służą Sparcie w taki sam sposób. Uwierz mi, istnieje władza absolutna.

Ateńczyk uważnie wpatrywał się w Eurybiadesa, kiedy ten chował nóż i znowu upił potężny łyk z bukłaka. Temistokles był pewien, że Ateny potrzebują tego Spartanina, z jego okrętami, załogami i armią lądową. A on poczuł wielką chęć, aby z całej siły bronić w tej rozmowie ateńskiej demokracji. Nie potrafił się jednak na to zdobyć. Tym bardziej że znajdował się na pokładzie spartańskiego okrętu i wielkimi krokami zbliżała się wojna.

– Jestem Ateńczykiem, nauarcho – powiedział. – Zostałem wygnany z mojego miasta i posłusznie je opuściłem. Przywołano mnie z powrotem i wróciłem. Raz na zawsze poświęciłem moje życie Atenom i posłucham każdego rozkazu, jaki mi wydadzą.

– No właśnie. Dotarłeś do sedna. To chciałem od ciebie usłyszeć! – stwierdził Eurybiades. Podał bukłak Ksantypposowi, który się napił, mimo że trunek wydawał mu się bardziej kwaśny niż na początku.

Kiedy odwieziono go na jego okręt, poczuł, jak zmęczenie kładzie się na nim wielkim ciężarem. Wszedł na pokład po sznurowej drabince i podał hasło wartownikom, którzy popatrzyli na niego podejrzliwie.

Opatulił się grubą opończą i zaległ na otwartym pokładzie wśród innych śpiących. Poczł się trochę lepiej, kiedy popatrzył w gwiazdy. Flota poświęciła cały dzień na manewry, ćwicząc ustawianie się w formacjach i techniki walki – od prostych zsynchronizowanych zwrotów, po ataki w szerokiej linii z wzajemną ochroną skrzydeł. Ksantyppos doskonale rozumiał to ustawienie. W falandze hoplita unosił tarczę w taki sposób, aby chronić mężczyznę z boku, i ufał, że jego strzeże następny hoplita w szeregu.

Sen zmorzył go na chwilę, lecz później opuścił już na dobre. Po pierwszych godzinach na morzu obawiał się, że jego ignorancja przyniesie śmierć wielu ludziom. Kiedy zaczęło mu burczeć w brzuchu, szeptem przeklął spartańskie jedzenie i Temistoklesa, który założył, że on szybko nauczy się zasad prowadzenia wojny na morzu. A przecież nawet proste rzeczy były tutaj dla niego nowe. Widział dzisiaj, jak ludzie się wypróżniają, wystawiając tyłki za burzę zawietrzną. Wioślarze się myli, używając lewych rąk, które moczyli w wiadrach z morską wodą. Kilku korzystało z małych chropowatych kamieni, a inni ze starych szmat, które później prali i suszyli, traktując je jak przedmioty największego zbytku. Na morzu nie ma prywatności, tego nauczył się najszybciej.

Zakotwiczony okręt kołysał się miarowo na spokojnej wodzie. Ten ruch przynosił Ksantypposowi ukojenie. Następnego dnia miał się przenieść jako strateg na własną trierę. Temistokles nie chciał, żeby na pierwszej jednostce, którą miał dowodzić, pojawił się jako absolutny nowicjusz. Stąd inicjacja u jego boku. Okręt skrzypiał, jakby mówił swoim własnym głosem, a tymczasem Ksantyppos czuł, że rośnie w nim wiara w siebie, choć w tych okolicznościach było to niemal niewytłumaczalne. Atenom groziło potężne perskie imperium, ale on wrócił! Znow się znalazł w samym sercu wszelkiego życia!

Zaufanie Temistoklesa odczuwał jako ciężar, który przytłacza jego dumę. Ziewając, obiecał sobie, że go nie zawiedzie. Nauczy się wszystkiego i będzie użyteczny na morzu. Zresztą nie miał wyboru.

W końcu jego pobratymcy żeglowali po morzach od tysięcy lat. Ksantyppos u każdego z marynarzy dostrzegał kompetencję, wielkie umiejętności. Wkrótce zmierzą się z lwem, który zamierza na nich napaść. Staną się tarczą...

* * *

Gwiazdy płonęły jak pochodnie, pstrząc nocne niebo przepychem jaskrawym i olśniewającym. Trudno było wyróżnić wśród nich kształty, w jakie zdaniem niektórych się układały – postacie bogów i herosów z przeszłości uważnie obserwujących ziemię.

Jedna z trier dobiła do plaży, a jej załoga otoczyła kołem ognisko, w którym płonęło drewno wyrzucone na brzeg przez morze. Kolejne paliło się trochę dalej od brzegu; załoga następnej triery wybrała miejsce, które wszyscy znali i lubili, dobrze osłonięte od niespodziewanych porywów wiatru. Trzecia, ostatnia, kołysała się trochę dalej na kotwicy, a na jej pokładzie zostało kilku marynarzy, którzy mieli nad nią zapanować, gdyby zawiął nagły wiatr. Okręty były dość płaskie i tak podatne na podmuchy, że nawet doświadczeni żeglarze wymiotowali za burzę, przynajmniej wtedy, kiedy kołysanie nie ustawało przez dłuższy czas. Tylko przy pracujących wiosłach jednostki były bardziej stabilne; wtedy sprawiały wrażenie, że są kamieniami podskakującymi na falach.

Tkwili na tym odcinku wybrzeża już od tygodni, czekając na perską flotę, która mogła nigdy się nie pojawić. Panował spokój, a poczucie zagrożenia i nerwowość, jakie towarzyszyły im w pierwszych dniach, powoli ustępowały. Chociaż trierarchowie utrzymywali dyscyplinę, nie sprzeciwiali się, kiedy żeglarze łowili kalmary lub cefale, szczególnie w obliczu kurczących się zapasów. Pogoda była przyjemna, ale okręty pozostawały na tyle blisko brzegu, aby do niego dobić, gdyby na niebie pojawiły się groźne chmury. Wielka słabość trier poruszanych za pomocą wiosł polegała na tym, że nie przetrwałyby na morzu nawet niezbyt gwałtownej burzy. Statki kupieckie czasami wychodziły z wielkich sztormów, tracąc tylko większość żagli, bo utrzymywały je w pionie

głębokie stępki. W porównaniu z nimi triery były na wzburzonym morzu śmiertelnymi pułapkami. Gdy pojawiały się wysokie fale, woda natychmiast zaczynała się wdzierać pod pokład na wysokości ław wiosłarzy.

Ludziom, którym co dzień groziło utonięcie, zawsze przynosiło ulgę dobiecie do piaszczystej plaży i wyskakiwanie na brzeg z łukami i nożami w celu upolowania czegoś, co zwiększyłoby okrętowe zapasy żywności. O tej porze roku nie było trudno znaleźć na brzegu żółwia albo ptasie jaja o dziesiątkach różnych kolorów i rozmiarów, spokojnie czekające, żeby je zebrać i ugotować.

Ludzie zgromadzeni przy ogniskach nie dostrzegali w otaczającej ich nocy żadnych kształtów. Nie dojrzeli także perskiego okrętu, który pojawił się na morzu od północy. Nie paliły się na nim światła, płynął właściwie niewidzialny po spokojnej tafli, powoli zmierzając do brzegu. Gdyby strażnik na okręcie stojącym na kotwicy był czujny, dostrzegłby białą pianę na wodzie po zetknięciu z wiosłami. Tymczasem Androkles rzeźbił coś dla ukochanej z pobliskiego miasteczka; cała jego uwaga była skupiona na kawałku drewna, który trzymał w ręku i widział jedynie dzięki gwiazdom. Dziewczynie na pewno spodoba się jego dzieło. Nigdy nie zdarzyło się inaczej. Zostawił już dziesiątki takich pamiątek w portach na całym wybrzeżu Grecji, a nawet wzdłuż trasy sięgającej dalekiego Rzymu. Przypominały dziewczętom jego dotyk, utrwalały wspomnienie po nim. Jego ukochane portowe dziewczki wzdychały do niego i z westchnieniem głaskały się po kroczu, kiedy nad ranem wychodziły się wysikać.

Androkles uniósł głowę zaskoczony, kiedy coś nagle trzasnęło w okręt. Wstał i ostrożnie ruszył w stronę burty. Nie było tutaj żadnego relingu i krążyły opowieści o żeglarzach, którzy wypiwszy zbyt dużo wina, spadali niespodziewanie w ciemną wodę. Właśnie dlatego wszyscy uczyli się pływać, a przebywając na pokładzie, nigdy nie nosili zbroi. Ci, którzy wypadli za burtę w zbroi, opuszczali świat żywych.

Młodzieniec w jednej ręce trzymał nóż, a w drugiej kawałek drewna, któremu przed chwilą nadawał kształt żółwia. Pochodził z wyspy Egina, żółw był

symbolem jego ojczyzny. Ten po ukończeniu miał być szczególnie piękny. Androkles ostrożnie przemierzał pokład, chciał w porę wyczuć niską burtę bosymi stopami.

– Polias? Tyros? Kto tu jest? – syknął.

Ktoś z załogi mógł właśnie przyplłynąć z brzegu. W poprzednim miesiącu okręt stracił dwóch ludzi w swego rodzaju wyścigach pływackich, które uczestnicy rozpoczynali na plaży, każdy z bukłakiem mocnego wina. Trierarcha zakazał takich zawodów, ale w tej chwili spał na rufie, chrapiąc głośno pod swoim daszkiem. Androkles podejrzewał, że załoga nic sobie nie robi z jego rozkazu, ale nie chciał być tym, kto go obudzi bez ważnego powodu.

Wychylił się za burtę i wydał słaby okrzyk zaskoczenia, kiedy dostrzegł dwa cienie, które natychmiast go zaatakowały. Nabrał powietrza, żeby wrzasnąć i obudzić dowódcę, lecz napastnicy go obezwładnili: unieruchomili mu ręce, jednocześnie przyciskając coś do twarzy.

* * *

Załogi na brzegu przysypiały, kiedy rozległ się przeciągły gwizd, a potem ktoś krzyknął alarmująco. Chociaż ludzie mieli brzuchy pełne wina i jedzenia, natychmiast odrzucili okrywające ich płaszcze, po czym chwycili za tarcze i miecze. Kadłub najbliższego okrętu lśnił w świetle księżyca jak wielka ryba, lecz zupełnie nic nie zwiastowało ataku. Od strony wody docierały okrzyki bólu i wściekłości, ale duża odległość je wyciszała. Marynarze popatrzyli z zaskoczeniem na wartownika. Wskazywał gwałtownie jakiś odległy punkt, dźgając ręką powietrze.

– Patrzcie! – wrzasnął. – Na ten okręt! Zerwał się z kotwicy.

Triera widoczna za tą przy brzegu kołysała się na falach. Wydawała się bardzo wąska, gdyż jej dziób skierowany był niemal prostopadle do plaży. Mężczyźni zaczęli mamrotać pod nosami, przerażeni, jak zareaguje trierarcha, który zasnął

na morzu, a obudzi się na lądzie. Bez wątpienia kolejny dzień rozpocznie się od chłost.

Zszokowani dostrzegli, jak z triery wysuwają się na całą długość wiosła, zanurzają w wodzie i rozgarniają morską toń. Na ich oczach okręt zdawał się wielkimi susami mknąć ku plaży. Pełne niedowierzania okrzyki przerażonych ludzi rozlegały się do chwili, w której długa triera z cichym sykiem wbiła się w piasek i znieruchomiała. Na dziobie pojawiło się światło i wszyscy nagle umilkli, jakby w przekonaniu, że to objawiają się im bogowie.

Ciemne postaci zaczęły wyrzucać z pokładu zwłoki, które z pluskiem wpadały do wody albo z głuchym odgłosem spadały na piasek, niczym martwe ptaki. W świetle kołyszącej się lampy kilku członków załogi rozpoznało Androklesa wypchniętego na dziób. Jego ramiona unieruchamiali dwaj mężczyźni. Światło wydobyło z mroku perskie brody i wysoko zaczesane włosy, naoliwione i błyszczące, mokre jak skóra delfinów. Uśmiechnęli się w momencie, w którym jednocześnie poderżnęli gardło młodemu marynarzowi. Androkles bezwładnie zwiśł w ich rękach. Gdy w oczach chłopaka pojawił się cień śmierci i stały się czarne jak smoła, zanurzyli palce w ranie na jego szyi. Zaczęli rozbryzgiwać na wszystkie strony czerwoną krew, jednocześnie recytując w języku, którego nie znał żaden z Greków, słowa modlitwy do swoich bogów. Żeglarze patrzyli z przerażeniem, jak do brzegu zbliża się więcej okrętów. Ich pokłady pełne były wrogów – uzbrojonych i gotowych rozpocząć rzeź.

Załoga trzeciej triery wymieniła ponure spojrzenia. Zrodziła się w nich nieuchronna decyzja. Ludzie winni byli lojalność i zemstę tym, którzy zginęli na pokładzie pojmanego okrętu, lecz teraz ciążył na nich ważniejszy obowiązek – musieli przekazać ostrzeżenie całej flocie i Temistoklesowi. Dlatego jak jeden mąż ruszyli biegiem po plaży do bezpiecznego miejsca, w którym zostawili własną galerę. Gonіły ich okrzyki złości i wyzwiska, obwoływano ich zdrajcami i tchórzami, ale musieli puszczać je mimo uszu.

Ich okręt wydawał się znacznie bardziej oddalony niż wcześniej tego wieczoru, kiedy w półmroku kończącego się dnia można go było jeszcze dostrzec. Jeżeli do

niego dotrą, jeżeli odpłyną, będą mogli dostarczyć wiadomość, że Persowie dotarli znacznie dalej na południe, niż ktokolwiek się spodziewał. Za ich plecami rozległ się pierwszy szczęk broni, dziwne zawodzenia i straszliwe okrzyki bólu cierpiących mężczyzn.

36

Pprzed świtem Ksantyppos zabrał z ładowni swój tobolek. Rozpakował zawiniątko i odłamał kawałek sera. Ponieważ był zbyt twardy, aby go żuć, wsunął go sobie pod policzek jak monetę. Kucharz ugotował swego rodzaju gulasz, tylko z ziaren i owoców. Marynarze jedli bez nadmiernej ochoty, jakby w ten sposób spełniali jeszcze jeden z licznych obowiązków. Dla Ksantypposa było już jasne, że świeża żywność, a w szczególności mięso, jest na morzu rzadkością, jeśli w ogóle się pojawia.

Temistokles został obudzony i przystąpił do pracy przed wszystkimi, znowu udowadniając, że potrzebuje znacznie mniej snu niż pozostali. Ziewając, Ksantyppos zastanawiał się, ile go kosztuje to sprawianie wrażenia, że jest taki... nieugięty. Czekał na łódkę, naoliwił i naostrzył broń, w tym żelazny grot długiej włóczni. Lew na jego tarczy został trochę podretuszowany po bitwie maratońskiej. Agarysta zatrudniła doskonałego artystę, aby usunął rysy i zniszczenia świadczące, że tarcza brała udział w wojnie. Lśniła więc nieskazitelnym złotem w porannym słońcu, a on uśmiechnął się na myśl o żonie. Była wciąż dość młoda, aby urodzić kolejne dziecko. A co ważniejsze, on sam nie był za stary, aby je spłodzić. Udowodnił to.

Kiedy łódź przy płynęła i zatrzymała się przy burcie, przygotował się, żeby zejść na nią po drabince. Nie spodziewał się formalnego pożegnania, Temistokles jednak na niego czekał i podał mu rękę. Skłonili przed sobą głowy.

– Naucz się tyle, ile zdołasz – powiedział – a wieczorem dołącz do mnie w mieście razem z innymi trierarchami. Musisz wszystkich poznać.

Ksantyppos tylko energicznie pokiwał głową. Bardzo uważał, aby nie spaść z drabinki, korzystając z łaskowości morza, które w tej chwili skierowało w stronę okrętu najsłabszą falę.

W towarzystwie słońca Apollina, które przysiadło na morzu jak złoty owoc, popłynął na trierę. Okazała się znacznie starsza od tej, którą właśnie opuścił. Drewno było szare lub zupełnie białe po dziesięcioleciach na morzu. Na pierwszy rzut oka nowy okręt Ksantypposa zanurzony był znacznie głębiej i sprawiał wrażenie dziwnie wymęczonego. Maszt sterczał wysoko, a żagiel leżał na pokładzie, gotowy do podniesienia i złapania wiatru. Pobyt na tej jednostce miał być dla Ksantypposa nowym doświadczeniem.

Wioślarze podpłynęli pod burtę triery. Złapał rzuconą mu drabinkę i wspinając się, mocno zaciskał dłonie na kolejnych szczeblach, jakby rozpaczliwie trzymał się bezcennego życia. Nie miał wątpliwości, że wygląda bardzo niezgrabnie, ale chodziło mu tylko o to, żeby nie spaść do morza, tym bardziej że fala już zmoczyła mu kostki. Wspiął się szybko, kiedy okręt przechylił się na drugą burtę, i wskoczył na pokład. Miał mocne nogi i w tej chwili czuł się jak marynarz, który właśnie dokonał abordażu.

Powitał go ateński trierarcha w hełmie przystrojonym pióropuszem i w zbroi hoplity. Ksantyppos się uśmiechnął, potrząsając jego dłonią, a następnie poczekał, aż jego skromny dobytek zostanie przywiązany do liny i wciągnięty na pokład. Trierarcha Erejus miał już zapewne z sześćdziesiąt lat, jego zarost i włosy na klatce piersiowej były siwe, ale brodę miał starannie przyciętą.

– Witam na moim okręcie, strategu – powiedział. – Twoi przyjaciele wszystko mi o tobie opowiedzieli.

– Moi przyjaciele? – zdziwił się przybyły i natychmiast ogarnęła go czujność.

– Na przykład Epikleos. Mówił, że walczył u twojego boku pod Maratonem.

Ksantyppos ucieszył się na te słowa. Przygotowania do wojny pochłaniały go całkowicie, niemal przez cały czas pracował w szalonym tempie. Wiedział, że Epikleos znajduje się na jednym z okrętów, ale nie był w stanie go wypatrzeć wśród czterdziestu tysięcy żeglarzy.

Z prawdziwą radością ujrzał najlepszego przyjaciela, który właśnie wynurzał się spod pokładu.

– Ksantyppos! Nie wierz ani jednemu słowu starego Erejusa. To tyran, który trzydzieści lat spędził na morzu jako trierarcha, ale ludzie go uwielbiają.

Erejus roześmiał się głośno i wycofał dyskretnie, gdy tamci padli sobie w ramiona.

– Jak się mają Agarysta i dzieci? – zapytał Epikleos.

– Dobrze. Lepiej niż kiedykolwiek. Perykles i Aryfron rosną, są wysportowani i silni. Słyszałem, że wiele razy odwiedzałeś mój dom, kiedy byłem daleko. Dziękuję ci.

– To nic takiego, Ksan. Po prostu...

– Nie. Moi synowie potrzebowali kogoś takiego jak ty, kiedy nie mogłem być z nimi. Nie zapomnę twojego wsparcia.

Epikleos się zarumienił. Wydawał się speszony, nagle opuścił go typowy ironiczny humor. Pokiwał głową.

– Pozwolę teraz naszemu szacownemu trierarsze, żeby pokazał ci dumę naszej floty. I tymczasem przypilnuję kucharza, żeby podał nam dobry posiłek. Zobaczymy się później, Ksan.

Jeszcze raz uścisnęli sobie ręce i Epikleos, pogwizdując, opuścił się pod pokład. Ksantyppos poczuł, że jest uważnie obserwowany przez trierarchę.

– Naprawdę nie masz nic przeciwko temu, że przez wiele lat odwiedzał twoją żonę? Musicie być dobrymi przyjaciółmi.

Zapytany parsknął śmiechem.

– Jego zainteresowania są odmienne od moich. W tej dziedzinie nie obawiam się konkurencji z jego strony.

– Ach! – zawołał Erejus. – Właściwie się zastanawiałem... Sposób, w jaki mówi o tobie... Wiesz co? On cię kocha.

– Tak. Ale ja nie mogę mu dać tego, czego by ode mnie chciał.

Trierarcha popatrzył w stronę zejścia pod pokład, gdzie przed chwilą zniknął Epikleos.

– Jeżeli lubi starszych mężczyzn, to może...

Ksantyppos machnął ręką.

– Nie potrzebujesz mojej zgody. Epikleos żyje dla siebie. Niemniej jest moim najlepszym przyjacielem i *marathonomachos*. Należy go traktować z najwyższym szacunkiem.

– Oczywiście! – zgodził się Erejus.

Ksantyppos zerknął na niego z ukosa i pomyślał, że Temistokles nieprzypadkowo oddał go w ręce tak doświadczonego dowódcy. Natychmiast zaczął go oprowadzać po okręcie. Słońce pokonało ledwie krótką drogę nad horyzontem, a on zwiedził już niemal każdy kąt, nawet stanął na dziobie i przez chwilę przypatrywał się zielonemu taranowi nad spienioną wodą. Następnie do powitania ustawili się wszyscy ważniejsi marynarze; jako ostatni w rzędzie stanął uśmiechnięty Epikleos. Chyba właśnie on dowodził hoplitami na okręcie – małą grupą weteranów. Część przywitała Ksantypposa niemal z nabożną czcią. Wszyscy znali Temistoklesa. A skoro on uważał, że Ksantyppos jest potrzebny Atenom tak bardzo, że należy odwołać go z wygnania i sprowadzić z powrotem do miasta, to musiał być kimś nadzwyczajnym. Kiedy przedstawiono go dowódcom i hoplitom, obejrzał się przez ramię. Okręt Temistoklesa był już prawie niewidoczny w gromadzie innych. Teraz Ksantyppos był już zdany tylko na siebie i musiał się szybko uczyć.

Także wiosłarzy wyprowadzono po kolei na wąski pokład, aby mogli go powitać: *thranites* z najwyższego poziomu, *zygites* z ławek środkowych i *thalamitai*, którzy wiosłowali na najniższym poziomie i których praca na niespokojnych wodach była najcięższa. Ksantyppos każdemu uściskał dłoń i obdarzył krótkim uśmiechem. Wszyscy byli wolnymi Ateńczykami. Wielu pojawiało się na Pnyksie, żeby słuchać dyskusji. Pomyślał, że zapewne niektórzy głosowali za jego powrotem z wygnania. Starał się nie myśleć o tym, że najstarsi z tego grona mogli też poprzeć wypędzenie go z miasta. Byli krępyimi mężczyznami o silnych ramionach i żelaznych uściskach dłoni, dlatego nawet

jego dłoń wojownika była obolała, zanim ostatni wiosłarz zszedł z powrotem pod pokład. Niemniej ich siła go cieszyła. Od ich wytrwałości zależało jego życie.

Kiedy skończyły się formalności, załoga wróciła do stałych obowiązków. Erejus śmiał się, ujmując Ksantypposa pod ramię i jeszcze raz ściskając mu dłoń. Jego uścisk był niewiele słabszy od uścisku Spartanina. Chociaż palce stratega były już blade i bolały po powitaniach wiosłarzy, odczuwał też dziwną dumę. Epikleos pozostał przy nich, a trierarcha na razie nie zamierzał odsyłać go do jego zadań.

– Rozumiem, że wszystko jest dla ciebie nowością, strategu – powiedział Erejus. – Nie martw się o okręt. Mój ptaszek pofrunie tam, dokąd go skierujemy, a moja załoga to najlepsi żeglarze. Część nowych ateńskich jednostek z konieczności ma pod pokładami niewolników przy wiosłach. Ale moi wiosłarze to doskonale wyszkoleni wolni ludzie. Wykonają każdy rozkaz. Zresztą sam zobaczysz.

Ksantyppos bardzo chciał odczuwać taką samą pewność, jaką emanował trierarcha. Ale brakowało mu jej, ponieważ nie znał podstawowych zasad wojny na morzu.

Zerknął na Epikleosa. Był zadowolony, że przynajmniej ma przy sobie kogoś, komu może całkowicie zaufać.

– Z rozkazu Temistoklesa mam wybrać dziewięćdziesiąt okrętów, trierarcho. Moim zamiarem jest utworzenie z nich grup składających się najwyżej z sześciu jednostek, które będą z sobą współpracowały.

Usłyszawszy te słowa, trierarcha nagle zmarszczył czoło.

– Dwunastoma, a nawet sześcioma okrętami byłoby ci ciężko dowodzić. A dziewięćdziesiąt to... Nie chcę powiedzieć, że to nierealne dla człowieka, którego mam wyszkolić najszybciej, jak się da. Z grzeczności nie użyję słowa „niemożliwe”. Rozumiesz? Walczyłem przeciwko Eginie, kiedy na wodzie znajdowało się jednocześnie kilkadziesiąt okrętów. Kiedy na morzu rozpoczyna się bitwa, załoga każdej jednostki w praktyce jest zdana na siebie. Te najlepsze albo te, które mają najwięcej szczęścia czy też którym najbardziej sprzyjają

bogowie, odnoszą zwycięstwa. Reszta tonie albo na ich pokłady przedostaje się wróg, co – jak mówią niektórzy – jest najgorszym losem.

Ksantyppos pokiwał głową, aby okazać, że rozumie trierarchę, ukrywając frustrację. Bez szansy na prywatną rozmowę z Epikleosem – a wątpił, czy na pokładzie znajdzie się spokojne miejsce na taki luksus – nie miał pojęcia, czy Erejus jest człowiekiem, który znajduje przyjemność w rzucaniu kłód pod nogi, czy też skuteczne dowodzenie w bitwie flotą złożoną z setek okrętów naprawdę jest niemożliwe. Nie znając go bliżej, nie wiedział, w jaki sposób traktować jego słowa.

Temistokles sprowadził go jako stratega, któremu ufał. Ksantyppos potrafił to zrozumieć. Pod Maratonem Miltiades potrzebował Arystydesa, Temistoklesa, samego Ksantypposa i wielu innych dowódców. Część już nie żyła. Inni zostali wygnani z miasta przez zgromadzenie i nigdy nie powrócili. Na tę myśl Ksantyppos mocno zacisnął szczęki. Bardzo ich teraz brakowało. Dobrzy strategowie nie rodzą się na kamieniu. Ich obecność w bitwie daje archontowi możliwość wzmacniania słabnących oddziałów albo zapobiegania niespodziewanym atakom ze skrzydeł. Archont może w myślach przestawiać szyki, a potem dzięki strategom obserwować realizację swoich pomysłów.

Nie wiedział, czy takie same reguły obowiązują na morzu. Rozumiał jednak, że aby w wojnie morskiej do czegoś się przydać, musi uczyć się tak pilnie i tak szybko jak najlepszy efeb. Modlił się do Ateny, aby nigdy nie musiał wybierać pomiędzy rozkazami nauarchy, któremu się wydawało, że dowodzi flotą, i Temistoklesa, który był faktycznym dowódcą.

– Trierarcho – odezwał się oficjalnym tonem – w Atenach widywałem, jak przekazuje się wiadomości za pomocą płonących pochodni w odpowiednich chwilach przesłanianych tarczami. Ich ukazujące się i znikające światło układało się w specjalny kod, dzięki czemu informacja szybko płynęła z jednej części miasta do drugiej.

– To może być skuteczne, jeżeli chcesz nadawać wiadomość z Akropolu albo z Pnyksu, strategu. I na pewno nie funkcjonuje dobrze za dnia, w szczególności

na morzu. A w nocy przecież nie żeglujemy.

Taki upór przynosił Erejusowi pewne zadowolenie, Ksantyppos dostrzegał to teraz wyraźnie. Być może Temistokles wysłał go do niego nie tylko po nauki, ale także po to, żeby on okiełznał starszego dowódcę.

– Popatrz na inne galery – kontynuował trierarcha. Ujął go pod ramię, a Ksantyppos pozwolił mu się poprowadzić pod niską burtę, mimo że morze tu głośno syczało i wydawało się niepokojąco bliskie. Nie po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czy zamontowanie poręczy nie byłoby dobrym pomysłem. – Popatrz, jak blisko wody znajduje się pokład – ciągnął Erejus – jak bezustannie unosi się i opada. Możemy przypuścić frontowy atak na wroga w jednej linii albo skoncentrowanymi grupami, jeśli ograniczona przestrzeń także jemu każe zacieśnić szyk. W takim ustawieniu łatwiej się chronić przed atakiem ze skrzydeł. Ale kiedy rozpoczyna się walka na wodzie, nie ma mowy o utrzymaniu szyku, natychmiast rodzi się chaos, strategu. Widziałem to na własne oczy.

Oczywiście Ksantyppos tego nie widział i właśnie w tym tkwiła siła sugestii Erejusa. Była to sugestia zgodna z prawdą i dlatego bardzo irytująca.

– Zaledwie wczoraj, trierarcho – odezwał się – widziałem, jak wezwano łódź za pomocą chorągwi zatkniętej na długiej włóczni. Takie rzeczy są możliwe, jeżeli tylko pragnie się je stosować.

– Ta łódź musiała czekać w pobliżu, strategu... – zaczął tamten.

Ksantyppos przerwał mu, coraz bardziej zdenerwowany. Jego głos stał się ostrzejszy. Nie miał czasu na łagodne przemowy, choć zdawał sobie sprawę, że może stracić życzliwość Erejusa.

– Jeżeli nie zechcesz stosować pewnych rozwiązań, które wskażę, natychmiast cię zwolnię, Erejusie. Wezwę łódź, którą odpłyniesz na tyły, aby przeczekać manewry. O zachodzie słońca, kiedy wrócimy do Pireusu, każę wyrzucić cię na brzeg i sam pójdziesz do miasta. Masz tam rodzinę? Więc wyjaśnisz swoim bliskim, dlaczego jesteś na łądzie, gdy tymczasem flota żegluje na spotkanie straszliwego wroga.

– Ja nie... Temistokles... – spróbował protestować Erejus.

Ksantyppos kontynuował jeszcze głośniej:

– Temistokles mianował mnie dowódcą. Zakończmy na tym wszelkie dywagacje. Weź tylko pod uwagę, że jeśli utracę wiarę w to, iż będziesz wykonywał moje rozkazy, nie będę miał wyboru i odeślę cię w niesławie do Aten. Stracę twoje bezcenne doświadczenie, ale ani na chwilę nie obejrzę się za siebie. Rozumiesz?

Twarz trierarchy traciła protekcjonalny wyraz i z każdym słowem Ksantypposa robiła się coraz bardziej czerwona. Energicznie pokiwał głową, chociaż jakby odruchowo jeszcze otworzył usta, aby wyrazić kolejne obiekcje. Strateg wyciągnął ostrzegawczo palec i usta Erejusa gwałtownie się zamknęły. Epikleos wciąż stał w pobliżu, patrząc w przestrzeń, jakby nie interesował się rozmową, którą jednak słyszał od początku do końca. Z wyraźnym skrepowaniem czekał na wynik starcia dwóch silnych osobowości.

Ksantyppos musiał przełknąć własny niesmak wobec przykrego przebiegu rozmowy. Chociaż brakowało mu wiedzy o morzu, musiał postępować twardo. Nie mógł zważać, czy będzie na okręcie lubiany czy nienawidzony, nie mógł tracić czasu na spokojne uzmysławianie trierarsze, kto tak naprawdę jest najważniejszy na jego pokładzie.

– Pełnimy wspólnie służbę, Erejusie, ty i ja, ponieważ tak postanowiło zgromadzenie – powiedział zimno. – Zgromadzenie jest także tutaj, jego siła nas otacza i wspiera, to ona napędza te wszystkie galery! Znam Greków, Erejusie. Wiem, że wszyscy są bardzo pomysłowi. Zatem podporządkuj się mnie jako hoplita, dobrze? Bez urazy, bez wydziwiania. Zrozumiałeś? Czy też mam oficjalnie przejąć dowodzenie okrętem?

Nie był pewien, czy miałby do tego prawo ani czy zdołałby takie postanowienie wprowadzić w życie, mając do czynienia z załogą zapewne bezgranicznie lojalną wobec tego mężczyzny, który stał przed nim z czerwoną twarzą, rozedrgany z emocji. Czekając na odpowiedź, nie okazał jednak cienia wahania czy też słabości.

Po chwili, która zdawała się trwać wieczność, trierarcha w końcu skinął głową.

– Proszę, nie odbieraj mi mojego okrętu – powiedział. – Ta ptaszyna jest wszystkim, co posiadam.

Ksantyppos odwrócił go ku sobie, położywszy dłoń na jego ramieniu, co miało oznaczać, że puszcza w niepamięć dotychczasowe nieporozumienia. Tę krótką bitwę uznał za zakończoną. Spokojnie popatrzył na żagiel przytrzymywany przez liny tak naprężone i twarde, że zdawały się wykonane z żelaza.

– Chcę wypróbować wysyłanie sygnałów z czubka masztu... – Umilkł na chwilę, kiedy Erejus zareagował, jakby znowu chciał się odezwać. – Tak, wiem, w trakcie bitwy maszty są złożone i żagle spoczywają spokojnie pod pokładem, a czasami nawet zostawia się je na brzegu, żeby okręt był lżejszy. Zapomnijmy o tym. Chcę wprowadzić zwyczaj nadawania prostych sygnałów za pomocą flag, które będziemy wywieszać jak najwyżej nad pokładem. Aby służyć mojemu miastu, niedawno wróciłem z wygnania. Sprawdźmy więc, czy moja obecność na tym okręcie może przynieść jakiś pożytek.

Pozwolił, aby trierarcha wrócił do pracy. Ten natychmiast zaczął wydawać rozkazy. Epikleos zachichotał, kiedy Ksantyppos wreszcie na niego spojrzał, spodziewając się z jego strony słów krytyki. Jednak przyjaciel tylko wzruszył ramionami.

– Poznał cię jako nieugiętego dowódcę. Doskonale, musiał zrozumieć, jakie jest jego miejsce w szeregu. Niemniej pamiętaj, Ksan, że trierarcha Erejus jest dobrym człowiekiem. Załoga bardzo ciężko pracuje, aby jak najlepiej mu służyć, a on naprawdę świetnie dowodzi tym okrętem. Zresztą sam się przekonasz.

Ksantyppos pokiwał głową, chociaż policzki mu nieznacznie poczerwieniały. Zastanawiał się, czy potrafi zachować niezbędny spokój, czy jednak w natłoku obowiązków nadal będzie poniżał porządnego człowieka i łamał mu kręgosłup.

Flota, która o zachodzie słońca wróciła do Pireusu, miała na pokładach skrajnie zmęczonych ludzi. To zmęczenie było widoczne w przygarbionych sylwetkach wioślarzy, kiedy triery dobiły do przystani. W dużych grupach wlekli się z opuszczonymi głowami w stronę kamiennych nabrzeży w poszukiwaniu jedzenia, wina i spokojnego miejsca do spania. Tysiące marynarzy ruszyły też do Aten; rozmawiali półgłosem lub głośno się śmiali, spotykali się z przyjaciółmi i wymieniali doświadczeniami. Bez rozkazu, zupełnie nieświadomie ci, którzy spędzili dzień w formacjach tworzonych i dowodzonych przez Ksantypposa, trzymali się razem. Przez wiele godzin wypatrywali sygnałów przekazywanych za pomocą prowizorycznych flag wznoszonych na maszty lub unoszonych wysoko na długich włóczniach. Tego dnia stosowano tylko dwie flagi, a ich kolory wybrano spośród tych, które akurat dało się znaleźć na okrętach. Czerwony sygnalizował rozkaz „do ataku”, a tę flagę wykonano ze starego spartańskiego płaszcza. Przynajmniej jedną białą szatę zniszczono, aby przekazywać sygnał „ustawić szereg”. Wszyscy wiedzieli, że strateg posłał łódź na okręt Temistoklesa po niebieski płaszcz, ale tam albo takiego płaszcza nie było, albo – co bardziej prawdopodobne – właściciel wolał zostawić go sobie w całości, żeby się okrywać w zimne wieczory.

Bez wątplenia w mieście musiały się znaleźć materiały w innych kolorach. Ksantyppos chciał też nadawać sygnały „wycofać się” albo „powoli naprzód” i jeszcze inne – możliwości było co najmniej dziesięć. Połowa rozmów w niespiesznie wędrującej grupie zmęczonych mężczyzn koncentrowała się na

odkryciu, że rozkazy można wydawać nawet na morzu, i to na spore odległości. Na ładzie Ksantyppos mógł sobie być doświadczonym weteranem, hoplitą i strategiem. Na morzu musiał uczyć się dowodzenia metodą prób i błędów. Uczył się więc przez cały dzień i z konieczności angażował w to całe załogi trier. Teraz żeglarze pomimo zmęczenia wymawiali jego imię z dumą: oto Ateńczyk, który wrócił z wygnania i bezustannie krzyczy „Jeszcze raz!”, dopóki nie jest zadowolony z tego, jak są realizowane jego polecenia. Załogi okrętów wykonywały je od świtu do zmierzchu, bez narzekań.

Kiedy zapadły ciemności, zapłonęły światła i zaczęły rozlegać się śmiechy w tawernach, w porcie i w mieście. Czterdzieści albo i pięćdziesiąt tysięcy mężczyzn, spragnionych wina i jedzenia, na kilka godzin zamieniło Ateny w hałaśliwe, rozwrzeszczane miasto. Stopniowo jednak wracał spokój. Marynarze odpływali w objęcia Morfeusza. Niemal wszyscy głośno chrapali na krzesłach, na ławach, a nawet po prostu na ulicy. Bezpańskie psy z ochotą przywierały do ich ciał w poszukiwaniu ciepła.

* * *

Ksantyppos widział, że niektórzy trierarchowie ziewają, zajmując miejsca. Co chwilę ktoś unosił pomarszczoną dłoń, żeby zakryć otwarte usta. Tego wieczoru budynek rady tętnił życiem i dawało się wyczuć atmosferę niecierpliwego wyczekiwania. Temistokles i Eurybiades wezwali tutaj dowódców, teraz zaś ich podwładni mogli już spokojnie wypoczywać i spać, zapominając na całą noc o ciężkiej pracy.

Usiadł naprzeciwko ław przeznaczonych dla członków rady, obok nauarchy i Temistoklesa. Czuł, że Spartanin bezustannie lustruje go wzrokiem, ale nie wiedział, czy w poszukiwaniu zaczepki, czy też po prostu z zainteresowania. W każdym razie Ksantyppos zasłużył, aby przebywać właśnie w tym miejscu. Formacje okrętów, które tworzył na morzu, przez cały dzień manewrowały, na razie z kiepskim skutkiem, lecz dyskusje na temat pomysłu dowodzenia za

pomocą sygnałów kolorowych flag toczyły się tego wieczoru we wszystkich ateńskich tawernach.

Kimon dominował w jednej z bardziej hałaśliwych grup trierarchów w tylnej części wielkiej sali. Młodość mocno go wyróżniała na tle starszych mężczyzn, którym z trudem udawało się nie zasypiać. Ksantyppos obserwował, jak młodzieniec zbiega pomiędzy rzędami ławek i zajmuje jedno z miejsc przeznaczonych dla najwyższych dowódców. Wydawał się świadomy, jaką konsternację wywołuje, a strateg na wszelki wypadek zaczął się przygotowywać, żeby przemówić w jego obronie. Chłopak pracował tego dnia równie ciężko jak wszyscy. Jego autorytetu dowodziły reakcje trierarchów dwunastu okrętów, którymi dowodził, a które mknęły po falach jak drapieżne zwierzęta. Więcej niż raz okręty Kimona zdołały otoczyć te, które w ćwiczeniach pełniły rolę „wroga”. Jego dwunastka wyróżniała się na tle całej floty w prędkości manewrów i w dyscyplinie.

Eurybiades niecierpliwie się poruszył z kwaśną miną, wolał jednak ugryźć się w język, niż głośno skomentować zachowanie Kimona. Tego dnia spartańskie okręty „zginęły” niejedną raz, znalazłszy się w sytuacji, w której nie uniknęłyby staranowania, gdyby miały do czynienia z prawdziwym wrogiem. W „niewolę” został wzięty nawet jego okręt flagowy. Nie miało znaczenia, że formalnie go nie poddał. Radość Ateńczyków z takiego obrotu sprawy wyraźnie go zdeprymowała. Niemniej nie protestował przeciwko obecności Kimona na dzisiejszym zgromadzeniu, chociaż młodzieniec nie miał jeszcze ukończonych trzydziestu wiosen. Miał za to szerokie ramiona i czarne owłosienie na rękach i na piersiach. Bardzo przypominał swojego sławnego ojca.

Kiedy wszyscy już przybyli, ponad trzystu trierarchów zaprowadzono do sali posiedzeń. Niemal dwustu pochodziło z Aten, lecz dla pozostałych pobliskie agora oraz Akropol górujący nad miastem były legendarnymi miejscami, podobnie jak świątynia Apollina w Delfach czy szczyt Olimpu. Nad miastem unosił się księżyc w pełni, okraszając je bladym światłem. Część ludzi

z trwogą spoglądała na kamienne kolumny Akropolu. Do tej pory znali Ateny jedynie z opowieści. Wiedzieli o nich, że są własnością samej bogini.

Temistokles znalazł czas, żeby się wykąpać i przebrać w białą szatę o takim kroju, że jego prawe ramię pozostawało obnażone. Włosy wciąż miał mokre. Większość pozostałych nadal była ubrana w chitony okrętowe i ciężkie chlamidy, chociaż powietrze w mieście było cieplejsze i przyjemniejsze niż na morzu. Z kolei Eurybiades i jego szesnastu Spartan wciąż nosili napierśniki na chitonach i sławne czerwone płaszcze. Kiedy siedzieli, widoczne były ich gołe uda. Naprzeciwko nich Ksantyppos wsuwał i wysuwał dłoń spomiędzy fałdów opończy, którą znalazła dla niego Agarysta. Jasnyniebieska szata już jutro miała zostać podarta i rozdzielona na wyznaczone okręty. Nie chciał, żeby żona sama ją tutaj przyniosła, ale ona się uparła i przysłała do buleuterionu razem z posłańcem. Wymienili pośpieszne pocałunki. Część mężczyzn zaczęła na ten widok gwizdać i Agarysta się zaczerwieniła. Postanowiła jednak nie wracać do domu i poczekać na zewnątrz na męża. Bezpieczeństwo gwarantował jej Epikleos. Ksantyppos wiedział, że przyjaciel będzie gotów nawet poświęcić życie w obronie jej honoru.

– Nauarchowie, archontowie, trierarchowie... – zaczął Temistokles. Rozglądał się przez chwilę, dopóki nie zyskał pewności, że wszyscy go słuchają. – Mam zaszczyt być dzisiaj w Atenach waszym gospodarzem. Eurybiadesie, zechcesz przemówić?

Spartanin bez wątpienia spodziewał się tej propozycji. Wstał i skinął głową zgromadzonym, a tymczasem Temistokles usiadł. Strateg patrzył na tę scenę ze zdziwieniem, ale wszystko wskazywało na to, że Temistokles zamierza traktować Spartanina z najwyższymi honorami.

– Persowie nigdy nas nie zaskoczą – zaczął Eurybiades. – Kiedy dowiemy się, że się zbliżają, będziemy mieli trzy albo cztery dni... nie więcej... by popłynąć na północ i na nich uderzyć. Każdy świt przed tą akcją jest darem bogów, czasem ćwiczeń i intensywnych przygotowań. – Odwrócił się do Ksantypposa, popatrzył na niego i przez chwilę wydawało się, że szuka dalszych słów. Ateńczyk siedział bez ruchu, jakby nagle zamienił się w kamień, a Temistokles poruszył się

niespokojnie. – Dzisiaj po raz pierwszy widziałem, jak pomiędzy okrętami wymieniano sygnały za pomocą czerwonych i białych flag. Musimy tego zaprzestać. To dekoncentruje, utrudnia walkę, a ja nie pozwolę na to moim dowódcom.

Ksantyppos szybko wstał.

– Nauarcho, rezultaty, jakie osiągnęliśmy...

Spartanin kontynuował, jakby nie usłyszał ani jednego słowa.

– W bitwie morskiej istnieje tylko jedna reguła, przynajmniej dla nas. Kiedy flota perska znajdzie się w zasięgu wzroku, wszyscy musimy natychmiast do niej podpłynąć i nawiązać walkę. Naszym zadaniem jest zatapianie, przejmowanie albo palenie okrętów wroga. Morze nie jest klasycznym polem bitwy. W gruncie rzeczy...

– W gruncie rzeczy, Eurybiadesie, to ty dowodzisz flotą – wszedł mu w słowo Temistokles, a jego donośny, tubalny głos, jakim zwykł przemawiać do zgromadzenia, gromko zabrzmiał w całej sali. Machnął dłonią w powietrzu nad ramieniem Ksantypposa, który niechętnie usiadł, kipiąc z wściekłości. – Ale w tej chwili rozprawiamy o wewnętrznej strategii okrętów ateńskich. Obserwowałem dzisiaj działania dziesięciu małych grup. Widziałem na przykład, jak jeden okręt został otoczony przez trzy inne, ich wspólne manewry doprowadziły do błyskawicznego „zwycięstwa”. Zakładam, że sam miałeś udział w jednym lub dwóch takich „sukcesach”. – Na chwilę przygryzł wargę, czując na sobie ostry wzrok Spartanina.

Ksantyppos wiedział, że Temistokles bardzo starannie dobiera słowa. W publicznych wystąpieniach był weteranem, natomiast Eurybiades żółtodziobem. Ale był także człowiekiem upartym, jak zresztą wszyscy Spartanie.

– Gdyby rozkaz zawsze brzmiał tak po prostu „do ataku” – kontynuował Ateńczyk – czyż w ogóle potrzebni byliby nam dowódcy? – Szeroko rozłożył ręce. – Nauarcho, ty dowodzisz flotą, lecz ta drobna sprawa dotyczy ateńskich trierarchów. Oczywiście narzucaj taktykę swoim załogom, ale po tym, co

zobaczyłem dzisiaj, dostrzegam pewną wartość we współpracy mniejszych formacji okrętów i w przesyłaniu pomiędzy nimi sygnałów. Mam nadzieję, że będziemy mogli zdać się na twoją mądrość.

Temistokles usiadł, jakby chciał w ten sposób przekazać, że sprawa została właśnie zamknięta. Popatrzył na zgromadzonych, jakby szukał wśród nich trierarchy, który powinien zabrać głos jako następny. Eurybiades wciąż stał wyprostowany, a Ksantyppos kręcił głową z irytacją. Spartanin był w furii, a jego twarz z każdą chwilą robiła się coraz bardziej czerwona.

– Jeżeli to jest twoje ostatnie słowo... – zaczął.

Ku jego zaskoczeniu zagłuszył go archont z Koryntu.

– Korynt stoi po stronie Aten, Eurybiadesie. Ateńczycy zapędzili dzisiaj sześciokrotnie moje okręty w sytuację bez wyjścia, zacieśniając szyki lub je rozpraszając, co było możliwe dzięki sygnałom przekazywanym za pomocą flag. Sami to wymyślili, ale najważniejsze wydaje się to, że ten system dobrze funkcjonuje. Chciałbym, aby stał się powszechny.

Eurybiades zamknął usta, a Ksantyppos przez chwilę przenosił wzrok z niego na Koryntczyka i z powrotem. Korynt, dysponujący czterdziestoma galerami, był jednym z miast peloponeskich i na przestrzeni dziejów albo sprzymierzeńcem, albo rywalem Sparty. Nagłe wmieszanie się jego przedstawiciela do dyskusji wywiało wiatr z żagli Eurybiadesa i niespodziewanie zapomniał, co chciał powiedzieć.

Ksantyppos znów się podniósł i stanął obok Spartanina.

– Mogę przemówić, nauarcho? – zapytał.

Tamten zmarszczył czoło, ale skinął głową i usiadł. Strateg postanowił uspokoić sytuację, a Spartaninowi dać szansę na zebranie myśli.

– Moi dowódcy określili dwa rozwiązania taktyczne, które się dzisiaj najlepiej sprawdziły, jako *periplus*, czyli atak od rufy, oraz *diekplus*, co oznacza przerwanie szyku wroga manewrem podobnym do silnego pchnięcia włócznią. – Mówiąc, gestykulował, chcąc lepiej zobrazować zagadnienie. Wszystkie spojrzenia koncentrowały się teraz na nim, doświadczeni marynarze uważnie

przysłuchiwali się jego wywodowi. – W pierwszym przypadku celem jest opłynięcie wroga i skierowanie naszego tarana w jego rufę, bo tam każdy okręt jest najsłabszy. Mogą tego dokonać już dwie współdziałające triery, a kiedy współpracują trzy, ich zwycięstwo jest właściwie pewne. Gdy jeden okręt walczy z jednym przeciwnikiem, wprawny trierarcha i sternik potrafią szybko zmieniać kurs, aby ustawić taran we właściwym położeniu. Ale walka jest wtedy chaotyczna i wymaga od żeglarzy wyłożenia wszystkich sił. Zwycięstwo możemy osiągnąć łatwiej dzięki przewadze liczebnej, a uzyskamy ją, posługując się sygnałami przekazywanymi z okrętu na okręt za pomocą flag. Nasze dzisiejsze ćwiczenia były jeszcze niezgrabnymi próbami, chociaż dostrzegłem już załączki przyszłych sukcesów. Kiedy podrzemy na flagi mój niebieski płaszcz, jutro będziemy dysponować kolejnym istotnym sygnałem. – W pomieszczeniu zabrzmiały śmiechy, ale nie było w nich szyderstwa. Ksantyppos zerknął na Eurybiadesa i to jedno szybkie spojrzenie powiedziało mu, że ten wciąż jest wściekły. – *Diekplus*, pchnięcie, czyli wplynięcie pomiędzy wrogie okręty – kontynuował i wyciągnął przed siebie otwartą dłoń. – Szeroka linia frontu zamienia się w punkt. To manewr niebezpieczny, gdyż pierwsze nasze okręty najpierw przełamują flankę wroga, a następnie zmieniają kierunek, aby zaatakować z boku. Najlepiej to działa wówczas, gdy trierarchowie współdziałają z archontami, którzy wydają rozkazy zgrupowaniom okrętów. Ostatni element taktyki określiliśmy słowem *kyklos*, co oznacza koło. Można go przyrównać do ostatniego rzutu kośćmi, jeżeli mamy do czynienia z przeważającą liczbą wrogich jednostek. W takim wypadku ustawiamy wokół nich formację, która przypomina kubek bez dna. Każda triera może zastąpić...

– Dziękujemy ci, strategu – warknął Eurybiades.

Była to oczywista odprawa i Ksantyppos usiadł. Cały dzień poświęcił fascynującemu eksperymentowi, który z każdą chwilą wydawał mu się coraz bardziej sensowny. Krew wręcz się w nim gotowała, był ogromnie podekscytowany myślą o możliwościach, jakie mogło przynieść zastosowanie nowej taktyki. Wiedział jednak, że bardziej niż jego eksperymentów Temistokles

potrzebuje Spartanina, nie ze względu na jego okręty, ale dla armii na lądzie, którą mogła wystawić Sparta. Dlatego ugryzł się w język i tylko słuchał.

– Jasno określiłem moje stanowisko, a ty je podważyłeś – powiedział Spartanin. – Chyba właśnie w taki sposób wasze zgromadzenie podejmuje decyzje. Tak?

W jego głosie zabrzmiała gorzka nuta, niemal szyderstwo. Ksantyppos czekał, zastanawiając się, dokąd on zmierza. Eurybiades nagle potrząsnął głową, jakby przytłoczył go ciężar słów, które przed chwilą usłyszał i których znaczenie do niego docierało z wielkim trudem. Ku zaskoczeniu stratega zaczął chodzić w tę i z powrotem. Nawet Temistokles nadstawił uszu.

– Kiedy chodzi o bitwy na lądzie – mówił – Sparta nie potrzebuje doradców. Taktykę walki wykształciliśmy na przestrzeni wieków naszych doświadczeń. Nie mamy sobie równych. Jednak... – Wziął dwa krótkie oddechy, jakby zamierzał przeskoczyć jakąś wysoką przeszkodę. – Jednak... – powtórzył – na morzu załogi naszych okrętów wykształciły najprostszą taktykę. Po prostu zbliżają się do wroga i atakują. Okręt jest wtedy jedynie środkiem transportu. Taranów używamy rzadko, kiedy musimy wroga zatopić albo kiedy chcemy uniemożliwić mu ucieczkę. – Znowu umilkł i przesunął dłonią po policzku. W sali nikt się nie poruszył. Zebrani sprawiali wrażenie, jakby z zapartym tchem obserwowali cud narodzin albo walkę tytanów. – To, co dzisiaj widziałem, chwilami wydawało mi się chaosem, szalonymi zrywami okrętów przemieszczających się w różne strony bez żadnego planu. Ale słowa Ksantypposa w pewnej mierze do mnie przemawiają. Trzej wyszkoleni wojownicy zawsze odniosą zwycięstwo nad jednym. Dwaj zapewne także zwyciężą, lecz w tym przypadku pewność jest już mniejsza. Wyrównana walka dwóch przeciwników może trwać w nieskończoność, do wyczerpania ich sił. Jeżeli przyjmiemy, że te same zasady mogłyby dotyczyć naszych okrętów posługujących się taranami, cóż, chyba powinniśmy je... wypróbować. Wycofuję moje zastrzeżenia, z wyjątkiem jednej kwestii.

Na twarzy Ksantypposa powoli zakwitł szeroki uśmiech, który w tej chwili zamarł. Eurybiades odwrócił się do niego.

– Jaki sygnał ma nakazywać wycofywanie się, kiedy zastosujemy ustawienie, które nazwałeś *kyklos*?

– Nauarcho, taki rozkaz moglibyśmy sygnalizować czarną flagą, ale jeszcze nie uzgodniłem tego z żeglarzami.

– I nie uzgodnisz. Dopóki ja dowodzę flotą, nigdy nie będziemy się wycofywać, nie padnie żaden rozkaz odwrotu. W tej sprawie nie będzie żadnej dyskusji. – Popatrzył na Temistoklesa, który udzielił mu wsparcia, poważnie kiwając głową. – To granica, której nie pozwalam przekroczyć. Czy wszyscy zrozumieli?

Strateg poczuł na sobie wzrok Temistoklesa. Nie był głupcem i zareagował tak, jak powinien: skinął głową.

– Oczywiście, nauarcho – powiedział.

– Doskonale. Jutrzejszy dzień spędzę na twoim okręcie. Będę się przyglądał stosowaniu sygnałów oraz ćwiczeniom manewrów.

Ksantyppos uśmiechnął się bez radości, przyjmując decyzję Spartanina. Cóż, Eurybiades przynajmniej próbował dostosować się do okoliczności. Starał się przezwyciężyć upór właściwy wszystkim Spartanom, porzucić pyszałkowatość, która na morzu mogła jedynie im zaszkodzić. Niestety zamierzał odtąd śledzić każdy jego ruch. Wzruszył ramionami, odrzucając obawy, które mogłyby zachwiać jego determinacją. Był Ateńczykiem. Zamierzał po prostu przechytrzyć drania.

* * *

Nad horyzontem wisiał ogromny żółty księżyc. Mała triera wbiła się w półmroku w plażę. Piasek zasyczał pod stępką, a okręt pochylił się tak, że prawie legł na burcie. Załoga pracowała wiosłami z desperacją niemal dla niej zabójczą, aby uciec prześladowcom. Tworzyło ją około osiemdziesięciu ludzi. Chwycili za

wiosła, ścigani przez Persów, którzy monotonicznie śpiewali swoje pieśni, utrzymując jednostajny rytm. Działo się to dwie noce wcześniej, kiedy wszyscy ich przyjaciele zostali zamordowani na brzegu.

Drugą noc spędzili na kotwicy, pogrążeni w ciemności przy nieznanym wybrzeżu, obawiając się zapalić chociaż jedną lampę. Prawie żaden nie zmrużył wówczas oka, czekając, aż z nocy wynurzą się ponure cienie. W tej części morza znajdowało się wiele zdradliwych skał i mielizn czyhających na nieuważnych żeglarzy. Jeżeli Persowie na nich polowali, nikt ich w nocy nie dostrzegł. Dopiero o pierwszym szarym brzasku ujrzeli trzy czarne galery unoszące się w oddali na zimnych falach. Persowie podjęli pościg.

Ten dzień doprowadził załogę niemal do obłądzenia. Wiosłowali z zamkniętymi oczami, koncentrując się na kolejnych pociągnięciach wiosł, ale prześladowcy coraz bardziej się do nich zbliżali. Pościg na morzu zawsze był łatwiejszy od ucieczki. Mężczyźni to urodzeni myśliwi, dlatego kiedy przychodziło im uciekać niczym jelenie w lesie i walczyć o życie jak ryby w sieci, szybko ubywało im sił.

Pościg trwał bardzo długo, wykończył ich fizycznie, przeniósł poza granice ludzkiej wytrzymałości. Czterem ich towarzyszom pękły serca i po prostu padli na deski. Ich sąsiedzi nawet tego nie zauważyli. Stawką w tej pogoni było coś więcej niż śmierć jednego czy drugiego człowieka.

Rozważali, w którym miejscu przybić do lądu, bo wybór był ogromny. Jedyna chwila radości w tym dniu nastąpiła, kiedy jeden z perskich okrętów wpłynął na mieliznę, którą wszyscy znali jako Paznokiec. Zaczęli wiwatować z nadzieją, że pozostali zaprzestaną pościgu, żeby ratować pechowców. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Dwa okręty nadal niestrudzenie za nimi płynęły.

W końcu o wyborze miejsca lądowania zdecydowała ich słabość. Trochę dalej na wybrzeżu znajdowała się jaskinia, dobra do obrony, wszyscy jednak wiedzieli, że nie zdołają już do niej dotrzeć. Okręt zarył w piasek plaży z niewielką siłą, dlatego znaczna część kadłuba wciąż kołysała się na wodzie.

Na uginających się nogach zaczęli opuszczać pokład, a później na czworakach pełzli po zbawczej ziemi. Co silniejsi pokrzykiwali i pomagali słabszym

w ucieczce od brzegu, a tymczasem Persowie podpływali bliżej.

Kiedy i oni dobili do plaży, natrafili tylko na ślady ludzi prowadzące przez wydmy w głąb lądu. Jeden z dowódców stanął na najwyższej z nich i popatrzył w stronę Grecji. Po raz pierwszy w życiu postawił stopę na ziemi należącej do wrogów jego króla. Odwrócił się do swojego zastępcy, przyjaciela, którego zarazem podejrzewał o donoszenie królowi. On także popatrzył w ciemność i nie dostrzegł ani jednego Greka.

– Będziemy ich ścigać. Dopadniemy ich bez trudu.

Zastępca prychnął z niechęcią. Nienawidził biegać. Był to jeden z powodów, dla którego służył wielkiemu królowi na pokładzie okrętu.

– Idą piechotą – powiedział i wzruszył ramionami. – Zanim dotrą do kogoś z wiadomością, my będziemy wznosić puchary na ruinach tych całych „Aten”. Będziemy się cieszyć tuzinem nowych kobiet raczących nas owocami i winem, a dla dodatkowej rozrywki będziemy się zabawiać z chłopcami. Słyszałem, że może nam zabraknąć okrętów do wywiezienia niewolników i złota, które wpadnie nam w ręce.

Dowódca zmierzył towarzysza uważnym spojrzeniem, zastanawiając się, czy jego kuszące wizje nie mają przypadkiem drugiego dna. Mawiano, że w całej flocie są szpiedzy, którzy podsłuchują rozmowy. Nie mógł pozwolić, aby ktoś doniósł, że zaniedbuje obowiązki, bo za to groziły tortury głęboko pod pokładem królewskiego okrętu, w czasie których oprawcy wspomagali się ogniem i żelazem.

– Nad ranem wyślę za nimi pościg – uznał po zastanowieniu. – I kilku tropicieli. Kiedy król zapyta, czy zrobiłem wszystko, co mogłem, aby ich schwycić, będę miał czyste sumienie. Nie chcę stracić jego zaufania. Nie w tym roku, nie w chwili, kiedy mamy do tyle zdobycia.

Przeniósł wzrok na morze i galerę, która właśnie rzucała kotwicę. On oraz jego ludzie stanowili przednią straż, wskazywali głównym siłom drogę ataku. Za nimi podążała wielka flota, z każdym dniem zbliżała się do Hellady, nieuchronnie, niczym powoli zapadająca się wielka góra. Na chwilę zamknął oczy, ciesząc się

ciszą i morskim wiatrem. Błogi spokój przynosiły mu dni, które spędzał z dala od niezliczonych dworskich reguł i od tysięcy mężczyzn walczących o łaski króla, z dala od ciągłych prowokacji i obelg. W pobliżu władcy bezustannie odnosił wrażenie, że tkwi w głębokiej wodzie i zarazem może utonąć. Potrząsnął głową, czując na sobie uważne spojrzenie zastępcy. Cóż, pewnych rzeczy nie można mówić głośno.

38

Jeszcze przed nastaniem świtu Ateńczycy wylegli na ulice. Gromadzili się w ciemnościach i w ciszy, podążając za kapłanami Ateny, Posejdona i Apollina, a także Aresa i Hadesa, zmierzającymi do stóp Akropolu. Nikt nie zwołał tego zgromadzenia, nie zadęto w rogi. Po prostu w nocy miasto obiegła straszna wieść, jakby unosząc się na ciemnych skrzydłach. Pochodziła od dwóch wycieńczonych żeglarzy, którzy przynieśli wiadomości o perskich galerach i o rzezi greckich załóg. Mężczyźni dotarli do bram miasta na ukradzionych wierzchowcach i tam padli na ziemię, drżący z głodu i wyczerpania. Miasto przygarnęło ich w środku nocy.

Nadszedł czas. Pierwsza złota poświata na horyzoncie oświetliła gęste tłumy ludzi maszerujących z uniesionymi głowami do świątyń leżących w najwyższym punkcie miasta, aby tam oddać się bogom i złożyć ofiary. Nad Atenami rozległo się bicie dzwonu zwiastującego świt, a wtedy wielu ujęło w dłonie amulety i w drodze na Akropol zaczęło szeptać modlitwy.

Ksantyppos szedł obok Agarysty, a ich troje dzieci postępowało krok w krok za nimi. Jeszcze w nocy do ich rodziny dotarł Epikleos i przekazał wieści, których wszyscy się obawiali. Także on uczestniczył w cichym marszu, w towarzystwie swoich najlepszych przyjaciół, kierując się w stronę wielkiej skały Aten, najświętszego miejsca górującego nad całym miastem. Mieściły się tutaj pałace i mieszkali królowie, których ciała już dawno temu zamieniły się w proch. To w stronę Akropolu kierowały się wszystkie spojrzenia w chwilach zagrożenia, to Akropol oferował Ateńczykom najbardziej pewne schronienie. Ci,

którzy już weszli na jego szczyt, z góry widzieli Areopag i Pnyks. Oba zdawały się stąd niewielkie, z racji odległości i półmroku. Zagrożenie wojną sprawiło, że serce Aten znowu znalazło się w tym miejscu i biło cichą wiarą tych, którzy się tutaj zgromadzili.

Epikleosowi nagle łzy napłynęły do oczu, milczał jednak i tylko pokręcił głową, kiedy Ksantyppos spojrział na niego z troską. Nie był to najlepszy moment na wyjaśnienia, mężczyzna wiedział jednak, że tego porannego zgromadzenia z udziałem niemal całego miasta nigdy nie zapomni. Przypominało mu świt w dniu bitwy pod Maratonem, dziesięć lat i niemal całe życie wcześniej.

Zapełniło się nie tylko wzgórze, ale także zbocza Akropolu. Ludzie kucali lub stali, ściśnięci niczym pszczoły w wielkim roju. Były ich dziesiątki tysięcy, powoli zaczynały ich oświetlać złote promienie słońca. Ksantyppos usłyszał, jak ktoś szepcze jego imię; rozpoznano go i po chwili zaczęły docierać do niego liczne pozdrowienia. Ci, którzy wezwali go z wygnania, czuli się za niego odpowiedzialni. Wiele tygodni przed powrotem on sam nieświadomie czuł, że jest pamiętany w Atenach jak nigdy wcześniej. Może osoby szepczące teraz jego imię chciały po prostu być uprzejme, miał jednak świadomość nadziei, jaką wszyscy w nim pokładali. Wyznał to Temistoklesowi, a on pokiwał głową i uściśnął mu ramię. Doskonale go rozumiał.

Ksantyppos wkroczył wraz z tłumem na wąską ścieżkę prowadzącą na szczyt Akropolu, gdzie stała starożytna świątynia Pallas Ateny, ich bogini. Obok wznosiła się nowa, wciąż niedokończona, poświęcona Atenie *Parthenos*, dziewicy. Opierała się na pięciu kolumnach, a jej ściany zdobiły bogato złożone płaskorzeźby. Na wysokiej skale postawiono posągi Harmodiosa i Arystogejtona, zabójców tyrana, a także marmurową postać Kallimacha, który zginął pod Maratonem. Upamiętniono tu całą historię miasta. Bogowie opiekowali się nim od niepamiętnych czasów.

W ciemnościach zapalono lampy. Ze wzgórza widoczne były całe Ateny, pięknie oświetlone. Kiedy Ksantyppos stanął na Akropolu, zaczęto je jednak po kolei wygaszać; światło lamp oliwnych zastąpiły promienie słońca.

Na miejscu był już Temistokles w otoczeniu grupki młodych kobiet i mężczyzn, w których strateg rozpoznał jego córki i synów. Obok stała jego druga żona i właśnie jej obecność tego poranka sprawiła, że przez ciało Ksantypposa przebiegł zimny dreszcz. Znał bowiem Temistoklesa od wielu lat i wiedział, że stanowczo oddziela on swoje życie jako polityka od prywatnego.

Mocniej ścisnął dłoń Agarysty, spoglądając ponad Akropolem. Doskonale znani mu ludzie zgromadzili się w tym miejscu, aby palić kadzidła i modlić się do Ateny w obliczu nadchodzącej wojny. Był już Arystydes w napierśniku i nagolenicach. Dziwnie wyglądał w stroju wojownika, bez swojej zwyczajowej wystrzępionej szaty. Moc jego władzy widoczna była w zachowaniu hoplitów, którzy zebrali się wokół niego. Przybył także Kimon i stał z przyjaciółmi w tłumie pod ścianą świątyni. W komplecie pojawili się archontowie z Areopagu oraz wielu eupatrydów, którzy tworzyli jedną gromadę. Gdziekolwiek spojrzeć, Ksantyppos widział twarze z przeszłości. Część z nich czas potraktował dość okrutnie, na licznych głowach pojawiła się siwizna.

Nagle zrozumiał, dlaczego Epikleosowi zaszklily się oczy i dlaczego kilkakrotnie się potknął na ścieżce. Ludzie, którzy przyszli dzisiaj na Akropol, byli istotą Aten, ucieleśnieniem miasta, które wobec zagrożenia wojną wydawało się kruche jak życie dziecka albo jak latawiec puszczony w powietrze.

Ze świątyni wyszli kapłani i kapłanki Ateny i ustawili się przed tłumem. Ukłonili się im kapłani innych świątyń, dając wszystkim sygnał, że dzisiaj to Atena jest najważniejszą z bogiń. Kapłan Hadesa ukląkł na piachu. Atenie podporządkowywała się tego dnia nawet śmierć.

Jej akolici nosili białe szaty i byli uzbrojeni w sztylety oraz sierpy, jak wypadało namiestnikom bogini, która broniła ateńskich rodzin i domów. Ksantyppos zamknął oczy, kiedy zaczęli wspólnie śpiewać modlitwę, wznosząc ku niebu gałązki z kwiatami amarantusa. Czuł obecność Aryfrona u swojego boku; syn był już równie wysoki jak ojciec. Objął go wolną ręką. Perykles i Eleni również stali tuż przy nim. Stanowili rodzinę zgromadzoną na modlitwie,

powierającą się łasce najwyższej bogini. Na Akropolu zebrał się lud Aten, pełen nadziei, desperacji i wiary.

Poświęcono barana, a jego krew trysnęła na złote patery. Modlitwę zakończyły słowa Ateny skierowane do ludu. Obiecała chronić mieszkańców swojego miasta. Przysięgła, że ich uzbroi i nauczy sztuki prowadzenia wojny. Jej tarczą była ich niezłomna wola i siła. Ksantyppos zaczął szybciej oddychać na dźwięk tych słów, emanujących potężną, magiczną mocą. Wreszcie zapadła cisza i ludzie powoli zaczęli się rozchodzić do swoich obowiązków, do miasta u stóp Akropolu.

Ksantyppos poczuł się jakby lżejszy i uśmiechnął do swoich dzieci. Ze szczytu Akropolu starał się nie spoglądać w stronę morza, lecz Perykles właśnie w tamtym kierunku wyciągnął rękę. Ale z tej odległości nawet jego bystry wzrok nie był w stanie wyłowić zarysu greckich galer. Okręty stały na kotwicach w cieśninie pomiędzy Pireusem a Salaminą, czekając na powrót załóg, które obudzą je do życia.

W drodze powrotnej uścisnął mocno dłoń żony. Agarysta spojrzała na niego.

– Pamiętasz, co ci powiedziałem nad ranem przed bitwą maratońską? – zapytał półgłosem.

Zauważył, że Epikleos zainteresował się jego słowami, ale zaraz odszedł dalej od małżonków, nie chcąc zakłócać ich wspólnych chwil.

Kobieta przygryzła wargę, zastanawiając się nad odpowiedzią. Mąż poprosił ją wtedy, żeby zabiła dzieci, jeśli w żaden inny sposób nie będzie mogła uchronić ich przed pojmaniem i niewolą.

– Tak – odparła. – Ale one nie są już takie małe.

– Wiem. – Pochylił się ku żonie. Zetknęli się głowami jak kochankowie na spacerze. – Jeżeli przegramy, będziecie musieli uciekać.

Twarz Agarysty stężała, gdy pojęła znaczenie słów męża. Ksantypposa zaczęła ogarniać złość, kiedy niespodziewanie pokręciła głową.

– Mówiłeś też, że gdy nadejdą Persowie, nigdzie nie będzie bezpiecznie – zauważyła.

– Kierujcie się na zachód i niech was chronią niewolnicy, którzy służą w naszym domu. W gabinecie zostawiłem listę miast, które odmówiły Atenom współpracy. Myślę, że Persowie potraktują je bardzo łagodnie. Ty i dzieci będziecie mogli zacząć życie od nowa, daleko stąd.

Agarysta nagle się zatrzymała, a Ksantyppos z trudem zachował równowagę na stromym zboczu.

– Sądzisz, Ksan, że Ateny są tylko twoim miastem? Ludzie, którzy tutaj mieszkają, są także moimi rodakami. Kocham ich, kocham ich rozmowy, modlitwy, nawet chaos, w którym się lubują. Uwielbiam Ateny, miłość dla tego miasta mam w kościach i w łonie. Nie potrafiłabym... tak po prostu odejść, żeby żyć gdziekolwiek, w jakimś innym miejscu. Cokolwiek się stanie, Ateńczycy tutaj wrócą, żeby odbudować swoje miasto.

– Agarysto – powiedział Ksantyppos bardziej zdecydowanym głosem – jeżeli flota zostanie rozbita, jeżeli nasza armia nie zatrzyma Persów na lądzie, Ateny przestaną istnieć. Oni podjęli tę wyprawę, żeby dać nam krwawą nauczkę, rozumiesz? Z miasta nie pozostanie kamień na kamieniu. Jeżeli zobaczysz perskich wojowników zbliżających się od północy, jeżeli dostrzeżesz w porcie ich okręty, będziesz musiała stąd odejść razem z chłopcami i z Eleni. Obiecuj mi, że tak właśnie postąpisz. W przeciwnym wypadku nie będę mógł ruszyć na wojnę.

– Teraz skłamałeś – odparła przez łzy. Stała na palcach i pocałowała męża. Uśmiechnął się i zaczerwienił. Agarysta szerokim gestem wskazała na tłum. – Będziesz dowodził okrętami – kontynuowała – ponieważ poprosił cię o to lud. Ponieważ kochasz ten lud.

Ksantyppos chciał zaprotestować, lecz żona znów go pocałowała, powstrzymując słowa sprzeciwu.

U stóp wzgórza załogi okrętów żegnały się z rodzinami i ruszały szerokim strumieniem w stronę portu. Mężczyźni zmierzali na swoje triremy z wysoko uniesionymi głowami. Ksantyppos dostrzegł przestępującego z nogi na nogę Epikleosa, który niecierpliwił się, aby dołączyć do przyjaciela. Otarł łzę

z policzka Agarysty i pocałował ją znowu. Przytrzymała go, przyciskając głowę do jego ramienia, łaknąc w ostatniej wspólnej chwili ukojenia i bliskości.

Ksantyppos niespodziewanie się roześmiał, chociaż piekły go oczy wilgotne od słonych łez. Odsunął się od żony, po czym kolejno uściskał synów i córkę.

– Jestem z was dumny! – powiedział. Eleni otarła łzy rękawem i przytuliła się do ojca tak mocno, że na moment zabrakło mu tchu. – Jesteś prześliczna, córeczko, doskonała w swojej urodzie! Bądź teraz dobra dla mamy. Agarysto, pilnuj, żeby Eleni była bezpieczna, abym jak najmniej musiał się o was martwić.

– I tak będziesz się martwić. Będę jednak dbać o bezpieczeństwo naszych dzieci, zapewniam cię.

– Dziękuję ci. – Ksantyppos głęboko westchnął. – Wrócę, jeżeli tylko będzie to możliwe.

W końcu objął go ramieniem Epikleos i wyprowadził na drogę wiodącą do portu.

– Przyjacielu, czeka na ciebie cała flota – powiedział. Wciąż wydawał się wzruszony. – Masz wspaniałą rodzinę. Naprawdę możesz być z niej dumny.

Strateg popatrzył na młodszego towarzysza. Dostrzegł ból na jego twarzy.

– Są także twoją rodziną. Przecież wiesz...

Epikleos nie mógł już mu odpowiedzieć, ponieważ razem z tysiącami innych zaczęli biec, aby jak najszybciej znaleźć się na okrętach. Po pewnym czasie poklepał Ksantypposa po plecach. Ten gest zastąpił słowa.

Kiedy dotarli do portu, wszystkie łodzie rybackie i jednostki handlowe czekały w gotowości, aby przetransportować załogi na triery. Ksantyppos na moment pochwycił spojrzenie Temistoklesa zmierzającego na swój okręt flagowy. Sprawiał wrażenie bardzo skoncentrowanego, gdyż zdawał sobie sprawę, jak trudna będzie najbliższa przyszłość. Uśmiechnął się jednak, rozpoznawszy go w tłumie. Po chwili stracili się z oczu.

– W jakiejś mierze rozkoszuję się tą sytuacją – stwierdził Epikleos.

Ksantyppos pokręcił głową.

– Proszę cię. Proszę, akurat dzisiaj nie złość bogów.

Epikleos się roześmiał, ulegając prośbie przyjaciela. Triera, którą miał popłynąć na spotkanie Persom, kołysała się na wodzie niedaleko brzegu, długa i szara w porannym słońcu.

– Chodziło mi o to, że wreszcie skończyły się wszystkie komplikacje, nie rozumiesz? Koniec z polityką. Arystydes koncentruje armię lądową. Ty i ja wyruszamy na spotkanie wroga na morzu, ponieważ mamy dość odwagi i woli, żeby się z nim zmierzyć. W tej chwili nic innego się nie liczy. Ta nagła prostota... wręcz podnosi mnie na duchu.

– Jesteś szalony – odparł Ksantyppos. – A ja jestem bardzo zadowolony, że mam cię przy sobie.

– Nie wydaje mi się, abyś poza mną miał jeszcze przyjaciół – zauważył Epikleos z uśmiechem.

Strateg posłał mu zaskoczone spojrzenie.

39

Kserkses leżał na długiej sofie z zamkniętymi oczami. Czuł ogromną ulgę, że wreszcie ma twardy grunt pod nogami. Aż dotąd nie wyobrażał sobie, jakim luksusem może być zwyczajne opuszczenie okrętu, na którym królewska kabina kołysała się praktycznie bez przerwy, o każdej porze dnia i nocy, ani na moment nie przyjmując stabilnej pozycji. Nie pamiętał, kiedy ostatnio spał dłużej niż kilka godzin. We śnie znowu odniósł wrażenie, że się kołysze. Nagle ocknął się z narkotycznej drzemki i usiadł.

Jego pawilon stanowił oazę czystości i spokoju, całkowicie oddzieloną od reszty świata. Niewolnicy dyskretnie palili kadzidła i czekali z talerzami pełnymi owoców zebranych nie wiadomo gdzie. Może to Mardoniusz przywiózł mu owoce w podarunku.

Otworzył oczy i popatrzył na wodza swoich armii. Mardoniusz miał długą brodę ułożoną w wąskie czarne pukle spięte złotą klamrą. Przypominała królowi skórę wydry. Znowu poczuł rozkoszny dreszcz, pomyślawszy o wyzwaniach kampanii. Bezpieczny w swoich pałacach pragnął, aby takich działań było w jego życiu jak najwięcej. Nie wiedział wówczas, że rozkołysane morze potrafi zgotować żeglarzom długie dni pełne udręki, naznaczone bezustannymi wymiotami i biegunkami; nie zdawał sobie sprawy, jak trudno jest zachować czystość na okrętach, jak ważna jest niekończąca się praca niewolników wyznaczonych do sprzątnięcia. Westchnął. Wcześniej nie miał pojęcia o tysiącach rzeczy, których teraz doświadczył w niedługim czasie. Nie wiedział, jak często cała flota musi się zatrzymywać, żeby uzupełniać zapasy wody pitnej; jego

okręty praktycznie pełzły wzdłuż wybrzeża, od jednego strumienia do drugiego. Z tego powodu kampania nie była gwałtownym najazdem, jak to sobie wyobrażał, jednakże alternatywą dla ślamazarnego tempa żeglugi była śmierć wielu ludzi – przynajmniej tak go poinformowano. Wydawało się, że niewolnikom przy wiosłach wystarczą minimalne racje żywności, a tymczasem co dzień potrzebowali mnóstwa wody. Mimo że ją otrzymywali, często życie w nich gasło z powodu nadmiernego wysiłku i trzeba było zwłoki wyrzucać za burtę. Właściwie każdy dzień rozpoczynano od tej czynności. Ciała unosiły się na wodzie i te wyrzucone z pierwszych okrętów były widoczne dla ludzi płynących ich śladem. Kserksesowi opowiadano, że rozrywały je małe rekiny, zjadłością przypominające wygłodniałe psy atakujące jelenie.

Uznał, że zbyt daleko odbiega myślami od rzeczywistości, dlatego głośno odchrząknął. Mardoniusz podniósł głowę, gdyż do tej pory z szacunku dla króla wpatrywał się w ziemię.

– Jestem gotów wysłuchać twojego raportu, wodzu.

– Wasza Wysokość, w tej chwili nie mam do zakomunikowania nic istotnego. Jak wiesz, w walkach w Macedonii straciliśmy ludzi. Od tego czasu w ciągu ostatnich dni trzech żołnierzy zmarło z powodu odniesionych ran. Kilka tuzinów powiesiłem za gwałty i grabieże, ale ten ubytek absolutnie nie wpłynie na naszą siłę.

Zawahał się, niepewny, czy powinien mówić królowi o dezercjach. Nie dało się ich uniknąć. Wśród setek tysięcy ludzi prowadzonych przez obcą ziemię zawsze znajdują się jednostki, które zechcą poszukać własnej drogi. Pokus dookoła było wiele: chociażby samotne bogate wille albo śliczne dziewczęta o zalotnych spojrzeniach, od których roiło się na miejskich rynkach. Poza Nieśmiertelnymi i najważniejszymi dowódcami ludzie Mardoniusza byli w większości prostakami. Mógłby snuć przed królem tysiące opowieści o oddziałach maszerujących przez wiele dni w złym kierunku albo o takich, które zgubiły jedyną mapę wskazującą drogę do składu żywności, czy też o takich, które w pijackim amoku wyrzucały prowiant podczas marszu. Prawdą było, że wojska znajdowały się w ciągłym

ruchu. Mardoniusz nie przypuszczał, by władcę interesowały związane z tym kłopoty.

– Wasza Wysokość, twoja armia jest sprawna i silna. W tej chwili rozciągnęła się na długości setek mil. Wszyscy żołnierze są ci równie oddani jak ja. Dotrzemy na miejsce przeznaczenia równo z flotą.

Mardoniusz znów pochylił głowę, zastanawiając się, jak długo jeszcze będzie musiał trwać przy sennym królu. Bolały go plecy, a w jednym z palców zbierała mu się ropa, ponieważ głęboko ukłuł się kawałkiem żelaza. Musiał pilnie oczyścić ranę. Pulsowała i sprawiała mu coraz większy ból. A ponieważ chodziło o prawą rękę, cierpiał niemal przy każdej czynności. Czuł pot zbierający mu się nad brwiami. Siedział tu już bardzo długo, zmarnował przy synu Dariusza cały poranek. Stary król nigdy nie odurzałby się mleczkiem makowym w czasie kampanii, nieważne, jak byłby zmęczony czy obolały. Mardoniusz starannie skrywał niesmak, jaki odczuwał wobec tego młodzieńca, który chyba znowu tracił kontakt z rzeczywistością. Kserkses nie był żeglarzem, wszyscy już się o tym przekonali. Nalegał, aby flota i armia poruszały się w zasięgu swego wzroku, nie bacząc na ukształtowanie terenu i warunki na morzu. Wódz uważał, że to z winy młodego króla stracono już ponad sto okrętów, gdyż nie wyraził zgody, aby wpływano do bezpiecznych zatok, kiedy zaczynał szaleć sztorm. A wszystko dlatego, że armia na lądzie wysforowałaby się wtedy zbyt daleko przed flotą. Mardoniusz stłumił drżenie. Wciąż miał w pamięci intensywny marsz i zwiadowców krążących w obie strony, zajeżdżających bezcenne konie, żeby wiadomości co chwilę trafiały do królewskiej floty. Bezustannie tracił ludzi, którzy nie wytrzymywali forsownego marszu albo po prostu odmawiali zajęcia miejsca w szeregu. Plamił ziemię, po której szedł, krwią własnych żołnierzy, bo nie miał czasu na słabość. Ich życie, podobnie jak jego własne, należało do wielkiego króla. Mardoniusz mógł tylko się modlić, by nie popaść w niełaskę i samemu nie zasłużyć na nagłą śmierć, bo było oczywiste, że jego los zależy od kaprysu Kserksesa i jego lizusów. Zginąć mógł w każdej chwili, na długo przed spotkaniem z Grekami.

– Czy morale ludzi wzrośnie, jeżeli osobiście przeprowadzę wśród nich inspekcję? – zapytał Kserkses, nagle otworzywszy oczy.

Mardoniusz wzruszył ramionami, aby ukryć przerażenie, ale na szczęście władca na niego nie patrzył. Znow zaległ na sofie i bezmyślnie się wpatrywał w furkoczący mu nad głową płócienny daszek. Wódz uznał jednak, że nie wolno mu zignorować królewskiego pytania.

– Wasza Wysokość, żołnierze są wymęczeni i brudni po długim marszu. Uważam, jeśli się zgodzisz, że powinni okazać ci swe oddanie, przelewając krew wrogów. Bóg uśmiecha się do nas, panie! Jesteśmy na ziemi Greków, a ich miasta stoją przed nami otworem, wręcz czekają, aż je splądrujemy. Wszyscy stoimy w cieniu, jaki rzuca twój blask, Wasza Wysokość, i to jest wspaniałe.

Król przez długi czas nie odpowiadał, a Mardoniusz zamilkł i czekał. Inspekcja mogłaby opóźnić marsz o tydzień, a może jeszcze dłużej. Tyle czasu byłoby potrzeba na przygotowanie parady, przebranie ludzi i zmycie z nich największego brudu. Modlił się w duchu, aby młodzieniec porzucił niedorzeczny pomysł.

– Jestem... uradowany, Mardoniuszu, słysząc twoje słowa – powiedział wreszcie ten rozmarzonym głosem. – Uradowany, że tutaj przebywam, niemal u celu, po długiej podróży. Jak daleko jeszcze do Aten?

Wódz odchrząknął. Palec pulsował mu w rytmie bicia serca i straszliwie bolał. Chciał otrzeć pot znad brwi, lecz za nic w świecie nie zamierzał wzbudzać w królu podejrzania, że jest zdenerwowany.

– Zwiadowcy donoszą, że za cztery dni dotrzemy do łańcucha górskiego. Oczywiście znajdziemy przełęcz. Mam informacje, że Ateny znajdują się w odległości trzech lub czterech dni marszu po drugiej stronie gór.

Kserkses usiadł, a jego wzrok się wyostrzył.

– Tak blisko? Naprawdę? Widzieliście już ich wojska?

– Tylko zwiadowców ze Sparty, Wasza Wysokość. Czasami pojawiają się w polu widzenia i nas obserwują. Wysłałem za nimi łuczników, ale na razie nikogo nie ustrzelili.

– To nie ma znaczenia. – Kserkses machnął ręką. – Niech patrzą i niech się mnie boją. Wzgardzili moim wysłannikiem i moją ofertą, żeby zostali moimi poddanymi. Zapewne teraz, kiedy moja armia nieubłaganie zmierza w ich stronę, tego żałują! – Wstał i przez chwilę chwiał się na nogach.

Mardoniusz z przerażenia oblał się zimnym potem. Jeżeli przez narkotyk władca zemdleje, jemu nie będzie wolno go dotknąć, nie będzie mógł go nawet złapać, gdy będzie padał na ziemię. Z kolei jeśli będzie po prostu stał i patrzył, jak król się przewraca, zapłaci za to życiem. Postanowił natychmiast paść przed nim plackiem.

Na szczęście katastrofa nie nastąpiła. Król się roześmiał, pogrążony w swoich marzeniach.

– Nie krzywdź ich zwiadowców, Mardoniuszu. Niech plotą o mnie swoim władcom, co tylko zechcą. Pragnę, żeby wiedzieli, że się zbliżamy, i żeby się bali. Teraz wracam na mój okręt, a ty udasz się z powrotem do żołnierzy. Miej okręty w zasięgu wzroku. Zmieciemy ich... – Machnął ręką z frustracją, nie potrafiąc znaleźć właściwych słów. Dlatego tylko zaklaskał. Nagle zapałał żądzą zemsty, skrzywił się, obnażając małe białe zęby. – Nie, zmiażdżymy ich, weźmiemy w kleszcze pomiędzy armię na lądzie i flotę.

* * *

Król Leonidas maksymalnie przyśpieszył kroku. Czuł, że z każdą chwilą łatwiej mu maszerować, a stara rana biodra nie odzywa się już natarczywym bólem. W wieku pięćdziesięciu lat był dumny ze swojej siły i wytrzymałości, chociaż nie był głupcem i nie zaprzeczał, że upływający czas nie działa na jego korzyść. Niemniej poruszał się żwawo, a jego czerwony płaszcz łopotał na wietrze. Heloci nieśli jego tarczę, miecz i włócznię. Byli niżsi od króla i znacznie słabiej zbudowani, ale w końcu urodzili się jako przedstawiciele grupy, która wydawała tylko niewolników od zarania dziejów. Setki helotów biegły jak psy jego śladem, ze zbrojami i bronią członków jego straży.

Na czele kolumny znajdowało się trzystu spartańskich wojowników, pogrążonych we własnych myślach. Część prowadziła nad ranem ciche rozmowy, ale w miarę upływu dnia zaczynał ogarniać ich ponury nastrój, jak to zwykle przed zbliżającą się bitwą. Trudno już było o śmiechy i beztroskie pogawędki. Wszyscy widzieli przed sobą góry wyrastające ponad horyzont wszystkimi odcieniami zieleni i brązu, a po prawej stronie morze. Poprzedniego wieczoru dotarli do Platejów, po dwóch dniach marszu ze Sparty, podczas którego musieli pokonywać naturalne przeszkody w postaci głębokich przesmyków. Mieszkańcy miasta dołączyli do nich: sięgnęli po broń i zbroje, kiedy tylko Spartanie u nich się znaleźli. Na widok czerwonych płaszczy przyłączali się także inni Grecy. Leonidas obejrzał się w stronę Demofilosa z Tespiów, który przyprowadził aż siedmiuset wojowników. Sami nieśli swoje włócznie, nigdy nie pozwalali, aby ich broń dźwigali heloci. Demofilos z podziwem patrzył na spartańskiego króla, co wcale nie dziwiło. Leonidas nie powiedział mu, co czeka jego ludzi, nie poinformował go też, że armia Sparty nie dołączy już do nich w większej liczbie. Król zaciskał pięść w marszu, pokonując kolejne stadiony. Z trudem odsuwał od siebie ponure myśli.

Kapłani sprawili, że niemal złamał słowo, które jego brat dał Ateńczykom. Kiedy powiedzieli mu, że nie może wyruszyć przeciwko Persom, dopóki w Sparcie nie zakończy się święto, Leonidas uznał, że powinien im być posłuszny, ale wpadł w wielką złość. Sama myśl o tym powodowała, że jeszcze mocniej zaciskał pięść. Prowadzenie wojny było zakazane w trakcie świąt Apollina Karnejosa. Przez całe życie Leonidas nigdy nie sprzeciwił się eforom ani nie wzgardził bogami. Sparta była suchą, niebezpieczną krainą, pozbawioną naturalnych bogactw, jakimi dysponowały inne regiony. Trwała wyłącznie dzięki życzliwości oraz błogosławieństwom Apollina i Aresa. Nikt nie miał prawa przeciwstawiać się bogom słońca i wojny, ponieważ zawsze prowadziło to do ogromu nieszczęść.

Ale usłyszawszy żądanie kapłanów, Leonidas przez długą chwilę stał bez ruchu, a pochodnie skwierczały i posykiwały za jego plecami. Przywykł do

podejmowania ważnych decyzji. Dał słowo bratu, a takie słowo miało moc przysięgi. Obiecał mu, że Spartanie staną do walki u boku Ateńczyków, chociaż sam gardził Grekami z Aten, uważając ich za zniewieściałe dziwki. Mimo wszystko nie chciał, żeby nadaremnie przelali krew w wojnie z Persami. A tymczasem zakazano mu dotrzymać przysięgi i zabrać dziesięć tysięcy wojowników wraz z ich helotami na pole bitwy. Miał odczekać jeszcze trzy dni, aż nawała perska dotrze do pasma górskiego, gdzie będzie można ją zatrzymać.

Gdy zdesperowany i rozdrażniony stał zupełnie nieruchomo, podszedł do niego kapłan i dotknął jego ramienia. Król poczuł chłód kościstej dłoni starca i nagle przypomniał sobie o czymś, o czym wielu już dawno zapomniało.

Przed laty, kiedy został królem po śmierci starszego brata, Leonidas udał się do wyroczni w Delfach. Przebył Zatokę Koryncką małą łodzią, aby w samotności się dowiedzieć, jak będą wyglądać jego rządy. Pamiętał, że kapłanka siedziała nad rozpadliną, z której jak dym z kadzidła unosił się oddech śpiącego Apollina. Była piękna, chociaż jej wzrok był straszliwy i pełen bóleści, niczym u osoby, która w życiu widziała już zbyt wiele.

Zapowiedziała, że pewnego dnia w dalekiej przyszłości Leonidas stanie przed okrutnym wyborem. Będzie musiał wybrać pomiędzy zagładą Sparty a własną śmiercią.

Uśmiechnął się teraz, przypomniawszy sobie jej zaskoczenie, gdy po tych słowach się roześmiał. Był wtedy taki młody! Tak pewien swojej siły. Obawiał się, że wyrocznia objawi mu jakąś większą katastrofę, wypowie skomplikowaną przepowiednię ostrzegającą przed zdradą lub utratą honoru. Tymczasem postawiła go przed wyborem, do którego zawsze był przygotowany. Zginać, żeby ocalić Spartę? Zbył ten dylemat wzruszeniem ramion. Sparta zawsze była dla niego ważniejsza od własnego życia.

Kiedy kapłan dotknął jego obnażonego ramienia, zrozumiał, że właśnie zbliża się przeznaczenie, o którym usłyszał w Delfach. Z cichą godnością podziękował starcowi i ukląkł przed nim, aby przyjąć błogosławieństwo. Wstawszy, przywołał swoją trzystuosobową straż. Byli periojkami, wojownikami, którzy

zamieszkiwali wokół Sparty, jednak nie stanowili jej elity. Jako członkowie jego straży nie podlegali eforom. Zmarszczył czoło, kiedy pomyślał o kolejnym tysiącu ludzi, którzy odpowiedzieli na jego wezwanie. Byli mu winni lojalność aż po grób. Czy naruszył swoją przysięgę? Nie, tego był pewien. Mężczyźni, którzy opuścili razem z nim Spartę, pochodzili z Peloponezu, lecz nie byli Spartanami. Z helotami i z tymi, którzy dołączyli do niego w Platejach i w Tespiach, dysponował sześcioma tysiącami wojowników zmierzających teraz w stronę gór.

Gdy teren przy wybrzeżu się obniżył, Leonidas dostrzegł na wodzie galery prowadzone przez spartańskie okręty z charakterystycznymi czerwonymi żaglami. Trier było więcej, niż się spodziewał. Wiedział, że Eurybiades jest dobrym dowódcą. Odwrócił głowę i gwizdnął na podążających za nim helotów, po czym zawołał po imieniu tego, który akurat był mu potrzebny. Dromeas wydawał się urodzonym biegaczem, uwielbiał wolność, której doświadczał w biegu. Miał około dwudziestu lat, a w jego czarnym zaroście widniała postrzępiona rana. To dzięki niej znalazł się w grupie helotów Leonidasa. Dromeas pokonał na ćwiczeniach trzech młodych Spartan, a oni z zemsty ciężko go pobili i zadali mu ranę ciągnącą się od czoła po policzek. Król zaproponował mu miejsce w swojej świcie, jeśli zdoła jeszcze raz okazać swoją wyższość nad tamtymi chłopakami. Chociaż po jego piersiach spływała krew aż na uda, Dromeas zebrał wszystkie siły i po raz drugi tamtego dnia pokonał całą trójkę. Dwaj odeszli w niesławie, jeden dołączył do periojków, a drugi do rodziny w Koryncie. A Dromeas od tego czasu biegał na polecenie króla, który doceniał jego umiejętności i determinację.

Klepnął Dromeasa w ramię, kiedy młodzieniec do niego podbiegł.

– Mam dla ciebie zadanie, Biegaczu – powiedział.

Zapewne ktoś inny uznałby za zniewagę używanie wobec niego przezwiska. Dromeas był jednak dumny z przydomka. A za Leonidasa gotów był oddać życie.

– Biegnij na brzeg i znajdź łódź rybacką lub cokolwiek, co pomoże ci dotrzeć do floty. Podpłyn do okrętów z czerwonymi żaglami i zapytaj o Eurybiadesa. Moja wiadomość jest przeznaczona dla niego.

– Czerwone żagle. Eurybiades – powtórzył Dromeas. Zaczął oddychać powoli i głęboko, już przygotowując się do biegu. Był o wiele szczuplejszy od wojowników, spod wątlých mięśni przebijały kości.

– Powiedz mu: „Leonidas utrzyma przesmyk”. To wszystko.

Dromeas nie czekał na sygnał króla, ruszył natychmiast. Jego bosc stopy wzbijały obłoczki kurzu. Król pokiwał głową. Każdy z jego helotów był nadzwyczajny. Dobrał ich starannie i był pewien, że żaden z nich nie opuści go nawet w najbardziej krwawej bitwie.

Ci, którzy mu tego dnia towarzyszyli, wiedzieli, że jest królem, który pierwszy staje do walki, nie traci głowy ani w głębokim kryzysie, ani w czasie wojny. Nie zdawali sobie jednak sprawy, że Leonidas maszeruje ku swojej śmierci. Nie zamierzał jej unikać, bo od dawna wiedział, że to kiedyś nastąpi. Dał kapłanom czas, o który poprosili, aby godnie uhonorować Apollina, po czym zebrał armię.

Poczuł ukłucie w sercu na myśl, że już nigdy więcej nie poprowadzi dziesięcioletniej armii Sparty, która nie ma sobie równej na świecie. Ale ta armia stanie przeciwko Persom z jego imieniem na ustach. I go pomści. Uśmiechnął się. Powietrze było słodkie i czyste. Słońce świeciło wysoko na błękitnym niebie. Był piękny, dobry dzień.

40

Morze było spokojne, na okrętach postawiono żagle, żeby odpłynąć od przylądka. W minionych tygodniach Ksantyppos prowadził na morzu intensywne ćwiczenia. Pod jego bacznym spojrzeniem marynarze szkolili się aż do wyczerpania, wielokrotnie powtarzając te same czynności. Szkolenie poprawiało sprawność zarówno wioślarzy, jak i hoplitów. Bywało, że kazał hoplitom zajmować miejsca na ławach wioślarzy, aby zyskali pojęcie, jak wyczerpująca jest to praca. Po wiosłowaniu, które odbierało im oddech i przez długie dni przypominało o sobie bólem mięśni, nigdy więcej nie narzekali, że triera płynie zbyt powoli. Z kolei wolni wioślarze nie mieli nic przeciwko ćwiczeniom z tarczami i mieczami. Jeśli wróg wtargnie na okręt, będą musieli przecież walczyć.

Kiedy wracali do Aten, Ksantyppos organizował biegi wokół miasta, w których jego ludzie rywalizowali z hoplitami ćwiczącymi na łądzie z Arystydesem. Stopniowo zmagania stawały się coraz poważniejsze. Przez jakiś czas armia lądowa była górą, lecz marynarze z czasem zyskiwali na sprawności i różnica malała. Tydzień wcześniej siły były wyrównane, ale wtedy Kimon pierwszy przebiegł linię mety z czterdziestoma marynarzami. Ta wygrana nie była błahostką. Ksantyppos przyjął laur zwycięzcy z rąk Arystydesa, a następnie przy akompaniamencie wiwatów załóg zawiesił go na szyi Kimona.

Pod pełnymi żaglami flota imponowała liczebnością, tnąc morskie fale z głośnym sykiem wody, rozbijanej dziobami okrętów. Załogi bezustannie manewrowały żaglami, łapiąc w nie wiatr. Triery nie były wtedy tak szybkie, jak

gdy napędzali je wiosłarze, ale oni nie narzekali, odpoczywali jak zgonione psy myśliwskie. Odkąd Ksantyppos wrócił z wygnania, karmiono ich lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Pilnował, aby jedli jaja i mięso, żeby popijali winem, rzadkością były teraz posiłki złożone tylko z fasoli i innych roślin strączkowych, jakie serwowano im jeszcze niedawno. Wystarczyło kilka tygodni, aby dobre odżywianie uwidoczniło się w ich mięśniach i zdrowiu.

Byli wolnymi obywatelami Aten, przyjmowali władzę zgromadzenia w obecnych zmaganiach o najwyższą stawkę. Każdy pracował w taki sposób, aby sąsiad na ławce nie musiał przejmować za niego nadmiernego ciężaru. Niemal wszyscy zostawili w mieście rodziców, żony i dzieci, których los zależał teraz od nich. Ksantyppos widział tę świadomość w ich oczach i ich postawa go inspirowała. Był dumny, że wspólnemu wrogowi przeciwstawi się razem z nimi.

Późnym popołudniem Temistokles zarządził, aby wysunięto wiosła. Opuszczono żagle i umieszczono je pod pokładami, po czym rozległy się dźwięki werbli. Na pustych pokładach ułożono maszty, zwolniwszy zabezpieczające je wielkie haki, a następnie długie sosnowe drzewce opuszczono pod pokład, wprost w ramiona wiosłarzy. Na niektórych okrętach maszt przytwierdzano do desek pokładu za pomocą żelaznych obejm i lin, zazwyczaj wzdłuż jednej z burt.

Ta przemiana zawsze wywoływała u Ksantypposa szybsze bicie serca. Kiedy okręt płynął pod żaglami, wiosła ułożone były pod pokładem wzdłuż burt, przywodząc na myśl stare kości. Wiosłarze, pracujący na trzech poziomach, byli bardzo sprawni, dlatego gdy padał rozkaz, szybko chwyтали za wiosła, po czym wysuwali je przez otwory w burtach. Ich sprawność była efektem długich ćwiczeń. Po zwinięciu żagli okręt na krótko zatrzymywał się na wodzie, smętny i bezradny, a potem nagle ożywał, kiedy wybielone przez słońce wiosła opadały na fale. Już pierwsze regularne ruchy dowodziły wielkich umiejętności wiosłarzy, wykształconych przez długie miesiące i lata. Pracowali w doskonałej harmonii, a gdy któryś zawodził – czy to z powodu pijaństwa, czy lekkomyślności – ryzykował, że w nocy towarzysze go pobiją, a może i wyrzucą za burtę, gdy czuwać będzie jedynie nocna wachta. Ich zadaniem było wiosłowanie w tempie

zgodnym z rozkazami. Potrafili też wiosłować przy jednej burcie do tyłu, podczas gdy ci z drugiej burty wiosłowali do przodu; dzięki temu okręt mógł wykonywać zwroty niemal w miejscu. Widzieli tylko fale przez niewielkie otwory w burtach, musieli więc darzyć pełnym zaufaniem dowódców, którzy stali na pokładzie i wykrzykiwali rozkazy do keleustesa. I tylko ten jeden człowiek, stojąc w taki sposób, że ramiona i głowę miał ponad pokładem, jednocześnie obserwował wiosłarzy poniżej i był w pełni zorientowany, w jakiej sytuacji znajduje się okręt. Ludzie na dole musieli ufać w słuszność rozkazów, pracując z wielkim oddaniem, w pocie czoła.

Okręt flagowy Temistoklesa unosił na wysokim dziobie, niby długi język, flagę, na której widniała sowa. Ksantyppos dostrzegł, że właśnie w tym kierunku spogląda jego trierarcha. On także oczekiwał wskazówek i rozkazów, gdyż słońce powoli zaczynało znikać za horyzontem.

Kiedy wódz zboczył z głównego kursu, strateg poczuł na sobie wzrok trierarchy i pokiwał głową. Tamten, po ich jedynym starciu, do którego doszło na tym pokładzie, już więcej nie sprawiał mu kłopotów. Flota jednocześnie zwolniła o połowę i użyto rumpli na rufie, aby wykonać łagodny skręt w stronę wybrzeża.

Minęli przylądek i wpłynęli na wody, gdzie fale układały się inaczej, mocno kołysząc okrętami. Najbliższa obszerna plaża, gdzie można było przybić, znajdowała się w pobliżu Maratonu i Ksantyppos przypuszczał, że właśnie tam Temistokles poprowadzi eskadrę. Osłaniała ją wielka mierzeja, na której leżała Eretria. Temistokles popłynął trochę dalej, chcąc dotrzeć do miejsca, które żeglarze doskonale znali, ponieważ właśnie tam przybijali już dziesiątki razy. Mieli na pokładach beczułki pełne wina, strateg przypuszczał więc, że po prostu zatrzymają się na noc w zatoce.

Nie szkodziło przypomnieć marynarzom o odniesionym tutaj zwycięstwie, bo nie uczestniczyła w nim większość dowódców, którzy znajdowali się teraz na statkach. Istotne było również to, że zatoka zapewniała bezpieczeństwo w czasie burz. Jednak pewne zagrożenie dla okrętów zawsze istniało, nawet na spokojnych wodach. Każdy żeglarz wiedział o gwałtownych podmuchach, które kładły galery

na boku i wyrzucały ludzi za burty. Zapobiec temu mogło tylko odpowiednie wyważenie okrętów oraz umiejętności i doświadczenie dowódców potrafiących prawidłowo odczytywać ruchy morza.

Czym innym była nadzwyczajna prędkość pozwalająca rozbić taranem inny okręt, którą osiągnęto dzięki trzem rzędom wiosł na obu burtach napędzających okręt tak, że gnał na falach niczym koń na wyścigach. Żaden żagiel nie mógł nadać trierze takiej prędkości, jaką zyskiwała dzięki wiosłom.

Spartańskie jednostki reagowały na rozkazy tak szybko i precyzyjnie, jak Ksantyppos się po nich spodziewał. Wiedział, że z pokładu okrętu flagowego Temistoklesa wszystko obserwuje Eurybiades i pilnuje, aby jego ludzie działali sprawniej od pozostałych Greków. Nauarcha przez cały dzień przyglądał się ćwiczeniom stratega i jego trierarchów, którzy przekazywali sobie sygnały za pomocą rozmaitych kolorowych flag. Ksantyppos wciąż nie był pewien, czy Spartanin będzie je respektował w gorączce bitwy. Miał nadzieję, że tak. Spartanie stanowili straż przednią floty, mieli wchodzić do walki pierwsi. Za nimi w uporządkowanej formacji płynęły triery ateńskie, a te z Koryntu i z pozostałych miast-państw przymierza zabezpieczały tyły. W sumie na morzu znajdowało się trzysta greckich okrętów. Ksantyppos z trudem uświadamiał sobie, ilu wioślarzy i hoplitów znajduje się na ich pokładach oraz jak wiele pracy i pieniędzy kosztowało ich zbudowanie. Triery były świadectwem bogactwa Hellady, jej drewnianym murem.

Flota rzuciła kotwice blisko brzegu, niemal na przedłużeniu równiny maratońskiej. Trochę nieprzyjemna była świadomość, że Temistokles wybrał to miejsce z tych samych powodów, które wiele lat temu skłoniły do zakotwiczenia tutaj Persów. Strateg pomyślał, że można było popłynąć trochę dalej, ale dla okrętów najlepszy był właśnie ten fragment wybrzeża.

– Zejdziemy na brzeg? – zapytał Epikleos.

Wygramolił się z niewielkiego legowiska pod pokładem na dźwięk rzuconej kotwicy. Ksantyppos pokręcił głową. Nie chciał o tym rozmawiać w sytuacji, gdy wiele osób mogło to usłyszeć. Prawda była taka, że Temistokles wydał tajny

zakaz opuszczania pokładów już poprzedniej nocy. Rozczarowanym ludziom chwilami puszczały nerwy z tego powodu, lecz nie wpływało to na ich przygotowanie do walki ani nie podważało ich lojalności. Załogi pożegnały się już z najbliższymi. Teraz zaczynały realizować wielką misję. Gdyby zaś pozwolono im spędzić noc w pobliżu miasta, z pewnością – Ksantyppos podzielał w tej kwestii zdanie Temistoklesa – część z nich nie wróciłaby nad ranem na okręty.

– Nie tej nocy – odparł. – Temistokles... chce, żebyśmy się przyzwyczaili do nocowania na pokładzie. Od teraz nikt nie będzie schodził na brzeg. – Popatrzył ostro na przyjaciela, a jeśli Epikleos podejrzewał, że Ksantyppos nie powiedział mu wszystkiego, przemilczał to.

– Będziemy prowadzić nocne ćwiczenia? – zapytał.

Strateg znowu pokręcił głową.

– Chyba nie. Może Temistokles i Eurybiades... nie. To nie jest dobry czas na manewry.

Był świadomy, że w jego słowa wsłuchuje się wiele uszu. Ludzie łaknęli choćby strzępów informacji. Małe łodzie zaczęły pływać pomiędzy trierami, przewożąc dowódców i zapasy. Wiedział, że cokolwiek powie, błyskawicznie rozniesie się po całej flocie.

– Jeśli plany się nie zmieniają, popłyniemy teraz na północ i będziemy płynąć tak długo, aż spotkamy Persów. Zatrzymamy ich na naszych wodach. Nasi trierarchowie znają swoje okręty i załogi. Potrafią posługiwać się sygnalizacją flagową i ustawiać triery we właściwe formacje. Ich umiejętność prowadzenia walki na morzu doprowadziliśmy do zabójczej perfekcji. Wróg nie wie, że mamy wystarczająco dużo okrętów, aby całą jego flotę posłać na dno. Dobrze to zapamiętaj, Epikleosie. Niech bogowie dopilnują, aby Persowie jeszcze przez jakiś czas nie przejrzeni na oczy.

Przyjaciel odrobinę zbladł, ale pokiwał głową. Wojenna rzeczywistość szybko zaczynała ich dopadać i nieuchronnie wytrącała żeglarzy z codziennej rutyny. Na pokładach trzystu okrętów szykowano właśnie kolację, która miała się składać

wyłącznie z zimnej, kleistej papki warzywno-mięsnej. Przebywało na nich, rozproszonych wzdłuż wybrzeża Attyki, około siedemdziesięciu tysięcy mężczyzn. Ksantyppos i Epikleos poczuli, jak ich okręt naprężył linę kotwicy i nieruchomiejąc niczym koń, któremu ściągnięto wodze.

Okręty kotwiczyły tak blisko siebie, że rozpoznawali twarze poszczególnych mężczyzn na pokładach. Po wielu długich dniach wspólnych ćwiczeń prawie wszyscy dobrze się znali. Unosili ramiona, pozdrawiając się nawzajem lub salutując, lecz z pokładów nie docierały już śmiechy ani żartobliwe przytyki będące solą żeglarskiego życia, szczególnie o tej porze, kiedy przychodził czas odpoczynku. Wszyscy wiedzieli, co ich wkrótce czeka, ale nie czuli się jeszcze na to przygotowani. Uczestniczyli we wspólnych manewrach, razem się pocili i głośno przeklinali. Ale to, co najgorsze i najtrudniejsze, było dopiero przed nimi. Zdawali sobie sprawę, że razem będą także przelewać krew i ginąć. Będą zatapiać okręty wroga, zabijać i zwyciężać albo przyjdzie czas, że stracą wszystko, co się dla nich liczy. Łączyło ich dziwne braterstwo. Stojąc na pokładzie, Ksantyppos po raz kolejny zapragnął, aby na burcie zainstalowano poręcz, której mógłby się chwycić i w ten sposób powstrzymać drżenie rąk.

41

Okręt flagowy był zdecydowanie największą jednostką, jaką Kserkses sprowadził na greckie wody. Wcześniej nie wiedział jednak, jak powolny się okaże w trakcie żeglugi. Każdy dzień kończył jako ostatni w szyku, mimo że kilku niewolnych wioślarzy straciło życie, szaleńczo pracując, żeby okręt króla nie zostawał w tyle.

Ale było tutaj w miarę wygodnie. Władca przechadzał się po pokładzie, na którym nieustającą wartość pełnili Nieśmiertelni zwrócenii twarzami w stronę morza. Okręt flagowy unosił się na falach znacznie wyżej od większości fenickich trier. Mocniej się przez to kołysał, lecz nabierał mniej wody i trudno było sobie wyobrazić, że mogłaby mu zagrozić nawet bardzo wysoka fala. A jednak Kserkses się bał. Sen na pokładzie wciąż przychodził do niego z wielkim trudem. Drewniane okręty jakby żyły własnym życiem, bezustannie wydawały jakieś odgłosy, no i pozostawały w bezustannym ruchu. W ładowniach wieziono konie i wiele innych żywych zwierząt, które stanowiły źródło świeżego mięsa. Wszystkie rżały, jęczały i popiskiwały w nocy, przez co król budził się co chwilę, zazwyczaj zlany zimnym potem. Dziesiątki razy wybudzał się z koszmarów, dlatego o świcie zazwyczaj przechadzał się po pokładzie, szczelnie owinięty płaszczem, popijając gorący ziołowy napar. Pomagało mu tylko opium, lecz zaledwie na krótki czas, ponieważ później to właśnie ono wywoływało kolejne koszmary, chorobę morską i wymioty. Decydował się sypiać na brzegu, zawsze kiedy pobliski teren wydawał się bezpieczny. Wciąż pamiętał pewną

doskonale położoną jaskinię w Macedonii. Z lądu nie prowadziła do niej żadna droga. Przespał tam całą noc głębokim snem, spokojnie jak dziecko.

Pokręcił głową. Taka była rzeczywistość kampanii: sól po wodzie morskiej wysychającej na skórze, pachnące olejki, które nie były w stanie niwelować smrodu potu i kału, długa broda, która najpierw rosła swobodnie i którą pośpiesznie ścinał, kiedy w końcu zaczynała go swędzieć pod nią skóra. Na pokładzie brakowało luksusów, co zmuszało go do myślenia o bardziej poważnych sprawach. W tej chwili kilka małych łodzi zmierzało do jego okrętu. Łodzie przeważnie płynęły puste, holowane na linach za najważniejszymi trierami, a czasami wykorzystywano je do przewożenia pasażerów lub wiadomości.

Obserwował, jak załoga rzuca z pokładu liny, a pasażerowie je chwytają i czekają na najlepszy moment, aby wspiąć się na rozkołysany okręt. W normalnych okolicznościach na pewno nie witałyby ich osobiście. Król miał przecież służbę, której zadaniem było chronienie go i pełnienie roli jego tarczy w każdej sytuacji. Kserkses z pewną satysfakcją popatrzył na przerażoną twarz swojego wezyra. Machnął ręką, dając znak, żeby odpuścił sobie ceremoniał. W końcu okręt królewski wchodził w skład floty wojennej i nie mogło uwłaczać godności władcy osobiste powitanie na pokładzie najważniejszych wodzów.

Pierwszy na pokład wskoczył Mardoniusz, a zaraz za nim przedostało się kilku innych. Wzdłuż burt rozmieszczono fenickie tarcze, za którymi można było się kryć w czasie bitwy. Wejście na pokład umożliwiwały jedynie dwa wąskie wyłomy pomiędzy nimi. Przybyli zbili się w ciasną grupkę, a następnie padli na twarz przed młodym królem.

Jedyna osoba, która się przed tym powstrzymała, mocno go zaintrygowała. Artemizja z Halikarnasu była Greczynką, lecz mały region, którym rządziła, stanowił satrapię Persji przynajmniej od czasów panowania jej ojca. Matka Artemizji pochodziła z Krety, a ona sama dobrze poznała Grecję w czasie podróży, które odbyła w dzieciństwie. Była jednym z najbardziej zaufanych przewodników wojsk Mardoniusza i zarazem jedyną kobietą wśród nich.

Włączyła do ich floty pięć okrętów, których załogi składały się z wolnych ludzi. Była królową, lecz i ona musiała pokłonić się Kserksesowi.

Młodzieniec pochylił się i wyciągnął do niej rękę. Artemizja uklękła, nie położyła się przed nim plackiem. Kserkses zmarszczył czoło, ale nie zareagował na tę zuchwałość w żaden inny sposób. Postanowił nie okazywać małostkowości w gronie najważniejszych wodzów. Czy ojciec postąpiłby tak samo? Nie wiedział. Wydawało mu się, że dostrzegł w oczach kobiety błysk rozbawienia, kiedy wstawała z kolan. Król wpatrywał się w nią tak długo, że w końcu odwróciła wzrok. Niezbyt pewnie się czuł w towarzystwie niezależnych kobiet, szczególnie takich, w których żyłach płynęła królewska krew i które wzbudzały szacunek wśród żeglarzy. W jego otoczeniu nie było żadnej kobiety podobnej do Artemizji i Kserkses przez chwilę się zastanawiał, co by się stało, gdyby tego wieczoru wziął ją do łóżka. Zapewne kosztowałoby go to pięć okrętów, lecz przecież stracił ich już o wiele więcej w nawałnicach i na zdradliwych podwodnych skałach.

Obserwował ją w milczeniu, a żaden z pozostałych gości nie odważył się w tym czasie odezwać. Po długiej chwili Artemizja znowu na niego spojrzała i uniosła brwi. Pomyślał, że jest ładna. Ale związek z nią mógł mu sprawić zbyt dużo problemów. Wolał kobiety bardziej uległe, po których nie musiałby się spodziewać ciosu sztyletem w oko w środku nocy. O Artemizji mówiono, że coś takiego uczyniła w przeszłości niewiernemu kochankowi. Przypomniawszy sobie o tym, Kserkses gwałtownie zamrugał, jakby pod powiekę dostało mu się ziarnko piasku. Na twarzy przybyłej znów pojawiło się rozbawienie i teraz to król odwrócił głowę. Zirytował się. Może to jej oficjalne tytuły sprawiały, że Artemizja błędnie oceniała, na co może sobie pozwolić w obecności perskiego władcy, choć była tylko służką, a on jej panem. Postanowił, że jeśli nadal będzie się zachowywać tak beztrosko, każe strażnikom ją wychłostać.

Poprowadził świtę do głównej kajuty pod pokładem. Rozciągała się od burty do burty, a od ław wioślarzy oddzielała ją gruba ściana z desek. Królewską prywatną przestrzeń osłaniały zazwyczaj ciężkie zasłony, które teraz rozsunięto,

powiększając pomieszczenie na potrzeby spotkania w dużym gronie najważniejszych dowódców. Unosił się tu odór wilgoci, ale też zapach róż, piżma i narcyzów.

Stół przytwierdzono do podłoża, żeby nie przesunął się w czasie żeglugi po wzburzonym morzu. Wodzowie i najwyżsi rangą dowódcy stanęli wzdłuż jego boków i dopiero na znak króla usiedli na przygotowanych krzesłach. Z rozkazu Kserksesa na jego okręt przybyło dzisiaj czterdziestu mężczyzn. Czuć ich było solą, potem i morskimi wodorostami, Artemizja roztaczała jednak miły kwiatowy zapach, zmieszany z jakąś inną wonią, której Kserkses nie potrafił zidentyfikować. Zauważył, że przygląda mu się badawczo, jakby go oceniała. Na własnym dworze wpadłby w furję, ale tutaj, na okręcie wojennym, jedynie zacisnął szczęki i starał się nie okazać rozdrażnienia.

– Panowie... Wasza Wysokość – zaczął. Ostatnie słowa dziwnie zabrzmiały w jego ustach. Wiedział, że Artemizja rozumie język jego ojców. Wielu Greków wspomagających Persów potrzebowało tłumaczy, którzy stali za ich plecami i szeptali im do ucha. Z tego powodu narady się ciągnęły, co irytowało Kserksesa. – Zanim odpłyniecie, przestudiujcie moje mapy, szczególnie ci, którzy nie znają tego wybrzeża. Rzuciliśmy kotwice pod osłoną wyspy Skiatos. Po jej zachodniej stronie znajduje się cieśnina o spokojnych wodach, która prowadzi dalej w głąb lądu, skręca na południe, mija Maraton, opływa przylądek i dalej droga wodna wiedzie prosto na Ateny. Mardoniuszu, przedstaw raport o postępach naszej armii na lądzie.

Wódz wstał i wszyscy odwrócili głowy w jego stronę.

– Przed nami rozpościera się pasmo gór, do którego powinniśmy się zbliżyć jutro po południu. Szybkim marszem dotrzemy na zachodni brzeg cieśniny i właśnie tuż przy brzegu przekroczymy góry. Kiedy flota skręci na południe, armia lądowa powinna znajdować się już po ich drugiej stronie. W tej chwili staramy się znaleźć wśród miejscowej ludności przewodników, którzy nas przeprowadzą.

– Możemy popatrzeć na mapę? – zapytał jeden z dowódców.

Ku irytacji Kserksesa mężczyzna odezwał się po grecku, lecz służący ruszyli bez wahania, żeby natychmiast podsunąć mu mapę. Król zmusił się, aby wspomnieć ojca. Niezależnie od nienawiści, jaką darzył Greków i całą Helladę, musiał o niej zapominać, kiedy przebywał wśród tych, którzy zdecydowali się zostać jego sprzymierzeńcami. Większość Greków wciąż się przed nim ukrywała, dygocząc z przerażenia w swoich miastach-państwach i mając nadzieję, że uda im się po prostu przetrwać wielką perską nawałę. Ludzie, którzy przybyli na jego okręt – grupa mężczyzn i jedna królowa – przynajmniej postanowili mu służyć. Kserkses przyjął uroczystą przysięgę wierności od samej Artemizji, lepszym dowodem wierności były jednak jej okręty, którymi wsparła ich flotę. Znowu na nią zerknął, zastanawiając się, czy jest od niego młodsza. Jej skóra była delikatnie zarumieniona, jak u każdej młodej kobiety, lecz władczyni barwiła powieki proszkiem antymonowym i dlatego naprawdę trudno było określić jej wiek. Kserkses zapatrzył się w przestrzeń, kiedy grupa dowódców pochyliła się nad mapą, z podziwem oglądając dzieło, które kosztowało więcej złota, niż którykolwiek z nich miał szansę zobaczyć przez całe życie. Mapa była efektem pracy najlepszych kartografów i żeglarzy, obejmowała całe wybrzeże, a zaznaczono na niej każdą wysepkę i każdy strumyk wpadający do morza. Jedynie ląd miał jednolity kolor i kontynentalną część mapy przecinało tylko kilka nieprecyzyjnych linii. Jego ojciec wydał na nią ogromne kwoty jeszcze przed bitwą pod Maratonem.

– Na mapie widzicie cieśninę i drogę, którą obierzemy – potwierdził.

Przesunął po niej palcami, jak daleko zdołał sięgnąć. Papirus mocno przylegał do stołu przyciśnięty na rogach ołowianymi ciężarkami. Przez chwilę można było odnieść wrażenie, że spoglądają na świat z wysokości, niczym bogowie. Kserkses ekscytowało to uczucie, podobnie jak pełne podziwu szepty zgromadzonych.

Skinął na Mardoniusza.

– Kiedy tylko przedostaniesz się przez góry, skęcimy na południe i zrównamy się z tobą. Dotrzesz do Aten, kiedy ja z całą flotą będę opływał południowy

cypel.

– A co z flotą Greków? – zapytała Artemizja. – Ateńczycy nie pozwolą nam pływać po swoich wodach, będą stawiać opór. Oni także mają okręty, Wasza Wysokość. I nikt nie wie ile.

Kserkses uśmiechnął się do niej.

– Mamy więcej okrętów, Artemizjo. Nie boję się greckiej floty.

Zauważył, że jego odpowiedź wcale nie rozwiała jej wątpliwości. Wskazała palcem na mapę i pasmo górskie, które Mardoniusz musiał przebyć, żeby dołączyć do floty Kserksesa.

– A jeśli chodzi o te góry... – kontynuowała – na mapie nie sprawiają wrażenia tak wysokich jak w rzeczywistości. Widziałam je w dzieciństwie, kiedy podróżowałam razem z ojcem.

– Naprawdę je znasz? – zapytał Mardoniusz, zanim zdołał zareagować Kserkses.

Spojrzenia wszystkich powędrowały ku Artemizji, a ona tylko wzruszyła ramionami.

– Widziałam je raz, jako mała dziewczynka. Pamiętam potężne granie... zbyt wysokie, żeby się na nie wspinać. – Zmarszczyła czoło, szukając w pamięci. – Widziałam wiele strumieni wypływających prosto z ziemi. Ojciec powiedział mi nazwę przełęczy tuż przy wybrzeżu...

– A więc jest tam przełęcz? – naciskał Mardoniusz. – Przez którą mogłaby przejść nasza armia? – Wydawał się zadowolony, a nawet jakby spokojniejszy niż jeszcze przed chwilą.

– Tak – odparła. – Góry są ogromne i strome, schodzą tuż nad morski brzeg. Jest tam wąska plaża... kamieniste osuwisko i piasek... – Uniosła głowę, gdyż nagle przypomniała sobie tę nazwę. – Termopile. Właśnie tak nazywa się ten przesmyk.

– Tamtędy przejdę – oznajmił niespodziewanie Kserkses. – Stanę na greckiej ziemi ku chwale mojego ojca. – Zauważył, że Mardoniusz mruga ze zdziwieniem, rozważając znaczenie jego słów. Zanim zdołał zgłosić jakies

zastrzeżenia, król kontynuował: – Moja flota ma doskonałych dowódców. Nie pełnię w niej istotnej roli. Mardoniusz twierdzi, że góry są ostatnią dużą przeszkodą przed równiną, która prowadzi do Platejów i Aten, które wysłały żołnierzy pod Maraton. Wolę patrzeć, jak płoną, niż tkwić beczynnie na okręcie.

Nie dodał, że tęskni za porządnym i długim snem na stałym lądzie. Wielkie pragnienie spokojnego nocnego wypoczynku sprawiało mu niemal fizyczny ból.

Mardoniusz pochylił głowę. Jedyne ciasnota kajuty sprawiła, że nie padł przed królem plackiem na deski.

– Będzie to dla nas wielki zaszczyt, Wasza Wysokość – powiedział.

Kserkses jeszcze raz popatrzył na królową Halikarnasu. Przyglądając się mapie, Artemizja przygryzła wargę. Była pogrążona we wspomnieniach, cierpki humor całkowicie ją opuścił.

Król także pochylił głowę, zadowolony z decyzji, którą właśnie podjął.

– Poinformujcie ludzi, co postanowiliśmy – zwrócił się do wodzów i dowódców. – Bądźcie gotowi. Naprawdę wyruszamy na wielką wojnę.

42

Ksantypoos wychylił się przez dziób i przez chwilę obserwował, jak triera z sykiem tnie fale. Poprosił Temistoklesa o zgodę na wyprzedzenie wraz z dwoma innymi okrętami całej floty i trzy triery mknęły teraz samotnie po ciemnoniebieskiej wodzie. Epikleos stał tuż obok niego, ale przy drugiej burcie, mocno obejmując ramieniem wysoki rzeźbiony wspornik. Wraz z nimi wpatrywała się w dal figura Ateny z nieco cofniętymi ramionami, jakby ona także chciała się czegoś przytrzymać. W dole w fale bił brązowy taran, tworząc na powierzchni białą pianę. Żaden z mężczyzn nic nie mówił, ale ich twarze wyrażały radosne podniecenie.

Ziemia wznosiła się po obu burtach okrętu niskimi wzgórzami. Ta część cieśniny miała szerokość od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu stadionów – taką odległość można było bez trudu pokonać w trakcie porannego marszu, idąc po twardym gruncie. Grecka flota wpływała do niej przez przewężenie pod Chalkidą, w rzędach liczących zaledwie po sześć okrętów, a potem rozszerzała front na całą szerokość wielkiego kanału, szerszego od Hellespontu. Wśród marynarzy dominowało wspaniałe poczucie, że są watahą wilków tropiących ofiarę.

Płynąc po ostrym łuku w cieśninie, okręty poruszały się wolniej niż na morzu, lecz ryzyko, że zagrażą im wichury i wysokie fale, było tutaj znacznie mniejsze. Oślaniał je ląd, a poza tym otwarte wody były zbyt niebezpieczne dla okrętów wojennych. Nawet płynąc pod żaglami po w miarę spokojnym morzu, galery nabierały wody i kołysały się na falach jak kłody.

Zdaniem Ksantypposa perskie jednostki musiały być równie kruche na wodach zupełnie nieznanym ich nawigatorom, rzuconym daleko od ojczyzny i stałego lądu. On sam dopiero niedawno odkrył, że z kolei Ateńczycy są wręcz urodzonymi żeglarzami, zakochanymi w morzu i we wszelkich rzemiosłach związanych z budową okrętów. Miał nadzieję, że w decydującej chwili zadziała to na ich korzyść.

Za trzema trierami, które wysforowały się do przodu, płynęło trzysta okrętów i ponad siedemdziesiąt tysięcy wioślarzy oraz hoplitów. Kiedy spoglądał za siebie, widział na morzu jak okiem sięgnąć czerwone, niebieskie i żółte żagle. Spartanie płynęli na czele z nauarchą Eurybiadesem w roli dowódcy. Temistokles dowodził Ateńczykami. Jego oficjalnym zastępcą był Ksantyppos, a dodatkowo wspierał go Kimon wraz z dziesięcioma młodymi dowódcami. Dla tych, którzy walczyli pod Maratonem, sytuacja była dziwnym echem przeszłości. Gdyby żył Miltiades, gdyby Arystydes nie opuścił już miasta z armią lądową, mogłoby się wydawać, że wielka bitwa ma się rozegrać jeszcze raz, tym razem na morzu. Ksantyppos miał nadzieję, że zakończy się takim samym rezultatem jak lata temu! Za głównym zgrupowaniem okrętów płynęło czterdzieści trier z Koryntu i z pozostałych miast przymierza. Sparta miała zadać wrogowi pierwszy cios, szybki i bolesny, a następnie niczym wielki młot mieli spaść na Persów Ateńczycy.

Okręt Ksantypposa i dwa pozostałe, wchodzące w skład straży przedniej, wypłynęły o świcie, kiedy ostry łuk cieśniny trzeba było pokonywać z wielką uwagą. Silne prądy morskie występowały tutaj rzadko, lecz żegluga w tym miejscu wymagała doświadczonych sterników, którzy potrafili omijać zdradliwe mielizny. Na tych wodach Ksantyppos i trierarcha Erejus nawet nie próbowali podważać uwag i rozkazów rzucanych przez żeglarza na stanowisku obserwacyjnym, dwóch sterników i keleustesa, który wydawał krótkie polecenia wioślarzom pod pokładem. Gdy tuż przy prawej burcie niespodziewanie wyłoniła się wąska mierzeja, musieli wykonać gwałtowny zwrot, żeby na nią nie wpaść.

Ksantyppos wyczuł dziwne drgania pod stępką, kiedy triera natrafiła na poprzeczny prąd.

Popatrzył w dół i aż jęknął, ujrawszy w wodzie delfiny. Pływały równo z okrętem, lśniąc szare, niesamowicie zwinne. Pojawiły się niczym posłańcy Posejдона, jakby cudowny omen na najbliższe dni. Ich ruchy były do perfekcji zgrane z ruchem okrętu. Ksantyppos nie wiedział, dlaczego ich otoczyły. Może przekazywały żeglarzom błogosławieństwo bogów?

Nie oderwał od nich wzroku nawet wtedy, kiedy Epikleos, przytrzymując się jedną ręką jakiejś żerdzi, bez słowa wychylił się daleko za burzę. Delfinów było może dziesięć, dwa znacznie mniejsze od pozostałych. Gdy Ksantyppos się odwrócił, żeby powiedzieć coś do przyjaciela, jeden z największych ssaków wyskoczył wysoko ponad lustro wody. Strateg zaniemówił.

Natomiast Epikleos coś krzyczał, usiłując przebić się przez szum fal rozbijających się o dziób. On jednak znów skupił uwagę na delfinach. Kręcił głową, jakby był świadkiem czegoś nadprzyrodzonego, jakby właśnie otrzymał od bogów wiadomość, że są po jego stronie. Dla tych, którzy zmierzali na wojnę, takie doznania były... Żołądek podjechał mu do gardła, kiedy triera wypłynęła zza mierzei.

Cofnął się, mocno zacisnąwszy dłoń na skraju burty. Niemal u jego stóp wciąż płynęły i baraszkowały delfiny, ale już nie patrzył w ich stronę. Widział przed sobą morze, na którym roilo się od okrętów, z każdą chwilą widział ich więcej, rozciągały się na ogromnym obszarze. Było ich tak dużo, że zdawały się przegradzać cieśninę niczym ściana z drewna. Postawił stopę na wysokim schodku przeznaczonym dla obserwatora i wszedł na sam dziób. Usta miał zbyt suche, aby wykrzyknąć ostrzeżenie. Cieśnina miała tutaj około trzydziestu stadionów szerokości i wręcz iskrzyła od niezliczonych wiosł rozgarniających wodę. Perskie triery rozciągały się rzędem od brzegu do brzegu. Ksantyppos wciąż się w nie wpatrywał z niedowierzaniem, gdy wokół niego rozległy się dźwięki rogów ostrzegające, że w zasięgu wzroku pojawił się wróg. Usłyszał, jak Epikleos wykrzykuje nowe rozkazy, każąc załodze zająć stanowiska bojowe

i przygotować broń. Na pokładzie rozległ się tupot stóp. Żeglarze zaczęli usuwać z niego wszystkie rzeczy, które dotąd leżały tam luzem.

Strateg przełknął ślinę, wciąż oszołomiony, ale stopniowo zaczynał go też ogarniać gniew. Oto miał przed sobą grabieżców, którzy przybywali, aby kraść i palić wszystko, co było dla niego cenne, aby odebrać wolność Atenom, zabrać bogom świątynie, a rodzicom porwać dzieci, które do tej pory żyły beztrąsko i z ufnością, że ich świat jest bezpieczny.

Kiedy zeskoczył na pokład, delfiny zniknęły, zanurkowawszy głęboko. W tej chwili już go nie obchodziły. Zrozumiał, że otoczyły okręt, żeby ich ostrzec przed niebezpieczeństwem.

– Erejusie! – zawołał.

Trierarcha wyszedł spod pokładu, blady na twarzy. Od razu pobiegł na dziób, zdawszy sobie sprawę, że dźwięki rogów rozlegające się na trzech okrętach są ostrzeżeniem dla całej podążającej za nimi floty. Popatrzył przed siebie i od razu zrozumiał, co się dzieje.

– Przygotuj okręt do bitwy. Nadaj dla wszystkich trier sygnał „formuj szyk” i „do ataku”.

Mężczyzna wbił wzrok w Ksantypposa i nerwowo zamrugał.

Nad ich głowami rozległ się szelest żagla ściąganego szybciej niż kiedykolwiek na ćwiczeniach. Ciężkie liny opadły na pokład, zmuszając sternika do odskoczenia. Strateg zmarszczył czoło. Szkolił tę załogę przez długi czas i chyba z tysiąc razy kazał wykonywać te same czynności. Ale realia bitwy, kiedy okrętowi grozi zatonięcie, a śmierć w każdej chwili może zajrzeć w oczy, nie są tym samym co ćwiczenia. Połowa szkolenia poświęcona była działaniom, które należało wykonywać w największym pośpiechu, panując nad strachem i grozą sytuacji. Lecz żadne ćwiczenia nie przygotowały greckich żeglarzy na spotkanie z tak ogromnymi siłami wroga w wąskiej cieśninie; mogli to sobie wyobrazić jedynie w koszmarach. Ksantyppos zaczął się modlić do Posejdona, aby pozwolił wszystkim zachować życie, dziękował mu za delfiny, które wysłał jako posłańców z ostrzeżeniem.

Opuszczenie żagla także stanowiło sygnał dla wszystkich okrętów płynących z tyłu. Kiedy Ksantyppos pobiegł na rufę, zobaczył, że to samo niemal równocześnie zrobiły załogi pozostałych trier. Wioślarze wysuwali wiosła i już po chwili miarowo rozgarniali wodę. Prędkość całej floty wzrosła, zanim pierwsze okręty dotarły do mierzei.

Stanąwszy na wysokiej rufie, Ksantyppos dostrzegł, jak nad okrętami rozwijają się niebieskie i czerwone flagi łopoczące na wietrze niczym długie węże. „Formuj szyk”, „do ataku”. Usłyszał powolny rytm wybijany na bębnie pod pokładem, przygotowujący do pracy wioślarzy, pozwalający im rozgrzać mięśnie przed czekającymi ich długimi godzinami ciężkiej pracy. Chłopcy okrętowi przygotowywali pojemniki z wodą pitną. Ich zadaniem było podawanie jej wszystkim, którzy tego zażądatają. Mężczyźni pod pokładem mieli wiosłować tak długo, aż zaczną krzyczeć z bólu, aż ich mięśnie odmówią posłuszeństwa, zaczną niepoohamowanie drzeć, ciała im zeszywnieją, a ślina w kącikach ust stanie się twarda jak żelazo. Część przywiązywała dłonie do wiosel; byli gotowi wypełniać swoje obowiązki za wszelką cenę, do ostatniego tchnienia. Ich duch często był silniejszy od ciała. W tej chwili żaden się nie zastanawiał, ile perskich okrętów stanęło im na drodze. Wrogowi należało stawić czoło i nie było od tego odwrotu.

* * *

Temistokles wiedział, że próba przywołania szesnastu spartańskich okrętów, aby ustawiły się w formacji, nie ma sensu. Eurybiades dał to jasno do zrozumienia, kiedy z lekceważeniem mówił o przebiegłości Ateńczyków. Nie potrzeba było wieszczki, aby przewidzieć, że Spartanie bez wahania zaatakują wroga w chwili, w której go zobaczą.

Obserwował, jak ich okręty wyrywają się do przodu. Z ironią im zasalutował, doskonale wiedząc, że żaden ze Spartan i tak nie ogląda się teraz za siebie. Pod pewnym względem ich taktyka pasowała do ograniczonej przestrzeni w cieśninie. Ani on, ani Ksantyppos się nie spodziewali, że Persowie tak głęboko wtargną na

terytorium Grecji. Nic na to nie wskazywało, a poza tym wąski przesmyk nie pozwalał na wykorzystanie przewagi liczebnej. Wkrótce pomiędzy dwoma niezbyt od siebie odległymi brzegami miał zapanować krwawy chaos. Temistokles się uśmiechnął, lecz w tym uśmiechu nie było nawet cienia radości. Znał ludzi, którzy mu towarzyszyli. Jeżeli nie będą mieli miejsca do manewrów, po prostu je sobie zrobią, zatapiając okręty nieprzyjaciela. Ich oczywistym zadaniem było utrzymanie pozycji w cieśninie i powstrzymanie Persów, aby nie popłynęli ani trochę dalej na południe.

Kiedy flota opuściła żagle i do pracy przystąpili wiosłarze, Temistokles poczuł, że prędkość triery gwałtownie wzrosła. Spartanie odpłynęli już daleko i niemal doścignęli trzy okręty Ksantypposa. Gotowi byli do ataku równym, szerokim frontem. To miało sens. Temistokles wzniósł jednak oczy ku niebu, kiedy zrozumiał, że tamci zamierzają wyprzedzić ateńskich zwiadowców, w tej chwili zbyt powolnych.

– Grecy i ich ambicje – mruknął. – A więc cała naprzód, moje spartańskie gepardy. Roznieście ich na strzepy.

Zobaczył na okręcie Ksantypposa flagi niebieską i czerwoną. Jego oddech przyśpieszył. Uniósł rękę, aby przygotować do działania chłopca okrętowego, który miał nadawać sygnały z jego triery. Dzieciak kilkakrotnie pokiwał głową, kiedy dowódca do niego przemówił. Sprawiał wrażenie wielce stremowanego, ale w końcu zwracał się do niego pierwszy obywatel Aten. Natychmiast pobiegł na rufę i po chwili na wietrze zaczęły łopotać niebieska i czerwona flaga, podobnie jak na okręcie Ksantypposa. Cała flota ustawiła się w formacji, okręt za okrętem, w pełnej koordynacji. Ten porządek przywiódł Temistoklesowi na myśl nacierającą falangę. Zaczął się modlić do Aresa i Posejdona, prosząc ich, aby tego dnia wsparli w boju wszystkich Greków.

Użyteczność długich szkoleń w pełni się ujawniła, kiedy okręty, rząd za rzędem, zaczęły wypływać zza mierzei. Aby nadać trierze właściwy kierunek, wiosłarze na jednostce znajdującej się na krótszym łuku musieli ograniczyć ruchy wiosła do dziesięciu na minutę. Temistokles z wdzięcznością pomyślał

o dotychczasowej pracy Ksantypposa. Wiedział z całą pewnością, że gdyby nie ściągnął go z zesłania, greckie okręty już teraz byłyby skazane na zagładę. Podziękował też sobie za mądry pomysł, aby sprowadzić również Arystydesa. Pewnego dnia prawdopodobnie będzie się musiał z tego tłumaczyć, wiedział jednak, że w tej wojnie Ateny ogromnie ich potrzebują.

Z trudem przełknął ślinę, kiedy ostatni rząd trier minął mierzeję. Od tej chwili wszystkie okręty Sparty, Aten i Koryntu zmierzały prosto ku flocie wroga, która zdawała się wypełniać morze od brzegu do brzegu.

– Przygotować się do abordażu! – zawołał przez ramię.

Trierarchowie powtórzyli rozkaz, który następnie wykrzyczeli także keleustesowie. Usłyszał szcęk zbroi i broni, gdy na pokład wyszli hoplici, chociaż ta demonstracja siły odbywała się jedynie na użytek nieprzyjaciela – hoplici byli gotowi do walki, gdy rozbrzmiały pierwsze dźwięki rogów. Ich ruchy słychać było na każdym okręcie. Temistoklesowi wcale się to nie podobało; uważał, że te dźwięki brzmią ponuro, zwiastują jedynie śmierć i zniszczenie. Wszyscy już wiedzieli, gdzie znajduje się wróg i co mają robić.

– Wioślarze, przygotować się! – zawołał. – Keleustes, przygotować się!

Wiatr zdawał się kraść mu oddech, ale to nie była prawda, po prostu strasznie się denerwował. Każdy rozkaz musiał jednak wykrzykiwać wyraźnie, zdecydowanym głosem. Nie mógł podwładnym zostawić miejsca na domysły. Miał nadzieję, że dzięki żmudnym ćwiczeniom ludzie wiedzą, jakich poleceń się spodziewać, i dlatego raz jeszcze podziękował Atenie za Ksantypposa. Aby uderzyć taranem w okręt wroga, a potem bezpiecznie od niego odpłynąć, należało sterować trierą niezwykle precyzyjnie. Rozkazy musiały w odpowiednich chwilach docierać do stu osiemdziesięciu wioślarzy pod pokładem i tam – w pocie czoła, mimo zalewającej oczy morskiej piany – być przez nich dokładnie wykonywane. Gdyby chociaż jeden rząd wioślarzy spóźnił się z pociągnięciem wiosłami albo gdyby kilku w newralgicznej chwili upuściło wiosła, okręt stałby się bezbronny jak zabawka.

Czterdzieści ateńskich galer płynęło w pierwszej linii z okrętem Temistoklesa pośrodku. Tyle trier mogło się ustawić na całej szerokości cieśniny bez ryzyka, że któraś z nich zacznie szorować po dnie lub że sąsiednie będą się zahaczać wiosłami. Mimo wszystko kilka musiało wycofać się z szyku, gdy ich trierarchowie źle oszacowali przestrzeń. Takie manewry nie były możliwe pod żaglami, ale gdy okręty napędzali wiosłarze, a za sterami siedzieli doświadczeni sternicy, mogły one ustawiać się w zwarty front, niemal tak samo nieprzenikniony jak pierwszy szereg falangi.

Temistokles zobaczył, jak szesnaście okrętów Sparty bez wahania uderza na wroga. A właściwie dziewiętnaście, nagle zdał sobie sprawę i uśmiechnął się. Ksantyppos zmusił swoją trójkę do zwiększenia szybkości i zrównał się z okrętami Eurybiadesa, dzięki czemu Spartanie nie atakowali samotnie. Temistokles zaczął się śmiać. A więc także Ateńczycy przeleją krew na samym początku i zaczną rozbijać wroga w pierwszej linii. Zaraz jednak spoważniał i zadrzał. Wmówił sobie, że to wyłącznie z powodu zimnego morskiego wiatru.

Odniosł wrażenie, że w głębi cieśniny część perskich okrętów zawraca. Wzrok miał na tyle bystry, by dobrze widzieć wydarzenia rozgrywające się w oddali, lecz mimo wszystko przywołał chłopaka, który odpowiadał za sygnalizację, i kazał mu opisywać wszystko, co widzi. Młodziak szeroko otworzył oczy, ogromnie zaszczycony i znowu stremowany, zdołał jednak w miarę składnie relacjonować, przekazując wodzowi setki szczegółów. Nie pojmując znaczenia wszystkiego, co widzi, starał się jak najlepiej odpowiadać na każde jego pytanie.

Temistokles wiedział, że w pierwszej fazie bitwy wszystko zależeć będzie od odwagi trierarchów. Wraz z Ksantypposem przygotowali ich jak najlepiej. Spartanie raczej gardzili ich naukami, twierdząc, że potrafią atakować wroga aż za dobrze i lekcje Ateńczyków nie są im potrzebne. Ksantyppos mimo wszystko kazał im słuchać. Na szczęście część Spartan odkładała na bok dumę i aktywnie uczestniczyła w szkoleniach, przynajmniej kiedy w pobliżu nie było Eurybiadesa.

Galery zbliżały się z naprzeciwka dziobem w dziób i taranem w taran. Pierwsze zderzenia przyniosły frontowym jednostkom wielkie szkody, formacje

się załamały, a część okrętów mijała się w bardzo niewielkiej odległości. Zagrażało to wiosłarzom, których zmiatały z ławek własne wiosła wytrącane gwałtownie z rąk, gdy okręty niemal się zderzały. Temistokles, trzymając ręce za plecami, zacisnął jedną pięść w drugiej. Oczami wyobraźni widział, jak masywne drzewce taranują pod pokładami bezradnych wiosłarzy.

W czasie ćwiczeń zdarzył się wypadek: dwa okręty otarły się o siebie burtami, a wiosła wyrwane z rąk zabiły lub okaleczyły pod pokładem wielu ludzi. To zdarzenie wzięli sobie do serca wszyscy, którzy widzieli w porcie dziesiątki zwłok oraz rannych mężczyzn, ci już nigdy nie mieli odzyskać pełnej sprawności. Lekcja – i ostrzeżenie – była jasna. Chwila nieuwagi może unieruchomić galerę, a wiosłarzy, bezbronnych i bezsilnych pod pokładem, skazać na śmierć.

Zapobiegać takim tragediom mogli tylko czujni keleustesowie i sami wiosłarze, gotowi błyskawicznie wciągnąć wiosła, kiedy tylko triera znajdzie się w pobliżu innego okrętu. Na górze czekali już wtedy hoplici z tarczami i mieczami lub włóczniami, przygotowani do abordażu.

Temistoklesowi zaschło w gardle. Przyszło mu do głowy pytanie, czy również Ksantyppos ma teraz wrażenie, że w ustach zbierają mu się piasek i kurz. Pamiętał, że to samo odczuwał lata temu pod Maratonem. Poczł, że ktoś dotyka jego uda – to chłopak okrętowy chciał mu podać bukłak z wodą.

– Dziękuję ci – powiedział.

Wyciągnął korek i wlał sobie do ust wodę, ciepłą jak krew. Trochę go orzeźwiła. Uśmiechnął się do chłopca. Sprawił mu tym ogromną radość.

Każde uderzenie wiosł przybliżało do starcia kolejne okręty. Kiedy odległość pomiędzy wrogimi galerami wynosiła zaledwie dziesięć ich długości, prędkość zdawała się wzrastać. Morze było spokojne, lecz jego powierzchnię rozbijały tysiące wiosł spienających wodę. Temistokles raz jeszcze zawołał do hoplitów, żeby byli gotowi do walki. Na napierśnik zarzucił bladoniebieski płaszcz, a hełm leżał u jego stóp. Tylko niewielu hoplitów włożyło zbroje. Człowiek obciążony żelazem nie miał szansy na przeżycie, gdyby w ferworze bitwy wpadł do wody.

Temistokles nagle poczuł się bezbronny, jakby był na własnym okręcie tylko pasażerem. Serce tłukło mu się w piersiach szybko i boleśnie. Na szyi miał zawieszoną srebrną monetę, którą kiedyś otrzymał od matki. Wybita była na niej sowa Ateny. W ciągu lat ocierania się o jego skórę wizerunek już dawno stracił wyraźne kontury. Pocałował ją teraz. Mocno przyciskał monetę do ust aż do chwili, w której pierwsze triery Ksantypposa i Spartan uderzyły w perskie okręty.

Znajdował się wystarczająco blisko, by usłyszeć przeraźliwe wrzaski. Bezwiednie zwilżył wodą policzki, tak jak to robił przed walką na pięści. Czuł się tak samo, a jednak w dziwny sposób zupełnie inaczej. Także zagrożone były jego życie i zdrowie, ale po raz pierwszy w takiej sytuacji nie był sam! Trwali przy nim jego ludzie. Mieli zwyciężyć lub paść razem z nim.

43

Ksantyppos patrzył przed siebie, obserwując zbliżający się perski okręt. Rósł w jego oczach z każdą chwilą, podobnie jak prędkość galer, które oddzielała już tylko przestrzeń równa kilku ich długościom. Wróg zaczął wypuszczać strzały, jedna spadła na pokład niemal u jego stóp. Natychmiast zawołał, aby podano mu tarczę, boleśnie świadomy, jak łatwym jest teraz celem dla perskich łuczników. Ktoś wykonał polecenie i widok rozzłoszczonego lwa na złotym tle trochę go uspokoił. Dostrzegł kolejną nadlatującą strzałę i zasłonił się.

Wydawało się, że okręty zaraz skoczą na siebie nawzajem. Szansa na uniknięcie starcia, która istniała jeszcze przed chwilą, już minęła. W tym momencie żaden z nich nie mógł już opuścić szeregu i uciec. Próba wycofania się z bitwy oznaczałaby śmierć dla wszystkich na pokładzie. Teraz należało jedynie trzymać szyk i przygotować się do czołowego zderzenia z wrogiem. Ksantyppos obserwował Persów, a wargi miał tak suche, że przypominały garbowaną skórę, mimo że co chwilę próbował je zwilżać językiem. Spartanie pędzili po obu jego burtach, ale wątpił, czy Eurybiades pozwoli mu zaatakować pośrodku formacji – wyglądałoby to przecież tak, jakby to on prowadził Spartan do boju. Dostrzegł go: stał w zbroi z brązu i niczym rozjuszony pies czekał, aż rzeź się rozpocznie. Właściwie niczym się w tej chwili nie różnił od zwierzęcia, którego jedynym celem jest rozerwanie na strzępy każdego żywego stworzenia, jakie się znajdzie w pobliżu. Ksantyppos pokiwał głową. On także potrzebował takiej dzikości, takiego okrucieństwa. Jego ludzie koniecznie musieli poczuć rozkosz zabijania, jeżeli mieli przetrwać dzisiejszą bitwę. Inne emocje, wszystko, co czyniło ich

porządnyimi ludźmi, musieli pozostawić za sobą. Poczucie humoru, przyzwoitość, prawość – te cechy mogły ich tylko osłabiać w obliczu przeciwnika, który zamierzał skrócić ich o głowę.

Ksantyppos obserwował rosnącą w oczach postać perskiego dowódcy, aż w końcu ujrzał całą jego sylwetkę na dziobie najbliższej galery. Sprawiał wrażenie, jakby z wyprostowanymi nogami stał na siodle ogromnego wierzchowca. Jeszcze przez chwilę nic się nie działo i nagle tarany uderzyły z wielką siłą w wygięte w łuk belki poniżej powierzchni wody, najmocniejsze elementy wojennych galer. Okręty zadrżały i natychmiast oderwały się od siebie przy akompaniamencie straszliwego zgrzytu oraz okrzyków przerażenia ludzi pod pokładem. Kiedy dzioby zaczęły kruszyć wiosła, uniósł się nad nimi jakby długi pomruk, podobny do odgłosu towarzyszącego uderzeniu pioruna.

Obie załogi szybko i z wielką siłą pracowały wiosłami, aby podjąć właściwy kurs i jeszcze raz uderzyć we wrogi okręt. Dopóki triery nie zderzyły się po raz pierwszy, nikt pod pokładem nie wiedział, z której strony należy wciągnąć wiosła, żeby nie uległy zniszczeniu.

Ksantyppos nie mógł widzieć, jak desperackie zmagania rozgrywają się pod jego stopami. Właśnie mijał się z Persem w niewielkiej odległości. Zobaczył, jak tamten kiwa głową w pozdrowieniu; przez chwilę można było odnieść wrażenie, że wcale nie prowadzą walki na śmierć i życie. On sam nie miał ochoty na uprzejmości. Nie mógł ciąć wroga mieczem, ale wyrwał włócznię z ręki najbliższego hoplity i rzucił ją w tamtego. Trafił w brzuch i mężczyzna osunął się na kolana. Persowie zareagowali gradem strzał, które wyleciały z ich łuków niczym szerszenie z gniazda, ale Grecy natychmiast unieśli tarcze i pochylili się pod nimi. Strzały uderzały więc w osłony albo spadały wprost na pokład.

Ksantyppos dostrzegł, że Persowie umieścili tarcze wzdłuż burt na całej długości okrętu. Proste relingi pozwalały im opierać o nie owalne oraz okrągłe tarcze i się za nimi chronić. Kiedy okręty się mijały, ujrzał wielu wojowników w pełnych zbrojach. Wiosła wciąż trzaskały pomiędzy burtami, nie wiedział jednak, czy należą do jego galery czy perskiej. Zaczął szybko oddychać,

przygotowując się do ataku. Jeden ze starszych żołnierzy powiedział mu, że od dawna tęskni za wyostrzeniem zmysłów i emocjami, jakich zaznaje w obliczu śmierci. Ksantyppos odczuwał w tej chwili jedynie mroczną wściekłość. Miał odeprzeć najeźdźców, którzy zamierzali palić i zabijać. Należała im się odprawa, okrutna i pełna złości, taka, która pograży ich w otchłani na zawsze, jak sztorm na morzu.

Kiedy galery niemal zetknęły się burtami, uniósł tarczę i podjął decyzję.

– Oddział do abordażu, za mną!

Wydawało się, że od jednostki wroga dzieli ich tylko krok, musiał jednak podjąć wielki wysiłek, napiąć każdy mięsień, żeby nie wpaść pomiędzy burty, do ciemnej wody, gdzie wciąż łamały się wiosła.

Wylądował na obcym okręcie i uniósł tarczę, żeby się osłonić przed uderzeniem miecza. Oddał cios, gdy ostrze tamtego wciąż znajdowało się wysoko nad jego głową, pogruchotał Persowi ramię. Drugi cios sprawił, że na niemal zupełnie białe deski pokładu, rozjaśnione przez omiatające je dzień po dniu gorące promienie słoneczne, trysnęła krew. Ksantyppos pomyślał, że właśnie rozpoczęła się taka bitwa, jaką doskonale znał i pamiętał z przeszłości. Szybko dołączyli do niego hoplici i ze straszliwymi okrzykami na ustach zaatakowali wroga. Odgłosy, które wydawali, miały mrozić krew w sercach Persów.

Wioślarzami na perskich okrętach byli niewolnicy. Ksantyppos dostrzegł paru z nich, nagich i brudnych, wyglądających spod pokładu, na ich środkowe ławy padały promienie słońca. Zauważył, że konstrukcja ich stanowisk niewiele się różni od rozwiązań na okrętach Greków. Poczł straszliwy odór od nieszczęśników, zdający się docierać aż do najgłębszych zakamarków nosa i gardła. Miał nadzieję, że będą mieli dość rozumu, aby nie wychodzić na pokład.

Perscy wojownicy przyjęli atak hoplitów; szybko dołączyła do nich spora grupa przebywająca do tej pory na dole. Ruszyli na Greków z dzikim wrzaskiem i w pewnej chwili Ksantyppos musiał zrobić kilka kroków w tył. Niemniej jego ludzie również stanowili dużą siłę, a poza tym walczyli w sposób

zdyscyplinowany i w porę postawili zaporę z tarcz. Mając pod nogami twarde deski, zadawali Persom śmierć skutecznymi ciosami, a następnie błyskawicznie wyrzucali ich ciała do morza. Po krótkiej walce na pokładzie nie było już żywych przeciwników. Pozostali jedynie dwaj sternicy. Zaciskali dłonie na dźwigniach steru i gapili się z przerażonymi minami na obcych, którzy stanęli przed nimi z mieczami ociekającymi krwią.

Ksantyppos otworzył usta, żeby wydać rozkaz, ale nie zdążył, gdyż niespodziewanie eksplodowała przestrzeń pod pokładem. Z włazu zaczęli wyskakiwać brudni ludzie z długimi włosami. Przyszło mu do głowy, że poczuli zew wolności, ale to wrażenie prysło, kiedy jeden z nich poderżnął gardło hoplicie i natychmiast został zadźgany przez innego z Greków. Ci ludzie zachowywali się jak szaleńcy. Mieli szare zęby i wydawali piskliwe wrzaski. Hoplitów zaskoczyła ich liczba. Nie mogli zrobić wiele więcej, jak po prostu wbijać miecze w napierającą na nich bezładnie masę ludzkich ciał.

Ksantyppos ogarnął wzrokiem pokład. Widział swoich ludzi wycinających w pień zdziczałych niewolników i przypomniał sobie o złożonej przysiędze. Nie wolno mu było się cofnąć. Nie wiedział, jakie są zamiary dzikusów, którzy porzucili wiosła, ale nie zamierzał oddawać tego okrętu w ich ręce.

– Zabić wszystkich! – rozkazał głosem ostrym jak miecz.

Usłyszawszy to, część jego ludzi się wzdrygnęła.

Hoplisci szybko opanowali sytuację i przystąpili do systematycznego wykonywania rozkazu. Pokład znów spłynął krwią. Działania Greków były brutalne, a kiedy skończyli i na okręcie zaległy stosy martwych wiosłarzy, wszyscy ciężko dyszeli. Ksantyppos także długo uspokajał oddech. Nie był już młody.

– Dosyć – powiedział. – Uspokójcie się. Wracamy na nasz okręt, a ten zatopimy.

Odwróciwszy się, zobaczył, że Epikleos wymachuje do niego rękami. Jak długo przebywał na wrogiej galerze? Godzinę? Słońce wciąż zdawało się tkwić w tym samym miejscu na niebie, ale przecież było to niemożliwe. Okręty

rozproszyły się na morzu i nie tworzyły już regularnych formacji, ale tylko Spartanie byli gotowi do kolejnego ataku. Jednostki, które miały nieszczęście znaleźć się na ich trasie, leżały stępkami do góry lub dryfowały, gdyż na ich pokładach znajdowały się jedynie trupy. Dwie floty przeniknęły się głęboko, a każdy okręt, który włączał się do bitwy, przyczyniał się do powiększenia rozmiarów rzezi.

– Ksantypposie! Wracaj! – rozległ się wrzask Epikleosa.

Strateg zobaczył, że jeden z perskich okrętów skręca, a jego załoga wyczuła łatwą ofiarę.

– Wracamy! Wszyscy! – krzyknął.

Wraz z czterdziestoma hoplitami przeskoczył na własny pokład. Dwaj mieli poranione nogi i nie dali rady – z okrzykami przerażenia wpadli do wody. Jeden natychmiast zniknął w morzu, a drugi złapał za skraj burty i niemal przedostał się na pokład, ale w tej chwili okręty niespodziewanie się do siebie zbliżyły. Marynarze wyciągnęli ręce, chcąc złapać pechowca, lecz przyskrzynyły go burty, miażdżąc mu żebra. Jeszcze przez moment patrzył przed siebie szklistymi oczami, po czym umarł.

– Wiosła z prawej strony! Odpływamy! – krzyczał Epikleos.

Dziób triery powoli się odwracał. Epikleos wraz z dziesiątką ludzi zaczął odpychać perski okręt włóczniami, a tymczasem wiosłarze z lewej burty wrócili na swoje miejsca pod pokładem i przystąpili do pracy. Okazało się, że wszystkie wiosła na prawej burcie perskiego okrętu zostały połamane. Oprócz nich na wodzie unosiły się drewniane elementy, które od niego odpadły.

Ksantyppos poczuł, że triera zadrżała, kiedy wiosłarze wznowili pracę. Jeszcze przed chwilą Persowie dostrzegali w nich łatwy łup. Miał nadzieję, że ich dowódca ściśnie się żołądek, kiedy zobaczy dziób niedoszłej ofiary kierujący się w jego stronę.

– Wiosłarze, uwaga! – zawołał i poklepał Epikleosa w ramię, dając mu w ten sposób znak, że znów dowodzi. – Rozpędzić okręt do połowy szybkości. Reszta przygotować się do abordażu!

W milczeniu odczekał, aż keleustes przekaże rozkazy pod pokład. Teraz wszystko zależało od wioślarzy. Musieli płynąć w takim tempie, aby odpowiednio ustawić trierę.

Tylko raz popatrzył na okaleczony okręt, który musiał pozostawić swojemu losowi. Wiedział, że zajmie się nim jakaś inna załoga, która pośle go na dno, kończąc dzieło jego ludzi.

– Hoplici, przygotować się! – zakrzyknął znowu.

Odpowiedzieli mu entuzjastycznym wrzaskiem, wywołując uśmiech na jego ustach. Czuł w nich smak metalu. Przypomniał sobie, że uderzyła go w twarz własna tarcza, i splunął w bok krwią, która zgromadziła mu się na języku. Zdał sobie sprawę, że jego zęby w tej chwili są czerwone. Jego ludzie odnieśli pierwsze zwycięstwo. Niczym gwałtownie płonący ogień pragnęli pochłonąć jeszcze więcej ofiar.

Popatrzył w lewo i w prawo. Dwa greckie okręty leżały na burtach, a ich załogi tonęły. Widok ten podziałał na niego jak kubek zimnej wody. Spartanie uparcie przedzierali się jednak przez linie wroga. Widział więc także perskie triery odwrócone dnem do góry, wydawały się szersze od greckich. Kolejna wroga galera płonęła, posyłając w niebo wielki słup czarnego dymu, a desperaci z jej załogi skakali do wody. Osłabieni walką ludzie mieli później zostać wybici co do jednego. Zwłoki zostaną skrzętnie policzone.

Jeden z okrętów wroga zbliżył się do uszkodzonej greckiej triery, aby ją staranować. Ofiara sprawiała wrażenie bezbronnej, tylko dryfowała, a załoga w pocie czoła dokonywała niezbędnych napraw. Niespodziewanie jednak ożyła i wykonała nagły zwrot w stronę napastnika. Pers spróbował błyskawicznie skrócić i odpłynąć w poszukiwaniu łatwiejszej zdobyczy.

Ksantyppos zauważył jakieś zamieszanie przy sterze perskiego okrętu. Dowódca głośno wykrzykiwał rozkazy do dwóch ludzi poruszających wielkimi płetwami sterowymi.

– On chce skrócić! – zawołał strateg. – Zwiększamy prędkość i staranujemy go! Natychmiast! Prędkość dla tarana! Dwadzieścia uderzeń!

Keleustes powtórzył jego rozkaz i okręt skoczył do przodu. Wioślarze na prawej burcie byli trochę silniejsi od tych na lewej, którzy ponieśli straty w poprzednim starciu, dlatego galera nieznacznie skręciła. Ksantyppos nie nakazał skorygowania kierunku, gdyż dzięki skrętowi szybciej mógł przeciąć Persom drogę ucieczki. Ich okręt wciąż się odwracał, a jego dowódca chciał odpłynąć w bezpieczne miejsce, lecz do ocalenia zabrakło mu przestrzeni i szybkości.

Taran uderzył go i przedziurawił dokładnie tak, jak jeszcze przed chwilą Pers chciał potraktować jedną z trier greckich. Hoplici zareagowali entuzjastycznymi okrzykami, chociaż spadł na nich deszcz strzał. Ale były one już tylko żądłem ginącej osy. Persowie z przeraźliwymi wrzaskami zaczęli skakać do wody, a część próbowała się nawet przedostać na pokład Greków, byle tylko nie zostawać na tonącej galerze. Natychmiast ich zabijano, a keleustes rozkazał wioślarzom wycofać trierę, aby się oderwać od staranowanej jednostki. Tonący okręt stanowił śmiertelne zagrożenie: mógł pociągnąć na dno swojego oprawcę.

Mogliby obserwować, jak ich ofiara pogrąża się w morskiej otchłani, lecz na morzu rozgrywały się teraz dziesiątki podobnych zdarzeń. Ksantyppos przełknął krew zgromadzoną w ustach, nie chciał znowu nią pluć. Pokiwał głową. Już także Temistokles i druga linia greckich okrętów przebili się pomiędzy galery wroga. Zbliżała się również trzecia linia, gotowa do walki. Strateg uniósł rękę i pozdrowił przybywających żeglarzy, a oni zaczęli wiwatować na jego widok.

Do jego triery zbliżył się perski okręt, do tej pory niezauważony i nietknięty.

– To nasz kolejny cel! – zawołał, wskazując ręką. – Zniszczymy go.

Jego sternicy przygotowali się do zwrotu, a pod pokład znowu powędrowały rozkazy. Hoplici na górze przykucnęli z tarczami i włóczniami, gotowi do następnego ataku.

44

Kserkses poczuł szybsze i silniejsze bicie serca, kiedy przed jego oczami wyrosły góry. Był królem-wojownikiem i zbierał wszystkie siły, aby wreszcie rozbić największego wroga swojego ojca. Kiedy zawiął mocniejszy wiatr i uniósł tumany piasku, wciągnął głęboko powietrze, mając nadzieję, że duch Dariusza widzi postępy jego armii, a może nawet do niej dołączy.

Tego dnia postanowił jechać na wierzchowcu. Na białą tunikę sięgającą mu ledwie za uda włożył płaszcz w kolorze imperialnej purpury. Spędziwszy długi czas na morzu, zorientował się, że osłabły mu mięśnie. Zmarszczył czoło, nieświadomy, jaki strach wywoła jego naburmuszona mina u żołnierzy maszerujących na południe. Wojownicy z jego hazarabam, tysiącosobowych oddziałów, a nawet Nieśmiertelni, wymienili zaniepokojone spojrzenia. Przybycie wielkiego króla zmieniło nastrój w całej armii Mardoniusza już od pierwszej chwili, kiedy Kserkses postawił stopę na lądzie i stanął wśród nich.

Jego obecność oznaczała, że odtąd będą maszerować razem z żywym bogiem, a jednocześnie przypominała, że zmierzają na wojnę i wkrótce staną naprzeciwko strasznego wroga. Przy wielkim królu żołnierze prostowali plecy i wysoko unosili głowy. Owszem, bali się jego reprimend i kar, ale rozpierała ich także duma i miłość do władcy. Znajdowali się daleko od ojczyzny, lecz Kserkses przebywał z nimi i był jej namiastką.

Kiedy jego koń spłoszył się z jakiegoś błahego powodu, król pochylił się nad jego karkiem i trzepnął go w ucho, ale zaraz go pogłaskał. Wierzchowiec był narowisty, lecz wysoki i bardzo silny, wśród innych koni wyglądał jak księżę.

Kserkses rozejrzał się dookoła, uświadomiwszy sobie, że przez długi czas podróżował w głębokiej zadumie, właściwie nie widząc terenów, które przemierzał wraz ze swoimi ludźmi. Pokręcił głową. Przez ostatnie dwa dni jadał o wiele lepiej niż przez cały miniony miesiąc. Na stałym lądzie jego żołądek się uspokoił, dlatego nawet te pomyje, które jego oddziały jadły na co dzień, składające się głównie z gotowanej fasoli, potrafiły sprawić, że do ust napływała mu ślinka. Beknął w dłoń na myśl o jedzeniu; wciąż był głodny i nic nie mógł na to poradzić.

Podniesienie głowy sporo go kosztowało, bo wiedział, że jego wzrok natychmiast napotka spojrzenia zdesperowanych mężczyzn, którzy chcieliby kiedyś powiedzieć bliskim, że sam wielki król na nich popatrzył, a może nawet powiedział jakieś bezcenne słowo, które będą mogli powtórzyć dzieciom. Wcześniej nie zdawał sobie sprawy, jak wiele oczu śledzi każdy jego ruch w obozach pozbawionych prywatnych komnat królewskich. Dokądkolwiek szedł, ludzie śledzili każdy jego krok, wypatrywali za nim i upajali się jego widokiem jak najlepszym trunkiem. Szybko stwierdził z zaskoczeniem, że bardzo go to męczy, i gdy w końcu wchodził do pawilonu, jaki stawiano dla niego pod koniec dnia, czuł wielką ulgę, że w końcu może być sam. Wieczory w pawilonie mu się nie dłużyły. Dni były już krótsze niż w środku lata, na szczęście słońce wciąż mocno prażyło z nieba, które było błękitne jak jezioro w Persji.

Zaczął sobie uświadamiać, że Grecja jest suchą krainą, choć poznał już przecież pustynie, na których każdy oddech to zmagania pomiędzy życiem a śmiercią. Tymczasem tutaj jego ludzie ciężko dyszeli i zawsze z ulgą przyjmowali polecenia Mardoniusza, żeby uzupełnić zapasy wody, kiedy tylko mijali po drodze jakieś źródła albo strumienie. Nie daliby rady tak daleko na południe transportować dużych zapasów żywności, dlatego codziennie każdy jadł tylko połowę porcji, a zaopatrzenie i tak szybko się kurczyło. Niemniej znajdowali się już niemal u celu. Kserkses i Mardoniusz oraz inni dowódcy prowadzili ze sobą ogromną rzeszę ludzi. Z Tracji do Grecji wzdłuż obłogo wybrzeża maszerowało ponad trzysta tysięcy wojowników. Straty Mardoniusza

wyniosły dotychczas nie więcej niż ośmiuset ludzi, a przyczyną śmierci były wypadki, ludzkie słabości, choroby i egzekucje. Małe straty stanowiły niebawomy sukces, a jego źródła należało upatrywać w bogactwie imperium i w dobrej organizacji kampanii. Kserkses rozpierała wielka duma.

Młody król obejrzał się przez ramię i zobaczył za sobą oddziały liczące dziesiątki tysięcy ludzi, rozciągające się niemal po horyzont. Dopiero gdzieś na końcu tej masy przemieszczali się cywile i toczyły wozy wzbijające wielkie chmury kurzu. Teren zaczynał się wznosić i tylko dlatego był w stanie ogarnąć wzrokiem to wielkie zgromadzenie. Jechał na wierzchowcu, mając po lewej ręce morze i wielką flotę, a po prawej konie i wojowników gotowych zamknąć w potrzasku całe Ateny. Miasto będzie kowadłem, a on i jego ludzie młotem, który niespodziewanie na nie opadnie. Była to piękna myśl.

Zwiadowcy na koniach unieśli ręce w ostrzeżeniu, wskazując na morze. Nagle zaniepokojony Kserkses ciężko przełknął ślinę i zmusił wierzchowca do kłusu. Droga przez góry doprowadzi ich ku wybrzeżu, co bardzo go cieszyło. Przywykł do obserwowania powolnego marszu armii z pokładu okrętu flagowego. Teraz satysfakcję przynosiło mu oglądanie floty z wysokości końskiego siodła. Tego ranka armia i flota posuwały się równolegle, zmierzając do wielkiego zakrętu, za którym – jak obiecali królowi greccy sprzymierzeńcy – otworzy się przed nimi droga na południe.

Nie ufał Tebańczykom, mimo że okazali mu uległość i oddali swoje życie w jego ręce. Chociaż szanował mądrość ojca, Kserksesowi trudno było patrzeć łaskawie na ludzi, którzy zdradzali własnych rodaków. Wciąż był wobec nich podejrzliwy, podobnie jak wobec królowej Halikarnasu Artemizji. Ale w jej żyłach płynęło przynajmniej chociaż trochę perskiej krwi i bliska jej była kultura imperium, co w dużym stopniu wyjaśniało jej postawę. Myśl o tej kobiecie wciąż nie dawała Kserksesowi spokoju. Pamiętał jej ciemne oczy i powłóczyście, wzbudzające niepokój spojrzenie, dlatego cieszył się, że została na okręcie, z dala od niego. Uważał, że kobiety posiadające władzę są niebezpieczne. Władza na pewno dodawała im pewności, pozwalała nie ulegać mężczyznom. Nie bez

powodu mężczyźni wymagali od kobiet posłuszeństwa, zarówno od tych, które żyły w królewskich pałacach, jak i od mieszkanek domów prostych robotników. Kobiety zawsze były szczęśliwsze, mając nad sobą panów. Zresztą podobnie jest z mężczyznami, pomyślał. Klucz ptaków na niebie potrzebuje przecież przywódcy. Z trudem wyrzucił Artemizję ze swoich myśli.

Nie wiedział, czy Tebańczycy słyszeli o jego mapach lub czy mieli świadomość, jak ogromnym przedsięwzięciem była kampania, która skończyła się pod Maratonem. Nie potrzebowali dokładnej wiedzy o całej ziemi greckiej, aby skutecznie prowadzić do celu tę szczególną strzałę, jaką była jego armia, ale ich reakcje uznał za dobry test lojalności. Potwierdzili, że istnieje przejście, o którym Artemizja powiedziała, że pozwoli obejść wielką grań. Kserkses cieszył się, że będzie mógł obserwować swoją flotę, maszerując po skalistym brzegu pod Termopilami i prowadząc wielkie perskie uderzenie.

Kiedy wszedł na niskie wzgórze i puścił wodze, koń zaczął skubać trawę. Król powoli odetchnął i popatrzył w dal. Uniósł dłoń nad oczy, ze złączonymi wszystkimi palcami – stara sztuczka wytrawnego zwiadowcy pozwalająca lepiej widzieć na dużą odległość.

Chociaż od morza dzieliła go spora przestrzeń, dostrzegł dwie floty płynące naprzeciwko siebie. Grecy mieli więcej okrętów, niż się spodziewał. Wstrzymał oddech, kiedy pierwsze galery rozpoczęły bitwę. Odniósł wrażenie, że jego młot właśnie bije w kowadło, na które natrafił na swojej drodze. Okręty wpadały na siebie, przechylały się i przewracały, a już wkrótce nad wieloma z nich unosił się czarny dym. Bitwa rozgorzała w najlepsze, ale Kserkses nie był w stanie określić, kto zyskuje przewagę. Całą uwagę skoncentrował na morskich zmaganiach, dlatego do jego uszu nic nie docierało. W końcu jednak usłyszał komendy dowódców, żeby się zatrzymać. Rozkazy zostały powtórzone setki razy, zanim cała armia znieruchomiała. Odgłosy ludzkich stóp i końskich kopyt na suchej ziemi trwały w jego uszach przez ostatnie dni. Cisza, która niespodziewanie nastąpiła, miała w sobie coś niesamowitego, tym bardziej że Kserkses zaczął sobie wyobrażać okrzyki strachu i wściekłości rozlegające się na okrętach,

wydawane przez ludzi, których dusił gęsty dym, skaczących w desperacji do wody i znikających na zawsze w morskich odmętach. Myśl o takiej śmierci sprawiła, że zadrżał.

Odwrócił się, kiedy dotarł do niego Mardoniusz wraz z dziesięcioma najwyższymi rangą dowódcami. Stary wódz wykonał ruch, jakby chciał zeskoczyć z konia i paść przed królem na twarz, ale Kserkses powstrzymał go uniesieniem ręki. Najważniejsze było w tej chwili starcie flot.

– Nie mogę stwierdzić... czy wygrywamy – powiedział.

Mardoniusz skrzywił się, jakby bolał go ząb.

– Liczby wiele mówią, Wasza Wysokość. Spójrz na morze, dopiero niewielka część naszej floty włączyła się do bitwy. Szala zwycięstwa przechylił się na naszą korzyść, bo mamy... dwa albo trzy razy więcej okrętów niż Grecy, a może jeszcze więcej. Poza tym żeglarze wiedzą, że ich obserwujesz. Zdają sobie sprawę, że muszą przebić się przez grecką flotę, aby do ciebie dołączyć i znów poczuć, jak pada na nich twój imperialny blask.

Kserkses pokiwał głową. Nie był jednak głupcem, przez całe życie wysłuchiwał pochlebstw ludzi, którym zależało na przywilejach i którzy mieli nadzieję na niego wpłynąć albo odsunąć od siebie jego gniew. Owszem, nie był na nie zanadto odporny, szczególnie gdy padały z ust osób należących do pokolenia jego ojca, jak Mardoniusz. Ale wiedział, że słowom nie wolno ufać. Zerknął na wodza i zobaczył jego wyprostowane plecy oraz dłonie spokojnie spoczywające na łęku. Z ulgą stwierdził, że tamten nie wygląda na zdenerwowanego. I zaraz uzmysłowił sobie, że to on powinien być inspiracją i źródłem otuchy dla ludzi, a nie jeden z wodzów. Młody król uniósł głowę i spróbował zapanować nad drżeniem rąk.

– Prowadź nas więc, Mardoniuszu, do przełęczy, do Termopil. Jeżeli przejście jest tak wąskie, jak twierdzą Tebańczycy, musimy się śpieszyć, żeby je przebyć i nie zostać z tyłu za flotą.

– Jak sobie życzysz, Wasza Wysokość.

Wódz zerknął na słońce zwieszające się nad zachodnimi wzgórzami.

– Jesteśmy już blisko. Rozbijemy obóz pod Termopilami i rozpoczniemy przeprawę jutro o świcie. Do wieczora skończymy. Do tego czasu, nie mam cienia wątpliwości, flota upora się z Grekami, którzy stanęli jej na drodze.

45

Miesiąc boedromion, przełom września i października, przynosił coraz krótsze dni. Słońce wciąż jednak prażyło jak w długie dni lata, szczególnie kiedy trzeba było pod nim walczyć. Ksantyppos podziękował Apollinowi za dobrą widoczność na morzu, a następnie Atenie, kiedy perska flota się wycofała, nim zapadły ciemności. Nie wiedział, czy Persowie w swoim obłędzie nie będą przypadkiem chcieli walczyć przez całą noc, chociaż byłoby to skrajnym szaleństwem. W mroku obie eskadry mogłyby taranować własne okręty. Poza tym, co równie ważne, załogi były ogromnie zmęczone. Część wioślarzy chrapała na ławkach. Po prostu odkładali wiosła i zamykali oczy w ciemnościach pod pokładem, gdzie nieprzerwanie rozlegały się najróżniejsze trzaski i szelesty.

Bez formalnego porozumienia floty oderwały się od siebie, kiedy nad ziemią zaległ półmrok, i zaczęły poszukiwać bezpiecznych przystani na nocne godziny. Ksantyppos niecierpliwie czekał, aż na niebie pojawi się rogalik księżyca. Obawiał się, że w jego świetle wróg zastosuje jakąś nową taktykę albo zastawi pułapkę. Miał nadzieję, że perskim dowódcem towarzyszy taka sama niepewność. Ale dopiero o północy pozwolił trierarsze Erejusowi poszukać płytszej wody i rzucić kotwicę, mimo że wiązało się to z ryzykiem zarycia w dno albo zderzenia z niewidzialną skałą. Okręty zakotwiczyły w niewielkich odstępach, a na pokłady wciągnięto małe łodzie dotąd holowane za rufami. Kiedy Ksantyppos szykował się do snu, jedna z nich dobiła do burty ich okrętu. Przywiozła dla niego zaproszenie od spartańskiego nauarchy.

Dwaj żeglarze w milczeniu płynęli z nim przez ciemne wody. Kiedy znaleźli swój okręt, Ksantyppos usłyszał, jak na łódkę spada z pokładu drabinka. Złapał ją po omacku i zaczął się wspinać. Na burcie stał żołnierz z obnażonym mieczem, który zapytał go o imię. Następnie strateg musiał poczekać, aż Eurybiades zostanie poinformowany o jego przybyciu.

Kiedy tak stał na pokładzie, chmury odsłoniły księżyc, a morze załśniło. Dziób okrętu miarowo unosił się i opadał; ten jednostajny ruch niemal usypiał. Ksantyppos nagle ziewnął i przetaił dłonią twarz, żałując, że wytrzymałość, którą cieszył się w młodości, rozwiąła się jak sen. Bywały czasy, kiedy po nieprzespanej nocy mógł bić się przez cały dzień. Lecz skończywszy pięćdziesiąt lat, wolał, aby wrogowie atakowali tylko nad ranem.

Usłyszał Temistoklesa, który wszedł na pokład z jakimiś wesołymi słowami, które rozbawiły wojowników. Odwrócił się ku niemu i wymamrotał jego imię.

– To ty, Ksan? – Temistokles odezwał się o wiele za głośno.

– Czyżbyś chciał przekazać Persom jakąś wiadomość? – syknął strateg. – Mów ciszej, dobrze?

– Och, Persowie teraz chrapią, jestem pewien. Wypoczywają przed jutrzejszym dniem. Ja także powinienem odpoczywać, ale przybyłem tutaj wezwany przez... Ach, Eurybiadesie! Dlaczego nie dajesz nam spać o tak późnej porze?

Chociaż nie paliła się ani jedna lampa, słabe światło księżycy wyłoniło z mroku postać nauarchy wychodzącego spod pokładu. Bez zbędnych słów Spartanin krótkim gestem nakazał Temistoklesowi i Ksantypposowi, żeby do niego podeszli. Wymieniliby spojrzenia, ale było zbyt ciemno.

Strateg usłyszał, że do okrętu przybija kolejna łódka. Zawahał się, ale Temistokles podszedł do burty, żeby się przekonać, kto jest kolejnym gościem. Następnie podał przybyszowi rękę i wciągnął go na pokład. Po chwili na deskach stanął Kimon, tak energiczny i gibki, że Ksantyppos poczuł się przy nim jak zmurszały staruszek.

Na okręt flagowy Sparty wezwanych zostało w sumie dziesięciu najwyższych rangą dowódców. Ksantyppos ruszył za Temistoklesem do kabiny pod pokładem.

Przy wąskim stole stały tam dwie ławy, z sufitu zwisała mała lampa, która rzucała słabe złote światło na zebranych. Strateg znowu stłumił ziewnięcie, siadając na ławce. Tego dnia walczył przez wiele godzin i nie pamiętał już, ile razy jego triera atakowała okręty Persów. Doszedł do wniosku, że gdyby w tej chwili spróbował to policzyć, na pewno zapadłby w sen.

Przygryzł wargę na tyle mocno, aby go zabolalo, ponieważ musiał zachować przytomność umysłu. Bardzo chciał dopilnować teraz załogi na swoim okręcie, ale obowiązek wymagał od niego stawienia się u Eurybiadesa. Epikleos i trierarcha mogli z powodzeniem sami zajmować się opatrywaniem ran i naprawami. On sam jedynie prowadził ludzi do boju. Niemniej czuł się rozdarty. Bardzo zżył się z załogą i wyczuł jej zaskoczenie, kiedy przyплыnęła łódź i zabrała go na inny okręt.

– Gratuluję – odezwał się Eurybiades. Stał przed nimi, poważny jak nauczyciel.

– Poczęstujesz nas winem? – zapytał niespodziewanie Temistokles, może tylko po to, żeby wejść mu w słowo.

– Resztki zużyliśmy do przemywania ran – odparł tamten i wzruszył szerokimi ramionami.

Chciał kontynuować, ale Temistokles mu na to nie pozwolił.

– Co takiego? Mój drogi, mogłeś mi powiedzieć! Przywiózłbym wino, nawet gdybym sam miał teraz pić. Kiedy pomyślę, że jutro znów będę się bić, a wcześniej się nie napiję... Walka nie sprawi mi radości, jeżeli myśląc o was, nie będę miał w żyłach chociaż odrobiny wina.

Eurybiades powoli zamrugał, a Temistokles jeszcze przez chwilę gadał od rzeczy. Spartanin nigdy nie potrafił zrozumieć tego Ateńczyka, a dzisiejszej nocy ta próba była tym bardziej daremna. Temistokles był zmęczony i po chwili umilkł, tłumiąc ziewanie. Nauarcha jeszcze przez moment wpatrywał się w niego z namysłem.

– Jeżeli masz nadmiar wina... z ochotą przyjmę kilka bukłaków – powiedział powoli. – Może jeszcze przed świtem zdołasz przysłać do nas łódź? Ale nie w tej

sprawie cię zaprosiłem.

Ksantyppos zauważył, że słuchając Spartanina, Kimon pochylił się do przodu jak pies myśliwski. On sam siedział wyprostowany, a tymczasem powoli spłynęła na niego fala snu, tak że bał się, iż całkowicie się w niej pograży. W kajucie było ciepło, zbyt ciepło, na tym polegał problem... Ocknął się, kiedy Temistokles, niewiele się namyślając, mocno poklepał go po ramieniu. Spartanin tymczasem kontynuował:

– Niedawno dostałem wieści od moich ludzi. Król Leonidas zajął pozycję na jedynym przejściu prowadzącym przez góry. Wyda bitwę Persom, kiedy się pojawią.

– Może ich powstrzymać? – zapytał ostro Temistokles. – Jedyne przejście stanowi ścieżka wzdłuż wybrzeża. Znam ją dobrze. Jest odrobinę szersza, niżbym pragnął, jeżeli jednak spartańska armia postanowi jej bronić, ma szansę na sukces. Czy twoi posłańcy przekazali już wiadomość Arystydesowi i hoplitom, którzy opuścili Ateny?

Ku zaskoczeniu wszystkich Spartanin nie odpowiedział od razu. Wyglądał na zirytowanego i przygryzał wargę. Ksantyppos widywał u niego większą pewność siebie.

– Według posłańca król Leonidas nie ma ze sobą całej armii. Stoi na czele osobistej straży i kilku tysięcy... innych ludzi, sprzymierzeńców oraz helotów.

Zapadła krótka cisza, którą Temistokles przerwał pytaniem:

– Dlaczego?

– Armia nie może podejmować działań w czasie święta Apollina.

– Obchodziliśmy je w Atenach przed tygodniem – powiedział Temistokles znacznie głośniej niż zazwyczaj. – Czyżby twój król wyruszył z zaledwie kilkoma tysiącami wojowników naprzeciw całej armii perskiej?

– Dał słowo, że powstrzyma najeźdźców – odparł Eurybiades. – Jeżeli Leonidas będzie musiał samotnie zmierzyć się z Persami, tak właśnie postąpi. Chciałbym być u jego boku, gdyby obowiązki nie trzymały mnie tutaj! Jest moim królem! – Przetarł dłonią twarz, tak mocno, że palce pozostawiły na niej blade

pręgi. – Armia opuści Spartę za trzy dni, po święcie Apollina. Taka jest wola bogów. – Popatrzył groźnym wzrokiem po zebranych, jakby spodziewał się ich sprzeciwu. Nikt się jednak nie odezwał, co go uspokoiło. – Mamy za sobą dobry dzień. Przypuszczam, że zatopiliśmy lub zdobyliśmy przynajmniej osiemdziesiąt okrętów. Sami straciliśmy około czterdziestu, razem z załogami. Moje triery znajdowały się w sercu walki i na własne oczy widziałem, jak cztery zostały staranowane i zatoneły. Razem z ludźmi, którzy byli moimi przyjaciółmi i braćmi. To czwarta część naszej floty.

– Jutrzejszy dzień będzie dla nas równie dobry – niespodziewanie odezwał się Kimon.

Osiągnął tylko tyle, że Spartanin zrobił zachmurzoną minę. Ksantyppos popatrzył na młodzieńca, a następnie na Eurybiadesa, obawiając się gwałtownej kłótni.

– Nie – rzucił nauarcha stanowczo. – Nasze straty są zbyt duże. Jeżeli ich nie ograniczymy, jeżeli podejmiemy walkę i osiągniemy takie wyniki jak dzisiaj, wkrótce z naszej floty nic nie zostanie, a Persowie wciąż będą dysponować setkami okrętów. Czy ktoś z was widział kiedyś taką flotę jak ta, która przyплыnęła z Persji?

– Nigdy nie przypuszczałem, że nadejdzie dzień, kiedy Spartanin będzie doradzał, by odwrócić się plecami do wroga – powiedział Kimon cicho.

Temistokles siedział wystarczająco blisko młodzieńca, by położyć mu dłoń na ramieniu i nakazać w ten sposób milczenie. Eurybiades zastygł w bezruchu. Rękę, którą opierał na stole, zacisnął w pięść, przez co napięły się mięśnie jego lewego ramienia.

– Gdybyś wiedział o wojnie trochę więcej – odezwał się – wiedziałbyś też, że przywódca może w niesprzyjających okolicznościach się wycofać, nie plamiąc swojego honoru. Może zabrać swoich ludzi w uporządkowanym szyku, aby przystąpić do walki wtedy, kiedy szanse na zwycięstwo będą większe. Kiedy teren będzie bardziej sprzyjał jego taktyce, kiedy dołączą do niego dodatkowe oddziały. Jesteś młokosem i na tyle nieopierzonym, że nie wiesz, jak się do mnie

zwracać. Sugeruję, żebyś skorzystał z ostrzeżenia Temistoklesa. Zapanuj nad sobą, chłopcze.

Kimon podjął decyzję, zanim Spartanin skończył mówić. Skinął głową, a Temistokles cofnął rękę. Eurybiades kontynuował powoli i precyzyjnie, ważył każde słowo.

– Widzieliśmy, jak wielka jest perska armia, która maszeruje na południe do Aten, w stronę Peloponezu. Na jej drodze stoi król Leonidas, chociaż na razie dowodzi tylko swoją strażą i kilkoma tysiącami ludzi. Nie utrzyma przejścia w Termopilach, powstrzyma Persów tylko na krótki czas. Ile dni minie, zanim Persowie dotrą również do Sparty? Jeżeli dzisiejszej nocy wycofamy naszą flotę, przed świtem będziemy w stanie bronić półwyspu, na którym leżą Sparta i Korynt. Wtedy król Leonidas nie odda życia na próżno. Znam to wybrzeże równie dobrze jak własny dom. Wiem, w którym miejscu będziemy mogli zatrzymać perską flotę i uniemożliwić jej przybicie do brzegu.

– Zatem uniemożliwimy Persom najazd na Spartę i Korynt – powiedział Temistokles zimnym głosem. – A co z Atenami?

– Nie możemy ich ocalić – rzekł Eurybiades. – Widziałeś perską flotę, widziałeś nieprzebrane zastępy ich żołnierzy maszerujących wzdłuż wybrzeża. Nigdy dotąd nie widziałem tylu ludzi gotowych w każdej chwili do walki. Ateny... Aten już nie ma. Musisz zdać sobie z tego sprawę.

Temistokles natychmiast zapomniał o wszelkiej ogładzie. Oparł się pięściami o stół i wbił wzrok w Eurybiadesa. Mogło się wydawać, że w małej kajucie są tylko oni dwaj.

– Nie możemy ocalić Aten, ponieważ wasza armia nie ruszy się w czasie święta – powiedział cicho. – Twój król Leonidas przysiągł, że Sparta dołączy do Aten i Koryntu oraz naszych pozostałych sprzymierzeńców na lądzie, jeżeli zatrzymamy Persów na morzu. Właśnie tak się umówiliśmy.

– Nigdy nie wątp w przysięgę mojego króla – odparł Spartanin groźnym tonem. – Raczej odda życie, niż jej nie dotrzyma. Nie zaryzykuje swojego honoru i przychylności bogów. Nie mów już więcej o Leonidasie! Nawet jeśli cały świat

się zawali, on wciąż będzie czekał na przełęczy, aż podejdzie wróg! – Nieznacznie uniósł się z ławy, ale szybko nad sobą zapanował i usiadł. Wygładził płaszcz na piersiach. Po chwili odezwał się ponownie, znacznie spokojniej. – Moim jedynym zmartwieniem jest nasza flota, która musi się przeciwstawić takiej liczbie okrętów, jakiej do tej pory nawet sobie nie wyobrażałem. Gdyby rozbiła ostatni nasz okręt, w jakiej sytuacji znalazłyby się Ateny? Co stałoby się ze Spartą, gdyby zabrakło moich trier, aby bronić wybrzeża? Dzisiaj straciłem czwartą część naszej floty. Jeśli to powtórzy się jutro... – Nagle umilkł, jakby zdał sobie sprawę, że niepotrzebnie wciąż polemizuje z Ateńczykiem. Kontynuował innym tonem: – Jako nauarcha połączonej floty mam dla was jasne rozkazy. Wraz ze wschodem słońca wycofamy się z walki. Możecie posłać wiadomości do Aten, jeśli chcecie. Przekażcie mieszkańcom, żeby uciekali w stronę Peloponezu. Tam postawimy barykady, na ziemi i na morzu.

– Nie – zaprotestował Temistokles. W jego głosie zabrzmiała ogromna pewność i nawet się uśmiechnął, kiedy Kimon i Spartanin popatrzyli na niego ze zdumieniem. – Możesz zabrać ze sobą okręty Sparty i Koryntu – ciągnął – ale ateńskie z nimi nie popłyną. Nie na takich warunkach. Każdy dzień naszych zwycięstw na morzu opóźnia perskie plany, jakiegokolwiek one są. To nie podlega dyskusji. Muszę się sprzeciwić twojemu rozkazowi, nauarcho. Według mnie bardzo się mylisz. Dlatego okręty Aten pozostaną i podejmą walkę. Wytrwamy przynajmniej tak długo jak twój król Leonidas na przełęczy.

– Pozostaną także okręty z Koryntu – rozległ się inny głos.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na ich dowódcę. Kiedy Eurybiades wbił w niego gniewny wzrok, tamten jedynie wzruszył ramionami.

– Nie uczestniczyliśmy w dzisiejszej bitwie – wyjaśnił. – Nie wrócę do domu, dopóki nie damy się we znaki perskim najeźdźcom. Wystaw nas jutro w pierwszej linii i pozwól nam zaatakować. Poślemy tych łotrów na dno morza.

Inni zaczęli szemrać pod nosem, wspierając Koryntczyka. Eurybiades gwałtownie machnął ręką, uciszając ich.

– Albo dowodzę tą flotą, albo nie. Jak to więc wygląda, Ateńczyku?

Temistokles milczał i odczekał, dopóki Spartanin nie zyskał pewności, że nikt mu nie odpowie. Eurybiades zrobił minę, która miała wyrażać urażoną godność, ale jego złość jakby zanikała. Szarpnął czerwony płaszcz, gotów wstać.

– A więc jutro to ty dowodzisz – zwrócił się do Temistoklesa. – Tak jak zapewne dowodziłeś dzisiaj. W wojennym czasie nie posunę się do gróźb, Ateńczyku. Ale jeżeli przetrwamy, znajdziemy spokojne miejsce i w pełni zademonstruję ci moje zastrzeżenia.

– Doskonale – odparł Temistokles. Wstał, podobnie jak Spartanin. Z szacunku, ale również na wypadek, gdyby Eurybiades rzucił się na niego i musiałby się bronić. Złość nauarchy widoczna była w jego twarzy i w każdym ruchu, mimo że nad sobą panował. Wyszedł z kajuty i napięcie opadło. Wszystkie spojrzenia powędrowały w stronę Temistoklesa. – Eurybiades to dobry człowiek... sędzę jednak, że jego ocena jest wypaczona, gdyż bardzo się martwi o swojego króla. Nie pomożemy Leonidasowi, wycofując się, powinniśmy raczej uzupełnić jego zmagania na lądzie. Pozostaniemy w boju, kiedy on będzie walczył o utrzymanie przełęczy. Damy armii na lądzie czas na przygotowania. – Drgnął, jakby poruszony własnymi słowami.

Ksantyppos dostrzegł, ile wysiłku kosztowało Temistoklesa przywołanie uśmiechu na twarz i przemówienie racjonalnym tonem, bez emocji.

– A teraz niech ktoś zagwiżdże na moją łódź. Jutro oczekujcie sygnałów. W tej chwili otaczamy wroga ze wszystkich stron. Czeka go z nami ciężka przeprawa. Sprawdźcie zapasy wody pitnej i dopilnujcie, żeby ludzie dobrze się najedli. Kto może, niech się wyśpi. – Zwrócił się do dowódców: – Jutro znów podejmiemy walkę. Koryntczycy zaatakują w pierwszej linii. Spartanie i Ateńczycy będą was uważnie obserwować.

Wszyscy wyszli na pokład i minęli spartańskich strażników lustrujących morze. Ksantyppos zauważył, że Temistokles pochyla się do ucha Kimona, i zatrzymał się przy nich, czekając na swoją łódź.

– Wiesz, Kimonie – odezwał się Temistokles – dlaczego zacni ludzie muszą skończyć trzydzieści lat, zanim zostaną epistatesami lub sędziami albo zanim

obejmą stanowisko w radzie?

– Przepraszam, ja... – zaczął młodzieniec.

Temistokles mu przerwał.

– Dlatego, że lata po dwudziestce to najbardziej niebezpieczny okres w życiu mężczyzny. Nie jest już chłopcem. Uważa, że jest dojrzały, że może być ojcem i mężem, że potrafi prowadzić rzeczowe i mądre dyskusje. Ma rację, ale jednocześnie się myli. Jeżeli ciężko pracuje, zdobywa kwalifikacje, które uczynią go wspaniałym człowiekiem. Lecz brakuje mu jeszcze mądrości i doświadczenia, aby racjonalnie się nimi posługiwać. Młodzieniec na przykład za dużo pije. Zachowuje się... nierozważnie, a bywa nawet, że posuwa się do kłótni ze spartańskim nauarchą na pokładzie jego okrętu.

– To ty się z nim sprzeczałeś – zaprotestował Kimon, a w jego głosie pojawił się cień złości.

Temistokles pokiwał głową.

– Tak, zgadza się.

Odczekał, aż do chłopaka dotrze, że nie w tym tkwi sedno sprawy, i Kimon się uspokoi.

– Przepraszam – powiedział młodzieniec.

– Twój ojciec byłby dumny z tego, w jaki sposób dojrzewasz, Kimonie. Nie mogę się doczekać, kiedy po raz pierwszy przemówisz na zgromadzeniu w wolnych Atenach. Modłę się, abyś zyskał taką szansę. – Temistokles usłyszał, że łodzie dobijają do burty, i wychylił się na zewnątrz. Skinął głową wioślarzom. – Jutro czekaj na moje sygnały – powiedział. – To będzie długi dzień, a twój ojciec będzie uważnie oglądał z góry rozgrywające się wydarzenia. Nie możemy przepuścić Persów. Leonidas powstrzyma ich armię na przełęczy. Każdy dzień, kiedy blokujemy ich na morzu, opóźnia połączenie perskich sił morskich i lądowych, a tym samym ich atak na nasze miasto. Arystydes jest już gotowy do walki, ze wszystkimi naszymi hoplitami i ze wszystkimi naszymi nadziejami. Spartanie i Koryntczycy do niego dołączą, kiedy tylko będą gotowi. Koniecznie musimy zyskać dla nich czas.

46

O świcie Kserkses obserwował powracających zwiadowców. Przybiegli do niego bez wysiłku, lecz kiedy znaleźli się przed obliczem króla i padli przed nim na piaszczystą ziemię, ich twarze zdradzały konsternację i strach. Dzień był zimny i król zadrżał, omiatany wiatrem od morza, który przenikał pomiędzy zastępami jego wojowników.

– Mówcie – zażądał.

Mardoniusz także zeskoczył z konia, głodny nowych informacji. Przez cały dzień Persowie posyłali Grekom, którzy czekali na przełęcz, liczne wiadomości i propozycje kapitulacji. Przecież bezcelowe oddawanie życia nie miało sensu. Spartanie byli znani z waleczności i Kserkses miał nadzieję na pokojowe porozumienie, chociażby po to, żeby spotkać się z królem, który stał wśród swoich ludzi z włócznią i tarczą, a jego hełm ozdabiał wysoki grzebień z końskiego włosia. Jeden z posłańców podniósł się szybciej niż dwaj pozostali. Władca ruchem ręki nakazał mu, żeby się odezwał.

– Wasza Wysokość, nie posłuchali cię i się nie wycofali. Tkwią w miejscu, zajmując najwęższy fragment przesmyku.

Kserkses wydał usta, po czym przygryzł delikatną skórę po wewnętrznej stronie wargi. Dotąd uważał, że mógłby wykonać wspaniałomyślny gest, godny ojca, i oszczędzić życie niewielkiej grupie żołnierzy wystawionej przeciwko jego armii. Przecież to oczywiste, że było ich za mało, aby go zatrzymać. Po lewej stronie mieli urwiste klify, a po prawej głębokie morze.

– Co robią? Po prostu... tam stoją?

– Jeden drugiemu splata włosy w warkocze, Wasza Wysokość.

Nastąpiła absolutna cisza. Persowie postanowili milczeć i nawet nie patrzeć na reakcję króla. Kserkses odezwał się dopiero po długiej chwili.

– Powiedzieliście im, że nasze strzały zasłonią im słońce? – zapytał cichym głosem.

Zobaczył, że posłaniec trzęsie się, jakby w porannym chłodzie złapał febrę.

– Wasza Wysokość, ich król odpowiedział, że to dobra wiadomość, ponieważ wolą walczyć w cieniu.

Kserkses pokiwał głową.

– Jestem synem mojego ojca – powiedział, podnosząc głos. – Wyruszyłem na wojnę, aby cały świat zadrżał u moich stóp. Nie kieruje mną pragnienie zemsty ani złość. Po prostu sam bóg orzekł, że powinienem panować. Czcząc pamięć ojca, zamierzałem okazać Spartanom litość. Ale od tej chwili nie mogą już na nią liczyć. Dość! – Zwrócił się do Mardoniusza z krzywym uśmiechem. Jego twarz wyglądała, jakby ją ulepiono z wosku. – Wodzu, zasłoń słońce, tak jak obiecałem. Jeśli któryś z nich przeżyje, pošlij na nich hazardabamy, tysiąc po tysiącu. Zapelnij przełęcz naszymi wojownikami i wybij wrogów do nogi. Nie bierz jeńców, nie okazuj litości. Spartanie z niej zrezygnowali. Wdepcz ich w ziemię, zmiażdż tych, którzy ośmielili się stanąć przeciwko mnie. Niech nic z nich nie zostanie.

Mardoniusz wyszczerzył zęby i skinął głową. Maszerował miesiącami, żeby tu dotrzeć. Wreszcie miał przed sobą wroga i jasny cel.

– Dziękuję, Wasza Wysokość. Tak postąpię.

Po chwili oddziały łuczników ruszyły biegiem, a ich kroki na szarych kamieniach wybrzeża rozległy się głośnym stukotem. Kserkses żałował jedynie, że nie zobaczy twarzy Spartan, kiedy zrozumieją, że słowa, które kierował do nich przez posłańców, nie były czczymi pogrózkami. Miał tysiące łuczników, a każdy niósł w kołczanie trzydzieści strzał. Naprawdę mogli zakryć słońce.

Spojrzał w stronę klifów. Chciałby oglądać rzeź Greków, ale w pobliżu nie było żadnego stanowiska obserwacyjnego. Ciemne granie wyrastały w górę jak

groźne ostrza i nie sposób było się na nie wspiąć, a z drugiej strony fale morskie z hukiem rozbijały się o brzeg. Walka miała się rozegrać w wąskim przesmyku pomiędzy graniami a morzem. Obrońców należało stamtąd po prostu zmieść.

Dostrzegł floty na morzu. Bładym świtem Kserkses przygotował się duchowo na ciężki dzień, na gwałtowną bitwę, bezlitosną i dziką walkę. Tak, to on przyprowadził armię aż na to niegościnnie, zimne wybrzeże, ale ich zadaniem było zrealizowanie przysięgi i obietnicy jego ojca. Perska rodzina królewska aż za dobrze pamiętała Hellenów. Kserkses poczuł ostre ukłucie dumy.

* * *

Okręty korynckie fatalnie zwały się z pierwszą linią perskich galer. Zanim Temistokles z furią nakazał im się wycofać, jedna trzecia poszła na dno. Pozwolił wypocząć tym, którzy przeżyli, a posłał do boju świeże triery ateńskie, mimo że serce biło mu z ogromną trwogą na myśl, jakie straty czekają jego rodaków. Sprzymierzone miasta wysłały na wojnę niewiele jednostek, na dodatek słabo obsadzonych, posiadając zaś niemal dwieście trier z kompletnymi załogami, Ateńczycy byli na morzu dosłownie zgromadzeniem – ogromną grupą wolnych obywateli. Pozostawili w mieście swoje kobiety i dzieci, starców, niewolników i metojsków. Każdy mężczyzna, który był w stanie unieść miecz i tarczę, znajdował się teraz na jednym z okrętów albo wymaszerował razem z Arystydesem. Dla żadnej triery nie było już bezpiecznej przystani, a ludzie Arystydesa nie mieli dokąd uciekać. Musieli zwyciężyć, bo w przypadku przegranej groziła im utrata wszystkiego, co ich ukształtowało, strata nie tylko życia, ale i tożsamości.

Temistokles był twardy, doskonale to o sobie wiedział. Widywał już śmierć we wszystkich przejawach i nie sądził, żeby mógł jeszcze kiedyś nad czyimś losem zapłakać. A jednak wstrzymał oddech, kiedy zobaczył, jak w ateński okręt uderza perski taran, niemal w mgnieniu oka go zatapiając. Część galer po takim ciosie wywracała się do góry dnem, inne po prostu osuwały się pod wodę.

Mały dramat dość szybko się skończył. Pers się wycofał i odpłynął, nie niepokojony, a tymczasem na tonącej greckiej galerze rozlegały się jeszcze krzyki i modlitwy, dopóki morze nie pochłonęło ostatnich żywych marynarzy, którzy do końca pozostali na pokładzie. Kiedy okręt Temistoklesa mijał to miejsce, na wodzie unosiło się zaledwie kilku ludzi. Jego ludzi. Nieruchomych, martwych, z twarzami skierowanymi w dół.

W ich imieniu zadrzał z wściekłości i rozpacz. Dzisiaj nie wystarczało walczyć lepiej niż Persowie. Straszna i tragiczna prawda polegała na tym, że niezależnie od tego, jak dzielnie sobie poczynały ateńskie załogi, składały się przecież tylko z ludzi, których dopadało coraz większe zmęczenie i działali z coraz mniejszą energią. Mijały kolejne godziny, a pewna załoga, która dokonała już abordażu na trzy okręty, staranowała dwa następne i dobrych parę razy uniknęła zatonięcia, musiała stanąć naprzeciwko świeżej perskiej galery, napędzanej przez wiosłarzy z wielką siłą i zuchwałością. Bohaterowie mieli zginąć na skutek wycieńczenia.

Temistokles podziękował bogom, że ma przy sobie Ksantypposa. Jedyną właściwą reakcją było przywołanie całej grupy okrętów, aby wypoczęte załogi zastąpiły te najbardziej wymęczone. Na otwartym morzu Persowie mogliby łatwo pokonać Greków. W cieśninie dowódca Kserksesa mieli problem. Dysponowali zbyt małą przestrzenią, aby skutecznie manewrować, a posiłki znajdowały się za rufami galer pozostających w boju, co oznaczało, że musiały one walczyć tak długo, aż ich załogi zginęły, a okręty zatoneły. Sytuacja się pogarszała, gdyż na wodzie zaczynał panować tłok, możliwości przychodzenia z odsieczą blokowały zniszczone lub płonące kadłuby, a na powierzchni wraz ze szczątkami okrętów unosiły się liczne zwłoki.

Późnym popołudniem Temistokles, wywieszając na dziobie swojej triery kilka kolorowych flag, nakazał Ksantypposowi wycofać się z pola bitwy wraz z grupą okrętów. Każdy trierarcha podniósł własną flagę, dzięki czemu wszyscy mogli zachować porządek w trakcie przegrupowania i uniknąć przypadkowych kolizji. Opuszczali teren działań jako weterani, z krwią na pokładach, ciężko dyszący

i zmęczeni, ale wciąż dumni. Wiwatowali i wznosili włącznie na cześć Temistoklesa, kiedy odpływali na zasłużony odpoczynek.

Okręty dowodzone przez Kimona przemknęły pomiędzy nimi i to one przyjęły na siebie impet świeżych perskich załóg. Ateny były kluczowym elementem floty i właśnie Ateńczycy musieli zmagać się z wrogiem niemal bez przerwy. Niszczyli Persów bez litości, ale sami ponosili znacznie większe straty niż pozostali sprzymierzeni.

Temistokles zauważył, że nawet najłżejsze dotknięcie brzucha wywołuje u niego ból żołądka, a mięśnie pieką go od nieustannego stania na pokładzie i śledzenia w ogromnym napięciu losów bitwy. Persowie chyba wiedzieli, że obserwuje ich król, że ich armia walczy tuż przy wybrzeżu, aby przedostać się na równinę rozciągającą się za pasmem gór. Byli straszni w swojej zaciekłości. Niektórzy nie zważali na to, że zbliżając się do pola walki, łamią wiosła swoich trier, że pod pokładami giną bezradni wiosłarze, a wielu walczyło nawet wtedy, gdy ich okręty tonęły i woda zimna jak lód moczyła już ich nogi. Kilka galer utknęło na płyciźnie. Były częściowo zanurzone i wyglądały jak statki widma. Znajdujący się na nich perscy wojownicy brodzili w wodzie, dopóki nie dosięgły ich strzały greckich łuczników. Ale bywało też tak, że Grecy mijali upiorne wraki, nie przejmując się losem Persów uwięzionych na ich pokładach.

Temistokles zorientował się, że Kimon doskonale panuje nad swoimi załogami. Nawet kiedy jego własna triera przyśpieszyła, aby staranować jakiś samotny perski okręt, obserwował, jak galera tamtego zatrzymuje się i cofa z dużą szybkością. Wiosłarze pod pokładem pracowali bez wytchnienia, ale mogli się tylko modlić, żeby dowódcy, którzy wydawali im rozkazy, potrafili bezbłędnie oceniać sytuację na morzu. Triery były niezwykle szybkie na spokojnych wodach, mknęły, tnąc niskie fale niczym ostre sztylety. Temistokles szeroko się uśmiechnął, kiedy Kimon pozwolił wrogowi ustawić się bokiem do jego okrętu, po czym nakazał załodze się rozpędzić i staranować galere, uderzając w sam środek burty. Był to śmiertelny cios. Taran wniknął głęboko, ale

po chwili, dzięki intensywnej pracy wioślarzy, okręt Kimona oderwał się od wroga.

Temistokles przytrzymał się żerdzi, kiedy jego okręt też uderzył w perską galerę. Nie na tyle mocno, żeby nadwerężyć jej konstrukcję, chociaż miał wrażenie, że kadłub w kilku miejscach pękł. Wrogowie jednak na to nie zważali i przygotowywali się, aby przeskoczyć na jego trierę. Zanim trierarcha zdążył wydać wioślarzom rozkaz wycofania się, kilku Persów wylądowało na pokładzie. Byli młodzi, natychmiast ruszyli na Temistoklesa, ignorując hoplitów, którzy pojawili się za ich plecami. Ten mocniej wbił hełm na głowę i podniósł długą włócznię, która leżała u jego stóp. Tarcza znajdowała się za daleko, dlatego w drugą rękę chwycił miecz i spokojnie czekał.

Pers, który zaatakował go pierwszy, uśmiechał się z zadowoleniem. Nie spodziewał się, że w pokład pomiędzy jego nogami wbije się włócznia, która zakłóci jego ruchy. Pierwszy cios, jaki zamierzał zadać, zamienił się w chaotyczny wymach ręką w celu odzyskania równowagi. Jego oczy się rozszerzyły, kiedy Temistokles wbił mu krótki miecz w szyję. Następnie cofnął się i pozwolił ciału upaść na pokład. Stracił jednak włócznię; uświadomiwszy to sobie, głośno zaklął. Ruszyło na niego trzech kolejnych przeciwników, zginęli jednak, otrzymawszy szybkie, precyzyjne cięcia w plecy. Temistokles pokiwał głową, dziękując niezastąpionym hoplitom.

Część Persów dawała jeszcze oznaki życia, kiedy wyrzucano ich za burtę. Jeden spróbował złapać za nogę hoplitę, kiedy ten go kopnął, ale nic nie zyskał, ponieważ Grek szybkim ruchem poderżnął mu gardło. Reszta perskiej załogi obserwowała ich, wyjąc i wygrażając z frustracją pięściami, lecz przestrzeń pomiędzy nimi była już zbyt duża, aby ludzie ze staranowanej triery mogli myśleć o abordażu i odwecie. Kilku chwyciło za łuki, dlatego Temistokles sięgnął w końcu po tarczę i przykucnął za nią. Usłyszał, jak strzały uderzają w metal, gdyż załoga postąpiła tak samo; wciąż znajdowali się w zasięgu perskich łuczników. Wykrzywił się w złości. Okręty dzieliło już czterdzieści kroków. Widział, jak morze z sykiem, lecz bardzo powoli wdziera się pod pokład

uszkodzonej jednostki Persów. Zorientował się, że wysoka fala uniosła na chwilę ich taran, przez co uderzyli w perską trierę odrobinę powyżej linii wody zamiast poniżej. Połamane elementy znajdowały się tuż nad jej lustrem. Pozostawieni w spokoju Persowie mogliby załatać dziurę chociażby kawałkami żagla i wiadrem smoły.

– Prędkość do taranowania! – krzyknął z całych sił. – Przygotować tarcze i włócznie. Uderzymy w nich jeszcze raz.

Leonidas popatrzył na ziemię, z której gęsto sterczały perskie strzały, przypominając świńską szczecinę albo łodygi lawendy. Rzucił tarczę jednemu z helotów, aby wyrwał z niej te, które wbiły się w jej powierzchnię.

Waleczny król rozciągnął ramiona, po czym popatrzył w lewo i w prawo na wojowników w grubych czerwonych płaszczach, którzy stanowili jego osobistą straż. Każdy miał ponad czterdzieści lat i był ojcem przynajmniej jednego Spartanina, który pozostał bezpieczny i spokojny w swoim domu, podczas gdy on ruszył na bitwę i bronił króla. Równie ważne było to, że każdy z członków straży królewskiej musiał przejść wiele prób, aby zasłużyć na miejsce u boku Leonidasas. Znał ich przez całe życie, wszystkich. Byli jego rodziną. Król znał każdą dolegliwość, ranę, wszystkie zalety i wady każdego z tych ludzi.

Z zadowoleniem stwierdził, że nawała strzał nie uczyniła wielkich szkód. Każdy Grek wyposażony był w okrągłą tarczę, na tyle szeroką, że mógł za nią przykucnąć i chronić całe ciało. Na bardziej otwartym polu mogliby wyczekać na dobry moment, aby ruszyć do przodu i rozbić zastępy łuczników, lecz w nadmorskim przesmyku taki ruch by sprawił, że utraciliby dobrą pozycję w jego najważniejszym miejscu.

Leonidas powtórzył rozkazy. Nie zamierzał wyprowadzać kontrataków ani tolerować dzikich wypadów, nawet gdyby udało się rozbić wroga i zmusić do desperackiej walki o życie. Pod jego dowództwem Spartanie mieli jedynie utrzymać przejście. Zadanie było proste, miało swój początek i koniec.

Król wiedział, że wojownicy są zaniepokojeni; wyczuwał to przynajmniej wśród swojej straży i periojków. Widział, że troska maluje się także na twarzach pozostałych ludzi, bo stopniowo docierało do nich, co mają zrobić i w jakich okolicznościach. Koryntczycy i Tespijczycy spodziewali się, że dołączą do armii Sparty i Aten, a nie do niewielkich sił, których celem będzie obrona przełęczy przed taką rzeszą najeźdźców, że wręcz niemożliwe okaże się określenie ich liczebności.

Walecznego króla ogarnęło poczucie winy. Nikt z jego towarzyszy nie wiedział, że przybył tutaj, aby umrzeć. Był spartańskim mistrzem miecza, potomkiem półboga. Bez żalu wybrał własny los. Tymczasem przesmyk na wybrzeżu okazał się szerszy, niż przypuszczał. Potrzebował wszystkich tych ludzi, żeby go utrzymać, chociażby w największym miejscu.

Widział, jak perscy łucznicy się wycofują. Piaszczysty grunt zaścięłały dziwne porosty znajdujące się na grotach ich strzał, a popękane drzewce leżały w pobliżu skał, w które uderzyły z impetem.

Persowie naprawdę na kilka chwil zasłonili słońce. Spartanie i ich sprzymierzeńcy jednak nie ustąpili, obojętni wobec spadającego na nich śmiertelnościanego gradu. Kiedy atak się skończył, heloci zaczęli wiwatować, aby pokazać wszem i wobec, że wciąż żyją. Było to dobre uczucie.

Leonidas obserwował, jak przełęcz od północy zaczyna się wypełniać maszerującymi wrogami. Widział, jak idą z chorągwiami i z bębniarzami. Ubrani byli w zdobione płaszcze i nieśli wysokie, wydłużone tarcze. A także miecze, którymi zamierzali dźgać przeciwników. Pokiwał głową. Zdyscyplinowane, dobrze wyekwipowane wojsko. Dziesiątki razy stawał już przeciwko takim wojownikom. A wciąż żył i miał walczyć kolejny raz.

W prawej ręce trzymał długą włócznię, za pasem miał miecz i kopis. Bronią mógł być także hełm, kiedy atakował niczym byk, oraz tarcza, którą helota umieścił na jego lewym ramieniu. Pokręcił głową i poczuł, jak trzaskają kości w jego karku. Nie był już młody.

- Podziękujmy Apollinowi i Aresowi za tę sposobność! – zawołał przez ramię.
- Już nie możemy się wycofać. Tutaj umrzemy.

Persowie ruszyli biegiem, napierając frontem o szerokości od sześćdziesięciu do osiemdziesięciu ludzi, za którym znajdowały się dziesiątki kolejnych szeregów. Wydawało się, że zamierzają rozbić Spartan i periojków, zetrzeć ich z powierzchni ziemi jednym mocnym uderzeniem. Leonidas tupnął. To była jego ziemia, on tutaj panował. Poczuł, że krew się w nim burzy, kiedy pierwszy rząd Spartan ustawił tarcze i wzniosł włócznie, tworząc jakby ciernisty mur. Każdy członek królewskiej straży był mistrzem w posługiwaniu się własną bronią, zahartowanym w bitwach i na ćwiczeniach. Teraz blokowali przesmyk i wydawało się, że ustawili w poprzek żelazną sztabę.

* * *

W Termopilach słońce zaszło wcześniej dla ludzi, którzy stali w cieniu rzucanym przez góry. Kserkses widział wielkie wstęgi złota, wciąż oświetlające morze, iluminujące okręty w ich morderczych zmaganiach; przypominały wojowników, którzy przywarli do siebie i nie zamierzają się oderwać. Kończył się kolejny dzień i jakby nienaturalny blask padał na perską armię, która miała oczyścić drogę przez wąski przesmyk.

Król nie mógł zrozumieć, dlaczego wciąż nie słyszy wiwatów, okrzyków radości, dlaczego jego oddziały nie posuwają się do przodu. Mardoniusz posłał do boju Asyryjczyków, potem hazardabamy Medów. Kserkses usłyszał odgłosy rozpoczynającej się bitwy, a później wrzaski bólu, rozpacz i wściekłości przebijające się przez szcęk metalu. Wzgórza po jego prawej ręce zwielokrotniały wszystkie dźwięki, przez co powracały do niego głośnym echem. Takie hałasy znał już od kołyski i właściwie działały na niego kojąco. Ale wciąż nie słyszał trąb obwieszczających zwycięstwo ani śpiewów żołnierzy na swoją cześć, a teraz chodziło mu tylko o to.

Zobaczył ciała unoszące się na falach. W pierwszej chwili pomyślał, że to jakiś dywan z morskich wodorostów albo mnóstwo połamanych wiosł. Ale wreszcie dostrzegł pomiędzy nimi czerwony kolor krwi rozlewającej się w wodzie jak gęsta chmura. Podprowadził konia bliżej brzegu i ujrzał setki zwłok leżących na powierzchni jak grube polana, głowa przy głowie, stopy przy stopach lub na odwrót, twarzami w dół lub w górę. Zmarli nie mieli czerwonych płaszczy, a przynajmniej on ich nie zauważył. Zadrżał w siodle, zastanawiając się, ile ciał zabrało już morze, jak wiele całkiem zniknie, bo rozszarpią je i pożrą dziwne stwory zamieszkujące głębiny.

Wezwał posłańca, starając się nie okazywać, z jaką desperacją czeka na wiadomości.

– Biegnij do Mardoniusza. Powiedz mu, że chcę wysłuchać jego raportu.

Chłopak pobiegł i wkrótce Mardoniusz dołączył do króla. Stary wódz sprawiał wrażenie wymęczonego, a wory pod jego oczami wydawały się ciemniejsze i większe niż kiedykolwiek. Kserkses pozwolił mu zeskoczyć z konia i paść płasko na ziemię. Na razie nie był pewien, czy tamten zasługuje na pochwałę czy na krytykę.

– Dlaczego jeszcze się nie przebiliśmy? – zapytał wyważonym, spokojnym głosem.

Mardoniusz wiedział, że grozi mu niebezpieczeństwo, dlatego nie podnosił głowy.

– Wasza Wysokość, oni są jak diabły. Zabili ogromnie dużo naszych ludzi.

– Zauważyłem. A ilu Spartan już poległo? – chciał wiedzieć Kserkses.

Wódz nie był słabym człowiekiem. Chociaż wiedział, że może go to kosztować życie, odpowiedział królowi silnym głosem, modląc się w duchu, aby syn miał przynajmniej część opanowania swojego ojca, króla Dariusza.

– O ile mi wiadomo, niewielu. Oni są... niezwykle sprawni. Nasi nie mogą się przez nich przedrzeć.

Mardoniusz dotarł naprawdę blisko miejsca, gdzie toczyła się najbardziej zażarta walka. Wrócił stamtąd z twarzą szarą jak popiół. Uspokajał się jednak, że

jego żołnierze nie walczą z demonami, lecz z ludźmi. Spartanie w końcu się zmęczą, to nie może skończyć się inaczej.

– Czyżby strzały nie wyrządziły im żadnej szkody? – zapytał król. – Czy oni są z brązu? – Roześmiał się głośno, jednak w tym śmiechu można było usłyszeć gorzycz i odrobinę strachu.

– Są bardzo zdyscyplinowani, Wasza Wysokość. Doskonale władają włóczniami i tarczami. Tak naprawdę nie jestem w stanie powiedzieć, czy stracili dzisiaj chociaż jednego człowieka.

– Wycofaj wojowników z pierwszej linii i przesłuchaj. Porozmawiaj z tymi, którzy już walczyli ze Spartanami, i dowiedz się od nich wszystkiego, co zapamiętali. Jutro pošlemy do walki Nieśmiertelnych. Każ wystąpić na czoło dziesięciu hazardomom i być w gotowości. O świcie pošlę ich do boju.

Mardoniusz znowu opuścił głowę. Nie był pewien, czy zagrożona jest jego pozycja, a może nawet życie, wiedział jednak, że król podjął właściwą decyzję. Jeszcze nigdy w życiu nie widział wojowników walczących tak jak Spartanie, skutecznie kryjący się za nieprzeniknionym murem z tarcz. Marzyło mu się, że powoli oczyszczą jednak z nich przesmyk, wbiją się w ich szeregi jak doskonale naostrzony nóż. Nieśmiertelni byli najlepszymi żołnierzami w całym imperium. Wybierano ich z różnych oddziałów, po czym razem szkolono, tworząc z nich elitę wojsk. Tylko oni mogli z sukcesem uderzyć na Spartan.

Kserkses odprawił wodza bez słowa pochwały lub pocieszenia. Nad morzem zapadał już zmrok i floty znów odpływały w przeciwne strony w niechętnym zawieszeniu broni, szukając na noc bezpiecznych przystani. Król skierował konia tam, gdzie namioty rozbili Nieśmiertelni. Wciąż nie był pewien, czy ma powody do niepokoju. Przyprowadził tutaj ogromną armię, chcąc podbić ziemię, której w ogóle nie znał. Zgromadził potężną flotę, aby uzyskać przewagę nad Grekami na morzu. Straty poniesione do tej pory niczego nie zmieniały. Jego wojska zmiażdżą Spartan w przesmyku, nawet gdyby miało tam paść sto tysięcy ludzi. Jego flota przedrze się na południe, nawet gdyby zatopienie jednej greckiej triery miało kosztować utratę dwóch perskich okrętów. Imperium miało dość sił, aby

zdławić Greków, zalać niczym zboże w czasie wielkiej powodzi. Jeżeli Kserkses stanie w końcu w Atenach, nie będzie dbał o to, ilu ludzi zginęło, aby mógł tam dotrzeć.

Dowódcy Nieśmiertelnych nosili białe, zdobione zbroje. Mardoniusz stał w grupie dwunastu z nich, energicznymi gestami wskazując na przesmyk. Jak jeden mąż w tej samej chwili zdali sobie sprawę z obecności króla. Padli na ziemię i czekali na rozkaz do powstania.

– Podnieście się – zarządził Kserkses.

Jego ludzie wstali na nogi. Byli silni, zdrowi, w doskonałej formie. Świadomość, że wręcz rozpiera ich wola walki, poprawiła mu humor.

– Ruszycie na Spartan – zapowiedział. – Rozpoczniecie bitwę o pierwszym brzasku.

– Nasze życie należy do ciebie, Wasza Wysokość – odparł stanowczo wódz Nieśmiertelnych.

Kiedy Kserkses odjeżdżał, Mardoniusz pośpiesznie skinął głową, obiecując mu zwycięstwo. Oddziały, które miały jutro zaatakować Spartan, nie składały się z Medów czy z Egipcjan ani z przedstawicieli innych podbitych nacji. Byli to czystej krwi perscy wojownicy. Ich obecność na polu bitwy zawsze wzbudzała trwogę wśród wrogów. Białe płaszcze wyraźnie odznaczały się na tle ciemnej ziemi. Nie można było sobie nawet wyobrazić, że zostaną pokonani.

48

Leonidas wrzasnął wyzywająco w stronę atakujących. Czuł krew spływającą mu po boku; nie pamiętał już, ile dosięgło go ciosów. Ramiona tak mu ciążyły, że z trudem je podnosił. Wymieniał ludzi w pierwszej linii, oszczędzając swoich strażników i pozwalając, aby periojkwowie przejmowali na siebie ciężar walki, dopóki oni także nie słabli. Wtedy wystawiał pozostałych żołnierzy, choć w przeciwieństwie do Spartan nie mieli oni za sobą wielu lat szkoleń, które czyniły mięśnie twardymi jak kości, a kości mocnymi jak brąz. Stracił już rachubę, ile razy przywoływał na powrót swoich ludzi, aby pozostali mogli wypocząć z tyłu. Wymagał od nich znacznie więcej.

Persowie nie dawali im wytchnienia. Posłali do boju Nieśmiertelnych w białych płaszczach. Ich szeregi wydawały się nie mieć końca. Spartanie wyrzynali ich setkami i tysiącami, wyrzucali trupy do morza, aby mieć płaski grunt pod nogami. Tymczasem wrogowie szukali okazji, aby łamać im włócznie albo wyrywać im je z rąk.

Wówczas dobywali mieczy i walczyli z nową energią. Na rozkaz Leonidasa do przodu występowali periojkwowie. Mieszkali i szkolili się w Sparcie, ale nigdy nie byli uważani za prawdziwych Spartan. Po raz pierwszy w życiu dowodził nimi sam spartański król. Kiedy Leonidas chwalił ich za dzielność, niektórzy mieli łzy w oczach.

Do południa jego ludzie nie mieli już ani jednej całej włóczni. Ich złote tarcze były podziurawione i popękane. Nawet strażnicy króla ciężko dyszeli, wielu obficie krwawiło z otwartych ran. Nieśmiertelni wciąż napierali, mimo że ziemia

była zasłana ich trupami, a złote kłamry i brosze zalegały na niej jak kamienie. W każdej chwili przerwy w rzezi Leonidas rozkazywał helotom, żeby uprzętały zwłoki. Zauważył, że wielu zabiera martwym ozdoby z cennych kruszców.

Nie ganił ich za to, chociaż po te skarby nie pochylał się żaden ze Spartan. W ich krainie nie było złotych monet ani srebra. Dobrobytu upatrywali w zupełnie innych rzeczach. Leonidas nigdy nie dostrzegał tego wyraźniej niż w tym przesmyku.

Zginęło już dwudziestu ośmiu jego strażników zadźganych przez ludzi w białych płaszczach. Każdy z zabójców wkrótce stracił życie z rąk rozwścieczonych Spartan, lecz Leonidas mocno odczuwał tę stratę jako dowódca i jako król. Znowu wróciła do niego przepowiednia, którą usłyszał w Delfach. Nie wyjdzie stąd żywy, to niemożliwe, bo ucierpiałaby na tym Sparta. Jego życie się zakończy pomiędzy morzem a wysokimi klifami.

Wiedział też, że zyskał czas dla armii, aby mogła dotrzeć na równinę za jego plecami. Chciał zapewnić wojskom trzy spokojne dni, wtedy zakończy się święto Apollina. Pomyślał, że jest w tym wyraźna symetria, odpychając od siebie tarczę wroga i zabijając wrzeszczącego, o połowę młodszego Persa; rozciął mu gardło pod brodą czarną jak noc. Jego własna broda od dawna już miała siwe pasma. Czas postarza zarówno zwykłych ludzi, jak i królów, myślał z żalem. Była to dziwna refleksja w ostatnim dniu życia. Ale jego ramiona jakby nabrały lekkości, przypomniał sobie młodość i znowu zaczął się poruszać tak żwawo jak wtedy, gdy był młodzieńcem. Nikt nie mógł mu dać rady. Ci, których dosięgał jego gniew, padali martwi, a ich krew toczyła się krętymi strumieniami w stronę morza.

Pomyślał, że koniec będzie piękny. Zginie w pełni sił, oszczędzi sobie słabości starca. Było to swego rodzaju błogosławieństwo. Leonidas dziękował Apollinowi za zaszczyt umierania w taki sposób, w jaki żył: bez kompromisów i nieuchronnej utraty witalności. Starzy ludzie z upływem lat byli coraz słabsi i tracili życiową energię. On zaś już wiedział, że do samej śmierci się nie zmieni, i był za to wdzięczny losowi.

Gdy słońce zaczęło się obniżać i znikać za graniami, król uniósł głowę i poczuł ucisk w piersiach, kiedy przypomniał sobie skały, z których skakał do wody jako chłopak. Pamiętał poczucie otwartej przestrzeni i wolności w trakcie lotu ku tafli morza, który wywoływał w nim coś podobnego do nudności. Wysoko na klifach widział mężczyzn w bieli, w lśniących zdobionych zbrojach, podążających niczym zastęp wilków za postacią, która prowadziła ten pochód. Prawdopodobnie znaleźli jakąś ścieżkę znaną tylko górskim kozicom albo szlak wykorzystywany przez pasterzy, aby obejść przesmyk.

Nagle zrozumiał, że to już na pewno jest koniec. Gdy tylko wystarczająco dużo Persów znajdzie się za plecami Spartan i ich sprzymierzeńców, wezmą ich w kleszcze.

Żałował jedynie Platejczyków, Koryntczyków i Tespijczyków, a nawet periojków i helotów, którzy wyruszyli z nim, aby wykonać tę ostatnią wielką misję. Wszyscy walczyli wytrwale i z ogromną odwagą, żaden z nich nie uciekł ani nie poddał się wrogowi. Leonidas stracił tego dnia zarówno przyjaciół, jak i obcych ludzi, jednak z każdego był dumny.

Być może dlatego, że Persowie obchodzili przesmyk, nastąpiła przerwa w bitwie. Napastnicy niespodziewanie się cofnęli, a z ludzi Leonidasa jakby uszło powietrze, gdy tak stali, opierając dłonie na udach, ciężko dysząc, spoceni mimo chłodnego morskiego wiatru. Król zawołał, żeby przyniesiono mu wodę, ale wody już nie było. Nie wiedział, kiedy kolejny oddział Persów podejmie atak. Myślał szybko.

– Obroniliśmy Termopile! – zawołał do swoich. – Oparliśmy się bezlitosnym atakom. Wszyscy udowodniliście, że jesteście ludźmi honoru. Dziękuję wam. Widzicie wroga na ścieżkach w górze? Nie minie wiele czasu, a zostaniemy zaatakowani od tyłu i nie będzie już dla nas drogi ucieczki. Niemniej wykonaliście swoje zadanie. Chcę, żebyście o tym wiedzieli. Daliśmy wojskom Sparty i Aten, a także Megary, Sykionu i innym czas na przygotowanie do walki. Zdobyliśmy go dla nich.

Popatrzył na wprost i serce podjechało mu do gardła, kiedy zobaczył, że nowy zastęp wroga przygotowuje się do natarcia. Spojrzał w lewo i w prawo: członkowie jego straży tylko pokiwali mu głowami. Nie odejdą, dopóki ich król pozostanie na polu bitwy. Wiedział to od samego początku.

– Uciekajcie, szybko! – zawołał do pozostałych. – Zostanę tutaj, abyście mieli czas odbiec jak najdalej. Wracajcie do domów i nieście wiadomość o tym, czego tutaj dokonaliśmy. No już!

Część ludzi z tylnych szeregów odwróciła się i ruszyła w gęstniejący mrok. Były ich setki. Niektórzy płakali, ale czy z ulgi, czy też ze wzruszenia po poświęceniu Leonidasa, sami nie wiedzieli.

– No i co? – król zapytał tych, którzy zostali.

Strażnicy bez słów unieśli miecze i tarcze. Wiedział, że nikomu nie pokażą pleców, nawet armii Kserksesa. Pozostali jednak także periojkowie, mniej więcej siedmiuset.

– Nie musicie być tutaj ze mną – powiedział. Głos mu drżał i się łamał, ale uznał, że to ze zmęczenia.

Tamci pozdrowili go uniesionymi mieczami. Persowie, którzy znów ruszyli, wymienili zaniepokojone spojrzenia, nie mając pojęcia, co znaczy ten gest.

– Ale zostaniemy – odezwał się jeden z periojków.

Leonidas zobaczył, że na miejscu trwają również heloci. Nie wolno im było odejść, dopóki wyraźnie im na to nie pozwoli.

– Słowem króla Sparty czynię wolnymi ludźmi wszystkich helotów, którzy walczyli dzisiaj przy mnie. Od tej chwili nikt nie ma prawa nazywać was niewolnikami. A teraz odejdźcie.

– Skoro nie jesteśmy niewolnikami, nie możesz nam rozkazać, żebyśmy odeszli – odparł jeden z helotów.

Był to Dromeas, posłaniec i biegacz. Młodzieniec trzymał tarczę, którą zabrał jednemu z zabitych periojków. Leonidas obserwował, jak chłopak się pochyla i sięga po miecz któregoś z poległych, a następnie kopis i wsuwa go za pas. Król się uśmiechnął, lecz serce na ten widok niemal mu pękło.

* * *

Mniej więcej połowa ludzi, których tutaj przyprowadził, odeszła, wysłuchawszy jego prośby. Niemal dwa tysiące pozostało u jego boku. Kserkses nie pozwolił im odpocząć nawet po zmroku. Jego wojownicy zaatakowali przy świetle pochodni. Towarzysze Leonidasa prowadzili straceńczą walkę i wycieńczeni padali jeden po drugim. Wyzwoleni heloci ginęli, gdyż ich ruchy były zbyt powolne, gdy stawali naprzeciwko Persów dopiero wkraczających do walki. Periojkiowie walczyli nieustępliwie, cięli i dźgali, wydając przy tym groźne okrzyki, a wszystkie ich ciosy były celne i zadawały rany. A jednak i oni musieli ulec.

O świcie Nieśmiertelni zaatakowali od tyłu, zmęczeni po całonocnym marszu przez klif, zdecydowani jak najszybciej zakończyć bitwę, która przynosiła im hańbę. Kłuło ich poczucie wstydu, że wielki król musiał czekać, głośno wyszydzany i wyśmiewany, upokorzony przez Spartan w czerwonych płaszczach.

Zaatakowani z dwóch stron, Spartanie uformowali czworobok i schronili się za tarczami, wciąż blokując przejście. Kserkses osobiście wkroczył daleko w przesmyk, chcąc obserwować ich zagładę w towarzystwie Mardoniusza, który stanął po jego prawej ręce. Nieśmiertelni walczyli jak szaleńcy pod jego czujnym spojrzeniem, ale chociaż mieli wielką przewagę liczebną, formacja Spartan wciąż nie pękała.

– Cofnąć się – rozkazał w końcu perski król.

Zgrozą napawała go ogromna liczba trupów w miejscu, w którym odparowana sól morska mieszała się z błotem. W powietrzu unosił się zapach krwi.

– Zabijcie ich włóczniami. Nie marnujmy już więcej ludzi.

Zdał sobie sprawę, że Spartanie zdiesiątkowali Nieśmiertelnych, elitę jego armii. Pozostała przy życiu niecała połowa jego najlepszych wojowników, których w żaden sposób nie dało się zastąpić.

Persowie zaczęli rzucać włóczniami z dwóch stron. Wycieńczeni Spartanie unieśli tarcze na ramionach ciężkich jak z ołowiu, ale część z nich zginęła. Jednym z poległych był Leonidas. Jego straż ciasno otoczyła zwłoki, zamierzając pozostać przy nich do końca. Było ich zbyt mało i nie mieli już sił, żeby wyprowadzić kontratak. Zabijały ich strzały i włócznie, jednego po drugim, aż wreszcie zostało jedynie dwóch lub trzech – Persowie zatłukli ich kijami. Płaszcz Spartan przykrył miejsce śmierci Leonidasa jaskrawoczerwoną narzutą.

Persowie uczcili zwycięstwo wrzaskiem, który niósł się bardzo daleko i wydawał się trwać bez końca. Był słyszalny na morzu i zmroził krew w żyłach greckich żeglarzy, którzy stanęli na pokładach okrętów i spoglądali w stronę lądu, zastanawiając się, co te krzyki właściwie znaczą.

49

Temistokles zebrał dowódców na swoim okręcie. Nie miał własnej kajuty pod pokładem. On i jego ludzie spędzali noce pod gwiazdami, owinięci w płaszcze. Nie mieli też wiele miejsca na zapasy żywności. Wszyscy byli znacznie szczuplejsi niż w dniu, w którym wypłynęli z Aten, gdyż racje żywnościowe otrzymywali jedynie w godzinach wieczornych, a w ciągu dnia mogli tylko pić wodę. Wioślarze mieli już zapadnięte klatki piersiowe, żebra odcinały się im pod skórą, a przecież właśnie oni, jak nikt inny, potrzebowali mnóstwa sił. Temistokles się zastanawiał, czy Persowie mają podobne problemy. Znajdowali się na morzu od znacznie dłuższego czasu. Może to konieczność karmienia wioślarzy sprawiała, że płynęli powoli i przez cały czas starali się utrzymywać kontakt wzrokowy z armią na lądzie.

Eurybiades zignorował wyciągniętą do niego rękę i sam wspiął się na pokład. Wydawał się wytrącony z równowagi upadkiem Leonidasa, zraniony jego utratą. Temistokles wyczuwał wzbierającą w nim wściekłość; była jak wrzątek w garnku, który w każdej chwili mógł wykipieć. Instynkt nakazywał mu postępować ze Spartaninem bardzo ostrożnie. Na miejscu był już dowódca Koryntczyków, oparty o dziób z zamkniętymi oczami, wykończony. Przez cały dzień bezustannie walczył, stracił palce i część prawej ręki. Jego obrażenia były poważne i Temistokles sądził, że tamten długo już nie pożyje.

Ksantyppos przypłynął z Epikleosem i Kimonem. Wszyscy trzej z łatwością wdrapali się na pokład z małych łodzi. Archont prawie już nie pamiętał, jak

Ksantyppos po raz pierwszy z trudem wspinał się na okręt z chybotliwej łódki. Teraz z pewnością był w tym znacznie sprawniejszy.

Temistokles poczekał, aż jego ludzie przyniosą kubki z miodem i winem grzany nad koszem z żarem na śródokręciu. Poranek był zimny, więc z przyjemnością sączyli ciepłe napoje pachnące goździkami i cynamonem. Wszyscy spoglądali w stronę wybrzeża, gdzie armia perska brnęła na południe przez przesmyk termopilski.

Także Temistokles uważnie obserwował przemarsz Persów. Potężna armia przerażała swoim ogromem. Samo przejście przez Termopile i ustawienie szyków po drugiej stronie musiało potrwać wiele dni. Nie mógł dostrzec końca szeregów na równinie po stronie północnej.

Wiedział, że niewielki oddział nie mógł ich powstrzymać, nie byli zdolni do czegoś takiego nawet Spartanie. Nie byli przecież bogami odpornymi na włócznie i strzały, po prostu nie mogli skutecznie przeciwstawić się żołnierzom, których było więcej niż gwiazd na nocnym niebie. A jednak... mijały dni, a oni w jakiś cudowny sposób wciąż się bronili, doskonale widoczni z morza każdego poranka. Temistokles pomyślał, że Leonidas dotrzymał słowa.

– Wszyscy straciliśmy przyjaciół – powiedział głosem niskim i schrypniętym po wielu dniach wykrzykiwania rozkazów. – Nikt nie wiedział, iloma ludźmi dysponuje król Persów na morzu i na ziemi. Już kiedy zobaczyłem ich flotę, zadałem sobie pytanie: „Jak powstrzymać tyle okrętów? Co zrobić, żeby zwyciężyć?”. Ale wszyscy dodaliście mi otuchy: Ksantyppos, Kimon, Eurybiades... – Jednego po drugim wymienił dowódców z Megary, Chalkidy, Arkadii i nawet z Kytnos, wyspy, która wsparła przymierze zaledwie jednym okrętem, lecz ten zdołał utrzymać się na wodzie po potężnym ciosie zadanym perskim taranem. Prowizoryczne naprawy i bezustanna praca żeglarzy, którzy wybierali wodę morską spod pokładu, pozwalały mu po wielu dniach wciąż pływać i zajmować swoje miejsce w szeregu. – Jesteście Hellenami – kontynuował z uśmiechem – więc nie rozpaczaliście. Dostrzeegliście perskie okręty i wąską cieśninę i wybraliście właśnie to miejsce, żeby razem ze mną się

im przeciwstawić. – Popatrzył po kolei na twarze wszystkich. Oprócz zmęczenia widział na nich dumę. Oni wcale nie byli załamani, jeszcze nie. – Początkowo nie chciałem – mówił dalej – walczyć i taranować ich z taką zaciekłością, ryzykować wszystkiego, byle tylko ich zatrzymać. Nasz cel zmienił przykład Leonidasa i wieści, że armia na lądzie potrzebuje więcej czasu.

Umilkł i skłonił głowę. Przez chwilę można było odnieść wrażenie, że się modli.

Nie powiedział głośno, że Arystydes i ateńscy hoplici czekają w gotowości już od trzech dni. Nie mogli ruszyć bez Spartan, Koryntczyków i całej reszty – była to prosta prawda. Przeciwnik był zbyt potężny. Nie mogli zaatakować sami, bo nie mieliby szans na zwycięstwo. Nikt nie widział do tej pory tak ogromnej armii najeźdźców. Temistokles potrząsnął głową, zdawszy sobie sprawę, że odbiega myślami zbyt daleko od miejsca, w którym się znajduje.

– Utrzymaliśmy cieśninę, aby dać naszym wojskom czas na zgromadzenie się i przygotowanie ataku. Leonidas zatrzymał Persów w Termopilach, my zrobiliśmy to na morzu.

Popatrzył w stronę wybrzeża, odległego nie więcej niż o trzy strzały z łuku od jego okrętu. Naprzeciwko pierwsze rzędy galer i załóg przygotowywały się, aby znowu zabijać i palić, tak jak w poprzednich dniach. Trierarchowie znali swoje obowiązki, wkrótce znów miały się rozpocząć zmagania ludzkich mięśni i żelaza. Po obu stronach codziennie pojawiały się świeże jednostki i kolejne okręty miały się wywracać do góry dnem, kolejni martwi mieli oglądać wschód słońca spod wody.

– Persowie na lądzie oczyścili sobie jednak drogę – powiedział. – Mogą teraz swobodnie maszerować na południe, w kierunku bezbronnych Aten.

– Napotkają opór – odezwał się Eurybiades. – Kiedy nasza armia wyjdzie w pole, bardzo szybko stanie im na drodze. Jeżeli twoi hoplici będą działać wystarczająco sprawnie, wciąż mógłbyś do nich dołączyć i odegrać tam swoją rolę.

Temistokles zamknął na chwilę oczy. Spartanin stał po jego prawej stronie i patrzył na wybrzeże. Dlatego nie zauważył, jak Ateńczyk trzykrotnie uderza dłońią w biodro. Jedyne pogorszyłby sytuację, gdyby zaczął zgłaszać pretensje, mimo że arogancja Sparty kosztowała utratę niemal całej Grecji. Także w obliczu poświęcenia króla Leonidasa wolał to przemilczeć. Nie chciał mówić, że to Sparta przyczyniła się do wszystkich dotychczasowych strat, że pobożność tego miasta-państwa i jego upór kosztowały już życie tysięcy ludzi. Odezwał się bardzo spokojnie, lecz z naciskiem:

– Musimy się spodziewać, że Persowie intensywnym marszem ruszą na Ateny. Sparta leży znacznie dalej, za Koryntem i Argos. Spartanie nie zdążą więc ocalić mojego miasta. – Wziął głęboki oddech, dławiąc panikę, jaką poczuł na dźwięk własnych słów. Musiał przeciągnąć na swoją stronę wszystkich pomniejszych przywódców, ale w taki sposób, żeby nie poczuli się mu podlegli. Zerknął na Ksantypposa, z którym już to ustalił. – Mając to na uwadze, wycofałbym flotę i użył jej do ewakuacji Ateńczyków. – Kontynuował pośpiesznie, kiedy ujrzał, że Eurybiades otwiera usta. Wiedział, że go uderzy, jeżeli ten wyśmieje jego plan, a wtedy spór zakończy się przelewem krwi i morderstwem. – Nie możemy zapobiec, by Persowie dotarli do miasta, w którym przebywają nasze kobiety i dzieci. Tej wielkiej armii nie powstrzymamy. – Wskazał na żołnierzy przekraczających w oddali nadmorski przesmyk. – Ale mamy mnóstwo okrętów. Jeżeli dzisiaj rano wyślemy do Pireusu połowę naszej floty, a resztę w nocy, będziemy mogli zabrać ludzi, zanim wróg ich zobaczy.

– Armia Sparty... – zaczął znowu Eurybiades.

– Spędziła długie dni na modlitwach, podczas gdy powinna przygotowywać się do wojny! – warknął Temistokles. – Twój król Leonidas doskonale to rozumiał. Chwała mu za to! Ale jego ofiara nie ocali Aten. To już niemożliwe. Mieliśmy na to szansę, gdyby Sparta wyłoniła się zza swoich barykad dwa albo trzy dni temu.

Eurybiades zacisnął szczęki. Jego twarz zaczęła przybierać czerwony kolor.

– Nigdy nie zwracano się do mnie w taki sposób...

W tym momencie odezwał się Ksantyppos, chcąc zapanować nad rosnącym zacietrizewieniem tamtych, zanim będzie za późno.

– Najbliżej Aten znajduje się Salamina. Leży niedaleko Pireusu – powiedział szybko. – Jeżeli wszystkie okręty i łodzie odbędą kilka kursów, zdołamy szybko przewieźć na nią z miasta wszystkich ludzi, którzy tam przebywają. Jeżeli zaczniemy natychmiast, skończymy ewakuację, zanim Persowie dotrą do tej części wybrzeża.

– Ale nasze załogi stracą przy tym resztki sił – odezwał się jeden z dowódców.

– Stracą je także perscy żeglarze, którzy będą nas ścigać – odparł Ksantyppos.

– Znowu zmierzmy się z nimi na morzu, a teraz nie mają już przewagi liczebnej.

– Ateny zostaną zrównane z ziemią – powiedział Kimon cicho, jakby do siebie.

Jego twarz wyrażała tak wielki żal, że Temistokles postanowił do niego przemówić:

– Miasto to nie domy ani świątynie. Liczą się tylko kobiety i dzieci, które tam zostawiliśmy. Jeżeli je wydostaniemy, potrafimy odbudować miasto. Gdziekolwiek.

– Dlaczego mamy ewakuować ludzi akurat na wyspę? – zapytał jeden z dowódców. – Ci, których na nią sprowadzimy, nie będą mieli statków. Znajdą się tam w pułapce, czyż nie?

Odpowiadając na pytanie, Temistokles obserwował Eurybiadesa w oczekiwaniu, aż zaaprobuje jego plan. Gdyby Spartanin tego nie uczynił, rozważał poważnie wyrzucenie go za burtę w pełnym uzbrojeniu.

– Wyspa znajduje się blisko Pireusu – wyjaśnił. – I jest wystarczająco duża, aby wszystkich pomieścić. Poza tym mamy tak mało czasu, że żadne inne miejsce nie wchodzi w grę. – Głęboko odetchnął, a oczy niemal mu płonęły. – Nie muszę wam mówić, że moje załogi nie będą po prostu tkwić w miejscu i patrzeć, jak płoną Ateny. Jesteśmy sercem naszej floty i pozostałe polis po prostu nie mogą zmierzyć się na morzu z wrogiem bez naszego udziału. Ale w tej chwili liczy się dla nas tylko ewakuacja Ateńczyków. Przeprowadzimy ją z wami... i będziemy nazywać was przyjaciółmi... albo samodzielnie, a potem

wrócimy do walki z perską flotą. Czy jest jakieś inne rozwiązanie? – Patrzył na Eurybiadesa i Spartanin w końcu się odezwał:

– Chcesz powiedzieć, że decyzja należy do mnie?

Odpowiedź można było wyczytać na twarzach wpatrujących się w niego mężczyzn. Ze znużeniem pokiwał głową, wściekły na cały świat, jakże różniący się od Sparty. W ojczyźnie zawsze stąpał po twardym gruncie. A tutaj przekłety Ateńczyk każdy włos dzielił na czworo, prowadził zażarte dyskusje na każdy temat i myślał, że będzie przez to skuteczniejszy.

– Utrzymałem flotę w cieśninie, kiedy walczył król Leonidas – powiedział Temistokles. – Dawaliśmy mu nadzieję, ale i on dawał ją nam. Teraz go nie ma i muszę myśleć o tych wszystkich, których życie zależy od nas. Przyjmij moją dłoń, Eurybiadesie. Możemy dokonać tylko jednego słusznego wyboru.

Spartanin powoli odetchnął, wciąż ważąc decyzję. Jeżeli wycofa spartańskie okręty, które mu pozostały, straci wsparcie innych miast-państw. Nieszczerólnie go obchodziło, czy Persowie zajmą Ateny. Były rywalem i cierniem w oku Sparty od setek lat. Potrzebował jednak ich floty.

Wyciągnął rękę i tak mocno uścisnął dłoń Temistoklesa, że tamtemu aż zachręściły palce. Pomyślał, że Ateńczyk celowo pozwolił mu na taki uścisk, i ta myśl odebrała mu resztki satysfakcji.

– Doskonale – powiedział. – Ocalmy więc Ateńczyków.

50

Agarysta zobaczyła jeźdźca najpierw jako tuman kurzu unoszący się na drodze prowadzącej z miasta. Stała na murze okalającym posiadłość i spoglądała to na wschód, to na południe, a jej cień się wydłużał, w miarę jak słońce za jej plecami coraz bardziej zbliżało się do linii horyzontu. To mocno zaniepokojony Manias przywołał ją tutaj. Posiadłość minęło już kilku innych jeźdźców z opuszczonymi głowami, zmagających się z pyłem, który zapychał im płuca. Coś się działo. Manias potrafił odczytywać różne sygnały, obserwując ptaki w locie. Wyczuwał wojnę, chłonąc zapach wiatru. Kiedy na jego twarzy pojawiła się troska, Agarysta również zaczęła się martwić.

Gdy dostrzegła, że jeźdźcem, który zatrzymał się przed bramą, jest Epikleos, jęknęła, a potem wypuściła powietrze z płuc, jakby właśnie wydawała ostatnie tchnienie. Przecież on nie miał prawa się tutaj znaleźć. Powinien przebywać daleko na morzu, razem z Ksantyposem. Ramiona zadrżały jej pod suknią, nie potrafiła nad tym zapanować. Przecież jej mąż żyje, na pewno wyczułaby jego śmierć. Przyśniłby się jej i wtedy zobaczyłaby go po raz ostatni. Przecież bogowie nie bywają aż tak okrutni, to niemożliwe, żeby jej go odebrali i nie przekazali żadnej wiadomości. A jednak... Część poranka spędziła, zbierając kwiaty na łące. Pomyślała, że kiedy ona w ciszy i spokoju wdychała ich zapach, Ksantyppos mógł ginąć w spazmach bólu. Kiedy Epikleos zeskakiwał z wierzchowca, straszliwie pragnęła, żeby wcale nie zatrzymał się przy bramie i nie odezwał się do niej, żeby wieść, jaką miał do przekazania, uwięzła mu w gardle i nigdy nie została wypowiedziana.

– Agarysto. – Spojrzał w górę na kobietę, która zeszywniała ze strachu.

Jego głos zabrzmiał głucho, twarz i włosy miał zakurzone, a na skroni, niemal na linii włosów, widniało krwawe zadrapanie. Lewą rękę miał poranioną. Epikleos był mocno poturbowany i pod warstwą brudu jego ciało nosiło ślady walki.

– Czy on nie żyje? – zapytała głosem zdławionym i piskliwym; zabrzmiał tak, jakby odezwała się mała dziewczynka.

– Ksantyppos żyje, ale nie ocalimy miasta. Zawołaj dzieci. Wezwij wszystkich ludzi z domostwa. Na wybrzeżu czekają okręty, które was stąd zabiorą, ale musicie natychmiast wyruszyć.

– Otworzyć bramę! – krzyknęła.

Zbiegła po stopniach i padła w ramiona mężczyzny, który minął Maniasa i uzbrojonych niewolników strzegących posiadłości. Ten się zachwiał i wtedy zrozumiała, jaki jest zmęczony.

– Agarysto, nie ma czasu. Zbliżają się Persowie. Proszę cię, wołaj dzieci. Każ niewolnikom zabrać żywność, jakieś narzędzia i jak najwięcej broni. Masz wóz? Konie?

– Tak, wszystko mam – odparła.

Część niewolników od razu przystąpiła do działania, chociaż ich pani nadal stała przed Epikleosem, niezdecydowana i oszołomiona. On zdawał się rozumieć, że nie potrafi zaakceptować nagłej zmiany sytuacji. Ścisnął jej dłonie.

– Posłuchaj mnie. Do Aten zbliża się perska armia. Ksantyppos ma już okręty w porcie, czekają, żeby wywieźć ciebie i dzieci. Ale musisz już teraz wyjechać do Pireusu, najszybciej jak zdołasz.

– Ale... – Machnęła ręką. Ogarnęła tym ruchem całą posiadłość, którą zbudował jej wuj. Jednym gestem objęła wielkie bogactwo i wyraziła tęsknotę za wpływami swojej rodziny, które prawdopodobnie utraci.

– Zostaw to, proszę – powiedział. – Rzuć to wszystko. Całe miasto zmierza już do portu. Mam na okrętach miejsce dla ciebie i mieszkańców posiadłości. Ksantyppos wszystko przygotował.

Agarysta zadrżała i głęboko odetchnęła z ulgą, gdy poczuła, że powraca jej stanowczość, którą zawsze w sobie miała, a utraciła tylko na chwilę. Skinęła głową, przez chwilę patrzyła w oczy Epikleosowi, a potem się od niego oderwała i zaczęła wykrzykiwać rozkazy do Maniasa i pozostałych niewolników.

– Peryklesie! Aryfronie! Eleni! – zawołała najgłośniej, jak potrafiła.

Epikleos usłyszał wysokie głosy dzieci i pobiegł w ich kierunku. Ksantyppos mu polecił, aby ratował jego rodzinę. Obdarzył go ogromnym zaufaniem, a on nie zamierzał zawieść.

* * *

Ksantyppos stał na nabrzeżu w Pireusie. Widział w oddali wapienne iglice Akropolu. Pragnął być w tej chwili właśnie tam, a tymczasem zajmował się ładowaniem tysięcy ludzi na galery, które co chwilę przybijały do brzegu i od niego odbijały. Wody były tu spokojne, ale dotarła już do niego informacja o okręcie, który przewrócił się w cieśninie pomiędzy lądem a Salaminą. Panika zaczęła narastać już w chwili, gdy w porcie pojawiły się potężne greckie triery. Przy wiosłach siedzieli zmęczeni ludzie, którzy niespodziewanie otrzymali nowe zadanie i zaczęli wywozić uciekinierów. Salamina była widoczna z wybrzeża. Nie stanowiła bezpiecznego azylu, nadawała się na schronienie najwyżej na kilka dni. Ale miała jedną wielką przewagę nad Atenami: żaden żołnierz nie mógł wejść na nią suchą stopą. Kobiety, dzieci i niewolnicy mieli uniknąć tam rzezi, grabieży i gwałtów, jakich spodziewano się po Persach wkraczających do miasta. Niczego więcej nie mógł teraz ludziom zaoferować. Jakaś chłodna część jego umysłu szeptała, że wywożąc ich na wyspę, jedynie opóźni tragedię. Król Persów dysponował tak wielką rzeszą wojsk i okrętów, że trudno było sobie wyobrazić, aby ktoś zdołał przed nimi uciec.

Do portu przybiły kolejne dwie galery. Wioślarze w ostatniej chwili wciągnęli wiosła i burty uderzyły w kamienne nabrzeże. Z pokładu rzucono liny cumownicze, co dla wymęczonych wioślarzy oznaczało chwilę wytchnienia.

Ksantyppos gwizdnął na chłopców, których zgromadził na lądzie, żeby natychmiast, kiedy liny zostaną przywiązane, pobiegli pod pokład z wodą. Zgromadziło się tu już mnóstwo ludzi. Nieśli worki z kosztownościami, a niektórzy dźwigali także małe dzieci. Część maluchów rozglądała się z zainteresowaniem, ale większość płakała ze strachu. Ludzie modlili się też do bogów, aby wsparli ich w największej potrzebie. Okręty zabierały na pokład tyle osób i bagaży, ile się dało, nie ryzykując zatopienia. Takie niebezpieczeństwo jednak istniało i Ksantyppos mógł się tylko modlić, żeby któryś z okrętów nie odpłynął przeciążony. Z jedynej zatopionej dotychczas galery uratowano zaledwie kilka kobiet i dzieci. Reszta utonęła.

Przetarł twarz dłonią. Był tak zmęczony, że z trudem myślał i widok rozmywał mu się przed oczami. Ogromnie potrzebował snu, jedzenia, chociaż kilku godzin ciszy i spokoju, zanim ponownie się pogrąży w bitewnym zgiełku. Poprzedniego ranka odpłynął wraz ze swoją załogą od głównych sił floty, zabierając ze sobą część spośród stu sześćdziesięciu ateńskich okrętów. Temistokles mu zaufał, że da radę przeprowadzić całą grupę do Pireusu i przekazać wiadomości na agorę i do areopagu. Do miasta pobiegła spora grupa młodzieńców, już po drodze wykrzykując straszliwe wieści. Początkowo w Atenach powstał chaos, ale wkrótce mieszkańcy się opanowali i zaczęli masowo uciekać w stronę portowego nabrzeża. Uwierzyli żeglarzom z floty, wierzyli swoim mężom, braciom i synom.

Ksantyppos lewą ręką uderzył się w twarz, aby zachować przytomność. Wpatrywał się w drogę prowadzącą do portu, pragnąc zobaczyć na niej Agarystę i dzieci. Nie miał zamiaru odpłynąć stąd bez nich. Ale stojąc beczynnie w miejscu, czuł na sobie spojrzenia wielu ludzi, którzy się zastanawiali, dlaczego jego okręt wciąż czeka, gdy tymczasem pozostałe bezustannie kursują w tę i z powrotem. Jakieś starsze kobiety zaczęły kłócić się o to z hoplitami, nerwowo gestykulując. Wojownicy popatrzyli na Ksantypposa w milczącym oczekiwaniu, lecz on był nieugięty: posłał staruszki na inny okręt, nic sobie nie robiąc z ich przekleństw.

Tymczasem tłum gęstniał, chociaż strateg miał wrażenie, że odesłał już na Salaminę znacznie więcej ludzi, niż – jak mu się zdawało – mieszka w Atenach. Wyobrażał sobie, że każdy dem w mieście jest już pusty – opustoszały Keramejkos, buleuterion i świątynie na Akropolu. Zastanawiał się, jak cicho musiało być w mieście, skoro tak wielu jego mieszkańców wchodziło w skład załóg. I że na pokładach trier, cisi i przygnębieni, martwią się losem swoich najbliższych i czekają na wiadomości od nich. Przypomniawszy sobie zwycięstwo pod Maratonem i wiwatujące tłumy Ateńczyków czekających na bohaterów z girlandami z amarantusów. Zdał sobie sprawę, że ten dzień wciąż jest jego najpiękniejszym wspomnieniem. Ważniejszym od gorzkiej pamięci długich lat banicji. I od wspomnienia pokrętej polityki, która tak niesprawiedliwie go potraktowała.

Przełknął ślinę, kiedy w tłumie zobaczył wóz. Jeszcze przez chwilę nie był pewien, lecz w końcu rozpoznał Peryklesa na koniu oraz Agarystę i Eleni siedzące na koźle. Aryfron i Epikleos jechali na wierzchowcach za wozem. Usłyszał warczenie psa i zobaczył swojego wielkiego mastyfa; Konis gnał do przodu, ogromnie podekscytowany. Ludzie, którzy szli na własnych nogach, ustępowali przed siłą i masą koni albo byli spychani na boki. Wiele kobiet na pewno rozpoznało Agarystę i domyśliło się, że to jej mąż czeka na okręcie. Przyśpieszyły kroku. Część tłumy zafalowała i skierowała się właśnie w jego stronę. Ksantyppos zorientował się, że duża grupa ludzi dotrze do jego okrętu równocześnie z Agarystą i wszyscy desperacko będą chcieli dostać się na pokład.

– Wpuśćcie ich! – zawołał do hoplitów strzegących trapu.

Tłum zaczął biec i odepchnął ich. Kobiety i dzieci zapomniały o ostrożności, widząc jedynie pusty pokład gwarantujący bezpieczeństwo. Ktoś się potknął, przewrócił i zniknął pod nogami ciżby. Ksantypposa ogarnęła panika, kiedy pomyślał, że zbyt wiele osób zaleje pokład. Popatrzył gniewnie na swoich ludzi i zobaczył w ich oczach bezsilność. Nie mogli grozić bronią kobietom ani dzieciom, ale tłum żył teraz swoim życiem i zamiarami, które trzeba było udaremnić.

– Wyrzucicie z pokładu kilkunastu! – wrzasnął Ksantyppos. – Nie pozwólcie im na szaleństwo! Przecież zatopią okręt!

Na pokładzie padły rozkazy, aby schodzić z powrotem na ląd, a jednocześnie część hoplitów zaczęła pomagać Agaryście i dzieciom, kiedy wóz zatrzymał się przy brzegu. Ksantyppos wyciągnął rękę do żony i objął ją w talii, ściągając z kozła na nabrzeże.

– Dobrze cię widzieć – powiedział.

Utkwiła wzrok w jego oczach, szukając w nich otuchy, lecz jej nie znalazła.

Epikleos zeskoczył z konia i posługując się szeroko rozłożonymi ramionami oraz tubalnym głosem, robił przejście dla dzieci. Konie pozostawił swojemu losowi. Ksantyppos niemal się przewrócił, kiedy Konis skoczył na niego. Wtulił się w jego chiton i płaszcz i śliniąc się obficie, cicho popiskiwał z radości. Objął zwierzę ze śmiechem, ciesząc się jego obecnością.

– Popłyniesz z nami? – zapytała żona.

Pokręcił głową.

– Jeszcze nie. Niestety nie mogę. Trzymaj się blisko Maniasa i pozostałych. Mogę zostawić cię z moją rodziną, Epikleosie?

– Byłbym bardziej zadowolony, gdybyś też został – odparł przyjaciel. – Ale nie martw się, bezpiecznie dopłyniemy na wyspę.

Ksantyppos dostrzegł dzieci, które stały blisko, ale nie chciały przeszkadzać w rozmowie rodzicom. Szybko pocałował Agarystę i objął je, jedno po drugim. Poczuł, że są już silnymi młodymi ludźmi.

– Pilnujcie, aby wasza mama i siostra były bezpieczne. Gdy będzie trzeba, oddajcie za nie życie – powiedział poważnie do Peryklesa i Aryfrona.

Skinęli głowami. Doskonale rozumieli powagę sytuacji.

Ksantyppos obejrzał się przez ramię. Hoplici zeszli na ląd i utrzymywali jako taki porządek w tłumie, który napierał, żeby wejść na pokład. Wyrzucili już kilka osób z powrotem na nabrzeże i powiedzieli im, że muszą poczekać na następny okręt. Nikt nie chciał się pogodzić z utratą miejsca; wszyscy głośno krzyčili, kierując do hoplitów żalosne błagania, które przerodziły się w złość, kiedy

Ksantyppos wprowadził na okręt swoją rodzinę i niewolników żony wraz ze skromnym dobytkiem, jaki zdążyła zabrać z domu.

Pchnął Agarystę na trierę, naciskając dłonią jej plecy. Następnie popchnął synów i córkę, wykorzystał jednak chwilę, żeby każde z dzieci pocałować w czubek głowy. Manias także wszedł na pokład, wymieniwszy z panem jedynie krótkie spojrzenia. Ksantyppos wiedział, że stary niewolnik będzie dbał o jego rodzinę jak zawsze.

Mimo ulgi poczuł ból rozdzierający serce. A więc wy dostał żonę i dzieci z Aten. Miał wrażenie, że zaraz zemdleje i na nabrzeżu powstanie kompletny chaos. Ludzie się cisnęli, przepychali, krzyczeli i płakali. Z miasta bezustannie napływały kolejne masy uciekinierów.

Przy jego boku stanął Epikleos, który nagle wyłonił się z ciżby.

– Dam sobie radę. Dołącz do rodziny. Żona i dzieci potrzebują cię bardziej niż wszyscy Ateńczycy, przynajmniej w tej chwili.

Ksantyppos pokiwał głową, przekonany argumentami przyjaciela. Przepchnął się przez hoplitów i wszedł na pokład. Poczuł, że łzy napływają mu do oczu, kiedy dzieci skoczyły na niego, uwieszając mu się na ramionach i szyi, niemal pozbawiając go powietrza. Dostrzegł, że Agarysta płacze.

– Gdzie pies? – zapytał.

Wszyscy zaczęli się rozglądać, ale po wielkiej bestii nie było śladu. Okręt już odpychano od nabrzeża, wioślarze przystąpili do pracy. Po chwili podniesiono maszt, aby złapać w żagle najśłabszy podmuch wiatru i żeby choć w niewielkim stopniu ulżyć ludziom pod pokładem. Ksantyppos popatrzył na zdesperowany tłum. Jedna czy dwie osoby wpadły do morza, krzycząc ze strachu.

Podniósł głowę. Poczuł szum w uszach, a krew odpłynęła mu z twarzy. Akropol zdawał się zmieniać kształty, jakby wykręcała go jakaś wielka dłoń. Włoski na ramionach mu stanęły i wtedy zrozumiał. Nad Atenami unosił się gęsty czarny dym, który ogarniał i dławił coraz większe połacie miasta. A więc Persowie dotarli. Nie zastawszy w mieście nikogo, po prostu je podpalili.

Usłyszał stłumione okrzyki zaskoczenia, kiedy pasażerowie na okręcie także zauważyli słupy dymu i zrozumieli, co to oznacza. Ale po chwili jęki przerażenia i wyciągnięte ręce kazały mu skierować głowę na wschód. Otaczały go greckie okręty unoszące na pokładach kobiety i dzieci. W dużej odległości jednak pojawił się nowy rząd galer. Ich wioślarze pracowali z ogromną energią, spieniając wodę pomiędzy okrętami. Była to perska flota.

Ksantyppos przytulił bliskich. Znowu popatrzył na port i wtedy dostrzegł drobną sylwetkę psa. Mastyf wskoczył albo został zepchnięty do wody, na moment zniknął pod powierzchnią, ale wypłynął i zaczął walczyć, aby dogonić okręt. Sklął szeptem głupotę zwierzaka. Nie mógł zatrzymać galery, nie uczyniłby tego, nawet gdyby holował łódź, którą można by posłać na pomoc psu. Konis nie miał szansy, żeby dopłynąć na Salaminę.

W obliczu zagłady Aten była to drobnostka, lecz po twarzy Ksantypposa potoczyły się łzy. Przez długi czas obserwował zmagania psa. Wreszcie widział tylko niewielki punkt na wodzie, a potem on także zniknął mu z oczu, pochłonięty przez bezkres morza.

NOTA HISTORYCZNA

Kiedy tak naprawdę rozpoczyna się ta historia? Gdy greckie miasta Jonii (obecnie zachodnia Turcja) przeszły pod panowanie Persji? Kiedy się zbuntowały, poprosiły o pomoc i greckie wojska zniszczyły cały region? A może wtedy, gdy tamtejsi Grecy usłyszeli żądania „ziemi i wody” – czyli całkowitego posłuszeństwa – wypowiedziane przez satrapę wielkiego króla? Daleko od serca ojczyzny, nie mogąc z nikim skonsultować decyzji, poddali się i zostali lennikami Persji, przynajmniej według króla Dariusza.

* * *

A może rozpoczyna się jeszcze wcześniej, kiedy Ateny zmagaly się z takimi tyranami jak Hippiasz? Wtedy gdy głowa rodu Alkmeonidów przekupiła kapłankę w Delfach, aby powtarzała to samo każdemu Spartaninowi, niezależnie od tego, jakie zada jej pytanie: „Uwolnij Ateny od tyranii”?

Kiedy Spartanie wysłali w końcu armię, aby zmusić Hippiasza do ustąpienia, ulegli pokusie pozostania i rządzenia miastem, które było ich rywalem, i w końcu ulice Aten zaroily się od zbrojnych. Mieszkańcom obiecano autonomię, a była to w tych okolicznościach wspaniałomyślna oferta. Armia spartańska opuściła miasto, jednak wciąż targaly nim niepokoje. Lecz Ateńczycy, tacy jak Klejstenes, wymyślili w końcu zasady, fyle i prawa – czyli system kontroli, równowagi i wzajemnej odpowiedzialności, skonstruowany w taki sposób, aby już nigdy więcej nikt nie mógł osiągnąć pozycji tyrana. To faktyczne narodziny

demokracji, idei powszechnej równości, wówczas jeszcze niespisanej w kodeksach, która przetrwała dwa i pół tysiąca lat.

* * *

Nasza dzisiejsza wiedza o bitwie pod Maratonem, która otwiera tę książkę, ma liczne luki. Nie wiemy, czy król Dariusz był tam obecny. Nikt nie wie, co się stało wówczas z perską jazdą. Jeźdźcy stanowili w tamtych czasach dużą część wojsk perskich i brali też udział w późniejszej inwazji Kserksesa. W kontekście Maratonu wspomina się jednak o koniach, które później zniknęły. Osobiście sędzę, że po splądrowaniu przez Persów nadmorskiej Eretrii plaża pod Maratonem musiała być dla nich dogodnym miejscem do przygotowania marszu na Ateny, wzdłuż wybrzeża. Odległość do Aten wynosiła stamtąd zaledwie około czterdziestu kilometrów i siły perskie mogły się po prostu zebrać na plaży w celu przegrupowania, dokonania drobnych napraw i uspokojenia koni, które w czasie długiej żeglugi cierpiały na chorobę morską. Założyłem, że jazda nie wzięła udziału w bitwie, ponieważ wciąż znajdowała się na pokładach okrętów.

Jest prawdą, że w bitwie wziął udział Ksantyppos, ojciec Peryklesa, mąż Agarysty, siostrzenicy Klejstenesa. Fenomenalny Temistokles znajdował się w samym centrum bitwy, dowodząc fyllą Leontis. Arystydes stawał obok niego na czele fyli Antiochis. Polemarchem, czyli dowódcą na czas wojny, był Kallimach, walczący na prawym skrzydle, chociaż wydaje się, że tego dnia bardziej skutecznym i poważanym dowódcą był Miltiades. Kallimach zginął. Posąg ku jego czci postawiono na Akropolu, nie przetrwał jednak perskiej inwazji.

Należy zaznaczyć, że pod Maratonem obecny był także dramaturg Ajschylos. Na własne oczy widział śmierć brata. Miltiades w pewnej chwili osłabił centrum i widział, jak żołnierze zmuszani są do odwrotu. Ale wtedy na siły perskie rzuciły się wzmocnione skrzydła i zaczęły zabijać wrogów długimi włóczniami oraz skuteczną i zdyscyplinowaną walką w zwartej, nieprzeniknionej falandze. Grecy bili się z furją, jakiej można się spodziewać po ludziach broniących swojego

domu przed najeźdźcą. „Hełm Miltiadesa” – prawdopodobnie ten sam, który wódz miał na głowie pod Maratonem, opisany jego imieniem – znajduje się dzisiaj w Muzeum Archeologicznym w Olimpii. Choć mocno zniszczony, jest naprawdę niesamowitym świadkiem swoich czasów.

* * *

W książce zawarłem scenę, w której Miltiades opóźnia rzucenie do boju skrzydła, aby wyjaśnić w ten sposób późniejsze wydarzenia. Kiedy wielki bohater spod Maratonu wrócił z nieudanej wyprawy, utraciwszy ludzi i okręty, był poważnie ranny. W tym momencie – chwili jego wstydu i słabości – Ksantyppos rzucił na niego oskarżenie. Trudno to wyjaśnić, zarówno samo oskarżenie, jak i proces będący jego następstwem, chyba że przyjmujemy, iż Ksantypposem kierowały motywy osobiste. Przyszło mi do głowy, że strateg uznał Miltiadesa za zdrajcę i wroga Greków, oparłszy się na wydarzeniach, których świadkiem był pod Maratonem.

Właśnie taka sekwencja zdarzeń wydaje mi się prawdopodobna, a jednocześnie pozwala wyjaśnić zachowanie Ksantypposa. Wiele greckich miast-państw poparło Persję. Niesławą okryły się Teby. Przez wieki Tebańczykami gardzono z tego powodu i szydzono z nich w sztukach. Królowa Artemizja z Halikarnasu także współpracowała z Persami. Herodot opisał ją z dużą dozą życzliwości, ale zapewne dlatego, że i on stamtąd pochodził. Dzisiaj jej postawę można odbierać jako zdradę, pamiętajmy jednak, że koncepcja państwa narodowego to czasy nowożytne.

* * *

Miltiades zmarł jako więzień w 489 r. p.n.e., rok po bitwie maratońskiej. Ksantypposa poddano ostracyzmowi i wyrokiem sądu skorupkowego został wygnany z miasta pięć lat później, w 484 r. Ostrakony z jego imieniem

przetrwały do naszych czasów – na jednym wyryte są dwie linijki tekstu, który mówi o niesprawiedliwości jako przyczynie wygnania. Nie wiemy, czy Ksantyppos został ukarany za proces, który wytoczył Miltiadesowi, jest to jednak prawdopodobne. Nie wiemy też, jaką rolę odegrał w jego wygnaniu Temistokles, ale jest prawdą, że zarówno Ksantyppos, jak i Arystydes musieli opuścić miasto, ponieważ zażądali tego Ateńczycy w publicznym głosowaniu. Po śmierci Miltiadesa Temistokles faktycznie został pierwszym obywatelem Aten. Wiele wskazuje na to, że zyskał tę pozycję dzięki skutecznej kampanii; znany był z umiejętności wywierania wpływu na ludzi. Jedynie nadzwyczajne zdarzenie mogło zmusić Temistoklesa do ponownego użycia swoich wpływów – cofnięcia ostracyzmu i sprowadzenia dobrych wojowników z powrotem do ojczyzny. Tym wydarzeniem była inwazja Persów na Grecję.

* * *

Temistokles rzeczywiście namówił ateńskie zgromadzenie, eklezję, aby srebro z nowej kopalni w Laurion przeznaczyć na budowę floty wojennej złożonej ze stu osiemdziesięciu okrętów. Okazała się niezastąpiona, kiedy w obliczu zagrożenia należało ewakuować Ateńczyków. Temistokles trzema kapitalnymi pomysłami dosłownie ocalił swoje miasto. W tej książce opowiadam o pierwszym z nich. Grecy nie cieszyli się nieustającym wsparciem swoich bogów, lecz w pewnych sytuacjach wszystko wskazywało na to, że bogowie bezgranicznie im sprzyjają...

Mocno skondensowałem czas pomiędzy Maratonem a najazdem Kserksesa. Na przykład w Atenach dozwolone było tylko jedno głosowanie nad ostracyzmem w ciągu roku, co potwierdza historia, ale taki stan rzeczy okrada narrację z niezbędnej energii dramatycznej. Najważniejsze fakty opisałem jednak we właściwej kolejności. Uważam, że były to fascynujące wydarzenia, a Temistokles był błyskotliwym mężem stanu, chociaż często się go pomija, kiedy mowa jest o najważniejszych postaciach w historii Grecji. Scena, w której Arystydes

zapisuje własne imię na ostrakonie, kiedy prosi go o to niepiśmienny mężczyzna, który chce zagłosować przeciwko niemu, naprawdę mogła się rozegrać i stanowi ważny element ukazania prawego charakteru archonta.

* * *

W Persji śmierć Dariusza przerwała przygotowania do krwawej zemsty, jaką król gotował Grekom. To prawda, że ślubując zemstę, strzelił z łuku, a niewolnik każdego wieczoru trzykrotnie musiał mu szeptać do ucha: „Pamiętaj o Grekach”. Ale to dopiero jego syn, Kserkses, poprowadził armię i flotę do Hellady, przechodząc przez Hellespont po dwóch mostach pontonowych, które kazał zbudować na wodzie. Informację o tym, że jego żona składała podziękowania Ahurze Maździe, grzebiąc żywcem dzieci, zaczerpnąłem od Herodota.

* * *

Uwaga: stolicą Persji była Parsa. Używam jej greckiej nazwy, Parsa-polis (miasto Parsa) lub Persepolis, ponieważ właśnie ona najbardziej się rozpowszechniła.

* * *

W ciągu czterech lub pięciu lat wieści o przygotowaniach do wielkiej inwazji krążyły na terenach współczesnej Turcji. Na wezwanie do powrotu z wygnania Arystydesa i Ksantypposa musiał się zgodzić Temistokles. Osobiste zatargi odłożyli na bok w imię walki o ocalenie większego dobra, co należy uznać za nadzwyczajne. Ksantyppos odegrał istotną rolę w zmaganiach floty. Arystydes dowodził głównymi siłami ateńskich hoplitów i połączył na lądzie swoje oddziały z wojskami innych sprzymierzonych miast-państw.

* * *

Pierwszy kontakt Greków z flotą perską nastąpił u brzegów wyspy Skiatos. Perskich żeglarzy dopadła na obcym morzu paskudna pogoda i płynęli bardzo powoli. Ale dziesięć ich okrętów zwiadowczych natknęło się na trzy wysunięte greckie triery, których załogi miały ostrzec resztę floty o zbliżającym się nieprzyjacielu.

Persowie staranowali i zatopili grecką galerę. Złożyli ofiarę z nadzwyczaj przystojnego marynarza na pokładzie własnego okrętu, aby zapewnić sobie szczęście w bitwie. Druga grecka załoga została pokonana po zażartej walce. Trzecia dobiła do lądu i wyskoczyła na brzeg. Tymczasem trzy okręty perskie opłynęły wąską mierzeję wcinającą się w morze; oznaczono ją później kamiennym słupem, aby zasygnalizować niebezpieczeństwo kolejnym jednostkom, które miały płynąć tą trasą. Walka u wybrzeży Skiatos była pierwszym starciem wojny perskiej w 480 r. p.n.e. Zakończyła się całkowitą katastrofą Greków: zostali zaskoczeni, otoczeni przez przeważające siły wroga i zmasakrowani.

* * *

Flota Kserksesa straciła dużo okrętów w trakcie burz, kiedy zmierzała na południe. Dokładny rozmiar tych strat nie jest znany. Na obcym terenie Persowie z zasady płynęli blisko brzegu i starali się przez cały czas zachowywać kontakt wzrokowy z armią Mardoniusza. Planowali dotrzeć lądem do Aten po przekroczeniu ostatniej przeszkody, jaką było pasmo górskie. Ich zamiarem było ominięcie gór trasą prowadzącą przez wąski nadmorski przesmyk znany jako Termopile. Kiedy tam dotarli, Persów na morzu akurat związała walką połączona flota Greków. Bitwa morska trwała trzy dni i toczyła się w cieśninie niedaleko miasta Artemizjon. Liczbę perskich okrętów oceniono na 1200, chociaż możliwe, że było ich znacznie mniej, od 600 do 800.

Bitwa pod Termopilami toczyła się równolegle na wąskim odcinku wybrzeża będącym jedyną drogą, która pozwalała ominąć pasmo górskie. Dzisiaj morze w tym miejscu się cofnęło i przesmyk jest znacznie szerszy niż w starożytności. Nie możemy na własne oczy zobaczyć tego, co widział Leonidas. Na pewno dostrzegał walczące okręty. Mniej więcej na trzy dni zatrzymał pochód Persów na lądzie, gdy Ateny i ich sprzymierzeńcy walczyli w tym samym czasie z flotą najeźdźców na morzu. Możemy mówić o skoordynowanym wysiłku Hellenów, których celem było zyskanie czasu na zebranie i przygotowanie wojsk na lądzie.

To prawda, że Leonidas udał się do wyroczni w Delfach. Tam się dowiedział, że Spartanie będą opłakiwać utratę polis albo króla, potomka Heraklesa i w prostej linii przodka Leonidasa. Wyrocznia zapowiedziała tym samym, że król stanie przed dylematem: ocalić własne życie albo całą Spartę. Podejrzewam, że ta wróżba wyjaśnia, dlaczego Leonidas nie opuścił przesmyku termopilskiego, nawet kiedy jeszcze miał szansę się wycofać, a tylko odesłał na południe większość ludzi, sam zaś pozostał w Termopilach ze swoją elitarną strażą i z tysiącem innych wojowników. Co interesujące, jego heloci pozostali przy nim, chociaż dobrze wiedzieli, że tą decyzją odbierają sobie szansę na ucieczkę. Leonidas wiedział, że zbliża się kres jego życia, i się z tym pogodził. Ten aspekt bywa pomijany, gdy się opowiada jego historię, a przecież świadczy o ogromnym heroizmie króla Sparty.

* * *

W cieśninie, która biegnie wzdłuż wschodniego wybrzeża Attyki, zmagania okrętów trwały przez trzy dni, od świtu do zmierzchu. Persowie prawdopodobnie dysponowali ogromną liczbą jednostek, lecz Grecy byli bardziej zmotywowani. Wioślarzami na ich trierach byli wolni obywatele, którzy mieli w Atenach rodziny.

Gdy Leonidas zginął, perska armia ominęła góry, przechodząc przesmykiem. Dopiero wtedy Temistokles podjął nadzwyczajną decyzję: wycofał flotę z walki,

żeby na okrętach ewakuować Ateńczyków. Spartański nauarcha, Eurybiades, chciał poprowadzić flotę aż do Peloponezu, ale archont mu na to nie pozwolił; zagroził, że w takim wypadku Ateny się odłączą. Utrzymał jedność floty, bo Spartanin uległ jego perswazjom. Perykles, syn Ksantypoosa i Agarysty, znajdował się w masie ludzi, których ewakuowano na Salaminę. Chłopak miał wówczas mniej więcej piętnaście lat. Ta przeprawa pozostała w jego pamięci na całe życie.

* * *

W trakcie ewakuacji wioślarze wypruwali sobie żyły, krążąc pomiędzy wyspą a Pireusem. Na okrętach wypływających z portu tłoczyły się przerażone kobiety i dzieci. Akcja się powiodła, ale kiedy na horyzoncie dostrzeżono flotę perską, greckie galery nie ruszyły w jej kierunku, gdyż ich najważniejszym zadaniem było dokończenie ewakuacji. Zakleszczone w wąskiej cieśninie pomiędzy portem a Salaminą nie wypłynęły na otwarte morze, mimo że potrzebowały przestrzeni dla skutecznych manewrów. Nad kontynentem, doskonale widoczne z okrętów, unosiły się pióropusze gęstego dymu, co oznaczało, że Persowie zaczęli palić Ateny. W mieście nie miał pozostać kamień na kamieniu.

* * *

Nadzieja umarła, lecz Temistokles trwał na miejscu. Rzadko się zdarza, aby w sposób uprawniony można było stwierdzić, że jeden człowiek w ciągu jednego dnia ocalił ojczyznę. W odniesieniu do Temistoklesa to jednak prawda – o czym napiszę w kolejnej książce.

Conn Iggulden, Londyn 2019

Tego autora w sprzedaży również:

Sokół spartański

SPIS TREŚCI

Bramy Aten

Dedykacja

* * *

Mapa 1

Mapa 2

Mapa 3

Mapa 4

Urzędy, miejsca, postaci

PROLOG

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

2

3

4

5

6

7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25

CZĘŚĆ DRUGA

26
27
28
29
30
31
32
33
34

35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49
50

NOTA HISTORYCZNA

Tego autora w sprzedaży

Spis treści

Strona redakcyjna

Tytuł oryginału: *The Gates of Athens*

Copyright © 2020 by Conn Iggulden
The moral right of the author has been asserted
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2020

Informacja o zabezpieczeniach:

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation (<https://fedorahosted.org/liberation-fonts/>)

Redaktor: Agnieszka Horzowska

Redaktor merytoryczny: Małgorzata Chwałek

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Zbigniew Mielnik

Fotografia na okładce: © CollaborationJS/Trevillion Images

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Bramy Aten, wyd. I, Poznań 2021)

ISBN 978-83-8188-840-0

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

e-Book: Sławomir Folkman / www.kaladan.pl